

MARJA DUNIN-KOZICKA

BURZA OD WSCHODU

BURZA OD WSCHODU



Z IZBICKICH
MARJA DUNIN - KOZICKA.

MARJA DUNIN-KOZICKA

BURZA OD WSCHODU

WSPOMNIENIA Z KIJOWSZCZYZNY
(1918—1920)

Z PRZEDMOWĄ PROF. ST. ESTREICHERA

SZÓSTY TYSIĄC

POLECONE DO BIBLJOTEK SZKOLNYCH ROZPORZĄDZENIEM
M. W. R. i O. P. z d. 14. III. 1926 za Nr. O. Prez. 2319/26.

WARSZAWA 1929
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

MIĘDZYNARODOWA KOMISJA WSPÓŁPRACY INTELEKTUALNEJ LIGI NARODÓW W GENEWIE ZALICZYŁA „BURZĘ OD WSCHODU“ DO NAJWYBITNIEJSZYCH UTWORÓW BELETRYSTYCZNYCH.

WYDANIE DRUGIE
ODBITO W 5250 NUMEROWANYCH EGZEMPL.

Nr. 5855.

DRUKARNIA „GŁOSU NARODU“ W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA DO I-GO WYDANIA.

Krew jest płynem osobliwym. I łzy także. Zrodzone z cierpienia, spadają z powrotem na dusze ludzkie jako posiew płodny i twórczy. One to budzą w duszy dalszych pokoleń zdolność do nowych czynów, naśladowniczy instynkt bohaterstwa, umiejętność i chęć cierpienia, nawet powtórnej śmierci, byle trwała myśl wielka, z której były zrodzone.

Kotłem, w którym krew i łzy przetwarzają się na taki posiew twórczy, jest u narodów cywilizowanych piśmiennictwo, stworzona przez nie poezja i dziejopisarstwo. I u nas po każdym okresie krwi i łez zjawiała się natychmiast literatura, będąca ich przetworzeniem. Krwi i łzom, przelanym po rozbiorach, zawdzięcza swoje piękno i wysoki lot nasza poezja XIX wieku. Z krwi i łez wygnańców wyrosła nasza literatura sybirska, której wysokie znaczenie dla narodu, zupełnie wyjątkowe w dziejach wszystkich ludów Europy, ocenił i scharakteryzował najlepiej Adam Mickiewicz na kartach II-go tomu *Literatury słowiańskiej.*

Podobna do niej nowa gałąź literatury, jakiej żaden inny naród posiadać nie będzie, wyrasta w na-

szych oczach w latach ostatnich. Jest to literatura «kresowa», opowiadająca nam, którzyśmy tych strasznych przejść w latach 1917—1920 nie przeżywali osobiście, o tej walce, jaką społeczeństwo polskie, wzrosłe na Kresach i z niemi zrosłe, stoczyło z burzą nadciągającą od wschodu, a której uległo — narazie. Do nas dochodziły przez czas dłuższy tylko luźne echa. W ostatnich latach mnożą się opowieści, pozwalające coraz wszechstronniej odtworzyć ten nowy, heroiczny i męczenniczy zarazem epizod naszych dziejów.

Po ogłoszonej przed trzema laty świetnej *Pożodze* p. Kossak-Szczuckiej, po wydanej świeżo w Warszawie *Ostatniej placówce* p. Elżbiety z Zaleskich Dorożyńskiej, przynosi obecnie Krakowska Spółka Wydawnicza jako nowy tom tej literatury kresowej dzieło p. Marji Dunin-Kozickiej. Wszystkim tym trzem książkom są wspólne pewne cechy, pozwalające ująć je razem jako odrębną gałąź literatury. Są one obrazami przeżyć, doznanych przez pełne hartu i rozumu dusze kobiece. Są obrazami wiernemi, bo głęboko wrytemi w pamięć, niezapominającą nigdy takich wypadków. Ale te wierne obrazy przeszły przez dusze niewieście dobre, tkliwe, szlachetne, i noszą na sobie dzisiaj odpowiednie do tego zabarwienie uczuciowe. Pociągają czytelnika wyjątkową szlachetnością uczucia i wysokim lotem myśli. Dobroć wobec ciemnego, obłąkanego tłumu, chęć wyrozumienia i przebaczenia krzywd, zapomnienie na

na każdym kroku o sobie, umiejętność wniknięcia intuicją w głąb wypadków, przywiązanie gorące do ziemi rodzinnej, gotowość do ofiarnej służby dla niej, to wszystko złączone w całość z energją czynu i żywotnością niczem nie ugiętego ducha — oto piękne cechy, znamionujące kobietę polską rzuconą w odmęt burzy od Wschodu, a przebijające na kartach tych trzech wybitnych dzieł, jakiemi szczycić się tylko może nasza pamiętnikarska literatura ostatnich lat. Tylko dawna, głęboko w duszach wyżłobiona, z pokoleń na pokolenie przekazana chrześcijańska i zachodnia kultura mogła pozwolić na przetworzenie ohydnych wypadków w tego rodzaju rapsod miłości i ofiary.

W szczegółach każda z tych prac różni się od drugich, zależnie od właściwości indywidualnych i od punktu, z którego wypadki były przeżyte i obserwowane. Książka p. Kozickiej przynosi nam opis zdarzeń, których widownią jest Ukraina a punktem centralnym Kijów. Przeżywamy więc razem z nią tak doniosłe wypadki, jak stworzenie Rządu tymczasowego i rzucenie w masy «rozkazu nr. 1», jak powstanie Ukrainy «samostijnej» w marcu 1917; jak pokój brzeski i okupacja Ukrainy przez Niemcy i Austro-Węgry w r. 1918; jak ich wycofanie się i wejście hord Petlury do Kijowa; jak szybkie opuszczenie przezeń Kijowa i krwawe rządy bolszewików w pierwszej połowie 1919 roku; jak wzrost i upadek niefor-

tunnej kontrakcji Denikina we wrześniu i listopadzie 1919 r. Wszystkie te wypadki kreśli autorka sposobem nie kronikarskim czy historycznym, dążącym do objektywności i ujęcia całości, ale własną indywidualną metodą. Rzuca na ekran coraz to nowe obrazy przeżytych przez siebie chwil i wypadków, a wszystkie te zdjęcia, pełne trafnych spostrzeżeń, żywych dialogów, charakterystyk działających osób, ujmuje w zaokrągloną całość. Pomimo nowelistycznej formy uderza ich prawdziwość, zarówno w każdym charakterystycznym w szczególe, w każdej dacie, w każdym zacytowanem nazwisku — tu i ówdzie tylko ze względów każdemu zrozumiałych zatajonem, — jak i w całem głębiej podmalowanem tle, na które autorka stara się rzucić każde ze swych opowiadań. Na tle takiem nawet wypadki potoczne i domowe nabierają znamiennego, symptomatycznego znaczenia i budzą szerszy interes.

Wybitną cechą książki jest wysoki kunszt pisarski w ujęciu szczegółów i całości, podobnie jak to ma także miejsce w książce p. Kossak-Szczuckiej. Autorka umie przedstawić przejmująco grozę i ohydę scen przeżytych, żeby tylko wskazać jako przykłady charakterystykę kijowskiej czrezwyczajki albo opis «ogrodów tortury», przechodzący o wiele fantastyczne opisy francuskiego powieściopisarza, bo oparty na prawdziwych i najgłębszych przeżyciach własnych. Mrożące krew w żyłach jej opisy będą cytowane kie-

dyś jako klasyczne dokumenty dla poznania dantejskich scen, przez jakie przeszła polska inteligencja i ziemiaństwo na Ukrainie. Ale nictylko polska. Niektóre opracowane przez nią epizody, jak dzieje męczeńskie Własowa (str. 359) albo opowiadanie o awanturniczej ucieczce Liwena z bolszewickiego statku na Dnieprze (str. 379), stanowią dokumenty historyczne, rzucając światło na tragiczne losy inteligencji rosyjskiej, prześladowanej przez los dziejowy równie srogo i w podobny sposób, jak żywioł polski na Kresach.

Te nakreślone przez siebie wstrząsające sceny polskiej i rosyjskiej martyrologji umie jednak autorka, mająca instynkt prawdziwego artyzmu, przepleść od czasu do czasu obrazami, dającemi czytelnikowi chwilę odpoczynku i wytchnienia; żeby tylko wskazać miły i słoneczny obrazek idylli «dusz dziecięcych», wsunięty tak trafnie i tak umiejętnie w beznadziejnie smutną opowieść. Ożywia również swoje krwawe opowiadanie czyto zręcznie rzuconemi obrazami przyrody, czyto wspomnieniami dawnej, wytwornej kultury polskich dworów, której książka jej będzie jednem z najcenniejszych przypomnień, czyto plastycznemi obrazkami z życia ludności, mogącemi zainteresować zarówno etnografa, jak miłośnika ludu, np. scena godzenia parobków i dziewcząt do robót (str. 23). Charakteryzuje świetnie chłopów ukraińskich i szlachtę zagrodową, zwracając wszędzie uwagę na odrębność

ich psychiki, która ułatwia zrozumienie wypadków. Ich pojęcia o własności bożej, pańskiej i chłopskiej, które autorka zręcznie i trafnie wyjaśnia (str. 23), trawiący ich głód ziemi, ich prymitywne poglądy etyczne i niska kultura, pomimo poczciwego ale biernego gruntu dusz, — jakże wiele nam tłumaczą. Dorzuca też wiele ciekawych rysów do charakterystyki żywiołu polskiego na Kresach, zachowując przytem całą wobec niego objektywność, choćby np. w stwierdzeniu «obrusienia» przymusowego młodzieży męskiej (str. 37), a dominującego znaczenia kobiety dla podtrzymania życia polskiego.

Tę samą umiejętność charakterystyki osób i grup wnosi do opisów politycznych wypadków. Zacytować można dla przykładu charakterystykę niemieckich oficerów i ich poglądów na sprawę polską, ujętą świetnie w formę rozmowy, toczonej na tarasie ukraińskiego pałacu (str. 184), a widocznie zanotowanej jak najwierniej w pamięci. Doskonała jest charakterystyka Denikina i jego podkomendnych generałów na tle rozmowy z błagającą ich o pomoc deputacją; jakże trafnem jest podkreślenie jego połowiczności i niezdecydowania (str. 329) oraz zdeprawowania popierających go warstw rosyjskich. Analiza różnicy między utrwalonym historycznie patrjotyzmem polskim a negacyjnem, płytkiem podłożem, na którem wyrósł kontrrewolucyjny ruch rosyjski, nie opierający się

o żadne głębsze uczucie narodowe (str. 326), należy do najciekawszych kart książki.

We wszystkich tych opisach podnieść należy wysoką przedmiotowość i etyczny punkt patrzenia na rozgrywające się wypadki i na głównych ich aktorów. Ani śladu nienawiści, nawet do prześladowców, owszem wszędzie chęć wniknięcia w ich obłąkane czy znieprawione dusze Umiłowanie ludu ukraińskiego, tak barbarzyńsko starającego się zlikwidować polską działalność na Kresach, prowadzi ją mimo wszystko do głoszenia haseł sprawiedliwości i przebaczenia wobec niego. Nad rozlaną krwią, nad ruiną dworów, nad poniżeniem i gwałtem narzuconym przez barbarzyństwo wyższej kulturze, unosi się wszędzie szlachetne i miłujące serce kobiece, zesłane na świat, by współkochać a nie współnienawidzić.

Ale bo też nad wszystkiem góruje miłość ziemi rodzinnej i poczucie płynących stąd obowiązków. Autorka kocha «Kresy» rodzinne i umiała uczuciem tem przepoić swą książkę. Nie pyta, nie rozumuje, czemu posłaną została na tę właśnie placówkę, ale całym instynktem duszy przylgnęła do niej i stara się niej wytrwać Przemawia przez nią niemylny instynkt narodu, który otrzymał misję szerzenia najwyższej, chrześcijańskiej cywilizacji, otrzymanej jak kosztowny dar Zachodu nato, aby ten dar odwzajemnił przekazaniem go młodszym swoim sąsiadom

To jest jego udział w spełnianiu przeznaczeń ludzkości, i to jest jego najwyższa racja bytu. Dopełnienie tego przeznaczenia wymaga trudu i walki, wymaga ofiary i bólu od całości narodu i od składających go jednostek. Niejedna walka przegrana może się wydać daremną i niepotrzebną, jeśli ją mierzyć miarą utylitarnego poglądu, a zwłaszcza miarą osobistego szczęścia. Ale nie miarą życia i powodzenia jednostki, nawet nie miarą szczęścia całych pokoleń, walki takie mierzyć się winno. Bój to na długą metę, toczący się od wieków i długie jeszcze wieki trwać mający. Wypadki w tej książce opisane z tego stanowiska sądzić należy. Małoduszna dezercja z placówki, uchylenie się dobrowolne od cierpień, ofiar i prześladowań prowadziłyby pewną drogą do poniżenia powagi i znaczenia elementu polskiego, byłyby prawdziwą klęską moralną narodu. Wielka żywotność, jaką żywioł polski, reprezentujący na Kresach godność narodu, umiał w czasie największych prześladowań okazać, jego wytrwałość, energja, sprawiedliwość i wyższa etyczna kultura, okazane na każdym kroku, jego wierność hasłom zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji i mężny opór wobec huraganu barbarzyństwa, ciągnącego od Wschodu, to posiew dla przyszłości i podstawa wiary w ostateczny zwycięski wynik. Zburzono wspaniałe dwory, poniszczono folwarki i osady szlacheckie, zrabowano cały polski dorobek kulturalny, wymordo-

wano tysiące ofiar w pogromach i czrezwyczajkach, wygnano z Kresów setki tysięcy najwierniejszych ich synów, jednak walka nie jest przegraną — jak długo na tych Kresach imię «Polak» oznacza człowieka wyższej kultury i niezłomnego ducha. Książka p. Kozickiej, którą Krakowska Spółka Wydawnicza przedstawia dziś publiczności, jest dokumentem, kreślącym jeden z najdramatyczniejszych epizodów takiej walki, której cel daleki, i tej klęski, która z czasem przerodzi się w zwycięstwo. Idzie w świat z zadaniem, aby się przeciwstawić wszędzie, gdzie dotrze, małoduszności poglądów i zwątpieniu w ostateczny rezultat tej krwi przelanej i tych łez ludzkich, o których opowiada.

Krakow, w lipcu 1925 r.

STANISŁAW ESTREICHER

BURZA OD WSCHODU

CZĘŚĆ PIERWSZA

PRZEWRÓT

MARZEC 1917 — MAJ 1918

NIEOCZEKIWANE ZMIANY.

Dnia 16-go marca 1917 roku wyjechaliśmy z domu do Kijowa na kilka dni w interesach. Najbliższa nasza stacja kolejowa, Biała Cerkiew, oddalona była o 40 wiorst, i to drogi opętanej, po tłustym, lepnącym do kół czarnoziemię, po jarach niebardzo głębokich, lecz w czasie wiosennych i jesiennych roztopów tak grząskich, że powóz zapadał nieraz po osie. Stąd i poczta, urzędująca w niedalekiej Wołodarce, chodziła i jeździła niezbyt sprawnie, i wiadomości miewaliśmy często spóźnione o parę dni. Zmrok już zapadał, gdy przyjechaliśmy do Białej Cerkwi. Konie, zmęczone ciężką drogą, czując bliski wypoczynek, biły niecierpliwie podkowami w nierówny bruk miasteczka, aż iskra błysnęła niekiedy z pod kopyta. Na turkot zajeżdżającego powozu wypadł na ganek hotelu, szumnie zwanego «Europejskim», właściciel żyd, Motel. Czerwona, pucułowata twarz jaśniała radością, małe, przebiegłe oczka pływały w niewysłowionym zachwycie. Otwierał drzwiczki powozu, wołając jednocześnie z zapałem:

— Hurra!! Niech żyje Rożanko!! Niech żyje setne lata!! Mołodiec Rożanko!

Kalikst, nie pojmując przyczyny tych uniesień, rzekł ze zdumieniem:

— Cóż to się stało? Czem Rodzianko tak się zasłużył Rosji?! A może panu Motlowi? — dodał żartobliwym tonem.

Gospodarz «Europejskiej Gostinnicy» rozszerzył przymrużone oczka do nieprawdopodobnych rozmiarów:

— Co?!! Państwo naprawdę jeszcze nie wiedzą?!... Ależ niema już Mikołaja Krwawego!! Rożanko jednym palcem zrzucił go z tronu!... Ot zuch! Daj mu Boże dużo szczęścia! Jeszcze wczoraj car zrzekł się tronu na rzecz swego brata, Michała!!

Nadzwyczajną tę nowinę przyjęliśmy z niepokojem i powątpiewaniem co do pomyślnych wyników nagłej detronizacji. Walka olbrzymów, tocząca się w Europie, nie miała się bynajmniej ku końcowi, przeciwnie, każdy z przeciwników wytężał swe siły, aby wroga powalić z najzacieklejszą bezwzględnością. Gwałtowny przewrót wewnętrzny, niebezpieczny nawet w zwykłych warunkach, zmieniał się teraz w sfinksa o zamglonem i niepokojącem obliczu.

Weszliśmy do niewielkiego hotelowego pokoiku i pochwyciliśmy kijowskie gazety, które nam w wielkiej ilości natychmiast przyniósł rozpolitykowany gospodarz. Rosyjska prasa, wobec ostrej cenzury zwykle bezbarwna i blada lub polakożercza — jak osławiony *Kijewlanin*, — tym razem uderzyła w ton podniosły. Wstępne artykuły brzmiały niby tryumfalne fanfary, a przedewszystkiem biła z drukowanych szpalt nie robiona, lecz prawdziwa, szczera radość i wiara w wielką i sławną przyszłość narodu. Jedyny w Kijowie dziennik polski — *Dziennik Kijowski* — wyrażał prócz tego pewność, iż teraz, po złamaniu okowów caratu, Polacy pod zaborem rosyjskim przestaną być wreszcie upośledzonymi «inorodcami», a staną się wolnymi obywatelami potężnego słowiańskiego państwa. Porwał nas urok drukowanego słowa, — niepokój pierwszej

chwili wydał się nieuzasadnionym, przesadnym. Pełni otuchy, iż może jesteśmy w przededniu słowiańskiej «Wiosny ludów», wjeżdżaliśmy do Kijowa wieczornym pociągiem. Pomimo późnej godziny tłumy przepełniały ulice, w powietrzu dawały się wyczuwać jakieś ożywcze prądy. Nawet martwe przedmioty mają swoją wymowę — tem silniej ujawniała się zbiorowa dusza miasta. Depesze z Piotrogrodu i Moskwy donosiły nieustannie o coraz to nowych wydarzeniach, płynących jak żywiołowo potężna ale spokojna fala. Zachwyty nad «bezkrwawą rewolucją», nad wielkością narodu rosyjskiego, co z taką dostojną powagą umiał pozbyć się tyranów, przepełniały dalej szpalty wszystkich dzienników. Zamiast dawnego urzędowego hymnu: «Boże, cara chroń» — cała Rosja zdawała się rozbrzmiewać stokroć wznioślejszem wołaniem: «Boże! wolność nam daną chroń!» Rewolucja — jak zwykle w pierwszych chwilach, zanim się zmieni w krwawą Furję, której nigdy nie było dość ofiar i szaleństw zniszczenia — ukazywała promienne oblicze Bogini wolności. Ententa uznawała Rząd Tymczasowy, — rozwój wypadków zdawał się rokować wspaniałą przyszłość. Brat cesarza, Michał, przekazanego mu tronu nie przyjął, oznajmiając, iż tylko wola całego narodu rozstrzygnie o losach Rosji.

Dnia 29-go marca ruch gorączkowy na ulicach Kijowa świadczył o przygotowaniach do pochodu, urządzanego w celu uczczenia wielkiego «święta wolności». Nieprzerwaną falą płynął potok ludzki po Kreszczatyku, dążąc przed ratusz miejski, gdzie zasiadały władze rewolucyjne. Tu wygłaszano płomienne mowy. Przed oczami tysięcy widzów, tłoczących się na chodnikach, przesuwały się zwolna czerwone, rewolucyjne sztandary. Wiatr je rozwijał i ukazywał słowa urągające zgasłemu widmu caratu i dawnym rządom:

«Niech żyje wolna od tyranów Rosja!». — «Żądamy czteroprzymiotnikowego prawa głosowania dla wszystkich!» (równe, tajne, bezpośrednie, powszechne). —

«Żądamy zwołania Konstytuanty!» — «Ziemia i wola dla pracującego ludu!» —

«Niech żyje federacyjna Republika rosyjska!» —

«Siedmiogodzinny dzień pracy! Wolność związków zawodowych!» —

«Niech żyje rewolucyjna, wolna Rosja!» —

«Niech żyje ludowa, chłopsko - robotnicza, wolna od tyranów Rosja!»

Pochód zamykały platformy automobilowe, przepełnione żołnierzami, przystrojonymi w czerwone, rewolucyjne kokardy, przypięte do mundurów. Począwszy od Wielkiej Wasilkowskiej, będącej przedłużeniem głównej arterji Kijowa, Kreszczatyku, skąd zaczynała się tak zwana «granica osiedlania się żydów», wszystkie kamienice po dwóch stronach ulicy natłoczone były żydami od dołu do góry. Cisnęli się oni głowa przy głowie w pootwieranych oknach, wychylając się na ulicę i witając wrzaskliwem «hurra!» każdą nową grupę, niosącą sztandar. Lecz gdy ukazały się platformy z wojskiem, wybuch ich entuzjazmu zmienił się w szał uniesienia. Powietrze drżało od oklasków i wiwatów. Okrzyki: «Niech żyje swobodna armja!» toczyły się jak niemilknący grzmot i spadały z górnych okien na żołnierzy, niby kwiaty na zwycięzców.

W tym uroczystym, wolnościowym pochodzie jaskrawo biły w oczy dwie wybitne cechy: brak inteligencji rosyjskiej wśród niosących sztandary, i przewaga ilościowa żydów. Nietylko czarny, anarchistyczny sztandar «Bundu» miał swych licznych przedstawicieli; byli oni wszędzie, kręcili się we wszystkich grupach, pilnowali porządku — słowem, z lubością

i wprawą rzucili się w wir życia społecznego, dotychczas im wzbronionego. Z plebsu i żydów składał się prawie wyłącznie cały pochód rosyjski. Już wówczas okrzyki na cześć «wolnej» armji zaniepokoiły wielu obecnych. Jaka może być «wolność» w armji, będącej z natury rzeczy jednem zdyscyplinowanem ciałem o tysiącach głów, jednem ramieniem o miljonach szabel i bagnetów?! Żołnierze jednak mocno byli zadowoleni z tych słów, wnoszących już zarzewie destrukcji i niesubordynacji. Darli się na całe gardło, śpiewając pieśni rewolucyjne i dziękując niedbale skinieniem głowy za oddawane im hołdy.

Manifestacja polska miała wręcz inny charakter. Dwie odmienne kultury i tradycje przeszłości, tak różne w treści i formie, zaznaczyły się tu z przekonywującą prawdą, i dwa te pochody mówiły same za siebie. Wszystkie warstwy społeczeństwa naszego na Kresach były reprezentowane w pochodzie polskim. Stanęli wszyscy do apelu: Członkowie «Komitetu Wykonawczego na Rusi», siwi weterani 63-go roku, inteligencja miejska, ziemianie z Kijowszczyzny, organizacje kobiece, rzemieślnicy, robotnicy, mieszczanie, młodzież szkolna — szli jedni za drugimi w sprawnym ordynku, niosąc amarantowe sztandary. Leciał na czele orzeł biały, rozciągający swe skrzydła nad ukochaną ziemią kresową, równie silny i śmiały, jak ongi za czasów Chrobrych i Śmiałych. Płynęły tony nie «Międzynarodówki», lecz wiecznie żyjących pieśni narodowych, tych samych, co wraz z hukiem armat biły w wąwozy Somo-Sierry, co odmawiane jak modlitwa krzepiły duszę powstańca w sybirskiej katordze, a potem, wygnane carskim ukazem, przechowały się w ciszy wspomnień, w szepcie matki, w młodzieńczych rojeniach, w szarych, niepozornych, głęboko ukrytych książeczkach... «Jeszcze Polska nie zginęła!» Nie zginęła i nie zginie, bo

Ty ją, Boże, otaczasz Swą świętą opieką! — Porządku pilnowali skauci w swych charakterystycznych strojach i zadzierzystych kapeluszach, przebiegający sprawnie z jednego końca pochodu w drugi. Zaledwie przebrzmiały tony starych pieśni z narodowego relikwjarza, gdy młodzież szkolna zaintonowała *Rotę*. Podchwycili wszyscy te natchnione słowa, będące treścią duszy i przykazaniem każdego prawego Polaka, i wszystkie głosy stopiły się, zlały się w jeden mocarny, porywający zapałem i wiarą hymn: «Nie damy ziemi, skąd nasz ród!!« — Nie damy! Jak młode orlęta, lecące za starym orłem, płynącym na czele pochodu, biły te słowa w niebo, uderzały o kamienie kijowskiego bruku, wyrywały się z przemożną siłą z piersi i upajały serca nasze! Wszakże nareszcie, po wiekowej przeszło niewoli i dławieniu każdego objawu polskości, głosiliśmy teraz światu tryumfalnie, że pomimo wszystko jesteśmy i — tak jak dawniej — trzymamy straż na rubieżach zgasłej dla Europy, ale wiecznie żyjącej w naszych ukochaniach, prześwietnej Rzeczypospolitej.

Towarzyszyliśmy naszemu pochodowi, idąc obok w licznem gronie znajomych i nieznajomych, nie biorących w nim udziału. Oczy mgliły się wzruszeniem, usta uśmiechały radośnie. Godzina to była cudna i niezapomniana!

Manifestacja nasza zyskała ogólne uznanie, jako najpiękniejsza i zharmonizowana wszechstronnie. Był bowiem jeszcze trzeci pochód — ukraiński. Po raz pierwszy wówczas Ukraińcy wystąpili otwarcie jako odrębna narodowość, domagając się praw i autonomji, a nawet niepodległości dla swego kraju. Na ich błękitno-żółtych sztandarach bujały napisy: «Samostijna Ukraina z wolną Rosją!» — «Samostijna Ukraina z hetmanem na czele!» — Profesor Hruszewskij przed gmachem ratusza i w obecności władz rewolucyjnych rosyjskich przemawiał gorąco w obronie praw Ukraiń-



Białocerkiew Marji hr. Branickiej.

Ze zbiorów M. hr. Wodzickiej.



Zjazd drobnej szlachty polskiej na odpust w Szulakach, m. Jadwigi z Madeyskich Zakrzewskiej.



Zagroda chłopska na Ukrainie.

Fot. Roman Podoski

ców, podkreślając z naciskiem, iż «Ukraina wstępuje jako wolny członek do związku narodów rosyjskiej republiki federacyjnej». — Pochód ten przedstawiał się ilościowo pokaźnie, a zewnętrznie kulturalnie, i sprawił dodatnie wrażenie.

Już wówczas, w owych manifestacjach pierwszych dni, szumiących wolnością jak młode wino, zarysowały się jaskrawo postulaty i cele czterech narodowości, zaludniających kresowe obszary. Umysł trzeźwy i nieuprzedzony mógł łacno z tego zaczątku nowej epoki wysnuć dalszy rozwój wypadków i nieubłagane ich konsekwencje, — ale zaślepieni i olśnieni powabem niespodziewanego wyzwolenia, widzieliśmy w całej rozkołysanej Rosji samych dekabrystów, a okazało się wkrótce, iż byli to tylko — «towariszczi!»

. . . .

Wracaliśmy do domu z nową energją i ochotą do dalszej pracy, przedstawiającej obecnie szerokie pole dla dążności narodowo-społecznych. Jakże krańcowo i błyskawicznie szybko zmieniły się warunki! Przecież tak niedawno jeszcze za wykrycie podobnych zamiarów szło się na wygnanie do miejscowości «niezbyt oddalonych» (słowa z ukazów carskich), naprzykład do orenburskiej gubernji. — Dziś, można było pracować otwarcie nad uświadomieniem narodowem licznej na Kresach drobnej szlachty polskiej, przeważnie schłopiałej, wyodrębniającej się od ogółu ludności ruskiej tylko obrządkiem. — «My katolicy, proszę pana!» — twierdzili ci Polacy, nie zdający sobie sprawy, iż należą do narodu, mającego świetną i sławną przeszłość. Ziemiaństwo kresowe budziło te ospałe dusze, lecz zmuszone było czynić to tajemnie i ostrożnie, a wyniki były blade i nie odpo-

wiadały wysiłkom. Sprawa szkolnictwa polskiego i jak najliczniejszych szkółek ludowych stawała się teraz jedną z najpoważniejszych dla kresowego społeczeństwa.

W Białej Cerkwi czekała nas niemiła niespodzianka. Roś wylała tak, że most był pod wodą, trzeba było tedy przeprawiać się promem. Długo to zwykle trwało i sprawiało kłopot nielada, albowiem pełne fantazji szpaki nie chciały stać spokojnie na ruchomym promie. W dodatku dnia tego był jarmark w miasteczku, i długi szereg wozów chłopskich stłoczył się na brzegu, oczekując na możność dostania się na drugą stronę rzeki. Nasz furman Kornij skierował czwórkę wprost do podjeżdżającego w tej chwili promu, lecz w ciągu tych kilku dni fala rewolucyjna zdołała już dotrzeć do wsi i zmienić nieco jej dotychczasową uległość.

— Hej tam! Kuda jidesz?! Zawertaj! Czujesz?! Stawaj pry kińci! — wrzeszczeli chłopi z wozów, wymachując ostro batami.

Zdumiony furman wstrzymał konie:

— Jakie wam diło?! Poduriły czy skazyłysia?! (wściekli się).

— Durnyj ty sam!! Teper słoboda!! My wsi riwny! Rozumijisz! Pryjechał poślednij, to i perejidesz pośla wsich! Ne puskajte jeho, chłopci, na pered!! —

Padły słowa nowe, nieznane dotychczas. Kalikst się niecierpliwił:

— Miłe rewolucyjne kwiatki! — Próbował jednak pertraktować z zacietrzewionymi chłopami:

— Słuchajte, ludy! My wsi riwny, ce prawda i ne możu ja wam pereczyty. Jidna pomeż nami raźnycia: wam wsim błyśko do domu, a ja maju sorok werstow do Lemieszowa. Pozwolte nam perwszym perejichaty. Dobre?! —

Kornij usiedzieć nie mógł na koźle. Doprowadzały

go do pasji te ceregiele i jako furman dworski solidaryzował się z nami zupełnie. Zwrócił się do Kaliksta:

— Dalibóg, proszę pana, szkoda czasu na perehowory! Śmignę batem «Iskrę» i wjadę na prom! I szo ony mini zroblat?

Lecz już brodate «diadki» pozłazili flegmatycznie z wozów i stanęli przed naszym zaprzęgiem:

— Ne perejidete! Czekajte! Teper wsi riwny!! — powtarzali uparcie.

Zanosiło się na awanturę, bo Kornij rozwijał już długi, lejcowy bat i z trudem powstrzymywał wybuch gniewu. Umitygowało go nakazujące słowo Kaliksta:

— Stój!

Trzeba się było poddać konieczności i czekać.

Późno było i mroczno, gdy dojeżdżaliśmy do Lemieszówki. Zdaleka dom błyszczał światłem we wszystkich oknach. W sosnowym lesie, tuż za bramą wjazdową, ogarnęła nas chwilowo ciemność zupełna pod sklepieniem ze splatających się konarów. Wyskoczyliśmy z niej na jasną drogę. Na prawo mignęły ciemne, wydłużone sylwetki olch, zahuczał pod powozem krótki grzmot mostku nad rzeczką, szpaki rwały pod górę, parskały radośnie, czując już własną stajnię. Kornij palnął z bata dwa razy, aż echo odhuknęło z otaczających lasów. Ot, stare, bałagulskie narowy! Istne salwy szczekania wybuchają nagle i lecą ku nam od dworu. Szóstka kudłatych brytanów, białych w czarne łaty, spuszczanych na noc z łańcucha, pędzi w podskokach na nasze spotkanie — wierne i stróżliwe, nieubłagane dla obcych, postrach okolicy. Otwierają się drzwi ganku. Służba dawna, naprawdę do nas przywiązana, zbiega po schodach na powitanie. Zeskakuje, jak wróbelek, małemi nóżkami nasza złotowłosa Haneczka — już jest w powozie, obejmuje «tatu-

siów» rączkami, przemile wypomina nam swoje niepokoje z powodu spóźnionego przyjazdu. Psy wspinają się łapami na stopnie powozu, wznoszą pyski w górę i radosnem, urywanem szczekaniem oznajmiają światu, iż oczekiwani gospodarze już powrócili. Przez otwarte drzwi ganku widać dębowe ściany jadalni, wysmukłe kwietne wazy, stół nakryty śnieżnie i srebrzyście... Wisząca lampa rzuca świetlany krąg na pierwsze zwiastunki wiosny stojące na stole: prymule i fiołki alpejskie. Las szumi nabrzmiałemi pąkami młodych liści: — Oto idzie wiosna! Gotujcie siły do nowej, zbożnej pracy! —

Chcielibyśmy już wejść do domu i odpocząć po męczącej podróży, lecz wśród szczebiotliwych przymilań się Haneczki i natarczywych psich powitań niepodobna prawie wysiąść z powozu.

. . . .

O, bezcenne klejnoty wspomnień drogiej, strzaskanej burzą przeszłości!...

Przerwana pieśń sączy znów w duszę przedziwne tony! Jak żywe przesuwają się obrazy dawnego życia, dawnych ukochań i walk, miłych sercu prac i zamierzeń. Nie zdołał mi nikt was unieść z wiernej pamięci! Jak perły w głębinach oceanu, spoczywacie na dnie serc naszych, owiane wdzięcznością za to, żeście były!...

W DOMU.

Dwór, zabudowania i wogóle cała nasza sadyba w Lemieszówce były najwdzięczniejszym zespołem prostoty i piękna. Wszystko było tu miłe i niebanalne: Ten biały dwór,

pełen smaku i harmonji w urządzeniu wewnętrznem, nie roszczący «pałacowych» pretensyj wobec ślicznej prostoty zewnętrznych zarysów, — ten las, rzucony wokoło, niby osłona i ozdoba, malowniczy z natury, różnobarwny i różnolistny, — ten wycięty w lesie park, z mnóstwem swawolnie pomykających ścieżek, z przecięciem perspektywy na pola i dale w ruchomej ścianie drzew, z szerokim rozmachem nieoczekiwanych a zawsze uroczych widoków, — a w tem wszystkiem żadnej przesady, ani cienia naśladownictwa, tylko swobodny, powabny umiar artystyczny.

Dwór był młody, bo liczył zaledwo kilkanaście lat wieku — łączył tedy wymagania nowożytnej kultury ze staroświecczyzną części urządzenia. Widoczny już zdala, stał dwór lemieszowski na wzgórzu, kąpiąc się latem w słonecznej przestrzeni, zwartością grubych ścian i dokładnością dębowych drzwi i okien stawiając mężnie czoło mroźnym, zimowym podmuchom. Pośrodku ganek wjazdowy o kilkunastu płaskich, szerokich schodach. Z prawej strony piętrowe skrzydło — tu, na górze, gościnne pokoje i niewielki balkonik, niby gniazdo jaskółcze, z widokiem na leżący u stóp park i owalne lusterko wody. W okresie letnim wokoło dworu biegł szlak kwiecisty z ponsowych, wiecznie kwitnących Crimston'ów i złoto-żółtych Nielów, pnących się bujnie po granitowych złomach wysokiego cokołu i sięgających drewnianych kolumienek krytej werandy. — Z drugiej strony terasa, otoczona żelazną balustradą, i znowu powódź oplatających się giętkiemi łodyżkami, różowych, bukietowych różyczek.

Na prawym przyczółku wysoka, oszklona oranżerja, złożona z szyb białych i kolorowych. Chroniły się tu palmy i wazony kwiatowe w zimie. Ślicznym był ten ogródek pod szklanem przykryciem, — zdawał się wykwitać na śniegu,

szczególniej gdy przez tafle okien widniała wokoło biel i skrzył się mróz. Tu był wejściowy, boczny ganeczek (wyłącznie dla interesantów), a za nim do narożnej ściany domu przylegał mur z czerwonych cegieł, zgrabnym zakrętem obiegający ganeczek i zakończony wysoką kolumną z kwiecistą wazą u góry. Od strony lasu do okien sypialni — mur, a na nim rozpięte do słońca stare, przepyszne brzoskwiniowe drzewa. U góry szereg terakotowych waz z jaskrawemi pelargonjami i zwisającym groszkiem pachnącym, — biała, niziutka furtka w murze, a za nią podwórze gospodarskie i budynki folwarczne, wzorowo utrzymane, zasłonięte grupami rozłożystych drzew. Szeroki, w drzewie rzeźbiony okap biegł wzdłuż dachu dworu, i wznosząc się razem z nim w łagodnych linjach, tworzył przykrycie i osłonę od deszczów i śniegów dla nieposzlakowanie białych, zewnętrznych murów. Przed dworem, na rabatach i klombach, rzucone hojnie krzewy róż i kwiaty zwyczajne, wdzięczne, przeważnie wiecznotrwałe. Ślicznie obmyślana stajnia dworska o szwajcarskim, śpiczastym dachu, z boczną przybudówką na sanie, zamykała niezwykle długą i malowniczą drogę wjazdową.

Dwór był wewnątrz wysoki, obszerny, zalany słońcem i jasnością, lśnił blaskiem wyślizganych posadzek, zachwycał estetycznym smakiem wewnętrznego wykończenia. Część urządzenia była staroświecka, odziedziczona po rodzicach, przechowywana w tak zwanych mahoniowych pokojach; resztę zaś wyszukiwał i dobierał Kalikst od czasów młodości, czyli od lat kilkunastu, z całym zapałem i uporem zbieracza, rozkochanego w pięknych pomysłach, w artyzmie linij, we wszelakim kunszcie i twórczości. Co roku jeździliśmy zagranicę na zimowe wakacje. Dom nie mógł nam towarzyszyć — było to niemożliwe! Wzamian przywoziliśmy mu upominki z podróży, — zapoznał się tedy dom z kulturą i artyzmem Za-

chodu. Zobaczył w swych ścianach natchnienie włoskiej rzeźby, subtelność saskich figurynek, barwność weneckiej mozaiki. Na uroczystości rodzinne darowywaliśmy sobie wzajemnie zegar-antyk do salonu, sztych jakiś bajeczny, wyłowiony w antykwarjacie kijowskim, cenny obraz, minjaturę, bronz z patyną wieku... Dom piękniał powoli. W ciągu lat wspólnie przeżytych krystalizowały się w nim nasze myśli, nasz smak i upodobania, zaznaczały przebyte drogi życia — wreszcie każdy pokój stał się odrębnym, zamkniętym w sobie światem, z pewnej epoki, w pewnym stylu, gdzie wszystko, na czem spoczęło oko, wzmacniało pierwsze, harmonijne wrażenie. Nawet piece i kominki, nawet obicia na ścianach, zastosowane były do ogólnego tonu. Przeszłość, płynąca za nami szerokim strumieniem, wtargnęła tu, do tego kresowego dworu, zostawiając po sobie ślad wiecznie trwały (tak sądziliśmy!...) kultury przodków i naszej własnej pracy i ukochań. Nić tradycji snuła się dalej na kołowrotku teraźniejszości. Lubiliśmy oboje książki; mieszkaliśmy daleko od kolei, sąsiedztwa były dość rzadkie, więc, zwłaszcza gdy jesienne roztopy uniemożliwały drogę, były nam książki najmilszymi przyjaciółmi, żyjącymi w twórczości genjalnych myśli i w tętnie serca. Do dzieł dawniejszych pisarzy przyłączały się nowe, wybitne utwory literackie, piękne wydawnictwa, białe kruki, — wszystko to układało się w długie szeregi na półkach wysokich bibljotecznych szaf. Doszliśmy w ten sposób do poważnej liczby 5000 tomów. Łączyły nas jeszcze ze światem dzienniki polskie i zagraniczne; kresowy dwór chłonął wytrwale prądy duchowe i umysłowe, bijące z wielkomiejskich ognisk nieustannego rozwoju ludzkości, dążącej od wieków do światła Prawdy.

Za dworem szumiał las, który, wyginając się wdzięcz-

nem półkolem, biegł ku dębinie pobliskich lasów państwowych. Las ten podobny był raczej do olbrzymiego parku i zachwycał różnorodnością drzew i malowniczem ich ugrupowaniem. Tuż do podwórza gospodarskiego przylegała rozrzucona zrzadka dębina — poczem nagle wyrastał gąszcz młodych grabów, strzelały w górę na polankach stare dęby, umyślnie tu zostawione przy dawnych porębach, matki-brzozy gwarzyły pośpiesznym szelestem z młodem pokoleniem rojnie podrastających, wysmukłych brzózek. Lasek sosnowy, tuż przy wjeździe, widoczny z okien w dalekiej perspektywie, bielał nieraz w zimie pod śniegowym kożuchem, naciągniętym na rozpostarte, zielone ramiona,— w lecie pachniał żywicą i szpilkami, niby wielka kadzielnica.

Przed dworem był rodzaj tarasu, wyciągającego się następnie w aleję wjazdową, a na trawniku dwa dęby-solitery, piękne jednolitym rozrostem potężnych konarów, i dwa głogi wysokopienne, szczepione, osypane kwieciem na wiosnę, jak dwie różowe kule. Trawniki z grupami świerków i brzóz staczały się w łagodnych falistościach ku niewielkiemu stawkowi, otaczając wysokie brzegi rozerwanym miejscami wieńcem drzew. Na dole mostek i pierwszy sad owocowy — ujęty w ramę z sosen na lewo, z drzew akacjowych na prawo. Z drogi wjazdowej, za białą bramą, domek ogrodnika, inspekty, i drugi sad, w wyciętym wśród lasu kilkumorgowym kwadracie. Cudny był ten sad na wiosnę, gdy drzewa w długich, nieruchomych szeregach wyglądały zdala niby strzępiaste, kwietne obłoki, a las, dobry piastun, z trzech stron stał na straży, wstrzymując zdradzieckie porywy chłodnych niekiedy wichrów. Dalej droga wjazdowa przeskakiwała mostek nad rzeczką wypływającą ze stawu i ginęła w lesie sosnowym, wybiegając wreszcie na gościniec, prowadzący do Wołodarki i Białej Cerkwi.



Bibljoteka w Lemieszówce.

Fot. K. Dunin-Kozicki.



Bibljoteka w Krasnosiółce Wacł. Lipkowskich, zawierająca 2500 książek.



Bibljoteka w Czerepaszyńcach Fel. Zdziechowskich, zawierająca przeszło 4000 książek.

Taka była nasza siedziba, nasz dom — ostoja polskości i rodziny na Kresach. Gospodarstwo mieliśmy niewielkie, ale wzorowe, inwentarze i budynki pierwszorzędne. Zarodowa obora krów, Simmenthalerów, i chlewni wielkiej rasy angielskiej. Wyborowe nasiona, jarzyny i owoce. Pracowaliśmy oboje z miłością dla tej ziemi, z zapałem dla całokształtu dobrobytu i kultury kresowej, z poczuciem, iż każdy nasz czyn ma niecić tu światło, ma być przykładem dla ciemnych «sąsiadów». Poza tem Kalikst kochał ten lud, który nas otaczał. Nie była to ani moda, ani demagogja. Poprostu zżył się z nim od dziecka, rozumiał go z niezwykłą siłą intuicji, litował się nad nim z powodu niepojętego, w oświeconym wieku dwudziestym, stanu ciemnoty, w jakim z umysłu go trzymano, — przyczem, jako przedstawiciel warstwy ziemiańskiej, czuł się niejako odpowiedzialnym za poprzednie grzechy pańszczyzny. Pomimo surowego i upartego często przestrzegania dworskich praw, późniejsze wypadki przekonały, iż chłopi wierzyli w przyjaźń «pana» i odpłacili mu wzajem dość hojną, jak na ich pojęcia, miarą.

NASTROJE WSI I MIAST.

Nazajutrz po powrocie naszym z Kijowa, kilku starszych gospodarzy przyszło z rana do dworu. Kalikst wyszedł do nich natychmiast, rad, iż w chwili tak przełomowej może porozumieć się ze wsią i dowiedzieć, jakie wrażenie wywarła na chłopach detronizacja cara. Chłopi stali całą gromadą w kancelarji i powitali Kaliksta życzliwie, całując go w rękę. Nie był to z ich strony akt serwilizmu, — czynili to bez uniżoności, zachowując tylko zwyczaj z dawien dawna praktykowany.

Kalikst zasiadł przed biurkiem, gospodarze otoczyli go dokoła.

Wysoki, szczupły, dostatnio ubrany i osiadły tu z dziada pradziada Semen Fedorczuk, typ dorodnego Ukraińca, obrócił kilkakrotnie czapkę w rękach, poczem zagaił rozmowę:

— Pryszły my do pana po prawdu. My, zwiestno, ludy temnyje, czytaty, pysaty ne umijemo, a pan rozumnyj! Ce incze diło, szo...

Przerwał mu dość szorstko Andrej Omeljanienko, bogacz wiejski, chytry jak lis:

— Diadku Semene! Ta ne moroczit panu hołowu! Każit prosto, po jakomu diłu my pryszły!

Stropił się orator i z powściąganem niezadowoleniem spojrzał na mówiącego, — po chwili jednak ciągnął dalej powoli:

— Diło ważne i treba dobre jeho roztołkowaty, szoby potom w durakach nie ostatysia! Po seli ide bałakaczka, szo wże cara nyma i ne bude. Każut, szo wybrały jakuś nowu caryciu «Konstytuciju», szo po Kijewie wże obnosyły jeji obraz, jak Materi Bożej! Pan dopiro wernułysia z Kijewa. Czy ce prawda, czy brechnia? Czy pan sami ce baczyły?

Obszernie i przystępnie zaczął Kalikst tłumaczyć zebranej gromadzie znaczenie konstytucji, moc ustawodawczą konstytuanty, obowiązki i przywileje wolnego obywatela, które teraz ich się stały udziałem, wogóle możność i wartość pracy społecznej, prowadzącej do wzmożonego dobrobytu szerokich warstw i do potęgi państwowej. Wobec tych nowych dla nich pojęć, otwierających światy nieprzeczuwanych nawet zagadnień i czynów, chłopi stali zdumieni, nie wierząc własnym uszom, nie pojmując znaczenia podstawowych zasad konstytucyjnego ustroju.

Przysłuchiwałam się tej rozmowie, oparta o okno kan-

celarji, wychodzące na oranżerję, i przykry niepokój załopotał znienacka w sercu. Więc takie ciemne, nieuczone głowy mają być dopuszczone do rządów?!... W takie ręce ma być oddany ster olbrzymiego państwa?!... Myśl, jak ptak w przelocie z gałęzi na gałąź, potrąciła o bajkę, ulubioną w dziecięcych latach... Dwa tytany, Siła i Wiatr, umknęły w świat z czarodziejskiej szkatułki, której wieko podniosła nieopatrznie ciekawa królewna. Wyrządziły tyle zła ludzkości, iż na wołowej skórze spisaćby się nie dało. Niezmierzonych wysiłków trzeba było, by je znowu ująć i czarem zaklęcia zapędzić do pożytecznej pracy. Z niezgłębionych składów pamięci wypłynął jak na jawie obraz szczuplutkiej staruszki, siedzącej w fotelu przed ogniem kominka. Grożąc bielutką, wzniesioną dłonią, nakazywała nam dzieciakom, wstrzymującym dech w piersiach: — Ostrożnie, dzieci! Ostrożnie z siłami, których potęgi nie znacie!

Czyżby i teraz tak być miało?!... Wybuch hucznego śmiechu wrócił mię do rzeczywistości. Kalikst wybierał już z chłopami posła z Lemieszowa do Sejmu wszechrosyjskiego zastrzegając, aby przedewszystkiem żądał zbudowania bliższej linji kolejowej dla całej naszej okolicy.

Wtem rzekł z przyciskiem Wasyl Andrijiwskij:

— A wse taki my teper hraždany i riwny wsi, sława Bohu! — zerknął złośliwie w moją stronę.

Pojęłam odrazu, o co mu chodzi. Oto miałam w jednym z sadów sporą plantację wspaniałych truskawek, a pomimo że sad otoczony był głębokim rowem, żywopłotem i drutem kolczastym, chłopaki wiejskie urządzały w nocy różne podkopy i przejścia do czerwieniejących wśród liści truskawek. Ambicją moją było, aby sady, będące pod mojem wyłącznem kierownictwem, przedstawiały się najświetniej — ogrodnik zaś, poza pensją uczestniczył w zyskach, nieraz więc

łamaliśmy ręce na widok zniszczenia i znacznej szkody. Rezultatem zasadzek były niejednokrotnie widziane już tylko w oddali pięty umykających chłopaków, a wówczas Załeński wołał z wściekłością:

— I śmieją się jeszcze, psubraty!! Niechby już kiedy pani pozwoliła postrzelać do nich grochem! Niechby te psiajuchy poczuły, co znaczy niszczyć moją pracę!!

Zerwanie czapki z głowy było najpomyślniejszym wynikiem obławy i nieraz Andrijiwskij, ojciec trzech pierwszorzędnych urwisów, musiał wykupić u ogrodnika ten niezbity dowód rabunku łakomych synalków. Teraz dawał mi do poznania, iż nadszedł wreszcie koniec supremacji dworskiej.

Zaśmiałam się wesoło, myśląc: «Mam cię, przyjacielu!» i wygłosiłam z przejęciem:

— Ja się z tej równości cieszę daleko więcej niż wy, wierzcie mi! Nie złapaliście mnie nigdy na szkodzie w waszych ogrodach, nieprawdaż?

Chłopi zakrzyknęli chórem:

— Ta szo pani każut!! Kto ce czuł, szob pany po czużych horodach łazyły?!

— Widzicie! Mam więc nadzieję, że i wasze chłopaki przestaną gospodarować w moich truskawkach. Co?! Jak myślicie, Andrijiwskij?... Dzięki Bogu, my już wszyscy równi!

Niepohamowany śmiech buchnął ze wszystkich piersi, a zmieszany Andrijiwskij skrzywił się z niezadowoleniem i poskrobał za uchem:

— Czy wże pani sprawdi budut żałowaty jidnu jahodu detynie?...

. . . .

Chłop ukraiński był z natury swej konserwatystą i zwolennikiem własności. Podstawowe zasady jego światopoglądu

były również nieskomplikowane: «Nechaj bude, jak buwało! Bat'ki persze tak robyły! Ne rusz czużoho!!» — Wśród tego przewijała się niewzruszona pewność, iż pod względem powiększania drobnych obszarów posiadanej ziemi tylko «synia bumażka» jest należytą gwarancją. (Kontrakty sprzedaży-kupna sporządzano u nas na ciemno-niebieskim papierze — stąd nazwa). Niezwykle zdolny i sprytny, pracowity, gdy tego zachodziła potrzeba, — leniwy, gdy mu nie brakło niczego, trzymany z umysłu w ciemnocie i pijaństwie, lud ten podobnym był do sennej a głębokiej wody, niosącej biernie to, co rzucano na jej powierzchnię, a jednocześnie mogącej, wskutek potworzonych wirów, runąć z niszczycielstwem rozszalałego żywiołu na umocnione brzegi, wyrwać wiekowe tamy i zmieść wszystko, coby stawiało jakikolwiek opór.

Na tej to krańcowości w nastroju ciemnych tłumów wywrotowcy oddawna już budowali swą pewność wywołania w stosownej chwili rewolucji i obalenia dynastji Romanowych. Rząd carski, jako obronę przeciw podziemnym knowaniom, wybrał inny zgoła system, utrzymując włościańskie masy na Kresach w stanie niełaknącej niczego ciemnoty i wykopując zręcznie przy pomocy popów i nauczycieli wiejskich coraz to głębszą przepaść pomiędzy dworem a wsią. Powszechne, naprzykład, było po chatach mniemanie, iż polscy obszarnicy, «pany», nie chcieli zezwolić na zniesienie pańszczyzny, tylko car-batiuszka, Aleksander II-gi, wbrew ich woli, jako prawdziwy «Ojciec narodu» tem dobrodziejstwem poddanych swych obdarzył. Taki był pierwszy posiew nieufności wsi do dworu. Rozkrzewiało się to bujnie i czyniło wspólną pracę niezmiernie trudną. Wszelkie wysiłki dworów w sprawie uregulowania serwitutów natrafiały na nieprzezwyciężoną opozycję. Od czasu rozdziału gruntów

przy znoszeniu pańszczyzny wieś miała zawarowane prawo pasania bydła na «tłoce», czyli na polach skarbowych po zdjęciu z nich plonów. Nieliczne tylko majątki były odseparowane zupełnie od gruntów wiejskich. Za wyrzeczenie się prawa wypasu i możność przejścia z przestarzałej trzypolówki do postępowego płodozmianu dwory ofiarowywały nieraz gromadzie odpowiedni kawał pola na własność. — «Ne prystajem! Persze tak buło, nechaj ostajetsia! Pany szoś w tim majut!...»

Pozornie rząd carski dbał o oświatę ludu. W każdej wsi była szkółka elementarna — uczono w niej czytać i pisać po rosyjsku, czterech działań arytmetycznych i — dla zaokrąglenia kursu — staro-słowiańskiego języka. Instytucja to była zbutwiała i przenudna i wywoływała w dzieciach wstręt i opór przy zdobywaniu takiej wiedzy. Nauczanie nie było przymusowem — pozostali tedy chłopi przeważnie analfabetami. Jedyną rozrywką wiejską były uczty z tańcami, gęsto zakrapiane «monopolką». Wszystkie wsie ukraińskie składały tym sposobem dobrowolny, olbrzymi podatek, który, jak złotodajny potok, zasilał skarb państwa. Zamiast dążyć do większej kultury, wieś stawała często w ogniu gwałtownych letnich pożarów (z powodu słomianych strzech), nie dbała o uszlachetnienie drobnych koniąt i krów, lecz wśród hulaszczych śpiewów i okrzyków przepijała w niedziele i święta całotygodniowe zarobki.

Pod względem politycznym i społecznym pogrążyło się chłopstwo w mroki biernej obojętności; zato ekonomiczne uświadomienie wsi było najzupełniejsze. Ciężkie miewali chwile rozgorączkowani gospodarze, gdy rozległe plantacje nie przerwanych w porę buraków groziły «ściekaniem» żółkniejących, wątłych roślinek, a dziewczęta i chłopcy wiejscy, zamiast brać się do wytężonej pracy, baraszkowali w naj-

lepsze na stepku, pośrodku wsi, stawiając coraz to nowe wymagania. Ustawały wtedy względy sąsiedzkiej uprzejmości, — posyłano wozy na wsze strony po robotników, i na wiejskich wygonach odbywały się formalne licytacje. Dozorcy z różnych folwarków przekrzykiwali się wzajemnie:

— Czterdzieści kopiejek i muzyka!!

— Czterdzieści pięć i śledź na głowę!!

— Pięćdziesiąt!... Pięćdziesiąt!... Pięćdziesiąt!... Wieczorem odwieziemy wozami do domów!!

— Pięćdziesiąt i kieliszek wódki!! Słyszycie?!! Pięćdziesiąt!!

A dziewczęta szczerzyły zęby do parobków, udając, iż nie zwracają uwagi na rosnącą wciąż cenę. Wreszcie, gdy dociągnięto do postanowionego już w cichości wynagrodzenia za dniówkę: «Chodim, diwczata!!» — rzucali się wszyscy wesoło do przysłanych wozów, i śpiewając chórem pieśni, niestety przeważnie żołnierskie, jechali na robotę. Coś podobnego odbywało się w czasie żniw i przy jesiennem kopaniu buraków, a zawsze wieś postawiła na swojem w uzyskaniu cen i warunków. Etyka chłopska była dość fantastyczna. Wbrew wszelkim pisanym prawom własność dzieliła się na boską i pańską. Owoce w sadzie, drzewo w lesie, siano na toku, a nawet ziarno w otwartej stodole przy czyszczeniu i młynkowaniu zbóż, były boskie: «Boh urodył!», «Boh dał!»— «Ludy lisa (lasu) ne sadyły!» — «Ce wse w Bożich rukach!». Nie ukrywano wcale, iż z tego coś skubnąć, nieznacznie pociągnąć (chociażby «pryhorszcz» ziarna w dwojakach z przynoszonych dla robotników obiadów) nie było grzechem lub hańbą.

Zato dwór z wewnętrznem urządzeniem był nietykalny: rzeczy osobiste, ubrania, jakiś klejnocik, nawet małej wartości, a przedewszystkiem pieniądze — były bezsprzecznie

pańskie. Kto je przywłaszczał sobie pokryjomu, lub, dobierając się do nich, wyłamywał, Boże broń, zamki — tego cała wieś odsądzała od czci i wiary, zowiąc go z najwyższą pogardą: «złodijaką!» Toteż nie słychać było wcale o napadach, kradzieże (prócz tych rolnych) były rzadkością. Ukraińskim stepem jechało się równie bezpiecznie w nocy, jak w dzień. Nie spotykało się jeno wtedy żywej duszy. Droga szła niekiedy przez wieś milczącą i uśpioną po pracowitym dniu. Bieliły się chaty wśród rozrzuconych, wiśniowych sadów, — czasem, zrzadka, pies jakiś zaszczekał donośnie dla zadowolenia swego psiego sumienia, inne zawtórowały mu skwapliwie, jakby chcąc przekonać, że i one niegorsze. Krótko trwał ten improwizowany koncert, i znowu było cicho i sennie. Tylko bladawy księżyc przemykał się po sklepieniu, lub chmury zasnuwały pociemniałe niebo. Przy kołowrocie wiejskim stróż, opłacany przez całą gromadę, otwierał skrzypiącą i niską bramę:

— Sława Bohu! A szo wy tak po noczi?! Zdałeka pewno?

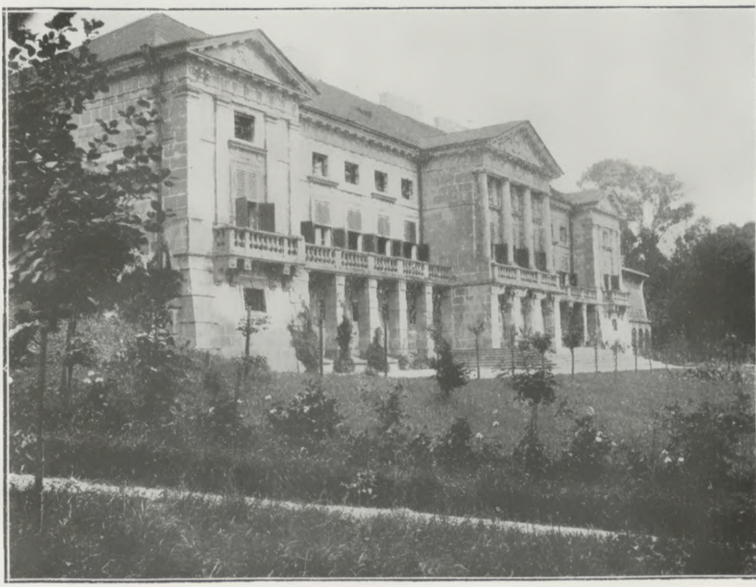
— Na wiki sława! Zdałeka, diduniu. Ostawajteś z Bohom!...

I znowu step leżał otworem, szeroki i gładki, — przecinał go jeno wężowy szlak drogi, ginący z oczu w jakiejś tajemnej głębi poza linją horyzontu. Bywały miejsca, gdzie szlaki stepowe krzyżowały się i rozbiegały w różne strony. Tam wznosił się zwykle krzyż z Męką Pańską, bo, wedle podań ludowych, djabeł lubiał wyprawiać swe harce na takich rozstajnych drogach. Tymczasem tylko wiatr stepowy hulał po nich, pędząc przed sobą kłębiącą się, szarą kurzawę, gdyż lata miewaliśmy często posuszne.

Zostawałam nieraz sama na gospodarstwie w Lemieszówce, i to długie tygodnie, gdy Kalikst wyjeżdżał na Po-



Przytulja. Siedziba słynnego ongi Duxa i Reduxa Ścibor-Marchockiego, ostatnio K. Dunin-Kozickiego.



Malejowce M. Orłowskiego.

Fot. Roman Podoski.



Cerkiew Obronna w Sutkowcach maj. Martyny z Grabianków Prawdzic-Zaleskiej.

dole, do Przytula, gdzie interesy wymagały jego obecności. Wielka wojna wyciągnęła szybko ze wszystkich dworów służbę męską, — zastąpiły ją dziewczęta. Niekiedy, wieczorem, obchodziłam przez ostrożność dom cały; — drzwi od bocznego ganku bywały często nawet niedomknięte. Fraucymer z klucznicą na czele chrapał już w najlepsze w swoich paru pokojach. Nazajutrz robiłam wymówki:

— Co za nieuwaga! Same przecież jesteśmy!

— Proszę pani, doprawdy niema się czego bać! Złodziei we wsi nie znaleźć ze świecą, a obcego psy nie dopuszczą.

Licznie rozsiane w Kijowszczyźnie fabryki cukru i znaczne obszary plantacyj buraczanych były podstawą ogólnego, wzmożonego dobrobytu, zatrudniając ludność wiejską prawie rok cały w przerwach pomiędzy zwykłemi, rolnemi pracami, dając możność zarobkowania nawet w późnej jesieni przy zwożeniu wykopanych już na polach buraków dla fabryk. W zimie produkcja cukru i odstawianie go worami do stacyj kolejowych zatrudniały część wsi, wzbogacając zwłaszcza gospodarzy, posiadających mocniejsze konie i wozy. Toteż gdyby oświata wywołała większe potrzeby, inaczej wyglądałaby wieś ukraińska. Stać ją było na porządne, wysokie chaty pod ogniotrwałą dachówką, na rosłe konie i bydło, — lecz wszechmocna «horiłka» paliła gardło i na marne wyciągała z kieszeni zapracowane «hroszi».

Nad wszystkiem jednak górowała w gromadach wiejskich żądza ziemi. Z żalem i buntem patrzyli nieraz chłopi na rozległe i starannie uprawne dworskie łany, porównywując je z wąskiemi skrawkami swoich nadziałów, malejących z roku na rok wobec przyrostu ludności. Może w tym braku równowagi, w tym jaskrawym przeskoku od latyfundjów, obejmujących kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy dzie-

sięcin, do wąskich smug żyta lub kartofli, stanowiących własność chłopskiej zagrody, leżała przyczyna zła, gdyż zarobków i pieniędzy mieli chłopi dość, i bogate Kresy nie odczuwały nigdy wskutek nieurodzajów takiej biedy, jak centralne gubernje Rosji.

. . . .

O całokształcie spraw państwowych i o ich przebiegu w Petrogradzie, gdzie zbiegały się nici wewnętrznego ustroju całego dawniejszego imperjum rosyjskiego, wiedzieliśmy dokładnie z dzienników i ustnych relacyj. W pierwszych chwilach po abdykacji cesarza nieoświecone tłumy znalazły się oko w oko z faktem niesłychanej doniosłości, nasuwającym jednak myśl, iż teraz wszystko jest możliwe, skoro zrzucenie z tronu cara-samodzierżcy poszło z taką łatwością. Sfery inteligentne rosyjskie, które właściwie cały przewrót wywołały, po tak nagłym przeskoku od ucisku do wolności wydały z ducha swego zapał i szlachetność, tłumione przez lat wiele, spotęgowane dziś radosnem uniesieniem zwycięzców-marzycieli, nie umiejących pogodzić wymogów państwowości z abstrakcyjnem pięknem wykołysanych teoryj. Szał nierozważnej szlachetności ogarnął nietylko duchowych przywódców narodu, zasiadających w Dumie państwowej, lecz i przedstawiciela dynastji, wielkiego księcia Michała, odmawiającego wręcz przyjęcia korony Monomacha, jako spadku po samodzierżawnym bracie, i oddającego przyszłość Rosji i decyzję o jej ustroju w ręce całego narodu. Z tą chwilą powstał gwałtowny, choć pozornie niedostrzegalny zwrot w stronę zamętu i rewolucji. Spieniona rzeka wolności toczyła swe wody coraz niesforniej, spiętrzone fale niosły na ruchomych grzbietach belki i wiązadła dawnego, znienawi-

dzonego *regime*. Waliła się stara Rosja, a na jej miejsce nie zakładano nowych fundamentów, nie myślano o wznoszeniu doskonalszej budowli, zapominając, iż niema w naturze próżni, iż wchłonąć ona musi z żywiołową mocą ze swego otoczenia to, co się najbliżej nasunie. Nad zwalonym tronem Romanowych unosił się nieuchwytny płomień władzy. Jak nowi Prometeusze, wyciągały doń ręce wszystkie partje. Tylko po ramionach tłumów można było się dostać na te zawrotne wyżyny. Schlebiano tedy ciemnym masom, wmawiając w nie, iż jedynym celem każdego z osobna partyjnego programu, czyli tak zwanej «platformy», było ziszczenie ich pragnień, uszczęśliwienie ich, hojne zadośćuczynienie po tylu latach karlego żywota. Socjal-rewolucjoniści, socjal-demokraci, mienszewicy i bolszewicy zakreślali coraz to obszerniejsze koła w żądaniach reform społecznych. Umiarkowane i liberalne stronnictwa musiały podążać za nimi, zachowując jednak więcej równowagi w tej karkołomnej zmianie przywilejów jednych warstw ludności na korzyść innych. W kraju przeważnie rolnym kwestja ziemi stała się dla przywódców partyjnych tem, czem czerwona płachta w ręku zwinnego toreadora. Podjudzano słowiańskiego tura, co obudzony z kilkuwiekowego letargu, nadsłuchiwał czujnie odgłosów toczącej się o niego walki, mierząc własne siły. Wielkie czasy wymagały wielkich ludzi, którzy ująwszy żelazną ręką ster nawy, zerwanej z kotwicy caryzmu, potrafiliby przeprowadzić ją przez najeżone rafy anarchji i niemniej groźne mielizny ciemnoty na pełne morze potęgi państwa i rozkwitu narodu.

Rząd Tymczasowy nie dorósł do tego zadania. Złożony z elity inteligentnej Rosji, przedstawiał on niewątpliwie zespół ludzi dobrej woli, światłych, gorących patrjotów, ale ci działacze społeczni, przywódcy opozycji przeciwko zgniliźnie i upartej ciasnocie pojęć dogasającego samodzier-

żawja, znakomici i cenni jako współpracownicy, nie umieli być władcami w imperatywnem i bezwzględnem tego słowa znaczeniu. Przytem trudność ich położenia była i w tem, iż Rząd Tymczasowy, spadkobierca tyrana, strzegł się najlżejszego nawet posądzenia o despotyzm i stosowanie dawnych metod caratu. Gdy kotłująca, podziemna agitacja wywrotowców wyrzuciła na powierzchnię Radę delegatów robotniczych i żołnierskich, jeszcze przed skonsolidowaniem się właściwego rządu, nie rozpędzono tych samozwańców, w przekonaniu, iż teraz każdy ma prawo wypowiadać swe zdanie, współdziałać w tworzeniu nowej epoki, a w ostatecznym i bezsprzecznym wyniku ideowej walki zwycięży — jedynie dobro narodu.

Z tą chwilą powstały dwa rządy: jeden uznany przez Europę, drugi — przez obudzony z uśpienia motłoch. Słynny rozkaz Nr. 1, rzucony jak płonąca żagiew w sołdackie mrowie przez Radę delegatów robotniczych i żołnierskich, zelektryzował umiarkowane żywioły. Rozkaz ten znosił wszelkie oznaki zewnętrzne dyscypliny i subordynacji w wojsku, zezwalając natomiast na «rady żołnierskie», kontrolujące czynności oficerów i rozporządzenia dowództwa. Rząd Tymczasowy z właściwym sobie dobrotliwym liberalizmem nie zaprotestował przeciw tej szaleńczej «reorganizacji» armji, lecz ze swej strony uzupełnił ją, znosząc karę śmierci, pomimo dalszego prowadzenia wojny. Wcielono przytem do szeregów czynnych tak zwanych «dieńszczyków» (ordynansów), motywując postanowienie tem, iż «nowobraniec» opuszcza dom swój i obowiązki rodzinne nie dla kilkuletniej wygody dowódców, lecz dla dobra kraju. Żołnierz rosyjski, trzymany do rewolucji w żelaznych karbach rygoru, nie znał pijaństwa ani kradzieży. Porządnie ubrany, dobrze odżywiany (pół funta mięsa, trzy funty chleba dziennie na głowę), czysty,

z ostrzyżoną krótko czupryną, odporny na chłód i niewygody wojenne, — żołnierz ten tworzył karną i wytrzymałą armję i miał mir u ludności. Wzbudzał zaufanie, umiał stać się obrońcą w potrzebie, jak najtroskliwsza niańka kołysał i zabawiał powierzoną swej opiece oficerską dziatwę. Ciemnota i agitacja — dwie groźne siły, wzajem się dopełniające, zmieniły w krótkim stosunkowo czasie tego dobrodusznego, potulnego «sołdatika» w rozpasanego «towariszcza», a następnie stoczyły go na niziny zbydlęconego już krasnoarmiejca.

«Towariszcz» — słowo i pojęcie ukute w socjalistycznej kuźni, braterskie i szlachetne — zaszczepione po abdykacji cara w szeregi armji, w tłumy robotników i proletarjatu, stało się rychło synonimem zniszczenia i zbrodni. Urodzony w mrokach ciemnoty i niewoli, karmiony aż do przesytu skrajnemi teorjami wywrotowców, uwolniony przedwcześnie od wszelkiej odpowiedzialności za własne czyny przez zniesienie kary śmierci i dyscypliny wojennej — «towariszcz» oślepł od słońca wolności. Wyżarło mu ono wzrok, zdolny jedynie odróżnić Dobro od Zła, wypaliło sumienie i tradycyjnie przejęte zasady wiary. Upojeni poczuciem siły, rozzuchwaleni bezkarnością, podniecani występną agitacją, «towariszczi» runęli jak wicher zagłady na wszystko, co było choć nieco wyższem od ich ciemnych dusz, przepełnionych już teraz pierwotnemi instynktami zazdrości, nienawiści i chęci zemsty.

Pierwsi to «towariszczi» z rozkładającej się armji rosyjskiej targnęli glinianym kolosem Rosji i zadecydowali o jego upadku.

Równorzędnie z «reorganizacją» armji szła absolutna swoboda, a raczej swawola prasy. Zniesiono naturalnie znienawidzoną cenzurę, wprowadzając natomiast bezwzględną wolność zgromadzeń i słowa. Tym wywalczonym przywile-

jem posługiwała się prasa lewicowa, podejmując kampanję przeciw dalszemu prowadzeniu wojny: «Wojna — wojnie»! «Pokój bez aneksyj i kontrybucyj!» — a następnie waląc jak taranem we wszystkie zamierzenia Rządu Tymczasowego i programy umiarkowauych partyj. Ks. Lwow, prezydent ministrów i minister spraw wewnętrznych, dawny «ziemiec» (działacz społeczny w szczupłym zakresie samorządu ziemskiego), wydał walkę znienawidzonemu przez siebie ustrojowi administracyjnemu carskiej Rosji, lekką ręką przekreślając wszystkie odnośne organa wykonawcze.

Władzę złożył natomiast w ręce komitetów, do których powołał przedstawicieli instytucyj społecznych. Sypnęli się nowo-upieczeni «działacze» z przeróżnych kół i warstw ludności, upatrując w otwierającej się przed nimi działalności podatny grunt dla wykorzystania partyjnych lub egoistycznych interesów. Potworzyły się decentralizacyjne wiry sprzecznych poglądów, zamiarów, potrzeb, spraw w każdej danej miejscowości, zwiększając zamęt ogólny. Skorzystali skwapliwie z możności wpływu na nowe metody rządzenia żydzi, wstępujący licznie do tworzących się komitetów. Dopuszczano ich chętnie do głosu, chlubiąc się tem, iż «łagodna rewolucja» dała pogardzanej i wyrzuconej poprzednio za nawias społeczności żydowskiej prawa obywatelskiej równości. Rwano dalej wszystkie pęta, nie pamiętając, iż bezwzględna wolność musi sprowadzić w fatalnym wyniku — bezwzględną anarchję. Już z obozu patrjotycznych monarchistów, zachowujących jako tako równowagę wśród wolnościowego szału, padł głos ostrzegawczy:

— Co czynicie?! Na Boga! Rosja zaczyna zmieniać się w jakiś powszechny dom obłąkanych!

— Zdrajcy! Wrogowie rewolucji! Chcecie nam sprowadzić reakcję na wolne głowy?!! Czarna sotnia! Bądźcie

potępieni na wieki w pamięci oswobodzonej Rosji, zmagającej się z pozostałościami katorżnego *regime*! — zawyli jak huragan wywrotowcy, mający jasno określony cel w absolutnem wytępieniu zmysłu państwowego.

Ten szał burzenia wszystkiego, co tylko przypominało dawny, państwowy ustrój, przedarł się z rządzącego Piotrogrodu do cichego Lemieszowa i zabłysnął w niezwykłym wniosku rewolucyjnie nastrojonej części jego mieszkańców:

«Batiuszku skinuty! Zemlu cerkownu zabraty na pasowyśko dla hromadźkoj chudoby! A w cerkwi postawyty hramofon! Nechaj hraje i śpiwaje, wińczaje i chrestyt! Bude skoriszcze i deszewsze, jak z popom!»

Wniosek ten został wprost zakrzyczany przez większość rozsądnych gospodarzy, którzy się zeszli na powtarzający się teraz częściej, niż dawniej, «schod» wiejski.

Nasuwały się mnogie sprawy, wszystkie palące, wszystkie pierwszorzędnej wagi. Jedna z wielu, reforma agrarna' mądrze obmyślana, szybko uskuteczniona, zahamowałaby może burzycielski rozpęd. Lecz tu właśnie brakło natychmiastowej decyzji. W oczach całej wyczekującej Rosji wszystkie partje żonglowały tą upragnioną «zemelką», niby zręczni sztukmistrze, utrzymujący ognistą kulę na ostrzach wzniesionych szpad. Paląca ta kwestja groziła wymknięciem się lada chwila z wybujałych, lewicowych programów, i mocą faktów i samowoli chłopskiej mogła wejść w życie i stać się rzeczywistością. Rząd Tymczasowy odkładał rozwikłanie tego węzła najgłębszych pożądań włościańskich mas aż do zwołania Konstytuanty. Liberalni lecz praworządni powracali do słynnego memorjału Stołypina w kwestji rolnej: rozparcelować olbrzymie dobra państwowe i klasztorne, wykupić część latyfundjów, i osadziwszy na nich małorolnych, stworzyć z nich klasę drobnych posiadaczy, z natury rzeczy konser-

watywną, wierną rządowi, wrogą wszelkim przewrotom. Było to jasne i nieskomplikowane, możliwe do urzeczywistnienia bez naruszenia kultury dóbr prywatnych, a ku zadowoleniu najliczniejszych w Rosji warstw włościańskich. Program ten we właściwym czasie uskuteczniony, zadałby cios rewolucyjnej, ukrytej agitacji, położyłby niejako tamę dążeniom żydów (od wielu lat uczestników podziemnego ruchu wolnościowego i zamachów na carów), pragnących przez obalenie caratu dojść do równouprawnienia, wpływów i objęcia wyższych stanowisk. Bagrow wiedział też dobrze, co czyni, gdy na przedstawieniu w teatrze kijowskim śmiertelnym wystrzałem powalił przenikliwego ministra. Myśl Stołypina umarła z nim razem, — zapomniano o niebezpieczeństwie, grożącem ze strony rozagitowanego włościaństwa, przed którem nieudana «mała rewolucja» roku 1905 aż nadto jaskrawo ostrzegała. Teraz, gdy minęła chwila możności wprowadzenia w życie najszerzej pojętych reform socjalnych, poglądy umiarkowane wyszły z obiegu, niby fałszywa moneta, — co gorsza, były one niepopularne, a zatem bezsilne. Komunizm i anarchja — postulaty najskrajniejszych partyj lewicowego skrzydła — zaczynały powoli przesączać się do ciemnych dusz wyczekującego motłochu. W tych warunkach Rząd Tymczasowy opierał się nie na masach ludności, lecz na jej względnie nielicznych, oświeconych warstwach; mógł być silnym, stosując dawny absolutyzm, ale tego strzegł się, jak ognia. Tworzyło się jakieś niepokojące, błędne koło, z którego wyjście stawało się coraz trudniejszem. Pomimo to, żyliśmy dalej w owem niezwykłem «podnieceniu wolnościowem», wierząc święcie, iż Duch Rosji, ten, co kierował na początku bezkrwawą rewolucją, potrafi również bez krwi rozlewu zatryumfować nad pomrukującą już gdzieś z oddali anarchją.



Orka na Ukrainie.

Fot. K. Dunin-Borkowski.



Siejba na Ukrainie.

Fot. Roman Podoski.



Stawianie sterty na Ukrainie.

Spotykało się niekiedy pesymistów, przepowiadających zgoła inne wyniki, lecz tym nie wierzono; unikano dysput, psujących niepotrzebnie ufność nastroju. Kiedyś, w owych czasach, zebraliśmy się dość licznie w Kijowie, w domu krewnych naszych, Wacławów Giżyckich. Blask nowej epoki, wynurzającej się z otchłani wieków na naszym bliskim horyzoncie, i przebieg rewolucji rosyjskiej przyćmiły chwilowo doniosłość wypadków wojennych na froncie anglo-francuskim. Pomimo to jednak mówiliśmy o całokształcie światowych zwrotów. Wacław złożył gazetę, z której odczytał nam przed chwilą jakąś płomienną mowę lewicowców przeciw «kadetom», jako wstecznikom i zwolennikom reakcji, i rzekł z przekonaniem:

— Z tych ogólnych powikłań dwa ostateczne wyniki są według mnie nieuniknione. *Primo:* Niemcy, pomimo najzupełniej udatnej destrukcji armji rosyjskiej i podsycanego przez nich zamętu rewolucyjnego, wojnę przegrają i będą zmuszeni oddać flotę Anglji. — *Secundo:* wodze już się wymknęły z rąk umiarkowanych kierowników Rządu Tymczasowego. Rozhukane konie niosą losy Rosji i nas wszystkich ku przepaści. Niedługo już czekać będziemy na wybuch istotnej rewolucji, której szał i okrucieństwo przewyższy wszystko, co znamy dotychczas z historji. Potomni wzdrygać się kiedyś będą przy opisach bestjalskich czynów, dokonywanych przez rozagitowane, ciemne tłumy. Przy pierwszej możności pakuję rzeczy, zabieram rodzinę i wyjeżdżam do Warszawy. Jeśli nie pójdziecie za moim przykładem, doznacie zczasem wrażeń nielada!

Zakrzyczeliśmy go chórem:

— Co za przypuszczenia?! Niemcy mogą przegrać, na to zgoda, ale nigdy do tego stopnia, żeby pozbyć się floty, tej źrenicy oka! — Albo te krwawe potworności, które prze-

widujesz w Rosji?! Skądże znowu! Jesteś pesymistą, lubującym się w ultra czarnościach. Lewicowe partje walczą o udział w rządzie. Zadowolono ich żądania, dając Kiereńskiemu portfel ministra wojny. Może jeszcze trzeba będzie zrezygnować z paru tek ministerjalnych na korzyść socjalistów, a potem doprowadzą już wspólnemi siłami do zwołania Konstytuanty.

— Stawiam w zakład stare miody, przechowywane z szacunkiem w piwniczce lemieszowskiej, że wszystkie te ponure horoskopy pozostaną tylko w sferze fantazji! — rzekłam z zapałem.

Wacław się zaśmiał:

— Przyjmuję, i gratis dodam szczerą radę: Chowajcie tam skrzętnie te stare miody, aby przypadkiem inne gardła niemi się nie uraczyły, niż wasze lub moje!

— *Pax!* — rzucił ktoś z boku. — Czas wszystkich przekona, a tymczasem wierzmy w zwycięstwo dobrej sprawy!

ŻYCIE NA KRESACH ZA CARATU I PO PRZEWROCIE.

Jednem z wybitniejszych «zawojowań rewolucji», jak jo powszechnie zwano, była zupełna wolność wyznań i zrównanie w prawach wszystkich bez wyjątku obywateli (już nie poddanych!) swobodnej Rosji. Runęły na Kresach prawa wyjątkowe, krępujące Polaków. Po roku 63-cim wyznaczono za karę «miatieżnikam» kontrybucję pieniężną, zakazano nabywać ziemię na własność w trzech zabranych prowincjach (Wołyń, Ukraina, Podole). Łatwy i tani kredyt w Banku Szlacheckim był przywilejem tylko Rosjan. Padło na Kresy hasło: «obrusit'», zadając cios dążnościom narodowym za-

równo polskim, jak małoruskim. Z Polaków zrobiono oficjalnie «inorodców polskiego pochodzenia», — rdzennych Małorusów nie uznawano nawet jako odrębnego szczepu. Bogate ziemie kresowe miały być śpichlerzem głodującej niekiedy Rosji środkowej, złączone z nią najściślej, jako kraj «iskoni (od wieków) rosyjski». Tak uczono dziatwę w szkołach, posługując się fabrykatami osławionego historyka Iłowajskiego. Nie odczuwaliśmy jednak na Kresach tak jaskrawych, polakożerczych zapędów, jak uciemiężone pod tym względem «Priwislinje» (Kongresówka), a zachowanie się administracji rosyjskiej i urzędników było zupełnie poprawne. Tylko nakazany z góry system zachłannego «obrusienia» czynił utrzymanie polskich majątków i ducha polskości nieraz nad wyraz trudnem. Sprzedany obszar ziemi uchodził na zawsze z rąk polskich — stąd wzmożone przywiązanie do gniazd rodzinnych, do pól i lasów, do starych siedzib, które tak się w uczuciu splatały z losami właścicieli, że dwór na Kresach i rodzina, od lat wielu go zamieszkująca, tworzyły jedną, nierozerwalną całość. Nie znaliśmy wcale kupczenia ziemią, — kochaliśmy ją jeno jak coś niewyobrażalnie cennego i nie dającego się niczem zastąpić. Przeważnie fortuny kresowe były znaczne i żyło się tu dostatnio, lecz przychodziły jednak niekiedy złe lata, żywiołowe klęski, nieurodzaje, dławiły czasem ciężary zostawione przez poprzednie pokolenia — dobijały lichwiarskie procenta od zaciąganych u żydów pożyczek, albowiem brak był zupełny łatwego i taniego kredytu dla polskich «poddanych«. Po długich i bohaterskich wysiłkach i walce nad siły przychodziła niekiedy sprzedaż przymusowa, a siedząc na tej ziemi całemi pokoleniami, wrośliśmy w nią tak, że sprzedaż ojcowizny była nietylko ciosem materjalnym, lecz dramatem rodzinnym. Z biegiem lat, powoli lecz nieubłaganie, malała ilość pol-

skich majątków. Od czasu do czasu, jak żołnierz śmiertelnie raniony, ubywał któryś z szeregów. Ten — został skonfiskowany przez rząd jeszcze za udział właściciela w powstaniu, tamten — rozparcelowany za długi przez Bank państwowy, ów — nabyty przez «czynownika» z Piotrogrodu. Staruszkowie nasi, wywołując w opowiadaniach czar i blask minionej młodości, wzdychali nieraz z żalem:

— Ach! inaczej, inaczej tu ongi bywało! Zjeżdżaliśmy się często — sąsiedztwa były bliskie, nie tak jak teraz wśród przerzedzonych polskich obszarów, nie sadzono się na wystawne przyjęcia! Gościnność była prosta, niewymuszona, a z serca płynąca, sercem przyjęta! Hej, mocny Boże! Gdzież są ci Sarneccy, Moszczeńscy, Piątkowscy, Kuleszowie, Żołyńscy, Kaszowscy, Iwaszkiewicze...

Dokądże poszli i gdzie pomarli dawni właściciele Polacy, posiadający ongi Koszłany, Żadany, Kalnik, Kamienohórkę, Buzówkę, Lińce, Maryjkę, Sorokotiahę, Łohwin... Opustoszały ich dwory! Tynk wali się miejscami z poczerniałych murów... ogród zarasta w dzikim nieładzie... Albo też obcy przybysze rozpanoszyli się w polskich prastarych gniazdach! Schłopieli potomkowie dawnych właścicieli! Przechowują kędyś na dnie okutej skrzyni stare rodzinne nadania, nie zdając sobie nawet sprawy, czem byli ich dziadowie. Hej, wielki Boże, do czegożeśmy dożyli!...

Głos łamał się w piersi... łza spłynęła nieraz po twarzy życiem zoranej, a my młodzi, dzieląc ich ból i uniesienie, składaliśmy w duchu mocne postanowienie:

— My się nie damy!!

W ostatnich latach tworzyły się kilkakrotnie akcje ratunkowe ziemiańskie, zapobiegające przechodzeniu naszej ziemi w obce ręce. Częstszemi jednak były ciche bohaterstwa: oddawano zagrożony majątek w długoletnią dzierżawę,

celem spłacenia długów tenutą. Właściciele szli w świat na posady, lub też, wymawiając dla siebie dwór i ogród, zostawali na miejscu, ograniczając swe potrzeby do minimum. Trwali tak lat wiele, prowadząc dobrowolnie twarde życie ubogiej szlachty na zagrodzie, wyrzekając się dawnych przyzwyczajeń, aż wreszcie przychodziła upragniona chwila tryumfu i wyzwolenia.

O wiele trudniej przedstawiała się sprawa wychowania młodzieży. Jedynie rosyjskie szkoły posiadały prawo publiczności — językiem urzędowym był rosyjski, — ze względu tedy na byt i możność zarobkowania ogół młodzieży męskiej kształcił się w gimnazjach państwowych. Dość już było pracy nad przyswojeniem nauk szkolnych, a konieczność doskonałego opanowania obcego języka czyniła jeszcze tę pracę stokroć mozolniejszą. Dla studjów nad polszczyzną absolutnie brakowało czasu; tylko najzamożniejsi mogli pozwolić sobie na kształcenie synów w szkołach polskich po tamtej stronie kordonu. Częstym był, niestety, smutny wynik przymusowego «obrusienia» — oto młodzież nasza kresowa, czująca prawdziwie po polsku, pisała prawidłowiej w języku urzędowym, niż w macierzystym. Ducha polskości, doskonałą znajomość języka, dziejów narodowych i literatury naszej przechowały kobiety kresowe. Nie potrzebując z natury rzeczy dążyć tak uporczywie do uzyskania dyplomów ze szkół państwowych, dziewczęta kształciły się w znacznej mierze w dawnej Galicji, gdzie szkolnictwo polskie stało wysoko, lub też pobierały wykształcenie domowe. W każdym razie całokształt ich wiadomości był szczerze polski, i to w szerokim zakresie. One to stanęły na straży «narodowego pamiątek kościoła«; one to zczasem, jako matki rodzin, wpajały w dziatwę poczucie dawnej wielkości i konieczności dzisiejszej zawziętej walki o polskość duszy, one

były łącznikiem pomiędzy tą ziemią kresową, odciętą od macierzy słupami z dwugłowym cesarskim orłem, a tamtą przeszłością, pełną chwały i blasku, i ofiar i zmagań się nadmiernych ambicyj, złożoną teraz w nieznanych wielu z nas podziemiach Wawelu. Po przegraniu wojny z Japonją i zlikwidowaniu małej rewolucji roku 1905, stosowany do nas system złagodniał nieco. Pozwolono Polakom nabywać ziemię na Kresach w zakresie polskiego, dotychczasowego posiadania, co ułatwiało niezmiernie dalsze wysiłki o utrzymanie własności ziemskiej, dając możność zaciągania hipotecznych pożyczek. W chwilowem uniesieniu wspaniałomyślności rząd carski zezwolił mniej więcej w owym czasie na utworzenie Macierzy Szkolnej polskiej (której prezesem został Karol Wilkoszewski), wprędce jednak łaskę tę cofnięto. Znacznie przed epoką wolnościową, znacznie nawet przed rokiem 1905, praca konspiracyjna szkolna funkcjonowała w Kijowie, rozbita na dwa obozy: jako oświata narodowa i oświata ludowa. Ta ostatnia miała pewne zacięcie socjalistyczne, a obie przynosiły wiele pożytku i były prawdziwie polskie. Tajne szkolnictwo, pod przewodnictwem Józefata Andrzejowskiego i tak zw. «babci» Ułaszynowej, mając licznych współpracowników i współpracowniczki, szerzyło się w Kijowie i poza Kijowem. Zbierano po wsiach dzieci schłopiałej szlachty polskiej, oficjalistów, urzędników w różnych stronach Kresów, ucząc je po dworach. W roku 1900 pani Janina Przecławska z Lubczy założyła pierwszą w naszej okolicy szkołę polską dla dziewcząt w Stawiszczach Branickich, pod nazwą «szwalni», a w parę lat później takąż szkołę dla chłopców pod firmą «stolarni». Na utrzymanie tych dwóch szkół szły dobrowolne podatki od obywatelstwa okolicznego. Po 1905 r., gdy nastały czasy bardziej wolnościowe i można było nieco śmielej szerzyć oświatę polską,

powstały nowe szkoły, także pod kierownictwem p. Przecławskiej, w Szczerbakach, Horodyszczach, w Czupyrze. W Pustowarni zaś p. Seweryn Zaleski działał równie energicznie w tym kierunku. Stawiska szkoła dzięki prystawowi przetrwała lat 10, — w Wołodarce 5, a inne zostały zamknięte po paruletniej pracy. Jak silną była w kresowcach świadomość ich roli dziejowej, jak płomiennie gorzała miłość do wszystkiego, co polskie, pod zewnętrzną powłoką ściśle ekonomicznych interesów, okazało się z przekonywującą mocą czynów w pierwszych wolnościowych chwilach po przewrocie marcowym. «Rada okręgowa polskich stowarzyszeń pomocy ofiarom wojny», organizacja społeczna rekrutująca się z najdzielniejszych jednostek, rozpoczęła żywą agitację w celu zebrania wielkiego wiecu, na który zjechali wszyscy nieledwie mieszkańcy Kresów ze stron różnych. Na wiecu tym ukonstytuował się Komitet Wykonawczy z Joachimem Bartoszewiczem na czele. Komitet ów miał na celu skupienie Polaków na Rusi i nadanie im jednolitego kierunku, a promieniując na wszystkie prowincjonalne miasta, miasteczka i dwory, stworzył komisarjaty powiatowe i gminne, których przewodnią myślą było zakładanie szkół i szkółek polskich. Praca ta objęła Wołyń, Podole i Ukrainę, łącząc Polaków kresowych jednym celem — zespolenia się z przyszłą Polską. Zaledwie spadły nałożone przez carat pęta, ludzie kresowi ukazali swe prawdziwe oblicza — nie obszarników, «buraczarzy», robigroszów (jak nam często zarzucano), lecz prawych Polaków, wiernych synów dalekiej, a zawsze ukochanej Matki! Powstało tedy w kraju naszym[1] 1200 szkół polskich z 80.000 uczniów i 1.800 nauczycieli, potworzyły się instytucje oświatowe i kulturalne, kolegjum uniwersy-

[1] Cyfry wzięte z pracy B. Kutyłowskiego p. t. *Szkice polityczne i sprawa ukraińska*.

teckie, Towarzystwo naukowe. — Kultura i oświata polska zajęły naczelne miejsce w naszem życiu narodowem i społecznem, a uświadomienie drobnej, schłopiałej i wynarodowionej szlachty polskiej, mieszkającej licznie po wsiach i miasteczkach, stało się wytyczną niezmordowanej, ogólnej pracy, zapaliło wszystkie serca i wszystkie umysły jednym płomieniem patrjotycznego zapału. Nie czekaliśmy pomocy Rządu Tymczasowego. Na jednym ze zjazdów w Kijowie postanowiono obłożyć się dobrowolnym podatkiem na rzecz szkół i oświaty: ziemianie po jednym rublu od dziesięciny, dzierżawcy po 50 kopiejek, pracownicy rolni, nie posiadający ziemi, ofiarowali procenta od pensyj, drobna, zagonowa szlachta miała dać również po 50 kopiejek od dziesięciny; prócz tego obowiązkiem komisarzy było zebranie «pogłównego», wynoszącego 30 kopiejek od każdego Polaka, bez względu na jego wiek, stanowisko i zamożność.

Komisarzem powiatowym taraszczańskiego powiatu został p. Kazimierz Przecławski z Lubczy, komisarzem zaś gminnym — mój mąż. Zadaniem jego było sporządzenie szczegółowego spisu ludności polskiej w całej gminie, z wymienieniem ilości posiadanej ziemi, i zebranie odpowiedniej do tego ilości dobrowolnych składek, a następnie zakładanie szkółek w tych miejscowościach gminy, gdzie liczba przypuszczalnych uczniów czyniła to niezbędnem. Praca to była mozolna, a gmina rozległa, — stanęłam tedy Kalikstowi do pomocy. Przedewszystkiem objechałam całą naszą drobną szlachtę w Lemieszówce i tu spotkałam się z dziwnym oporem i niechęcią: ci szaraczkowi szlachcice, ubrani w chłopskie siermięgi i świtki, mówiący w rodzinie «na codzień» po małorusku, posiadający często papiery sięgające najodleglejszych czasów, a w pamięci jakieś mgliste wspomnienie, że «dziadowie byli, panie, *panami*», a oni są już tylko «mu-

żykami» (chłopami), zachowali jednak mimowiednie większe wymagania estetyczne i kulturalne, niż chłop Rusin, nieodczuwający tego rodzaju potrzeb. Pobudowali ładne dworki, pozakładali doskonale prowadzone pasieki, chlubili się pięknemi drzewami owocowemi, ukwiecali jaskrawemi malwami i georginjami małe ogródki przed oknami, a posiadając 20—50-morgowe gospodarstwa, zachowywali zupełną niezależność, nie chodząc nigdy do dworu na dniówki. Znałam wielu z nich. Z jednymi łączyły mnie zamiłowania ogrodnicze, inni znów nabywali u nas chętnie rasowe cielęta i chlewnię na chów. Wogóle stosunek tych ludzi do dworu i odwrotnie był dotychczas prawdziwie życzliwy i przyjazny.

Zajechałam przed dworek któregoś z tej drobnej szlachty. Na widok dworskiego zaprzęgu dzieci, bawiące się na podwórzu, zniknęły w oka mgnieniu w sieni, zatrzaskując drzwi za sobą. Po chwili mała, dziesięcioletnia dziewczynina wysunęła ostrożnie rozczochraną główinę:

— Bat'ków nyma wdoma!

— Jakto niema?! Przecież to niedziela. Dokądże poszli?

Mała wyciągnęła tłustą łapkę:

— Ot tam, na pole!

Nie podejrzywając podstępu, pojechałam jeszcze do kilku dworków. Wszędzie podobny popłoch i nieokreślone odpowiedzi. Jedna ze szlachcianek karmiła kury na podwórku w chwili, gdy mój wolancik wjeżdżał do bramy. Ta nie miała już czasu na odwrót dyplomatyczny — stała tedy na miejscu, spoglądając na mnie nieufnie. Na moje zapytanie, ile mają dzieci, na oświadczenie, że chcielibyśmy w Lemieszówce szkółkę otworzyć, kobieta rzekła stanowczo:

— Nam ta szkółka niepotrzebna! Męża niema w domu, a bez męża ani słowa nie powiem! Nam dziwno, czego panowie tacy ciekawi na nasze dzieci! Coś w tem jest!

— Zawracaj i jedź do Michalewskiego — rzekłam szybko do Kornija, widząc, iż w tej nagłej podejrzliwości kryje się jakiś niezrozumiały dla mnie powód.

Stanęliśmy przed dworkiem Michalewskich. Wyskoczyłam z powoziku, zapukałam do drzwi, i nie oczekując odpowiedzi, weszłam do wnętrza:

— Niech będzie pochwalony! Rada jestem, że was przynajmniej zastaję w domu.

Oboje Michalewscy porwali się od stołu nieco zmieszani:

— Na wieki wieków! Prosimy pięknie, niech pani usiądzie.

Michalewska fartuchem ścierała pośpiesznie ławę:

— Czysto u nas przy niedzieli, bo tak na codzień dzieciska szwendają się wszędy i pobrudzą izbę, aż trudno domyć się w sobotę. Człowiek zaharowany cały boży tydzień, to i czasu niema za dzieciskami uganiać!

— Właśnie dlatego chcemy w Lemieszówce szkółkę otworzyć. Jak to będzie miło, gdy wasz Antoś w niedzielę przeczyta wam na głos gazetkę, albo ciekawą książkę. Nieprawdaż?

— Ta pewno... — bąknęła Michalewska nieśmiało, — tylko, że o tej tam szkole prawią...

— Ot, nie bajałabyś bajd, głupia! — zgromił ją mąż surowo.

— A dlaczego nie mam pani powiedzieć, co mam na końcu języka! — odfuknęła kobieta.

— Macie słuszność. Proszę was, powiedzcie mi szczerze, co was tak zaniepokoiło?

— A ot, chłopi dowiedzieli się o tej szkółce i ciągle nas tak straszą, ciągle w uszy nam kładą: Budete wizyty panam, poki wsich was ne perepyszut i pańszczyny po staromu nę ustanowląt! Na szo im znaty, kilko u was

ditej i kilko pola?! Ce diło nebezpeczne! Osteregajtysia ich!» — A ludzie, proszę pani, poprzelękali się i zmówili się pomiędzy sobą, że dzieci nie dadzą zapisać.

— Co za brednie!! Pańszczyzna tak do nas nie wróci, jak umarli z tamtego świata! Znamy się przecież nie od dzisiaj. Czyż możecie myśleć, chociażby przez chwilę, że pragnę waszej krzywdy?! My wszyscy po dworach pieniądze zbieramy na te szkółki, chcemy, aby wasze dzieci były mądre i dobre, a wy wierzycie chłopskim gadaniom bez sensu i podstawy! Wstydźcie się doprawdy!

— Ja im tak odrazu tłumaczyłem — rzekł Michalewski, uniewinniając się, — ale nie przekrzyczysz babskich języków, jak wiatru! Rozfurkotały się wszystkie, jak te kołowrotki w zimie. Aż my tylko uszy po sobie położyli: hodi, hodi! Niech ta bendzie po waszemu! Jak moje ne w ład — to ja swojim nazad!! Robit, szo znajete! — Ale zato teraz, kiedy my się z panią tak po bożemu rozmówili, ja pierwszy swoje dzieci zapisuję do tej szkoły, a inni, pro mene! Oni mają swój rozum, a ja swój!

— Dziękuję wam, Michalewski, że mi ufacie. Ale nie na tem koniec! Musicie i wy przyłożyć rękę do dobrej sprawy. Sąsiedzi wam wierzą — pojedziemy razem do innych dworków i pomożecie mi spisać wszystkie dzieci. Zobaczycie, jaka to będzie szkoła i jak nam wdzięczni potem będziecie!

— Niech ta już i tak bendzie! — odezwała się rezolutnie Michalewska. — Ale, gdyby to, Boże broń, na jaką krzywdę dla nas poszło, to wzywam panią przed sąd boży, że ja się temu broniła, a pani mnie namawiała!

— Zgoda! A co powiecie, gdy na sądzie ostatecznym ujrzycie mnie po prawicy Pana Boga za to, żem waszym dzieciom tyle dobrego przysporzyła?

Oboje Michalewscy zaśmiali się:

— Daj to Boże! Daj Boże!! My tego tylko i pragniemy. Całe życie za państwa modlić się bendziemy, jeżeli dzieciom z tej nauki rozumu przybendzie!!

Przykład Michalewskiego podziałał otrzeźwiająco na resztę sąsiadów, a i proboszcz w Wołodarce przyczynił się niemało do przełamania lodów, gdy po kazaniu niedzielnem wygłosił przemowę do zebranej w kościele szlachty, zachęcając do gromadnego wpisywania się do nowo powstających szkół elementarnych.

Lokal pod szkołę w Lemieszówce został wkrótce wynajęty. Wówczas Kalikst zaprosił do dworu na naradę wszystkich rodziców:

— Budynek szkolny mamy już zapewniony. Ucieszy was ta pomyślna wiadomość, — ale brak nam ławek i pulpitów. Deski kupię, stolarza zapłacę, a wy, jako ojcowie uczącej się dziatwy, przyczyńcie się również do powstania naszej szkoły. Macie sprzężaj — porozumiejcie się tedy między sobą, kto ma przywieźć deski, a kto pojedzie po gotowe ławki? Myślę, że wszyscy zechcecie dopomóc mi w miarę sił waszych?

— Ta pewno! Pewno! Dlaczegóżby nie?! Niech tylko pan naznaczą dzień, a my już zmówimy się, kto da furę.

— I opał do szkoły damy z miłą ochotą! Niech ta dzieckom ciepło bendzie!

— Doskonale. Poprowadzimy tedy szkołę naszą prawdziwie wspólnemi siłami, ponieważ nauczycielki ludowe zamieszkają przeważnie po dworach. Chcemy im życiem dostatniem i bez troski o utrzymanie codzienne umilić mozolną pracę nad kształceniem waszych pociech. W Lemieszówce również tak będzie, a i nauczycielkę zdobyłem dla was przemiłą, wesołą i przejętą gorącą chęcią uczynienia z dziatwy tutejszej dzielnych i zacnych Polaków.

— Niechta państwu Bóg i Matka Przenajświętsza sto razy to wszystko oddadzą!

— Słuchem to my słyszymy, a duchem nie wierzymy! Aż nam dziwno, skąd tyle dobrości się wzięło?! Że to panowie chcieli takie na siebie ciężary nałożyć?...

— Za to i Pan Bóg pobłogosławi! Więcej ma Pan Jezus, niż rozdał. Nie zmieści się ziarno w stodole, tak posypie się z pod maszyny!! Ot, sam pan się zdziwują!!

Z początkiem jesieni miała się rozpocząć nauka w dwóch szkołach, urządzonych w gminie naszej staraniem Kaliksta: w Lemieszówce i w Hałajkach p. Bronisława Burczak-Abramowicza, który ofiarował na ten cel odpowiedni lokal i opał w ciągu zimowych miesięcy. Pani Janina Przecławska, jako komisarz gminy krzywieckiej, pracowała nad zorganizowaniem szkół w Janiszówce, Lechaczysze i Ożohówce. Prócz tego w Lubczy była szkoła Komitetu Obywatelskiego dla dzieci wygnańców z Kongresówki, któremi zajmowano się równie gorąco. W Stawiszczach Braniccy urządzili ochronkę dla sierot, przywiezionych z Piaseczna w chwili cofania się wojsk rosyjskich pod naciskiem tryumfujących Niemców, biorących szturmem Warszawę.

Wogóle szkolnictwo polskie na Kresach w epoce wolnościowej było tak żywiołowym i potężnym objawem polskości ducha i umysłów kresowych mieszkańców, iż spory tom o niem napisaćby się dało. Tu wspominam o pracach naszych w tym kierunku, biorąc pod uwagę tylko najbliższe okolice. Z siły jednak tego niewielkiego promienia sądzić można o intensywności światła, które promieni podobnych wysłało na wsze strony bez liku!

«TOWARISZCZI».

W pierwszych dniach lipca wypadło mi pojechać do Odessy z powodu spraw osobistych. Już wtedy działy się niesłychane rzeczy na kolejach. Front topniał i rozpływał się, jak sól we wrzącej wodzie. Opowiadano dziwy o żołnierzach, którzy brali szturmem osobowe pociągi, wybijali szyby w oknach, by tem prędzej dostać się do wnętrza, wyrzucali podróżnych z opłaconych miejsc. Drzwi wagonów bywały stale zabarykadowane tłumem żołnierskim, a podróżnych pomysłowi «nosilszczyki» (tragarze) wrzucali i wyciągali, nieraz z okrutnym mozołem, poprostu przez okna. «Towariszczi» jechali tak hucznie «na otpusk». Nikt jednak nie odważyłby się zapytać ich o pisemne dowody tego gołosłownego twierdzenia. Dla skrócenia do minimum ryzykownej teraz podróży koleją przejechałam 65 wiorst końmi do Humnickich, i po wypoczynku dopiero następnego dnia wsiadłam o 5-tej po południu do pociągu w Chrystynówce, odległej od Baczkuryna o 25 wiorst. Stąd było najbliższe połączenie kolejowe z Odessą.

W przedziale jechała tylko siostra Czerwonego Krzyża, Rosjanka. Skórzana kurtka i plecak leżały w kącie na ławce. Władałam wprawnie językiem rosyjskim. Rodzice moi ucierpieli finansowo w 63-cim roku, ojciec zesłany był do Orenburga. Chociaż w kilkanaście lat później, gdy byłam małą dziewczynką, zdołali już odbudować zachwiany dobrobyt, lecz pozostało im doświadczenie po przeżytych, ciężkich przejściach. Postanowili tedy uzbroić mię do życia, dając, bez względu na swoją zamożność, fachowe, nauczycielskie wykształcenie i znajomość kilku obcych języków.

— Może siostra wraca z frontu na wypoczynek? — spytałam, gdy pociąg był już w ruchu.

— Zgadła pani — odparła uprzejmie. — Odwiedzam krewnych kolejno. Teraz wysiądę w Kubliczu.

— I co się dzieje w rzeczywistości na froncie? W obecnej chwili każda gazeta jest raczej sztandarem swojej partji i wedle tego ocenia wypadki wojenne. Trudno się w tem wszystkiem zorjentować. Czy jest przynajmniej nadzieja prędkiego zakończenia tej strasznej wojny?

Siostra westchnęła:

— Niektórzy twierdzą, iż grzechem jest szerzyć zwątpienie, a ja sądzę przeciwnie. Należy właśnie wołać: «Gore!», gdy dym już gryzie oczy. Nie poznaję, doprawdy, naszych szarych sołdatików... Rady żołnierskie, sankcjonowane przez rząd, są zgubą dla dyscypliny w armji i dla przyszłości Rosji. Wystarczy, żeby dowództwo wojskowe wydało rozkaz atakowania przeciwnika: Zamiast wykonania tegoż, zbiera się natychmiast rada żołnierskich delegatów na danym odcinku frontu i poddaje szczegółowej dyskusji otrzymany rozkaz. Najczęściej zapada uchwała, iż ofensywa nie jest wskazana, i armja siedzi dalej bezczynnie w okopach. Dezercja staje się masową i tak zaraźliwą jak trąd. Budzimy się z rana i widzimy przy rozdawaniu chleba daleko mniej żołnierzy wokoło siebie, niż wczoraj. Noc okrada armję. I tak jest codziennie...

Urwała. Znać było, iż bolał ją ten niesłychany rozkład w karnych dawniej szeregach.

— A ten brak subordynacji! — rzekła znowu z goryczą. — To zuchwalstwo na każdym kroku, przy lada okazji!! Oficerowie nasi to męczennicy prawdziwi. Niech Bóg zmiłuje się nad Rosją i nad nami!

Podróżnych w wagonie było niewielu. — Jechaliśmy bowiem w kierunku frontu. Około 1-szej w nocy stanęliśmy w Wapniarce. Tu trzeba było przesiąść do pociągu ode-

skiego. Z niewielkim kuferkiem w ręku zeskoczyłam ze stopni wagonu na peron i zatrzymałam się nagle, patrząc z niepokojem przed siebie. Rzęsiście oświetlony dworzec i peron zapełnione były tłumem hałaśliwych i rozhukanych żołnierzy. W poczekalni 1-szej klasy «towariszczi» rozpierali się przy stołach, nie dając przystępu nielicznym oficerom i podróżnym. Było to wprost nie do pojęcia wobec dawnych, surowych przepisów. Przecisnęłam się przez krzykliwe gromady, chcąc dojść do naczelnika stacji. Tu, do jego kancelarji, przepychali się jeden za drugim rozwścieczeni «towariszczi», wygrażając pięściami:

— Nie puścimy ze stacji pasażirskiego pociągu! Dość my już naprzepadali po tych przeklętych okopach!! Do domów chcemy!! Cywile niech czekają! Wojińskij pociąg przed wszystkiemi!

Wypadli znowu tłumnie na peron, wykrzykując zuchwałe pogróżki. Podałam naczelnikowi mój bilet:

— Proszę pana najuprzejmiej o pomoc w dalszej podróży. Mam bilet 1-szej klasy, lecz gotowa jestem jechać 3-cią, nawet w konduktorskim przedziale, byleby dostać się jakoś do Odessy.

Naczelnik chwycił się nagle oburącz za głowę i targnął rozpaczliwie bujną czupryną:

— Przeklęte to życie!! Tysiączna już pasażerka wtyka mi bilet pod nos i prosi o miejsce do Kijowa, do Odessy, do Humania... licho wie dokąd jeszcze!! Czy pani nie widzi sama, co się tu dzieje?! Niech pani towariszczej prosi o miejsce, a nie mnie!! Ja jestem naczelnik słomiany, malowany... a za dwie doby zwarjowany, jeśli takie bezhołowie dalej potrwa!... Co oni robią?! — wykrzyknął nagle, spojrzawszy przez okno: — Boh Ty moj!! Puszczają jeden pociąg za



Staw w Kniażej Krynicy J. hr. Krasickiego.

Fot. Roman Podoski



Stary budynek na rynku w Kniażej Krynicy.

Fot. Roman Podoski



Dwór w Skibińcach K. Rakowskich.



Stajnia w Skibińcach K. Rakowskich.

drugim!... Zderzenie! Katastrofa!!... — i wypadł, jak szalony, na peron.

Wyszłam za nim śpiesznie. Olbrzymi pociąg, złożony niemal wyłącznie z wagonów pierwszej i drugiej klasy (do trzeciej towariszczi mieli nieprzezwyciężony wstręt!), podjeżdżał właśnie do stacji. Dwie lokomotywy, sapiąc i buchając parą, ciągnęły go z łatwością. Na przodzie, przy palaczu, jechało kilku żołnierzy, wymachując czapkami zwycięsko. Rozpętane wrzaski buchnęły jak płomień z ust tryumfatorów. Szara masa szyneli oblepiła w mgnieniu oka cały pociąg. Bez namysłu wmieszałam się w ten tłum, który pociągnął mię za sobą przez szyny, podniósł po schodkach i wcisnął do wagonu drugiej klasy. Rzuciłam swój kuferek na podłogę i usiadłam na nim, opierając się o poręcz fotela, stojącego przy oknie. Towariszczi dalej walili ławą, w szale zdobycia miejsca, — nad głową, po dachu wagonu, dudniały kroki tych, co do wnętrza już dostać się nie zdołali. Żołnierze rozsiedli się na miękkich kanapach, porozkładali w przejściach na podłodze, i nagle wesołe żarty i śmiechy zastąpiły poprzedni, groźny nastrój. Naprzeciw mnie leżał na ławce jakiś oficer, blady i wycieńczony,—niedawno, zdaje się wyszedł ze szpitala, gdyż rękę miał na opasce. Jeden z żołnierzy stanął przed nim i zapytał z zuchwałą pewnością:

— Jak myślicie, co jest lepsze? Czy, gdy jeden wyciąga kończyny na całą długość, czy też gdy, dajmy na to, pięciu siedzi?!! Co?

Oficer, bez słowa protestu, wstał i usiadł przy ścianie, patrząc uporczywie w okno. Szeregowcy niezwłocznie zwalili się obok niego i nagle ujrzeli mnie w kącie.

— A to co?! Skądże wzięła się ta pasażerka?! To pociąg specjalnie dla wojskowych! Uchoditie!!

Lokomotywy szarpnęły z wysiłkiem raz i drugi wa-

gony, uginające się pod nadmiernym ciężarem ludzi, i zaczęliśmy powoli oddalać się od stacji. Żołnierze krzyczeli dalej na wszystkie tony, przerywając chwilami słowa przeciągłem gwizdnięciem:

— Cywil nam nie brat!! Na pierwszej stacji — na świeże powietrze!! Wynosić się stąd!!

Zrobili sobie najwidoczniej zabawę z tego, iż «wyleją» mnie z wagonu. Oficer spojrzał mimowoli w moją stronę. Zwróciłam się do niego:

— Proszę pozwolić mi tu pozostać. Chyba nie zawadzam nikomu w tym kąciku?

Rozłożył ręce zakłopotany:

— Co do mnie... to i owszem... Dlaczegóżby nie — bąknął; — jak myślicie, towariszczi?!

Nie ruszałam się z miejsca. Znałam dobrze nieoświecone warstwy ludności na Kresach, stykając się z niemi od dziecka na wsi i w mieście. Wiedziałam, iż dwa tylko sposoby postępowania prowadzą tu do celu: żelazna surowość i wywołany przez nią strach, lub też trafny, wesoły żart i dobroć. Wychyliłam głowę z za fotela, aby wszyscy słyszeć mię mogli:

— Czy mało macie roboty na froncie, że się wam chce nawet tu, na swobodzie, wojować z kobietą?! Pamiętam dobrze, jak mokliście i marzliście w tych okropnych okopach, gdy ja spałam wygodnie w ciepłem łóżku! Siedźcież teraz zato na miękkich kanapach — ja was o miejsce nie proszę, pozwólcie mi tylko jechać dalej na tym twardym kuferku.

Kilku żołnierzy zaśmiało się głośno na początku mojej przemowy, a jeden z nich, trzymając w zębach niemiłosiernie cuchnącą «cygarkę», zawyrokował łaskawie:

— Żenszczina z sercem! Za dobrem słowem do kie-

szeni nie idzie! Zostawcie ją, towariszczi, w spokoju. Niech tam sobie przykucnie na tym kuferku.

Jazda była pierwszorzędna. Żołnierze porozkładali się wygodnie na nocleg. Niektórzy zdjęli buty i onuce i chrapali donośnie, zwaleni głowami jedni na drugich. Innym zabrakło już przestrzeni dla przybrania chociaż nieco wygodniejszej pozycji — zabawiali się tedy anegdotkami niewątpliwej wcale jaskrawości. Zapachy machorki i juchtu mieszały się z wyziewami ciał i duszną atmosferą wagonu, rozpalonego przez cały dzień w lipcowem słońcu. Na szczęście, siedziałam tuż pod otwartem oknem i wdychałam z rozkoszą wonne powiewy podolskich łanów. Nad ranem, w Razdzielnej, wszedł z trudem do wagonu dymisjonowany generał, udekorowany krzyżami za waleczność. Przesuwał się wśród ławek i leżących na podłodze żołnierzy, opierając się ciężko na lasce. Żołnierze skamienieli. Ani jeden nie wstał. Ani jeden nie salutował. Życie świeciło tylko drwiącym wyrazem w ich oczach. Generał szedł powoli, wzrokiem żebrząc o miejce. Może kiedyś poniewierał młodością «nowobrańców»! Dziś, powracająca fala przynosiła mu stokroć gorszą poniewierkę jego własnej starości... Zniknął wreszcie za drzwiami. Grzmot śmiechów i przezwisk, tchnących nienawiścią, zerwał się z ust, zaciśniętych przed chwilą zawzięcie.

— Zdrowo dostał po nosie Jewo Prewoschoditielstwo!

— Widzieliście, bratcy, jak to nożonki chwiały się pod biedniażką?!

— Lubliłeś szlichtady i parady! Nauczże się teraz sam za sobą saneczki wozić!

— Śmierci życzymy, nie zdrowia, Wasze Gieneralskoje Wysokomordje!!

Oficer, blady jak trup, udawał, że śpi.

Skuliłam się na swoim kuferku, kryjąc twarz w dłoniach: Co się to dzieje?... I ku jakim czasom idziemy?!...

. . . .

Po upływie paru tygodni jechałam z powrotem do domu. Szłam śpiesznie przez olbrzymie sale pięknego odeskiego dworca, a tragarz niósł przedemną moje pakunki.

Na peronie tłum ludzi zgromadził się w jednem miejscu, przypatrując się ciekawie czemuś, czego dojrzeć za ich plecami, zdala, nie mogłam.

— Co to się stało? Nie wiecie? — spytałam.

Tragarz wzruszył ramionami obojętnie:

— Przed godziną sołdaty wyciągnęli oficera z wagonu i zastrzelili na peronie. Trupa już wynieśli, — teraz zmywają tam pewno krew.

— Co za okropność!! I nikt z jadących go nie bronił?

— Pewno, że nikt! To były ich licznyje szczoty (osobiste porachunki). A was eto, barynia, nie kasajetsia! (nie dotyczy). Chodźmy prędzej, bo nie znajdziemy wygodnego miejsca w wagonie.

«BŁĘKITNO-ŻÓŁTA» UKRAINA.

Kwestji «ruskiej» właściwie na Kresach nie było. Tej niechęci, tej wzajemnej nieufności, jaka panowała pod tym względem w dawnej Galicji — nie znaliśmy wcale. Przyczyną tych odmiennych zgoła stosunków pomiędzy dwiema narodowościami, osiadłemi na połaci dawnej Rzeczypospolitej, przedzielonej wówczas granicznemi słupami zaborców — była odmienność systemów, stosowanych przez rządzące nami państwa.

Divide et impera! — głosiła zwycięsko podstępna polityka rodu Habsburgów. — *Po siemu byť!* (Tak ma być!) — wybijał z bezmyślnością automatu sprężysty mechanizm carskiego rządu; z tych to ogniwek składał się nieskończenie długi łańcuch, oplatający wszerz i wzdłuż ducha olbrzymiej Rosji. Wszystkie narody, wchodzące w skład dawnego imperjum, odczuwały z jednakową niemal siłą więzy, krępujące wolność ich myśli. Polak — był «inorodcem» polskiego pochodzenia, Rusin — nie był nim wcale, gdyż podobnie drobiazgowej różnicy, dzielącej Małorusina od Wielkorusina, rząd nie uznawał zupełnie. Jeśli zaś chodziło o wyższość ekonomiczną, to Rusin brał górę nad Polakiem, gdyż, jako wyznawca obrządku wschodniego, miał prawo nabywania ziemi na Ukrainie, co Polakom wzbronione było oddawna. Pod względem zaś rozwoju patrjotycznych uczuć i wzmacniania narodowej twórczości żaden z tych dwóch narodów nie był wywyższanym na niekorzyść drugiego. Im zamykano «Osnowę» i «Proświtę» i zabraniano surowo wszelkich druków w języku ukraińskim, nam — zamykano «Oświatę» i «Macierz Szkolną«, a wszelkie «zakazane» książki, mówiące o rzeczywistych dziejach i cierpieniach narodu polskiego, przekradały się z za kordonu drogą tajemną i nieraz niebezpieczną. Dla obydwóch zaś szczepów słowiańskich, zagarniętych pod panowanie «słowiańskiego» domu Romanowów, otwarte były «istinno-rosyjskie» szkoły i uczelnie, starające się usilnie o przerobienie tych buntowniczych, tak polskich jak ukraińskich umysłów, na «błagonadiożnych» rosyjskich poddanych, trzymających się ściśle znanego programu: *Point de rêveries, Messieurs! Point de rêveries!*

W tych warunkach antagonizm pomiędzy Polakami a Rusinami był nie do pomyślenia. Lubiliśmy przeto lud ruski, rozmawialiśmy z nim w jego języku, śpiewaliśmy

chętnie różne smętne szumki i dumki ukraińskie, i nigdy, nie będąc wrogo dlań usposobionymi, nie czuliśmy i w nim wroga polskości.

Od wieków już dwa te narody zamieszkiwały rozległe ziemie kresowe dawnej Rzeczypospolitej. Ongi znosiły wspólnemi siłami mozoły i trudy związane z uprawą i zaludnianiem dzikich pustkowi, z odparciem zagonów tatarskich, z obroną granic państwowych. Dziki pohaniec tą samą żagwią podpalał chaty i szlacheckie dworzysko warowne! Płynęły łzy po chatach — płynęły i we dworze, gdy szereg branek szlacheckich troczono przy koniach, pędząc w jasyr na sprzedaż i pohańbienie. Z jednaką wymową żałoby i zgrozy wił się przed laty tatarski «czarny szlak», mijając zarówno gruzy obronnego siedliszcza, jak i spaloną do cna wieś. A gdy hufce rycerskie, połyskujące stalą pancerzy, widne zdala wśród powiewających proporców i chorągwi zdobycznych, wracały z pola walki do gniazd rodzinnych, — lud wznosił ręce i radośnie witał zwycięzców. Lecz ciężką i twardą bywała służba na tem «przedmurzu chrześcijaństwa», i niejednokrotnie po zamkach, dworzyszczach i dworkach szlacheckich matki i żony przywdziewały szaty zakonne i trwały aż do śmierci na osieroconych placówkach w modlitwie i życiu surowem, gdyż wśród tych twarzy, trudami wojennemi zoranych, spalonych wichrami, a tchnących siłą, dojrzeć nie mogły już tego, który był radością i dumą ich serc. A lud, od wrogiej pohańców nawały wolny, chwytał za pług, i lemiesz z mozołem w ziemię zagłębiał, orał i siał w pocie czoła.

Takie były prawa do tej ziemi — ich i nasze!

. . . .

Lecz były i inne.

Przodująca rola Polaków na Ukrainie, wyrażająca się przed laty w niesieniu tu kultury polskiej, której chętnie poddawały się możnowładcze rody ruskie — zaznaczyła się i w ostatnich czasach. Inżynierowie polscy zarządzali kopalniami rudy żelaznej w Krzywym Rogu i w Kamenskoje nad Dnieprem, tworząc tam olbrzymie huty i zakłady przemysłowe. Dobra rosyjskie, powstałe ze skonfiskowanych po roku 63 majątków polskich lub z nabytych na licytacji zadłużonych obszarów, miały administratorów, rządców, ekonomów — Polaków. Wogóle nie było tu prawie osiadłego ziemiaństwa rosyjskiego, jak już w Połtawszczyźnie i dalej, w rdzennej Rosji, a właściciele tych łatwo nabytych dóbr uważali je raczej za bogate kolonje, korzystając bez pracy z wysokich czynszów dzierżawnych lub z uzyskanych dochodów.

Produkcja zbóż, buraków cukrowych i ziemniaków przewyższała znacznie potrzeby kraju i zasilała rynki wewnętrzne i zagraniczne, nietylko dzięki bogactwu ziemi, lecz w równej mierze dzięki pracy i znajomości rolnictwa wśród ziemiaństwa i licznych dzierżawców polskich. Hodowla koni, bydła i chlewni kwitła prawie w każdym folwarku, zależnie od obszaru posiadanej fortuny.

Przemysł cukrowniczy, stanowiący poważne źródło dochodu dla państwa w postaci uiszczanych podatków, a wzmagający dobrobyt rzesz pracujących — zapoczątkowali Polacy. Oni to założyli pierwsze cukrownie na Ukrainie, oni — przeważnie — wznosili nowe, w miarę zwiększającego się eksportu i zapotrzebowania cukru wśród mas włościańskich.

Po miastach inteligencja polska stanowiła nieledwie połowę ogółu pracowników zawodowych. W jej ręku były: sanatorja i zakłady lecznicze, kancelarje adwokackie, reprezentacje hodowli nasion buraków cukrowych, fabrykacja

nawozów sztucznych, przemysł chemiczny i górniczy, domy handlowe, przedsiębiorstwa zbożowe, syndykaty rolnicze, fabryki narzędzi rolniczych, wyrobów żelaznych, mebli stylowych, znaczniejsze księgarnie, hotele i apteki. Rzemiosła wszelkiego rodzaju posiadały również swych licznych i wykwalifikowanych wykonawców.

Rzutkość, energja i umiejętność wykorzystania sprzyjających warunków były podstawą wytwórczości polskiej na Ukrainie, przejawiającej się w rozlicznych gałęziach rolnictwa, przemysłu i handlu. Wrośnięci w tę ziemię tradycją i posiadaniem olbrzymich, choć już nieco uszczuplonych wskutek politycznych wydarzeń, obszarów, mocni finansowo i ekonomicznie, nie doceniliśmy w pierwszych chwilach siły zapoczątkowanego ruchu separatystycznego ukraińskiego, nie zorganizowaliśmy się dla obrony własnych praw wobec zakusów narodu ruskiego, który z życzliwego towarzysza wspólnej niewoli stał się wkrótce burzycielem polskiej kultury i wszystkiego, co polskie.

. . . .

Przewrót marcowy, twór kilku sprzecznych czynników, spadł na zamieszkujące «Jugozapadnyj Kraj» (Połudn.-Zachodni Kraj) narodowości z chyżością miecza, rozcinającego dotychczasowe pęta, wyzwalając jednocześnie z ukrycia najgłębsze pożądania i dążności każdej z nich.

Rdzenni Rosjanie, jako ludność napływowa, ciążyli myślami i uczuciem raczej ku Piotrogrodowi i Moskwie, tam dopatrując ośrodków przyszłego rozkwitu wolnej, demokratycznej i liberalnej Rosji. Związani ekonomicznemi tylko węzłami z ukrainnemi ziemiami, widzieli w nich jeno bogaty i zasobny śpichlerz, niezbędny dla podtrzymania *prestige'u* Rosji,

zasilającej swem ziarnem europejskie rynki, a w razie głodowych lat — niezawodzącą nigdy śpiżarnię dla własnych, wewnętrznych potrzeb. Stąd hasło «jedinoj, niedielimoj», stosowane do Ukrainy przez liberalne nawet partje, miało swoje mocne i logiczne podstawy.

Polacy, czujący się tu «u siebie» na mocy tradycji lat ubiegłych i twórczej pracy obecnych pokoleń, zwolnieni z ciężaru praw wyjątkowych, nie domagali się stanowiska dominującego, zadowalając się uzyskaną równością obywatelską i budując nowe ukształtowanie stosunków na podstawie konstytucyjnych praw i szeroko pojętego liberalizmu.

Natomiast Rusini, w osobach ambitnych swych przywódców, pojęli w lot, iż chwila przełomu państwowego i tworzenia nowego jakiegoś organizmu prawnego, społecznego i narodowościowego, jest dla ich celów i tłumionych poprzednio zapędów decydująca, — że teraz lub nigdy idea «Samostijnej Ukrainy» ma realne widoki urzeczywistnienia się. Chodziło jednak o sposób dojścia do władzy, by następnie, na podstawie woli całego narodu ruskiego, dyktować warunki nowego układu i autonomji lub nawet federacji «wolnej» Ukrainy z wolną Rosją.

W chwili utworzenia się Rządu Tymczasowego poczucie odrębności i jakiegoś specjalnego patrjotyzmu ukraińskiego nie istniało prawie wśród społeczeństwa ruskiego. Z teatralnych jeno desek rozbrzmiewająca mowa artystów «małoruskich» i zakazane wydania utworów Szewczenki, rozpowszechnione jednak wśród szerszego ogółu, świadczyły o istnieniu narodu, posiadającego, prócz moskiewskiej, jeszcze własną kulturę. Jak atoli silne i przyrodzone człowiekowi, — niby oddech, odświeżający krążącą w żyłach krew — jest poczucie narodowej jedności, skoro z «Towarzystwa Ukraińskich Postępowców», osiadłego w Kijowie, a obejmu-

jącego niewielką grupę przywódców, powstała szybko pierwsza Rada Centralna, licząca już w swym składzie przedstawicieli młodzieży akademickiej, inteligencji, robotników i kooperatystów. Prezesem Rady mianowany został profesor Hruszewski, pozostający wówczas na wygnaniu w Rosji. Pomimo wysyłania depesz gratulacyjnych do nowego, wszechrosyjskiego rządu, odezwa ukraińskich postępowców podkreślała już konieczność autonomji dla Ukrainy.

Wypadki szły z zawrotną szybkością. W czasie pochodu wolnościowego w Kijowie, przy końcu marca 1917 r., Ukraińcy wywiesili otwarcie na swych błękitno-żółtych chorągwiach żądanie: «niepodległej Ukrainy z hetmanem na czele». Ruch separatystyczny zataczał coraz szersze kręgi wśród inteligencji miejskiej, z dnia na dzień przeradzającej się z urzędników i poddanych rosyjskich w żarliwych ukraińskich patrjotów; lecz wieś, będąca liczebnie i obszarowo decydującym czynnikiem w poparciu nowych zamierzeń, pozostawała głuchą na płomienne odezwy Rady Centralnej, wzywające do pracy narodowej i do składek na niezbędne przy tem fundusze. Bez wojska, bez skarbu, bez własnych władz administracyjnych — szaleństwem byłoby porywać się na zerwanie dotychczasowej łączności z Rosją i stawianie jej nadomiar żądań uznania niepodległości terytorjalnej i narodowej. Wyrwanie ciemnych mas chłopstwa z biernego zasklepienia w kole maluczkich spraw, przeciągnięcie ich gromadnie, żywiołowo na stronę ukraińskich działaczy i reprezentowanego przez nich rządu, stało się logicznym i niezbędnym nakazem chwili. Jedynie hasło: «Ziemia dla ludu pracującego! Ziemia, odebrana bez wynagrodzenia z rąk właścicieli i rozdana łaknącym jej z pożądliwą chciwością włościańskim rzeszom!» — mogło być tą żagwią, wzniecającą ogień powszechnego zapału dla sprawy i ludzi, tak

pojmujących dobro narodu. Tem hasłem jedynie można było zjednoczyć niezliczone, ciemne tłumy i przemienić w zapalczywych rzeczników idei «samostijnej Ukrainy» i związanej z nią nierozerwalnie, a upragnionej i radykalnej reformy agrarnej. Los własności polskiej na ziemiach Ukrainy został przesądzony bez wahania. Ciosy, spadające raz po raz, w niewielkich odstępach czasu, na stan posiadania polskiego na dawnych Kresach — były niezbitym tego wyrazem. Agitatorzy wmieszali się w gromady wiejskie, znikając w nich chwilowo tak, jak kamień wrzucony do stawu, zostawiający jednak na gładkiej powierzchni coraz dalej rozchodzące się koła.

Prace ukraińskich działaczy i Rady Centralnej, składającej się już teraz z czterystu pięćdziesięciu członków, szły równomiernie z rozagitowaniem chłopstwa. Odbywały się liczne zjazdy, nietylko wojskowe, robotnicze i partyjne, lecz i włościańskie, żądające obok coraz rozleglej pojętych praw politycznych, narazie zakazu sprzedaży i zastawu ziemi.

Ziemstwa, włączające w swój skład — wedle wskazówek ministra spraw wewnętrznych, ks. Lwowa, — działaczy społecznych, nie analizując ich programów politycznych, stawały się powoli ukraińskiemi, z wrogim odcieniem dla Rosjan. Kraj cały zrzucał z siebie wyraźnie naleciałości moskiewskich rządów, ukrainizując się, ze świadomością tego, co czyni, we wszystkich już warstwach. Zjazdy wojskowe żądały armji narodowej, wydzielonej z szeregów ogólnorosyjskich, zaś na początku czerwca delegaci Rady Centralnej i Wojskowego Komitetu Generalnego, czując się wyrazicielami pragnień całego narodu ruskiego, złożyli Rządowi Tymczasowemu memorjał, z żądaniem uznania oficjalnie praw Ukrainy do autonomji. Pierwszy krok był już uczyniony, i rząd rosyjski, aczkolwiek niechętnie, począł się cofać

z obranej poprzednio pozycji, zezwalając na obszerny samorząd i prawa do narodowego języka i szkoły.

Rozwój ukraińskiego społeczeństwa i zamieszkujących te ziemie mniejszości narodowych był zapewniony na drodze legalnej i praworządnej; lecz tu, jak i w całej rewolucyjnej Rosji, wmieszał się do chóru głos, mącący zgodność wysiłków. Skrajne żywioły, dążące za wszelką cenę do opanowania chwiejącego się już olbrzyma rosyjskiego, weszły do składu ukraińskiego rządu, wnosząc z sobą hasła destrukcji i nienawiści. Agitacja wzrosła i rozszalała się niby burzliwa rzeka, nurtując z coraz to wzrastającą siłą wśród podnieconych i rozpolitykowanych mas chłopskich. Drugi grom padł na polską własność rolną, grom — jak śmierć niechybny i jak śmierć nieodwołalny.

Wyłoniony z Rady Centralnej komitet, składający się z delegatów rad żołnierskich, robotniczych i włościańskich, znany pod nazwą: «Małej Rady», ogłosił dnia 7 listopada (st. st.) Trzeci Uniwersał, proklamujący republikę ludową ukraińską i konfiskatę gruntów dworskich, państwowych i cerkiewnych na rzecz pracującego ludu.

Listopad i grudzień 1917 r. były miesiącami zagłady i zniszczenia polskiej kultury i kwitnących gospodarstw. Nieledwie wszystkie dwory zapalały się i gasły kolejno, niby olbrzymie płonące świeczniki, zdmuchnięte porywem szalejącej burzy. Rozjuszone masy chłopstwa, podniecone umiejętną agitacją, burzyły naszą wieloletnią pracę, równały z ziemią dorobek przeszłych pokoleń, pozbawiały warsztatu pracy gromady wędrowców i tułaczy, idących w świat o żebraczym kiju. Pastwienie się nad pracą stało się jakąś żywiołową orgją dla tych rzesz «pracującego ludu».

A potem nadciągnął bolszewizm z głębi Rosji, niby zapobiegliwy wódz, wysyłający przodem liczne podjazdy dla

zbadania ducha i sił podbijanego kraju, i począł deptać i gasić po miastach wyniki trudów i pracy całego życia ludzkiego. I znowu szły w świat gromady wydziedziczonych. Uchodzili doktorzy, adwokaci, inżynierowie, fabrykanci, rzemieślnicy, wobec grozy czrezwyczajki i mordów, pozostawiając za sobą puste i bezczynne warsztaty pracy, rzucając wszystko, co własnemi zdobyli siłami.

Więc dziś, gdy wśród zdemokratyzowanych społeczeństw praca stała się mistrzynią i kierowniczką narodów, gdy jedynym probierzem wartości człowieka jest doniosłość i intensywność jego pracy, gdy ludzkość włożyła w pracę płomienność ducha artystów i mądrość uczonych i dąży nowemi szlakami odkryć i wynalazków przez pracę do prawdy — cóżeście uczynili, szaleńcy, z wieloletnim trudem zmarłych pokoleń i z dorobkiem nas wszystkich, żyjących jeszcze?!

Wszakże wszechświat cały podlega prawom nieustającej pracy.

Przepotężnym i nieobjętym przez rozum ludzki wynikiem pracy jest ciepło i moc życiodajna słonecznych promieni. I pracą jest obrót ziemi pośród gwiaździstych przestworzy! Pracują drzewa, gdy poją swemi sokami młode zawiązki owoców. Pracują pola, tuląc w swem łonie i karmiąc ziarna zbóż wszelkich.

I człowiek, pan świata, otrzymał władzę nad wszystkiem, co tu istnieje, dzięki twórczości myśli i pracy rąk!

Więc nie za wydarcie nam bogactw, które ślepy traf urodzenia rzucił niektórym wśród nas pod nogi, — i nie za odebraną możność życia bez troski o jutro, — nie za fortuny, złupione przez tłum, będący tylko posłusznem w waszem ręku narzędziem, lecz za zmarnowaną pracę tylu wieków, za odarcie tej ziemi kresowej ze wszystkich skarbów wiedzy i sztuki, za obrócenie w perzynę wzorowych gospo-

darstw, fabryk, warsztatów, za zniweczoną i sponiewieraną własną naszą pracę — żądamy od was rachunku!

Gorliwy, sumienny robotnik, wypędzony i niezapłacony przez chlebodawcę, stał się dziś symbolem najwyższej krzywdy, jaką ustrój społeczny może wyrządzić człowiekowi.

Tedy my, wędrowcy bez dachu, bez jutra, bez zabezpieczonej starości, pracujący dziś w pocie czoła, lecz w jakże ciężkich warunkach, pozbawieni przez was owoców pracy całego życia — żądamy od was rachunku!

My, pracownicy, skrzywdzeni bez litości, wypędzeni z gniazd i warsztatów własnych, zdziesiątkowani mordem, udręczeni nadludzkiem cierpieniem — stawiamy was, krzywdziciele, przed surowym lecz sprawiedliwym sądem historji!

PIERWSZE ZATARGI Z CHŁOPAMI.

Psuło się to właściwie od pierwszych chwil po przewrocie, a wybuchnęło otwarcie dopiero w czasie żniw. W początkowych tygodniach istnienia Rządu Tymczasowego stosunek wsi do dworu zmienił się z niepokojącą szybkością. My mieliśmy wszystkie obowiązki, oni — wszystkie prawa. Chłop zhardział, uczuł się obywatelem kraju lepszym niż «pan», a w każdym razie silniejszym liczebnie, i przy lada okazji podkreślał to dobitnie. Nurt nieustającej agitacji, mającej na celu zwalenie istniejącego porządku chłopskiemi rękami, wyniósł na powierzchnię postanowienia, stosowane do wszystkich bez wyjątku dworów: Utrudnić życie «panom»! Niechęcią i lenistwem robotnika zmusić ich do opuszczenia gospodarstw! Niech idą w świat!

Roboty polne szły coraz opieszalej. Nie wolno było uczynić najlżejszej uwagi parobkom. «Sam znaju, szo maju robyty»! — odpowiadał zuchwale. — «Ne wernetsia wże

staroje wremja! (czasy). Teper my hrażdany»! (obywatele). To się słyszało na każdym kroku. Kiedyś Kalikst spytał takiego mędrka, czy wie, co znaczy ów «hrażdanyn», i jakie są jego obowiązki?

Chłopak się zmieszał i wzruszył ramionami:

— Abo ja znaju!...

Gospodarowanie stawało się z każdym dniem trudniejsze. Trzeba było mieć istotnie wiele taktu, zimnej krwi i wyrozumiałości, by lawirować w tych nowych stosunkach bez wywoływania zatargów i nieporozumień.

Ukryty program wywrotowców rozwijał się z logiczną konsekwencją — nie wzięto jednak w rachubę naszego oporu. Nie nato złożyliśmy w tej ziemi kości naszych przodków — nie nato przetrwaliśmy ciężkie lata powstań, konfiskat, praw wyjątkowych — byśmy teraz mieli tak łatwo ulec bijącej w nas nowej fali. Jeśli tam, z dołu, rzucano nakaz: «Zgnębić i powalić!» to wśród rzeszy Polaków-ziemian, dzierżawców, rządców, ekonomów i drobnych pracowników rolnych padło hasło, łączące wszystkich w stałości wysiłków: «Trwać — i wytrwać!»

Coraz jaskrawsze wyodrębnianie się Ukrainy jako państwowego, samoistnego organizmu, wbrew ogólno-rosyjskiej polityce Rządu Tymczasowego, zaznaczyło się w kwietniu, w uchwałach Kongresu Ukraińskiego, żądającego autonomji i federacji z Rosją.

W owej chwili padł w polski stan posiadania cios pierwszy — wieszczący już, że następne ataki będą coraz groźniejsze. Trzy zjazdy: włościański, robotniczy i wojskowy, wydały uchwałę, zabraniającą właścicielom sprzedaży i długoterminowej dzierżawy ziemi.

Podważono po raz pierwszy niezłomną dotychczas zasadę «własności», nie drukowanym programem lewicowców, lecz żywem słowem przedstawicieli narodu. Toteż w maju

wieś przejawiła już ożywioną działalność. Zwoływano wszędzie «schody» (zebrania), na których politykowano zawzięcie; powstały «Selańskie Spiłki» (Wiejskie Spółki), a wiara w przodującą rolę włościaństwa na Kresach, wpajana weń przez zręcznych agitatorów, poruszyła do głębi nieoświecone masy, wyrywając je z dotychczasowej obojętności na sprawy społeczne.

Mieszkaliśmy daleko od kolei, więc w naszej okolicy agitacja nie krzewiła się tak bujnie — była raczej odblaskiem ognisk rozjarzonych już ukradkiem we wszystkich dobrach Branickich, tak biało-cerkiewskich, jak stawiszczańskich. W tych warunkach nadeszły żniwa. Chłop, poprzestający dawniej na dziesiątym lub ósmym snopie, zażądał teraz trzeciego. Było to planowe rozwijanie powziętego systemu, polegającego na tem, by «pana zniszczyć». A i czas był ku temu trafnie wybrany, gdyż w razie oporu właścicieli, nieuznających tak wygórowanych żądań, przestałe zboża mogły wysypać się na ziemię, nie przynosząc nikomu korzyści. Mieliśmy żniwiarki, mieliśmy i jeńców (gdyż już wówczas żaden parobek nie odważyłby się wyjść w pole «z maszyną» wbrew nakazowi wsi), więc Kalikst wyprawił ich na łan owsem zasiany. Urodzaj był śliczny i chłopi cieszyli się poprzednio, że będą mieli tak piękny plon. Żniwiarki chodziły wokoło obkoszonego łanu jedna za drugą, a wieś, nie śmiejąc stawić otwartego oporu, naradzała się na «schodzie», jak udaremnić energiczne zabiegi «pana», który całemi dniami jeździł konno wraz z ekonomem w pobliżu żeńców. Wreszcie znalazł się sposób. Deputacja chłopska z wójtem i jakimś nieznanym urzędnikiem, mianującym się członkiem «Powiatowego Ziemskiego Urzędu», opanowała żniwiarki i zatrzymała robotę, pod pretekstem, że owies jest jeszcze zielony. Kalikst się uniósł, urzędnik również. Spisali pro-

tokół, pełen absurdów: żniwiarki dworskie źle pracują, depcą i tratują łan z owsem, marnując w ten sposób «narodnoje dobro».

— Nechaj pan pidpyszut! — domagali się natarczywie chłopi.

— Dawajcie! — wykrzyknął Kalikst gniewnie.

Chwycił protokół i skreślił ołówkiem: «Stwierdzam własnoręcznym podpisem, że wszystko wyżej napisane nie odpowiada rzeczywistości». — Buwajte zdorowi!

Tegoż dnia popędził do Taraszczy, oddalonej od nas o sześćdziesiąt wiorst, i na trzeci dzień z rana przywiózł komisję dla zbadania sprawy na miejscu.

Tymczasem chłopi wykosili cały łan, a pracując z pośpiechu i łapczywości dniem i nocą, deptali pokosy, wybijając ziarno nogami. Pole usiane było owsem, i komisja spisała nowy protokół, lecz tym razem na korzyść pokrzywdzonego właściciela. Że przytem gen. Korniłow, jako wódz naczelny, wydał w tym czasie nakaz o surowem poskramianiu wszelkich gwałtów i samowoli, więc działaczom wiecowym zrzedły miny. Owego protokołu, stwierdzającego bezprawie chłopów i straty z powodu niedbałego zbioru owsa, Kalikst nie podawał do sądu, uprzedziwszy wieś, że od jej dalszego postępowania zależy i jego powściągliwość. Energiczne odparcie ataku, a następnie nienadużywanie uzyskanej przewagi tak wpłynęły na psychologję chłopów, że pomimo rozwijających się groźnie wypadków mieliśmy spokój aż do końca 1917 roku.

. . . .

Przy końcu sierpnia zjawił się niespodzianie w Lemieszówce kucharz nasz, Janek Znaczkowski. Ojciec jego był

nałogowym pijakiem i kiedyś, w przystępie rozpaczy czy chwilowego obłędu, powiesił się na przydrożnej sośnie. Zostały po nim sieroty; chłopca wziął Kalikst, dziewczynkę przytulił baczkuryński dwór. Janek, po ukończeniu elementarnej szkółki, został przez nas oddany na naukę do pierwszorzędnego kucharza, i po paru latach posiadał już w ręku fach, i to bardzo popłatny. Powrócił jednak do nas, ożenił się na krótki czas przed wojną i poszedł do armji rosyjskiej natychmiast po ogłoszeniu mobilizacji, zostawiając żonę z maleńkiem dzieckiem pod naszą opieką, w dworskiej chacie. Chłopak był spokojny, wódki do ust nie brał, a jego uczciwość i przywiązanie do nas nie wzbudzały żadnej wątpliwości. Ucieszyliśmy się tedy szczerze, ujrzawszy go nagle przed sobą.

— Jak się masz, Janku! Na długo-żeś przyjechał? Dali ci urlop?

Janek machnął ręką z lekceważeniem:

— A kto tam teraz pyta o urlop! Na froncie taka «sumatocha» (zamieszanie), że idź sobie kiedy chcesz i wracaj jak tobie ugodno! Co innego mają tam do roboty, jak porządku pilnować!

— Co ty mówisz?! To znaczy, że nie można spodziewać się zwycięstwa?!

— Proszę państwa! Jakie może być zwycięstwo, kiedy żołnierze albo wyłażą z okopów i zbierają się na «radę», albo nagadają, nakrzyczą, «wyniosą rezolucję», a potem schowają się do okopów i śpią.

— Dziwne rzeczy nam opowiadasz! Dlaczego po gazetach piszą, że duch w armji znakomity?

— Może to wtedy piszą, jak Kiereński przyjedzie. On często jeździ po całym froncie, i ja sam tak jego blisko widział, jak ot teraz — państwa! Ten dopiero umie gadać!

No! Aż człowiekowi ciepło się robi koło serca i poszedłby w mig na bagnety! «Hurra! Hurra»! — krzyczą żołnierze. «Prowadź nas! My za tobą wszędzie! Do piekła pójdziemy! Czorta za rogi weźmiemy»!! — A on tylko oczami wodzi po wszystkich: «Spasibo wam, towariszczi! Pamiętajcie, że w waszych rękach cześć Rosji». — Wskakuje do automobilu i poszedł — jak wicher... A za nim pył leci z ziemi, aż szaro... A żołnierze stoją i patrzą za nim... I tak, proszę państwa, jak ten pył przysiada do ziemi, tak pomału i ochota do boju odpada... Powłażą do okopów i z nudów śpią albo w karty grają.

— Dzielna armja! A cóż Niemcy robią? Strzelają, czy także siedzą w okopach?

— Niemiec?!... To chytra sztuka! Gdzie naszemu bratu do niego! On ciebie około małego palca obmota i ani poczujesz! Oni teraz, proszę państwa, wymyślili «bratanie» na froncie. Państwo pewno czytali w gazetach... Wśliźnie się taki jeden, drugi, trzeci do naszych okopów, i dalejże szwargotać z niemiecka po naszemu do żołnierzy: — «A poco wam wojna?! A chceszli to położyć tu na wieki ręce i nogi?! A nie lepiej z żonką w ciepłej chacie siedzieć, niż tu w zimie kości odmrażać?! Domagajcie się pokoju! Jak wszyscy zechcecie, to tak być musi, bo czyjemiż rękami Rosja nas zwojuje?» A żołnierze, proszę państwa, wiadomo, ciemny naród: sami nie wiedzą, co lepsze. Niemiec odmawia, a Kiereński namawia! Na dwoje babka wróżyła, co z tego będzie...

— Nie wiedzieliśmy, że Kiereński ma naprawdę taki wpływ na żołnierza. Może on istotnie wyprowadzi Rosję z tego zamętu!

— Ach, proszę państwa, co za człowiek ten Kiereński, to trudno nawet pomyśleć! My jemu kiedyś takie brawo

bili, aż powietrze się trzęsło! Miał ja towariszcza. Sprytny był mały, aż strach. Mówi mi raz wieczorem: — «Słuchaj Iwan! Jutro przyjeżdża Kierenskij. Ja tu już przydumał dla niego dwadzieścia pięć pytań! Nóżki na stół! I pokaż nam, brat, kto ty taki: lew, czy baranek?» — Przyjeżdża Kiereński, staje przed nami, a ten do niego, tak po prostemu, bez ceremonji, że to już teraz równi wszyscy:

— Towariszcz Kierenskij! A czy ja mógłby was o coś popytać?

— Pytaj, przyjacielu!

A ten stawia mu pierwsze pytanie, takie trudne, zamysłowate: — Co zrobić, żeby już nigdy wojny na świecie nie było?! — a w bok mnie trąca, że to niby połknął pies muchę...

A Kiereński ani się zaduma, w mig wali odpowiedź.

A ten rżnie drugie pytanie: A co zrobić, żeby matuszka Rosja pierwsza była na świecie?

A Kiereński raz dwa odpowiada, a te słowa tak idą jak woda, a dla nas jasno staje, że tak trzeba robić, a nie inaczej.

I tak wodzili się z pół godziny... Ten sobie, a ten sobie. A za każdą odpowiedzią, wszyscy żołnierze krzyczeli: «Hurra! Hurra!»

Dalibóg, proszę państwa, prawda jest święta! Jaby sam nikomu nie powierzył, żeby na własne uszy tego nie słyszał. Ale choć Kiereński mądry jak nikt, a przez to Niemiec chytrzejszy! Jaką on teraz sztukę dla nas przydumał! Wyłazimy my z rana z okopów po chleb, a tu po niemieckiej stronie płachty powywieszali, a na nich stoi jak wół:

«Żołnierze! Wy tu siedzicie w okopach, a tam na Ukrainie i w całej Rosji ziemię pańską ludziom darmo oddają. Śpieszcie się, bo nie dostaniecie ani skraweczka!»

To dopiero zrobił się gwałt, krzyk, bezhołowie!... Ten się cieszy, a ten woła, że dawno już tak się należy! A te, co zdaleka, z pod Uralu, z Syberji, radę składają, że i tak iść nie warto. Droga bez końca; nim się do domów dowloką, już ziemi nie stanie! A te, z pod Winnicy, z Podola, z Ukrainy, z Połtawy, to zaraz wieczorem z okopów dyrnęli, kto w nocy, a kto na dodniówkę! — Poszedł i ja. Pociąg oblepiony żołnierstwem, aż z miejsca poruszyć nie może. Wdrapał się ja na dach — w drodze mało mało głowy nie zerwało pod mostem, ale jakoś Pan Bóg dopomógł i szczęśliwie do domu dojechał. A tu żonka mówi: «Czy ty zwarjował?! Żadnej ziemi tu nikt nie rozdaje!» — Pidmanuły (oszukali) Niemcy psiajuchy!... Nie — to nie! Kto swoje chce oddać? Głupi-by był! To gorzej, proszę państwa, że tamci, co poszli, wygrażali, że jak dla nich nie będzie, to siłą mocą zabiorą! Ja już i tak na front nie wrócę i nikt tam o mnie nie spyta. A państwu teraz wszystko odsłużę: za ordynarję dla żony, za opał, za krowę. I bardzo ja państwu wdzięczny za wszystko. A co będzie na kolację, proszę pani?...

JESIEŃ 1917 ROKU.

We wrześniu wybuchnęły na Ukrainie pierwsze gwałtowniejsze objawy niepokojącej już ogół anarchji. Kilka korpusów rezerwowych opuściło samowolnie front, cofając się do blisko leżących powiatów Podola i Wołynia, niszcząc i rabując okoliczne dwory i folwarki, podburzając i zachęcając włościan do wspólnych napadów na «paniw». Że bogactwa, które przy umiarkowanej reformie rolnej mogły przejść w ręce ludu, ulegały przytem zupełnej zagładzie, o to bynajmniej nie dbał rząd ukraiński. Przy jego krótkowzrocz-

ności i zacietrzewieniu politycznem działaczy, walczących dalej z Rządem Tymczasowym o wyodrębnienie Ukrainy «jako członka rosyjskiej Republiki federacyjnej» — zniszczenie polskich, «pańskich» majątków nie było wcale równoznaczne ze zniszczeniem kraju.

Na interpelację Polaków w tej sprawie nastąpiło wyjaśnienie, iż odpowiednie instrukcje zostały rozesłane władzom w zagrożonych powiatach. To pisemne przykrócenie cugli na daleką metę nie wywołało oczywiście należytego skutku i wszczęty pożar szalał dalej bez przeszkód. Włościaństwo, uświadomione należycie przez agitatorów, domagało się już oddania folwarków pod zarząd lub przynajmniej pod kontrolę komitetów rolnych. Jak agitacja umiała trafiać do psychiki ludu, wzburzać i zmieniać jego poglądy, niech świadczy następujący, drobny ale charakterystyczny fakt:

Nasze dziewczęta ogrodowe, pracujące u nas w ciągu letnich miesięcy już od szeregu lat, uczciwe i przywiązane do mnie, poczęły nagle okazywać mi niechęć — «boczyły się» bez żadnego powodu. Lubiłam zawsze wyprowadzić każdą sprawę na jasną wodę, chociażby nawet następstwa miały się okazać przykremi.

— Słuchajcie, diwczata, co to za fochy urządzacie od paru dni?! Może chciałybyście czegoś od nas? Powiedzcie śmiało!

— Diakujem pani! Nie, niczoho nam ne treba, tylko tak czohoś tiażko na duszy, szo kołyś pańszczyna była! — wzdychały jedna za drugą, przekopując grządki warzywne na zimę.

— Co wam do głowy przyszło?! Kiedy to było!

— Chociaj dawno, wse taki krywda dla narodu! Oj, krywda!!... — kiwały głowami z posępną miną.

— Przecież już i ci panowie pomarli i wasi dziado-

wie, którzy pańszczyznę odrabiać musieli! Zostawcie ich wszystkich w spokoju! Zresztą, wierzcie mi, to samo się działo i dalej po świecie, nietylko u nas.

— Ce może buty, a wse taki tiażko i przykro, szo naszi didy narobyłysia za durno dla paniw!

— Więc to dlatego takie jesteście zachmurzone?! — rozumiem teraz. Ale przyznajcie same, że ani ja nie wyzyskiwałam waszej pracy, ani też wy nie odrabiałyście u nas pańszczyzny, więc dlaczegoż macie żal jakiś do mnie?!

— Ono ce prawda!... A wse taki didy pana i pani skrywdyły kołyś narod, todi, jak ludźka praca durnyczkoju im dostawałasia! Hospody! Hospody! — szeptały, przejęte nagłem współczuciem dla zmarłych przodków, wyrzucając przytem zawzięcie ziemię łopatami i nie patrząc wcale w moją stronę.

. . . .

Kiedyś, wieczorem, zapukał ktoś ostrożnie do drzwi bocznego ganku, od lasu. Byliśmy oboje w kancelarji, więc natychmiast zbiegłam po paru schodkach i, zaciekawiona, uchyliłam drzwi. Jakiś chłop w ciemnej świtce wsunął się szybko do przedpokoju.

— Ach, to wy, Zarudnyj?[1] Cóż to za mina podejrzana?! I dlaczego przekradacie się tajemnemi chodami zamiast wejść śmiało do dworu? Ejże! Coś w tem jest! — przekomarzałam się z nim wesoło.

— A pan wdoma?! Diło maju wełykoj ważności — odparł, oglądając się wokoło.

— Nikt was tu nie zobaczy. Służba w tamtem skrzydle. Chodźmy do kancelarji.

---

[1] Nazwisko zmienione.

Prowadziłam go do pokoju, zainteresowana nie na żarty takim wstępem. Gospodarz pocałował Kaliksta w rękę:

— Dobryj weczer panu. A czy nas tu nikt ne pidsłuchuje? — spytał półgłosem.

— Bądźcie spokojni. Jakiż interes do mnie macie?

Zarudnyj wyjął z kieszeni świtki arkusz papieru, złożony we czworo, i podał go Kalikstowi:

— Nechaj pan proczytajut.

Kalikst rozłożył szybko ów szary, dość lichy papier, i przedewszystkiem oczy nasze padły na podpis u dołu: *Lenin*.

Po raz pierwszy wówczas spotkaliśmy się w życiu codziennem z nazwiskiem człowieka, który odegrał tak doniosłą rolę w późniejszym przebiegu rewolucji rosyjskiej. Była to litografowana odezwa do «Braci Włościan», zwykły świstek agitacyjny, pełen znanych już aż do znudzenia frazesów o panach-krwiopijcach i o świętem prawie ludu pracującego do posiadania tej ziemi, znajdującej się dotąd w prawnem władaniu owych krwiopijców. Słowem, zbiór komunałów — jako teorja, w praktyce — zachęta do bezprawnego «zachwatu» (wydarcia) ziemi. Koniec odezwy brzmiał: «A zatem ci panowie i właściciele leżą na waszej drodze do szczęścia i bogactwa, jak kłoda w lesie. A cóż czyni mądry i tęgi «drowosiek» (drwal), gdy kłoda leśna zawali mu przejście?... Oto, dopóty w nią uderza siekierą, aż poczną z niej lecieć trzaski na wszystkie strony, a on odrzuci je snadnie i lekko na boki i wolną drogą przechodzi swobodnie. Idźcież zatem wszyscy za przykładem tego dzielnego «trużennika« (pracownika), a dobijecie się tego, co było całe życie waszem marzeniem, a w rzeczywistości jest waszem najświętszem prawem!»

Nie było tu wyraźnej sankcji i zachęty do mordu, lecz ów malowniczy obraz przedsiębiorczego drwala dawał się



Dwór w Lubczy K. Przecławskich.



Karczma Babińska.

Ze zbiorów arch. K. Iwanickiego.



Pierwsze postawienie krzyża katolickiego po 1905 r. w Jówkach E. Pogorskich.

rozmaicie tłumaczyć, szczególniej przy odpowiednich usiłowaniach agitatorów.

— Skądże to macie? — spytał Kalikst ze zdziwieniem, gdyż druków agitacyjnych nie spotykało się jeszcze wśród włościan; poprzestawano na żywem słowie.

— Baczyte, proszu pana, ce synka maju takoho rozumnoho! Służył w wojśku w Petrohradi, a teper perejszoł do rewolucjonierow i prysłał meni tysiaczu takich arkusziw. A szcze do toho pyśmo dokłał, szob ja zaraz, raz dwa, koni zapriah i jizdył po jarmarkach, het, kruhom, i rozdawał cije łystki...

Kalikst schwycił go mimowoli za rękę:

— Niechże was Bóg od tego strzeże! Toż jakbyście podrzucali płonące wiechcie pod słomiane strzechy!

— Nechaj pan budut spokojny! Abo to ja detyna, albo durnyj?! Sam maju trydcat' (30) desiatyn zemli i chatu pid blachoju i budynki w poradku! A ne złetiło ce meni z nieba, tylko tiażkoju pracioju i ot tymi rukamy dorobyłysia my z żinkoju! Onyby tam szcze chotiły w tym Petrohradie, szob ja i swoim podiłyłsia z druhim, szo ciłyj wiek do góry brzuchom, pereproszaju paniw, łeżał i nic ne robył.

— Więc cóż z tem wszystkiem zrobiliście?

— Żinka na nych weczeru zwaryła... taj hodi! A cej jiden ja panu chotił pokazaty, bo ce duże ciekawe. Pan wże samy smert' jemu zroblat! A zajszoł ja do pana weczerkom, tycheńko, szob ludy mene ne baczyły. Jakby tak doznałysia, szo ja z tych arkusziw pepeł (popiół) wże wyniósł — to zakryczałyby wsi, szo ja woroh naroda! Ostawajteś zdoroweńki! Pora wże do domu!

Pocałował nas w ręce, wysunął się znów bocznemi drzwiami do parku, i rzuciwszy baczne spojrzenia dookoła, pomknął przez las i pola do swojej dalekiej zagrody.

W pierwszych dniach listopada wybraliśmy się kiedyś wieczorem do Lubczy. Dwór w Lubczy był to zwykły, wiejski dwór, pozbawiony jakichś specjalnych, architektonicznych cech, niezbyt obszerny, ale wystarczający dla potrzeb dość licznej rodziny i częstych gości. Wzamian ludzie, do których należał ten dwór i folwark, mieli niezwykłe serca i dobrą wolę.

Kazimierzowie Przecławscy byli bezdzietni, lecz czując dotkliwie ten brak dziecięcych głosików wkoło siebie, wzięli na wychowanie troje sierot, pozostałych po bracie, i przygarnęli je, zwąc z rodzicielską dobrocią: «nasze dzieci». Prócz tak ożywionego ogniska domowego, prace społeczne w szerokim zakresie pochłaniały im obojgu czas i siły. Pan Kazimierz był komisarzem szkolnym na powiat taraszczański, pani Janina, entuzjastka z przekonania, optymistka od urodzenia, wierząc święcie, iż wystarczy niewielkiego, byle wspólnego wysiłku ludzkości, aby zwykłych zjadaczów chleba przerobić w aniołów, miała dwie szkółki dla polskich dzieci w Lubczy i dwie nauczycielki ludowe w domu; pozatem pracowała z zapałem nad organizacją szkółek we własnej gminie. Oprócz «naszych dzieci» były jeszcze na świecie i obce — byli ubodzy i potrzebujący pomocy, a wszystkich ich traktowała pani Janina z tak gorącą przyjaźnią, że wkońcu mąż jej, choć sam mający często «szeroki gest», zmuszony był, wyjeżdżając z domu, zabierać z sobą klucz od kasy, gdyż za powrotem — znajdował w niej pustki.

Przebieg spraw szkolnych, rozwijających się nad wyraz pomyślnie, był dla nas wszystkich, zgromadzonych tego wieczoru w dworze lubczańskim, niewyczerpanym i miłym tematem rozmowy. Przeszliśmy następnie do spraw ogólnych, ubolewając nad niepewnością i wzburzeniem społecznych stosunków. Wniesiono do pokoju dzienniki, świeżo

przywiezione z poczty. Pan Kazimierz zerwał opaskę i rzekł, rozkładając *Dziennik Kijowski*:

— Jeśli znajdę ciekawą nowinę, przeczytam państwu na głos.

Rozmawialiśmy dalej, sprzeczając się nieraz przy omawianiu różnych kwestyj, gdy nagle pan domu odezwał się zmienionym głosem:

— Jest nowina, i to niezwykła!... Posłuchajcie!...

— «Trzeci Uniwersał Małej Rady w imieniu Rady Centralnej. — Proklamowanie Republiki Ludowej Ukraińskiej w federacji z Rosją. — Ośmiogodzinny dzień pracy dla robotników. — Zniesienie kary śmierci. — Konfiskata gruntów prywatnych, apanażowych i cerkiewnych...»

Wśród głuchego milczenia zebranych zamarł dźwięk głosu czytającego... Ślepcy, odzyskujący cudem dar widzenia, przymykają powieki przed oślepiającym blaskiem dziennego światła, — my, przeciwnie, wytężyliśmy wzrok, by wśród spadłych na nas nagle ciemności dojrzeć słaby promyczek jakiejś przewodniej gwiazdy. Poczucie klęski narodowej łączyło się z uświadomieniem sobie ruiny osobistej. Pierwsza pani Janina wykrzyknęła z żywością i zapałem sobie właściwym:

— W podobny zupełnie sposób deportowano za caratu złoczyńców i morderców, pozbawiając ich jednocześnie wszelkich praw i majątku. Ale na jakiej podstawie my mamy ulegać takiemu losowi? Nie jesteśmy przecież wyrzutkami społeczeństwa! Pracowaliśmy tu wszyscy po wsiach i miastach z pożytkiem dla tego kraju!

— Oceńmy tę całą sprawę na chłodno, rozumowo — rzekł Kalikst ze spokojem. — Jeśli już przyszła chwila, kiedy reforma rolna staje się palącą koniecznością, a rozagitowane chłopstwo może, w razie oporu, wykopać nam grób — to przedewszystkiem nasza drobna szlachta powinna być włą-

czona do liczby tych, którzy stać się mają naszymi spadkobiercami. Powtóre — zasada odbierania cudzej własności bez odszkodowania jest amoralna i pociągnie za sobą najgorsze wyniki. Mamy zupełne prawo żądać wynagrodzenia za odbierane nam warsztaty pracy, byśmy mogli wzamian stworzyć sobie inne i dzieci nasze przygotować do nowego życia.

— To jest wręcz nie do pomyślenia! — zaprotestował gorąco pan Przecławski. — Lud ukraiński nie dorósł do takiej reformy! Dość popatrzeć na uprawę łanów dworskich i na leżące obok nich chłopskie pola, by pojąć odrazu, że ta zmiana właścicieli wyjdzie na niekorzyść całego młodego państwa, zmniejszając do minimum wydajność ziemi. Zresztą, czy pan wie, ile wynosi obszar dóbr polskich na Ukrainie? Więcej niż dwa miljony dziesięcin. Przecież to klęska o wiele gorsza niż wojna przegrana!

— Brońmy się zatem! — odparł Kalikst. — Czy pan myśli, że byłoby mi łatwo opuścić wieś?! Niestety, oni mają nad nami przewagę liczebną i wątpię, byśmy potrafili wpłynąć na złagodzenie tego nowego prawa. Chyba, o co dziś nietrudno, zmienią się czasy i rządy.

Pani Janina niespodziewanym zwrotem zakończyła dysputę:

— Wiecie, kochani państwo, co myślę? Tak tu miło, jasno i spokojnie w tym naszym drogim dworze! A może to wszystko nieprawda, o czem donoszą dzienniki?! Może cios nam grożący nie spadnie nigdy na nasze głowy?!...

Wyjeżdżaliśmy z lubczańskiego dworu pod bardzo ciężkiem wrażeniem. Po drodze, wśród nocnych ciemności, zaturkotał gdzieś w oddali wóz i po chwili zrównał się z nami, mijając tak blisko, że powóz stanął, zahaczywszy o koła

wozu. Błysnęła potarta zapałka i chłop jakiś, świecąc nam w same oczy, spytał zuchwale:

— A wy zwitki?! (skąd jesteście?).

— Z Lemieszowa — rzekł Kalikst mocno i chłodno.— A wam czoho tut treba?

— Dobre! — mruknął tamten. — Jidte z Bohom!

Rozjechaliśmy się w dwie przeciwne strony. Przysunęłam się bliżej do Kaliksta:

— Nie śmiej się... ale naprawdę coś złego nas musnęło! Ten chłop taki pewny siebie... ten step, taki dziś groźny, kryjący w sobie jakieś dziwne spotkania... Dawniej, inaczej to wszystko wyglądało!...

— Ach, Maryś, Maryś! Jakież ty masz przeczulone nerwy! Chłopi wracali do domu pod dobrą datą, i basta. Nic nadzwyczajnego. Zdenerwował cię ten uniwersał, jak widzę! Jest nas tylu — będziemy się bronili. A może skończymy na oddaniu połowy naszych gruntów? Ja pierwszy godzę się na to, byleby mieć spokój i tu pozostać...

. . . .

Listopad zrywał z drzew zżółkłe i uschłe liście i zaścielał niemi wyblakłą zieleń trawników, a wiatr przerzucał je z miejsca na miejsce, chłoszcząc ostrym powiewem... Toż samo działo się nietylko w naturze. Cała Ukraina zmieniła się w jakieś wielkie cmentarzysko, na którem, jak w Dzień Zaduszny, połyskiwały światła, palące się na grobach. Płonęły dwory, a Śmierć i Zagłada, niby dwaj gorliwi kosiarze, szły krok za krokiem, pozostawiając za sobą skoszone mienia i skoszone życia.

Szły «czarne szlaki» zniszczenia przez jary podolskie i przez bory Wołynia, krzyżując się wielokrotnie na wszyst-

kich skrętach przydrożnych, aż wreszcie dotarły do stepów ukrainnych... i rozbiegły się po całym taraszczańskim powiecie, przez Koszowatą Mołodeckich i Kasparówkę Swiejkowskich i Odajpol Lipkowskich i Olszankę Iwańskich i Hołodki i Skałę Florkowskich, przez Popówkę Daniłowych i Różyczną Łosińskich, mijając trupy pomordowanych tu właścicieli, przez Bahwę Nowińskich, i w stronę Taraszczy.— Przez Mikołajówkę, Czernin i fermę Odaję Branickich, a dzierżawę Domańskich, i przez Piatyhory Czeczelów, przez Ożehówkę Tomaszów Przecławskich, przez Sitkowce Rakowskich, — i w stronę Lipowca toczyły się jak niszczycielska lawa, burząc Tetijów Darowskich, i Zakrenicze Wilczyńskich, i Żywotówkę Markiewiczów i Wyleżyńskich, i Jakimówkę Gnatowskich, i Kazimierówkę Bobrowskich i Zarudzie, Honoratkę, Bałabanówkę Józefów Jaroszyńskich, Skibin i Jabłonowice Julji Jaroszyńskiej i Babin Władysławów Jaroskich, Strzyżaków i Siniarnię Drzewieckich, i Mierzwin Zdziechowskich... Szły dalej, het, aż pod Humań, przez Denhofówkę i Woronne Rohozińskich, przez Osiczną i Turski Las Bekierskich, przez Frantówkę Zbyszewskich i Podwysokie Wrzeszczów, przez Jastrzembińce Chrząszczewskich, przez Cybulów Rohozińskich. I dalej, dalej — przez Ryżawkę, Czerpowody, Kołodyste Iwańskich, przez Horodnicę i Zacisze Lipkowskich, przez Berestiahy Zakrzewskich, i w skwirskim powiecie z ziemią równały majątki Rzewuskich i Podhorskich, i innych, innych, a zawsze polskie. — Szły ciągle, przez ziemie lat tyle w rękach naszych będące, przez serca nasze z lęku wobec takiej zagłady zamarłe, a za szlakami temi toczyły się łzy z oczu naszych i leciał jęk bólu nad rozgromioną i pogrzebaną Przeszłością...

. . . .

Wśród tego szalejącego dokoła potopu żyliśmy z dnia na dzień, z nieustanną myślą, że lada godzina możemy podzielić los ogólny. Pomimo to jednak nie zmienialiśmy w niczem zwykłego trybu życia, pracując i gospodarując tak, jakgdyby nam nie groziło wygnanie i ruina. Trwać do ostatniej chwili na stanowisku, nie opuszczając rąk bezradnie — takie było silne postanowienie, które powzięliśmy oboje, bez próżnych słów i żalów. Oddawna już rozstałam się ze służącym i z klucznicą i sama ją zastąpiłam. Kalikst po całych dniach był za domem, na folwarku, którego mu chłopi dotychczas nie odebrali. Według nowych haseł, ziemia do tych tylko należeć mogła, którzy umieli pracować na niej fizycznie. Ileż to razy, stojąc przy rannym udoju lub pilnując karmienia chlewni, wysyłałam błagalną myśl do mieszkańców tej wsi, błyskającej zdala białemi chatami:

— Przyjdźcie i spójrzcie! Pracujemy, ile tylko sił nam starczy! Mokniemy i marzniemy na śniegu i deszczu, — na wiosnę sadzić i kopać sami będziemy. Nie wypędzajcie nas przeto z pod naszego własnego dachu!

Któregoś ranka przyjechał do nas rzeźnik żyd z miasteczka i przywiózł znaczniejszy zapas mięsa. Szłam z nim do wagi, do lodowni, gdy zwrócił się ku mnie i szepnął tajemniczo:

— Kiepsko z panami!... Pani już wie?...

— O czem?!

— Do panów Trockich, co to Kierdany w posesji trzymają, weszły wieczorem jakieś milicjonery... «Kto tut chaziajin w tom dwori?» — jeden tak pyta. Pan Aleksander wstaje od stołu, myślał, że to jakiś interes, i mówi: «To ja». Tak oni jego zaraz na miejscu ubili. A drugiego brata, Władysława, to już w ogrodzie dognali, choć dobrze uciekał, i też paf! paf!... drugi trup! — A to, proszę pani, nie były

żadne milicjonery, tylko chłopy z Koszowatej. Poodziewały się w te mundury i tak wszystkich odurmaniły, że ani pies nawet nie zaszczekał. Ot, bidnyje pany! Pracowały, rozbohatiły i na taki koniec im przyszło!

Ważyłam mięso napół przytomna. — Więc Śmierć jest już tu, w tej okolicy, włóczy się po lasach, po polach — zagląda do dworów — gasi życia ludzkie...

Dni płynęły w pracy od rana do wieczora, w napięciu woli i trwodze serca. Jedyną milszą, weselszą chwilą były nasze poobiednie spacery do szkółki. Tu grom zniszczenia nie może uderzyć, w te niskie bielone ściany, w te główki dziecięce, schylone pilnie nad kajetami! Tu panuje myśl lepsza, wznioślejsza, pojęta w szerszym zakresie, myśl narodowej pracy!

O zmroku wracałyśmy z panną Ziną przez las sosnowy do domu. Lecz ten dom nie był to już, jak dawniej, bezpieczny przybytek polskiej kultury i rodzinnych radości, ale raczej skazana na beznadziejną walkę placówka. Zamykało się wszystkie drzwi na stalowe łańcuchy — pajęcze, w razie napadu bandy, — i po kolacji, gdy jeńcy i służba szli na spoczynek, zasuwało się ciemne rolety w salonie, by odblask światła nie wskazał zdala przejeżdżającym traktem złoczyńcom, że tam, na górze, stoi dwór polski, nietknięty jeszcze zniszczeniem. Otwierało się fortepian i brzmiały tony akompanjamentu, granego przezemnie, a panna Zina z Haneczką śpiewały na dwa głosy różne smętne i rzewne piosnki. Bo tylko takie były nam miłe! Tylko rzewne, lub narodowe, podniosłe, gdzie każde słowo z serca wypływa, i koi, i krzepi, i do serca znowu powraca. Najulubieńszą piosenką była ta nowa, z losów Wielkiej Wojny wysnuta, z tragizmu narodu polskiego — w obce i wrogie sobie armje wcielonego — zrodzona.

Las płacze, ziemia płacze,
Świat cały w ogniu drży,
W dwóch wrogich sobie szańcach
Stoimy — ja i ty!

Zaledwie wczesnym rankiem
Armaty zaczną grać,
Ty świstem kul morderczych
O sobie dajesz znać!

O, nie myśl o mnie bracie,
W śmiertelny idąc bój,
I w ogniu moich strzałów
Jak rycerz mężnie stój!

A gdy mnie ujrzysz zdala,
Odrazu bierz na cel
I do polskiego serca
Niemiecką kulą strzel!

Bo wciąż na jawie widzę
I co noc mi się śni,
Że Ta, co nie zginęła,
Wyrośnie z naszej krwi!

Kalikst, naczytawszy się dzienników różnych odcieni, prorokujących zgubę tym lub owym państwom wojującej Europy, przychodził do nas i mawiał nieraz z żartobliwym wyrzutem:

— Świat się pali, a wy tu muzykujecie!

Siadał jednak na fotelu, gdzieś nieopodal, i poddawał się urokowi tych ślicznych, dziewczęcych duecików. Niekiedy, w przerwie muzycznej, psy zaszczekały donośniej. Wówczas wychodziliśmy wszyscy przez drzwi od salonu na werandę. Stróż nocny siedział na schodach wejściowych,

wsparty na kiju, a obok niego leżały psy, niby białe, podłużne plamy.

— Co to, Mykito? Czegoś psy się gniewają?...

— Nechaj pany budut spokojny! Jakby szoś buło ne tak jak treba, to ja zaraz stuknu pałkoju w dweri. Ot, siedzę tu sobie i słucham. Staromu ne choczetsia spaty! Pany hrajut i śpiwajut, jak anheły bożije!

Uspokojeni, wracaliśmy do ciepłego, ślicznego salonu i znowu dwa świeże, dźwięczne głosiki wplatały się w śpiewne tony akompanjamentu:

Szumny wiatr wionął po pustym stepie
I śnieżną zamieć w obłoki wzbił,
Tuman tam biały rwie się i trzepie,
Jak z huraganu rzęsisty pył.

W kibitce widać postać młodzieńca,
Smutne, lecz dumne spojrzenie miał...

Wyjrzał z kibitki, potrząsnął głową,
Nie dbał, że wzbudzi w żandarmie gniew,
Oczy swe zwrócił w stronę stepową,
A pierś — tęsknoty jęknęła śpiew...

Z tych słów tęsknoty, z tych łez wygnańczych — czerpaliśmy siłę, my, którzy każdego dnia mogliśmy również stać się wygnańcami!

O dziewiątej rozchodziliśmy się na spoczynek, z nieodstępną, choć nie wypowiadaną myślą, czy noc ta nie będzie ostatnią w tym drogim domu.

Kiedyś obudziło nas pukanie do okna. Spaliśmy teraz zawsze napół ubrani, więc wyskoczyłam w mgnieniu oka z łóżka i otworzyłam lufcik. Mykita stał pod oknem i wołał głośno:

— Nechaj pany wyjdut! Strelajut kruhom! Straszno samomu!

Kalikst już wciągnął na siebie futrzaną świtkę (futra i czapki mieliśmy zawsze w pogotowiu, pod ręką) i włożył do kieszeni dwa rewolwery.

— Weź i twój, ten mały, na wszelki wypadek! — rzekł śpiesznie.

Szłam za Kalikstem, oświetlającym drogę elektryczną lampką, przez długi i wąski korytarz, myśląc w duchu: Donkiszoterja to, czy fanfaronada? — choć cienia podobnych uczuć w nas istotnie nie było. Lecz jakże inaczej nazwać można taką wyprawę we dwoje przeciw uzbrojonej bandzie, jeśli te strzały są zapowiedzią jej przyjścia! Kilka, w najlepszym razie kilkanaście strzałów i z naszej strony, a potem co?... A może lepiej zachować te kule dla siebie?...

Wyszliśmy na boczny ganek. Cicho było, i drzewa stały nieruchomo, niby czarne, żałobne świeczniki, wkopane w biały śnieg. Mykita czekał już na nas:

— Teper perestały, jak na złość! A ja ne znał wże szo robyty? Budzić paniw, czy nie?!...

Kilka strzałów w krótkich odstępach przerwało nagle spokój nocy. Potem bomba pękła z hałasem. I znowu cisza... Żaden głos ludzki nie towarzyszył tym ostrzeżeniom czy groźbom, i w tem właśnie kryła się jakaś dreszczem przejmująca groza.

— Zdaje się, że to w olszynie strzelają! Podejdźmy bliżej, do białej bramy — odezwał się Kalikst.

Poszliśmy we troje, psy za nami, zgnębione, ze spuszczonemi ogonami. Na te dzielne stworzenia, które potrafiłyby rozedrzeć nieznanego włóczęgę, dziwnie wpływał odgłos strzałów. Stanęliśmy przy bramie, prowadzącej do sadu, i oparliśmy się o sztachety. Kilka bomb pękło z piekielnym

łoskotem, wysyłając echa na wszystkie strony... Salwa karabinowa, niby wspaniały fajerwerk, buchnęła w powietrzu, lecąc gdzieś z głębi lasu... I znowu głucha martwota nocy...

— A może chotiat paniw nalakaty! (przestraszyć) — rzekł Mykita niechętnie. — To te młode żołnierze, co to z frontu wrócili! Nanieśli karabinów i bomb do czorta! Do kur bombami rzucają! Bih me! Ja sam baczył! A teper, wydumały sobi pewno taku zabawu dla paniw!

Przespacerowaliśmy tak noc całą, przysłuchując się żołnierskiej «zabawie». Nad ranem błysnęło światełko w stajni, zgrzytnęły rygle, i Wiktor (jeniec austrjacki) wyszedł na podwórze:

— A to co?! — wykrzyknął swym śmiesznym, łamanym językiem. — Panowie luftują się wże tak *früh*, raneńko?!

Tak przetrwaliśmy strasznej pamięci grudzień. Upadek Stawiszcz Branickich zakończył potężnym akordem żałobne grudniowe *Requiem*.

NA ZAGROŻONYCH POSTERUNKACH.

Święta Bożego Narodzenia i dzień Nowego Roku minęły spokojnie. Korzystając z tego chwilowego zawieszenia broni i przypuszczając, że stan ów potrwa do Trzech Króli, postanowiłam odwiedzić trzy ocalałe jeszcze dwory bliskich i miłych mi rodzin, jakby w przeczuciu, że wielu z tych przyjaciół już nigdy więcej nie ujrzę.

Dzień był przecudny, słoneczny i mroźny, a cichy, bez wiatru, jak się rzadko zdarza na stepowych, bezkresnych rozłogach. Czwórka kasztanów biegła lekko i ochoczo wśród ośnieżonej przestrzeni, mijając szybko nieliczne wsie i nie odczuwając prawie ciężaru kutych, karbowanych sań, w któ-

rych siedziałyśmy z Haneczką, otulone w futra i przykryte niedźwiedzim fartuchem. Przelecieliśmy tak niepostrzeżenie czterdzieści wiorst dzielących nas od Rosochowatej.

Stary dwór rosochowacki — gniazdo rodzinne najbliższych naszych krewnych, Nikorowiczów — posiadał architekturę nie dającą się podciągnąć pod żaden znany i ściśle w rozwoju sztuki określony styl. W miarę pomnażania się licznej rodziny klecono tu różne przybudówki do dawnego dworu, jak kto chciał i jak komu było dogodniej. Była tu nawet z boku wieżyczka, a wewnątrz, prócz obszernych salonów, małe pokoiki, przejścia, korytarze, zdradzieckie schodki, zakamarki, wprawiające nowo-przybyłego gościa w niemałe zakłopotanie. Rosochowacki labirynt miał jednak niezaprzeczoną wyższość nad starożytnym swym poprzednikiem, gdyż tu w pomoc zabłąkanemu wędrowcowi przychodziła nie jedna litościwa Arjadna, lecz aż pięć dorodnych i gościnnych cór domu. Bywały tu dawniej świetne bale, a życie prowadzono na szerokiej i wystawnej stopie, słynąc z gościnności serdecznej i niewymuszonej, ku czemu niemało przyczyniała się skrzętna zapobiegliwość ciotki Emeryki. Po śmierci wuja Wiktora, Rosochowata przeszła na własność młodszego syna, Wacława, i ten osiadł tu na stałe, gospodarując i zajmując się wychowaniem dziewięcioletniego swego synka, Włodzia. Prócz tego bawiła tu wówczas matka jego z niezamężną córką, Wiktorją, gdyż nagły wybuch wojny odciął te panie od Zakopanego, dokąd przeniosły się od paru lat, utrwalając wspomnienie ukochanej Ukrainy w nazwie willi, którą tam nabyły.

Nieopodal starego dworu stał w Rosochowatej tak zwany «dworek babci», w którym mieszkała i zmarła staruszka matka wuja Wiktora. Wacław przeniósł się do tych kilku pokoików, urządziwszy je wedle wszelkich wymagań

komfortu i higjeny, i połączył dworek ze starym dworem olbrzymią oszkloną oranżerją, uczyniwszy z niej prześliczny ogród zimowy, pełen starych palm, oleandrów, kaktusów, krzewów doniczkowych i roślin kwitnących. Styl rosochowackiej siedziby nie zyskał na tej inowacji — przeciwnie, stał się jeszcze bardziej zagmatwany, ale przejście z jednego dworu do drugiego przez wonny i opalany ogród, gdy za szklanemi ścianami szalały zimowe wichry, miało swój osobliwy urok. Przed dworem słały się latem trawniki, urozmaicone mnogością róż kwitnących, a w oddali błękitniały wody dużego stawu, leżącego już wśród wiejskich chat.

Kasztany, brzęcząc donośnie grelotkami, minęły wysokie sztachety, okalające rosochowacką sadybę, i wpadły do bramy. Kornij zatoczył zgrabnie łuk wokoło starego dworu i stanął przed «dworkiem babci». Przez ogród zimowy przemknęły szybko biegnące postaci, i po chwili drzwi dworku otworzyły się z impetem. Czarnobrewa panna stanęła na ganku:

— Maryś! Maryś!... A to dopiero niespodzianka!! Nie przypuszczałam doprawdy, że taka jesteś odważna!! Prędzej, prędzej, chodźcie do pokoju! Mama tak się ucieszyła twoim przyjazdem, że nie masz pojęcia!

Z trudem wydobyłyśmy się z niesłychanej ilości futer i baranic, w które nas zaopatrzył kochający mąż i ojciec, i weszłyśmy do przedpokoju. Miłe ciepło dworku owionęło nas; powitały serdeczne uściski rodziny.

— Moja droga! Tak się cieszę, że cię widzę w dobrem zdrowiu i nie upadającą na duchu — mówiła ciocia, obejmując mnie przyjaźnie. — Może da Bóg, że choć wy przetrwacie tę zawieruchę szczęśliwie.

Włodzio kręcił się koło Haneczki, zdejmując z niej

kapturek i futrzane boty. Bawił nas zawsze niesłychaną rycerskością, do jakiej czuł się obowiązanym wobec małej siostrzyczki. Przeszliśmy wszyscy do saloniku. Ciocia załamała ręce z prawdziwą boleścią:

— Ach, serce, serce, co się tu dzieje!!

Spojrzałam na młodych z niepokojem, pytająco.

— To, co wszędzie — rzekł Wacław krótko.

— Więc może wy, młodzi, godzicie się z takim przewrotem, ale ja stara jestem i tak ciężko mi żyć w tych warunkach, że gdybym nie liczyła się z prośbami i naleganiem Wacia, dawnoby mnie tu nie było! Ta Rosochowata, taka droga, tak przezemnie kochana, gdzie przeżyłam tyle szczęśliwych lat, dziś przeraża mnie poprostu. Śmierć tu patrzy z każdego kąta. Po nocach oka zmrużyć nie mogę! Ciągle mi się wydaje, że już idą... wypędzać, mordować...

— Niepotrzebnie biedna mama tak się dręczy — Wacław spojrzał na matkę ze współczuciem. — Oddałem przecież dobrowolnie ziemię i inwentarze chłopom. Coprawda pewny jestem, iż przyjdzie czas, gdy będą musieli zapłacić mi rzeczywistą wartość tego, co zabrali, przynajmniej za inwentarze, ale tymczasem jestem wobec nich w porządku.

— Wiesz; serce, poczciwy Wacio zorganizował tu straż dla naszego spokoju. Dwunastu uzbrojonych ludzi czuwa przez noc całą wokoło dworu.

— Gdybyśmy tylko mieli pewność, że ci obrońcy nie przyłączą się w razie czego do napastników! — zaśmiała się swobodnie Wiktorja. — Co do mnie jestem przezorna: kuferek spakowany przy łóżku, rewolwer tuż obok, na stoliku... Tak wygląda życie w tej Rosochowatej, która była ukochaniem nas wszystkich.

— Wszystko to przesada! — rzekł Wacław z wyrzutem. — Dlaczegoż ja śpię znakomicie i nie myślę o żadnych

napadach? Mówmy lepiej o czemś weselszem. Co porabia Kalikst? Słyszałem, że jeszcze chłopi nie odebrali mu gospodarstwa. Czy tak jest istotnie?

Szybko minęło parę dni, przeznaczonych na pobyt w Rosochowatej. Staraliśmy się nie mówić, a nawet nie myśleć o ruinie i zagładzie, zawieszonej nad każdym polskim dworem. Dzieci odrywały nas swą wesołością i figlami od posępnych przeczuć, i nawet ciocia ożywiła się nieco. W istocie jednak każdy z nas wchłaniał w siebie cichutko, w tajemnicy przed innymi, te chwile, może ostatnie, wspólnych przechadzek, wieczornych, długich pogadanek w tym starym, poczciwym dworze, pełnym wspomnień dawnego, zabronionego nam już teraz życia.

Wreszcie trzeba było jechać w dalszą drogę. Wsiadłyśmy do sań i Kornij palnął z bata na pożegnanie.

— Żegnajcie! Żegnajcie! — wołano za nami. Odwróciłam głowę. Nikorowicze stali na ganku, śledząc wzrokiem odjeżdżające sanie. Oczy nasze spotkały się raz jeszcze, śląc sobie wzajem życzenia — odwagi!

Zaledwo wyjechaliśmy za kołowrot wiejski na śnieżny szlak, gdy Kornij zdjął czapkę i przeżegnał się pobożnie trzy razy:

— Sława Bohu, szo my wże zwitte (stamtąd) wyjichały! Tam nebezpeczno, proszu pani!

— Wstydź się, Korniju! Jak widzę, jesteś tchórzem podszyty.

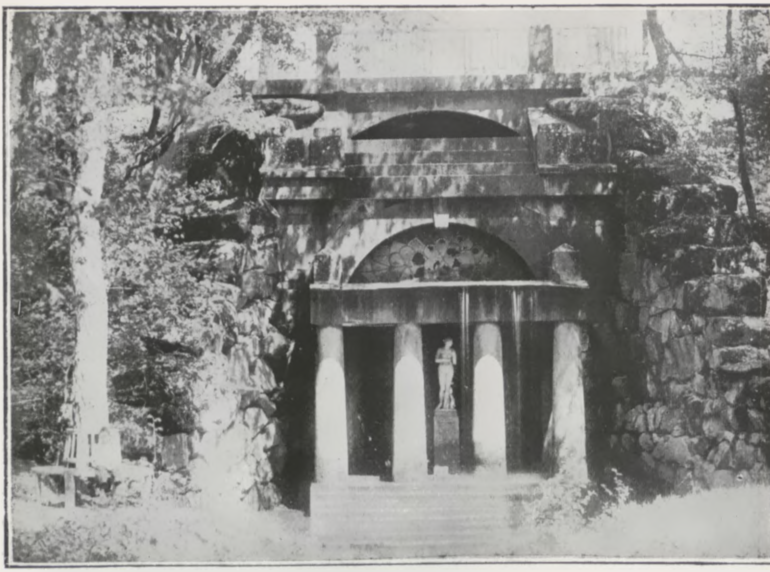
— Proszu pani, a kto chocze, szob jego smert' za horło (gardło) stysnuła?!

— Skądże znowu śmierć?! Przecież pan oddał wszystko rosochowackim chłopom, a w sadybie może zostać wedle nowych praw. To są jakieś babskie plotki. Przyznaj się, Kor-



Rossochowata W. Nikorowicza (w głębi dwór).

VIII



„Fontanna Djany" w Zofjówce pod Humaniem.



Zaprząg bałagulski Adama Rokickiego.

niju, która to z garderobianych dziewcząt tak ciebie wystraszyła?

— Jak pani ne chtiat wiryty, to netreba! — zasępił się, odwrócił do koni i już ani słowa do mnie nie przemówił.

Słońce migotało w białych, zmrożonych pokładach śniegu, umykając pośpiesznie w weselsze jakieś krainy w tym krótkim, zimowym dniu, gdy zdala ukazały się rozłożyste i wyniosłe szczyty drzew baczkuryńskiego ogrodu.

Dom Leonów Humnickich w Baczkurynie niezwykle był miły i kulturalny.

Sam dwór — dostojny staruszek, zbudowany w 1795 r., z gankiem na czterech kolumnach, z przybudowanem z dawnych czasów skrzydłem, z przewiewnemi wskutek starości ścianami, otoczony wieńcem mile szumiących lecz nazbyt blisko rosnących drzew, dodających mu malowniczości i jednocześnie — ku rozpaczy mojej bratowej — wilgoci, dwór ten miał swój charakter, swoją duszę. Dwór ten żył jakiemś życiem własnem, odrębnem, świadcząc swym zewnętrznym wyglądem o istnieniu dawnych pokoleń, które go wzniosły, jak również o przywiązaniu doń teraźniejszych właścicieli, kochających go takim, jaki jest, z wadami starości, z brakiem nowożytnych wymysłów. Szerokie drzwi wejściowe, ze staroświecką klamką, zdawały się same zapraszać do wnętrza przyjeżdżających gości, tak zamaszyście nieraz otworzyć się umiały. Staruszek-dwór miewał jednak, jak zwykle w podeszłym wieku, niepojęte fantazje, i bywały dni, szczególnie w słotnej jesieni, gdy też same drzwi zacinały się z uporem nie do pokonania. Jedno zręczne przyłożenie siekiery lub hebla usunęłoby na zawsze podobne kaprysy, lecz w pojęciu Leona raczej ów czekający cierpliwie na ganku gość, jakkolwiek zawsze mile i radośnie witany, mógłby wejść

oknem lub inną jakąś drogą, niżby miano się dopuścić w starym dworze świętokradzkiego zamachu na pamiątkę po dziadach.

Jeśli ściany dworu i zewnętrzne jego zarysy mówiły o długoletniej tradycji, to skarby artystyczne i literackie, jakie mieścił w sobie, dawały wymowne świadectwo kultury jego gospodarzy. Leon zbierał od najmłodszych lat przeróżne białe kruki, szczególniej wśród książek — miał też przepiękną bibljotekę, złożoną z dzieł polskich i obcych. W specjalnie przeznaczonym ku temu pokoju wisiał oryginał «Przysięgi Jadwigi» Simmlera (później sprzedany) i «Szkoła szlachcica polskiego» Grottgera, a wogóle ściany, nietylko w mieszkalnych pokojach, lecz we wszystkich przejściach i zakątkach, zawieszone były angielskiemi sztychami, obrazkami, częstokroć niewielkiemi, lecz zawsze pełnemi talentu. Chlubą Leona był szkic Matejki, rozpięty na sztalugach, przedstawiający pomysł do jakiegoś historycznego obrazu.

Sercem tego domu była moja bratowa — Celina Humnicka, żyjąca istotnie dla innych, tkliwa i wierna przyjaciółka i najmilsza w świecie gospodyni. Kochali ją też i cenili wszyscy, bliżsi i dalsi, krewni i sąsiedzi, a zjazd rodzinny w Baczkurynie zawsze był niezwykle miły, urozmaicony dysputami na temat szerszych wydarzeń i przeglądaniem przecudnych starych wydawnictw i amerykańskich ilustracyj, które Leon, wielbiący Amerykę od czasu kilkunastoletniego w niej pobytu, stale sprowadzał.

Wśród ciętych szpalerów, tworzących latem szemrzącą, zieloną ramę, a teraz sterczących niby czarne, drapiące miotły — zajechałyśmy przed dwór. Na odgłos dzwoneczków wyskoczyły dziewczęta z izby czeladnej. «Panna Mania» (wyręczycielka mojej bratowej) wysunęła głowę przez lufcik

ze swego pokoiku, i natychmiast rozniosła się wieść po całym dworze, że przyjechała «wesoła pani».

Ktoś już szamotał się w przedpokoju z wejściowemi drzwiami, które właśnie dziś miały chwilę złego humoru i za nic otworzyć się nie chciały. Szczęściem było to tylko przejściowe nieporozumienie, gdyż nagle odskoczyły zupełnie uprzejmie. Miałyśmy już dość czasu, by wejść po schodach na ganek i czekać na wynik tej hałaśliwej rozprawy, Powitały nas radosne okrzyki Bogdana i Zosi (przybrana córka mojej bratowej).

— Maryś!! To ty?!! Wierzyć się nie chce własnym oczom! Wybrałaś się teraz w tak daleką drogę?!

Bogdan zdejmował z nas futra.

— To się dopiero mama ucieszy! Ale ciocia zuch, co się zowie!!

Nadeszli śpiesznie oboje Leonowie.

— Skądże jedziesz, Maryś kochana?! Słyszeliśmy dzwoneczki i nawet mówiłam odrazu, że to wasze grelotki, ale wprost nie przypuszczałam, żeby wam Kalikst pozwolił teraz z domu wyjechać — mówiła moja bratowa, ściskając nas czule.

— Toteż zmniejszam do minimum niebezpieczeństwo tej podróży i jadę z Rosochowatej, a wrócę przez Popówkę.

— Byłaś w Rosochowatej? i cóż tam słychać?!

— Fortalicja i życie — niby w Chreptiowie. Doprawdy, poprostu brak pana Muszalskiego, łucznika nad łuczniki, z jego opowieściami. Dwunastu podlejszej straży chodzi noc całą pod oknami i gwiżdże przeciągle — o śnie naturalnie mowy niema wobec takiej złośliwości. Wiktorja — mężna, Wacław — spokojny, tylko biedna ciocia przygnębiona i smutna.

— Czyżby im tam coś złego groziło?! — rzekł Leon z niepokojem.

— Wątpię. Przecież wujostwo byli tak dobrzy całe życie dla wsi.

— A teraz, w dodatku, podobno wuj Wacław oddał już chłopom cały majątek — dorzucił Bogdan. — Trudno czegoś więcej wymagać...

I znowu zeszło nam parę dni w Baczkurynie, jak miły, kojący sen, wydarty ukradkiem strasznej, ciążącej nad nami rzeczywistości. Ziemia baczkuryńska była w dzierżawie, więc jeszcze do dworu nie roszczono żadnych pretensyj, poprzestając na zupełnem ograbieniu dzierżawcy. Gdy była mowa o dzieleniu zabranych pól na wiosnę, starsi gospodarze we wsi żądali stanowczo, by «pany» otrzymali przypadającą na nich część. Leon odmówił, twierdząc, że nikt nie może darować mu tego, co lat tyle należało do jego rodziny, lecz Cesia przyjęła w zasadzie parę morgów ze względu na trudność wyżywienia rodziny.

Wyjechałyśmy z Baczkuryna wczesnym rankiem. Czas ciągle był słoneczny i mroźny. Rześkość powietrza i bezkresne roztocze białych pól dziwnie krzepiły duszę, nasuwając myśl, że i nasze cierpienia i smutki spłyną kędyś ze łzami, tak jak te oto śniegi, gdy je słońce przeniknie na wiosnę ciepłym dotykiem. W miasteczku, tuż za Baczkurynem, chmara wiejskich dzieciaków poczęła biec za saniami, czepiając się oparcia i wrzeszcząc w niebogłosy:

— Pany!! Pany!! Lachy!! Lachy!! Ne budete wże dołho jizdyty czetwerkami!! — Kornij smagnął je długim batem, aż rozleciały się na wszystkie strony jak wróble, czerniejące na śniegu. Pomimo to pędziły znów za nami, wołając z jeszcze większą zaciekłością:

— Pany!!... Pany!!... Skoro wam wże bude kineć!!

— Wertajmosia do domu, proszu pani! — rzekł Kornij błagalnie. — Czy pani sami ne baczut, szo wsiudu tworytsia?!

— Do Popówki, — rzuciłam stanowczo, nie zwracając uwagi na to ostrzeżenie.

Dwór w Popówce sttał na wzgórzu i jechało się doń szeroką drogą pod górę, mijając szereg skarbowych (dworskich) chat. Dwór ów składał się z dwóch niejednolitych części, spojonych jedną wspólną ścianą. Na prawo — niziutki, przygarbiony, niby wkopany w ziemię stary dom; na lewo — wysoka, jasna i obszerna, kilkupokojowa przybudówka. U stóp tego skromnego dworu olbrzymi, rozlewny staw poruszał leniwo swe wody, aż hen, pod Sokołówkę i Justyngród, których kopulaste cerkwie i białe chaty rysowały się w oddali. Był to jeden z najpiękniejszych widoków na Ukrainie, gdzie bogactwo barw, falistość rozłogów spływających ku wodzie, soczystość tonów i przepych natury zdawały się wskazywać na niezmierne bogactwa tej ziemi, z której to wszystko powstało.

Popówka należała do dalekiego naszego krewnego, Karola Jokisza, z którego żoną, Wandą, łączyły mnie przyjazne stosunki za dziewczęcych mych lat. Niejednokrotnie przyjeżdżałam tu z Krakowa, w przerwach pomiędzy szkolnemi studjami, a chwile spędzane w Popówce łączą się w mem wspomnieniu z okresem życia pełnego blasków, bez łez i trosk.

Od tego czasu zmieniło się wiele. Wanda umarła, synowie, wobec przewlekającej się wielkiej wojny, poszli do szeregów rosyjskiej armji — jedyna córka wyszła zamąż. Karol pozostał sam na Popówce i Karolówce, (pod Humaniem), gospodarował, pracował i zbierał pieniądze dla dzieci. Był to typ szlachcica kresowego dawnego autoramentu — nieco

rubaszny w mowie i gestach, lecz najlepszy mąż i ojciec, życzliwy krewny i uczynny sąsiad.

Kornij przeleciał jak wicher od bramy wjazdowej popod oknami kredensu i kancelarji Karola i stanął jak wryty przed gankiem. Była to sztuka furmańska, którą lubiał się produkować niekiedy, a tu warto było, albowiem «popowiecki pan» znał się na koniach i powożeniu i sam posiadał ładne stadko.

Kredensowy chłopak w liberji wyskoczył z przedpokoju i począł odpinać futrzany fartuch, a za nim pośpieszał wysoki i barczysty pan domu.

— A to dopiero rarytny gość! Jak się masz, Maryniu kochana! Siedzisz jak sójka za morzem w tej swojej Lemieszówce i od wieków już ciebie nie widziałem! I Haneczka jest? Wyłaź tam, mała, z tych futer! Dobre konie macie — pochwalił, patrząc okiem znawcy na wkopaną nieruchomo czwórkę. Kornij uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Chodźcież do pokoju! Tęgi mróz dziś mamy! Co?! Przeziębłyście pewno! Nie?! Tem lepiej! Ale furmanowi przyda się kieliszek wódki? Co?! Wyprzęgajże konie i przychodź do kredensu. Proszę was — zwrócił się ku nam, wskazując uprzejmie otwarte drzwi od ganku.

Weszliśmy śpiesznie do domu, albowiem mróz istotnie szczypał w policzki.

— Zdejmujże okrycia! Prędzej! Zwijaj się leniuchu! — gderał Karol na chłopca, który dość niezręcznie grał rolę kamerdynera. — Ot, na taką usługę zejść musiałem, jak widzisz. A wszystkiemu winna wojna! Cóż mówisz na te chłopskie rządy? Powściekali się. Co?!

Chłopak kręcił się koło nas, wieszając futra, i strzygł uszami, spoglądając bokiem na pana. Będzie co zanieść na wieś... hej!

— Oni mi tu chcą do wszystkiego się wtrącać, ale niedoczekanie ich!! Dopóki ja tu pan, niech nawet obcy kot nie śmie przelecieć przez moje podwórze!

Chwyciłam za klamkę od drzwi do salonu i wciągnęłam Karola za sobą.

— Karolu! Jak można być tak nieuważnym! Ten mały, to szpieg napewno!

— Nic mię to nie obchodzi. Oni i tak wiedzą, co ja o tem wszystkiem myślę. Cóżto u licha?! Winien jestem co komu, albo może skrzywdziłem którego chłopa?! Niechże mi taki stanie do oczu! Co?! Siadajże, moja droga; zmęczona pewno jesteś? Haneczko, masz tam książki dla dzieci... tam, widzisz, w drugim pokoju, na półce.

Salon w Popówce był to olbrzymi, kwadratowy pokój, o tak niskim suficie, że zdawał się uginać nad siedzącymi. Pośrodku stał stół potężnych rozmiarów, a wokoło fotele rzeźbione i staroświeckie, wykonane zapewne wedle wskazówek biesiadników «popuszczających pasa», jeszcze z czasów «króla Sasa», tak były szerokie i przepaściste.

— I cóż twój mąż mówi o tem wszystkiem? Co?! A to nas złapali! I kto, proszę ja ciebie! Jakiś Hruszewski! Ot dopiero figura! To ja na to całe życie harowałem, deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg, żeby mnie teraz taki profesor z domu własnego wyrzucał?! Gdzież tu sprawiedliwość?! Gdzie zdrowy rozum poprostu?!

— Ach, Karolu! Gdybyż-to tylko wyrzucali; ale przecież w dodatku jeszcze mordują, i to tak okropnie!

— Moja droga! Wielkie pytanie, co lepiej? A może to lżej paść odrazu i nie patrzeć całe życie na nędzę dzieci? A wiesz, te pomysły, które im teraz do głowy przychodzą, to coś fenomenalnego poprostu! Wyobraź sobie, mam tu stare stawisko, które rok rocznie wydzierżawiam żydom

z miasteczka pod wypas dla krów. Otóż kilka dni temu, zjawiają się u mnie «delegaci», zabraniając mi wręcz w imieniu wsi oddania tego stawiska komukolwiek innemu, niż gromadzie popowieckiej. Jak ci się to podoba?! Rozporządzają się za mnie moją własnością! To dobre! Co?!

— Niech Karol odda im to stawisko na zawsze i Bogu dziękuje, jeśli na tem się skończy.

Karol porwał się nagle ze staroświeckiej sofy, na której leżał wpół (ulubiona poza przy gawędce), i podbiegł ku mnie:

— Czy ty także masz tu?!... — zrobił kilkakrotnie wymowne kółeczko na czole.

Około dwunastej podano śniadanie. Kończyliśmy je właśnie, rozmawiając żywo o losach przyjaciół i krewnych, których zły los już skazał na tułaczą wędrówkę, gdy nagle Karol rzekł ze zdumieniem, wpatrując się w okno:

— A to co nowego?! Pewno znowu przychodzą mnie dręczyć o to stawisko!

Spojrzałam i ja. Od bramy zbliżała się ku domowi gromadka chłopów. Na czele pochodu szedł marynarz w białej czapce z powiewającemi czarnemi wstążkami, i wymachiwał mocno rękami, odwracając głowę do idących za nim wiejskich «delegatów».

— Prowadź ich do kancelarji! — rzucił Karol rozkaz chłopakowi; ten wypadł z pokoju jak strzała. — Najlepiej dowiedzieć się odrazu, czego żądają — rzekł energicznie.

Widok jednak marynarza wywarł na nim i na mnie wstrząsające wrażenie. Trzeba było czytać opisy rewolucji w Kronsztadzie wśród zbuntowanych marynarzy, żeby pojąć dreszcz zgrozy, który nas przeszył wobec takiego przywódcy. Zostałam sama z Haneczką w jadalnym pokoju, czekając niespokojnie na koniec konferencji. Wreszcie Karol wrócił do nas wzburzony.

— Wiesz, jakie ultimatum mi postawili?! Oto gromada rozkazuje mi... słyszysz: roz-ka-zu-je — abym natychmiast, najdalej za pół godziny, przyjechał na «schod» w sprawie stawiska. Powiedziałem im, że jeśli mają jaki interes do mnie, to droga jednaka tak z dworu na wieś, — jak ze wsi do dworu. A ten marynarz, bestja, przysuwa się do mnie, patrzy w oczy zuchwale i recytuje mi lekcję, że to dawniej tak było, a teraz «pomieszczyk» jest sługą narodu, a nie naród służalcem pomieszczyka! A to bezczelna kanalja! Co?! Pal was sześć! Kazałem już zaprzęgać i jadę. Cóż mam robić?! Hromada — wełykij czołowik! Mają mnie ciągnąć za uszy, to wolę sam iść! Co?! Ale djabła zjedzą, zanim mnie tam zmuszą do skakania pod ich dudkę!!

— I ja również jadę, Karolu kochany. Chciałam do jutra tu zabawić, ale wobec wszystkiego, co widzę, tak się zaczynam niepokoić o Kaliksta, że nie byłabym wcale miłą towarzyszką.

— Masz słuszność. Nie zatrzymuję cię, choć wiesz dobrze, jak miłą mi jest twoja obecność. Co za czasy! Co za czasy!! Wiesz, jak kochałem Wandzię, jak bolałem po jej śmierci, a teraz Bogu dziękuję, że nie doczekała tych okropności! Jedźże z Bogiem, moja kochana, obyśmy się jeszcze kiedyś spotkali, ale w lepszych, ach, w lepszych warunkach!!

Całował moje ręce z prawdziwem wzruszeniem.

— Proszę napisać do nas, Karolu, będę ciągle myślała, co tu się dzieje.

Wyjechaliśmy za bramę i zaraz spytałam niespokojnie Kornija:

— A tu jak, Korniju?!

— Ho, ho, maleńkie! — wołał, niby nie słysząc mego głosu. — Nie galopuj!! Stydno z wamy pered lud'mi pokazatysia! Hola, ho!!

Dopiero za groblą odwrócił się do mnie z miną tryumfującą:

— Persze to pani naśmichałysia nadomnoju, a teper samy za język tiahnut!

— No dobrze już, dobrze! Nie bądź taki obraźliwy! Powiedz prawdę, co tu słyszałeś między chłopami?

— Ony wsi każut, szo pan dobryj i sprawidływyj i hrosza nykomu ne wynen! Hrich (grzech) kazaty inaczej! Dobryj pan i hodi! Tak ony howoryły, ale — kończył z przejęciem — szo ony zroblat za try dni — czort ich mamu znaje!!

I znowu step nas ogarnął biały, daleki i zamarły. Spojrzałam na Haneczkę, zawiniętą tak szczelnie w dachę i puszysty kołnierz, że tylko różowy nosek wyglądał z pod czerwonego kapturka.

— Cóżeś tak przycichła, maleńka?

— Myślałam właśnie, mamusiu, że mogą przyjść na nas takie czasy jak w *Ogniem i mieczem*. Kto wie, może trzeba będzie przebrać się za pacholę? Włosy mi się kręcą, czuprynka będzie doskonała, nikt nie pozna. Szkoda, że nie mamy takiego pana Zagłoby! Tenby dopiero nam pomógł swemi fortelami! Ale i tak damy sobie radę... Tatuś przebierze się za chłopa — pysznie mówi po chłopsku i taki zawsze przytomny, — a mamusię położymy na wozie, niby chorą... Tak wyjedziemy z domu i nikt nas nie zaczepi.

— Niechże Bóg broni, by miało dojść do takich ostateczności! Może chłopi zabiorą ziemię, ale z domu nas nie ruszą. Masz prawdziwie autorską fantazję, córeczko! Wszystko to wynik owych niesłychanych *Przygód na morzu i lądzie*, które połykasz tuzinami!

— Lepiej, mamusiu, przygotować się do nieszczęścia, niż czekać aż spadnie na głowę — pamięta mamusia, jak wtedy

w ogrodzie, ten kasztan, co spadł na stół i rozbił filiżankę od kawy.

Już widać zdaleka przez rzadką siatkę nagich drzew nasz biały dom. Nie zniszczony... Dzięki Bogu!...

Kasztany sadzą pod górę, grelotki dźwięczą rozgłośnie wśród leśnej ciszy, psy wyskakują u końskich pysków... Na ganek wychodzi Kalikst... uśmiechnięty... Dzięki Bogu!... Dzięki Bogu!...

Zbiega ze schodów, pomaga nam wysiąść:

— I cóż?! Czy dobrze udała się przejażdżka?!

Za chwilę Haneczka już siedzi na kolanach tatusia w jadalnym pokoju i szczebioce bez przerwy.

— Opowiadajże mi wszystko, od początku, coście tam widziały i słyszały, mała podróżniczko!

— Tatusiu! Włodzio to bohater!

— Doprawdy?! I cóż on zrobił tak nadzwyczajnego?!

— W Rosochowatej bardzo niebezpiecznie — bardzo, tatusiu! A on przybiegł do mnie wieczorem, bosy, w nocnej koszulce i — ja już leżałam w łóżku, strasznie spać mi się chciało — położył swój flobert na mojej szafeczce nocnej: «Masz! Nabity!! Broń się, jeśli przyjdą!!» A za nim wpada do pokoju bona, chwyta go na ręce i jeszcze porządną burę mu wsypała! I za co?! Zupełnie niesłusznie! Prawda, tatusiu?

— I tybyś była strzelała, córeczko?!

— Nie wiem. Nie myślałam o tem. Ale on byłby strzelał napewno! Przecież to mężczyzna! A oddał mi swoją jedyną broń, jedyną, tatusiu! Sam został bezbronny! Czyż to nie bohaterstwo, tatusiu?!

Ach, jakież to było miłe i straszne zarazem...

. . . .

W kilka dni później zachwiał się Baczkuryn i runęły — niby dwa podcięte, stare dęby — Popówka i Rosochowata.

Pierwszy to był wrogi krok ze strony młodzieży wiejskiej w stosunku do baczkuryńskiego dworu. Podjudzeni przez agitatora, dawnego parobka, który dłuższy czas światami wędrował, podpiwszy dla nabrania rezonu, przyszli szukać broni, gwarnie, zuchwale. Lecz wobec spokoju i powagi Leona, wobec wesołych i nieco drwiących żartów Bogdana — stracili tupet. Prawie wszyscy zdjęli czapki i zaczęli «izwyniatysia» (przepraszać). Wówczas ów przywódca, dla podtrzymania ducha, począł wołać:

— Patrzcie!! Chodzą po lustrach!! Śpią na złotych łóżkach!! To krew i pot naszych sióstr i braci!!

Szukali wszędzie, raczej onieśmieleni niż okrutni. Odeszli z niczem. Zaraz tegoż dnia, wieczorem, rozpoczęła się strzelanina i trwała noc całą, z początku w oddali, potem pod oknami prawie. Te odwiedziny weszły szybko w zwyczaj, jak również zabieranie zboża i koni dworskich «dla naroda», usuwanie przez złośliwość nielicznej już służby. Dopiero gdy jeden z tejże zażądał, by wieś go żywiła i zapłaciła za całą zimę, gdyż nie ma gdzie głowy złożyć, dali spokój tej zabawce.

W Popówce chłopi zabrali ziemię i inwentarze, oznajmiając «panu», że rządy i gospodarstwo przechodzą w ich ręce, lecz żadnych zamachów na życie Karola Jokisza nie było. Nie uznając jednak takiej Popówki i swojej przymusowej abdykacji, wyjechał do Humania i tam zamieszkał na stałe.

W Rosochowatej sprawy przybrały obrót daleko tragiczniejszy. Wkrótce po moim wyjeździe Wacław uległ namowom matki i postanowił dom swój opuścić. Lecz wówczas dwór każdy był ośrodkiem krzyżujących się a sprzecznych

prądów — donosicieli, niosących każde słowo «paniw» na wieś, i odwrotnie: wiernych w niedoli przyjaciół wiejskich, ostrzegających ofiary przed nowym zamachem. Wieść o projektowanym wyjeździe Nikorowiczów w mgnieniu oka obleciała wszystkie chaty, wzbudzając wśród chłopów niepokój i gniew. Natomiast i do dworu przekradło się tajemne doniesienie o gotującym się gromadnym pochodzie i proteście wsi. Wobec przewagi tłumu jedynym ratunkiem była ucieczka — lecz jak i którędy? O zaprzęganiu koni przed dworską stajnią mowy być nie mogło, gdyż to przyśpieszyłoby tylko wybuch. Julek Florkowski (syn jednej z zamężnych córek, bawiący wówczas w domu wuja po rozbiciu dworu w Skale), korzystając z jakiejś pomyślnej chwilki, wyprowadził ukradkiem konia ze stajni, skoczył nań oklep i pognał naprzełaj, przez pola, przez śniegiem zawiane rowy, do bliskiej cukrowni z rozpaczliwą prośbą o ratunek.

Wieś tymczasem ściągała swe siły, i powoli, rosnąc w liczbę, zbliżała się ku dworowi. Do oddalonego pokoju, w którym zgromadzili się Nikorowicze, wpadła drżąca służąca:

— Gromada już jest przed dworkiem! Domagają się pana!

Wacław podniósł się z krzesła, by spełnić żądanie napastników, gdy Wiktorja powstrzymała go stanowczym ruchem ręki:

— Zostań, Waciu! To niepodobna, żebyś szedł do nich! Nie wiemy, z jakiemi zamiarami przychodzą. Pójdę sama rozmówić się z nimi — mnie grozi daleko mniejsze niebezpieczeństwo.

Przeszła przez ogród zimowy, przez bibljotekę w małym dworku, i wyszła na ganek. Tłum ciemnych świtek zalegał ośnieżone trawniki i zaszumiał, widząc wychodzącą do nich dworską pannę, lecz czapki nikt nie uchylił.

— Jak się macie, ludzie! A czego przyszliście tu taką gromadą?

Zakołysały się głowy i zwróciły ku sobie twarze, jakby szukając wzajemnie w spojrzeniu potwierdzenia jednej i tej samej myśli, aż wreszcie buchnął potężny, zbiorowy głos:

— Nechaj pan z namy ostajutsia!!!

— Pocóż wam pan potrzebny? Oddał wam wszystko, co sam posiadał, i nudno mu teraz bez zajęcia w Rosochowatej. Dlatego chcemy wyjechać do Humania. To tak niedaleko i znajdziecie nas tam z łatwością, gdybyście chcieli pana zobaczyć, albo poradzić się o jakąś sprawę gospodarską.

Cichy gwar przeszedł przez gromadę, lecz narada trwała niedługo, i znowu wyrwał się okrzyk, tym razem groźniejszy w tonie:

— Pani, panna i małyj — nechaj jidut, a pan nechaj z namy ostajutsia!!

— Tak!! Tak!! Nechaj ostajutsia! Nechaj ostajutsia!!

— Nie chcecie pana puścić... więc dobrze, posłuchajcie mnie uważnie: Wy chcecie pana zabić!

Nagła cisza przyjęła te słowa. Może zamiar mordu krył się gdzieś w głębi tych ciemnych dusz, lecz nie uprzytomniono go sobie dotychczas z taką jaskrawą wyrazistością.

— Słuchajcie mnie dalej. Znamy się od dzieci. Nieprawdaż?!

— Znamy, znamy! Prawda! Dobre każe!

— Więc wiecie najlepiej, że nas jest więcej, niż tu, w tym dworze. Jest jeszcze w Wiedniu pani Leoncia i ma syna. Pan Konrad jest zagranicą i ma córkę. Żyją również dzieci pani Twardowskiej i pani Florkowskiej. Jeśli wy pana zabijecie — to przecież kiedyś oni tu powrócą i ziemię odebrać zechcą, albo spłat za majątek i inwentarze. Pocóż więc wam

pana mordować, kiedy i tak na tem nic nie skorzystacie?! Pomyślcie dobrze i pozwólcie panu spokojnie wyjechać.

Znowu ruch powstał w gromadzie — nieme, wzrokiem rzucane pytania. Po chwili wystrzeliły pojedyncze głosy, zlewając się w grzmiący chór:

— Ne prystajem! Na szczo panu jichaty?! Nechaj z namy ostajutsia!!

Energiczna panna ściągnęła gniewnie brew, lecz w mgnieniu oka pohamowała wzburzenie, szukając w myśli nowych argumentów, mogących trafić do tych zacietrzewionych umysłów. Wtem Włodzio zapukał leciutko do okna. Był to znak umówiony.

— Nie chcecie się zgodzić, więc zaczekajcie tu na mnie. Pójdę i powtórzę panu wasze słowa.

Obrzuciła wzrokiem tłum, tak niechętny i groźny dla dworu. Tyle znajomych twarzy! Jakże dawniej inaczej bywało! I kto zmienił tamtych uśmiechniętych przyjaciół na wrogów, łaknących krwi?!...

Westchnęła z żalem i weszła do dworku, zamykając za sobą drzwi. Klucz obrócił się w zamku dwa razy, powoli, bez dźwięku. W przedpokoju przyskoczył do niej Włodzio.

— Prędzej, ciociu, prędzej!

Przebiegli szybko na drugą stronę dworu. Tu stały sanie, sprowadzone chyłkiem przez Julka boczną drogą, przez rowy, przez ziębl oraną. Na podwórzu pustka była zupełna, albowiem służba przyłączyła się z ciekawości do chłopskiej gromady. Wacław już czekał z matką i Julkiem. Włodzio przytulił się do kolan babki, serduszko waliło mu jak młotem. Ostatnia wskoczyła Wiktorja.

— Jedź, w imię Boże!!

Przeżegnali się wszyscy — furman trzy razy... Wiedział

on dobrze, co go czeka, jeśli «tamci» ich złapią! Ściągnął mocno lejce lewą ręką, w prawej wzniósł w górę bat:

— Wio!!

. . . .

Chłopi czekali przed dworkiem, niecierpliwiąc się już nieco, że tak długo nikogo nie widać. Wtem niespodziewany widok uderzył ich oczy.

Z za rogu starego dworu wychyliły się końskie łby, woźnica okładał batem przerażoną czwórkę... Za nią sunęły z rozpędem sanie, uwożąc siedzących w nich Nikorowiczów. Konie rwały z kopyta, dopadając już otwartej wjazdowej bramy...

Ryk wściekłości wydarł się z piersi gromady:

— Pany utikajut!! Łowy!!... Łowy!!...

Runęli wszyscy w tę stronę, wyjąc z nieludzką mocą..

Wywiedli ich w pole... zdradzili... oszukali... ich... ich... czujących się tu panami!...

Lecz sanie przejechały już bramę i gnały co koń wyskoczy w stronę miasteczka, szeroką, wiejską drogą wśród dwóch szeregów chat.

Za niemi, w coraz to zwiększającej się odległości, jak czarna, nisko tocząca się chmura, wymachując rękami i rycząc na całe gardło, gonili rozjuszeni chłopi:

— Ne puskaj!!... Łowy!!... Łowy!!...

Z chat wybiegały baby, stawali na progu starcy, patrząc z osłupieniem na przelatujący jak niesamowite zjawisko zaprząg... Nikt z pośród nich nie mógł zatrzymać rozhukanej czwórki, gdyż wszyscy młodsi mężczyźni znajdowali się tam daleko, w biegnącej gromadzie.

Sanie czerniały już na górze, tuż za wsią położonej, niby ciemna, szybko posuwająca się plama, gdy siły opu-

ściły szaleńców. Zwolnili kroku i stanęli na miejscu, z trudem łapiąc oddech. Baby biegły ku nim, z bezsilnego gniewu oszalałe jak furje, krzycząc wniebogłosy:

— Do dwora!! Do dwora!!...

— Do dwora!! — huknęli tamci w rozpętanem pragnieniu zemsty.

Zawrócili kupą na miejscu w stronę opuszczonej sadyby. Po drodze ten i ów wskakiwał do chaty i chwytał co miał pod ręką: siekiery, cepy, wory, płachty.

— Bude im tepło!! — jazgotały wrzaskliwie baby. — W dwori je knyżki, je kresełka, je wsiakoho dobra do woli!! Ohoń bude pid nebo!!

— Bude im weseło!! Zmołotymo cej zełenyj ogródok, to biłsze kwitkiw naroste!!

— A dwir rozberemo i pomeż sebe podiłymo i starij i małyj! Bude im kineć!!

. . . .

Tak zeszła Śmierć na stary dwór rosochowacki.

. . . .

W dniu Trzech Króli miało być u nas przedstawienie *Jasełek* Rydla, odegrane przez dziatwę szkolną. Trudno sobie przedstawić, ile zapału i serdecznej pracy włożyły w to dzieci wraz z panną Ziną. Zjechało się kilkanaście osób z sąsiedztwa, interesujących się żywo rozwojem szkolnictwa polskiego, lecz przedstawienie się nie odbyło. W ostatniej chwili chłopi oznajmili Kalikstowi, że nie mogą pozwolić na zebranie tak liczne «panów» i drobnej szlachty, którzy wszyscy razem pójdą potem na nich z «pulomiotami». Nadaremnie Kalikst tłumaczył i przekonywał, że o czemś podobnem mowy być nie może, że przedstawienie odbędzie się w wozowni, oświetlonej lampjonami, i wieś cała ma prawo

brać w niem udział, chłopi przekonać się nie dali. Odchodząc, zapowiedzieli, że bombę rzucą do wozowni, w razie gdyby ich nie usłuchano, gdyż «muszą się bronić». Goście rozjechali się rychło, a biedne dzieci oblały łzami ten zawód.

. . . .

d. 13 stycznia 1918 r. (st. st.)

Rząd ukraiński ogłosił uniwersał o zupełnej niepodległości Ukrainy i prawie jednocześnie wydał «Zemelnyj Zakon», znoszący większą własność ziemską i nadający dworskie obszary bezrolnym, nie dając wzamian żadnego odszkodowania dotychczasowym właścicielom. To stanowcze potwierdzenie zapowiedzi listopadowego Uniwersału wywrze wpływ decydujący na psychologję włościańskich mas, rabujących dwory wskutek umiejętnej i roznamiętniającej agitacji, lecz ciągle niepewnych, czy obietnice tak radykalnej reformy rolnej staną się faktem w najbliższej przyszłości. Losy nielicznych, cudem ocalałych dworów polskich i całej naszej kultury i pracy — są już przesądzone.

d. 15 stycznia.

Przyszła do nas deputacja chłopska.

— Pan czytały wże Zemelnyj Zakon?! My wczora dołho radyłysia i poreszyły, szo nyma czoho ceremonytyś, jak nam nasza «Rada» podarowała pańskij majontok! My przyszły panu skazaty, szo choczem zabraty filwarok i chudobu w swoji ruki! —

— Bierzcie — rzekł Kalikst bez słowa protestu.

— A za to cej dwir i wse szo w nym znachodytsia, to wże dla paniw ostajetsia i nykto ne maje prawa tutka łapu swoju sunuty! Tak nasze prawitielstwo (rząd) rozporadyłosia.

— Słusznie — rzekł znowu Kalikst krótko.

I pan i chłopi stali zgodnie na gruncie nowo wydanych praw.

— Ale wymagam od was spisania inwentarzy żywych i martwych i opisu budynków, które odemnie w najlepszym stanie bierzecie.

— My sohłasny (zgoda). Może sprawdi kołyś zapłatiat panu za ciu poteru (stratę).

Pomimo tak łatwej zgody ocenili wszystko śmiesznie tanio, a na akcie, podpisanym przez gromadę i starszyznę, Kalikst przyłączył z boku swój protest.

d. 16 stycznia.

Wobec tego, że folwark przeszedł do rąk chłopskich, musieliśmy się rozstać z naszymi pracownikami rolnymi. Płakali wszyscy: «I dokąd pójdziemy na śnieg, na mróz?! Jak zarobimy na utrzymanie rodziny?!» Ekonom ma czworo maleńkich dzieci. Gumienny stary, niezdolny do walki z życiem. Naszego wychowańca, Wilczańskiego, który był pisarzem i wprawiał się do gospodarstwa, zabraliśmy do dworu. Matkę ma w biedzie i również nie miałby gdzie głowy przytulić. Dla tamtych — wyprosiliśmy z naszego własnego ziarna, zagarniętego wraz ze stodołą przez chłopów, ordynarję do końca roku. Zapłaciliśmy im tak samo. Więcej nic uczynić nie możemy wobec ruiny.

I to ma być «równość»!!

d. 18 stycznia.

Kijów się burzy. Bolszewizm ma już tu licznych zwolenników i wywołuje bratobójcze walki na ulicach miasta. Ukraina wypowiedziała wojnę Czerwonej Rosji — podobno poniosła porażkę za Dnieprem. Na wieść o tem czerwony sztandar, wzniesiony ręką robotników arsenału, załopotał nad miastem. Odpowiedziały mu salwy armatnie i karabinowe

ukraińskich pułków — część jednak wojska przeszła na stronę bolszewickiej partji i krew się polała obficie.

d. 19 stycznia.

Mykita nas opuścił. Dziś rano wszedł do kredensowego pokoju i położył na stole klucze od bram i strzelbę.

— Ostatnią noc był ja tu stróżem. Żinka płacze, spokoju ne daje! «Teper nebezpeczno! — każe — hołowuszku pokładesz za paniw, a ja szo budu, syrota, bez tebe robyła?! A kto mnie drow narubaje?! A kto mnie na zymu okna pokituje?! Płacze i narekaje, aż wdoma utrymatyś trudno. Żałko mnie paniw, ale i żinki szkoduju! Ostawajteś zdoroweńki! Nechaj was Boh stereże i chranyt was od smerty!»

Zostaliśmy sami — z psami. O jeńcach niema co myśleć. Pracują w dzień, w nocy chcą spać, zresztą i im życie miłe. Znaczkowski i Kornij nocują w chatach dworskich, przy żonach. Te, na pustkowiu, boją się również wszystkiego.

d. 22 stycznia.

Ułożyło się tak, że ja sama czuwam po nocach. Z początku podzieliliśmy się tym nowym obowiązkiem z Kalikstem, lecz gdy on czuwał, chodząc po pokojach, przybiegałam co chwila do niego. W tem szalonem podnieceniu nerwów nie mogę poprostu uleżeć spokojnie. Więc poco mamy męczyć się oboje?! Snuję się nocami po całym domu, a gdy psy poskoczą i pędzą ujadając w gęstwinę, wyglądam przez okno... Kto wie? Może już idą — swoi lub obcy?! Może za chwilę wedrze się w tę ciszę wrzawa rozjuszonych głosów i łomot niszczycielskiej siekiery?! Lecz tylko cienie bezlistnych drzew kołyszą się na śniegu...

Ach, noce przewlekłe i straszne, noce szarpiącej trwogi i walki ze zmorą przywidzeń — gdy mogę jeszcze bronić swego własnego dachu; noce niezapomniane i błogosławione

zarazem — gdy nie wiem jeszcze, czem jest wygnanie i tułaczka... obyście jak najdłużej trwać mogły!...

d. 25 stycznia.

Padła Lubcza Przecławskich. Pani Janina wozem uciekła z domu, unosząc w ostatniem wspomnieniu gruchot pękających krokwi, wrzask głosów, płomień gorejącego dachu, ruchliwe zarysy ciżby pastwiącej się nad wszystkiem, do czego przyrosło serce...

Piorun zagłady przeleciał wczoraj nad dworem w Wołodarce i rozgrzmiał dalekiem echem, strzaskawszy mury pałacu w Białej Cerkwi.

Mamy kilku przyjaciół i trzymamy, rzec można, rękę na pulsie gorączkującej wsi. Starsi powstrzymują młodszych. Ci już są zbolszewizowani i podjudzani przez żołnierzy-urlopników z frontu. «Niema już prawie — jak długie i szerokie ukrainne ziemie — ani jednego niezniszczonego dworu, a ten stoi, jakby na urągowisko pracującemu ludowi! Wszyscy panowie pouciekali, lub leżą pod ziemią, a ci — zostali nietknięci, niby za dawnych lat!!» Oto ich argumenty. Starsi na to odpowiadają: «A co oni wam złego zrobili?!... Niech inni rabują i palą! Niech mordem walają ręce! My — nie chcemy dożyć takiej hańby!!»

Dotychczas starsi biorą górę. Lecz co nastąpi za tydzień?...

d. 27 stycznia.

Bolszewicy są już w Kijowie. Dziś wrócił stamtąd jeden z chłopów napół żywy z przebytych wrażeń. Pułkownik Murawjew na czele czerwonych wojsk bombardował Kijów z ciężkich dział w ciągu trzech dni. Kule latały po ulicach. Mieszkańcy chowali się do piwnic, nie jedząc, nie pijąc; pomimo to ofiary w ludziach ogromne. Wyciągano z miesz-

kań prywatnych kryjących się oficerów i rozstrzeliwano ich na miejscu, bez sądu. Podobno padło tak kilka tysięcy. Po ulicach przebiegali jacyś ludzie, wołając: «Śmierć burżujom!! Niech żyją rządy robotników i żołnierzy!»

d. 1 lutego.

Dziś z rana odbył się wielki «schod» i głosowanie *pro* i *contra* bolszewikom. Chłopi pytali jedni drugich: «A szo ce za ludy cije bołszewyki?! Szo ony dajut i czoho ony chotiat?!» Niektórzy odpowiadali: «Jaki ony — ne znajemo! Sydiat w Kijewie i zemlu pańsku durno (darmo) narodu dajut! Zwojowały Radu Centralnu, to kohož teper budem słuchaty?!»

Większa część wsi zapisała się do bolszewickiej partji.

d. 5 lutego.

Wczoraj o zmroku zasnęłam na szezlongu ubrana. Nagle Kalikst zbudził mię krótkiem, energicznem:

— Wstawaj! Źle z nami!!

W jednej chwili zerwałam się na równe nogi:

— Więc co?!!

— To — że młodzi wzięli górę! Dzisiejszej nocy, lub najdalej o świcie, mają tu przyjść gromadnie, zaskoczyć nas znienacka i dwór zniszczyć doszczętnie. Mordować nie mają zamiaru, ale nikt nie przewidzi, jak dalece rozigra się fala wzburzonych namiętności! Tłum jest nieobliczalny.

— Tak. Więc co postanawiamy?

— Przynoszę tu natychmiast nasze papiery i fotografje rodzinne. Nad tem najwięcej lubią się pastwić. Wybiorę co najważniejsze — resztę spalimy w piecu.

— Dobrze. A ja spakuję kufry. W takiem rozbiciu będziemy mieli przynajmniej dostatecznie ubrania i bielizny. Znajdziesz zapewne sposób wywiezienia tego przed napadem!

— Myślałem już o tem. C*** przyjedzie w nocy chłopskiemi saniami i dostawi co się da do miasteczka.

— Bierzmy się zatem do pracy! Czasu niewiele.

Dwór cały spał snem kamiennym i cicho było wokoło, gdy my, we dwoje, w sypialnym pokoju paliliśmy wspomnienia przeszłości i gotowaliśmy się do nowego, ciężkiego życia.

Wtem psy porwały się z przed naszych okien i z gwałtownem szczekaniem pogoniły w kierunku bramy wjazdowej. Kalikst oderwał się na chwilę od pliki papierów, leżącej przed nim, i spojrzał na mnie:

— Może już idą?! Wyjrzyj oknem.

Z niewielką lampą w ręku przeszłam przez jadalnię i zbliżyłam się do okna. Lecz stąd aleja wjazdowa przedstawiała się mglisto.

— Lepiej ogarnę wszystko wzrokiem z werandy — pomyślałam, i postawiwszy świecącą lampę na stole w salonie, wyszłam przez szklane drzwi na werandę. Na tle jasności, bijącej przez szyby z salonu, stanowiłam znakomity cel dla idących, gdyby ze złym zamiarem przytaili się gdzieś w gęstwinie, ale nie przyszło mi to do głowy. Przeciwnie, taka żałość wezbrała w mem sercu, że gdybym za cenę życia własnego mogła odwrócić tę całą zagładę polskości, to chętniebym to uczyniła... Zresztą — życie ludzkie tak tanie jest w naszych czasach!... Psy ujadały gdzieś daleko ze wzrastającą wściekłością. W chatach, leżących tuż za naszą sadybą, raczono się snadź zawzięcie, gdyż pijackie okrzyki dolatywały mych uszu wyraźnie. Parę bomb, wyrzuconych w powietrze, hen, na podwórzu chłopskiem, przez jakiegoś zapalczywego biesiadnika, pękło z grzmiącym hałasem, rozrywając się już na ziemi. Lecz cała ta wrzawa i wiwaty leciały wśród nocnej ciszy ciągle z jednakiej odległości, nie zbliżając się ku dworowi. Wróciłam do sypialni:

— Balują u Syły. Piją, rzucają bomby. Wątpię, by chcieli przerwać tak miłe zajęcie — raportowałam zwięźle. Wstrząsnęłam się. Dopiero tu, w tym ciepłym pokoju, uczułam, jak mroźna była ta lutowa noc.

Kalikst spojrzał na mnie uważnie:

— Przeziębłaś?

— To drobiazg. Zaraz się ogrzeję — podeszłam do pieca i przytuliłam twarz do lśniących, białych kafelek.

Znowu było cicho w pokoju, tylko płonące drzewo trzaskało wesoło w piecu i zaszeleścił niekiedy arkusz, obracany ręką Kaliksta. Już oddawna unikaliśmy oboje wszelkich tkliwszych słów, wszelkich objawów żalu lub pociechy... Mogłyby jeszcze pęknąć tamy nagromadzone z niesłychanym wysiłkiem woli, utrzymujące nas w jakiej takiej równowadze ducha... Moglibyśmy jeszcze zapłakać...

A mieliśmy czego płakać! Wokoło naszego domu czaiły się i podpełzały zmory, gorsze jedna od drugiej: Ruina. — Zniszczenie wieloletniej pracy. — Zagłada polskiej kultury. — Śmierć domu — a potem wygnanie, tułactwo i nędza... Ktoś zapukał do okna:

— To C*** już przyjechał — rzekł Kalikst śpiesznie.

Jakże cicho i bez słów wynosił Kalikst z C*** nasze kufry i ustawiał je na saniach. Jakże cicho i bez słów stałam na ganku, pilnując, czy już nie idą... C*** śmignął batem. Konie skręciły na boczną drogę, przez pola, i jak widmo rozwiały się w nocnych ciemnościach.

Wreszcie świt począł się przesączać przez czarną zasłonę nocy. Zarysowywały się coraz wyraźniej kontury drzew. W garderobie krzątały się już dziewczęta. Zarżały konie pojone przy studni. Dwór budził się do codziennej, zwykłej pracy.



Ostapkowce. Z Prawdzic-Zaleskich M. ks. Czartoryskiej.



Kościół w Kuźminie, wystawiony przez Martynę z Grabianków Prawdzic-Zaleską.



Michałowce Sobańskich.

— Już nie przyjdą! — rzekł Kalikst z westchnieniem ulgi. — Widocznie i tym razem zwyciężyli lepsi.

Rzuciliśmy się w ubraniach na łóżka i zasnęliśmy twardym snem.

PO POKOJU BRZESKIM.

I nagle fala pogromów i zniszczenia przycichać powoli zaczęła. Destrukcyjne nakazy szły dotąd przeważnie z frontu, stoczonego już rozkładową działalnością agitatorów bolszewicko-niemieckich. Teraz płynęły zeń nowe prądy i hasła. «Pokój z Niemcami! Pokój bez aneksji i kontrybucji!!» — brzmiało po całej Rosji, jakgdyby chlubą bezinteresownych idei przykryć chciano upokarzające warunki traktatu. Resztki rosyjskiej armji wycofywały się za Dniepr, natomiast austro-niemieckie wojska zalewać poczęły kresowe ziemie nasze z chyżością wód, wdzierających się przez wszystkie szczeliny do wnętrza strzaskanego o skały okrętu. Za stopami głodnych zwycięzców szło widmo «samostijnej» Ukrainy, i dawni jej przywódcy, związani układem sojuszniczym i zobowiązaniami wobec Niemców, wyzwalających ich z pod bolszewickiej przewagi. Powstał naprędce rząd Hołubowicza, rząd nieudolny i słaby, który ani powagą umysłów, ani doświadczeniem politycznem działaczy nie dorósł do ciężkich i odpowiedzialnych zadań chwili. Niemcy brali dalej w posiadanie ukrainne ziemie, rozmieszczając po miastach i miasteczkach odpowiednie oddziały żołnierzy, organizując szybko sprężystą administrację wojskową z tytułu okupacji, spoglądając przytem z ukosa na radzącą nieustannie Radę Centralną, niezdolną do zaprowadzenia w kraju takiego porządku i ładu, jaki był warunkiem *sine qua non* wobec konieczności zaprowianto-

wania wygłodzonych Niemiec. Czas jakiś ważyły się niedostrzegalne dla oka, a wręcz sobie przeciwne zamiary i postanowienia, aż nagle — z obozu niemieckich przyjaciół — padł piorun, godzący w Radę Centralną i rząd Hołubowicza. Dnia 29-go kwietnia 1918 roku zjazd «chliborobów», zwołany przez Niemców, obrał hetmanem Ukrainy generała Skoropadskiego, potępiając przytem dotychczasową reformę agrarną i żądając przywrócenia własności prywatnej. Odetchnęliśmy swobodniej. Groza wywłaszczenia, mordów, życia tułaczego, nędzy — odeszła od nas, jak się zdawało, na zawsze.

Nowy hetman, niemający nic wspólnego z Ukrainą, prócz dóbr, które tu posiadał, pojmował swe zadanie władcy ziem od Dniepru aż po Morze Czarne li tylko jako powrót do carskich systemów rządzenia, z dodaniem represyj za bunt i zniszczenie. Jakże wstrząsający był dwugłos, siłą faktów i czynów rozgrywany w owych czasach pomiędzy dwiema warstwami: chłopską i ziemiańską! Jak dwie skłębione chmury, brzemienne piorunowemi błyski, ścierające się z sobą z wybuchową mocą — dwie te warstwy niosły w bratobójczej walce śmierć i zagładę nieszczęsnej a ukochanej ziemi rodzinnej, podżegając się wzajemnie nienawiścią i zemstą.

Oszalałe, ciemne masy chłopstwa, podjudzane zewsząd idącym podszeptem, runęły na dwory, jako na siedliska tych, co «tuczyli się ich krwią i potem», korzystając z plonów ziemi, im jeno wedle najświętszych praw należnej.

Wobec żywiołowego natarcia uchodzili z gniazd własnych ziemianie, zostawiając za sobą dymy pożarów i zwierzęco pomordowane ofiary. Chłopstwo waliło w gruzy budowle, przypominające mu istnienie «krwiopijców», młóciło cepami saską porcelanę, wykłówało oczy portretom dziedziców, tarzało się w cukrze wysypywanym z worów na podwórza

fabryczne, topiło fortepiany i meble w stawach, szalało z uciechy — mordowało z żalu, że tamci lat tyle panowali bezkarnie!... «Smert' panam!! Rizaty lachiw! Podpalaj! Bij! Morduj!»

Teraz, wraz z Niemcami i hetmanem, wracali ziemianie do spustoszonych gniazd. Lud przycichł i czekał ponuro na sąd i wyrok.

Dwa były słowa i uczucia — mądre politycznie, wzniosłe etycznie: Sprawiedliwość i Przebaczenie.

Sprawiedliwość, bez zemsty, wobec tych, którzy, nie uszanowawszy siwego włosa, zbryzgali go krwią męczeńską... Sprawiedliwa kara dla zabójców i wyrodków, hańbiących przed mordem nasze matki i córki...

I — w imię Najwyższej Dobroci Świata, której wyobrazicielem na tej ziemi był Chrystus — przebaczenie burzycielom ciemnym, obałamuconym, «albowiem nie wiedzieli, co czynią!!...»

Niektórzy tak uczynili. Lecz inni, wodząc z rozpaczą oczami po zgliszczach rodzinnych domostw, lub patrząc w osłupieniu na doły mogilne, pozostałe jedynie po wydarciu z ziemi nawet fundamentów, zakładanych przez dalekich przodków, nie potrafili wznieść się na wyżyny ideałów chrześcijańskich. Cienie pomordowanych i pohańbionych krewnych snuły się przed nimi, kryjąc twarz w dłonie w bezsilnej męce... I serca ich rozgorzały uczuciem pomsty i roznamiętnieniem odwetu. Karne ekspedycje hetmańskie i «porządki» zaprowadzane przez Niemców przy odbieraniu od chłopów zakupionego dworskiego ziarna, szalały w poszczególnych wsiach.

Głuchy pomruk wydarł się z piersi ludu, patrzącego, jak karano jednakowo winnych i niewinnych, i szedł przez szerokie ukrainne ziemie, potężniejąc z dniem każdym:

«Krywda!... Krywda!... Krywda!...»

. . . .

W pierwszych dniach po wyborze hetmana przyszło do nas paru gospodarzy lemieszowskich w celu zakupna rasowych cieliczek na chów. Po dokonanym wyborze i dobiciu targu jeden z nich rzekł, śmiejąc się:

— A czy pany wże czuły (słyszeli), szo wid nas jizdyły w Kijew dielehaty protiestowaty protiw wybora hetmana?!

— Nie. Nikt nam o tem nie mówił. I z czemże powrócili?

— Z nosom dołhym aż do Wołodarki. Dobre ludy każut: «Ne suń nosa do czużoho prosa!» Ony teper kajutsia (żałują), szo pojichały i hroszi stratyły na dorohu. Chtiły buty rozumniszcze, jak wsi, a teper majut za swoje!!

Rzecz miała się tak:

Po przeczytaniu w gazecie komunikatu urzędowego o świeżo dokonanym wyborze hetmana, rewolucyjna część Lemieszowa urządziła burzliwy «schod», miotając obelgi na nowy «pański» rząd i na przekupionych zdrajców «chliborobów». Wogóle w ówczesnem chłopskiem pojęciu ideałem prawdziwej wolności był brak wszelkiego rządu i korzystanie z dworskiej ziemi bez potrzeby płacenia podatków na armję i administrację państwową. Znaleźli się dwaj działacze, przedsiębiorczy i pełni wiary we własny rozum, gotowi do wycięcia tej prawdy w oczy samemu nawet hetmanowi. Objawili tedy chęć pojechania do Kijowa i wytężenia wszelkich sił w walce przeciw nie przez nich obranemu naczelnikowi Ukrainy. Zebrani na «schodzie» z hałaśliwemi okrzykami powitali to bohaterskie postanowienie, i delegaci, dumni z ustnie im danych pełnomocnictw, wyruszyli natychmiast w drogę.

Przyjechawszy do Kijowa, udali się (niewiadomo dlaczego) do gmachu Dumy miejskiej. Weszli butnie do wnę-

trza, nie zdejmując umyślnie czapek, nasadzonych z fantazją na prawe ucho. Woźny spytał ich grzecznie:

— W jakiej sprawie przyszliście, hospoda, jeśli wolno wiedzieć?!

Lemieszowscy politycy wzięli się ręką pod bok:

— My dielihaty seła Lemieszowa, taraszczanskawo ujezda stryżawećkoj wołosti. A prijichały my po licznomu diełu do hetmana (prywatny interes).

Woźny spojrzał na nich uważnie i skoczył na górę, po schodach. Za chwilę był już z powrotem.

— Proszę was, hospoda, za mną.

Uświadomieni mężowie szli po schodach, stukając hałaśliwie butami, w przekonaniu, iż hetman oczekuje ich niecierpliwie. Lecz zamiast niego ukazał się na korytarzu urzędnik:

— Podobno macie jakiś ważny interes do hetmana? O cóż to chodzi? Możebym mógł być wam pomocnym?

— My chtiły baczytyś z hetmanom, ale i wam możem skazaty, szo prijichały my protiestowaty protiw wybora hetmana! My dielihaty wid seła Lemieszowa! — pysznili się swoją godnością.

— Ach tak?! — rzekł urzędnik z uznaniem. — Chodźcie za mną, pomówimy o tem obszerniej.

Weszli we trzech do jakiegoś oddalonego pokoju.

— Siadajcie, hospoda hraždany — zapraszał ich uprzejmie urzędnik. — Hm, to bardzo ciekawy ten wasz protest. Czy w imieniu całej wsi tu jesteście?

— Ni! Tamti bałwany tiszatsia z nowoho poradku.

— Więc zaczekajcie tu chwilę. Doniosę o waszem postanowieniu hetmanowi.

Wyszedł, a po pewnym czasie wsunął się do pokoju woźny i postawił na stole dzban z wodą i chleb. W milcze-

niu zbliżył się do drzwi i zamknął je starannie za sobą. Delegaci, zostawieni w samotności, spojrzeli po sobie z niepokojem, tknięci mocno przykrem przeczuciem. Jeden z nich skoczył ku drzwiom... Zamknięte!...

Po upływie dwudziestu czterech godzin klucz brzęknął w zamku i do pokoju wszedł znany już urzędnik:

— I cóż obywatele, czy protestujecie jeszcze przeciw wyborowi hetmana?!

Delegaci porwali się z krzeseł z pośpiechem:

— Ni! Ni! Robit szo choczete, tylko pustit nas do domu!

— Ależ oczywiście. Przecież tu nie jest więzienie. Podpiszcie tylko akt wyboru hetmana.

Lemieszowscy działacze podnieśli z przyzwyczajenia rękę w kierunku głowy i poskrobali się za uchem z zakłopotaniem:

— Te... Kołyż my nehramotnyje!... — przyznali się wreszcie ze wstydem.

— Niczewo! Niczewo!! — pocieszał ich urzędnik z ojcowską dobrotliwością. — Można i krzyżykami... Widzicie? Ot tu, w tem miejscu... Doskonale! A teraz drugi... niżej, niżej nieco... Tak. Znakomicie... Możecie już jechać do domu, obywatele!

BŁYSK ZWYCIĘSTWA.

Wbrew dolatującym do nas wieściom o przymusowem odbieraniu zagarniętych majątków z rąk chłopskich, nie czyniliśmy najmniejszych wysiłków w tym kierunku, postanowiwszy doczekać się chwili, gdy wieś sama zwróci nam folwark i inwentarze. Chłopi zaniepokoili się tym niepojętym dla nich objawem wyrozumiałości i już kilkakrotnie zaczę-

piali na drodze Kaliksta, przejeżdżającego konno w bliskości skarbowych łanów:

— Proszu pana! Koły wże pan widberut wid nas filwarok i chadziajstwo?! Krutymosia jak durnyje i sami ne znajemo, szo robyty!!

— Przynieście do dworu klucze od stodoły i budynków! — rzekł Kalikst stanowczo — wtedy będę pewny, iż uznajecie mnie za właściciela i sami dobrowolnie zwracacie mi moją własność! Zostańcie z Bogiem! — Ściągnął lejce, koń ruszył kłusem z fantazją, a chłopi zostali pośrodku drogi, spoglądając na siebie z zakłopotaniem.

Wreszcie pewnego wieczora dano nam znać, iż przyszła deputacja z Raczek.

Wyszliśmy natychmiast oboje do kancelarji. Jeden z gospodarzy położył pęk ciężkich kluczy na biurku na najwidoczniejszem miejscu i przemówił w imieniu pozostałych:

— Wczera buł «schod» w Raczkach, i wsi, jak jiden czołowik, poreszyły wernuty panu pańskie dobro! Filwarku my ne zaczepyły, chudoba i maszyny w poradku, tylko — tu się zająknął na chwilę — nepryjemno przyznatysia, szo pszenyciu i żyto ludy pomeż sebe rozibrały z kłuni (stodoły)! Nechaj wże pan darujut i sami cinu złożat za ciu poteru! Zapłatymo, skilko pan skażut!

— Nie! — rzekł Kalikst bez namysłu — Na to się nie zgadzam! Byliśmy przedtem dobrymi sąsiadami i dalej chcę z wami dobrze żyć. Teraz przednowek i o grosz trudno, a ja potrzebuję robotnika na żniwa. Odrobicie mi to, co winni jesteście! Wam będzie lżej, a mnie dogodnie. Czy zgoda?

Lecz już chłopi wszyscy rzucili się do niego, całując w ręce i wołając z prawdziwą wdzięcznością:

— Diakujem panu!! Sto raz diakujem!! Chociaj zabrały

my pańskij majontok, a prote ne znyszczyły nic! My szanowały pańsku praciu!

— My ne wiryły, szo ce dołho bude! Szcze nikto z czużoho ne rozbohatił!

— Jaka ce słoboda, proszu pana?! Na zymu zemlu podarowały, a wesnoju wże widibrały! My tylko kłopot miały z filwarkom!!

Po odejściu delegatów wyciągnęliśmy do siebie ramiona z uniesieniem. Poczucie zwycięstwa bez łez, bez krzywd, bez gwałtu — przepełniało nam pierś. Za noce bezsenne!... za straż ofiarną na tej zagrożonej placówce!... za dreszcz trwogi, przeszywający nieraz zwątpiałe serca, spływała na nas w owej chwili królewsko hojna zapłata! Jak dzieci, lub jak królowie, zapragnęliśmy obejść nasze dziedzictwo. Zeszliśmy szybko po schodach wejściowych i przez trawniki i mostek dostaliśmy się na drugą stronę stawku. Tu usiedliśmy pod szemrzącym baldachimem wiekowej brzozy. Niebo było pogodne i połyskujące gwiazdami, jakby ktoś niewidzialny wbił w nie zrzadka skrzące się gwoździe dla podtrzymania rozpiętej nad ziemią zasłony. Mknęły po niem wąską smugą leciuchne, białe żagielki nikłych obłoczków. Zapachy ziemi, wygrzanej w słońcu, drzew, pól, łąk i rozkwieconych sadów przepajały powietrze, tworząc harmonję woni równie subtelną i upajającą, jak natchnione, muzyczne tony, lub słowa pieśni. Wysoko, u góry, zawisnął księżyc, niby okrągłe świecidło z błyszczącej lamy, srebrząc przestworza i ziemię szczodrze swą wnikającą wszędy poświatą.

Przed nami, na wzgórku, dom wrósł w tę ziemię granitowym cokołem. Drzwi od ganku otwarte były naoścież. Lśniły bronzowe okucia przy drzwiach i oknach.

— Takiżeś hardy i pewny pogodnej przyszłości, miły przyjacielu?!... Nie straszni ci już bandyci?... Nie groźni

rabusie?!... Minęły nareszcie chwile nierównej walki! Z zagrożonej reduty, z placówki Śmierci, stałeś się znów warownią polskości!!

Wzdłuż stawku, w cieniu brzóz, szeleszczących wieczorne hejnały, przez drogę wjazdową weszliśmy do olszyny. Mroczno tu było wśród czarnoczubych, śmigłych i gęsto rosnących drzew; parę razy zapadliśmy w niewielkie trzęsawiska, lecz dziś wszystko miłem się zdało i zabawnem. Usiedliśmy na wysokim brzegu okrągłej sadzawki, z której czerpano zwykle wodę do podlewania kwiatów i warzyw. Odbijały się w niej ciemne pióropusze olch, tworząc czarną przepaść, bez dna... W leśnem podszyciu krzewów, słowiki-minstrele wyczarowywały z gardziołków, bez chwili wytchnienia, namiętne tony miłosnych uniesień. Wokoło nas, pomimo pozornej nieruchomości, wszechświat drżał w nieustającej harmonji obrotów. Skrzyły się mirjady słońc, wirowały światy, przebywając zakreślone przed wiekami drogi. Upojeni radością, pewni szczęśliwych dni w przyszłości, poczęliśmy snuć marzenia, milsze, piękniejsze jedne od drugich.

— Żyjemy w czasach tak niespodziewanych, żywiołowych przewrotów, gdzie chwila za wiek starczy nieledwie. I któż przewidzieć jest zdolny, co nam przyniesie dzień jutrzejszy? My sami czynami naszemi kreślimy historję epoki...

— Tak, bezwątpienia! A może bliska jest ta godzina cudów, gdy w zawierusze wojennych upadków i zwycięstw Turek napoi konia w Horyniu, i spełni się przepowiednia Wernyhory, zadrżą nowem życiem rycerze Bolesławowi, śpiący pod Gewontem, i Polska dawna, nie twór bezwolny niemieckiej perfidji, lecz Polska dostojna, zjednoczona, władztwo wspaniałe Jagiellonów i Piastów, odwali głaz niepamięci i stanie wśród gromady ludów, domagając się praw sobie wydartych!

— I cóż stąd, że w dniach upadku i zagłady zginęły dawne insygnja koronne?! Miast brylantów i drogich kamieni niech na Twem jasnem czole, o Nowa Polsko, zabłyśnie gwiazda 3-go Maja! Niech szczęście wszystkich Twych dzieci będzie najdroższym Twym celem! Nie chcemy Polski szlacheckiej! Nie chcemy chłopskiej, robotniczej, mieszczańskiej, międzynarodowej, partyjnej, klasowej!! Matką nam bądź, Ojczyzno — jedyna, niepodzielna, z promieni serc naszych własną promienność rozjarzająca!

— Wszakże tak twardą szkołę przebyliśmy w niewoli! Więc może teraz, teraz dopiero wejdzie w życie wyzwolonego narodu przecudne, testamentowe zlecenie ostatniego z Jagiellonów, że tylko miłość łączyć ma ludy pod znakiem Orła Białego osiadłe, że tylko miłość, jak cement najtrwalszy, wzmacnia, spaja, nierozerwalnem czyni to, co Czas, mocarz niechybny, rozkruszyć chyżo potrafi!

— Odrodzić się winien po latach udręki i męki, gdy protest niewolników wtłaczano im w pierś, ranami ziejącą, — odrodzi się wiernie, zabłyśnie, do chwały powiedzie dawny, przemądry zmysł państwowy! I czynem stać się mogą zamysły przenikliwego Wazy, i Polska — jak ongi do Litwy — do Rusi wyciągnie ramiona! Litwa, Polska i Ruś! Trzy siostrzyce, wspólnością celów związane, w dostojeństwie — równe, w praw niezłomności — jednakie!

— Zakwitną te Kresy najmilsze pod słońcem Wolności istotnej! Zedrzemy z nich mroki nieuctwa! Tysiączne światełka zabłysną po dworach i chatach. Szkółki dla dziatwy schłopiałej szlachty! Szkółki dla ludu ruskiego! Niech wraz z nauką płyną prądy prawdziwej kultury! Niech dzieci nasze nie drżą już nigdy o życie własne!

— Zmniejszymy chętnie własne obszary. Dla dobra wszystkich dla szczęścia wszystkich!

— Walka z pijaństwem! Walka do ostatniego tchu! Precz z niem na zawsze! Niech te bogactwa z ziemi płynące, wieś przyozdobią nowym powabem! Murowane chaty, blaszane dachy, rosłe bydło i konie, lud ufny — dwór, przyjaciel wypróbowany, co własną ziemią skąpe nadziały chłopskie powiększył!...

Ach! Marzyliśmy tak — i marzyliśmy długo w tę niezapomnianą noc majową, jak szaleńcy, jak straceńcy, nad którymi już zawisnął miecz kata!...

A jeśli nasze osobiste umiłowania nawiązywaliśmy do całokształtu spraw ogólnych, jeśli kochaliśmy majestat odrodzonej, doskonałej Polski goręcej, niż to cudem ocalałe gniazdo nasze — nie było w tem naszej zasługi, lecz tych bliskich i drogich, co w niedalekiej przeszłości, wśród rozpaczliwych walk powstańczych, umieli rzucić na szalę losów swe życie i mienie dla Ciebie, miła Ojczyzno!

I tych bohaterskich zapaleńców, co w beznadziejne dni 63-go roku poszli między ten lud z wyciągniętemi przyjaźnie dłońmi, ze «złotą hramotą» na ustach... i padli, zarąbani na miejscu, padli jak męczennicy, nie chcąc ani jednym wystrzałem «do braci» bronić własnego życia!

I tych także cichych wygnańców, co w mroźnej pustce Sybiru, w męce katorgi, w długoletniem zamknięciu wśród szarych, więziennych ścian, przechowali w niezłomnem skupieniu ducha tę niezachwianą, tę droższą nad wolność miłość Ojczyzny, i umierając zdołali nam ją przekazać, jak bezcenną, utajoną świętość...

Przed nami stał sad nieruchomy, w rozłożystości czerniejących gałęzi, kryjąc pod liśćmi bogactwo owocowych zawiązków. Las grał na konarach wieczorne pieśni — niekiedy lekki i krótkotrwały wiatr przebiegał po wierzchołkach drzew, niby dłoń dziewczęcia po strunach harfy, i ulatywał z szelę-

stem listowia. Las drżał... ostrzegał... Nie pojęliśmy wówczas westchnień szumiących smętnie drzew! Myśleliśmy, iż cała natura wtóruje nam do hymnu zwycięstwa, a tymczasem...

TARASZCZAŃSKIE POWSTANIE.

W parę dni później Kalikst wyjechał z domu do Tetijowa dla wyszukania nowych pomocników rolnych. Było około 6-tej rano; leżałam jeszcze w łóżku. Turkot szarabanu przycichał w miarę oddalania się od dworu, i nastał zwykły wiejski spokój. Nagle w tę ciszę wdarł się stuk butów, brzęk broni, gwar wielu głosów, hałaśliwe odsuwanie krzeseł w sąsiedniej jadalni, oddzielonej od naszego pokoju cienką ścianą. Serce zatętniło z taką mocą, aż brakło mi tchu... Wytężyłam słuch... Banda?!... Skądże znowu?!!... Przecież Niemcy... spokój...

Drzwi od sypialni gwałtownie się otworzyły. Wpadł Kalikst, chwycił rewolwery z szafeczek przy łóżkach, rzucił mi je pod poduszkę:

— Banda!! Szukają karabinów maszynowych!! Odważnie!!

Zaledwie zdążył to wyszeptać, gdy kilkunastu uzbrojonych żołnierzy i chłopów wdarło się do pokoju.

— Wstawajte!! — wołał dowódca, tęgi, czarny chłop, dostatnio przyodziany, z rewolwerem w ręku. — Wstawajte! My tutka pryszły ne na zabawu, a rewizju zrobyty!! Widdajte zrazu pulomioty i liworwery!! Ne majete szczo chowaty! Peretrasem wseńkij dwir, znajdem i tak zaberem!!

Jeden z żołnierzy zakrzyknął groźnie:

— Znajem wse!! Wy tutka nachowały zbroni na toj bidnyj narod!!

Kalikst oparł się o kolumnę i patrzył obojętnie w oczy dowódcy, trzymającego wciąż rewolwer w wyciągniętej ku nam ręce:

— Szukajcie! Powtarzam, że nie znajdziecie tu ani armat, ani kulomiotów!

Mocna tem przeświadczeniem, że dotychczasowe zachowanie się nasze względem wsi było bez zarzutu, odezwałam się śmiało:

— Czego od nas żądacie?! Czy zrobiliśmy wam jakąś krzywdę?! — Spojrzałam w stronę dwóch lemieszowskich gospodarzy, przyprowadzonych tu snadź w roli świadków. Ci stali na uboczu, bez broni, spuściwszy głowy i patrząc uporczywie w posadzkę. Widoczne było, że w napadzie czynnego udziału nie wezmą, lecz i bronić nas się nie odważą.

Młody, blady żołnierzyk wysunął się na czoło bandy:

— Wy szcze majete śmiłość' pytatysia, czoho my choczem?! Obrydła nam wże, do czorta, hetmańska wola! Nimeć sse nas jak pjawka! Wyżenem Nimcia, a z panamy krowopijcami, szo na neszczastnyj narod karatielnyje otrady posyłajut, zrobym wże poradok po swojemu! — prawił rezonerskim tonem, lecz nienawiść buchała z każdego słowa.

— Wstawajte! — wołał znowu zajadle prowodyr. — Nema szo tak dołho howoryty!!

— Wyjdźcie, to wstanę!

— Chodim, chłopci! — odezwali się pojednawczo lemieszowscy. — Pani ne wypadaje pered wamy ubyratysia! — i wysunęli się natychmiast do sąsiedniej łazienki.

— Chaziajin (gospodarz) wpierod! — rzekł rozkazująco prowodyr i położył rękę na ramieniu Kaliksta.

Wyszli wszyscy, stukając karabinami i podkutemi butami. Wyskoczyłam szybko z łóżka... Jeden rewolwer pod klęcznik... dobrze! Zaledwie się zmieścił! Jeśli odsuną — to

razem... Drugi?!... Już się dobijają do drzwi... Zaraz!... Ujęłam go kolanami. Doskonale... Teraz koc na plecy... Owinęłam się cała i przytuliłam do ściany... Głowa zwieszona... postawa bezwładna... Może dadzą mi spokój i nie będą rewidowali...

Banda już wpadła z powrotem. W pokoju powstał chaos niezwykły. Leciała bielizna z półek lustrzanej szafy... dwóch żołnierzy przypadło do mojej gotowalni, i zażądawszy kluczy, wysunęli szufladki, zanurzając chciwie ręce w różnych drobiazgach. Dwaj inni klęczeli na posadzce, wyrzucając na dywan zawartość niewielkich szafeczek. Góry rzeczy, potłuczonych w pośpiechu gracików i pootwieranych pudełek, walały się na posadzce. Chwilami coś chrupnęło lub pękło z hałasem pod butami uwijających się żołnierzy.

Kalikst spytał z udanem zdziwieniem:

— Czego wy właściwie szukacie? Przecież w tych szafeczkach kulomioty pomieścić się nie mogą.

— Mołczy!! Ne twoje diło!! — odburknął któryś zuchwale.

Tamci nie zwrócili nawet uwagi na ten fragment dosadnej rozmowy, tak byli szczerze zajęci badaniem pustych jubilerskich pudełek. (Klejnoty mieliśmy dawno i dobrze schowane).

— Bacz?! Puste!... Ot dywo! — szepnął jeden do kompanów, stojących gromadnie przy wysuniętej szufladzie. Zawód i gniew malowały się na ich twarzach.

— Nie zabijecie nikogo naszemi rewolwerami! Nie przysporzą wam one zdobyczy! — powtarzałam sobie w myśli, ogarniając wzrokiem z pod przymkniętych powiek ten szalony zamęt i rujnację w naszym ślicznym, cichym pokoju. Szafa stała otworem i puste półki wyglądały dziwnie sieroco. Tylko najwyższa, niepojętym trafem nie została ogo-

łocona, a tam właśnie w saszecie z chustkami leżały dość znaczne pieniądze. (Okazała kasa w kancelarji obudzała w nas już oddawna nieprzezwyciężoną nieufność). Wtem głośny okrzyk tryumfu wydarł się z piersi dowódcy, burzącego zapamiętale nasze posłania.

— A ce szczo?!! — potrząsał malutkim rewolwerem, wydobytym z pod spiętrzonych poduszek. — Czom wy kazały, szo liworwerow ne majete wdoma? Zwitki win wziałsia?! Baczyte?!! — wyciągnął tak rękę, że lufa znalazła się naprzeciw oczu Kaliksta.

Zacisnęłam zęby z taką siłą, aż zabolało mię w skroniach. Nie okazać przestrachu! Nie ugiąć się przed tym motłochem! Jak letnie, krótkie błyskawice, mignęły w umyśle urywane zdania: Pewno tak samo... szlachta francuska... na gilotynę!...

— To mój rewolwer! — odezwałam się słabym głosem. — Mąż wyjeżdża często z domu... Zostajemy same kobiety...

Kalikst rzekł chłodno:

— Widzę kulę, ale nie pojmuję, dlaczego tak mi grozicie ? Nie uciekam — przeciwnie, najchętniej oprowadzę was po całym domu.

— Mołczy i wedy!! — wrzasnął mu nad uchem rozwścieczony prowodyr.

— Nechaj ide wpered! — domagali się żołnierze, obawiając się widocznie strzału w plecy. Wyszli znowu gromadnie. Stuk karabinów o posadzkę, hałas podniesionych głosów zabrzmiał w jadalni przez rozwarte wszędy drzwi i zamierał powoli. Poszli widocznie na drugą stronę dworu.

W jednej chwili byłam już przy oknie. Nie widać nikogo wśród drzew... Rewolwer pada w krzak jaśminu... Te-

raz drugi... z pod klęcznika... Tak. Dzięki Bogu! Ubrałam się z błyskawiczną szybkością. Ratować Kaliksta!!

Wypadłam przez boczny ganek na podwórze. Tu stali żołnierze z bandy, rozstawieni snadź na straży. Jeńcy nasi i służba dworska rozmawiali z nimi przyjacielsko, zwróceni w stronę Czerepina, skąd dolatywał huk strzałów karabinowych. Stanęłam strwożona:

— Nie wiecie, gdzie to się biją?!

Żołnierz, oparty na karabinie, spojrzał na mnie z zuchwałą pogardą:

— Ce hetmanskij, karatielnyj otrad tak boronytsia! Pryszły poradkowaty w Czerepyni i szkiru derty z bidnych ludej! Ne dołho wże ich panowania. Zaperły my wsich w stodole, hde poliahały spaty, i pidpałyły z czetyroch storon! Może speczutsia, jak peczenia, a jak im pryjde do hołowy skakaty z dachu na zemlu, to wseńkie seło smert' im tam zrobyt!

Towarzysz poparł te wywody, przemawiając raczej do służby i jeńców, niż do mnie:

— Nasz starszyj toż z Czerepyna. Zibrał kompanju i piszły my razom porachowatysia z panamy, szo na nas takich rozbijnykiw posyłajut!!

Jawdoszka spojrzała na mnie i nagle przypadła do moich rąk:

— Nechaj pani budut spokojny! My tutka wsi każem, szo nasz pan dobryj, Nimcia ne kłykały, hetmancew ne posyłały, ludiam swoju krywdu podarowały! Jak ony perekonajutsia, szo w dwori pulomiotow nyma, to pidut spokojno swojeju dorohoju!

— Bacz, jaka rozumna! Paniw budesz oboroniaty! Skilko ony tobi dały za taku wirnost'?!

— Widocznie to jest prawda, kiedy lemieszowscy lu-

dzie stają w naszej obronie — zaczęłam żywo, lecz Jawdoszka wciągnęła mnie z powrotem do domu:

— Cyt, cyt, proszu pani, nietrzeba ich draznyty! Ja już posłała na wieś po Jasińskiego i po chłopców. Niech przyjdą pana poratować! Dobrze zrobiła, czy nie?! Jak pani zdajetsia?

— Nie mogłaś lepiej postąpić! Daj mi tylko znać, gdy nadejdą, a tymczasem wracam do pana.

Przeszłam pośpiesznie przez pokoje, szukając obrońców ludu. Z gabinetu Kaliksta dolatywały krzykliwe, brutalne głosy. Na bilardzie leżało parę karabinów, bibljoteczne szafy splondrowano bezładnie... Z wysuniętych szuflad biurka sterczały porozrzucane i zmięte w pośpiechu papiery... Ogromny orzeł z rozpostartemi skrzydłami, trofeum myśliwskie, ważący się nad staro-niemiecką, szeroką sofą, zdawał się grozić zakrzywionym dzióbem gospodarującym tu napastnikom. Ci stali w owej chwili przy okrągłej, ruchomej półce, obciążonej książkami, i oglądali z zajęciem znakomitą lornetkę, zawieszoną tu w skórzanej pochwie. Nabyliśmy ją ongi w Szwajcarji, wałęsając się po górach.

— Bacz, jak daleko wydno?! — zachwycał się dowódca, przykładając mocne szkła do oczu. — Wołodarśka doroha, jak na dołoni!

— Treba nam ce wziaty! Zdastsia ne raz taka sztuka pid rukoju! — doradzali żołnierze.

— Nacóż wam to potrzebne na ukraińskich stepach?

— Ależ pozwól, moja droga — przerwał żywo Kalikst, — jeśli ci panowie nie posiadają binokli, to niech raczej biorą te, niż inne. Szkła są istotnie pierwszorzędne.

Uśmiechnęłam się mimowoli pobladłemi ustami, do tego stopnia wymowny był kontrast pomiędzy grozą sytuacji a tonem Kaliksta, przemawiającego do tych rabusiów

z uprzejmością gospodarza, pragnącego przysłużyć się miłym sąsiadom.

Dowódca przerzucił przez ramię rzemyk od lornetki. Była chwila ciszy, tylko zegar-staruszek na kolumience w rogu wystukiwał sekundy z przykładną dokładnością.

— Nu, chadziajin, chodim dalej!! — znów groźba rewolwerem w kierunku skroni...

Przeszli wszyscy do kancelarji. Tu stała w kącie ogniotrwała kasa imponujących rozmiarów. Szmer zadowolenia wydarł się z ust powstańców. Kalikst już otwierał grube, stalowe drzwiczki...

— Nabity brauning w skrytce... Odwróci się... zabije czterech, pięciu w najlepszym razie... reszta rozszarpie nas na kawałki... — myślałam niespokojnie.

— Szukajcie! — rzekł Kalikst w tej chwili, usuwając się na bok i przyjacielskim gestem zachęcając do zrewidowania wnętrza.

Skoczyli wszyscy, wsuwając ręce, plondrując chciwie, bacząc pilnie, by się któryś niepostrzeżenie nie obłowił...

— Bacz, hroszi!! Pereliczyt, chłopci!... Anu, skoriszcze!! Jidna, dwi, try, cztyry, piat', sto rubliw!! Ce ne może buty!!! Szukaj lipsze... może zdybesz szcze... Hdeż wy podiły swoji hroszi?!... Takij bohatyj dwir!! — My dumały, szo naberem tutka połny kieszeni rubliw dla powstancew... a bacz, pereszukałysmy wsiuda, od hory do dołu, i niczoho ne znajszły! — burzył się dowódca.

— Tutka dobra na miljony!! — sarkali zawistnie żołnierze.

Lemieszowscy za ich plecami uśmiechali się złośliwie. Kalikst, spokojny i obojętny wobec tego rozczarowania, nie wychodził z roli grzecznego gospodarza:

— Rada Centralna skonfiskowała mój majątek, chłopi zabrali ziarno ze stodoły, cały przeszłoroczny urodzaj. Gdy-

bym sprowadził Niemców, byłyby pieniądze, i to grube, w kasie. Wolałem jednak skończyć te porachunki zgodnie z gromadą.

Dowódca położył rękę na ramieniu Kaliksta:

— Wy arestowany! Jidete z namy. Zaprahaj!

Żołnierz wybiegł pędem z pokoju, wypełniając posłusznie rozkaz.

— Dokądże go wieziecie?... Ja jadę również!!

— Sidaj! Czomu ni?! Koniam wid toho tiaższe ne bude!! Petro! Łety duchom do stajni, szob zaprahły do wizka, i zajiżżaj!!

Powstańcy zbili się w gromadkę, naradzając się półgłosem. Staliśmy na uboczu i nie zwracano na nas uwagi.

— Byliśmy nawet na strychu — rzekł Kalikst szeptem. — Ale teraz nie opuszczaj domu! Obawiam się rabunku!... Wiozą mnie na wieś, a tam nie pozwolą mnie zabić.

Zajrzałam mu w oczy z lękiem:

— Prawdę mówisz, czy tylko pocieszasz?!

— Prawdę. Zostań... Bądź spokojna...

Szaraban zaturkotał przed gankiem.

— Jidemo! — zakrzyknął nakazująco dowódca.

— Wychod'te! — zwrócił się do nas surowo. — Pylnujte ich, chłopci!!

Wyszliśmy wszyscy na ganek. W tej chwili od strony zabudowań folwarcznych ukazało się kilkunastu parobczaków. Na ich czele szedł Hrehorko, brat Jawdoszki. Była to spodziewana odsiecz

— Hej, towaryszczi!! — zawołał chłopak odważnie — szo wy tutka robyty?! Ostawte toho pana! Ce ne woroh narodu! Win zła nikomu ne życzyt!! Chodim lipsze do jinszych paniw!!

Dowódca zbiegł ze schodów i przyskoczył do parobczaka:

— Ty dureń jiden z druhim! Budesz mini radu dawaty!! A pulu w łob choczesz?! — krzyczał z pasją, wywijając rewolwerem nad głową chłopca.

Ten cofnął się wystraszony i zamilkł. Za nim inni stali bezradnie.

— Sidajte na wizok!! Semen! Stań pry arestowanym! Pylnuj!! Za mnoj, chłopci! Podywymsia szcze, czy w stajni i w korowarni nyma hde pulomiotow!

Rozbiegli się natychmiast wszyscy wedle rozkazu. Kalikst już siedział na szarabanie, a Kornij, milcząc, trzymał konie na lejcach. O mnie zapomniano zupełnie. Widocznie tylko «pan» wchodził w rachubę.

— Drapie w gardle — rzekł Kalikst lakonicznie, wyjmując z kieszeni okrycia niewielkie pudełko z cukierkami, przygotowane wczoraj przez kochającą córeczkę jako deser po tetijowskim obiedzie. — Zgadałem się z tymi panami — i włożył cukierek do ust. Konwojujący żołnierz spojrzał nań z podziwem:

— «Widważnyj lach!!» — czytało się wyraźnie w jego oczach.

Powstańcy już wracali ze swych poszukiwań, nie znalazłszy oczywiście nigdzie karabinów maszynowych. Dowódca wskoczył na szaraban i umieścił na koźle dwóch uzbrojonych żołnierzy:

— W dorohu! Wio!! A wy wsi idit za namy! — wydał rozkaz powstańcom.

Dziarsko ruszyły konie z przed ganku. Kalikst odwrócił się i żegnał mię spojrzeniem i uśmiechem. Szaraban potoczył się szparko szeroką aleją wjazdową pomiędzy dwoma szeregami brzóz, poruszanych majowym wietrzykiem.

Oparłam się o balustradę ganku, wytężając wzrok... Szaraban mignął na mostku... już wyjechali z bramy...

Żołnierze szli tą samą drogą, ociągając się nieco, przynaglani przez lemieszowskich. Parobcy wiejscy, stojący dotychczas zdala, podeszli śpiesznie do ganku:

— Ne mohły my pana oboronyty! — rzekł, uniewinniając się, Hrehorko. — A pro te, nechaj pani ne bojatsia! Jak ne ubyły pana na pokojach, to w seli wże ne ubjut! Tam mużyki ne dozwolat! Chodim i my, bratcy, skoriszcze!

Odeszli wszyscy i aleja wjazdowa znów stała się cichą i pustą. Przeszło tak z pół godziny w zupełnym spokoju, pomimo to nie ruszałam się z miejsca, wyczekując z trwogą powrotu Kaliksta...

— Proszę pani! Panienka obudziła się i prosi panią.

Jawdoszka stanęła za mną i patrzyła w stronę bramy, skrzyżowawszy ręce na piersiach: — Sława Bohu, szo wże piszły! Ony ne wernutsia! Nechaj pani budut spokojny. I pan zaraz przyjedzie! Ludzie nie barany! Mają swój rozum!

— Zamykaj wszystkie drzwi, Jawdoszko! Powiedz jeńcom i służbie, niech stoją na straży koło dworu.

Przebiegłam szybko parę pokoi... Haneczka!! Czy słyszała?!... Co się z nią dzieje?!!... Wśród grozy śmierci, zawieszonej nad głową Kaliksta, zapomniałam o dziecku... Wpadłam do mahoniowego pokoju. Mała wyciągnęła do mnie ręce, uśmiechając się wesoło:

— Co się stało?! Nie wyciągasz mnie z łóżka, matusiu, tylko pozwalasz mi tak długo leniuszkować!

— Dziecinko moja droga! Nie słyszałaś?!... Czyż to możebne?!... Doprawdy?!... Napadła nas jakaś banda... przeszukiwali wszystkie pokoje... Przechodzili przez salon tyle razy! Wiesz, nie pojmuję istotnie... Przecież tu nawet drzwi niema, tylko pluszowa zasłona!

— To anioł-stróż nie wpuścił ich do mnie, mamusiu! Pewno stanął tu, skrzydłami oparł się o tę ramę w drzwiach i oślepił tych zbójców. Tak już gdzieś, kiedyś było... Naprawdę! Sama czytałam w tych cudnych bajkach...

— Ach, maleńka moja! Niestety!!... Dlaczegoż ich nie oślepił, gdy tatusia zabrali z sobą i powieźli na wieś...

Mała zbladła: — Tatusia zabrali?!... I nikt, nikt nie bronił?!...

— Któż miał bronić?! Ich było kilkunastu, uzbrojonych od stóp do głów, weszli znienacka, a wiesz dobrze, że jeńcy nasi życia nie będą narażali dla obcych zupełnie ludzi. Nie dziwię się im zresztą! Tatuś pojechał spokojny i pewny, że chłopi nie mają racji nastawać na jego życie...

Haneczka uklękła na łóżku i zarzuciła mi rączki na szyję.

— I ja tak myślę, a prawda, matusiu, mam zawsze prawdziwe przeczucia?! Jak mi coś stuknie w serduszku, że będzie «tak», albo «nie» — to potem tak się jakoś wszystko zrobi, jak mi się zdawało! Tatuś taki dobry, taki kochany, sprawiedliwy. Prawda, mamusiu? A chłopi to lubią! I tatusia lubią!! O, ja nieraz słyszałam, jak chwalili tatusia! Już masz mokre oczka... Nie trzeba! Nie, nie!! Zobaczysz, tatuś....

Chwyciłam ją za rączkę:

— Cicho!... Słyszysz?!... Turkot...

Przeleciałam pędem przez salon i jadalny... Za mną dreptała bosemi nóżkami Haneczka w długiej, nocnej koszulinie... Szaraban odjeżdżał powoli do stajni... Po schodach wejściowych biegł na nasze spotkanie Kalikst...

. . . .

— Wróciłem tedy do was zdrów i cały!... A chwila była groźna i decydująca o losie nas wszystkich! Bóg łaskaw! Mogło być gorzej!...

Siedzieliśmy we troje w mahoniowym pokoju na małej, staroświeckiej kanapce, ukochanej pamiątce po moich rodzicach. Haneczka na kolanach tatusia, ja — przytulona do jego ramienia. Słuchałyśmy każdego słowa z nieopisanem szczęściem, że on żyje... jest tu... obok nas... rozmawia z nami.

— Niepodobna mi prawie opisać wam mego zdumienia, gdy, wyjechawszy dziś z rana z domu, ujrzałem nagle tuż za białą bramą, koło domku ogrodnika, gromadę żołnierzy, wysuwającą się z za drzew. Konie stanęły jak wryte, chwycone za wędzidła u pysków. Ten czarny chłop z Czerepina, który komenderował całą bandą, podszedł do szarabana:

— Ne znajete, kto chaziajin toho dwora?

— Majete jeho pered soboju!

— Zawertaj! Jid' do dwora!... — zakrzyknął ostro do Kornija. Kilku żołnierzy wskoczyło do szarabana — reszta szła za nami przyśpieszonym krokiem. Weszliśmy do przedpokoju niepostrzeżenie — drzwi były otwarte. Dalszy ciąg już znacie...

— Opowiedz nam teraz wszystko, szczegółowo, co do słowa, co się z tobą działo od chwili aresztowania? Jak was wieś przyjęła, co mówili, jak ciebie wyratowali?

Kalikst zaśmiał się nagle:

— Udała mi się wyprawa do Tetijowa?! Co?!... Odjechaliśmy od ganku w milczeniu. Za bramą konie zwróciły w stronę Lemieszowa, tak jak przypuszczałem, i brnęły powoli w piaskach przez las sosnowy. Dopiero na stepie, dzielącym dwór od wsi, ruszyliśmy z kopyta, a jednocześnie dowódca rozpoczął ze mną poufną rozmowę. Te

przeskoki w nastroju chłopskim są naprawdę oszołomiające! Dowiedziałem się od niego, że już oddawna agitatorzy namawiają lud do powstania przeciw Niemcom i karnym oddziałom. Ruchem tym kieruje podobno Szynkarenko, dawny minister ukraiński, który obrał sobie siedzibę w Holenderni, pod Żaszkowem. Nasza banda składała się z ośmnastu zdemobilizowanych żołnierzy i chłopów z Czerepina i paru okolicznych wsi, zdecydowanych na zbrojny opór i walkę z hetmańskimi. Wjechaliśmy tymczasem do Lemieszowa, mignęły pierwsze chaty... Dowódca stał się nagle zgoła innym człowiekiem. Wyprostował się, ściągnął groźnie brwi: — «Dosyt' wże toj mowy!! Ani słowa bilsze!»

Chłopi patrzyli za nami ze zdumieniem, nie pojmując dlaczego jadę z taką eskortą. Stanęliśmy na wygonie, pośrodku wsi, — dowódca zeskoczył zwinnie z szarabana i począł przemawiać z zapałem. Ludzi zebrało się dość, jak zwykle w niedzielę, stali tedy gromadkami i słuchali z osłupieniem. Jak Lemieszów Lemieszowem, nie było tu jeszcze takiego oratora! Niemieccy najeźdźcy, chciwi na bogactwa ziemi, hetmańscy siepacze, wymierzający karę bez litości i sumienia, panowie-krwiopijcy, łaknący tego pogromu niewinnych, kulomioty, bomby, mordy, wsie podpalane z czterech stron, łuny pożarów, ryk bydła, rżenie uwiązanych koni, ginących w płomieniach — wszystko to przesuwało się przed zebranymi w jaskrawych opowieściach z imponującem, choć nieco chaotycznem, krasomówstwem.

Wyciągnął wreszcie rękę, wskazując na mnie: — «Majete pered soboju waszoho pana-krowopijca!! Ja wam jeho prywiz! Jak ptyciu wyder z zołotoj klitki!! Teper sud nad nym wże w waszych rukach. Każit, szo z nym zrobyty! Jakoju smertju jeho pokaraty?» — Stał tak nieruchomo, lubując się widocznie w komedjanckim geście. Nastała chwila



Ukrainka.



Podolanka. *Fot. Roman Podoski.*



Wieś podolska.

Fot. K. Dunin-Borkowski.

ciszy. Tylko konie rzucały niecierpliwie łbami, opędzając się od much, i brzęknął niekiedy dzwonek przy bałagulskiej uprzęży.

Pierwsze opamiętały się baby i zaterkotały szybko i piskliwie:

— Szo wam Boh dał?! Jaki tam pulomioty, bomby?!! Hdeż ony? Ta kto ich koły baczył?! Hospody! — plasnęły w dłonie ze zdumieniem. — Naszi diwczata chodiat kożnyj deń do dwora na robotu i czasom w pokojach poradkujut! Pulemiot ne szpylka! Ne prykryjesz jeho rukoju.

— W dwori treba robyty! Ce prawda!! Pany samy pylnujut i łedaczych ne pryjmajut! Zato hroszi płatiat! Krywdy nyma!! — rzucili drwiąco parobcy.

Starzy wsparli się na kijach i kiwając głowami spoglądali po sobie: — Słyszeli, wy susidy?!!... Ce napasť jakaś! My Nimcia nawet ne baczyły!!...

— A hetmanskich karatielnych otradow ne buło w Lemieszowie. I na fermu tož pan ich ne kłykały. Za szczo panu smerť robyty?!

— Tiażkij hrich na duszu wziałyby, jakby pana ubyły!... Ce pan spokojnyj! . . . .

«Pan» tymczasem siedział na wózku i radował się w duchu. W owej chwili spełniał się jeden z celów mego życia: Wieś mnie broniła! Wieś ratowała mnie od śmierci! Wieś płaciła mi dobrem — za dobro!

Czerepiński Demostenes zrozumiał w okamgnieniu zdrowym, chłopskim rozumem, że jego oskarżenia stają się śmieszne wobec protestu wsi, wypowiadanego z niewątpliwą szczerością, a nic tak nie zabija, jak śmieszność. Wyprostował się z powagą władcy, odpuszczającego winy przestępcy: — «Koły tak, i wy wsi, hospoda hraždany, ne majete žadnoj pretensji do toho pana, to nechaj pan wertajutsia do domu

i żyjut szczasływy!! — a wskoczywszy na stopień szarabana, szepnął mi do ucha: — A cije hroszi, szo pan majut pry sobi, to widdajte wże mini dla powstancew!!

Dostałem natychmiast pugilares i wyjąłem pieniądze: Bierzcie! Daję najchętniej. Niech tylko pójdą na dobry użytek. A wam wszystkim dziękuję za uratowanie mi życia. Z serca, z duszy — dziękuję!! I niech Bóg najwyższy płaci wam za mnie takiem szczęściem, takiem dobrem, jakiego tylko pragniecie!

— Jidte z Bohom!! — huknęła gromada.

Zdjąłem czapkę na pożegnanie: — Ostawajcie z Bogiem!!...

Kornij smagnął konie, aż przysiadły na zadach, a potem runęły naprzód, jak szalone.

— Wolniej... wolniej!! co ci się stało, człecze!!

— Pani tam straszenno bezpokoji się!...

Urwał wzruszony... Zaległa cisza. Nie znam cudniejszych chwil nad te, gdy usta milczą, a w myślach, w sercu, grają echa różnorodnych i najpodnioślejszych uczuć.

. . . .

Co to?!!... Porwaliśmy się z kanapki i przez salon wypadliśmy na werandę... Bębny warczały bez przerwy, na trąbach grzmiał rytmiczny, wojskowy marsz; chwilami dzikie okrzyki: Hu! Ha! wdzierały się w żołnierska chóralną pieśń... Jakieś wojsko posuwało się wołodarską drogą, zmierzając w stronę Lemieszowa. Od stajni biegli ku nam jeńcy i Kornij, — z oficyny wypadły zaciekawione dziewczęta. Znaczkowski, w białym fartuchu, z nożem w ręku, wyskoczył z kuchni.

— Jakieś żołniry idom — rzekł jeden z jeńców. —

Wiktor pognał już do sosen. Zara on tu naszlusuje i państwu recht wszyćko wygada.

Kalikst przyłożył do oczu lornetkę, ale ta nie dorównywała tamtej, zabranej przez powstańców, i ze znacznej odległości nie mógł rozpoznać, kto idzie — wróg, czy przyjaciel. Wiktor przypędził naprzełaj, przez trawniki, zdyszany:

— Powstancy!! Z peredu muzyka hraje, żołnir dobre futrowany, majom gwery, a na zadku kanony marszirujom! Ja ich spital: — Hde idete? — «Nimcia rizaty i hetmancew!»

— Słowem, powstanie w pełni! — skonstatował Kalikst spokojnie. — Dobrze poinformował mię czerepiński dowódca... Niema rady! Musisz natychmiast z małą wyjechać z domu.

— A ty, co zamyślasz?!...

— Ja zostanę bronić domu i naszej pracy.

— Więc brońmy razem, tak jak dotychczas. Nie opuszczę ciebie. Jeśli trzeba umierać — umierajmy razem!

Kalikst objął mię ramieniem:

— Rozważmy sytuację spokojnie i wszechstronnie. Dobrze? Wieś usposobiona dla nas życzliwie, dała tego dowody, ale bronić nas nie jest w możności — zbyt daleko. Na służbę i jeńców rachować również nie możemy. Widziałaś, jak się zachowali wobec bandy. Nie zorganizuję tedy żadnej obrony czynnej — zastosuję się do okoliczności, tak będzie najrozsądniej. Gdybyśmy dom opuścili, padłby bezwątpienia ofiarą rabunku, a przetrwał przecież gorsze chwile. Ta ruchawka długo trwać nie może, Niemcy stłumią ją lada dzień. Postawię zaraz na straży dwóch jeńców i zmieniać się będą co parę godzin. Pewny jestem, iż uprzedzą mię o zbliżaniu się nowej bandy i zatrzymają ją, a ja tymczasem mogę sko-

czyć w las i umknąć. Gdybyście wy były — oglądałbym się na was, was-bym przedewszystkiem ratował, i padlibyśmy wszyscy. Małej nie mamy dokąd odesłać — wszystkie dwory w okolicy zagrożone, równie jak nasz. Najbezpieczniej ci będzie u doktora Slęka w Wołodarce. Dawno już zapraszał nas do siebie w razie niebezpieczeństwa. To miasteczko, a przytem doktor im potrzebny. Odwagi, Maryś, przetrwamy i to! — I wyszedł, chcąc wydać odpowiednie rozporządzenia.

Oparłam się o drewniany słup werandy. Czerwone, pnące się różyczki muskały mi twarz aksamitnem dotknięciem. Lekki, majowy powiew orzeźwił zbolałą głowę. Wróciła energja i z nagłem postanowieniem przebiegłam dom i poszłam szybko do oficyny. Tu, w izbie czeladnej, służba i część jeńców zgromadziła się w owej chwili na obiad.

— Przyszłam do was z wielką prośbą! Widzicie sami co nam grozi. Jesteśmy bezbronni i na łasce powstańców. Pan postanowił wyprawić mnie z Haneczką do Wołodarki, twierdzi, że będzie mu łatwiej samemu uniknąć śmierci, a ja wam pana oddaję. Przyrzeczcie mi tylko, że pana nie opuścicie ani w dzień, ani w nocy, czuwając kolejno! Dość będzie pana uprzedzić o zbliżaniu się bandy — las blisko... można się uratować! Byleby was nie zaskoczyli znienacka! Nie mogę tu zostać... Gdyby, broń Boże, pan... przez nas...

Jeden z jeńców, Rusin ze wschodniej Galicji, odezwał się pocieszająco:

— Nechaj pani jidut bezpeczno. Ne damo wże pana ubyty. Strilaty do powstancew ne budem, bo ce ne nasze diło, a pana dopylnujemo. Ce insza ricz.

Juhas, Słowak, dodał szczerze:

— Nasz pan majut dobru hlawu. Żena z dzieckiem to jak szwery ruksak na plecy. Ni rechts — ni links! Jo!

— Ja sama wyjdę do powstańców, gdyby oni tu zaszli.

Zawedu z nymy taku rozmowu, szo pan budut maty czas na wse! — Jawdoszka wpatrywała się we mnie zacnemi, przywiązanemi oczami. — Taki ce prawda, szo samemu łehsze ratowatyś, jak z żinkoju i z detynoju. Budem wsi pana pylnowaty!

— Niech pani będzie spokojna! Nam powstańcy nic nie zrobią, a do pana ich nie dopuścimy!! — wołali inni.

— Dziękuję wam, moi kochani! Wy nie wiecie, jak mi ciężko...

— Pan zawsze wse rozumno obdumajut — rzekł Kornij z przekonaniem, — a pani nechaj słuchajut! Na to żinka!

Smutny i cichy był ostatni wspólny obiad w drogim naszym domu. Nie sililiśmy się nawet na rozmowę o rzeczach obojętnych — co do innych, mieliśmy serca przepełnione niemi po brzegi. Tylko Haneczka wywołała chwilową wesołość:

— Tatusiu, czy bandyci mają dzieci?!

— Naturalnie, córeczko. Przecież to ludzie, jak inni, tylko źli i szkodliwi.

— Tak? Naprawdę?! To proszę, tatusiu kochany, schować dobrze moje lalki i Przygody Kota... tę grę... wie tatuś, i wszystkie moje książki. Gotowi mi to pozabierać dla swoich dzieci, a straszna-by była szkoda mojej ślicznej bibljoteczki! Prawda, tatusiu?

Drogą wołodarską przeszły jeszcze parę razy oddziały powstańcze. Warta stojąca na straży dawała nam o tem znać, lecz do dworu wojska nie weszły. Wreszcie uspokoiło się wszystko dokoła.

— Wysyłam Wiktora konno, niech się przekona, czy droga wolna... Chociaż to dziesięć wiorst... może i tam być niebezpieczeństwo... Nie mamy jednak wyboru! Jedźcie w imię Boże! — Głos Kaliksta drgał powstrzymywanem wzruszeniem.

I znowu, po raz trzeci dnia tego, istotnie tragicznego, zajechał szaraban przed ganek. Rzuciłyśmy się z Haneczką w objęcia Kaliksta... ani jedna łza nie zamgliła nam oczu. Byliśmy zbyt smutni. Służba wyszła się z nami pożegnać.

— Niech Bóg panią prowadzi i jak najprędzej do nas powróci!

— Zostańcie z Bogiem! Pilnujcie pana!...

Konie ruszyły, a ja, odwrócona, obejmowałam miłośnie wzrokiem męża mego, stojącego na schodach, dom mój najmilszy, gdzie tyle radości zaznałam, żegnałam spojrzeniem ludzi, zabudowania dworskie, drzewa, krzewy, a żal łkał w sercu: Czy wrócisz tu kiedy?!... Czy wrócisz?!... Przejechaliśmy koło ogrodu owocowego. Jak ja lubiłam krzątać się tu na wiosnę... Olszyna... Tak niedawno, kilka dni temu zaledwie, snuliśmy cudne marzenia przy tej sadzawce... uszczęśliwialiśmy ludzkość... Żegnaj mi każdy kamyczku, każda grudeczko ziemi!... Już las sosnowy...

Psy biegły za nami aż do bramy — często tak nas odprowadzały. Wychyliłam się z szarabana, pragnąc pogłaskać je po kudłatych łbach: Wracajcie, pieski, wracajcie do domu! Pilnujcie pana! Pilnujcie wiernie!...

Jakgdyby pojęły moje zlecenie, zawróciły nagle i przez zielone trawniki pomknęły pod górę, do dworu. Wyjechaliśmy na drogę cichą i pustą. Przed godziną jeszcze szli tędy powstańcy, żądni krwi «panów» i mordu najeźdźców. Ukraiński szlak krył w sobie grozę nieodgadnionych wydarzeń — niepewnej przyszłości...

NA WYGNANIU W WOŁODARCE.

Wołodarka należała dawniej do Lucjana Abramowicza. Hr. Marja Branicka z Białej Cerkwi nabyła od niego te piękne i rozległe dobra i ofiarowała je wnuczce, Hubertowej Lubomirskiej, jako podarek ślubny. W owej chwili właścicieli już tu nie było — burza dziejowa wygnała ich ze zrujnowanego gniazda, a pomimo obecności Niemców na Ukrainie i względnego spokoju młodzi księstwo nie mieli odwagi powrócić do Wołodarki.

Niewielki, miły dworek doktora Slęka bielał wśród drzew na krańcu miasteczka, za targowicą. Wjechaliśmy w otwartą bramę. Doktor stał na podwórku, przed stajnią, i patrzył z lubością, jak para złocistych, rasowych kasztanów chrupała smakowicie południowy posiłek. Odwrócił głowę i w okamgnieniu był już przy naszym szarabanie:

— Co się stało?!... Pani tu? o tej porze? Czy ktoś chory?... Czy...

— Banda napadła na dwór dziś z rana... Powieźli mego męża przed sąd wiejski... Zresztą opowiem to panu szczegółowo za chwilę... Przyjeżdżamy prosić o gościnność na czas jakiś...

— Co słyszę?!... To niesłychane! Ale żyje?! No, dzięki Bogu! — Służę pani.

Kornij zdejmował czapkę na pożegnanie:

— Nechaj pani ne hryzutsia i splat (śpi) spokojno! Wse bude dobre, a jutro, czut' świt, pryjide posłaneć z pokłonem od pana!

Wejściowe drzwi zamknęły się za nami.

— Nie chciałem mówić przy nim — rzekł doktor, pomagając nam zdjąć wierzchnie okrycia, — ale i w Lechaczysze atmosfera naelektryzowana; słyszałem, że wieś się

burzy... Żyjemy jak na wulkanie! Z Ułaszynami łączą mnie przyjazne stosunki — pojmuje pani mój niepokój... Więc banda powiozła pana Kaliksta do Lemieszowa?...

. . . .

Rozeszliśmy się dnia tego wcześnie na spoczynek. Wedle polecenia doktora miałam natychmiast usnąć, po bohaterskiej acz krótkiej walce z torturą złowróżbnych myśli. Rada jednak, jak zwykle, o wiele była łatwiejsza w słowie, niż w czynie, i ta zwykła noc wiosenna wydała mi się tak nieskończenie przewlekłą, jak uparta noc podbiegunowa. Niestety! Czas jest równie lotny, jak rozciągliwy. Minuty wlokły się powoli, ciężkie jak kamienie, zapadały w otchłań i znowu szły jedne za drugiemi, niosąc z sobą okrucieństwo nieodgadnionych możliwości. Zdawało mi się, że serce moje związano sznurem, którego koniec pozostał tam, w domu. Niepokój targał nim bez przerwy, a serce kurczyło się boleśnie... Zrzedły wreszcie nieco ciemności, zarysowały się blademi jeszcze konturami domy miasteczka i zwarta gąszcz wołodarskich lasów... Różowy brzask, zwiastun słonecznego władcy, rozpraszał cienie nocne i malował niebo powabem majowej jutrzenki. Usiadłam przy otwartem oknie, wpatrzona w przestrzeń...

Czarny punkt zdala... Kłusuje koń... Wiktor!...

Otwieram sama zamkniętą jeszcze bramę. Z drugiej strony śmieje się do mnie pyzata, czerwona twarz Wiktora, siedzącego na koniu:

— Żołniry ne priszli *zurück* i ticho bilo. My wszitkie posidali kolo pana na schodach i wachtowali precz. Pan se dremali, a z rana to nam powiedzieli: «Dziakuju wam, chlopci! Chot' kości wszitkie bolo, ale wy zlate serca matie!» —



Wołodarka ks. Hubertów Lubomirskich.

Z Albumu Ordy.

XI



Pustocha Stanisława Knothe.



Wieś ukraińska.

Tera znowu pan precz pakujo wszitko: pradło (bieliznę), i pelcy i mantle, jeden *gepäck* za druhim, a jak bude wże tiemno, to mi to do grundu zakopamy. A tu listoczok od pana do pani i pan prosili odpowied'.

Odjechał Wiktor; zajrzała po jakimś czasie służąca, oznajmiając, iż śniadanie podane, i doktor wszedł śpiesznie do jadalnego pokoju:

— Dzień dobry pani! Podobno w Lemieszówce noc przeszła pomyślnie. Widziałem Wiktora. Zato w Lechaczysze coraz gorzej! Wczoraj była również banda we dworze! Szukano karabinów maszynowych — od strychu do piwnic! Nie zabito nikogo, lecz nastrój wsi wzburzony i groźny. Chłopi szemrzą, że stary pan pojechał do Stawiszcz po Niemców i że mu to na sucho nie ujdzie. Gromada rozstawiła już straże naokoło całej sadyby i żadnego z Ułaszynów wypuścić ze dworu nie chcą. Co za czasy! Przecież życie tych biedaków zależy już teraz od fantazji podnieconego chłopstwa!!

— Więc i u nich była rewizja?! To fakt wprost zastraszający! Widocznie napad bandy na nasz dwór nie jest wypadkiem sporadycznym, ale cała sprawa przedstawia się o wiele poważniej, jako akcja planowa i zorganizowana. Trudno liczyć na szybkie zlikwidowanie tego wybuchu. Jakąż drogą pan się o tem wszystkiem dowiedział?

— Przysłano po mnie konie przed chwilą. Jeden z młodych Ułaszynów ranny w rękę. Listu niema. Pojąć nie mogę, co tam zaszło! Jadę natychmiast do Lechaczychy i proszę, niech pani nie obawia się band w Wołodarce. Miasteczku nic nie grozi — to są objawy nienawiści i zemsty skierowane przeciwko dworom.

Przełknęliśmy niedbale i pośpiesznie śniadanie — zaturkotał wózek z odjeżdżającym doktorem, i zostałyśmy same

we dworku. Myśli natarczywemi falami oblegały umysł, wytrącając z równowagi duchowej, podkopując moc woli, nasuwając obrazy dzikiej hajdamaczyzny, znanej dawniej tylko z historji lub z literackich utworów... Opanować się za wszelką cenę! Nie starczy sił na dalszą walkę z życiem!!...

— Uczmy się, Haneczko! Daleko nam jeszcze do ukończenia kursu pierwszej klasy. Weź «Historję Polski». Opowiem ci o złotym wieku w dziejach naszych...

Doktor Slęk powrócił do domu w parę godzin później. Dość było rzucić okiem na jego pobladłą i znękaną twarz, aby pojąć, jak dalece sytuacja staje się niepokojącą. Usiadł na sofie i głowę wsparł o dłoń:

— Zmęczony jestem i wstrząśnięty tem, co zastałem w Lechaczysze... Położenie bez wyjścia! Fatalne powikłania! Straże stoją wokoło sadyby, a Ułaszyni nie nocują nawet we dworze, tylko zaszywają się w największą gęstwinę parku i przy lada szeleście gotują się na śmierć. Najlepszą jest Angielka, towarzyszka panny Ułaszynówny, powtarzająca każdemu aż do znudzenia: «Te wasze rewoltanty nie mają prawa palcem mnie tknąć! Cała Anglja za mną się ujmie!» — Tymczasem jednak może paść równie dobrze ofiarą mordu, jak tamci biedacy!

— Złe wieści istotnie — ale to mi jeszcze nie wyjaśnia dlaczego młody Ułaszyn został raniony? Czy był już zamach na życie całej rodziny?

— Nie. Dotychczas chłopi poprzestają na moralnem torturowaniu uwięzionych. Ostatniej jednak nocy starszy syn z matką postanowili ratować się ucieczką i pomoc sprowadzić dla pozostałych. Przez ogród, chyłkiem, korzystając z ciemnej nocy, pełznąc na kolanach, wydostali się na pola. Swobodniej już poszli przed siebie, lecz napotkali niespodzianie straż wiejską. Ta ich poznała natychmiast i skazała

na śmierć za usiłowaną ucieczkę. Pani Ułaszynowa padła na kolana przed chłopami: — «Zabijcie mnie! Stara jestem i życia mi nie żal! Ale młodemu darujcie!» — Syn chwycił ją za ręce i podniósł z ziemi: — «Nie mów tak, matko! Nie słuchajcie jej, ludzie! Poco wam życie takiej staruszki? I tak szkodzić wam nie może i mścić się na was nie będzie! Zabijcie mnie, a ją biedną oszczędźcie!» Pani Ułaszynowa jęknęła rozpaczliwie: — «Chcę umrzeć!... Za dziecko!... Za syna!»... — «Dobre! Nechaj bude po twojej woli!» — zawyrokował jeden ze strażników i bez wahania wycelował w czoło bohaterskiej matki... Padł strzał, lecz syn błyskawicznie zasłonił ręką jej twarz... Śrut poszarpał mu palce i nadwerężył kość. — «Majete teper nauku na dołhij czas!» — zaśmiał się któryś okrutnie. Odprowadzono ich do dworu i wzmocniono straż.

Doktor przerwał i zaciągnął się papierosem nerwowo.

— Okropne!... To są jakieś zmartwychwstałe widma chmielniczczyzny!! Od tylu lat nie zmieniła się dusza tego ludu!...

— Jeden z młodszych Ułaszynów jest obecnie w Białej Cerkwi — ciągnął dalej doktor. — Wracając z Lechaczychy, zajechałem na pocztę i wyprawiłem depeszę, donosząc mu o rozpaczliwem położeniu rodziny. Napewno uda się do komendanta niemieckiego z prośbą o pomoc. Automobil i jeden karabin maszynowy z odpowiednią obsługą wystarczą najzupełniej na tę hołotę, co tylko wobec bezbronnych mężną być umie. Wychodzę zaraz z domu — mam chorych w miasteczku; może przyniosę jakieś lepsze nowiny. Nie pojmuję, dlaczego Niemcy przycichli i nie reagują na te bezprawia... Proszę wyjść do ogrodu, na słońce, na świeże powietrze! Odprowadzę panią. Dobrze?

Zerwał się z sofy i sprężystym, szybkim krokiem przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Miejsca sobie znaleźć nie mogę! Ci Ułaszyni nie schodzą mi z myśli!... Cóż u licha! Czyż to możebne, żebyśmy czekali spokojnie na zarznięcie tych bezbronnych?!...

Pod wieczór przyjechał Kornij z listem od Kaliksta.

«...Wieś spokojna, bandy ani śladu. Lemieszówka zato zmieniła się w rodzaj fortecy. Śpimy wszyscy kolejno po kilka godzin, w dzień. Noc kryje w sobie największe niebezpieczeństwo — zapobiegamy mu nieustającą i wytężoną czujnością. Jeńcy przypominają niedawne wojenne wydarzenia. Od czasu do czasu, to ten, to ów rzuci półgłosem: «*Habt acht!*» Tamci zaraz odpowiadają: «Jo! Jo!» Zapowiedzieli mi, że do zlikwidowania tej całej ruchawki gotowi są noce spędzać dalej na ganku. Tu jest najlepszy punkt, gdyż nie można być zaskoczonym znienacka — szeroka przestrzeń przed nami i słychać szmer i ruch wszelki zdaleka. Bądź więc, Maryś, spokojna i nie dręcz siebie niepotrzebnemi obawami. Mam nadzieję, iż Niemcy położą szybko kres tej rosnącej anarchji, chociażby ze względu na własną wygodę i bezpieczeństwo»...

Doktor przyniósł wieczorem z miasteczka iście hiobowe wieści. Już w wielu miejscowościach bandy napadły na dwory pod pozorem szukania broni i karabinów maszynowych. W Koszowatej Mołodeckich chłopi zaaresztowali doktora Grabowskiego z córką. Pędzono ich nago do Łuki, tu wyłupiono im oczy i żywcem, głową w dół, zakopano. Jednocześnie zamordowano sześciu drobnych oficjalistów z tejże fabryki Łuki. Padł, zabity przez powstańców, zarządzający stadniną hr. Branickich. W całej okolicy, w dalekim promieniu, szerzył się bunt i rabunek, a chłopi w Wołodarce głośno się przechwalali: — Persze my ptaszkam

klitki zabrały, a teper ptaszki poriżemo, szob ne buło komu do klitok wertatysia!

Następnego dnia, wczesnym rankiem doktor zapukał do drzwi naszego pokoju:

— Jadę do Lechaczychy! Męczy mię ta sprawa i spać mi nie daje! Wolę sam się przekonać, co się tam dzieje, niż z językiem kogoś wysyłać. Może i opatrunek wypadnie zmienić! Powrócę dopiero na obiad.

Ze stajni wyjechał na podwórko amerykan, lśniący ciemnym lakierem, — złote kasztany zatrzymały się przed gankiem z przedziwną harmonją ruchów. Sam doktor, wysoki, szczupły, z długim, żółtym batem w ręku (lubiał powozić), wyglądał na sportsmana, wybierającego się na przejażdżkę w Aleje Ujazdowskie.

Wykrzyknęłam z nieudanem zdumieniem:

— Doktorze! Co pan sobie myśli?! Ależ na Boga! Pali się nam pod nogami, tam wieś zbuntowana, chłopstwo rozjuszone, a pan jedzie, niby na przegląd pięknych dam, kłuć w oczy tych powstańców i nie-powstańców tą całą paradą! To istne szaleństwo! Lepiej prostym wozem... Jeszcze i pana tam zaaresztują!

— Niech spróbują! A bat od czego?... Kasztany tęgie, kłusa mają kapitalnego! Mam jeden rewolwer, furman — drugi! Będzie źle, to umkniemy! Zresztą wszyscy doktorzy na wojnie, sam jestem w Wołodarce, a głowy chłopskie łatam równie sumiennie jak pańskie. Przytem jestem przecież «Austrjaka»! Nie tkną mnie... Proszę się nie turbować o mnie. Do widzenia tedy, za parę godzin powrócę!

Wyprowadziłam go na ganek.

Zasalutował batem i wyjechał z obejścia. Żydzi z miasteczka zdejmowali przed nim czapki, fury chłopskie ustępo-

wały z drogi. «Austrjaka» jechał butnie do zbuntowanej wsi ratować swych przyjaciół.

. . . .

— Mamusiu, Wiktor pędzi!... O, już wjechał do bramy!

Oderwałam oczy od roboty i spojrzałam z uśmiechem przez otwarte okno. Nagle, porwałam się z krzesła:

— Co się stało?!... Pan?...

Wiktor zeskoczył z konia, i prowadząc go za trendzle, zbliżał się zasępiony do okna:

— Pan zdrawy som!... Tylko ze spokojem u nas — *schluss*!!

— Dlaczego?! Mów! nie marudź!

— Pred hodinoj jakieś rejtery zajechali do nas. Juhas wachtowal.—Brama fest zaparta. Wstrimal ich: «Kto wy?!» «My swoji ludy! Puskajte! Do pana dilo majem!» «Kto wasz kommandant?! — «Maksim z Lemieszowa!» A Mały już hna, kraftu ne szparuje, pod horu, do dwora, szoby pan *zeit* mieli zadosit' skryt' se. A pan sami wyszli: «Jak oni z Lemieszowa, to ja se niczeho ne boju!» I gadajom fort z tim kommandant... a potemu poszli *zusammen* do stajni i dwa pferdy wibrali i tri sedla, a tamti zabrali wszitko i djakowali i precz rejtowali. A mi, jak sami ostali, to do pana priszli i taku *Rat* dali: «Jak pan fort taki *Mut* mać bendom, to mi *schuldig* ne bendzemi, jak jakiś *Unglück passiert*» — Listoczok od pana... Pani preczita i odpowied' prihotuje, a ja powartuju w kuchni *ein Moment*.

Nie było tak spokojnie w Lemieszówce, jak Kalikst przedstawiał w pocieszających kartkach, przysyłanych mi parę razy dziennie. Płomień powstania przybierał coraz to szersze i groźniejsze rozmiary. Uzbrojone bandy przelatywały

konno wołodarską drogą — niektóre zajeżdżały do dworu naszego z przeróżnemi żądaniami. Dotychczas odwiedziny miały charakter przyjazny, wobec tego, że Kalikst, w lot objąwszy sytuację, niczego powstańcom nie odmawiał i zasłużył u nich zapewne na miano «przyjaciela ludu». Ale bliska była już chwila, gdy bezkarność dotychczasowych ich czynów miała podsycić w najgorszych jednostkach drzemiące zbrodnicze instynkty. Cała nasza drobna szlachta drżała o życie i mienie, słysząc jak «przywódcy ludu» głośno i zuchwale się odgrażali: «Wyżynem tych wsich laszkiw w świt, albo szcze łutsze — poriżem! Nechaj propadajut!!» Niektórzy z bogatszych gospodarzy obawiali się nocować w chatach i kryli się aż do świtu w krzakach ogródków. Jeden z nich prześliznął się chyłkiem przez sosny i olszynę do dworu w tych dniach trwożliwych i biadał przed Kalikstem, iż we wsi mają go za «burżuja» i zazdroszczą dostatku, zdobytego tyloletnią ciężką pracą. «Nie piłem, nie hulałem, grosz do grosza składałam, więc nie dziwota, że mam na co spojrzeć na stare lata. A dziś, proszę pana, każdy leń i próżniak radby mi to wydrzeć! Jest źle i będzie gorzej! Już chłopi przeznaczyli dwór pana na szkołę!»

Z niedomawianych i krótkich opowiadań Wiktora zdołałam odtworzyć sobie obraz lemieszowskiego życia daleko mniej groźny, niż był w istocie. Prosiłam o przysłanie koni po nas. Z listem tym w kieszeni Wiktor minął w bramie wjeżdżający amerykan.

— *Hoch*, Wiktor!! — wołał doktor wesoło. — Wszystko dobrze?!

Wiktor zdjął czapkę:

— Dobre, jak na wojnie! — odparł dwuznacznie i puścił konia cwałem.

Z amerykana zeskoczył młody Ułaszyn z ręką na opasce.

— Cóż pani na to? — doktor witał mię z przekornem zadowoleniem. — Nie poszatkowali mnie, a zyskaliśmy przynajmniej to, iż jedną ofiarę wyrwałem z tych hultajskich rąk!

— Istny z pana czarodziej i pogromca, doktorze! Jakiemiż słowami zdołał pan wzruszyć te kamienne serca? — Spojrzałam z gorącem współczuciem na rannego sąsiada i wobec ogromu wspólnej niedoli i trwogi o najbliższych podaliśmy sobie ręce z prawdziwą przyjaźnią.

— Po zmianie opatrunku przywołałem do dworu starszyznę wiejską i oznajmiłem, że rana się zaogniła i grozi gangrena. Może nawet wypadnie rękę uciąć do łokcia, a wówczas odpowiedzialność za kalectwo spadnie na nich. Muszę tedy ratować panicza i zabieram go do Wołodarki. Nie w smak im to poszło, ale że nie są jeszcze pewni, jak Niemcy zareagują na ruch powstańczy i towarzyszące mu zbrodnie, więc zezwolili, chociaż niechętnie, na wyjazd pana.

— Wdzięczny jestem nieskończenie, kochany doktorze, za tyle dowodów serca i energji, ale los mojej nieszczęśliwej rodziny, bezbronnej, pozostałej we władzy rozpasanego tłumu, przejmuje mię takim bólem, iż ta uzyskana wolność stała się wprost wyrzutem sumienia — rzekł młody ze smutkiem. — Jedna tylko myśl mię krzepi: oto brat mój potrafi chyba uzyskać pomoc komendanta niemieckiego w Białej Cerkwi... Gdyby tylko dano mu do rozporządzenia automobil i kilku uzbrojonych żołnierzy, to postrach przed siłą okupantów jest tak wielki, ze uratowałoby to życie nas wszystkich. Oczekuję pomyślnej wieści od niego lada chwila.

Po obiedzie doktor zaprosił mnie na przechadzkę po ogródku, pod pozorem oglądnięcia kwitnących truskawek.

— Chodźmy do altanki — zaproponował.

Usiedliśmy tu na ławce, za zasłoną z pnących się latorośli.

— Wobec tego biedaka panuję nad sobą, ale pragnąłem bodaj na krótko zrzucić tę maskę spokoju. Ojca Ułaszynów zamordowano wczoraj jeszcze, gdy wracał ze Stawiszcz do domu!...

— Aa!... — nie zdołałam powstrzymać okrzyku zgrozy.

— Ciszej! — przestrzegł doktor, oglądając się z niepokojem. — Szanujmy cierpienie tego nieszczęśliwego chłopca. On o tem dotychczas nie wie, również jak tamci, a widzi pani, jak szarpie go nieustanna trwoga o życie rodziny! Los wszystkich niepewny! Może w tej chwili... — Doktor się wstrząsnął i ręką zakrył oczy.

— Szpiegowano najwidoczniej pana Ułaszyna w Stawiszczach, śledzono każdy krok jego, jeśli mordercy wnet za nim wyjechali i na drodze zabili.

— Zapewne. Taka okrutna śmierć!!... Nagły napad... razy pałkami w głowę... z wielu stron jednocześnie... Wyobrażam sobie tę rozpaczliwą obronę, te jęki dogorywającego męczennika... Napastnicy rzucili wreszcie ciepłe jeszcze zwłoki pod most, przy drodze, i teraz zabraniają pogrzebać swoją ofiarę.

— Z jakiegoż powodu powstała taka straszna nienawiść?! Niedość im morderstwa! Znęcają się nad umarłym! Ach, doktorze, rozpaliły się wokoło nas dzikie dusze atawistycznem wspomnieniem przedwiekowych krwawych rzezi! Nie wiem, czy ujdziemy zagłady...

— W tym wypadku przyczyna jasna i aktualna, niestety. Poszła po wsi pogłoska, niewiadomo z jakiego źródła, że starszy pan pojechał do Stawiszcz po Niemców. To wywołało wybuch potwornej zemsty.

— Przestańmy o tem mówić — szepnęłam. — Pan

Ułaszyn wyszedł na werandę... szuka nas... Samotność ciąży mu widocznie.

Wieczorowa poczta przyniosła list z Białej Cerkwi. Starszy syn Ułaszynów donosił doktorowi z rozpaczą, iż pomoc niemiecka zawiodła najzupełniej. Komendant przyrzekł mu wprawdzie dać automobil i oddział żołnierzy, ale... za tydzień! «Tymczasem wyrżnąć ich mogą do nogi! — pisał drżącą ręką. — Jestem bezsilny. Doktorze, przyjacielu, ratuj!»

Ach, jakaż cisza uczyniła się w tym niewielkim jadalnym pokoju po przeczytaniu tych słów! Z miasteczka nie dochodził zwykły dzienny gwar i hałas — mieszkańcy wypoczywali. Za otwartemi oknami cudna majowa noc straciła swój powab... Stała się nagle tajemniczą, niepokojącą, złowrogą, towarzyszką i sojuszniczką skrytobójstwa i zbrodniczych spisków... Lekki powiew od stepów przekradał się wśród drzew i poruszał liście niemilknącym, trwożnym szelestem.

Doktor padł na fotel, oparł głowę o poręcz i przymknął oczy... Wreszcie odezwał się głosem zmienionym:

— I moje stalowe nerwy wibrują, jak naciągnięte struny. Tam — Lechaczycha zagrożona! Tu — patrzę na pani niepokój i sam się troszczę o los pana Kaliksta, choć, wedle mego przekonania, w lepszych on jest warunkach, niż wielu innych. W dodatku, obchodząc przed chwilą moich chorych w miasteczku, słyszałem wieści i opowiadania, od których krew stygnie, a myśl cofa się z lękiem... Sieniawa oblężona przez chłopstwo...

— Sieniawa?! Przecież to fabryka cukru! Oficjaliści, skromni pracownicy... Czyż i ci mają dać gardła?!...

— Pani się dziwi? W takich czasach któż wykreślić potrafi przelot płomienia, rzucanego wichrem z dachu na dach... Zdobyto tedy Sieniawę i po wysypaniu na podwó-

rze około 40.000 pudów cukru i urządzeniu t. zw. «Sahary» umęczono w okrutny sposób ośmiu oficjalistów, obcinając. im uszy, nosy, wciskając w oczodoły zapalone gromnice. Baby otoczyły ich wiankiem, śpiewając pieśni żałobne i rozpustne!

— Na Boga, doktorze! Czy to są wiadomości pewne?!

— Najpewniejsze. Ale tem bardziej nie powinien pan tracić energji! Jutro z rana niech pan jedzie do Białej Cerkwi. Poruszcie z bratem wszelkie sprężyny, idźcie do znajomych, zbierzcie deputację polską, żądajcie od komendanta w imieniu nas wszystkich stłumienia tych hajdamackich wybryków. Nie jesteśmy wśród Zulusów, żeby się dać wyrzynać bez protestu. To hańba dla Niemców!

Młody ukrył twarz w dłoniach i milczał. A może zapłakał, czując własną bezsilność wobec zdradzieckiej polityki okupantów i rosnącego szału powstańczych oddziałów?... Może w myśli żegnał się z rodziną i wstydził niemęskiej słabości woli?... A jednak są chwile, gdy okrucieństwo życiowych wydarzeń wyciska z oczu łzy męskie... łzy nieuniknionej klęski...

. . . .

Nazajutrz z rana siedzieliśmy wszyscy przy śniadaniu, gdy nagle lekki i bliski turkot zwrócił ogólną uwagę.

— Przysłano zapewne po mnie, do chorego... — wyraził doktor prawdopodobne zupełnie przypuszczenie i wstał szybko od stołu. Nie zdążył jednak dojść do drzwi...

Lonio Ułaszyn wpadł do jadalni z batem w ręku, śmiejąc się radośnie z naszego osłupienia. Brat porwał go w objęcia:

— Dzięki Bogu!! Więc nastrój chłopów o tyle złagodniał, że pozwolili ci dom opuścić?!

Chłopak witał się z nami kolejno:

— Pojęcia nie mam, co tym rycerzom strzeliło do głowy! Straży już niema! Nie zaglądają wcale do dworu! Kazałem tedy zaprząc do małego wózeczka i sam się tu przywiozłem. Niepokoi nas twoja rana. Jakże, lepiej ci?! — zwrócił się do brata.

— Uspokój matkę. Niema mowy o gangrenie. Rana się goi dzięki troskliwej opiece naszego kochanego doktora. Ale, wyobraź sobie, dostałem wczoraj list od Józefa z Białej Cerkwi. Niemcy odmawiają...

Bracia zaczęli rozmawiać półgłosem.

Spojrzeliśmy na siebie z doktorem, pojmując z łatwością nagłą zmianę w usposobieniu lechaczyskiej gromady. Oto potworne uczucia zemsty zostały nasycone morderstwem «starego pana» i wzburzone fale namiętności opadły chwilowo. «Uciekajcie nieszczęśni!» przemknęło mi błyskawicznie przez myśl.

— Korzystajcie z dobrego zwrotu w psychologji chłopskiej, nie zastanawiając się nad tem, co go mianowicie wywołało! Wyjeżdżajcie natychmiast! — rzekł doktor mocno.

Lonio westchnął z żalem:

— Matce i siostrze tak ciężko rozstać się ze swojemi kątami... Mamy ciągle nadzieję, że ta zawierucha przejdzie. A zresztą, dokąd pójdziemy?... Rzucimy tu wszystko, do czego serca przyrosły, a iść w świat bez grosza — straszno!

— Więc niechże pan przynajmniej wyjeżdża! — przekonywałam go serdecznie. — Kobiety mniej są narażone na zemstę!

— Jak pani może mi to doradzać?! Nie zostawiłbym nigdy matki i siostry bez opieki. I ojciec nie wraca... Gnębią nas najgorsze myśli co do jego losu... A przytem, mnie

osobiście nic absolutnie nie grozi. Byłem dotychczas w szkołach, a w czasie wakacyj nie wtrącałem się wcale do spraw gospodarskich. Żadnej urazy wieś do mnie mieć nie może. Rad jednak jestem prawdziwie, żeś ty wyjechał. Pamiętasz te zatargi o pastwiska, albo o zajęte bydło? Cóż z tego, że słuszność była po naszej stronie? Chłop o to nie pyta! Twoje położenie byłoby doprawdy niebezpieczne.

— Wracaj już do domu — rzekł starszy, patrząc na młodzika z braterskiem uczuciem. — Biedna matka! Wygląda pewno przez wszystkie okna i doczekać się ciebie nie może! Naradźcie się tam wspólnie, jak mam postąpić co się tyczy sprowadzenia Niemców. Donieś mi, co postanowicie. A może matka zdecyduje się opuścić Lechaczychę na pewien czas? No, jedź już, chłopcze!

Lonio żegnał nas, obiecując zajrzeć do Wołodarki niezadługo. Odprowadziliśmy go wszyscy do bramy.

— Do rychłego widzenia! Raz jeszcze dzięki, kochany doktorze! — Zaciął konie i odjechał.

Widzieliśmy go wówczas po raz ostatni, a cały ten obraz wbił się w moją pamięć z tak drobiazgową dokładnością, że dziś jeszcze widzę niewielki wózeczek, małe, zwinne koniki, i biednego chłopca, trzaskającego z bata po amatorsku. Zniknął wreszcie na zakręcie drogi, pełen najlepszej myśli o losie własnym i całej rodziny... prócz ojca.

W parę dni potem nowa, liczniejsza niż poprzednie, banda otoczyła dwór w Lechaczysze. Powstańcy rozpoczęli zwykłą rewizję. Ułaszyni pewni byli, iż po bezowocnych poszukiwaniach karabinów maszynowych i broni napastnicy odejdą. Jakież było przerażenie, gdy dowódca wydał rozkaz, aby jedyny syn, którego zastali we dworze, szedł z nimi.

— Pocóż ma iść?! Dlaczego?! Czemże zawinił?! Ma

dwadzieścia dwa lat dopiero. Nie gospodarował. Nie rządził nigdy Lechaczychą! — Matka łamała ręce...

Dowódca spojrzał posępnie:

— Win nam potribnyj. Nechaj ide! — mruknął wymijająco.

Pod matką ugięły się nogi; czołgając się na kolanach, wyciągała ręce do zbirów:

— Litości, litości!! Na rany Chrystusa... zostawcie mi go!! Natychmiast, w tej chwili, tu, na tym stole, podpiszę wam zrzeczenie się ze wszystkiego, co tylko posiadam! Chcecie?!! Oddam, komu każecie, ziemię, konie, bydło! Ach! bierzcie, bierzcie wszystko!! Zostawcie mi tylko jego!! Litości, litości!! Czy nie słyszycie?!

— Berit jeho, chłopci! — zakomenderował dowódca krótko, brutalnie.

Powstańcy otoczyli młodzieniaszka wokoło:

— Idy! Nyma czoho ohladatysia! A ne płaczte tak, baby! My wam jeho wernemo!

Wyszli wszyscy, brzęcząc bronią, śmiejąc się bezczelnie. Za nimi wlokła się Śmierć, żądna nowej ofiary... Córka przypadła do omdlewającej matki...

. . . .

Po paru godzinach banda wdarła się powtórnie do dworu. Rodzina, zbolała ciosami męczeńskich przeżyć, przyjęła wchodzących w milczeniu, zobojętniała już na własny los. Jeden z powstańców wystąpił na czoło oddziału, wzniósł rękę, jakby chciał rzucić krwawą zniewagę w twarz, przemówił szyderczo:

— Nasze słowo ne ptycia! Szo wam obiciałysia, to zderżały! Możete zabraty teper waszego synka!!

Odeszli. Matka zerwała się gorączkowo:

— Chodźmy! Może ranny... uratujemy!...

Córka objęła ją w pół — Angielka z drugiej strony wsparła ramieniem. Tak poszły we trzy. Przeszukały cały ogród — napróżno... Ach, czyliż leciał na spotkanie matki duch umęczonego młodzianka, czyli też ją, biedną, wiódł trwożny, tajemny głos, że cicho, bez słowa, nie wiedząc dlaczego tak czyni, zwróciła się w stronę cmentarza wiejskiego?... Tam Lonio leżał nawznak, twarzą do słońca, do świata, do wszystkich powabów wiosennych dni, nieczuły na wszystko.. Z 17-tu kłutych ran na piersiach wytoczyła się kałuża krwi... Drzewa tylko nad nim szumiały, do wtóru jękom i szlochom klęczących kobiet. Angielka pobiegła do dworu — przyjechał prosty wóz. Złożono na nim te zwłoki nieme, lecz tak wymowne widokiem męczeństwa. Ruszyły zwolna konie, wywożąc Lonia z rodzinnego gniazda... Szła za wozem pozostała przy życiu. rodzina.

Kondukt ten przesunął się przez Lechaczychę główną drogą, wśród dwóch szeregów chat. Patrzyli chłopi na wymykające się im ofiary, lecz widok tej twarzy chłopięcej, zastygłej w przedśmiertnej męce, tej piersi ranami zoranej, był tak potężny i wstrząsający, że nie odważył się nikt przerwać grobowego milczenia. Niektórzy zdejmowali czapki i żegnali się trzy razy, szepcząc: «Wicznaja pamiat'».

Tak Ułaszyni wyszli z rodzinnej wsi i poszli szerokim szlakiem do Białej Cerkwi, a potem w świat, na tułactwo i biedowanie...

. . . .

Przeszło jeszcze dni kilka w trwodze i smutku. Któregoś wieczora przyjechał niespodziewanie Kalikst. Wiedział

już o tragicznych losach nieszczęśliwych naszych sąsiadów, więc gdy minęły pierwsze chwile radosnego powitania, niemało czasu i wzruszenia poświęciliśmy wspomnieniom tego świeżego dramatu.

— Z jednej strony Lechaczycha, z drugiej Hałajki! — rzekł Kalikst ze smutkiem. — Tu i tam mordy... A wśród wznieconego ognia Lemieszówka, zagrożona powstańczym, zbrodniczym szałem, i ja ze swoją strażą. Dziewięć nocy spędziliśmy z jeńcami i służbą na ganku, drzemiąc wreszcie ze zmęczenia.

— Mówisz: Hałajki... Więc pan Abramowicz...

— Nie żyje. Gdy powstanie przybierać poczęło groźne rozmiary, pan Bronisław wyjechał do Humania. Tu, prawie w ślad za nim, pośpieszyła delegacja z Hałajek, prosząc, aby nie wyrządzał chłopom tak ciężkiej krzywdy swoją nieufnością i do majątku powrócił. Ręczyli własnemi głowami za całość i bezpieczeństwo jego osoby. Pan Abramowicz, rozczulony takim dowodem przyjaźni, usłuchał delegatów i zjechał z powrotem do domu. Tejże nocy zamordowano go okrutnie wraz z ośmnastoletnim synowcem...

— Wiedziałem o tem — odezwał się posępnie doktor — ale milczałem. Dość rzucić okiem na wymizerowaną twarz pani Marji, aby pojąć, że nie było wskazanem podsycać tej trwogi, tego smutku, w jakim przeżyła te okrutne dni.

Kalikst skinął głową:

— Bezwątpienia. Dobrze pan uczynił, doktorze. Co do mnie, niewiele miałem czasu na rozmyślania, albowiem po całych dniach pakowaliśmy rzeczy i cenniejsze pamiątki. Część pak wywieziono z domu, kufry zakopane. Dorywczy rabunek utrudniony tedy. Zostały naturalnie meble, bibljoteka, powozy, uprzęże, nie mówiąc o inwentarzach, narzędziach i tysiącznych drobiazgach gospodarskich. Niepodobna

przenieść z miejsca na miejsce tyloletni dorobek kilku pokoleń w tak krótkim czasie, a nawet nie wiem, dokądbym z tem wszystkiem wędrował. Zresztą sytuacja zmieniła się na lepsze. Wczoraj przeszedł przez Lemieszów oddział niemieckich żołnierzy. Mówili chłopom, iż wysłano ich dla poskromienia powstania. Do Wołodarki ma przyjść pluton kawalerji na stały pobyt. Wobec tego jadę do Kijowa spać! Za tydzień, najdalej za dni dziesięć, wracamy do pracy. Teraz walę się poprostu z nóg i już nie mógłbym dalej stróżować!

— Opamiętali się wreszcie! — wybuchnął doktor. — Szkoda, że tak późno! Iluż to niewinnych padło ofiarą hajdamaków!... — westchnął ciężko.

Cienie pomordowanych przesunęły się nam przed oczami... Milczeliśmy jakiś czas.

— Nie ufam obietnicom niemieckim — odezwałam się z przekonaniem. — Wiesz jaką mam myśl? Oto, udajmy się do komendanta w Białej Cerkwi. Mówimy oboje po niemiecku, a to w ich pojęciu jest najwymowniejszym dowodem naszej kultury i wpłynie dodatnio na przychylne załatwienie sprawy. Może dostaniemy automobil ciężarowy, kilku uzbrojonych żołnierzy i będziemy mogli wywieźć z Lemieszówki przynajmniej najcenniejsze rzeczy. Pomyśl nad tem? A gdyby tak wszystko miało zginąć?

— Nigdy! — rzekł Kalikst z mocą. — Z mojej woli Lemieszów nie zobaczy Niemców. Ty nie wiesz, jak rozstaliśmy się z gromadą. Przed wyjazdem posłałem po starszyznę wiejską. Oprowadziłem ich po całym dworze — byliśmy w budynkach folwarcznych, w sadzie, słowem wszędzie. — Oddaję wam to wszystko pod opiekę — powiedziałem z wiarą w głosie. — Ani ja, ani jeńcy, nie mamy już siły na nieustanne czuwanie. Musimy trochę wypocząć. Jadę

do Kijowa na kilka dni, a was tu zostawiam jako stróżów mego dobra. Czy przyjmujecie na siebie ten obowiązek? Słyszę w tej chwili jeszcze ten gwar chętnych, życzliwych głosów: — «Dobre, dobre! Nechaj pan jidut spokojno! Budem pylnowaty! Z wełykoju ochotoju! Czomu ni?! Pan wernutsia chutko, bo jak Nimeć pryczepytsia do powstanciw, jak kit (kot) do myszy, bude im amiń!» — Wyznaczyli natychmiast po dwóch stróżów kolejno, a dom zamknęli i klucze oddali Znaczkowskiemu pod surową odpowiedzialnością.

— «Pan zastanut wse w poradku» — zapewniali mnie, gdym odjeżdżał. — I ty chcesz teraz, abym tam jechał z Niemcami?!

Gdy Kalikst powziął jakieś postanowienie, szkoda było czasu na niepotrzebne dyskusje. Westchnęłam tylko i obiegłam myślą wszystkie pokoje... Żegnajcie, mili świadkowie naszego szczęścia!...

— No, no, Maryś, uszki do góry! Nie zamartwiaj się przedwcześnie! Wiadomo, że ty jesteś urodzona pesymistka! Przekonasz się, że minie ta zawierucha i wrócimy do Lemieszówki. Widzisz, mogłaby powstać jakaś bójka z chłopami... czasem jedno niechętne słowo może wywołać natychmiastowy odwet ze strony tych butnych najeźdźców... Nie chciałbym kopać przepaści pomiędzy sobą, a wsią. Pragnę tu wrócić i po przyjacielsku, jasno, otwarcie, spojrzeć każdemu z chłopów w oczy. Ostatnie wypadki przekonały nas, że lody nieufności pękły! I to wśród ogólnego wzburzenia, agitacji, nienawiści... Nie psujmy naszego dzieła.

W księdze dziejów owych czasów burzliwych, zbryzganej przelaną krwią, zwęglonej zarzewiem pożarów, była to jedna z niewielu białych kart, zapisana ręką człowieka nagół trzeźwego marzyciela, w tym jednym kierunku. Było to

usiłowanie dworu i wsi, by poprzez płomienie rozjarzonej sztucznie nienawiści stworzyć jakieś zgodne, ufne współżycie, przekreślić winy z obydwóch stron!

Nie wiem, co stało się z naszym dworem, ale nie ginie we wszechświecie piękno i siła twórcza podobnych zamierzeń. Może przyjdzie czas, gdy to jedno rzucone ziarno wyda nieobliczalny plon!

. . . .

Doktor stał na ganku i żegnał nas serdecznie:

— Szkoda mi państwa! Gdyby nie to, że żona wraca z malcem i w tym dworeczku niewygodnie byłoby państwu nie pozwoliłbym wam jechać.

— I tak nadużyliśmy gościnności kochanego doktora! Tylko takie czasy usprawiedliwić mogą podobny najazd. Do widzenia! Daj Boże prędko się zobaczyć i w lepszych nieco warunkach!!

Konie ruszyły z przed ganku i wyjechały na pusty plac targowicy. Haneczka wydobyła chusteczkę z kieszonki i powiewała nią długo, dopóki biały dworek i stojący u drzwi wejściowych doktor nie zniknęli nam z oczu.

Jechaliśmy powoli, prostym wózkiem i parą koni, w obawie napotkania powstańczych band — lecz droga była pusta i cicha. Im bardziej zbliżaliśmy się do Białej Cerkwi, tem ruch na gościńcu stawał się żywszy. Mijane fury chłopskie ustępowały nam z drogi, poznając jakimś dziwnym instynktem jadących «paniw», pomimo skromnego zaprzęgu. Tak to promieniowanie niemieckiej orężnej siły, przebywającej stale w Białej Cerkwi, zabijało na bliską odległość dawne marzenia o równości.

Wsiedliśmy do pociągu kijowskiego. Na dalszych szy-

nach, nieco w oddali za stacją, widniał długi szereg towarowych i bydlęcych wagonów, przepełnionych uchodźcami z Kongresówki, wracającymi obecnie do opuszczonych siedzib i chat. Mężczyźni ćmili fajki — kobiety gotowały strawę na okrągłych piecykach, stojących pośrodku ciemnych i brudnych wagonów. Odsunięte drzwi pozwalały wejrzeć w to środowisko niższych warstw społecznych, zmuszonych do podróżowania w warunkach tak zadziwiająco pierwotnych. Gdzieniegdzie wisiały na sznurach kołyski i słychać było krzyk huśtanego niemowlęcia. Pieluszki suszyły się nad głowami jadących. Biedacy! myślałam ze współczuciem. I jak długo potrwa ta miła podróż?! A przecież mają oni wyższość nad nami!... Jadą do własnych domów, a my?...

Dano sygnał do odjazdu. Lekko i gładko, niby łyżwiarz po równej powierzchni, potoczyły się koła pulmanowskich wagonów, zazgrzytały parokrotnie na skrzyżowaniach szyn, i wydostawszy się wreszcie na właściwy tor, rozwinęły całą szybkość obrotów. Pociąg pędził w stronę Kijowa. Z boku uderzał weń stepowy wiatr, wpadał do wnętrza przedziału, targał firankę, przypiętą do ściany wagonu, orzeźwiał i chłodził jak wielki, ruchomy wachlarz.

Wychyliłam się przez okno. Krajobraz zmieniał się co chwila. Uciekały bliższe drzewa i pola — mignął w przelocie domek i obejście dróżnika, — tam, daleko na horyzoncie, dom odsuwał się od nas z każdym obrotem kół... Wyciągnęłam ręce, jakgdybym pragnęła powstrzymać nieunikniony bieg wypadków:

— Żegnajcie mi pola i lasy!... Żegnaj... żegnaj, Lemieszówko!

CZĘŚĆ DRUGA

WŚRÓD ZMIENNYCH RZĄDÓW

CZERWIEC 1918 — SIERPIEŃ 1919

KRESY POD OKUPACJĄ AUSTRO-NIEMIECKĄ

Przyjechaliśmy do Kijowa późnym wieczorem i znaleźliśmy się odrazu w pełni życia normalnego, które pod sprężystą administracją Niemców i głównodowodzącego armją okupacyjną gen. Eichorna toczyło się wartko i sprawnie. Hałaśliwy turkot dorożek, ostrzegawczy gwizd i brzęczenie przelatujących co chwila automobilów i tramwajów, elektryczne lampy, rzucające snopy jarzącego światła, tłumy przechodniów, korzystających z cudnego wiosennego wieczoru — wywarły na nas pokrzepiające wrażenie.

Tam, na wsi, pod obuchem anarchji i gwałtu, wydani na łaskę i niełaskę roznamiętnionych nienawiścią i pragnieniem zemsty band, straciliśmy nagle grunt pod nogami. Tu zaś, w tem olbrzymiem zbiorowisku ludzkiem, życie nie wystąpiło dotychczas ze swego koryta, jako siła niszczycielska i nieokiełznana, ale płynęło w niem ze wszelkiemi pozorami spokoju, choć z gorączkową nieco szybkością. Nie wyczuwało się tu jeszcze, żeby podstawy dotychczasowego ustroju zarysować się miały, pomimo że tak wtedy było istotnie.

Zajechaliśmy do kawalerskiego *pied à terre* mego ciotecznego brata, Augusta Iwańskiego, który, wyjeżdzając do Warszawy na paromiesięczny wypoczynek po burzliwych przejściach w Ryżawce i Humaniu za rządów Rady Centralnej, upoważnił mię do tego w razie konieczności. Jeśli

bezmyślność i ślepota rewolucyjnych ekscesów są zjawiskiem towarzyszącem stale każdemu gwałtownemu przewrotowi, to w stosunku do mego kuzyna były one dowodem najjaskrawszej nielogiczności. Ten człowiek, rozumny i szlachetny, skromny w swoich wymaganiach i potrzebach, pojmujący, że znaczna fortuna nakłada nań obowiązki względem społeczeństwa, dbały o dobrobyt każdego ze swoich pracowników, był wzorowym obywatelem i nie wyzyskującym nikogo pracodawcą. Toteż wyzwolony z więzów dyscypliny marynarz, delegat «uciemiężonej» ludności ryżawieckiej, goniący za nim z nożem, aby zgładzić ze świata tego «krwiopijcę», przedstawiał w owej chwili takąż ślepą i dziką siłę, jak tygrys, napadający w dżungli rozmiłowanego w przyrodzie badacza. Kilkupokojowy dworek w Ryżawce, na tle prastarych, ogrodowych drzew, z szeroką werandą, oplecioną dzikiem winem, był wiernym obrazem charakteru i umysłowości zamieszkujących go ludzi. Od chwili wybuchu wielkiej wojny kuzyn mój gościł u siebie ojca staruszka, znanego i szanowanego ogólnie na Kresach. Powstaniec z 63-go roku, zesłany na Syberję, w ciągu lat dziesięciu utrzymywał się tam z lekcyj muzyki, wzbudzając swą niezachwianą prawością przyjaźń i szacunek wśród miejscowych Rosjan. Człowiek «czysty» w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu, dobry rozumną dobrocią, w zakresie spełniania różnorodnych obowiązków surowy był i wiele wymagający od ludzi, lecz miał do tego prawo, bo daleko więcej żądał od siebie. Skromny dworek ryżawiecki krył wewnątrz kilka cennych płócien. Prześliczny portret olejny przedwcześnie zmarłej, ukochanej żony mego wuja, pendzla Tadeusza Ajdukiewicza, przedstawiający ją w wieku młodzieńczym, ozdabiał ściany ulubionego jadalnego pokoju. Pod względem wybornego pochwycenia i oddania wewnętrznej, duchowej treści, portret

ten nasuwał wspomnienie słynnej Mony Lizy. «Wieczna kobiecość» promieniuje zarówno z włoskiego arcydzieła, jak z utworu naszego malarza, z tą tylko różnicą, iż powab tamtej tkwi w subtelnej finezji uśmiechu, tu zaś zachwycał wdzięk i urok dobroci polskiego dziewczęcia. Cenna bibbljoteka, złożona z wybitnych dzieł, oryginały Juljusza Kossaka («Stadnina») i Matejki («Maćko Borkowicz») moc drobnych obrazków, stare mahonie, znakomity fortepian i fisharmonja (lubiano tu «muzykować»), stwarzały atmosferę kultury i artyzmu, pomimo prostoty bielonych ścian.

(Dziś... czy stoi ten dworek jeszcze?!... i kto zamieszkał wśród jego ścian?!)

. . . .

W ostatnich kilku dniach życie ukazało nam najniespodziewaniej taką zmienność oblicza, że nie wierzyliśmy w jego pozorną dobrotliwość nawet w tym ludnym i świetnym Kijowie. Należało raczej korzystać z każdej chwili spokoju, bo niepodobna było przewidzieć, co się okaże w następnym rozdziale historji, którą prawie cała Europa od początku wielkiej wojny pisała krwią i łzami swych ludów.

Pojechałam tedy z Haneczką do Odessy na morskie kąpiele, pragnąc wzmocnić na przyszłość dość wątłe zdrowie. Kalikst pozostał w Kijowie i gospodarował na odległość, przyjmując raporty i wydając rozporządzenia Wilczańskiemu, który dojeżdżał do Białej Cerkwi parę razy na tydzień.

Ta ostrożność była zupełnie usprawiedliwiona coraz większem rozzuchwalaniem się powstańczych band i biernem zachowaniem się Niemców. Wogóle pozycja okupantów na Kresach nie była mocna. Podpalenie paru młynów, przeładowanych zbożem, na Padole, bomba rzucona w śródmieściu, wybuch amunicji w Kijowie, a wreszcie zamach na gen.

Eichorna, świadczyły jasno o proteście ludności przeciw narzuconym jej zwierzchnikom. Na prowincji działo się jeszcze gorzej. Tu żołnierz, odłączający się od swych towarzyszy, ginął nieraz bez śladu.

Taraszczańską jednak ruchawkę mogli Niemcy zdusić z łatwością, ale uważali ją za klapę bezpieczeństwa, przez którą uchodził nadmiar nagromadzonej energji. Zlokalizowali tylko ten pożar, strzegąc bacznie, by się nie przerzucił na inne powiaty, co utrudniłoby znacznie rabunkową gospodarkę, dającą im możność przeciągania niepomyślnej wojny. Za czasów okupacji szły do zgłodniałych Niemiec nietylko całe wagony zboża, cukru, tłuszczów i mięsa, ale ponadto każdy żołnierz miał prawo wysyłać do domu co tygodnia pięciokilową paczkę. Można sobie przedstawić, jakie góry tych paczek wędrowały do wycieńczonych blokadą Niemiec.

Zbrodnicze i rabunkowe instynkty w najgorszych jednostkach ludu naszego rozszalały się do tego stopnia, że nie poprzestając na rabowaniu dworów i mordowaniu obywatelstwa — rzucono się na bogatszych chłopów-gospodarzy. Cała drobna szlachta w Lemieszówce drżała o życie i mienie, bo przywódcy band odgrażali się głośno, że ich, jako «lachów», wyrżną do nogi, albo też spalą i wypędzą.

Pewnej nocy kilku rabusiów wpadło do Kieby, zamożnego chłopa, mającego sadybę w lesie sosnowym, naprzeciw naszego dworu, właściciela 60-morgowego gospodarstwa. Na czele ich stał Maksym, parobczak lemieszowski, który po wybuchu powstania zajeżdżał parę razy do Kaliksta, prosząc go o konie i siodła.

Bandyci otoczyli chatę, aby nikt wymknąć się nie mógł, położyli Kiebę na podłodze i zaczęli przypiekać mu stopy, żądając oddania pieniędzy. Lecz twardy chłop złożył ręce na piersiach i milczał... Nie nato on zlewał się potem

w skwarne dni letnie, nie nato mozolnie orał i siał, aby ciężką pracą uzbieraną krwawicę oddać teraz hultajom!! Przypiekali mu bok jeden i drugi... chłop milczał... bez jęku! Odeszli wreszcie, widząc, że śmierć już stoi na progu tej chaty, a chłop-męczennik w parę dni potem ducha wyzionął.

Toteż i my mieliśmy ciągłe straty. Bandy wpadały na forwark do Raczek, zabierały zboże z pod maszyny, uprowadzały konie lub krowy. To znów zajeżdżały do Lemieszówki, rabując dwór, strzelając do chlewni, wywożąc wozami co się dało. Straż, postawiona przez wieś dla ochrony dworu, uciekła. Znaczkowski pozostał sam na obejściu, bezsilny wobec przeważającej liczby napastników, a choć miał przez starszyznę wiejską nakazane dawać znać o każdym napadzie rabusiów, zanim zdołał dobiec na wieś i zebrać chłopów, już śladu bandy nie było. Wieś dotrzymywała jednak słowa, danego Kalikstowi, i pomimo takiej anarchji nikt z lemieszowskich nie rabował dworu. Starsi gospodarze żałowali nas niezmiernie, uważali, że krzywda nam się dzieje, że szkoda «pańskiej pracy», ale jawnie i zbrojnie nie występowali w obronie naszego mienia, bo już sami drżeli o własną skórę.

Jak biernie zachowywali się Niemcy w stosunku do taraszczańskiej krwawej ruchawki, świadczy fakt, że gdy banda, wioząca chlewnię, sukno z bilardu, skóry z karety i powozów, zrabowane przed chwilą w lemieszowskim dworze, zatrzymała się u strumienia, aby napoić konie — to z przeciwnej strony niemieccy żołnierze poili również swoje wierzchowce i przyjaźnie rozmawiali z «powstańcami»! A przejeżdżając przez Lemieszów twierdzili, że są wysłani dla poskromienia band! Wogóle cały plon tegorocznego, wspaniałego urodzaju poszedł na marne, a do rąk naszych dostały się tylko marne okruchy rozkradzionych zbiorów.

. . . .

Jednym z najwymowniejszych dowodów żywotności państwowego organizmu jest sprawne i rozgałęzione kolejnictwo. Dawniej, za caratu, jedynym brakiem w niem było niedocieranie do wielu miejscowości wskutek olbrzymich przestrzeni Rosji europejskiej i azjatyckiej. Pozatem pociągi słynęły z wygody i punktualności. Wracający tłumnie z frontu «towariszczi», biorąc szturmem wagony 1-szej i 2-giej klasy, wybijając w nich szyby i przeciążając ponad przepisaną normę, czynili je często niezdatnemi do użytku. Mechanizm lokomotyw i stan wagonów towarowych, przewożących nieustannie armję i żywność dla niej, pozostawiały również wiele do życzenia. Niemcy, z właściwym sobie niepospolitym zmysłem organizacyjnym, podnieśli z upadku to kulejące kolejnictwo i doprowadzili je jako tako do porządku, dbając przedewszystkiem o możność szybkiego zaprowiantowania wygłodzonych państw centralnych. Po głównych linjach kolejowych kursowały nawet pociągi pośpieszne, oświetlane jak dawniej elektrycznością, z oknami zabitemi niekiedy deskami w braku szyb. Na prowincji zato uruchomiono wagony 3-ciej i 4-tej klasy, bez szyb i światła, a kilkugodzinne opóźnienia w rozkładzie jazdy były zjawiskiem codziennem. Podróż pośpiesznym pociągiem z Kijowa do Odessy przekonała nas o złudności porządków niemieckich. Przez noc całą roje pluskiew, uwijających się po wyplamionym i podartym aksamicie ławek, nie pozwoliły podróżnym na chwilę bodaj wypoczynku. Przywołany służący kolejowy wzruszył ramionami i rzekł, uniewinniając się:

«Towariszczi!»... wszakże to oni nanieśli z frontu tego niechlujstwa, a ponieważ wagony są w nieustannym ruchu, bo rozporządzamy małą ilością zdatnych do jazdy, więc brak nam wprost czasu na radykalną walkę z pasorzytami. Co

nocy pasażerowie tak się skarżą, a cóż my jesteśmy temu winni?!

Okupacja austrjacka zajęła Podole i południe Rosji łącznie z Odessą. I tu życie, przykryte przez okupantów ich siłą wojenną, niby olbrzymim, nieprzeniknionym kloszem, płynęło pozornie normalnie, burząc się jednak w głębi i grożąc zemstą najeźdźcom. Właściciele zburzonych majątków z Chersońszczyzny zjechali licznie do Odessy, nie widząc możności dalszego prowadzenia gospodarstwa rolnego. W szerokim promieniu od Odessy obszary ziemi były tak niezaludnione, że wsie składały się nieraz z kilkunastu, czasem nawet z kilku chat, a wskutek tego ziemianie okoliczni zmuszeni byli sprowadzać robotników z Podola na czas robót polnych.

Nie mogło tu być mowy o «głodzie ziemi», agitacja zaś wywołała tylko bezcelowe rabowanie i zniszczenie inwentarzy żywych i martwych, nie przynoszące nikomu rzeczywistych korzyści, a zmniejszające obszar uprawianych pól. Znaczna ich część leżała odłogiem, resztę zaś ziemianie, wobec braku siły pociągowej, oddali chłopom w dzierżawę, lub też gospodarowali z nimi na spółkę w najpierwotniejszy sposób. Pobyt w Odessie stał się dla nas na zawsze pamiętnym wskutek groźnego pomruku niewidzialnych sił, które, dążąc wytrwale do zdeptania starego świata, pragnęły zdobyć dla siebie panowanie nad nowym.

Wyszłyśmy właśnie z Haneczką z naszej kamienicy w porze obiadowej, gdy nagle przeraźliwy huk, trzask i szybkie jak piorun, zgrzytliwe rozdarcie powietrza ogłuszyły nas i wstrzymały na miejscu. Błyskawicznym ruchem podniosłam głowę do góry — przemknęła mi myśl, że chyba jakiś nieprzyjacielski aeroplan rzuca na miasto pociski! Lecz cudne niebo południa było nieskazitelnie błękitne i czyste. Wtem

sypnęły się jeden za drugim podobne piekielne łomoty, ogłuszające i tłumione nawzajem siłą własnych wybuchów. Od szalonego wstrząśnienia powietrza szyby w oknach kamienic wyleciały na bruk uliczny, wtórując dźwiękiem tłukącego się szkła nieustającemu koncertowi rozhukanych zgrzytów.

Wpadłyśmy z powrotem do bramy domu, w którym mieszkałyśmy. Podwórze zatłoczone już było uciekającymi ze swych pomieszkań lokatorami. Nagle raptowny huk — tak potężny, jakgdyby świat cały się walił — zatargał powietrzem, i szyby z górnych pięter posypały się nam na głowy.

— Uciekajmy, mamusiu! — wołała zdjęta panicznym strachem Haneczka.

— To aeroplany zarzucają miasto pociskami! — krzyknął ktoś z rozpaczą.

— Skądże aeroplany?!... To raczej bomby pękają z takim piekielnym hałasem!

Ktoś wpadł zdyszany z ulicy:

— Nieznani sprawcy podłożyli ogień pod składy amunicji austrjackiej! Pożar szalony! Wspaniały widok! Szrapnele i bomby pękają w powietrzu!

— Od takich wybuchów domy mogą zwalić się nam na głowy! Uciekajcie! Na ulicę! Na ulicę!

Runęli wszyscy w jedną stronę i stłoczyli się w wąskiem podsieniu, chcąc się wydostać z podwórza. Ulice Odessy przedstawiały widok niezwykły. Tłumy mieszkańców wyległy na nie, powodowane snadź jednością myśli, którą panika z chyżością huraganu przeniosła przez wszystkie umysły. Niektórzy, filozoficzniej niż drudzy nastrojeni, wynieśli nawet krzesła i usiedli na nich wygodnie, w myśl zasady, że, jeśli lada chwila głowa ma być urwana, to niech przynajmniej nogi nie bolą! Przeróżne poglądy i proroctwa

złowróżbnej treści przelatywały niby iskra elektryczna przez ten tłum zatrwożony i niespokojny, albowiem wybuchy nie ustawały ani na chwilę.

— Byle tylko ogień nie doszedł do składów pyroksyliny!

— Cała Odessa wyleci wtedy niechybnie w powietrze!!

I szumiało przerażeniem to morze głów ludzkich pod wpływem zdań, ukutych w wyobraźni histerycznych tchórzów, których nigdy nie brak w podobnych wypadkach. Wreszcie jakiś przechodzień zbliżył się do nas.

— Uspokójcie się, państwo, — rzekł przekonywająco. — Jako inżynier twierdzę stanowczo, że niebezpieczeństwa niema najmniejszego. Dynamit tylko wtedy jest strasznym, gdy go się podłoży pod fundamenty gmachów, ale od ruchu fal powietrznych, niosących się nawet z potężną siłą, żaden jeszcze budynek nie runął! Wylecą z okien szyby — oto wszystko!

To krótkie i chłodne wyjaśnienie fachowca, podawane z ust do ust, przeleciało przez tłum i trafiło wielu do przekonania. Gromady ludzi przerzedziły się powoli i mieszkańcy rozeszli się do swych domów. Zanim jednak zdołano umiejscowić ogień, przerzucający się z jednego składu na drugi, i uchronić od spłonięcia pozostałe materjały wybuchowe, huczna i groźna kanonada trwała przez dzień cały, aż do 2-giej w nocy.

Ten olbrzymi pożar przedstawiał wspaniałe widowisko w swem żywiołowem rozpętaniu, zwłaszcza wśród nocnych ciemności. Składy broni i amunicji były na przedmieściu Odessy, zwanem Peresyp, i zajmowały znaczną przestrzeń. Mniej więcej trzecia ich część opanowana została przez ogień, i to złoto-żółte morze płomieni, rozsiewające blaski i strzelające w górę jaskrawszemi smugami, niszczycielskie

i pałające, sprawiało zdala imponujące wrażenie, oświetlając swym migotliwym tańcem szkarłatne od ognia niebo.

Zarówno tu, jak w Kijowie, wysadzenie w powietrze składów amunicji niemieckiej było dziełem rewolucjonistów rosyjskich.

Ponieważ do Lemieszówki niepodobna było wracać wobec panoszącej się bezkarnie anarchji w powiecie taraszczańskim, więc na resztę lata pojechałyśmy z Odessy do Baczkuryna. Na stację monasterzyską wyjechał po nas mały powozik, i znowu, po paromiesięcznej przerwie, otoczyły nas pola i lasy, i szeroki krąg dalekiego, pogodnego horyzontu, i kopy zżętego zboża, stojące na szczeciniastych, żółciejących łanach, i ten cichy, tylekroć opiewany, a zawsze najmilszy i najwymowniejszy urok wsi i natury. Po drodze przejeżdżałyśmy przez Monasterzyska Tytusów Podoskich. Dworu już tu nie było — spłonął, zarówno jak zabudowania folwarczne, za czasów Rady Centralnej, a właściciele, napadnięci znienacka przez bandę chłopów, która przyszła tu rabować i niszczyć, ledwo z życiem ujść zdołali. Strzelano za nimi, a gdy, uciekając, oglądnęli się w obawie pogoni, ogniste języki pełzały już po dachu domu, grożąc zagładą całej siedzibie, którą sami zbudowali.

Za miasteczkiem widać było zdala stare, rozłożyste drzewa baczkuryńskiego ogrodu i szkółki leśnych, parkowych i owocowych sadzonek i krzewów, które Leon hodował z ogromną znajomością rzeczy i zamiłowaniem na obszarze kilkunastumorgowym, czerpiąc stąd dość znaczne dochody. Stary ogród baczkuryński był oryginalny i ponętny wskutek niesłychanej bujności drzew, krzewów i wszelkiego rodzaju roślinności. Leon lubił porównywać go ze słynnym zolowskim «Paradou», twierdząc żartobliwie, że pod względem bogactwa barw i szalonego rozkwitu w porze wiosennej



Monasterzyska Tytusów Podoskich.

Z Albumu Ordy.

XII



Leśkowa T. Dachowskiego.



Cybulów Rohozińskich.

nie ustępował w niczem tamtemu. Były tu tunele pod zielonem przykryciem zwierających się z sobą u góry konarów — były strzyżone szpalery młodych drzew, niby przednia straż pospolitaków, za którą rozpierały się dumnie pradawne dęby i graby, — były dzikie chaszcze splątanych i powikłanych krzewów i pnących się latorośli, które szkarłatem liści znaczyły w jesieni swą wędrówkę aż na wierzchołki strzelistych świerków, — był naprawdę przepych i kontrast barw, tonów i ulistnienia, bo Leon kochał się w pięknie roślinnego świata, śledził bacznie za nowo-odkrytemi w tej dziedzinie gatunkami, sprowadzał je z zagranicy do Baczkuryna, aklimatyzował, rozmnażał w swych szkółkach, polecał w katalogach, pragnąc ożywić stare parki wdziękiem nowości, tak w zakresie drzew ozdobnych, jak i w sadownictwie. Był to prawdziwy ogrodnik-amator, który z zapałem i wytrwałością szedł w obranym przez siebie kierunku pracy w ciągu lat kilkunastu, budząc przytem w okolicznych chłopach chęć posiadania własnego, chociażby najmniejszego sadu przy każdej chacie, i sprzedając im śliczne szczepy owocowe po śmiesznie niskiej cenie.

Szeroką aleją, do której nie przedarł się nigdy promyk słońca przez gąszcz szumiącego u góry listowia, zajechałyśmy przed dwór. Wesoło wyskoczyłyśmy z powozu, witając się z rodziną, oczekującą nas na ganku. Uściski, śmiechy, pytania tętniły w powietrzu, a dwór-staruszek otworzył naoścież swe staroświeckie, okute drzwi, aby nas — już tułaczki — przyjąć i ugościć.

— Pokażcie się, jak wyglądacie?! — mówiła żywo moja bratowa, przypatrując się nam zmrużonemi z powodu niesłychanej krótkowzroczności, lecz rozjaśnionemi radością oczami. — Świetnie! Znać na was słońce południa!

— My czujemy się doskonale — zapewniłam ją po-

śpiesznie. — Niestety, z Lemieszówką znacznie jest gorzej! Niepodobna myśleć o powrocie wobec biernego zachowania się Niemców i rosnącej anarchji. Czy przynajmniej tu u was spokojnie?

I nagły cień lęku przed nieznaną, a mogącą być tak groźną przyszłością przyćmił radość naszego powitania, jak chmura, przysłaniająca niekiedy słońce w najpogodniejszy dzień.

— Dopóki są Niemcy, niczego obawiać się nie należy — odparła Cesia z westchnieniem, — ale pewna jestem, że znaczna część ludności wiejskiej, prócz starszych gospodarzy, przytłoczona obawą przed siłą niemiecką, uparcie, choć pocichu, powtarza swoje: «Śmierć panom! Ziemia i wola dla pracującego ludu!» Agitacja zapuściła zbyt głęboko korzenie. Oni naprawdę wierzą, że my im stoimy na drodze do szczęścia, a Bóg tylko wie, ile jest szczerości w tych podniecających hasłach, a ile...

— Nie wywołuj wilka z lasu — przerwał jej żywo Leon. — Cieszmy się chwilą obecną!

Przeszłyśmy do gościnnego pokoju, aby się przebrać i rozpakować po podróży. Moja bratowa usiadła na fotelu pod oknem, i patrząc na krzątającą się przy pakunkach Haneczkę, mówiła ze smutkiem:

— Jak mi was żal! Stracić dom, w którym przeżyliście tyle lat, pracę przy własnym warsztacie, rozstać się z celami, które tak ukochaliście, i to niewiadomo na jak długo, — jakiż to dramat! Nie przemawia przezemnie wyłączność klasowa, ani nawet gorące do was przywiązanie, — żałuję was jako ludzi, i tak samo żałowałabym każdego biedaka, wypędzonego w świat z pod własnego dachu! A i nasza przyszłość budzi we mnie czarne myśli...

— Masz słuszność! Gdyby Niemcy stąd wyszli, wywro-

towcy znów poczną w nas walić, niby taranem, rozkiełznanemi namiętnościami ludu, a przecież oddalibyśmy wszyscy dobrowolnie połowę posiadanej ziemi, byleby na pozostałej pracować dalej spokojnie.

Zamyśliłyśmy się obie.

— Ach, ci Niemcy! Chytrość krzyżacka i bezwzględność zwycięzców przemawia ze wszystkich ich czynów! Rządzą tu jak w kraju podbitym, nie dbając o życie i sprawiedliwość ani względem ziemian, ani też w stosunku do chłopów. Pobłażliwie patrzą na anarchję w taraszczańskim powiecie, nie obronili od mordu nieszczęsnych Ułaszynów, choć mogli wywieźć ich z łatwością automobilem, a nie odznaczają się wcale tak wielką tolerancją, gdy chodzi o ich własną skórę! Wyobraź sobie, przed tygodniem chłopi baczkuryńscy, po pijanemu, w bójce, zabili żołnierza niemieckiego. Na drugi dzień o świcie cała wieś obstawiona została oddziałami wojska, z przeciwległej strony stawu, pod lasem na górze, szereg karabinów maszynowych wymierzył swe lufy na chaty, a kilku kawalerzystów, uzbrojonych od stóp do głów, przywiozło do starszyny (wójta) rozkaz na piśmie zapłacenia 40.000 rubli kontrybucji w przeciągu paru godzin, — w przeciwnym razie karabiny maszynowe zburzą cały Baczkuryn.

We wsi nastał istny sądny dzień! Lament bab i rozpaczliwe wykrzykniki chłopów dochodziły aż do nas. Wówczas dopiero wieś przypomniała sobie, że jest dwór, który nigdy dla nich wrogim nie był! Runęli tu całą gromadą, padli nam do nóg, całowali brzeg mojej sukni... — «Zmyłujteś nad nami! Ratujte! Ratujte!» — Wiedzieli dobrze z poprzednich wypadków, że Niemcy nie żartują, a tak znacznej sumy nie mogli zebrać. Żal mi ich było, lecz myślałam sobie, czy ta chwila lęku o własne życie i mienie zmiękczy serca

tych, co niedawno jeszcze i nas tak chcieli mordować i wypędzać?! Przecież i my jesteśmy ludźmi, i nam ciężko iść w świat na tułaczkę, a wobec śmierci i męczeństwa — wszyscy zarówno jesteśmy nieszczęśliwi.

Leon natychmiast pojechał do Leśkowej, do dowództwa niemieckiego, i dopóty ze zwykłym swoim uporem przekonywał i wstawiał się za chłopami, aż wreszcie uzyskał zwolnienie od połowy kontrybucji. Ileż wówczas błogosławieństw spadło na nasze głowy! Ile przysiąg dozgonnej wdzięczności! A jednak mieliśmy czas już się przekonać za rządów Rady Centralnej, że dusza chłopska bywa niekiedy tak dzika, jak za «bat'ki» Chmielnickiego! Oświata nie rozjaśniła mroków nieuctwa i zastoju w przedwiekowem barbarzyństwie, a na nas, niestety, walą się następstwa tyloletniego, fałszywego systemu postępowania z ciemnemi tłumami. Jeśli Niemcy wyjdą z Ukrainy, — a nie wiem dlaczego, ale pewną jestem, że wojnę przegrają, — nurtująca agitacja wyrwie z piersi ludu okrzyk równie groźny, jak w epoce wojen kozackich: «Rizaty lachiw!! Zemla, lisy i pasowyska!!...»

. . . .

. . . .

Nic dziwnego, że spokój panował w Baczkurynie i w okolicznych wsiach, albowiem o trzy kilometry zaledwie, w sąsiedniej Leśkowej, rozlokował się 92-gi pułk strzelców landwery (*Landwehr-Schützen-Regiment*) pod dowództwem majora von Kreutzen, zaopatrzony w odpowiednią ilość karabinów maszynowych.

Leśkowa należała do Tadeusza Dachowskiego, znanego sportsmana i właściciela stajni wyścigowej, ożenionego z p. Marją Wołodkowicz. Nie była to już sadyba szlachecka, ale istotnie pańska rezydencja. Śliczne położenie nad ogrom-

nym stawem, niebotyczne drzewa, szumiące uroczyście potężnemi koronami, rzucone miejscami grupy różnolistnych olbrzymów, prastare świerki-solitery, wetknięte w aksamitną zieleń strzyżonych trawników, z konarami opadającemi aż do ziemi, a wśród tego zgromadzenia gaworzących mocarnie starców przecięte umiejętnie widoki na wodę i daleką przestrzeń — zachwycały, upajały niepowszednią malowniczością i estetycznym talentem planisty, który wykorzystał tu każdy zakątek, aby stworzyć całość prawdziwie imponującą. W pośrodku tego cudnego parku stał zamek, jakby przeniesiony gdzieś z nad Renu, a wewnętrzne jego urządzenie odpowiadało w zupełności zewnętrznej wytworności budowy. Ciotka pani Tadeuszowej ofiarowała młodej parze, jako podarunek ślubny, swoje muzealne wprost i bezcenne zbiory mebli, obrazów, zegarów, makat i przeróżnych antyków, czyniących z tego zamku przybytek piękna i wieloletniej przeszłości. Wówczas już część tych skarbów ludzkiego genjuszu była wywieziona, — pozostałe zaś schowano i zamurowano starannie, a zamek świecił pustkami i posiadał tylko niezbędne umeblowanie. Na parterze mieszkał właściciel i siostra jego, panna Marja, równie zapalona sportsmanka i koniarka, jak brat, — górne zaś piętro zajęło dowództwo niemieckie. Stosunki pomiędzy Niemcami a właścicielami Leśkowej były zupełnie poprawne i, nie mówiąc naturalnie o oficerach, nie uskarżano się nigdy nawet na żołnierzy.

Ta ostatnia jesień, spędzona we własnych gniazdach na Ukrainie, niezwykle była piękna i pogodna, jakgdyby, żegnając nas na długo, zapragnęła ozłocić gorycz rozstania wspomnieniem ciepłych, jasnych dni, długo trwającego bogactwa tonów, żółknących powoli na drzewach liści i czaru gwiezdnych wieczorów.

Po dniu, spędzonym pracowicie wśród zwykłej, wiejskiej krzątaniny, siedzieliśmy kiedyś wszyscy na stopniach ganku, zachwycając się przepysznym zachodem słońca, które już tylko błyszczącym, złotym czubem wychylało się z poza linji horyzontu. Po przejściu tego mocarza pozostał na niebie szeroki szlak purpury, niby królewski płaszcz, podbity u brzegów litym złotogłowiem, a za nim stały, jak grono dworzan i paziów, zwarte szeregi pierzastych obłoków, prześwietlonych złotawym odbłyskiem. Niebo chłonęło w siebie te blaski, roztapiając je zwolna w srebrzystą szarość. Wtem dał się słyszeć tętent szybko kłusującego konia, i panna Marja Dachowska wyjechała z cienistej alei.

— Dobry wieczór państwu! — wołała zdaleka, zataczając wierzchówką zgrabne koło i zatrzymując ją wprawnie przed gankiem. — Nie zsiadam nawet! Wpadłam na chwilę, spacerem, prosić, kto łaskaw, do nas jutro na podwieczorek z Niemcami.

— Dawniej kolacja z indykiem — dziś podwieczorek z Niemcami! Wielka wojna odświeżyła zatęchłe powietrze prowincji i zmieniła radykalnie powaby chwili! — rzucił ktoś żartobliwie.

Zaśmialiśmy się wszyscy. Rozmowa potoczyła się na temat gorączkowych jesiennych prac. Pomimo bowiem zniszczenia i zrabowania dawnych inwentarzy, ziemianie i dzierżawcy wytężyli wszystkie swe siły, dokupując konie, wynajmując je częściowo u chłopów, byleby nie zmniejszyć siły obrotu i wydajności gospodarstw skarbowych. Jutro było niepewnem, i żyło się jak na wulkanie, ale obsiać tę ziemię, dopóki ją faktycznie posiadaliśmy, było naszem prawem i naszym obowiązkiem.

— Zatem do widzenia, do jutra! A teraz do domu! — rzekła panna Marja, klepiąc śliczną, rasową klacz po szyi.

Ta, jakby pojmując o co chodzi, nagłym, harmonijnym rzutem cienkich nóżek uniosła daleko od ganku zrośniętą z nią niemal amazonkę, obiegła wyciągniętym kłusem klomb podwórzowy, okolony kwitnącemi różami, i zniknęła w gęstwinie drzew.

Nazajutrz jechałyśmy do Leśkowej, ciekawe niezmiernie poznania ludzi, grających tak wybitną rolę w niemilknącym koncercie, a raczej kakofonji europejskiej. Na podwieczorek, podany w wielkiej sali jadalnej, zaproszono kilku oficerów pułkowych — byli między nimi Bawarczycy, Sasi i jeden Prusak. Rozmowa toczyła się po niemiecku, naturalnie o wypadkach wojennych. Świat cały żył wówczas pod groźnym znakiem zapytania. Wiedziano, że mapa Europy pokrajaną zostanie, że zmiany nastąpią — lecz jakie?! To pytanie roznamiętniało wszystkie umysły — dysputom i hipotezom nie było końca! Ogólny miły nastrój i ożywioną rozmowę zmącił nagle ów butny Prusak, major sztabowy. Mówiono właśnie o Paryżu i pan Dachowski unosił się nad czarem tego miasta, jedynego w swoim rodzaju w świecie całym, gdy wtem ów następca krzyżackich pyszałków rzekł z nieukrywanym tryumfem, wodząc po nas blado-niebieskiemi, chłodnemi jak stal oczami:

— A jednak nie jest wykluczone, że nasze armaty za parę tygodni mogą zbombardować ten piękny Paryż doszczętnie! — Nieubłagany antagonizm narodowy, tchnący z tych słów, rzucił swój cień na zebranych. Pan Dachowski, jako człowiek niesłychanie żywy, podskoczył na krześle, ale natychmiast powściągnął swoje niezadowolenie i rzucił tylko z ostrzegawczym uśmiechem:

— Doprawdy?! Czyż nie szkoda-by było tego przecudnego Paryża, majorze?!

Lecz my obie z Cesią nie potrzebowałyśmy się tak hamować, i gorące słowa protestu posypały się w odpowiedzi:

— Ależ to straszne, co pan przypuszcza, majorze! Zbombardować doszczętnie Paryż, to miasto-słońce, te skarby ludzkości, które w niem umieściły wieki całe! Chociażby galerje Louvre'u — jedynie to, nie mówiąc nawet o innych przepychach twórczości!... Może przypomni pan sobie, majorze, że można bez cienia wysiłku z dziesięciu Holbeinów zrobić dziesięciu lordów, ale, niestety, ze stu lordów nie zrobi się na zawołanie ani jednego Holbeina. Tak, majorze!

Już koledzy majora spoglądali na niego niechętnie za zbyt otwarte wypowiedzenie zdania, godnego barbarzyńcy, a on siedział wyprostowany, przyjmując obojętnie lecące ku niemu cięte słowa i zaznaczając swem chłodnem spojrzeniem, że nie żałuje i nie cofnie tego, co wygłosił. Pan Dachowski skorzystał z chwilki milczenia, rozpoczął pośpiesznie opowiadanie o jakichś myśliwskich przygodach i znowu weszliśmy wszyscy w ramki zwykłej, towarzyskiej rozmowy.

Po podwieczorku wyszliśmy na terasę, biegnącą wzdłuż salonu. Wieczór był przepiękny i cichy. Przed nami szeroko rozlany staw połyskiwał nieruchomo, niby jakaś olbrzymia, polerowana tafla. Z przeczystą wyrazistością odbijały się w nim topole i brzozy, okalające go na przeciwległym brzegu. Rozjarzona tarcza słoneczna przesuwała się zwolna z wysokości podniebnych ku zieleniejącym obszarom jesiennych posiewów. Ze wsi dolatywały wesołe okrzyki dzieciaków i porykiwania bydła, wracającego z pastwiska.

— Śliczny wasz kraj — rzekł szczerze młody porucznik, adjutant Thieme, Bawarczyk z pochodzenia. — Nie dziwię się wcale, że go tak kochacie i bronicie się od zupełnego wywłaszczenia. Cudny kraj!

Doktor pułkowy wmieszał się do rozmowy:

— Dobrze mówicie, kolego. Ja tu jestem niedawno, a wydaje mi się, że to moja druga ojczyzna. Cóż dopiero

odczuwać muszą ludzie, co tu porodzili się i wyrośli! Jakimże ciosem musiała być dla was ta projektowana reforma rolna, jeśli wogóle te wszystkie zniszczenia i rabunki reformą nazwać można...

— Nazywają nas rabusiami! — odezwał się znowu młody porucznik. — Zapominają o tem, że prawo wojenne uwzględnia poniekąd branie łupu! A przecież w narodzie niemieckim poszanowanie cudzej własności jest tak zasadnicze, że podobna reforma rolna bez odszkodowania, bez przeprowadzenia jej przez debaty sejmowe, byłaby wręcz nie do pomyślenia!

— Nasz lud okrzesany i kulturalny, a tu — panowanie czerni! Prawdziwy *Mużiken-Land*, albo jeszcze lepiej *Haden-Land!* — zaśmiał się doktor drwiąco.

— Niestety, pan ma słuszność — powiedziałam z żalem. — Wiek przeszło zgórą za czasów caratu trzymano ten lud rozmyślnie w ciemnocie i pijaństwie. Na takim gruncie krzewi się łatwo i bujnie anarchja i zdziczenie.

— Dopóki my tu jesteśmy, nie potrzebujecie obawiać się powrotu anarchji — rzekł z pewną dumą porucznik Thieme, — ale gdybyśmy was opuścili...

— Widocznie nie wiecie, panowie, co się dzieje w taraszczańskim powiecie? — przerwała mu żywo panna Marja. — Opowiedz, Maryniu, co przeszliście wy i wasi nieszczęśliwi sąsiedzi!

Niemcy słuchali mego opowiadania z udanem czy też prawdziwem zdziwieniem, twierdząc, iż nie pojmują postępowania władz okupacyjnych w Białej Cerkwi, obiecali mi nawet wyrobić u dowódcy pułku list polecający do tamtejszego komendanta, z prośbą o pomoc w wywiezieniu z Lemieszówki przynajmniej kufrów i pak. W kilka dni później przyjechali istotnie do Baczkuryna adjutant Thieme i doktor pułkowy z panną Dachowską i przywieźli mi obiecany list.

Wojna, oślepiająca wszystkich coraz to nowym zwrotem gigantycznych wydarzeń, zmusiła i nas do omawiania ostatnich bojów na zachodnim, angielsko-francuskim froncie. Pomoc Ameryki, lekceważona zrazu przez Niemców, zaczęła się przejawiać w niezwalczonej sile jej techniki. W tym przepotężnym boju narodów prócz zwykłej grozy wojennej ważyły na szali losów charaktery i wynalazczość przeciwników: organizacja i wytrzymałość Niemców, patrjotyzm i odporność Francuzów, zmysł polityczny Anglików, ciemnota Rosji, toczonej bakcylem rozkładu, wreszcie genjalna rzutkość Amerykanów, ujawniająca się w stosowaniu na starym lądzie przyniesionych z za oceanu nowych wynalazków technicznych. Podziwialiśmy różnorodność sił duchowych, wciągniętych do rozgrywającej się walki.

— Może myślicie państwo, że jesteśmy zadowoleni z tej wojny? — spytał nas adjutant Thieme. — W takim razie mylicie się najzupełniej! Właściwie poco nam ona?

Leon zaprotestował ze zwykłym swoim spokojem:

— Jeśli nie chcieliście wojny, to dlaczegóż przygotowywaliście się do niej w ciągu lat czterdziestu?

Żachnął się niecierpliwie młody oficer: — W słowach pana widzę wyniki przebiegłej roboty tej chytrej i niegodnej Anglji! Ona to wyrzuciła miljony na kupienie prasy we wszystkich krajach, ona przepłacała inspirowane artykuły, wmawiające uparcie w ludzkość całą, że jesteśmy barbarzyńcami, zaborcami, że dążymy do panowania nad światem!

Wmieszałam się do dysputy:

— Na początku wielkiej wojny widziałam sama mapy niemieckie z napisem: «Nowe Wielkie Niemcy», na których prowincje nasze, teraz przez was zajęte, wchodziły w skład Rzeszy niemieckiej.

— Te mapy były obstalowane i rozesłane wszędzie

przez Anglików — zapalał się coraz bardziej uparty Niemiec. — Chytry Albjon chciał wprost poszczuć na nas wszystkie narody, strasząc je widmem hegemonji niemieckiej. Umieliśmy lepiej niż Anglik dostosować się w naszych wyrobach do potrzeb i gustu odbiorców zamorskich. Pozazdroszczono nam! Pokonany w przemyśle i wszechświatowym handlu współzawodnik postanowił skruszyć naszą potęgę, zniszczyć naszą flotę — i oto wielka wojna, której wynik nikomu nie jest znany!

— Może naród nie pragnął wojny — odezwała się moja bratowa, — ale przyznajcie panowie, że wasz cesarz był militarystą do szpiku kości. Ileż razy widywałam przed wojną ilustracje, przedstawiające go w coraz to innym mundurze, maszerującego na czele wyćwiczonych żołnierzy!

— Nasz cesarz jest władcą, miłującym pokój może więcej niż inni — odparł z głębokiem przekonaniem doktor, — ale grożono nam zewsząd! Musieliśmy pokazywać zęby, jak wilki. Czyż teraz nie daliśmy poważnego dowodu naszych pokojowych tendencyj, stwarzając wam Polskę, oswobodzoną od rządów moskiewskich?

— Zapewne — przyznał Leon, — ale jakaż to Polska?! Otrzymaliśmy blady cień niepodległości, a w rzeczywistości wszystkiem rządzicie — wy...

— Bo Polacy marzą zawsze o Polsce od morza do morza! — bronił się żywo adjutant Thieme. — I poco wam ona?! Rządzić się sami nie umiecie! Daliście przecież tego dowody, doprowadzając kraj, niegdyś potężny, do rozbiorów, a gdyby cudem jakimś wasza «Rzeczpospolita» zmartwychwstała, rozpoczęłyby się natychmiast swary stronnictw o władzę, a kraj leciałby znów do upadku! Nie macie zmysłu politycznego, — najlepiej trzymajcie się z nami. To wasza rola historyczna!

Rozmowa się zaogniła, a w umysłach ożyła odwieczna waśń polsko-niemiecka. Niemcy wyszli również ze swej chłodnej równowagi.

— Mamy iść z wami?! — wykrzyknęła zapalczywie panna Dachowska. — A dlaczegoż karzecie dzieci nasze w Poznańskiem za to tylko, że mówią pacierze po polsku?!

— Bo to są obywatele niemieccy, polskiego pochodzenia — przekonywali nas obydwaj z zapałem. — W państwie praworządnem nie może być żadnej odrębności, a najważniejszą dla każdego musi być racja stanu.

— Więc gdybym się urodziła w stajni — mam być koniem?! — rzuciłam już z oburzeniem.

— Pani dysputuje jak kobieta! — rzekł doktor, zaskoczony moim niespodziewanym i dość komicznym argumentem.

— A pan jak zaborca! — odpowiedziałam mu natychmiast.

Skrzyżowaliśmy szpady i patrzyliśmy na siebie nieufnie

— Określę to inaczej — odezwał się poważnie Leon. — Wyobraźmy sobie na chwilę, bo tego panom nie życzę, że Anglicy was pokonali, wzięli pod swoje rządy i zabronili czuć i mówić po niemiecku. Jakbyście postąpili w takim wypadku?

Niemcy rzucili się jak szaleni i wykrzyknęli: — Naród niemiecki nie wyrzekłby się przenigdy ducha swego i języka! Nie stalibyśmy się Anglikami, których nienawidzimy! Ależ to wręcz niemożebne!!

Rozmowa się nagle urwała... zaległo milczenie, w ciszy dzwoniła jednak uparcie niewypowiedziana, ale logicznie nasuwająca się myśl: «Dlaczegoż tedy nam, Polakom, każecie być Niemcami?!»

Poproszono nas w tej chwili, i tak bardzo w porę,

na kolację. Ostygły rozgorączkowane umysły i już tego wieczora unikaliśmy wszyscy najstaranniej wzmianki nawet o polityce.

. . . .

Leon, pragnąc rozpowszechniać, gdzie się tylko dało, swoje gorące umiłowanie ogrodownictwa, zabierał nieraz z sobą Haneczkę do szkółek, pokazywał jej ciekawsze egzemplarze, uczył cierpliwie nazw łacińskich i polskich, i cieszył się, gdy mała umiała po parokrotnej lekcji rozpoznawać nieznane przedtem drzewa lub krzewy. Wracaliśmy kiedyś we troje z takiej wędrówki i weszliśmy już przez główne drzwi do przedpokoju, gdy nagle Leon, zaglądnąwszy do salonu, odwrócił się do nas, przykładając palec do ust i wzrokiem nakazując nam milczenie. Podeszłyśmy na palcach i spojrzałyśmy ciekawie. W salonie siedziała na kanapce moja bratowa i śmiała się szczerze, ale cicho, — a naprzeciw niej pan Michał Żółkiewski, zatopiony w olbrzymiej księdze *in folio*, rozłożonej na kolanach zdawał się zapominać nietylko o pani domu, ale o świecie całym. Leon na palcach przeszedł przez salon, nachylił się nad zaczytanym sąsiadem, klasnął w dłonie i zawołał z udanym podziwem:

— A pan co tu robi?!

Rzucił się pan Michał na fotelu, podniósł w górę niebieskie oczy (a z dalekiej wracał podróży, bo aż z Piekła Dantego, które wraz z cudnemi ilustracjami Doré'go tak go pochłonęło), ujrzał stojącego nad sobą rozśmieszonego Leona i począł całować ręce mojej bratowej:

— Stokrotnie panią przepraszam! Rzuciłem okiem, zobaczyłem początek znanej mi pieśni, a potem nie pamiętam doprawdy, jak się to stało...

Leon wyjął zegarek:

— Niech się pan nie martwi, kochany panie Michale! Czytał pan niedługo — najwyżej... godzinkę!

Rodzina Żółkiewskich z Wiktorówki posiadała papiery i nadania, sięgające odległych czasów i stwierdzające, iż była spokrewniona z rodem wielkiego hetmana. Na uroczystym obchodzie złożenia kości Żółkiewskich do nowej trumny w Żółkwi, w roku 1908, młodzi Żółkiewscy i siostra ich stryeczna Marja Brezina występowali jako przedstawiciele i potomkowie zasłużonego rodu.

Pan Michał był jednym z najwykształceńszych ziemian kresowych. Nazywaliśmy go chodzącą encyklopedją *in folio*, albowiem tuszę miał okazałą, i ceniliśmy go ogólnie za prawość i rozum, które przebijały z niebieskich oczu, patrzących na świat pogodnie z pod krzaczastych brwi. Wąsy nosił opadające w dół, niby dwie siwiejące miotełki, a w kąciku ust tkwiło wieczne cygaro, odradzające się nieustannie, jak Feniks z popiołów. Dystraktem był przytem tak niepospolitym, jak tylko filozof urodzony nim być może! Ileż nieraz nadokuczaliśmy panu Michałowi, wymyślając mu od Diogenesa w beczce, do tego stopnia nie dbał o swój wygląd zewnętrzny, doprowadzając tem przy większych zjazdach żonę swoją, miłą i żywą jak iskra panią Zofję, do wykrzykników udanej zgrozy wobec zaniedbanego (przez dystrakcję) stroju męża. Przez długi czas, przy każdem spotkaniu, wypominaliśmy panu Michałowi jego studja w baczkuryńskim dworze:

— Czy zwiedził już pan Niebo? Czy pobyt w Czyśćcu stał się nieco milszym?

— Czy poznał pan wszystkie tajemnice życia pozagrobowego, panie Michale? Prosimy o podzielenie się z nami spostrzeżeniami w tym względzie.

Pan Michał pykał nieodstępne cygaro i odpowiadał pogodnie:

— Byłem wszędzie, wiem o wszystkiem, ale wy, moje panie, niczego się odemnie nie dowiecie! Przepłynąłem Letę z powrotem i w drodze pogubiłem wspomnienia!

Na kilkanaście lat przed wojną państwo Michałowie przenieśli się z dzierżawy na stałe do swojej Wiktorówki, a że dworu tu nie było, należało go postawić. Wówczas to pan Michał wprowadził w rzetelny podziw wszystkich sąsiadów nowym i tanim sposobem budowania. Oto, zamiast murowanych lub drewnianych ścian, zaczął układać na dość wysokim cokole szeregi brył z gliny, wymieszanej z plewami i słomą i wysuszonej na słońcu. Nażartowali się sąsiedzi z pana Michała, porównywując go do faraonów, tylko że — *à tout seigneur tout honneur* — faraonowie operowali potężnemi głazami, a szlachcic kresowy — glinianemi zwałami! Pomimo tych żartów, dwór w Wiktorówce miły był, wygodny i ciepły. Pokoje miał obszerne, jasne i wysokie, a najmilej wyglądał gabinet pana Michała, obstawiony dokoła czarnemi szafami, sięgającemi sufitu i zapełnionemi od góry do dołu książkami. Niskie, rozłożyste fotele, obite skórą, masywne stoły, dźwigające ozdobne wydawnictwa literackie, puszyste dywany, tłumiące odgłos kroków, nadawały temu gabinetowi tyle ciepła i przytulności, że i domowi i goście najchętniej tam przesiadywali.

I państwo Michałowie złożyli daninę łez i krwi wielkiej wojnie. Najstarszy syn ich, Andrzej, znajdujący się w chwili mobilizacji we Francji, poszedł tamże na ochotnika do wojska i padł na obczyźnie od kuli niemieckiej. Drugi zaś syn, Tadeusz, powołany do szeregów armji rosyjskiej, odznaczył się niejednokrotnie bohaterstwem i odwagą i dostał moc orderów za waleczność. Wierzył święcie w szczerość odezwy

wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, i to było pobudką jego czynów.

Chociaż Niemcy umieścili się tak blisko Baczkuryna, i napozór wieś była spokojna, wyczuwało się jednak jakąś grozę, ciążącą nad dworem. Zdawało się chwilami, że ta dzika siła zniszczenia jest tuż... ot tam, niedaleko, za tym lasem, za tamtą górą... odepchnięta, wdeptana w ziemię nawet, lecz w odpowiednim momencie gotowa, niby tygrys, do skoku na dwór i jego mieszkańców. Zamożniejsi gospodarze we wsi zadowoleni byli z pobytu Niemców, bo mogli zebrać spokojnie plony swej pracy — nie będąc napastowanymi przez szumowiny wiejskie i zdemobilizowanych żołnierzy. Ci zaś, przychodząc do dworu na zarobki, wykopując buraki cukrowe na polach skarbowych, spoglądali na nas zawsze zpodełba, wzrokiem przepojonym nienawiścią, wstrząsając nas tem do głębi i wzbudzając smutne refleksje. Sfery rządzące całem swem postępowaniem dążyły do zguby z niepojętem zaślepieniem, ciągnąc za sobą inteligencję, ziemiaństwo, kraj cały... Wprawdzie w chwili mianowania hetmana Skoropadzkiego reforma rolna zajęła wybitne miejsce w jego *exposé* politycznem, lecz skończyło się na słowach. W rzeczywistości nie uczyniono najmniejszych usiłowań, aby realizacją zapowiadanych reform przekonać lud o szczerości hetmańskich zamierzeń. Agitacja, niby rwący strumień podziemny, wezbrała, zapieniła się, znalazła dostęp wszędy. Ze wzburzonego taraszczańskiego powiatu docierali wysłańcy do Monasterzysk i Baczkuryna, namawiając do zbrojnego wystąpienia przeciw panom i Niemcom. Usiłowania te natrafiały na opór wobec bliskości siły niemieckiej, ale wywoływały w odpowiedzi obietnicę, czy też pogróżkę: «Jak Nimcia ne bude, todi pobaczymo!!»

Odcięci od bogatych źródeł naftowych Kaukazu, cier-

pieliśmy po wsiach na zupełny brak oświetlenia; świece były produktem tak niesłychanie trudnym do zdobycia, iż Leon, sprzedając zboże, zobowiązywał kupców do dostarczenia mu przynajmniej paru świec od każdego puda pszenicy. Wieczory spędzaliśmy w ciemnościach, pragnąc zaoszczędzić skrzętnie gromadzone zapasy świec na zimę. Leon opowiadał nam wówczas o życiu w Ameryce, gdzie zamłodu kilkanaście lat przepracował i przebiedował, ciułając zarobione dolary dla spłacenia długów, ciążących zdawna na Baczkurynie. Najprzykrzejsze jednak bywały noce, gdy nieprzeniknione mroki jesienne otaczały dwór, od starych drzew z ogrodów płynął melancholijny poszum kołysanych wiatrem konarów, a stróżliwe psy podwórzowe pędziły w gąszcz z hałaśliwem szczekaniem. Kiedyś bliskie strzały karabinowe wyrwały nas ze snu. Okazało się, że rabusie podkradali się do śpichlerza i stróż folwarczny strzelał do umykających.

Nastał październik i jesień na dobre dmuchała już chłodem; mieliśmy wynajęte mieszkanie w Kijowie (o powrocie do Lemieszówki mowy nie było), więc z prawdziwym żalem rozstałyśmy się z Baczkurynem, w którym tak mile zeszło nam lato.

Lokalny pociąg w Monasterzyskach składał się wyłącznie z wagonów 4-tej klasy, z nieoszklonemi oknami. Podróżni, przepełniający wagon, do którego wsiadłyśmy, leżący na podniesionych aż pod sufit szeregach ław (z braku miejsca na dole), wywarli na mnie odrazu przykre wrażenie. Istne szumowiny społeczne, jadące na gościnne występy do Kijowa! Szczęściem był wolny kącik obok jakiegoś sympatycznie wyglądającego jegomościa, jedynego w tem brodatem i niechlujnem otoczeniu, który, widząc wchodzącą kobietę z dzieckiem, uprzejmie wskazał mi miejsce obok siebie.

— Źle pani trafiła — rzekł przyciszonym głosem. — Cóż to za hołota! Siedźmy cicho, bo tu o awanturę nietrudno! Wiozę sprawozdania i rachunki z cukrowni w Cybulowie do kijowskiego Zarządu, znaczniejszych sum przy sobie nie mam i ta kompanijka niebardzo mię niepokoi. Ale kobietę samotną mogłaby tu spotkać niejedna przykrość; miło mi, że potrafię panią obronić w razie potrzeby.

— Dziękuję panu stokrotnie Widzę sama, iż podróż niemile się zapowiada.

— Najgorzej będzie, gdy się ściemni, bo oświetlenia w pociągach niema absolutnie, i w nocnych mrokach stale odbywają się kradzieże ręcznych pakunków. Czy ma pani chociażby malutką świeczkę?

— Nawet dwie, i to pokaźnej wielkości.

— Doskonale! — szepnął urzędnik z zadowoleniem. — Będziemy świecili na zmianę, bo i ja się w nie zaopatrzyłem przez ostrożność. Rewolwer mam również pod ręką — proszę być zupełnie spokojną, dojedziemy do Kijowa pomyślnie.

Wlekliśmy się powolutku od samego rana, zatrzymując się długo na najmniejszych nawet stacyjkach. Pod wieczór poczęło stawać się coraz chłodniej — zerwał się przenikliwy wiatr jesienny i hulał po wagonie, wpadając przez nieoszklone okna. Otuliłyśmy się szalem, drżąc z zimna, — tak zawiewało na przestrzał. Przymknęłam oczy i drzemałam, oparta głową o twardą ławkę. Z tego odrętwienia wyrwał mię nagle gwałtowny ruch mego sąsiada. Rzucił mi tekę z papierami na kolana:

— Proszę potrzymać przez chwilę! — Zerwał się ze swego miejsca i w okamgnieniu zniknął za drzwiami wagonu.

W okna biły rzęsiste światła. Staliśmy na jakiejś stacji, W wagonie było cicho, tylko gdzieś w kącie rozmawiano półgłosem. Wtem wpadają uzbrojeni milicjanci i rozstawiają

się na straży przy drzwiach z obydwóch stron, za nimi ów urzędnik fabryczny z gotowym do strzału rewolwerem w wyciągniętej ręce:

— A teraz powtórzcie głośno wasze narady!! — zawołał groźnie do kilku mężczyzn, siedzących i leżących w kącie wagonu. — Jak to było?! Co?! Więc jedziecie do Kijowa, bo teraz nadchodzi przepyszny moment, aby panów rżnąć i rabować?! Tak?! Bierzcie ich! — zwrócił się nakazująco do milicjantów.

Sterroryzowani bandyci dali się wyprowadzić z wagonu bez oporu.

— Ładna kompanja! — rzekł mój sąsiad, zajmując znów swoje dawne miejsce. — A i reszta napewno nie lepsza! Rewolwer mam w pogotowiu... kto wie? Może zechcą się na mnie mścić, gdy ruszymy ze stacji. Słuch mam znakomity i od pół godziny przynajmniej słyszę te bezczelne narady, prowadzone półszeptem. Wyczekiwałem niecierpliwie przyjazdu na pierwszą stację, aby złapać ptaszków! Niechże teraz posiedzą w kajdankach!!

Cała ta scena, choć mocno niemiła, nie wywarła na mnie wielkiego wrażenia. Podmuchy rewolucji ostudziły już znacznie naszą wrażliwość, więc ta podróż w towarzystwie rabusiów i złodziei, w brudnym i zbyt przewiewnym wagonie, nie wzbudziła we mnie żadnego protestu, natomiast pozostawiła ślad w postaci nieznośnej «hiszpanki», która męczyła mię długo w Kijowie.

NA PRZEŁOMIE.

Pierwsze nasze mieszkanie w Kijowie było już tworem powojennych stosunków, jakąś kollokacją, nieznaną przedtem nikomu. Z obszernego mieszkania pp. Iwanickich w pięknym domu Kruszewskich przy ulicy Funduklejowskiej

odnajęliśmy cztery umeblowane pokoje z kuchnią. «Towarzystwo ubezpieczeń na życie» z dwoma urzędnikami zajmowało dalsze trzy pokoje, a pozostałe dwa zachował pan Iwanicki dla siebie.

Jeńcy nasi, upatrzywszy odpowiedni moment, odkopali paki i kufry i przywieźli je z Wilczańskim do Białej Cerkwi. Stamtąd wyprawiono wszystko do Kijowa wraz z worami mąki, kasz, cukru i faskami z masłem. Śpiżarnię miałam tedy wspaniale zaopatrzoną i mogliśmy nie obawiać się miejskiego głodu. Dogasające ognisko w Lemieszówce słało w ten sposób ostatnie swe promienie, aby początki nowego, ciężkiego w niedalekiej przyszłości życia uczynić znośniejszemi. Cały ranek poświęcałam nauce z Haneczką, którą przygotowywałam do szkół, Kalikst zaś, chcąc wykorzystać wolny czas, zapisał się na kurs szewstwa, myśląc o stworzeniu jakiejś wielkiej spółki akcyjnej w razie niemożności pracy na roli.

Tymczasem wypadki wojenne rozwijały się z żelazną konsekwencją, i chociaż w gazetach czytaliśmy tylko to, co dogadzało Niemcom, przecież po mieście zaczęły krążyć pogłoski o zwycięstwie sprzymierzonych i o bliskiem wyjściu okupantów z Ukrainy. List z Baczkuryna potwierdził trwożące nas wieści.

«Drodzy moi! — pisała moja bratowa. — Wyprawiam ten list, dopóki mam pewność, iż dojdzie on rąk waszych. Przed chwilą byli u nas oficerowie niemieccy: — «Dostaliśmy niespodziewanie rozkaz wyruszenia z Leśkowej, przyjechaliśmy więc pożegnać państwa i podziękować za uprzejmą gościnność, doznaną w ich domu». — Załamałam ręce z rozpaczą: Wychodzicie?! Zginęliśmy!! — Leon milczał. Wiecie, iż nie lubi okazywać swych wrażeń, lecz znać było, że jest również wstrząśnięty tą wieścią. — «Nie opuszczamy zu-

pełnie Ukrainy, idziemy stłumić taraszczańskie powstanie». Wychodzicie!! — powtórzyłam z przeświadczeniem, iż ukrywają przed nami prawdę. — «Ściągają was w stronę Kijowa. To rezultat porażki na froncie anglo-francuskim!» Niemcy przyznawali się otwarcie do przegranej. Thieme przekonywał nas zapalczywie: «Nie zwyciężyły nas armje sprzymierzonych, bo te nie dorównywały naszym wojskom, ale godna podziwu amerykańska technika i tanki. Wobec tych stalowych potworów, miażdżących napotykane po drodze przeszkody, pełznących niby gąsienice przez wszystkie rowy i okopy, ludzie ustąpić musieli. Kule się ich nie imały o oporze mowy być nie mogło! Front się cofnął raz i drugi, a wreszcie uznaliśmy się za pokonanych.»

Cóż się teraz stanie z Ukrainą?! — pytaliśmy z Leonem. — «Nie wiemy! Od tego są politycy; my, żołnierze, słuchamy ślepo danych nam rozkazów, nie rozumując.» — Pewną jestem, iż czekają nas ciężkie przeżycia... być może nawet, już się nie zobaczymy... ale Leon nie chce wyjechać z Baczkuryna. Twierdzi, że śmierć wszędzie można spotkać lub ominąć... Ja go nie opuszczę, a Zosia przy nas zostaje... Pragnęłabym tylko ocalić Bogdana...»

List kończył się wyrazami pożegnania i wskazaniem nam osób, u których złożono na przechowanie ważniejsze papiery rodzinne.

Nadeszły też dla Niemców rozkazy opuszczenia kresowych ziem, lecz nie pochodziły już one od tryumfującego sztabu generalnego niemieckiego, ale od znienawidzonej ententy, naciskającej na zwyciężonych, aby jak najprędzej wyszli z Ukrainy; w ten sposób chciano odciąć ich od bogatych źródeł aprowizacji.

W miarę ustępowania zalewu niemieckiego, rosła i zajmowała jego miejsce fala rewolucyjna i chaos walki we-

wnętrznej. Nagła zmiana dotychczasowej ukrainofilskiej polityki hetmana Skoropadzkiego na kurs «iście» rosyjski, wybór nowych ministrów, zastąpienie błękitno-żółtych chorągwi na gmachach publicznych — rosyjskiemi, przyśpieszyły tylko chwilę wybuchu. Na widowni ukazali się dawni przywódcy, powstał Dyrektorjat Ukraiński, nie drzemał już ataman Petlura, ale rzuciwszy znów hasło: «Ziemia dla ludu!», wzniecił powstanie ludowe, po wsiach urządził formalny pobór rekruta i, stworzywszy w ten sposób całą armję, ciągnął powoli na Kijów, w którym byli jeszcze Niemcy i obrany przez nich władca Ukrainy, hetman Skoropadzki.

Pewnego popołudnia weszła niespodziewanie do naszego pokoju Jawdoszka. Powitaliśmy ją z radością i niepokojem zarazem:

— Co się stało?! Dlaczegoś dom opuściła?! Któż tam został na gospodarstwie?!

Całowała nasze ręce z rozczuleniem, patrząc nam chwilami w oczy z bezgranicznem i bezkrytycznem przywiązaniem, które jest miarą uczuć najszlachetniejszych jednostek impulsywnego ludu ruskiego, wreszcie pokiwała głową ze zgrozą:

— Ne mogła wże wytrymaty!! Takie tam teper tworytsia!!!

— Mów prawdę — rzekł Kalikst śpiesznie. — Spalili dwór?!...

Obraziła się prawie:

— Jak pan możut ce dumaty?! Dwór stoi i nikt z Lemieszowskich stebłynki nawet nie ruszy! Wiedzą tylko chłopi, że Nimeć prohrał i uchodzi, a i jeńców naszych śladu już niema! Juhas tak wszystkich zbuntował: «Zaszparowali my trocha hroszy—powiada,—idą inni do domu, pójdziemy i my! Żaden tojfel — powiada — nie utrzyma nas w tym pomiesza-

nym kraju! Durni wy wszyscy, róbcie sobie dalej swoje porządki, a my, chłopcy, hajda w drogę!» — Tak i poszli na drugi dzień raneńko, a krowy pańskie gospodarze między siebie rozebrali. «Skoro prawitielstwo jakie ustanowi się i każe oddać — oddamy, żeby pan na nas nie płakał!» tak kazali panu powiedzieć. A dwór cały pozamykali i klucze dali Znaczkowskiemu i naznaczyli jego opiekunem pańskiego dobra. Trocha tam bandy narabowały, ale dużo jeszcze zostało. A starsi mówią tak: «Kołyś taki pany wernutsia! Nechaj ne narikajut, szo my ich znyszczyły!!» — Poszła ja do domu, proszę państwa, bo znaczy we dworze gospodarstwa niema już żadnego, myślę sobie: Szkoda, że nam żadna krowa się nie dostała! Tyle ja się przy nich napracowała, a teraz inni zabrali! A tu jak się do mnie nie uczepi kilku parobków, ot takich łedaczych, nerobitnych, na sąd wiejski ciągną: «Ona — mówią — przeciw rewolucji idzie! Za panami trzyma! Wierna im była jak ten pies! Pokaraćby ją trzeba, dla strachu, żeby inne takie głupie nie były!» Taku napaść na mnie nawodzą, okajannyje! Serce we mnie z perelaku gdzieś aż pod gardło podłazi: — Co ja wam złego zrobiła?! Czy ukradła co u kogo?!... Czy, borony Boże, zarizała kogo, że mnie przed sąd postawili, jak tę złodijkę ostatnią?!... Płaczę a płaczę, aż starsi przykazują: «Zostawcie ją! Nie taka ona zła, tylko durna widać, że dla panów siły i rąk nie żałowała! Już ona we dworze służyć nie będzie— niech wraca do swojej chaty i spocznie sobie dowoli!» — Tak oni mnie wyratowali, proszę państwa, i daj im Boże za to carstwo nebesne, bo teraz łedaczyje komandujut, a na kogo rzucą słóweczko, że przeciw rewolucji idzie, to jakby jemu kamieniem głowę rozwalili. Już on życia swego niepewny!

Zaszła ja płacząc do swojej chaty i zaraz wzięła się

szmatja i rzeczy układać, a chustynka aż mokra od łez.. Maty, co na mnie hlanut, to ręce załamują: «Oj biedna ty, biedna, detyno! Zła dola drogę tobie przeszła! Za to, szo ty ne linowałasia, pańskoho dobra hliadiła, taku nahradu teper majesz! Ostawajsia z nami! Ojca masz, bratów dwóch, nie dadzą ciebie pokrzywdzić!» — Nie, matko, nie! Ja od was pójść muszę! Nie chcę ja na wasze stare głowy niespokój nawodzić! Tamte rozpuśniki nie zapomną już o mnie! Okna wam w chacie pobiją... na naszych z kijem gdzie wyskoczą! Dobra ja była dla panów swoich i oni teraz mnie pożałują... Znajdę ja u nich i robotę i kawałek chleba... — Popłakali my jeszcze trocha, a potem Hrehorko odwiózł mnie do Białej Cerkwi, a od Bojarki to ja już nogami przyszła, bo tam koleja ostanowyłasia i konduchtor mówił, szo dalsze nie idzie. Co to ja jeszcze miała państwu takiego ważnego powiedzieć?!... Aha!... Petlura wsiudu swoich posłanych rozsyła, obiecuje każdemu, co do jego wojska pójdzie, dziesięć dziesięcin pańskiej ziemi darować... To tak biegną chłopcy ze wszystkich wsi, aż szumi! Oni tu, ma but', prędko przyjdą, żeby tylko państwu czego złego, borony Boże, nie zrobili!... —

Malało nieustannie państwo hetmana w miarę wycofywania się armji austro-niemieckiej z naszego kraju, wreszcie, jak mawiano złośliwie, stał się on hetmanem od Kreszczatyku do Padołu, i z powrotem. Pozornie jednak hetman Skoropadzki trwał mężnie na stanowisku i wszystkie codzienne gazety przepełnione były opisami walecznych czynów jego wojsk i oficerów. Prócz tego niemało miejsca zajmowały napół oficjalne komunikaty o układach, toczących się z Francuzami, którzy mieli wejść na Ukrainę w ślad nieledwie za ustępującymi Niemcami i podtrzymać chwiejącą się władzę hetmańską. Było to równoznaczne z możnością zaprowadzenia jakiegoś porządku w tym skołatanym kraju, i to przy

pomocy liberalnych i oświeconych rządów — pragnęliśmy tedy ogólnie przyjścia tych Francuzów (z Odessy, gdzie byli istotnie), z taką wiarą i mocą, iż byli tacy, co widzieli ich w Koziatynie (o 6 godzin jazdy koleją od Kijowa), niektórzy, wedle pogłosek, mieli szczęście rozmawiać z nimi w Winnicy, na Podolu, najśmielsi zaś optymiści twierdzili, że są najniezawodniej w Motowidłówce, tuż pod Kijowem. Dzień każdy niosł zasadnicze zmiany w układzie stosunków wewnętrznych, i to częstokroć poza świadomością całego miasta. I chociaż wojowniczy ton prasy, popierającej hetmana, brzmiał zawsze równie tryumfalnie, ale na murach pojawiły się rozlepione odezwy:

«Kijowianie! Liczne bandy uzbrojonego chłopstwa pod dowództwem osławionego atamana Petlury zbliżają się do Kijowa, aby to serce Rusi całej wydrzeć z rąk naszych i tu zapanować! Obywatele miasta! Jeśli nie chcecie, by matki wasze, żony i siostry padły ofiarą rozbestwionego motłochu, wstępujcie wszyscy dobrowolnie do szeregów wojsk hetmańskich! Niech stary i młody chwyci za broń! Naprzód, razem w imię Boże do zwycięstwa i chwały!»

Choć wojska Petlury były jeszcze w dość znacznem oddaleniu od Kijowa, ale w mieście oddawna odczuwało się oblężenie. Najbardziej cierpiała aprowizacja, albowiem w miarę przysuwania się petlurowców, zmniejszało się coraz to bardziej terytorjum wiejskie, dostarczające produktów spożywczych. Drożyzna rosła tedy z godziny na godzinę nieledwie. Za funt masła płacono 60 rubli, za funt chleba 15 rubli, funt mięsa kosztował 8—10 rubli, a ceny te wywoływały ogólne oburzenie i protest. Nie przywykła bowiem bogata Ukraina do podobnego wyzysku producentów! W chwili wybuchu wielkiej wojny żyto sprzedawano po 40—50 kop. za pud, pszenicę — po 65—75 kop., ceny innych produktów były

równie niskie, ponieważ stosowano je do zasadniczych wartości zbóż. Wogóle, wobec nagromadzenia wszelakich zapasów i niemożności wywozu ich zagranicę, tempo wzrostu drożyzny na Kresach i w Rosji o wiele było powolniejsze dotychczas, niż w państwach centralnych. Dopiero teraz drożyzna rosła i krzewiła się bujnie, lecz już jako wynik niszczycielskich rządów Rady Centralnej i rozwijającej się wojny domowej.

Kiedyś wieczorem, gdy siedzieliśmy przy jadalnym stole, zatopieni w dziennikach, wszedł do nas pan Iwanicki.

— Czy państwo już wiedzą, jakie zatrważające pogłoski obiegają miasto? Podobno wojska Petlury są niedaleko Kijowa... Szanse hetmana — żadne! Będziemy wkrótce na łasce band bez dyscypliny, i w razie wkroczenia Petlurowców do miasta możliwą jest rzeź inteligencji...

Kalikst się zaśmiał, tak mu te przewidywania nieprawdopodobnemi się wydały:

— Przypomniały się panu czasy księcia Jeremiego, panie Karolu!

— Oby te czasy nie przypomniały się całemu miastu!— i pan Iwanicki przesunął szybko palcem po gardle, poczem znów począł chodzić po pokoju wielkiemi krokami.

— Dlaczegóż pan nie bierze w rachubę Niemców? — zapytałam żywo. — Osadzili tu hetmana — niechże go teraz bronią! Jest ich dość jeszcze w Kijowie i wystarczy najzupełniej na rozpędzenie tych nieregularnych i niewyćwiczonych band.

— Czy historja nie przekonała pani o perfidji niemieckiej? W takim razie mamy jej dowód jaskrawy w obecnej chwili! Niemcy, jako odwet za rozkaz wyjścia z Ukrainy, pozostawiają nam w darze atamana Petlurę, wypuszczonego z więzienia. Obawiają się przytem powstania ludowego, nie-

potrzebnego zgoła rozlewu krwi, a oprócz tego nawet wśród ich karnych żołnierzy jest wrzenie i ferment, nieuchronny po przegranej wojnie. Dowództwo niemieckie pragnie wycofać się bez walk z naszego kraju i wywieźć broń i amunicję, i z tego względu, jak twierdzą ogólnie, ciche porozumienie z Petlurą jest już faktem dokonanym. Dają mu nawet podobno część armat za gwarancję spokojnego odwrotu.

— Byłaby to podwójna gra, godna Machiavella! Cóż oni zrobią z hetmanem?

— Potrafią go jakoś wyratować, a nas zato rzucą na pastwę anarchji! Zanim to nastąpi, jadę wieczornym pociągiem do Iskorości i zabieram stamtąd całą moją rodzinę do Kijowa. Większe centra będą może choć trochę bezpieczniejsze, jakkolwiek życie stanie się pewno znowu najtańszą wartością.

— Rzeź w Kijowie!!... — powtórzył Kalikst z niedowierzaniem. — Myślę, że więcej oni dbają o nasze ziemie, niż o gardła!

— A pan ma zbyt dobre mniemanie o chłopstwie. Zobaczymy, jakie uchwały wyda przesławny Dyrektorjat! — I pożegnawszy nas, pan Iwanicki poszedł przygotować się do podróży.

W parę dni później głuchy lecz wyraźnie dolatujący huk armat obudził nas wczesnym rankiem. Był to zwiastun zbliżającego się coraz ściślejszego oblężenia, głodu, walk bratobójczych, może nawet na ulicach miasta... Wobec surowej cenzury wojennej nie wiedzieliśmy o istotnym stanie rzeczy na froncie, ale odezwy hetmana były z dnia na dzień wymowniejsze, Francuzi, wedle dziennikarskich sprawozdań coraz bliżsi Kijowa, dowóz żywności coraz trudniejszy a wrzawa grających armat nie ustawała ani na chwilę. — Oto w kilku jaskrawych rzutach obraz tego, co przeżywa-

liśmy wówczas. Gazety łagodziły łatwo zrozumiany niepokój miasta, opiewając nieustannie bohaterstwo obrońców Kijowa wobec zastępów oblegającej czerni, aż wreszcie brukowy dziennik podał zdradziecko do ogólnej wiadomości sensacyjny artykulik: «Odwiedziny w sztabie Petlury», z którego dowiedzieliśmy się ze zdumieniem, że właściwie miasto już się poddało i Petlura wejdzie doń jutro, jako zwycięzca! Istotnie działa umilkły, ale następnego dnia rząd hetmański dziennik ów zamknął «za szerzenie fałszywych wieści i bałamucenie opinji publicznej, albowiem hetman Skoropadzki jeszcze nigdy się nie czuł tak pewnym i bezpiecznym, jak w dniu dzisiejszym.»

W rzeczywistości mógł hetman zapewniać z taką mocą o swem osobistem bezpieczeństwie, bo go już wtedy w Kijowie nie było. Niemcy wywieźli swego pupila w ambulansowym wagonie, z obandażowaną głową, aby mu się ktoś zbyt natarczywie nie przypatrzył. Kijowianie zaś, uspokojeni ostatnim aktem energji hetmańskiego rządu, polegającym na wychłostaniu słowami niesfornego gryzipiórka, oczom własnym nie wierzyli, widząc mknący popołudniu przez ulice miasta automobil z białą chorągwią, wiozący parlamentarzy w sprawie ułożenia warunków poddania się owej zwyciężanej dotychczas «czerni.»

Z balkonu naszego na 5-tem piętrze mieliśmy widok niby z lotu ptaka na tryumfalne wejście petlurowskich wojsk do Kijowa. Przodem szły wiejskie baby, odświętnie ubrane, niosąc ikony i cudowny obraz Matki Boskiej, wyśpiewując fałszywie i na różne tony pobożne pieśni. Za niemi, w pewnem oddaleniu, jechało konno dowództwo narodowej armji i nieliczna, ale buńczuczna kawalerja; następnie szła, jak Bóg dał, zmęczona i kulejąca nieco piechota. Niewielkie armatki zamykały cały ten pochód, sprawiający wrażenie melodra-

matu, wystawionego na trzeciorzędnej, prowincjonalnej scenie, coś niby powrót Walentyna w *Fauście*, spreparowany ze swoistem źupełnie zacięciem.

Wobec tego, iż rząd hetmański rozproszył się lub umknął, a nowy rząd ukraiński jeszcze się nie ukonstytuował — miastu groziła chwilowa dezorganizacja. Samorzutnie tedy pomyślano o obronie przed możliwemi napadami i rabunkami wszelkiego rodzaju łotrzyków i rzezimieszków miejskich. Wybitną rolę odegrały w tych czasach «Komitety domowe.» Powstały one w epoce wolnościowej, gdy po detronizacji cara Rosja cała, zamiast wprowadzić w czyn teorje zdrowego liberalizmu, pogrążała się w coraz to większy wir dezorganizacji i nieładu. Pojawiały się i rosły w siłę przeróżne związki zawodowe, a fale strajków wstrząsały gospodarką miejską. Przyszła wreszcie kolej na strajk stróżów. Ci, pragnąc polepszenia swej doli, działali czynnie i przekonywująco na właścicieli kamienic i lokatorów, nie zezwalając na uprzątnięcie śmieci i zamykanie bramy na noc. Wówczas to, jako odruch samoobrony przed włóczącymi się rzezimieszkami, potworzyły się w każdej kamienicy komitety domowe, które stróżowały w nocy przy otwartej bramie, sprawdzając paszporty i tożsamość powracających wieczorem do domów mieszkańców. Komitet domowy wybierany był z grona lokatorów danej kamienicy, składał się z prezesa, skarbnika i sekretarza, i stanowił rodzaj poszczególnego, autonomicznego rządu w każdym domu. Nakazały tedy komitety domowe natychmiast dyżury nocne w całem mieście, dzieląc lokatorów na trzy zmiany, z których każda czuwała po kolei nad bezpieczeństwem reszty mieszkańców. Bramy były zamknięte na klucz, tak w dzień, jak w nocy, przytem kamienice miały umówione sygnały świetlne, i w razie napadu rabusiów wszyscy okoliczni mieszkańcy powinni byli

śpieszyć z pomocą zagrożonemu domowi. Ta samoobrona okazała się najzupełniej celową i wystarczającą, różne jednak pogłoski o kontr-akcji szumowin społecznych długi czas wyprowadzały z równowagi cały Kijów.

Powtórne rządy Winniczenki, Szweca i Petlury na Ukrainie trwały niedługo, bo parę miesięcy zaledwie (od połowy grudnia 1918 do 6-go lutego 1919), i zaznaczyły się w Kijowie nielitościwem rozstrzeliwaniem oficerów hetmańskich, pomimo zastrzeżonej dla nich przy układach amnestji, a na prowincji krwawem «wyrównywaniem» rachunków między, chłopami a właścicielami ziemskimi. Dyrektorjat ukraiński chcąc pociągnąć za sobą szerokie masy ludności, wydał deklarację, w której skasował przedewszystkiem wszelkie prawa wynikające z «hramoty» hetmana, czyli skonfiskował na rzecz pracującego ludu ziemie, wody i lasy, dając włościanom prócz tego prawo żądania zwrotu «kontrybucji» wypłaconej przez nich przy Niemcach wielu właścicielom za poczynione pogromy i straty. Po wsiach i miasteczkach ziemianie za ekspedycje karne hetmańskie i nadmierne czasem pobieranie odszkodowań — życiem własnem zapłacili, niektórzy w więzieniach przesiedzieli, a nawet w Kijowie delegaci chłopscy umieli znaleźć swych «panow» i żądać od nich groźnie i wyzywająco oddania uzyskanej poprzednio indemnizacji.

Ponieważ armja Petlury składała się przeważnie z młodych parobczaków, zaciąganych po wsiach okolicznych, więc było ich dość z Lemieszowa i Raczek. Odwiedzali nas często i chętnie gawędzili, opowiadając o różnych zmianach i nastrojach wsi. Starym zwyczajem całowali Kaliksta w rękę, a rozmowa nieraz trwała parę godzin.

— Pan znajut szo pańsku zemlu w Raczkach wże ludy pomeż sebe rozibrały?! — oznajmili nam wkrótce po wejściu

do Kijowa. — Swit do hory nohami perewernułsia! Persze buło: «Ne rusz czużoho», a teper berut pańskie jak swoje.

— Cóż poradzimy? — rzekł Kalikst ostrożnie. — Tak wam nakazuje wasz rząd.

— Po prawdi, ce krywda dla pana! Nechaj by zabrałʎ u Branickoho! Win ne praciował i takij wełykij majontok durnyczkoju jemu dostałsia. Zwiestno, szo ce wse jemu Kataryna, carycia znaczyt, podarowała. A pan ne takij bohacz! My wsi pana szkodujem!

Kalikst uśmiechnął się:

— Cieszy mnie, chłopcy, że tak mówicie! Wiecie co? Możebyście tak przywieźli mi choć po pół puda mąki od każdego z tych, co moje pola darmo sobie zabrali! Będziemy biedowali w Kijowie, gdy się skończą lemieszowskie zapasy.

Żołnierze spojrzeli na siebie z zakłopotaniem:

— Onob ce dobre buło! Prawda, chłopci?! — bąknął wreszcie któryś niepewnie.

— A pan czuły (słyszał) — zapytał śpiesznie inny, pragnąc zmienić niemiły temat — szo my majemo kłub w Lemieszowie?

— Klub?... Gdzie? I cóż wy tam robicie?!

— A u staroho Hylka, pan znajut, po prawu ruku jak wyjiżżaty z Lemieszowa na Piatyhory... Kresełka my wziały z dwora i fortuplanu, a ce sukno takie hrube, zełene, to jak raz pryszłoś tam na pidłohu!

— Hospody, Hospody! — wykrzyknęła Jawdoszka, klasnąwszy w dłonie. — Toż oni zabrali dywan i meble z salonu. W kawalczyki czysto połomajut... nożki takie toneńki!

— Ne żuryś! (nie martw się)—odciął się opowiadający.— Nechaj pan budut spokojny! Szkody ne bude! Po seredynie stoit stoł i haziety łeżat, a weczerkom jiden czytaje a wsi słuchajut i «samohonku» pjut!

— Pocóż wam fortepian? — rzekł Kalikst rozbawiony.— Chyba nikt z was zagrać nie potrafi?

— Pan pamiatajut Stepana, szo jeho Moskalom prozywały? Win szcze za cara w wojsku służył i na bałałajkie hrał, a teper na fortuplanu hraje. Jidna bieda, szo duże krepko w ci biły zuby bje! Raz wże szoś w seredynie trisnuło, aż my perelakałysia, bo ne choczemo panu żadnoho zbytka zrobyty.

— Bójcie się Boga! Proście jego odemnie, żeby ciszej trochę grał. Toż to nie kopa żyta do omłotu!

— A raz, proszu pana, zajszoł do nas, do kłubu, Mykita, pamiatajut pan, cej szo nocznym storożom buł w dwori? Postojał koło dwerej, posłuchał muzyki... plunął na ce zełene sukno: «Tfu!» A wsi do nioho kinułyś, za ruki złowyły, taj kryczat nad hołowoju: «Każit, diadku Mykita, szo wam tak u nas ne podobajetsia? A może wy protiw rewolucji idete?! Protiw narodu?!» — «Widczepytsia ludy wid mene! Pustit mene do domu! Ja ne protiw rewolucji, a protiw cej sobaczej muzyki! Jak persze pany hrały, to buło szo słuchaty, a teper pryjatniszcze pes wyje, jak cej barabańszczyk hraje!» Tak i pustyły jeho, proszu pana, bo ne było za szo pretensju maty, tylko Stepan duże obiżałsia i prysiahnuł, szo kołyś bezpremenno jeho obibje!

Śmieliśmy się oboje szczerze.

— Poduriły ludy! — zakończyli żołnierze z najgłębszem przekonaniem.

. . . .

Razu pewnego zadzwonił ktoś do drzwi frontowych. Wybiegłam do przedpokoju, aby otworzyć, bo spodziewaliśmy się przyjścia naszych przyjaciół. Za drzwiami stał nieznany

mi petlurowiec, wysoki i szczupły, z jasną czupryną i drapieżnemi oczami. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem:

— Do kogo tu przyszliście? Może to pomyłka?

— Ja pryszoł do pana Kozickoho i chtiłby z nim pobaczytyś — rzekł żołnierz hardo, nie zdejmując czapki.

— Skądże jesteście? Czy z Lemieszowa? Nie znam was

— Ce dywo, szo pani mene ne znajut! — zaśmiał się zuchwale. — Wseńkij taraszczańskij ujezd, jak jest kruhom, dobre znaje, kto ja takij! Skażit tylko panu, szo pryszoł Maksym z Lemieszowa. Pan wże budut znaty!

Zamknęłam drzwi i poszłam szukać Kaliksta:

— Jakiś Maksym przyszedł do ciebie.

— Maksym?! Pamiętał o mnie?! Doskonale! Dawajcie go tu!

Jawdoszka uwijała się po pokoju, sprzątając, i wykrzyknęła prawie jednocześnie:

— Maksym?! Hospody! Ne puskajte jeho do sebe prosze pana, win todi — ludy howoryły — Kiebu prypiekał! Zmiłujteś... prosze pana! Kto znaje, z jakoju dumkoju...

— Prowadź go do kuchni! — przerwał jej Kalikst już niecierpliwie.

Jawdoszka wyszła z pokoju, wzdychając po drodze:

— Boże, mój Boże, oto pan upertyj!

Szłam za Kalikstem do kuchni, pełna bohaterskich zamierzeń: targnę za rękaw tego hajdamakę, jeśli dojrzę jakiś podejrzany ruch... rzucę się między nich... Ale to wszystko okazało się zgoła niepotrzebnem. Chłopak uśmiechnął się, zobaczywszy wchodzącego Kaliksta, i pocałował go w rękę z widocznem zadowoleniem, a mój mąż usiadł na krześle i rzekł wesoło:

— Zdorow, Maksym! Jakże tam idą twoje sprawy w wojsku? Kiedyż będziesz generałem u Petlury?

Żołnierz zaśmiał się głośno i szczerze, aż mu białe zęby błysnęły z pod małego wąsika: — Pan sobi żartujut! Hde mini tam do gienierała! Zato u pana harno w pokojach! Dobre stari ludy każut: «pan nigdy ne zbidnijut i pana czort ne woźme!» Ja teper baczu, szo ce prawda.

— Wolałbym wrócić do Lemieszówki, niż tu nudzić się w tych pokojach, bądź pewny!

— Szcze poczekajte troszki, proszu pana. Nechaj jakiś poradok ustanowytsia. Teper nebezpeczno. Swoi niczoho ne zroblat, a czuża banda może ubyty, jak raz plunuty!

— Ładne u was porządki, że nie mogę mieszkać w swojej sadybie, choć mnie wasz rząd na to pozwala. Oddałem wam dobrowolnie ziemie i inwentarze, czy to mało?!

— Zato pan żywyj chodiat i szcze pan czohoś dobroho doczekajutsia, a tamti pany, szo Nimcia naweły i karatielnyje otrady, dawno wże zemlu hryzut! Pan harno postupyły z narodom, a narod harno postupył z panom! Ne dały pana ubyty, jak banda prywezła todi, pamiatajut pan, do Lemieszowa.

— A pamiętasz, Maksym, jak to my z tobą konie wybierali dla powstańców?

— Czom ne pamiataju?! Dobri koni buły! A «Giejszu» a panu nazad w stajni postawył, pula nohu jeji probyła i zdorowo teper kulhaje. Ce ne moja wyna, a tak, neszczasływyj słuczaj! A słowo swoje ja zderżał! — pochwalił się z dumą.

— Dawnożeś był w Lemieszówce? — spytał Kalikst. — Cóż tam się dzieje?

— Nedil dwi bude, jak ja tam chodył, od Petlury wże, chłopciw do wojska zazywaty. Hromada do dwora nikoho ne puskaje i tak każe: «Pan nasz i dwir nasz, a jak pan ne wernutsia, to wseńkie dobro bude nasze, a czużim ne

damo nyszczyty! Nechaj idut swoich paniw rabowaty! A wse taki bandy zajizżajut — zwiestno, daleko od seła, Znaczkowskij jiden ne podużaje! Ja sam baczył w Wołodarci, jak jakiś parobki chodyły w misteczku w czerwonych i zełenych kurtkach! Diwczata lemieszowski kazały, szo ce persze w salonie wysiło koło dwerej, szołkowe (jedwabne) takie... stryżene.

— Portjery... — wyjąkała Jawdoszka ze zgrozą. — Kurtki sobi poszyły...

— Jak pan wże wyjichały, to ja toż ze swoimi mołodcami noczował kilka raz w dwori, a pro te ne zaczepyły nic! Ja im tak kazał: Słysz jiden z druhim! W zuby dam aż krowłeju zaljeszsia, jakby kotryj pośmił do dwora ity krasty! Pan dobryj buły i koni dawały i szo ja poprosył, to ne możem teper tak opaskudytyś! I żaden ne piszoł, proszu pana! Nechaj by sprobował! Nakryłbysia nohamy, raz dwa!! Kołyś my tylko masło u Jawdochy wyderły... straszenno hołodnyje buły... Oto nas prokłynała: «A szob wy skriź zemlu prowałyłysia! A szob wam smert' tiażka buła!» Szkodowała duże, bo funtow buło zo 20! «Jak taka z was skuperdiaha, titko, to dawajte szcze sała i jajec! A ne daste, to jej-bo, prysiejbo, rozibjem zamok od lodowni!» Spekły my jajisznyciu, ciły mysku! Smaczna buła, proszu pana, i poliahały spaty, a do pokojew ne zahlianuły. Howory, Jawdocha, może ja breszu? — Jawdoszka, uspokojona zupełnie co do zamiarów gościa, słuchała jego opowiadania, oparta o stół kuchenny.

— Prawdu każe, prosze pana, ale — tu pogroziła chłopakowi — dwór był pański i masło pańskie. Ne treba buło zaczipaty!!

Maksym wyszedł wreszcie, nagadawszy się dowoli, i obiecał przyjść wkrótce.

— I zrozum tu duszę tego ludu! — rzekł Kalikst do

mnie. — Taki dziki watażka smali pięty bogatszemu od siebie gospodarzowi, bo nie chciał oddać mu uczciwie zapracowanych pieniędzy, to znów zdobywa się na tak subtelny czyn, jak oszczędzenie opuszczonego dworu, przez wdzięczność! Ileż oświata mogłaby zrobić i zmienić! Jaka ich szkoda! Jakżebym był szczęśliwym, gdybym mógł wrócić do Lemieszówki i pracować dalej z nimi i nad nimi! — westchnął ze smutkiem.

Nagły błysk wspomnienia rzucił mi przed oczy Lemieszówkę... Zawodźcie tam wichry, zawyjcie w kominach zamarłego domu... Jak pusto tam bez nas, a tu—jak ciężko ludziom bezdomnym...

Szybko wróciłam do przerwanej lekcji z Haneczką.

. . . .

Kilka tygodni zaledwie minęło od tryumfalnego wjazdu petlurowców do Kijowa, a po mieście zaczęły przelatywać niepokojące pogłoski o zbliżaniu się wojsk bolszewickich z głębi Rosji. Nadaremnie Petlura, jako wódz naczelny, wydawał odezwy, iż miastu nic nie grozi, iż czuje się dość silnym, aby najzaciętsze ataki nieprzyjacielskie odeprzeć — Kijów nie wierzył już tym zapewnieniom! Wszakże tak niedawno hetman oznajmiał równie uroczyście, że Petlura nie jest dlań strasznym. Jednocześnie, pomimo rozlepianych na murach odezw o sile i wierności petlurowskiej armji, patrzyliśmy codziennie na istną fugę tych bohaterów, wywożących z Kijowa wozami co się tylko dało, ogałacających banki, skrytki prywatne i sklepy jubilerskie z pieniędzy, złota i srebra, oficjalnie, z ramienia rządu, nie jako rabunek, ale na mocy ogłoszonej konfiskaty złotych wyrobów i monet, za wyłączeniem li tylko ślubnych obrączek. Powstała już wówczas niepodległa Polska, wedle szerzących się i upor-

czywych wieści miała wejść w ścisłe przymierze wojenne i ekonomiczne z państwem ukraińskiem, obejmującem trzy «zabrane prowincje» (Wołyń, Ukrainę i Podole) i sięgającem aż po Morze Czarne. Niepojętym wydawał się nam sojusz z państwem i rządem, który w naszych oczach z dziką zaciekłością zniszczył, zmiażdżył wiekowy dorobek polskości na Kresach, który tak pogardzał przedstawicielami wszelkiej kultury, że, zapowiadając zwołanie Kongresu Pracy, wykluczał zeń inteligentów, prócz felczerów i urzędników! Faktem jest jednak, iż rząd ukraiński, pod koniec panowania swego w Kijowie, ułatwiał Polakom wyjazd do kraju — przez czas dłuższy chodziły nawet pociągi pośpieszne dla uchodźców do granicy polskiej, co, wobec niesłychanie upadającego kolejnictwa, było bezwątpienia dowodem dobrej woli i znacznego wysiłku.

Wiedziało już społeczeństwo kresowe, jakiemi są rządy Dyrektorjatu i Petlury, czego się od nich spodziewać można. Nie mogliśmy atoli zdać sobie jasno sprawy, co przyniosą, co dadzą ludności cywilnej — bolszewicy?! Jakiemi okażą się w praktyce ich skrajne teorje, znane nam pobieżnie z książek i gazet? Co z nimi przyjdzie? Śmierć — czy swoboda? Więc zostać — czy też wyjechać?! Prawdziwie, było to hamletowskie: «Być, albo nie być?», a wstrząsało nami o wiele potężniej, niż ongi genjalnym tworem szekspirowskiej wyobraźni...

Wojska Petlury opuszczały powoli Kijów. Jasnem się stawało, że wódz naczelny nie chce narażać stolicy na bombardowanie. Nastąpił rozłam w polskiem społeczeństwie: jedni wyjeżdżali, nie chcąc próbować niepewnych dobrodziejstw bolszewickiego systemu, — inni zostawali, drwiąc z uciekających, iż nie tak straszny djabeł, jak go malują, a przedewszystkiem obawiając się zupełnego zerwania wą-

tłych nici, łączących ich z gniazdem rodzinnem. Niektórzy postanowili wyjechać do Polski dla «zbadania terenu» i przekonania się, czy znajdą tam odpowiednią pracę, a rodziny swe zostawiali w Kijowie.

Następowała coraz większa dezorganizacja; przestały kursować pośpieszne pociągi, czas jeszcze jakiś wlokły się leniwo rozklekotane wagony, aż wreszcie wstrzymano wszelki ruch kolejowy, albowiem część taboru petlurowcy zabierali z sobą.

Alea jacta est!

POD BOLSZEWIKAMI.

Mieszkańcy Kijowa znali już jedno przyjście bolszewików pod mury miasta za rządów Rady Centralnej i profesora Hruszewskiego. Wyryło się wszystkim w pamięci bezlitosne bombardowanie z ciężkich dział, setki ofiar wśród cywilnej ludności, a następnie krwawy terror pułk. Murawjewa. Obawiano się tedy ogólnie, aby walka przeciwników o stolicę Rusi nie wywołała powtórnie takiego ogromu klęsk— lecz Petlura głosił, odchodząc, że się usuwa dobrowolnie, aby zaoszczędzić «Złotemu Kijowowi» grozy oblężenia.

Oczekiwaliśmy tedy przyjścia bolszewików w bezpańskim Kijowie. Komitety domowe, jako jedyna organizacja administracyjna, zaczęły funkcjonować sprężyście. Powtórzyły się nocne dyżury i zamykanie bram w dzień i w nocy. Wreszcie gruchnęła wieść, iż bolszewicy są już na przedmieściu Kijowa. W okamgnieniu miasto przytaiło się, zamarło... Znikły nieliczne dorożki, pomknęli do domów przechodnie, — ulice świeciły pustkami, aż dziwną i niepokojącą stała się ta nagła cisza w rozległem i hałaśliwem mieście.

Śledziliśmy bacznie przez okna, co się dzieje na ulicy. Wtem ukazała się gromada żołnierzy z dużemi, czerwonemi kokardami przy czapkach, posuwająca się niedbale i w nieładzie środkiem Funduklejowskiej.

Tak wchodzili bolszewicy do Kijowa, nie jako karne, regularne wojsko, lecz niewielkiemi grupami, skradając się chytrze, nie przerażając swą siłą, ale opanowując umiejętnie miasto bez jednego wystrzału.

Po południu tegoż samego dnia, krasnoarmiejcy, gromadami bez broni, zaczęli się pojawiać na wymiecionych z przechodniów ulicach. Szli, rozglądając się po mieście i przystając przed okazalszemi domami. Każda kamienica z zamkniętą szczelnie bramą i oknami zmieniła się w fortecę, zatarasowaną od zewnątrz — wewnętrznie zaś zjednoczoną wspólną świadomością niebezpieczeństwa i trudnością obrony.

— Władze, w nagrodę za bezkrwawe wzięcie Kijowa, pozwoliły tym zdziczałym żołdakom pohulać i bezkarnie robić rewizje we wszystkich mieszkaniach — rzekł ktoś w naszej kamienicy, podając to, jako fakt najzupełniej pewny. Struchleliśmy. Komitet domowy wydał natychmiast odźwiernemu rozkaz nieotwierania bramy pod żadnym pozorem, a nasza wspaniała kamienica posiadała i bramę godną siebie, potężną, i tak solidną, że dynamitem chyba dałaby się wysadzić. Grupa krasnoarmiejców, wałęsająca się środkiem ulicy, zatrzymała się nagle przed naszym domem i po krótkiej naradzie wysłała dwóch żołnierzy do bramy.

— Wyprawili parlamentarzy! Zachowują formalności zachodniej kurtuazji przy wschodniej chęci rabunku — zaśmiał się ktoś nerwowo.

Pertraktacje z odźwiernym trwały czas jakiś, — wtem, ku naszemu przerażeniu, cała gromada pędem rzuciła się do bramy, a w chwilę potem Jawdoszka wpadła do pokoju:

— Bolszewiki już wdarli się do dolnych mieszkań! Ratuj nas, Matko przeczysta! Stróż na dole z perelaku zdurił i sam im bramu roztworzył!

Zaalarmowany przez pozostałych lokatorów prezes naszego domowego komitetu, pan Zygmunt Biliński, udał się bezwłocznie do mieszkań, opanowanych przez «towariszczej», i zażądał od nich rozkazu na piśmie od władz wojskowych, upoważniającego ich do robienia rewizji.

— Rozkazu nie mamy... — tłumaczyli się zmieszani krasnoarmiejcy.

— Któż was tu przysłał?!

— My sami zaszli... broni poszukać...

— Wyjdźcie natychmiast! — rzekł p. Biliński nakazująco.—Zatelefonuję w tej chwili do sztabu i spytam, na jakiej podstawie dzieją się takie bezprawia!

Żołnierze spokornieli: — To zbyteczne! Hej tam, zbierajcie się, towariszczi! Uchodim! — Zaryglowano bramę po ich wyjściu, a odźwiernym oznajmił prezes, że stracą posadę, jeśli podobne lekceważenie wydanego rozkazu powtórzy się raz jeszcze. Pomimo krótkotrwałości tej rewizji lokatorom poginęły cenne drobiazgi i pieniądze, a pierwsze wrażenie gwałtu, tolerowanego ukradkiem przez nowe władze, było niewypowiedzianie przykre.

Następnego dnia podano do ogólnej wiadomości w oficjalnych *Izwiestjach* rozporządzenie rządu w sprawie mającej się odbyć «powalnej» rewizji w całem mieście, w celu odebrania wszelkiej broni, z zastrzeżeniem jednakże, że prezesi domowych komitetów obowiązani są towarzyszyć wszędzie rewidującym.

O 6-tej z rana zbudziło nas mocne pukanie do drzwi: «Rewizja! Proszę otworzyć!» Do pokoju weszło kilku porządnie ubranych i przyzwoicie wyglądających krasnoarmiejców, — za nimi wsunął się prezes, w futrze, nastawionem

aż po same uszy, niewyspany i zły, bo rewizję robiono już od paru godzin, kolejno na wszystkich piętrach.

— Może macie broń do zdeklarowania? — spytał Kaliksta jeden z rewidujących. — Oddajcie lepiej odrazu, bo za *ukrywatielstwo* kary będą niesłychanie surowe!

Po przeczącej stanowczo odpowiedzi, poczęli szperać w szufladach i szafach, zaglądając wszędzie, ale czynili to w sposób umiarkowany, a nawet uprzejmy. W komodzie, wśród różnych drobiazgów, leżał pasek ze złotej lamy z klamrą w kształcie motyla, pozłacanego i wysadzanego brylantami i szmaragdami. Cacko to kupiłam kiedyś w Wiedniu, gdzie była fabryka imitacyj tak artystycznych, że niedoświadczone oko z łatwością mogło się na nich nie poznać. Bolszewik wziął do ręki motyla i nie odrywał od niego oczu... Stałam obok z wiązką kluczy, otwierając i zamykając wszystkie schowki kolejno.

— Widzę, że wam podobał się ten motyl, towariszcz! I mnie również. Żałuję tem bardziej, że to poprostu szkło, a nie drogie kamienie!

«Towariszcz» rzucił nagle gniewnie pasek w głąb szuflady:

— Za kogo mnie bierzecie?! — wykrzyknął, patrząc na mnie z oburzeniem. — Nie chcę się obłowić, tylko szukam broni! Jestem ideowiec-komunista! — i przeszedł natychmiast do pokoju Haneczki, leżącej jeszcze w łóżku. — Spij, dietka, nie bojsia! — rzekł do niej łagodnie, i powierzchownie przeglądnął szafę i rzeczy dziewczynki.

W całym Kijowie przeprowadzono podobne rewizje prawie jednocześnie. Pomimo że stały one w sprzeczności z obiecywaną swobodą obywatelską, były jednak celowe i mądrze pomyślane, dając nowemu rządowi najdokładniejszy obraz stanu majątkowego wszystkich mieszkańców. Od pierw-

szych chwil rząd bolszewicki został poinformowanym, w jakiej dzielnicy i w jakiem mieszkaniu osiadła burżuazja, a gdzie stłoczył się proletarjat, na kogo można nałożyć kontrybucję, a gdzie jej unikać należy. Przecież nikt się nie ukrywał, nie maskował przed tymi, co obiecywali szczęście, równość i wolność dla wszystkich — bez wyjątku.

W kilka dni potem pojawiły się w *Izwiestjach* artykuły, pisane w ostrym tonie, jakoby burżuje dość już nałykali się rozkoszy w swych bogatych komnatach, a biedota aż po same gardło najadła się niedoli w nędznych lepiankach: «Teraz nastąpi zmiana ról. Burżuje pójdą na przedmieścia do wilgotnych nor, a proletarjusze przeniosą się do ich wspaniałych mieszkań! W ten sposób proletarjat otrzymuje z naszej ręki natychmiastowe polepszenie swego losu.»

Przesiedlanie to jednak nie doszło do skutku, gdyż zaprotestował przeciw temu dobrodziejstwu proletarjat miejski, a przedewszystkim robotnicy: Pokornie dziękujemy za taką opiekę! Nie chcemy ruszać się z miejsca. Opału prawie niema w Kijowie, drożyzna straszna! Niech sobie dalej burżuje wymrażają się w swoich wysokich komnatach, — my wolimy nasze izbuszki! Przynajmniej ciepło tu i przytulnie!

Widząc, że projektowana reforma zawiodła, wywołując zgoła odwrotny skutek, rząd wydał rozkaz rekwirowania pokoi dla wojska i urzędników sowieckich. Zaczęły się nowe rewizje, kilkakrotne niekiedy w ciągu jednego dnia, kontrolujące ilość pokoi i zamieszkujących je osób, albowiem rząd wyznaczył 3 arszyny kw. przestrzeni (podłogi) dla jednego lokatora, a 5 arszynów dla całej rodziny, ściśle i lojalnie tego się trzymając. Toteż ze wszystkich stron dochodziły wieści o nowych konfiguracjach mieszkaniowych. Spędzano do jednego obszernego pokoju mężczyzn i kobiety, wyznaczając im tam owe sumiennie mierzone kwadraty i tłuma-

cząc, że względy przyzwoitości wobec różnicy płci są tylko przeżytkiem zgniłych burżujów, utrudniającym rozwój ludzkości, i nie przystoją wcale uświadomionemu proletarjatowi. W mieszkaniu Bolesławów Krackiewiczów zainstalowano żydówkę z najniższej sfery, z wrzaskliwą czwórką cuchnącego drobiazgu, surowo nakazując, aby meble w dwóch zarekwirowanych pokojach zostały na miejscu dla jej wygody. Do pani Chojeckiej wpuszczono Chińczyka z czrezwyczajki, który sprowadził do zajętego pokoju jeszcze dwie wesołe damy, jako stałe mieszkanki. W całem mieście rekwirując pokoje, z umysłu dawano lokatorów, przyczyniających gospodarzom wiele nieprzyjemności i kłopotów, nasuwających myśl, że się jest pod nieustannym dozorem ludzi nieznanych, wrogo usposobionych. Ta troskliwa opieka nad mieszkańcami Kijowa miała swój specjalny termin u władz sowieckich. Nazywało się to oficjalnie: *upłotniać kwartiry* (uszczelniać lokale). Broniliśmy się dzielnie i długo przed rekwizycją i «upłotnieniem», bo i tak było nas 14 osób w siedmiu pokojach, jadalny zaś, jako przechodni, nie mógł być zarekwirowanym i służył do wieczornych zabaw dla dzieci, które bolszewicy otaczali specjalną opieką i względami.

Wreszcie i my ulegliśmy ogólnemu losowi: komisja mieszkaniowa zarekwirowała gabinet p. Iwanickiego, który za Petlury wyjechał do Polski w poszukiwaniu posady lub pracy, jako znany budowniczy, a żonę z czworgiem dzieci zostawił w naszem wspólnem mieszkaniu. Wieczorem dnia tego dwaj bolszewiccy «czerwoni komandirzy» wnieśli do przeznaczonego dla nich pokoju swoje obszarpane kuferki, krzywiąc się i narzekając, że każdy z nich nie dostał osobnej sypialni.

Pomimo to, że ludzie ci służyli pod jedną pięciokątną bolszewicką gwiazdą, charakter ich i zapatrywania były

zgoła odmienne. O ile Popow był typem prostodusznego, łagodnego Rosjanina, o tyle Kryłenko, pochodzący z nizin społecznych, okazał się wkrótce najnieznośniejszym teoretykiem-wywrotowcem. Popow posiadał ładny majątek w połtawskiej gubernji i z utęsknieniem wspominał nieraz o powabach życia wiejskiego, a mundur «krasnowo komandira» nosił z musu i ze wstrętem. Narzucono mu go przemocą, dając do wyboru: stanąć «pod ściankę», lub też wejść do szeregów Czerwonej Armji. Wieczory spędzał często na zabawie z dziećmi, które, odczuwając mimowiednie jego dobroć, prawdziwie go lubiły.

Choć bolszewicy, jako najskrajniejsza partja, mająca ziścić szczytne ideały ludzkości, przyszli nareszcie do władzy w całej Rosji i na Kresach, niemniej rząd sowiecki nie mógł dać sobie rady z rozwikłaniem zwyczajnych życiowych trudności. Drożyzna rosła nieustannie i z tak niepohamowaną swobodą, iż wszyscy przestali się dziwić codziennym różnicom w cenach. Chleb wydawano tylko na kartki, i nieskończone szeregi służących, robotników i inteligentnego proletarjatu, do którego powoli spadały sfery niegdyś posiadające, stały w kolejce przed miejskiemi piekarniami, marznąc i moknąc na śniegu lub na deszczu od 4-tej z rana. Zahipnotyzowanie jednak szerokich mas, wierzących w nieomylność bolszewickich systemów, było wówczas jeszcze tak silne, że nie sarkano, nie buntowano się przeciw biedzie, bezrobociu i drożyźnie. Przyjmowano pokornie z ręki wywrotowców to, czego nie darowanoby dawnym rządom, i nie słychać było o «głodnych buntach», chociaż ludzie głodowali naprawdę.

Nowe formy ustroju stwarzały nowe zupełnie życie. Komunistyczni władcy, wprowadzając w czyn swoje teorje, znacjonalizowali w całem mieście wszelakie sklepy, przedsiębiorstwa, księgarnie, przekreślając lekką ręką własność prywatną i wy-

zuwając z niej drobnych nawet posiadaczy, dla których sklep był wynikiem pracy lat wielu i jedynem źródłem utrzymania. Specjalne komisje spisywały towary, zamieniając eks-właściciela w dozorcę i oddając mu pod opiekę zawartość sklepu już jako «dobro państwowe», pod groźbą ciężkiej odpowiedzialności za brakujące lub zaginione przedmioty. Rząd niszczył w ten sposób najlżejszy przejaw inicjatywy prywatnej, wynosząc natomiast do potęgi czynnej i decydującej inicjatywę państwową. Pozamykano sklepy, i handel wszelki ustał, z wyjątkiem sklepów spożywczych. Nieustanna jednak potrzeba zakupów i obrotów pieniężnych, właściwa ludności wielkiego miasta, zdławiona oficjalnie, przejawiła się samorzutnie w handlu ubocznym. Całe falangi Tatarów i Żydów skupywały po mieszkaniach przyciśniętej biedą inteligencji wykwintne, przedwojenne ubrania, bieliznę i drobiazgi. Zczasem powstały w Kijowie sklepy komisowe, zajmujące się wyłącznie pośrednictwem w podobnych sprzedażach-kupnach. Należały one do przedsiębiorczych Polaków i Rosjan, którzy świetnie zarabiali, biorąc po 10% od sumy sprzedażnej, i trwały aż do chwili, gdy rząd bolszewicki kazał je zamknąć i opieczętować, uważając to za wykroczenie przeciw zasadom komunistycznym.

System kleszczowy, ściskający coraz silniej ludność, aby z niej wydusić powinną daninę, rozwijał się konsekwentnie. Wszyscy mieszkańcy otrzymali drukowane kwestjonarjusze, gdzie w odpowiednich rubrykach należało podać daty urodzenia, narodowość, zajęcie przed i w czasie wielkiej wojny, a wreszcie wykazać poprzedni stan posiadania. Zawahali się wszyscy, jak tu postąpić? Przyznawać się do znacjonalizowanej dawnej własności ziemskiej lub realności miejskiej było wręcz niebezpiecznem i ściągało uwagę władz, z drugiej zaś strony — grożono karami w razie zatajania

poprzedniego stanu rzeczy. Kierowano się tedy nie rozumem, lecz instynktem, przeczuciem, fantazją... Jedni «łgali na potęgę», w przeświadczeniu, iż rząd nie będzie miał czasu ani ochoty sprawdzać podawanych szczegółów, inni — uczyli się napamięć skonstruowanych zręcznie życiorysów, obawiając się możliwości krzyżowego ognia ustnych dochodzeń prawdy, inni jeszcze wpisywali, na swoje nieszczęście, rzetelne cyfry i wykazy majętności.

Po ściągnięciu tej metodycznej spowiedzi z ludności Kijowa rząd wydał kontrybucyjne spisy w formie dodatków do oficjalnych *Izwiestij*. Pojawiły się tedy olbrzymie, drukowane płachty papieru, zapełnione nazwiskami mieszkańców wraz z cyframi urozmaiconej wysokości. Był to nowy bicz na klasy do niedawna posiadające, wyrażający się w nakazie wypłacenia bez zwłoki ogromnych na owe czasy sum pieniężnych, poczynając od mizernych 5000 rb., a przechodząc całą skalę cyfr, dochodzących do kilkuset tysięcy rb. na każdą wybitniejszą lub znaną z zamożności rodzinę. Przy układaniu kontrybucyj nie zapomniano o nikim. Zarówno przedstawiciele większej własności, jak ich administratorowie, fabrykanci, inteligenci, fachowcy, jak i najdrobniejsi sklepikarze, uczuli opiekę troskliwego rządu, który zapomocą zebranych poprzednio zeznań i szeroko rozgałęzionego, dobrze płatnego szpiegostwa trafnie określał wysokość cyfry kontrybucyjnej w stosunku do każdego wolnego obywatela. W pozornej logiczności tej śruby podatkowej jedno tylko było mylnem i z gruntu fałszywem. Oto kontrybucję stosowano do minionego stanu majątkowego, nie rachując się z tem, iż pozbawieni wszelkiej — znacjonalizowanej już—własności ludzie, nie mieli wprost realnej możności płacenia podobnych sum, goniąc ostatkami i żyjąc ze sprzedawanych prześcieradeł lub ubrań. Za nieuiszczenie kontrybucji czekały kary

i więzienie... Większość tedy ludności kijowskiej znalazła się w niewesołej pozycji dickensowskiego karasia, któremu w tym lub owym razie grozi ostatecznie oskrobanie i śmierć na patelni!

Łamy *Izwiestij* wypełniały się codziennie coraz to nowemi «zakonami» i rozporządzeniami rządu Sowietów. Na *tabula rasa*, pozostawionej przez Rząd Tymczasowy, obalający bezmyślnie wszystko, co przypominało ustrój caratu, komuniści wznosili teraz gmach odrębnie pojętej państwowości, wedle teoryj i programów, niebędących dotychczas nigdzie, w żadnym zakątku kuli ziemskiej, stałym regulatorem układów społecznych. Nie brakowało temu rządowi rozmachu — brak mu było natomiast powagi. Pojawiło się np. rozporządzenie co do rejestracji fortepianów, maszyn do pisania i szycia i bibljotek, wzmocnione groźbą konfiskaty w razie ukrywania lub nie podania do spisu tych przedmiotów. Stało się jednak wręcz przeciwnie. Wywożono w głąb Rosji to, co zostało zarejestrowane (ze wskazaniem dokładnych adresów), a ocalały bibljoteki i fortepiany tych śmiałków, którzy do ich posiadania się nie przyznali. Wydano nakaz zabierania przy rewizjach złota i kosztowności, wzywając przytem właścicieli *safe'ów* po wszystkich bankach do otwarcia dobrowolnie skrytek i oddania znaczniejszej części srebra stołowego, a złotych monet w całości, gdyby się w nich znalazły. Że jednak rosnąca nienawiść rządu do «burżujów» występowała coraz jaskrawiej w podnieconych artykułach *Izwiestij* — nie wiedziano istotnie, co czynić należy. Jedni szli posłusznie do banków i otwierali skrytki, inni udawali głuchych na ostre nakazy, przekładając konfiskatę sreber i precjozów nad zwrócenie na siebie czujności sowieckiego rządu. Jako wynik tego biernego oporu ukazały się w *Izwiestjach*

komunikaty następującej treści, jednakie zawsze w układzie, z każdorazową zmianą nazwiska:

«Wzywa się Kozickiego Kaliksta Titowicza do natychmiastowego stawienia się w banku Kamsko-Wołżskim i dobrowolnego otwarcia *safe'u*. Po upływie trzech dni od chwili niniejszego wezwania, *safe* będzie otwarty przemocą, zawartość jego skonfiskowana, a oporny właściciel aresztowany przez Czrezwyczajną Komisję.»

Kalikst wybrał drogę lojalną i nazajutrz *safe* otworzył. Mieliśmy w nim stare papiery rodzinne, dowody szlachectwa i akty posiadania. I w tem nawet było znaczne niebezpieczeństwo. Urzędnik sowiecki niedbale przerzucił papiery, strząsnął je nad stołem dla przekonania się, czy niema wewnątrz ukrytego złota, i wpisał do rozłożonej księgi obok naszego nazwiska: «Nienużnyja bumagi», poczem pokiwał głową z politowaniem.

Nowe rozporządzenie rządu co do rejestracji obcokrajowców, a przedewszystkiem Polaków, zaniepokoiło społeczność kresową. Wietrzono jakieś niebezpieczeństwo w tym nakazie oficjalnego przyznania się do swej narodowości i przynależności państwowej, lecz po krótkiem wahaniu Polacy postanowili iść ławą i podać się do rejestracji bez względu na możliwe następstwa. Za czasów Dyrektorjatu konsulat polski w Kijowie wydawał legitymacje, stwierdzające przynależność naszą do nowej, niepodległej Polski. Wyrobiliśmy je prawie wszyscy, w przekonaniu, iż jako obywatele obcego państwa, stworzonego wolą potężnej ententy, będziemy zabezpieczeni od represyj i ekscesów, gdyby rząd bolszewicki stosował je do ludności rosyjskiej. Jako więc obywatele polscy stawiliśmy się gromadnie w oznaczonym terminie w Urzędzie Rejestracyjnym. Przeważająca, a nawet wyłączna nieledwie ilość urzędników żydów jaskrawo rzucała się tu w oczy.

Chodziły już słuchy, iż we wszystkich urzędach i biurach sowieckich podobnie się dzieje, lecz wówczas przekonaliśmy się o tem naocznie.

Paląca kwestja ziemi i reformy rolnej podjęta została przez rząd i ogłoszona w formie komunistycznej. Odezwa ta podnieciła i rozjuszyła chłopów, którzy, stosując najchętniej skrajne teorje do ziem skarbowych, odgrażali się jednocześnie, iż zamordują każdego, co się ośmieli ich własny grunt odbierać. Wybuchnęły liczne powstania, z któremi radzili sobie bolszewicy z trudnością — padła ofiarą niewinna ludność miast, albowiem ustał zupełnie dowóz żywności do Kijowa, a po wsiach szedł głuchy, nienawistny pomruk: «Precz z komunistami!! Niech zdychają z głodu! Niechże jedzą swoją komunę!» Nikogo już nie dziwiła potęgująca się z godziną każdą drożyzna. Chleb dostawaliśmy z miejskich piekarni, po pół funta na osobę, z domieszką mniej wartościowych zbóż i często źle wypieczony. Biedowali wszyscy istotnie i możność zdobycia słoniny lub kaszy po jakiejś umiarkowanej cenie stała się najważniejszym celem życia. Jedynie Czerwona Armja nie zaznała nigdy niedostatku. Rząd sowiecki, opierając się na sile bagnetów, otaczał krasnoarmiejców niezwykle staranną opieką i wyznaczał im suty «*pajok*», w naturaljach, jako tygodniowe utrzymanie.

Kiedyś, wychodząc z Haneczką na poobiednią przechadzkę, spotkałam się w przedpokoju z naszymi oficerami, którzy przed chwilą przydźwigali z miasta wydane im racje chleba, słoniny i mięsa. Haneczka wykrzyknęła mimowoli:

— Patrz, mamusiu! Jakiż pyszny chleb! Dawno już takiego nie jadłam!

Nagły bunt zatargał mną i z ust zerwały się nieopatrzne słowa:

— I gdzież ta zachwalana równość?! Jedni opływają

we wszystko, a większość tak łaknie białego chleba, jak dawniej słodyczy!

Krylenko rzucił popędliwie worek ze słoniną i mięsem, który niósł na plecach, i zwrócił się ze wzburzeniem do Popowa:

— Słyszysz, towariszcz?!... Nie w smak burżuazji rządy proletarjatu! Jakieś bunty, rozprawy, krytyki chodzą im jeszcze po głowie! Wziąćby ich w ręce... cugle przyciągnąć... ot co! Dawno już mówię komu należy, że cała ta kulturalność licha warta! Pora-by przestać «mindalniczat'» (być słodkim, jak migdał) z burżujami, a przez jeżowe rękawice ich chwycić!

Wszedł do zarekwirowanego pokoju i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Cóż dziwnego, że tak się odezwałam? — tłumaczyłam się przed Popowem. — Głód, bezrobocie, drożyzna... Podobno wkrótce z mieszkań mają wypędzać...

Popow przyłożył palec do ust i wzrokiem wskazał mi drzwi, za któremi zniknął Krylenko:

— To jeszcze pół biedy! To dopiero początek!—szepnął ostrożnie.

Napróżno wieczorem usiłowaliśmy z Kalikstem zmusić Popowa do wyjaśnienia nam niezrozumiałych słów. Milczał jak zaklęty, albo udawał, że nie przypomina sobie naszej rozmowy.

Idąc konsekwentnie w stosowaniu komunistycznych zasad, rząd bolszewicki zniósł wszelkie prawa własności co do realności miejskich, uwalniając jednocześnie mieszkańców od opłaty komornego i nacjonalizując kamienice. Meble i urządzenia wewnętrzne stawały się również własnością państwową. Bezprawie urzędów sowieckich i wojskowości oparło się na tem nowem rozporządzeniu. Rekwirowano mieszkania, wy

rzucając lokatorów na bruk w tem, co mieli na sobie, lub też pozwalając im, w drodze łaski, wziąć jedno ubranie i jedną zmianę bielizny z dostatnio zaopatrzonych, przed chwilą jeszcze własnych, szaf. Wzamian, lokowano w pięknie umeblowanych pokojach urzędy sowieckie, lub bolszewickich «krasnych komandirow», używających z zadowoleniem «burżujskich» dostatków.

Śruba bolszewickich systemów obracała się w pierwszych chwilach zawładnięcia Kijowem względnie łagodnie, dotykając tylko powierzchni, — teraz zaś wrzynać się poczęła w głąb społeczeństwa, rozwijając ruch swój z coraz to zacieklejszą szybkością. Toteż inteligencja kijowska i wywłaszczeni posiadacze, broniąc się od prześladowań, spadających na nich jako kara za należenie do sfery ongi uprzywilejowanej, potworzyli Związki Pracowników na różnych polach i masowo do nich się wpisywali. Rosja była we władzy licznych Sowietów i Sojuzów — szliśmy tedy za ich przykładem. Członek Sojuzu Agronomów, Pracowników Rolnych, Inżynierów, Mechaników, Chemików itd. mógł się czuć o wiele pewniej wobec towariszcza-komunisty, niż jakiś luzem chodzący, spokojny obywatel. Powstało też tych Związków bez miary i opamiętania, a w *Izwiestjach* pojawił się piorunujący artykuł pod tytułem «I gdzież nasza burżuazja?!»

«Nadaremnie przebiegam wzrokiem całe miasto! — pisał rozgoryczony autor. — W tak krótkim przeciągu czasu Kijów zmienił się nie do poznania! Czyżby zginęła rasa pomieszczyków, fabrykantów, kapitalistów, cukrowarów, domowładielców?!... W żadnem mieszkaniu ich nie znajdziesz! Wszędzie osiedli tylko «trudowyje liudi» albo «czleny Sojuza». Burżuazję kędyś od nas wymiotło i ślad po niej zatarty! Nie oszuka jednak nikt szczerego komunisty. Potrafimy oddzielić plewy od ziarna! Biada wówczas tym

nikczemnym burżujom, którzy wplątali się między rzetelnych rewolucjonistów!»

Pięciopiętrowa kamienica, w której mieszkaliśmy, jedna z piękniejszych w Kijowie, posiadająca obszerne lokale sklepowe na parterze i odpowiedniej wielkości witryny wystawowe, nie mogła ujść uwagi reprezentantów ludu. Komisja mieszkaniowa oznajmiła niespodziewanie wszystkim lokatorom, iż gmach ten cały wraz z oficynami przeznaczony został dla Oddziału Propagandy i ma być oddany do jego dyspozycji w najkrótszym przeciągu czasu. Wybuchy niepotrzebnego zgoła protestu przyjęły ten wyrok: — Wyrzucacie nas? — wskażcie tedy, dokąd mamy się przenieść! Przecież wiadomo, iż w «upłotnionym» Kijowie mieszkań brak!

— Szukajcie sami jakiegoś pomieszczenia! Macie potemu czas i zdrowie! A jak wynajdziecie coś odpowiedniego, zadajcie sobie jeszcze ten trud, aby się stawić w Urzędzie Mieszkaniowym. Tam dostaniecie «order» na prawo przeprowadzki z miejsca na miejsce.

— Zlitujcie się! Dajcie nam przynajmniej miesiąc czasu na te wszystkie kłopoty!

— Termin wyniesienia się nie od nas zależy. My, jako komisja, rekwirujemy tylko lokale, ale od jutra dostaniecie tu komendanta. Z nim możecie ułożyć wszelkie warunki.

Nazajutrz zebraliśmy się gromadnie o oznaczonej godzinie we wspaniałem mieszkaniu eks-właściciela kamienicy (który wyjechał sobie szczęśliwie do Warszawy za Petlury i stamtąd domagał się natarczywie czynszów ze swej realności, nie mając pojęcia w jakich opałach wszyscy wraz z nią się znajdujemy). Kalikst nie poszedł na audjencję u komendanta, twierdząc zuchwale, że «szkoda śliny», bo sprawa już jest zasadniczo rozstrzygnięta. Cały nasz dom zamieszkiwali ludzie z zamożnej inteligencji, którzy stano-

wiska swe zdobyli pracą i zdolnościami, — tem zabawniejszym był widok ich uprzejmości wobec wszechwładnego «komendanta», ośmnastoletniego żydka, wcale niezgrabnie odgrywającego swą rolę. Wyraz «towariszcz» padał przynajmniej co trzy słowa, podkreślając dosadnie równość i braterskość tych anty-burżujów z owym dyktatorem w wyplamionem i postrzępionem ubraniu. Przedstawiliśmy mu żarliwie trudność wyszukania tak szybko jakiegoś kąta. Zakłopotany komendant zgodził się wreszcie na termin dwutygodniowy.

— Pamiętajcie, że po upływie tych kilkunastu dni krasnoarmiejcy wyrzucą was z mieszkań! — przestrzegł nas, wychodząc z mieszkania Kruszewskich.

Wróciłam na górę, oznajmiając Kalikstowi o względnie pomyślnym wyniku konferencji. Jawdoszka przez okno wyglądała na podwórze, ciekawa niesłychanie tego «komendanta», który wraz z portjerem obejść miał cały dom. Nagle wykrzyknęła z podziwem:

— Prosze pani! Ce komendant?! Ot tam, stoit poseredyni dwora, takij chudeńkij... czarniawyj!

Śmiejąc się, skinęłam głową potwierdzająco.

— Toż ja jego znam! Sława Bohu! Czekajte, prosze pani, wse bude dobre! — i Jawdoszka wypadła z mieszkania, zatupotała butami, zbiegając pędem w dół po niezliczonych schodach, i przeszła szybko przez dziedziniec, zatrzymując się przy komendancie. Tu wszczęła się między nimi dziwaczna rozmowa:

— Zdrastwujte! Ne piznajete mene?— spytała naiwnie Jawdoszka z poczciwym uśmiechem od ucha do ucha.

Komendant spojrzał na nią zdziwiony:

— Jakaś znakoma mołodycia... Skądże wy, titko?

— A z Lemieszowa. Szoż u was wdoma czuty? A sta-

rij tato budut teper sami za jajciami jizdyty? — dopytywała się uprzejmie.

— Aha! To wy! Znaju, znaju, wynosiliście nam na wózeczek jaja ze dworu. Teraz sobie doskonale was przypomniałem.

— A u mojej mamy w Lemieszowie, mało to kóp nabraliście? A prawda, zawsze towar był świeży i nigdy was nie omamiłam?!

— Prawda. A czyż ja kiedy na was narzekał? — rzekł komendant-handlarz, przeżuwający w myśli z zadowoleniem pęczniejące zarobki, porobione na tanio zakupionych jajach.

— No, to ja mam teraz do was, po starej znajomości, wielką prośbę. Ja tu służę na górze, u swoich panów... — i Jawdoszka zlękła się nagle wyklętego słowa. — Nie zrobicie im nic złego, prawda? To spokojne pany!

Ale komendant nie był drapieżny i machnął ręką niedbale:

— Nic mnie oni nie obchodzą! Mówcie lepiej, czego chcecie.

— Wyrzucają nas z pokojów, a nie mamy gdzie przytulić się w tym Kijowie! Zróbcie nam wielką łaskę i pozwólcie zostać choćby w kuchni, dopóki jakiegoś pomieszczenia nie znajdziemy — mówiła Jawdoszka, patrząc na dawnego znajomego prosząco.

— Dobrze! — zgodził się tenże niespodziewanie. — Niższe piętra prędzej nam potrzebne na składy książek, a z górą można poczekać.

— Diakuju wam tysiaczu raz! Zato wam tak poszczasływyłoś, szo ne złostnyj wy, a dobroju duszu majete.

Niezmiernie pomyślnie złożyło się dla wszystkich lokatorów, że Oddział Propagandy nie wymagał pozostawienia mebli w mieszkaniach, bo też i wcale ich nie potrzebował dla

biur i stosów literatury komunistycznej. Komendant oświadczył tedy, iż w chwili przeprowadzki wyda każdemu «order» na prawo wywiezienia urządzenia z domu. — Po długich i mozolnych poszukiwaniach znaleźliśmy wreszcie dwa skromne i ubogo umeblowane pokoje w oficynie podwórzowej, przy ulicy Stołypinowskiej. Panie K. miały tu dawniej internat dla uczących się panienek — teraz zaś utrzymywały się z pieczenia ciast i odnajmowania pokoi w obszernem mieszkaniu, biorąc za nie czynsz bez wiedzy komunistycznych władców.

W tym czasie mniej więcej Kalikst dostał posadę kierownika w Kooperatywie Robotniczej i pracował po całych dniach, będąc jednocześnie kasjerem w sklepie, a w domu, wieczorem, — buchalterem tego stowarzyszenia, które nosząc nazwę «robotniczego», subsydjowane było przez żydów, dających pieniądze na zakupy i pobierających 10% od obrotu. Interes szedł dobrze, żydzi zarabiali znakomicie, robotnicy cieszyli się szyldem i zręcznie ułożoną wystawą w oknie, a pracowity goj, czyli mój mąż, harował dziesięć godzin dziennie, pomimo, że bolszewickie programy i «platformy» zwalczały w pierwszych chwilach przewrotu nawet ośmiogodzinny dzień pracy.

*

Było nam coraz ciężej i gorzej. Żyliśmy ze sprzedawanych rzeczy i ze skromnej pensji Kaliksta. Już nieraz głód wycisnął mi pokryjomu łzy z oczu, patrzących z bólem na zmęczenie Kaliksta, na bladość Haneczki... Przestaliśmy gotować w domu i Jawdoszka przynosiła nam obiady od pani Anny N., wzdychając przy odkrywaniu rondelków:

— Hospody, Hospody, i czym tut najistysia?! Kołyb wże do domu Boh dał wernutysia!

Nieraz brak było pieniędzy na najpotrzebniejsze wydatki domowe... Przerzucałam wówczas przez ramię to, co uważałam za odpowiednie i mniej potrzebne z naszych ubrań lub rzeczy, i szłam w dół po Stołypinowskiej, na Targ Żydowski, gdzie podobne transakcje stale się odbywały. Na olbrzymim placu panowało ożywienie i nieustanny ruch handlowy. Wobec oporności chłopów, niechętnie przywożących do Kijowa produkty spożywcze, całe falangi przekupek miejskich znalazły drogę do wsi okolicznych i dźwigały stamtąd na plecach wory z mąką i słoniną, sprzedając je potem na tym targu. Wszystkiego było tu wbród i we wszystko można się było zaopatrzyć. Tłum ruchliwy przelewał się z miejsca na miejsce, jak fala, a zczasem i chłopi chętnie zajeżdżali tu wozami, dowiedziawszy się, gdzie «burżuje» handlują pozostałościami dawnego dobrobytu. Mówiono też ogólnie, iż wnętrze chaty chłopskiej zmieniło się do niepoznania. Fortepiany, gramofony, wyścielane meble, obrazy na ścianach— częściowo zrabowane po dworach, niekiedy uczciwie nabyte, zdobiły izby wiejskie. Wzrosły też w równej mierze potrzeby tego ludu, dla którego przedtem «horiłka» była wyłącznem prawie pożądaniem.

Stałam tedy pewnego skwarnego dnia na tem olbrzymiem targowisku, z wyniesionemi na sprzedaż zielonemi portjerami. Z umysłu przerzuciłam je przez ramię, aby się okazały w całej swej piękności. Upał czerwcowy dawał się już dobrze odczuwać i tylko chwilami świeższy powiew wiatru przemknął swobodnie, podnosząc długie, puszyste frendzle moich portjer. Towar był pierwszorzędny i najzupełniej zdatny na paradną suknię dla jakiejś wiejskiej bogaczki, zwrócił więc odrazu uwagę pośredników i handlarzy, żerujących w tem zbiegowisku ludzkiem i szukających chytrze zyskownego kupna. Lecz ja trzymałam się niezłomnie obmyślanej



Mołoczki. Marji z hr. Zamoyskich ks. Lubomirskiej.



Mołoczki. Sala żółta.



Eljaszówka Dorożyńskich. Salon.



Mołoczki. Salon.

i wedle ostatnich konjunktur wyśrubowanej ceny i odtrącałam proponowane mi pieniądze, wypatrując kupca z pierwszej ręki, któryby mi zapłacił po amatorsku. Każdy dział handlowy miał na Targu Żydowskim swoje stałe i określone tradycją miejsce — chcąc tedy pozbyć się atakujących mnie przekupniów, przeszłam szybko wzdłuż głównej arterji handlowej, i wysunąwszy się z tłumu, stanęłam na uboczu.

— Biednaja baryńka! — doleciał mię zbliska miły dźwięk głosu. Oglądnęłam się żywo, przerażona słowem i podejrzeniem, mogącem pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki. Tuż za mną, na worku z mąką, siedziała przekupka i przyglądała mi się ze współczuciem.

— Żartujcie zdrowi! Taka ze mnie barynia, jak i z was! — zaśmiałam się od niechcenia.

Przekupka pokręciła głową z uporem:

— Opowiadaj to, duszo moja, komu chcesz, ale mnie starej na plewy nie weźmiesz! Odrazu widać, żeś nie handlowała szmatami całe życie.

— Ale teraz kupuję, sprzedaję... co się da! Ot, byle zarobić na kawałek chleba... Spójrzcie, matko, jakie to ładne. Prawdziwa wełna, a jaki kolor prześliczny! Sumiennie wam radzę, kupcie to dla siebie. A może córkę macie? To dopiero wam podziękuje!

Babina wzięła do ręki portjery i oglądała je z zajęciem:

— Kupić — nie kupię, choć zdałoby się nową suknię poszyć na święto... I mocne, jak żelazo... ot ciagnę — a siłę w ręku mam... ani poznaki niema! Sławna spódnica będzie, jej-Bogu! Siądźcie tu przy mnie na stołeczku i poczekajcie troszkę. Tylko patrzeć, jak kum mój ze wsi nadjedzie. On bogacz wielki, a jedną tylko ma córkę i niczego dla niej nie pożałuje! — Przysunęła stołeczek. — Przysiądźcie, biedniażka! Toż nogi zbolą, tak stać od rana!

— Dziękuję wam, matko, za dobrą radę. Chętnie poczekam na takiego kupca.

— Oj, ciężko wam, ciężko — westchnęła gadatliwa kobieta — a czy myślicie, że nam lepiej?... Gdzie zaś! Ot, niedalej jak onegdaj, krasnoarmiejcy okrążyli cały Targ i zarekwirowali u przekupek, co tylko wyniosły na sprzedaż! Kilka zaledwie szczęśliwszych wymknęło się im z pod rąk prawie, do bocznych ulic. Tak to krzywdzą biedny naród! A to nie pierwszy raz i nie ostatni, oj nie!

— Przecież oni dla waszego szczęścia nowe prawa wydali i nacjonalizują wszystko, żeby nie było ani ubogich ani bogaczów...

Babina zamachała rękami z oburzeniem: — Ładne mi szczęście! I pies by się niem nie najadł! Co tu skrywać?! Źle, miła moja, i wam i nam!... To jest prawda, taka prawdziwa i jasna, jakbym ją w garści trzymała! A kto temu winien? Wy — tylko wy, a nie kto inny! Mieli wy sto razy więcej rozumu, jak nasz brat. Aa, co?! Nie tak-li?! Mogli wy naród oświecić, dać nam choćby trocha tej jaśniejszej doli, do czego dusza się rwała... i dziś inaczej-by wszystko poszło! Nie byliby wy obdarci i zamorzeni z biedy, a my— zahukani, jak te durne owce, przez tych tam parchów!

— Sprawiedliwie mówi — ozwały się głosy innych przekupek, siedzących niedaleko przy swoich workach.

— Sprawiedliwie mówi — powtórzyłam za niemi w myśli, oceniając trafność poglądu tej kobiety z ludu, patrzącej z niezwykłą bystrością na przewrót społeczny, który się w jej oczach dokonał.

Nadjechał wreszcie oczekiwany kum i chętnie kupił śliczne portjery, płacąc mi po 900 rubli sowieckich za sztukę. Znaczna część tego kapitału zniknęła natychmiast w przepaścistej sakiewce mojej przygodnej przyjaciółki (nabyłam

u niej mąkę i słoninę, kartofle gdzieś opodal). Zarzuciłam worek z produktami na plecy:

— Żegnajcie, matko! Dziękuję wam z całego serca. Może się jeszcze kiedy spotkamy.

— Idźcie z Bogiem! A zajrzyjcie tu do mnie. Może czego trzeba będzie, a jak nie — to tak, z własnej ochoty, pokażcie się kiedy. Proszczajtie, baryńka!

Szłam powoli pod górę, po Stołypinowskiej, tak zadowolona z pomyślnych obrotów handlowych, jak jakiś amerykański «król bawełny» po sfinansowaniu miljardowego przedsiębiorstwa, gdy nagle doleciały mię śmiechy i głośna rozmowa za mojemi plecami:

— Patrz, patrz! Jak to dźwiga teraz worek z kartoflami! Dawniej, nie pokazałaby się tak na mieście, żeby jej kto miljony na stół kładł!

— Dobrze jej tak! Niech wie, że plecy bolą! Czy to my inaczej na świat przyszli, jak oni?! Albo inne ręce mamy?! Ja od maleńkiego wiadra z pomyjami taszczyła, aż wykrzywiła się całkiem na jeden bok i taka już została. Nie popatrzy na mnie żaden! Ot, dola-macocha!

— Nie narzekaj, Pasza! Dobra z ciebie dziewczyna, a do roboty, jak się przypniesz, to i prosta tobie nie zrówna! Ale popatrz na te trzewiki... Śmiechu warte! Jej-Bogu! Jabym takich i dziadowi nie wyniosła! W oczy-by mi plunął za taki podarek! Cha cha cha!!

*

Pomimo przedstawień Kaliksta wyprawiłam Jawdoszkę do Lemieszówki. Mieliśmy tam u Znaczkowskiego dość znaczne zapasy masła i cukru. Jawdoszka pojechała chętnie, rada, że pusta śpiżarnia nieco się zaopatrzy, lecz wróciła o wiele wcześniej niż myślałam. Podała mi niewielki węzełek:

— Podarek od Znaczkowskich... — Rożkiem chustki otarła nieznacznie łzę...

— Mówiłem... — rzekł Kalikst, i urwał nagle, widząc moje zmartwienie.

Mimowoli podniosłam w górę paczuszkę, zdumiewając się nad jej lekkością:

— Jakto?! Ze wszystkich naszych zapasów dali ci tylko tyle?!...

Jawdoszka pokiwała głową:

— Dołgo howoryty... i tiażko... i prykro...

— Opowiedz wszystko! Lepsza zła prawda, niż niepewność!

— Jak pani chotiat, to skażu wse... Może i mini łechsze stane, bo od wczora kamień na sercu łeżyt... — otarła szybko oczy. — Z Białej Cerkwi pojechała ja furą z żydami do Wołodarki, a tam, wieczorkiem, przekradła się jakoś do Lemieszowa. Wchodzę do chaty, a tu wszyscy w krzyk: — «Jawdocha?! Zwitki ty wziałaś?!» — I dalej-że mnie obejmować... tak radzi mnie wszyscy! A wraz matka płachtami okna zawiesza: «Teper nebezpeczno! — powiada. — Hromada doznała sia wże, szo ty za panami do Kijewa piszła! Netreba, szob tebe jakij woroh pobaczył! Znowu na sud-by tiahnuły! A czohoż ty, detyno, prijichała? A może pany ne szanujut wże twojej praci?!» — A mnie jakby kto w twarz dał, i mówię: Ne każit niczoho na paniw! Bidnyje ony teper i chliba swoho ne majut i tiażko praciujut! Posłały ony mene do Znaczkowskoho za masłom, za cukrom, szo jemu dały na schowanie. — A tato smijutsia: — «Ne rozbohatijite tym, szo Znaczkowskij wam widdaty schocze! Win teper pańskimi kińmi rozjiżżaje i chaziajin zrobyłsia! A ce masło, szo ty sama składała i sołyła, to win szcze wesnoju ludiam fun-

tami poprodał i hroszeniat bahaćko wział! Ne wyderesz ty nic od nioho!!»

Ach, prosze państwa, ja całą noc z boku na bok się przewracała... usnąć ani minutki nie mogła, jakby mnie kto po sercu kołami jeździł... Czut' świt wstała ja, a na śnidanok to nawet patrzeć się nie chce... Idę do dworu, przez sosny, do chaty Znaczkowskich... a jak tylko oni mnie zobaczyli, to im te oczy jak z kamienia się porobiły: — «Czohoż wy wernułysia do Lemieszowa, Jawdocho? Kiepsko wam wże z panami?!» — powiada Aleksandra, a patrzy jak ten zły pies.

— Dobryj wam deń! — mówię im grzeczno. — Nie na długo ja tu przyjechała. Masło tylko zabiorę i cukor, co wam panowie oddali, i zaraz nazad, do Kijowa. — «Wełykie ce dla mene dywo — obzywa się Znaczkowski, — szo wy z Kijewa, Jawdocho, a ne znajete, szo paniw wże nyma na świti, a wse to, szo persze było pańskie, teper narodnoje dobro! I masło wasze ja rozdał i cukor, i nic u mene ne ostałosia.» — A Aleksandra idzie do komory i ten kawalczyk masła i sera wynosi: — «Zawieźcie to odemnie — mówi, — a po więcej nie przyjeżdżajcie, bo ja ich karmić nie będę! Ręce mają — nechaj praciujut!!» — Stoję ja i słówkiem się nie obzywam, bo widzę dobrze, szo zwercha ony taki, jak persze buły, a w seredynie ktoś ich zowsim pereminył. — Dziękuję wam za dobre słowo i za podarek i niech was tak Boh nahradyt, jak wy dla panów naszych życzliwi jesteście!

Idę ja do ogrodu, a tu z domku sam Zełeńskij wychodzi, a w ręku pełno torebek z nasionami trzyma. — «To wy, Jawdocho? Szoś ne taki wy hładki, jak persze buły! Jidnym hore, a drugim radost'. Ot ja cej ogród od hromady w arendu wział i wełykij zaribok budu maty. Harno derewja

obrodyły! Prawda?! » — Za waszą pracę powinni wy zarobek mieć — to sprawiedliwo! Ale ja poznaję, że te torebki pańskie, i te nasiona także pani kazała zbierać i suszyć jeszcze tamtego lata... Możeby wy, ogrodniku, nam chociaj trocha oddali? W Kijowie na chleb to zmienimy, a panowie nasi biedują bardzo i chliba ne majut do syta! — A ogrodnik śmieje się: — «Jaki wy czudny, Jawdocho! To wy ne znajete, szo teper wse, het, kruhom, narodnoje dobro?! Ja wże zabułsia, szo tut kołyś pany buły! I wy za nich ne howorit i ne wspominajte, a to bieda bude!»

Siadła ja na ławce w ogrodzie i zadumała się: Hospody Boże! I za szo Ty nas tak pokarał?! Toż to dwór pański i ogród pański i praciowały ony tut szczyro, a teper w tym Kijewie perebywajutsia... hołodnyje... a tutka Znaczkowskij z Zełeńskim panujut!... Patrzę ja przed siebie... słonko już dobrze przypieka — wesoły dzień będzie, ptaszki tak śliczno spiwajut, pczoły litajut, truskawki czerwonijut... i tak cicho, spokojnie, jak persze buwało... Aż wdruh mini pokazałoś, szo ta nasza bieda — to nieprawda: Że pani tam hdeś chodiat pomeż derewjami i dywliatsia, hde szo posadyty... Czut', czut ja nie zakrzyknęła w głos: Prosze pani! Już późno! Pora iść na śnidanok! Kawa wystygnie!!

I Jawdoszka nagle rozszlochała się tak gwałtownie, że wyłkawszy z wysiłkiem:

Pere...pro...o...szaju pań...stwa...—uciekłą z pokoju.

. . . .

Chociaż handlowanie dawnemi zabytkami na Targu Żydowskim miało bezwątpienia ogromny urok nowości, lecz o wiele zyskowniejszem okazało się inne przedsiębiorstwo. Było to tak:

Pewna inżynierowa z dwiema córkami, wobec zupeł-

nego braku funduszów, postanowiła ratować się wypiekaniem ciast na sprzedaż. Lecz, jak słusznie twierdzą literaci wszystkich krajów, łatwiej jest upiec tysiąc nieporównanych pierożków (względnie książek), niż znaleźć uczciwego nabywcę chociażby na marny ich dziesiątek. Ofiarowałam się tedy tym paniom jako ajent handlowy i z naładowanym koszem, przykrytym śnieżną serwetą, wyszłam na miasto. Wszystko to dobrze, a nawet doskonale! I pierożki są, i chęci nie brak. Ale jak się wziąć do rzeczy, jakim sposobem wmówić w tych śpieszących się przechodniów, aby kosz jak najrychlej opróżnili?... Dlaczegóż nie jestem cudnem, wiośnianem dziewczątkiem? Dlaczegóż nie mam oczu płonących, niby dwie szafirowe gwiazdy?! Wśród tych przykrych rozmyślań doszłam do Proreznej i stanęłam na rogu, oparłszy się plecami o jakąś kamienicę. «Hej, pierożki, pierożki! Gorące, domowe smaczne! Kupujcie pierożki! Kupujcie, dopóki gorące!» — tak zachwalałam śpiewnie swój towar.

Od czasu do czasu jakiś przechodzień przystanął, kupił parę pierożków, i wnet poczynał je chrupać na ulicy. Ta detaliczna sprzedaż była niesłychanie nużąca; jednakże nabrałam już rozmachu i wykrzykując z zapałem: «Hej, pierożki, wprost z pieca, nieporównane, przepyszne!! Kto nie kupi, ten pożałuje!!» — szłam powoli po Proreznej w dół, zachodząc cierpliwie do wszystkich kawiarenek, aż wreszcie w koszu została tylko serweta.

— Wiwat! Wiwat! — wołały milutkie inżynierówny, gdy zdyszana stanęłam przed niemi z pustym koszem. Fabrykantki pierożków nasypały mi wnet drugą, wyniosłą porcję pachnących, złocistych ciast. — A teraz w drogę, kochana pani, i niech dalej Merkury potrząśnie tak hojnie swym mieszkiem! — szczebiotały wesoło, wysunąwszy jasne główki przez otwarte okno.

— Przygotujcie trzecią porcję! — odkrzyknęłam zarozumiale, idąc śpiesznie ulicą z ciężkim koszem.

Na W. Włodzimierskiej znałam z dawnych czasów polską kawiarnię. Właścicielka, ujrzawszy mnie w nowej zgoła roli, nie okazała zdziwienia. Każdy z nas pragnął żyć i jeść! W tak wąskiem korycie pożądań i celów zamknęła się rozlewna dawniej rzeka naszego życia, które teraz stało się podobnem do gorączkowego snu, nużącego swą posępnością. Bez wstępów i utyskiwań zaczęłyśmy układać się o cenę i ilość pieczywa. Liczyłam otrzymane pieniądze... Świetnie!! Zostało mi tylko pół kosza! Jakaś młoda osoba wstała od stolika i zbliżyła się ku mnie:

— Wyjdźmy razem — rzekła półgłosem. — Powiem pani, gdzie można najlepiej spieniężyć te wszystkie ciastka.

Zeszłyśmy po kilku schodkach na ulicę. Moja miła nieznajoma obrzuciła mnie przenikliwem spojrzeniem, i nagle wybuchnęła młodzieńczym, zaraźliwym śmiechem:

— Wyborna maskarada! Kostjum niezrównany... naprawdę... Te cery i łaty poprostu rozczulające! Cha cha cha! Już dawno tak się nie śmiałam! Ejże! Czy pani była zawsze roznosicielką chleba?!

— Niekoniecznie — odpowiedziałam równie wesoło.

— I ja tak myślę! Ale dla ogółu charakteryzacja pyszna! Muszę się pani przedstawić! Należę do kapeli, grającej co wieczora w Ogrodzie Kupieckim. Tu obok mamy salę, w której odbywają się codziennie nasze próby. Pewna jestem, iż moi koledzy chętnie zakupią te smaczne pierożki. Czy pani sama je wypieka?

— Nie. Jestem tylko ajentem, i to więcej z musu niż z przyjemności. Niech mi pani wierzy!

Nieznajoma spoważniała i spojrzała na mnie życzliwie:

— Tak?! Sądziłam, że to raczej dla uniknięcia prze-

śladowań... Ale jesteśmy już na miejscu. Proszę za mną, na pierwsze piętro.

Weszłyśmy do niewielkiego pokoju, przylegającego do obszernej sali, zalanej potokami słonecznych blasków. Ruchliwie w niej było i gwarno. Artystów, należących do kapeli, było około 60-ciu, i cała ta brać artystyczna, spacerując po sali, gestykulując żywo, śmiejąc się hucznie, stwarzała tu atmosferę zapomnianej już radosnej swobody. Była to istna wysepka humoru i życia bez troski w ponurem morzu łez i cierpienia. Artystka frunęła w ten tłum, wychyliła główkę to tu, to ówdzie, poszeptała na prawo i na lewo... i po chwili wszyscy artyści otoczyli mnie zwartem kołem, wołając ze śmiechem:

— Hej, koledzy! Brać pierożki *con fuoco!*

— *Forte, fortissimo, presto, prestissimo,* na cztery ręce...— i czyjeś ręce wsuwały się do kosza, chwytając po cztery pierożki naraz.

— A zostawcie tam mnie choć jedynaka, na skosztowanie! — huczał jakiś bas z tylnych szeregów.

— Niema już ani na lekarstwo!! — oznajmiła tryumfująco moja przewodniczka, wywracając kosz do góry dnem

— Prosimy o jeszcze! *Da capo al fine!!* Pani nam przyniesie! Nieprawdaż?! Ale gorące i wonne, jak huryski z raju Mahometa!

— Zamilczcie nareszcie! — starała się przekrzyczeć ten gwar artystka, uradowana takiem powodzeniem.

Pędziłam jak wiatr przez ulice z powrotem do naszej fabryki.

— Żyj nam długo, ajencie szybkonogi, złotodajny! — świergotały na wszystkie tony zachwycone inżynierówny, wyciągając z pieca nowe zastępy przyrumienionych pierożków. Zaniosłam je szybko do sali muzycznej. Usiadłam na

stole w pierwszym pokoju (krzesła tam jakoś nie było), obok mnie artyści uwijali się gwarnie, niby rój pszczół, chrupiąc świeże ciasto.

— Stawiam w zakład pierścień Nibelungów, że pani jest ze wsi. Ten proceder pierożkowy odsłania tajemniczość *incognita* — przekonywał mię któryś wesoło.

— Może i ze wsi, ale lepiej o tem tak głośno nie mówić! — wpadłam mu szybko w słowo i mimowoli oglądnęłam się na wszystkie strony.

— Między nami zdrajców niema! Jak pani sama widzi, jesteśmy szczęśliwemi wyjątkami. Nasi mecenasi sowieccy hojnie nam płacą. Chcą wobec Europy uchodzić za opiekunów wszelkiej sztuki... Hm... dużo dałoby się o tem powiedzieć... W każdym razie jesteśmy nietykalni i niegłodni. Wolno nam nawet ubierać się zbytkownie i żyć dostatnio. Dobre i to wśród ogólnej nędzy...

— Bethovenem i Mendelsohnem zagłuszamy jęki płynące z czrezwyczajki... i tak jakoś żyjemy!

— Ale jak nam ciężko patrzeć na ból innych... — dorzuciła z nagłym smutkiem artystka, która mię tu wprowadziła. — Jak to człowieka upadla, gdy spostrzega nieustannie, że poza obrębem zaczarowanego kręgu, w którym sam stoi, śmierć ściga kryjących się przed nią... Pani może nawet nie odczuwa, jak cieszymy się wszyscy, że możemy wam choć trochę ulżyć w biedzie.

— Do jutra! — żegnali mnie artyści. — Do jutra, i codziennie proszę nam nosić pieczywo na śniadanie. Polecamy się uprzejmej pamięci, jako konsumenci żarłoczni i hojnie płacący!

*

Cały ranek schodził mi w ten sposób na przemyślnych handlowych obrotach, a po obiedzie szłyśmy zwykle z Ha-

neczką na dalszy spacer. Kiedyś, mijając uniwersytet, dojrzałam na murze, okalającym całe terytorjum uniwersyteckie, olbrzymie białe plakaty. Czerwone, sążniste litery zdala rzucały się w oczy. Jakiś komunistyczny prelegent oznajmiał w ten sposób o swoim odczycie, naturalnie bezpłatnym:

«O piękności kłamstwa».

1. Kłamstwo w życiu rodzinnem.

2. Kłamstwo w ustroju społecznym.

3. Kłamstwo, jako podstawa współżycia narodów.

Poszukałam mimowoli wzrokiem, czy obok tej destrukcyjnej apoteozy Zła nie znajduje się wezwanie do składek na pomnik arcymistrza obłudy i kłamstwa, Judasza z Kariotu. W owym bowiem czasie mieszkańcy Tambowa zamyślali już o podobnym pomniku i wkrótce zamiar ten do skutku doprowadzili

Gmach uniwersytecki był szczelnie zamknięty i zamarł w milczeniu. Zgaszono w nim światło wiedzy. *Dołoj gramotnych!! Dołoj intieligientow!!* brzmiały hasła zwycięskiego proletarjatu, a rządzące sfery sowieckie głosiły przekonywująco w gazetach, iż uniwersytet i wyższe uczelnie są zupełnie zbytecznym balastem i że cztero-klasowe ogólne wykształcenie jest jedynem prawidłowem rozwiązaniem kwestji powszechnego nauczania. Oddawna już robotnicy przechwalali się z zarozumiałością nieuków, że mosty i koleje są właściwie ich dziełem, a nie inżynierów, kierujących robotami. Po fabrykach wywożono na taczkach dyrektorów, zrzucając ich na ziemię wśród ogłuszających okrzyków zgromadzonego tłumu. «Ręce» nareszcie doczekały się nadmiernego uznania, podczas gdy «głowę» kopnięto z pogardą!

Losy pięknej kamienicy Kruszewskich, z której wypędzili nas bolszewicy, interesowały mię niezmiernie. Jak pozornie Rosja cała, jak Kresy, zniewolone do tego despoty-

zmem sowieckich władców — kamienica ta zmieniła, rzecby można, duszę. «Oddział Propagandy Komunistycznej», krzyczały u samej góry płomienno-krwiste, olbrzymie litery na białem tle, powtarzając to wyzwanie rzucone światu burżuazyjnemu po czterykroć, w czterech językach: rosyjskim, żydowskim, ruskim i polskim. Na dole, gdzie dawniej mieścił się magazyn wykwintnych mebli Szczerbińskiego z Warszawy, widać było przez wspaniałe wystawowe witryny góry książek treści komunistycznej, których okładki, wraz z portretami Lenina, Trockiego i wszechświatowych wodzów komunizmu, rozwieszone były na całej wysokości tafli szklanej w umiejętnie dobranych zestawieniach i grupach.

Dla analfabetów znalazła ruchliwa i baczna propaganda bolszewicka inny sposób uświadamiania. Zarówno w oknach tej Macierzy komunistycznej, jak i na ścianach domów, gdzie mieściły się wszelkie urzędy sowieckie, wywieszano płótna malowane olejno lub też kolorowe ryciny, przedstawiające znienawidzonych «pomieszczykow», carskich generałów i duchowieństwo rosyjskie w sposób mający uzmysłowić niesłychaną krwiożerczość i potworne postępowanie tych wyrzutków społecznych wobec ciemnych warstw ludności. Obrazy te wywoływały tłumiony (ze względów ostrożności) śmiech u tych, co mieli bodaj najlżejsze pojęcie o perspektywie i anatomji, tak koncepcja była naiwna, a pendzel twórców — prostaczy. Proletarjat zaś, przesycony nieustanną naganką na «burżujów» — znacznie wytrzeźwiał i rozważał, czy rządy Sowietów są istotnie tak wielkiem szczęściem. Nie chciał jednak stanowczo powrotu «panów», ani dawnych porządków, i wciąż z całą ufnością i niecierpliwością zarazem wyczekiwał ziszczenia się tego rozkosznego ustroju, który mu tylekroć obiecywali przedrewolucyjni agitatorzy. Nieśmiertelne *panem et circenses*, zmienione w żądzę swobody

i próżniactwa, huczało w piersi tego ludu, idącego w ciągu tylu wieków tak kornie w zaprzęgu wiecznej pracy i ciemnoty, nie znającego prawie różnorodnych radości i upojeń życia.

Kiedyś, przechodząc koło znacjonalizowanej kamienicy Kruszewskich, zobaczyłam stojącego w bramie dawnego portjera, który pozostał na miejscu. Uśmiechnął się do mnie życzliwie i skinął ręką zapraszająco:

— Może chcecie wejść do wnętrza, towarzyszko?!—(było w tym zwrocie nieco drwiącego nacisku). — Drzwi wszędzie otwarte, zobaczycie nowe porządki!

Weszliśmy razem do klatki schodowej. Wspaniałe, marmurowe schody były zaplute i brudne do tego stopnia, że wyglądały jak szara mozaika, okna zasnute pajęczynami. Zewsząd, przez pootwierane drzwi, niósł się gwar głosów, z jednego piętra na drugie biegali po schodach zdyszani pracownicy, przeskakując często po trzy stopnie naraz.

— Widzicie, towarzyszko! Jak pracują, a jak plują!! A nie dadzą mi wymyć ani okien, ani schodów. «Burżujskije wydumki!» mówią. A mnie z tem i lepiej! Zresztą ktoby już domył się tych brudów?! — wzruszył ramionami wzgardliwie.

Weszłam do wykwintnego mieszkania eks-właścicieli. Pełno tu było urzędników, wyłącznie żydów, zajętych pracą przy biurkach, lub też rozprawiających z niesłychanym ferworem i charakterystycznym, gardłowym akcentem o sprawach, związanych z ich zajęciem. Słowo «towariszcz» latało po tych pięknych salonach prawie bez przerwy, niby piłka footbalowa, odbita zawsze w powietrzu przed dotknięciem ziemi. Zewsząd bił zapał, szczery, niekłamany, nie dający się kupić, ale wypływający z poznania własnych korzyści lub też z przekonania. Moja obecność nie zwróciła niczyjej uwagi,

do tego stopnia wszyscy urzędnicy pochłonięci byli swą pracą. Po kątach stały drewniane paki, naładowane po brzegi bibułą komunistyczną. Zachodziłam do innych mieszkań kolejno. Wszędzie taż sama gorączkowa, wytężona działalność, ruchliwa, mrówcza, imponująca tem maximum wkładanego wysiłku i sumienności. Tak się przedstawiało owe potężne ognisko propagandy komunistycznej, promieniujące na całe Kresy. Tu koncentrowały się czynności wszelakich «jaczejek», agitatorów i ajentów na żołdzie bolszewickim. Tutaj pociskano sprężyny, mające wywołać wybuchy niszczące dotychczasową kulturę świata. Z tego podwórza wyjeżdżały często olbrzymie platformy, naładowane pakami z literaturą komunistyczną. Wieziono je na dworzec, a potem szły w świat, w szeroki świat!...

. . . .

Ustrój komunistyczny stał się faktem w Rosji i na Kresach, a my wszyscy uczuliśmy się nowymi ludźmi wśród zmienionych radykalnie warunków. Mieszkania były z umysłu niedbale utrzymywane, sprzęty nieokurzane, froterowanie posadzek poszło w zapomnienie. Im większe ubóstwo, połączone nieodzownie z niechlujstwem, rzucało się w oczy, tem pewniej można było uniknąć prześladowań. Cała inteligencja zmieniła również zewnętrzny swój wygląd. Najwyższe zaniedbanie w ubiorze, plamy, łaty, nawet dziury — były cechą nowych prądów, do których stosowaliśmy się ogólnie z łatwo zrozumiałych względów ostrożności. Nawet czas i zegary musiały ulec wszechpotężnej woli rządu, który wydał rozkaz przesunięcia wskazówek o trzy i pół godziny naprzód, tak, że wszyscy pracujący zmuszali się do snu o właściwej 7-ej, albowiem nazajutrz zajęcia urzędowe i prywatne rozpoczynały się o 8-mej sowieckiej, i o świcie ulice Kijowa roiły się od ludzi, śpieszących w różnych kierunkach. Życie po-

dobne, wbrew normalnym przyzwyczajeniom, było nad wyraz ciężkie—odczuwano też zmęczenie i niewyspanie, doprowadzające do ogłupienia. Toteż osaczeni i dręczeni ludzie mieli tylko jedną myśl, jedno pragnienie: zamaskować się, uniknąć prześladowań, wyrzec się powierzchownie kulturalnej przeszłości, wmieszać się w szary tłum, roztopić się w nim, skryć się przed czujnem okiem terrorystów! W sztuce zacierania śladów przeszłości dochodzono do mistrzostwa. Prawnik kijowski Z. stał się przewoźnikiem i zamieszkał wraz z kolegami w ubogiej lepiance nad Dnieprem. Wynajęli łódź i przetrwali pomyślnie bolszewickie czasy, nie zaglądnąwszy ani razu do miasta. Kazimierz Giżycki, ziemianin z Podola, przy wypełnianiu kwestjonarjusza podał się za nauczyciela języka francuskiego. Następnie zmieniał kilkakrotnie wynajmowane pokoje, wpadając w coraz to nowe otoczenie, wreszcie, jak sam mówił, zgubił siebie i zapomniał, kim był poprzednio i skąd pochodził. Tylko prace szkolne szły w zimie z niebywałą sprawnością. Dzieci nasze dojrzały przedwcześnie w tych ciężkich warunkach, a życie oddało im nieocenioną przysługę, wpajając w młode serca i głowy poznanie istotnej, prawdziwej wartości człowieka, panującego nad okolicznościami rozumem i mocą charakteru.

W rzeczywistości rola inteligencji, tak polskiej, jak rosyjskiej, jako przodowniczki ludności cywilnej, była w tym okresie bolszewickiego panowania niesłychanie trudna i upokarzająca. Zaskoczona znienacka nieprzewidywanym rozmiarem terroryzmu nowych rządów, nie mogąca przeciwstawić im jakiegoś jednolitego (przynajmniej moralnego) frontu wobec szpiegostwa, wdzierającego się wszędy nakształt powietrza lub wody, inteligencja i klasy do niedawna posiadające miały do wyboru dwie tylko drogi: maskować się i chować—lub też być posłusznymi aż do upodlenia. O zbrojnym opo-

rze mowy być nie mogło wobec rekwizycji wszelkiej broni przez przewidujących przyszłość bolszewików. Czytaliśmy tedy w *Izwiestjach* z goryczą i bólem artykuły wstępne, piorunujące na chowających się «burżujów», lub drwiące z nich w najbezczelniejszy sposób w takich zwrotach:

«Przekonaliśmy się z radością, po wielu próbach i doświadczeniach, do jakiego stopnia zgnilizna moralna panuje wśród burżuazji naszej! Stwierdzić dziś możemy z najzupełniejszą pewnością, że gdyby rząd ogłosił nakaz stawienia się burżujów pewnego dnia, o naznaczonej godzinie w celu otrzymania po sto rózeg w odpowiednich komisarjatach — to wszędzie we wskazanych miejscach potworzyły-by się imponujące ogonki z burżujów, czekających pokornie na wykonanie wyroku!»

I któż takie gromy rzucał? Kto tak pluł w twarz nieszczęsnej inteligencji? Czyż naprawdę przemawiali tak wzniośli obrońcy praw ludu, pragnący wynagrodzić mu dotychczasową ciemnotę, wprowadzając w życie mądrą i liberalną konstytucję, która poprowadziłaby Rosję i naród cały do niebywałego rozkwitu!

Sowiecką Ukrainą, połączoną wówczas federatywnie z sowiecką Rosją, rządzili trzej komisarze ludowi: Rakowskij, Manuilskij i Piatakow. — Rakowskij, żyd węgierski Lander, przyjaciel osobisty Beli Kuhna, uchodził za wytrawnego aferzystę. Ludzie świadomi rzeczy twierdzili, iż posiadał olbrzymi majątek w brylantach, skupionych za bezcen po rewizjach i rekwizycjach czrezwyczajki. O działalności z przekonania lub dla idei mowy tu być nie mogło.—Manuilskij, adwokat z Moskwy, ambitny karjerowicz, uważał komunistyczne zasady za drabinkę dla dojścia do władzy. Ten jednak bardziej był ludzkim niż inni i — jak mówili ci, co mieli z nim do czynienia lub odeń byli zależni —



Czarnokozińce nad Zbruczem ongi własność biskupstwa Kamienieckiego.

XIV



Podfilipie nad Zbruczem maj. W. z Ochockich Darewskiej.



Iwachnowce St. Czerwieńskiego.

Fot. K. Dunin-Borkowski.

«miał serce». — Piatakow, syn przemysłowca, poprzednio nihilista z przekonań, chyba tej negatywnej zalecie zawdzięczał swe wyniesienie, albowiem był typowym, rosyjskim «niedouczkiem», co oznacza umysłowość skłonną zarówno do ostateczności w poglądach, jak do przesady i zarozumiałości w czynach. Tępość uporu jest u takich ludzi nie do zwalczenia. — Łatis, naczelnik czrezwyczajki, Łotysz z pochodzenia, dałby się zdefinjować w dwóch słowach: zwierzę ludzkie.

CZREZWYCZAJKA.

«Czrezwyczajna komisja dla walki ze spekulacją i kontrrewolucją». — Tak powstała, tak poważnie i dostojnie przezwała się owa później osławiona i dreszcz grozy budząca czrezwyczajka, której nazwa wymawiana półgłosem rozlegała się w sercach i uszach słuchaczy jak wibrujący, pogrzebowy dzwon. Rządzili w niej komisarze, prawie wyłącznie żydzi, zwani ogólnie czekistami. Oficjalnie były dwie czrezwyczajki: Gub-Cze-Ka, czyli gubernjalna czrezwyczajka, w domu dawniej gubernatorskim, i Ukraińska Cze-Ka. Obie zapisały się w mózgu i sercu nieszczęsnej ludności Kijowa jako miejsca tortury, zbrodni, pastwienia się zwyrodniałych oprawców nad gromadami bezbronnych, skutych przerażeniem ofiar, i cierpień ponad wszelką miarę! A działalność czrezwyczajki na wiosnę 1919 roku poczęła zataczać coraz szersze kręgi i, jak polip, chwytając swemi mackami zrazu tylko wojskowych lub też czynnie występujących przeciwników sowieckich rządów — wyolbrzymiła swe ramiona, dosięgając niemi winnych i niewinnych. Częste też ciosy zaczęły padać w kole naszych znajomych.

Zwalczane dawniej namiętnie carskie rządy wydawały się nieraz jakąś cichą przystanią w porównaniu z tymi fa-

natykami despotyzmu, z tymi zdegenerowanymi mordercami, od których los nasz teraz zależał. I za caratu karano okrutnie, lecz wiedzieliśmy jasno, jakich czynów unikać należy, jeśli się pragnie żyć spokojnie. Tu zaś karano za wszystko i za nic. Skazywano ludzi na śmierć, bez sądu, bez obrony, podając jako przyczynę uwięzienia i rozstrzelania posiadanie dóbr ziemskich lub nieruchomości miejskiej. Tytuły kontrrewolucjonistów i szpiegów polskich były jeszcze łatwiejsze do uzyskania. Nie było nawet mowy o obrońcach prawnych. Sądem był czekista, wyrokiem — kula, obrońcą — Bóg! Jedynie żonie i dzieciom wolno było starać się o uwolnienie więźnia, błagać o litość, czynić wszelkie wysiłki, aby się dobić wreszcie wolności dla swych najbliższych lub też dowiedzieć się o ich zamordowaniu. Pomagała niekiedy odpowiednia kontrybucja, prywatnie, chyłkiem doręczona, ale środek to był zawodny i obosieczny. Oddawano bowiem nieraz nieszczęsnej żonie okup, wzięty jeszcze onegdaj, oznajmiając z nieludzką surowością, iż więzień już został rozstrzelany «za usiłowane przekupstwo.» — A śmierć była tu istotnem wyzwoleniem wobec mistrzowskiej modulacji męczarni.— «Nieszczęśni, porzućcie tu wszelką nadzieję!» Jak nad bra mami piekieł dantejskich, napis ten winien był gorzeć ogni stemi znakami nad czrezwyczajkami, których były setki w ca łem dawniejszem, olbrzymiem imperjum rosyjskiem, a tym czasem ból i męka ponad siły ludzkie ryły je i wykuwał w sercach tych, co przestąpili progi katowni, i tych, co bę dąc jeszcze na swobodzie, drżeli o los ukochanych, zamknię tych w krwawych miejscach tortury. Toteż taki system wy rafinowanych katuszy, takie szarpanie żywego ciała społe czeństwa całego, mogła obmyśleć i w czyn wprowadzić tylk okrutna i odwieczna, fanatyczna i mściwa nienawiść rasowa i wy znaniowa, a czrezwyczajki, ze swymi tajemniczymi, stojącyn

ponad wszelką władzą kierownikami, były, są i pozostaną na zawsze hańbą ludzkości.

Sytuacja nasza pogarszała się z szybkością piorunową, albowiem, niby jaskółki na wiosnę, przyleciały do Kijowa w owym czasie—niewiadomo skąd, niewiadomo jakiemi szlakami biegnące—radosne wieści, iż wyzwolenie już bliskie! Na południu Rosji «Dobrowolna Armja» pod wodzą gen. Denikina bije zastępy Czerwonych, kraj oczyszcza od uzurpatorów, a są w niej sami tylko patrjoci, dający bohatersko swe życie za zgniecenie ciemięzców! Anglicy i Francuzi zasilają te szeregi Odnowicieli bronią i pomocą pieniężną. Admirał Kołczak uczynił już z Syberji kraj wolny, błogosławiący wybawców. Generał Judenicz ciągnie ze swą armją ku Piotrogrodowi. Czerwoni władcy, z trzech stron osaczeni, głosili zuchwale w gazetach, że jeśli «białogwardiejska swołocz zmusi ich do opuszczenia Rosji, to odchodząc drzwi za sobą zatrzasną z taką siłą, aż echo rozlegnie się po całej Europie!» Nadzieja wydostania się z pod rządów terroru podtrzymywała siły nasze, ale jednocześnie bolszewicy mścili się na niewinnej ludności cywilnej Kijowa, zapełniając więzienia i czrezwyczajki ofiarami z różnych warstw społecznych.

Jednym z pierwszych Polaków zabranych przez czrezwyczajkę był p. Stanisław Orlikowski. Wrażenie i zdumienie społeczeństwa naszego nie miało granic. Przecież ten obywatel prawy i rozumny nie był ani spekulantem, ani wojskowym, tem mniej spiskowcem! Za jakie winy został tedy tak srodze ukarany?! Okazało się, iż rząd nałożył haracz kontrybucyjny na dobra burzańskie, należące do spadkobierców Andrzeja Potockiego. P. Orlikowski, jako administrator i przedstawiciel nieobecnych, wezwany został do uiszczenia podwójnej kontrybucji: za swych mocodawców, jako właścicieli, i za siebie, jako długoletniego kierownika

znacznej fortuny. Przedstawienie istotnego stanu rzeczy i pustki w kasie wobec skonfiskowania i ruiny majątków nie wywarły żadnego skutku. Logiki tych faktów nie uznawał krwawy rząd. Zabrano tedy upartego «kontrrewolucjonistę» do czrezwyczajki, a dla rozrywki i zapełnienia czasu pozwolono mu walczyć w samotności z wszami, które opanowały go całem mrowiem. Ten zupełnie pospolity, a przytem niedrogi rodzaj męczarni był tak dotkliwy, iż — jak potem twierdził skazany — lepszą byłaby kula w głowę, przecinająca odrazu życie, niż te gromady chciwych krwi pasorzytów.

Żona i córki, energiczne i przedsiębiorcze, rozpoczęły natychmiast zabiegi i starania w celu jak najprędszego wyzwolenia aresztowanego. Poszły do czrezwyczajki. Żołnierz stojący na warcie wpuścił je do środka. Wyszedł jakiś komisarz.

— Wasze nazwisko? W jakiej sprawie tu przyszłyście?

— Orlikowskie. Chciałybyśmy widzieć się z więźniem.

— Orlikowskie!! Hm... tak... Wiem o co chodzi. Wymyjcie pierwej podłogę w całej czrezwyczajce.

Pani Orlikowska nie mogła powstrzymać okrzyku zdziwienia: — Co?!... — lecz opanowała się w mgnieniu oka:

— Gdzież są wiadra i ścierki?! — rozglądnęła się dokoła obojętnie.

W ciągu dwóch dni szorowała z córką zabłocone podłogi w piętrowej czrezwyczajce, poczem pozwolono im wrócić do domu.

Było wogóle niesłychanie charakterystycznym i ciekawym objawem, iż jedynie zimna krew, hart ducha i odwaga prześladowanych lub uwięzionych łagodziła nieco okrucieństwo czekistów. Przeciwnie — łzy, rozpacz, czołganie się moralne wobec terrorystów podniecały niejako ich zdegene-

rowaną chęć tortury, ich chorobliwą ciekawość tak różnorodnych przejawów ludzkiego bólu.

Zabrano do czrezwyczajki nauczycielkę W., Rosjankę. Syna jej podejrzywano o sprzyjanie «Dobrowolnej Armji». Codziennie, w przeciągu sześciu tygodni, stawiano ją na całą noc przed okienkiem:

— Tędy przechodzą więźniowie, prowadzeni na rozstrzelanie. Przypatruj się im bacznie! Między nimi będzie i twój syn...

Nieszczęsna matka ze śmiercią w duszy oczekiwała co nocy nadaremnie, kiedy syn jej pójdzie na śmierć. Nie wiedziała o tem, iż umknął z Kijowa i w czrezwyczajce go niema. Nasyciwszy się widokiem jej męki, czekiści wypuścili ją na wolność, jako osiwiałą, złamaną życiem i niezdolną do pracy staruszkę.

Nowa wieść zelektryzowała wszystkich: Naumenko, dyrektor gimnazjum dla chłopców, w czrezwyczajce! Był to działacz społeczny, kochający młodzież i wzajem przez nią kochany. Kijów drżał ze zgrozy. Żadnych poszlak czynów karygodnych, nawet w pojęciu bolszewickiem, przeciw niemu nie było. Na wszystkie prośby, zabiegi bliskich lub dalszych, przedstawienia, że to człowiek niewinny, szlachetny, przyjaciel młodzieży, odpowiadano z okrutną obojętnością:

— Takich właśnie nam trzeba. Tylko takiemi ofiarami wzmacnia się znaczenie terroru!

Rozstrzelano wreszcie Naumenkę. Echo tej tragicznej śmierci rozległo się posępnie we wszystkich sercach, a przerażająca pewność, iż niejednego spotka podobny koniec, zawisła jak czarna chmura nad całym Kijowem.

Tymczasem Denikin zwycięskim marszem, pędząc przed sobą cofających się Czerwonych, szedł na północ, zbliżając się do Kijowa. Dzień każdy przyśpieszał nasze wyzwolenie, a jedno-

cześnie wzmagały się ciosy czrezwyczajki. Życie rzuciło nam groźne pytania i nie mniej groźne wyroki. Ale Kresowcy się nie ugięli. Jak iskry, sypiące się z pod młota spadającego na rozpalone żelazo, zajaśniały w ponurej ciemni dni naszych tysiączne dowody miłości rodzinnej, niezliczonych poświęceń, iście bohaterskich odruchów. Zalewał nas potop rewolucji, fale piętrzyły się wokół z nieubłaganą zachłannością, a my wszyscy, gotowi w każdej chwili iść jedni za drugich na ofiarę, wołaliśmy ostatkiem sił, wznosząc błagalnie dłonie:

— Bierz życia nasze!!... Tylko ich... tylko tych naszych najdroższych uratuj nam, Panie!!...

Ludzie chodzili spłoszeni, znękani, a znajomi, spotkawszy się na ulicy, mówili ostrożnym szeptem: — Wiecie?!... Była rewizja u Henryka Wilczyńskiego (znany i ceniony prawnik kijowski). Zabrano go do czrezwyczajki!! Syn, zmarły przed rokiem, należał do skautów...

I ci, co się dowiadywali o nowem nieszczęściu w polskiej rodzinie, i ten, co szeptał te informacje, patrzyli sobie w oczy z niemem przerażeniem:

— Straszne! Niepojęte! Bujne żniwo ma terror! Karzą żywych i umarłych!!... — poczem rozchodzono się w dwie strony, nie wiedząc, co kogo czeka za chwilę...

«Nie wiecie dnia ani godziny!!» — Oto jaką potworną myśl narzucono terrorystycznie społeczeństwu, które żyło jak pod obuchem, szarpane nieustanną trwogą, czy dzień dzisiejszy nie jest ostatnim dniem wolności, i jaką nową, okrutną zbrodnię przyniesie następna godzina! Ściany czrezwyczajek rozszerzać się musiały przed coraz to nowemi ofiarami, wybieranemi zarówno z Polaków, jak z Rosjan. Przez krwawe sita przesiewano coraz to nowe istnienia.

— Wczoraj była rewizja u księży naszych...—szeptano ze zgrozą.—Już są w czrezwyczajce!!

— Lecz za co?! Za co?!... Cóż im zarzucają?... Jakie dowody winy? — pytano z rozpaczą.

— Księdza Tuszyńskiego wzięto za to, że był kierownikiem skautów... Innych — Bóg tylko wie, dlaczego podobny los spotkał...

— Zaprzęgają ich do beczki z wodą! Muszą wozić wodę po całych dniach! Pośrodku jakiś eks-ziemianin, a po bokach dwaj księża...

— Bolesław Kraczkiewicz w czrezwyczajce! Dyrektor cukrowni, burżuj!

— Szukają gwałtownie członków «Komitetu Wykonawczego na Rusi»...

— Czekiści postanowili wyłowić wszystkich, należących do dawnej Macierzy Szkolnej...

— List z Polski, najmniejszy świstek papieru z Polski, wywołuje podejrzenie o szpiegostwo...

— Za fotografię legjonisty, znalezioną przy rewizji — rozstrzelanie!...

— Przywieźli kilkunastu zakładników z Odessy. Każą im myć dworzec i czyścić klozety!!... Wywożą ich do Moskwy na zimę, a wzięli z mieszkań tak jak stali, bez ciepłych ubrań, bez rzeczy! Są i kobiety między nimi...

— Kijowskich zakładników wywiozą również! Podobno ma iść Kraczkiewicz, Wilczyński, Horwatt, Kumanowski... W Czerwonym Krzyżu jest już spis zakładników...

W *Izwiestjach* zaczęły się pojawiać codziennie spisy rozstrzelanych w czrezwyczajkach, z lakonicznem wyjaśnieniem, czem dawniej trudnił się skazaniec, lub też co posiadał. Służyło to za akt obwinienia. Dodawano również niekiedy tchnące nienawiścią określenie: «kontrrewolucjonista».

«Dzisiaj ty, a jutro ja!» — uparta myśl przepełniała obolały mózg i ściskała beznadziejną męką serce. Doznawa-

liśmy ogólnie wrażenia, że ściany domów naszych są szklane, że argusowe oczy czekistów widzą wszystko, co się u nas dzieje, że nie istnieją ani zamki, ani obrona przed mogącą lada chwila wtargnąć rewizją i splondrowaniem mieszkania.

Nagle nowa, straszna pogłoska obiegła w okamgnieniu całe miasto. W nocy była niespodziewana rewizja u pani Linzenbarth. Natrafiono na ślad Polskiej Organizacji Wojskowej, znaleziono broń w znacznej ilości i zaaresztowano ośmnastoletnią córkę pani L. Wobec formacyj wojskowych angielskich na Murmaniu, stworzonych w celu walki z bolszewikami, i wobec przedzierania się do nich naszych bohaterskich żołnierzy, jako sprzymierzeńców koalicji, nienawiść władz bolszewickich do tajnych związków wojskowych polskich była wprost niepohamowana. Najlżejsza poszlaka sprowadzała nieodwołalnie wyrok śmierci. Nieopatrzna Linzenbarthówna, nie należąc do Organizacji Wojskowej, zatelefonowała z jakiejś cukierni, iż chętnie weźmie broń na przechowanie, a system szpiegowski, znakomicie przystosowany do okoliczności, wykrył natychmiast jej ślady i doprowadził czekistów do mieszkania. Rewizja była skończona. Zabierano broń i dziewczynę do czrezwyczajki. Matka splotła ręce, wyciągnęła je przed siebie, i tak trwała w osłupieniu, patrząc na wszystko, co się przesuwało przed jej oczami. W tej jednej godzinie jakieś nielitościwe wyroki skazały jej córkę na męczarnię i śmierć. W tej godzinie i ona uczuła, iż ciężar życia jest nad jej siły.

— Bierzcie i mnie! — rzekła rozkazująco. — Ja ją tak wychowałam, ja ją nauczyłam kochać swój kraj! To ja jestem winna, i chcę pokutować!

Wzięto tedy obie do czrezwyczajki. Dochodziły nas wieści, iż dręczono to młodziutkie stworzenie w najokrutniejszy sposób, chcąc wyrwać zeznania co do związkowców.

Długo męczono ją, a cały Kijów drżał z obawy: Wyda, czy też nie wyda nazwiska tych, co u niej broń złożyli?

Wydano wreszcie wyrok śmierci. Wyprowadzono obie ofiary na podwórze czrezwyczajki. Skierowano na nie lufy karabinów. Wówczas, w tej chwili ostatniej ziemskiego istnienia, splotły się ramionami. Tak je rozstrzelano, tak znaleziono przy odkopywaniu ofiar za czasów Denikina, i tak je pochowano we wspólnej trumnie [1].

W PUŁAPCE.

Że istniała w Kijowie organizacja polska, zajmująca się prawie od pierwszych chwil wolności tworzeniem armji polskiej, wyodrębniając ją z ogólnych szeregów dawnych, cesarskich wojsk — wiedzieliśmy o tem wszyscy, ale w owym czasie działacze dobrze byli zakonspirowani i nazwiska ich znali tylko wtajemniczeni. Wskutek przyjaźni mojej z p. Anną Roszkowską, która czynnie i gorliwie w organizacji tej pracowała, omal nie doznałam losu nieszczęsnej Linzenbarthówny. Pomimo najwyszukańszych męczarni, nie byłabym jednak w możności dać nawet drobnej wskazówki, nie mając pojęcia, kto do organizacji należy.

Annę Roszkowską znałam oddawna. Widziałam nieraz, jak niosła do niewymienianych nigdy mieszkań ubrania cywilne i jakieś dowody osobiste dla żołnierzy naszych, przedzierających się na Murmań. Wiedziałam również, że nie szczędziła ani sił, ani trudów, ani też dbała o życie własne, gdy szło o przeprowadzenie umiłowanej przez nią idei stworzenia armji narodowej. Wogóle stwierdzić mogę bezstronnie, że oddawała się sprawie polskiej z rzadkim zapałem i ofiarnością. Szaleństwem wręcz z jej strony — chociażby ze

[1] Przed śmiercią obie były męczone.

względu na antysowiecką swoją działalność — było oczekiwać w Kijowie przyjścia bolszewików. Przyjaciele i znajomi namawiali ją niejednokrotnie, aby wyjechała do Polski za rządów Petlury, lecz miała zapewne jakieś ważne powody, dla których, na swoje nieszczęście, została. Z początku rząd bolszewicki nie zorjentował się, że Roszkowska należy do Związku Wojskowego Polaków. Mąż jej był urzędnikiem, mieszkanko na szóstem piętrze skromne i małe, — więc nawet nie dręczono ich zbytnio rewizjami.

Powoli bolszewicy rozejrzeli się w sytuacji politycznej, jaką zastali, i natrafili snadź na jakiś ślad działalności Roszkowskiej, bo prosiła mię, abym zaprzestała wszelkich odwiedzin, dodając:

— Dobierają się do mnie na dobre! Muszę się mieć na baczności. Za kilka dni ma być u nas rewizja, ale nie znajdą najmniejszego świstka: ja wiem o wszystkiem, co się u nich dzieje!

Nie powiedziała mi, jaką drogą dostają się do niej tak dokładne informacje. Może u góry, przy rządzie lub w czrezwyczajce, był jakiś nowożytny Wallenrod, który dla dobra sprawy ryzykował życie?

W swych wyrachowaniach spóźniła się o dzień tylko jeden i omal nie wpadla, a za nią i my, we troje, do zastawionej pułapki. W parę dni po mojem ostatniem widzeniu się z Roszkowską przyszedł do nas ktoś ze znajomych i prosił, abym ją uprzedziła, że ma «zwiać» i nie nocować w domu, bo mają ją aresztować i wziąć do czrezwyczajki. Zabrałam z sobą Haneczkę i poszłam na Nestorowską z zamiarem zajścia tylko na chwilkę do p. Anny. Jednocześnie, wobec powtarzających się coraz częściej rewizyj, postanowiłam wynieść z mieszkania prawnie sporządzone opisy Lemieszówki, Raczek i Przytula, podające wielkość i stan bu-

dynków, ilość inwentarzy, urządzenie wewnętrzne i wymiar posiadanej ziemi. Za czasów względnie jeszcze spokojnych, czyli za rządów Kiereńskiego, robiliśmy wszyscy podobne opisy, spodziewając się już rozruchów i pragnąc w tej formie określić ówczesną wartość naszych majętności. Myśleliśmy, że jakiś mocny, konstytucyjny rząd, który niezawodnie przyjść musi, zapłaci nam za straty, gdybyśmy je ponieść mieli. Haneczka niosła te ważne papiery w siatkowym woreczku razem z książką i lalką. Wyglądało to zupełnie niewinnie. Papiery te chciałam potem odnieść do ciotki mojej Jadwigi Iwańskiej, podającej się za nauczycielkę i swoim skromnym pokoikiem nie ściągającej na siebie żadnych podejrzeń. Ponieważ mieszkanie Roszkowskich było na szóstem piętrze, a winda oddawna już nie działała, więc, żałując nóżek Haneczki, kazałam jej zaczekać na podwórzu, a sama, nie podejrzywając najlżejszego nawet niebezpieczeństwa, zaczęłam się wspinać po niezliczonych zakrętach wąskich schodów.

Tchu mi brakło, gdy postawiłam wreszcie nogę na ostatnim stopniu. Przedemną — wprost, były drzwi frontowe mieszkania Roszkowskich, tuż obok, na lewo, w ścianie pod kątem prostym — drugie maleńkie drzwi od kuchenki, wynajętej profesorowi z Warszawy, który, urządziwszy sobie w niej pracownię szewską, bronił się w ten sposób od prześladowań bolszewików i od nędzy. Z góry, przez dach, w tem miejscu oszklony, padało jasne światło do klatki schodowej. Nagle dojrzałam ze zdumieniem przed mieszkaniem Roszkowskich liczne, splątane ślady zabłoconych stóp...

— Była już pewno rewizja... niewarto zachodzić! — przemknęło mi przez głowę. Zaczęłam zstępować w dół, lecz po chwili zatrzymałam się... Szło tu przecież o życie ludzkie, i to osoby, która tyle razy gotowa była swoje od-

dać dla idei! Podeszłam po raz drugi do drzwi, ale przez ostrożność zapukałam do szewca. Dość długo trwała cisza... wreszcie posłyszałam szybkie kroki w przedpokoju, drzwi się otwarły... i stanął w nich żyd, komisarz z czrezwyczajki.

Straszna myśl: «Złapana!» jak zygzak ognisty przeleciała mi przez głowę i wstrząs wewnętrzny przeszył mię całą... Jednocześnie odrazu wiedziałam, że tylko zimna krew i odwaga mogą mię wyrwać z tej okropnej pułapki. Chwilę tak staliśmy, milcząc, naprzeciw siebie. Komisarz, niby tygrys, czekający na upatrzoną ofiarę, i ja — zaplątana już w zdradziecko zastawioną sieć.

— Wejdźcie! — rzekł komisarz krótko.

Szalonym wysiłkiem woli nakazałam sobie psychologję i postępowanie osoby, która przyszła li tylko do szewca i o niczem więcej nie wie.

— Powiedziano mi u stróża, że szewc mieszka na lewo, więc do tamtych drzwi pukałam. Co się stało? Czy on się już wyprowadził?

— Do szewca?! Może to być, lecz wejdźcie tu! — powtórzył nakazująco komisarz.

Weszłam powoli i natychmiast zatrzymałam się w przedpokoju, niby nie wiedząc, w którą stronę mam iść. Komisarz wprowadził mnie do saloniku i wskazał drzwi na lewo:

— Tam mieszka szewc — rzekł sucho.

Weszłam do kuchenki i zaczęłam po rosyjsku tłumaczyć, o co mi chodzi. Targowaliśmy się zapamiętale o cenę. Graliśmy role nasze — oszczędnej klientki i szewca-wyzyskiwacza — z talentem, godnym najpierwszych artystów świata. I nie dziw. Podnietę mieliśmy nielada! Na progu stał komisarz i słuchał bacznie nietyle treści naszej rozmowy, ile jej tonu i formy.

Wychodziłam z kuchenki swobodnie, kończąc jeszcze na progu ostatnie zdanie:

— A pamiętajcie jak najprędzej te podeszwy naprawić, bo to moja jedyna para!

Wtem przez salonik przeszedł siostrzeniec Roszkowskich... Zamarło we mnie serce. Jedno drgnienie twarzy... przestrach w oku... i jestem zgubiona! Patrzyłam nań obojętnie... jakaś nieznana figura! — a on minął mnie, niby nic nie obchodzący go sprzęt.

Skinęłam głową komisarzowi, kierując się do wyjścia, lecz on zatrzymał mnie ruchem ręki:

— Idźcie za mną! — rzekł surowo, i otworzył drzwi do sypialnego pokoju Roszkowskiej.

Ach, biedny, biedny pokoik! Taki maleńki, a tak miły, tak czysty przed kilku godzinami zaledwie!... Teraz... pełen śladów dzikiej, bezlitosnej rewizji! Szafa otwarta i pusta zupełnie... poduszki podarte... materace pocięte szablami... szuflady biureczka połamane na kawałki... chaos nie do opisania... Pastwiono się tu nad wszystkiem, szukając tajnych dokumentów lub spisów działaczy.

Komisarz zasiadł na fotelu, odwrócony od okna, ja zaś stanęłam naprzeciw niego w jasnem świetle letniego, słonecznego dnia.

— Nie mogę was stąd wypuścić! — rzekł, patrząc na mnie tak przenikliwym wzrokiem, jakgdyby chciał wydobyć prawdę z dna mojej duszy. — Mam rozkaz aresztowania każdego, kto przyjdzie do tego przeklętego mieszkania.

Struchlałam, lecz pomimo to wzruszyłam pogardliwie ramionami:

— A to sobie aresztujcie, kogo wam się podoba, towariszcz, ale nie mnie! Przecież pukałam do szewca. Mów-

cie co chcecie, a ja nie wierzę, aby tak karano za dziury w podeszwach! Popatrzcie sami... Widzicie?...

Nawet złowrogi komisarz uśmiechnął się leciutko i musiał pomyśleć, że nielada baran z ulicy wpadł mu do rąk!

— Wszystko to głupstwo... ale najgorzej, że niema jej! — zawołał w nagłym przypływie pasji, i płowe, niebezpieczne błyski zaigrały mu w oczach.

— Kogo niema? — pytałam ze zdumieniem.

— A tej, tej kontrrewolucjonistki... tej białogwardzistki przeklętej, tej «szpionki» polskiej!! Uciekła nam pticzka! Ale to nic. Dostaniemy ją z pod ziemi. Popamięta ona nas jeszcze! Gdzie ona?! — zwrócił się do mnie z nowym wybuchem wściekłości. — Mówcie! Wy wiecie napewno!! To jakieś bajki... głupie podstępy, ten szewc, to łatane obuwie! Przyznajcie się natychmiast! Słyszycie!!

Stało się! Na nic wykręty... na nic zimna krew! Niema ratunku!...

Zebrałam w sobie całą moc ducha, wysłałam strzelistą, błagalną myśl: Boże... ratuj! — i rzekłam powoli, dobitnie wymawiając każde słowo:

— Nie wiem, czy wy wierzycie w Boga... ale ja — wierzę. Wobec tego Boga, który nas widzi w tej chwili i tak, jak przed śmiercią, przysięgam wam, że nie wiem, gdzie jest ta, której szukacie, i nie wiem, co się z nią stało! A teraz... aresztujcie mnie, jeśli chcecie.

Słowa moje padały wolno i uroczyście, jak słowa istotnej przysięgi, — zawisły wśród ścian małego pokoiku, obiły się o niski sufit... i wreszcie zamarły... Stałam w milczeniu, z oczami wzniesionemi do góry, kończąc w myśli modlitwę. Czekałam tak na męczarnie lub na wolność.

Przez ulicę przeleciał pędem automobil. W oddali zadzwoniły dzwony cerkiewne. Ruch i odgłosy wielkiego mia-

sta dolatywały przez otwarte okna... a tu, w tym małym pokoiku ważyło się życie ludzkie. Może już Parki podnosiły swe nożyce, aby przeciąć nić mego istnienia, gdy wreszcie zwyciężyła prawda, bijąca ze słów moich. Komisarz wstał... skinął ręką:

— Możecie iść. Wierzę wam.

Spojrzałam mu w oczy.

— Dziękuję — rzekłam poważnie.

Wyszłam z mieszkania do klatki schodowej. W otwartych drzwiach stanął komisarz i przeprowadzał mnie wzrokiem.

Miałam szaloną, niepohamowaną prawie ochotę zbiec pędem na dół, chociażby na złamanie karku... byleby uciec jak najdalej od zastawionych sideł... lecz komisarz drzwi nie zamykał. Jeden nieostrożny ruch... jedno podejrzane dlań zachowanie się... i znowu jestem w jego mocy!

Z trudem opanowując drżenie nóg, schodziłam powoli w dół i dopiero gdy byłam w połowie schodów, usłyszałam zatrzaśnięcie drzwi na górze. Lecz nie koniec to był niebezpieczeństwa. Może na podwórzu, ukryty niewidocznie, czyha na mnie szpieg, który chyłkiem, ostrożnie pójdzie za nami... wyśledzi, gdzie mieszkamy, a potem czrezwyczajka weźmie i nas, i tych, co do nas przychodzą... Może to tylko złudna swoboda!

Na podwórzu podbiegła do mnie Haneczka:

— Ależ długo mamusi nie było! Już z nudów chciałam iść na górę. Ale co się stało?! Dlaczego mamusia tak zbladła?,

Zadrżałam na myśl o nieobliczalnych następstwach, gdyby mała, zadzwoniwszy, jak zwykle, do drzwi frontowych przyznała się naiwnie komisarzowi, do kogo tu przyszła. A zdradzieckie opisy w koszyczku!...

— Chodźmy, dziecko! Opowiem ci, w jak strasznem niebezpieczeństwie byłyśmy obie przed chwilą, tylko się nie oglądaj i idź spokojnie.

Przemyślny instynkt samozachowawczy, ten sam, który broni jelenia przed goniącą go psią sforą, kierował naszemi krokami. Weszłam do bramy domu przy W. Podwalnej, i zatrzymałam się poza szklanemi drzwiami oficyny, w której mieszkała moja ciotka Iwańska. Czekałam niespokojnie, czy ktoś obcy nie zaglądnie do podwórza... ale przeszło kilkanaście może minut, nie przynosząc żadnej zmiany. Jakieś dzieci wesoło bawiły się w piłkę, a mały, puszysty piesek biegał za niemi, poszczekując radośnie.

Zaszłam wreszcie do ciotki. W paru słowach opowiedziałam jej niezwykłą przygodę... słyszałam wykrzykniki zgrozy... widziałam załamywanie rąk z przerażenia... ale to wszystko przesuwało mi się przed oczami niby za mgłą.

Zostawiłam u niej nasze papiery i drugą bramą wyszłyśmy na Stołypinowską.

Kalikst powrócił oddawna z kooperatywy i niepokoił się, że nas niema o tak spóźnionej godzinie. Haneczka od progu wołała:

— Straszne rzeczy, tatusiu! O mały włos nie poszliśmy wszyscy do czrezwyczajki!

Kalikst rad, że nas widzi, śmiał się i nie chciał w to wierzyć, a dziewczynka przekonywała go dalej z zapałem:

— Ależ tak, tak, tatusiu! Mamusia weszła na górę i zapukała do szewca. A czekista stanął w progu i kazał mamusi wejść do mieszkania. A mamusia strasznie się zlękła, ale nie straciła głowy. A czekista przestraszył się sądu boskiego i wypuścił mamusię na wolność. A ja dwa razy chciałam iść po mamusię i byłabym wpadła jak mysz do pułapki! Ach, tatusiu, tatusiu! To daleko więcej okropne, niż wszystkie przygody podróżników w Afryce!

Ja zaś, widząc, że istotnie nic nam nie grozi, padłam na łóżko bez sił.

*

Wieczorem dnia poprzedniego ktoś ostrzegł na dole p. Roszkowską, wracającą do domu, że w tej właśnie chwili odbywa się u niej rewizja. Wstrzymywano ją przemocą, bo wyrywała się z przyjaznych rąk, szepcąc z rozpaczą:

— Oni tam Adasia zabiorą zamiast mnie do czrezwyczajki!!

Przekonano ją wreszcie, że zawsze czas będzie oddać swe życie za życie męża, i ukryto ją tymczasem gdzieś na przedmieściu Kijowa. Roszkowski zaś, powołany do szeregów armji cesarskiej, spadł jako lotnik po stronie niemieckiej, i po paroletniej niewoli powrócił niedawno do kraju. W działalności żony nie brał istotnie żadnego udziału. Pomimo to zabrano go do czrezwyczajki, gdy, ku bezsilnej wściekłości komisarza, niebezpieczna «szpionka» nie przyszła już więcej do mieszkania. Tu w ciągu dni kilku wzywano go co parę godzin na «doprosy», grożąc męczarniami i rozstrzelaniem. Przekonano się wkońcu, że ten więzień rzeczywiście nie należy do partji i nie może wyjawić nazwisk związkowców. Wypuszczono go tedy na wolność, jako przynętę dla wyłowienia tamtych. Wkrótce po rewizji spotkałam p. Adama na ulicy. Już miałam zatrzymać się i spytać, czy wie, gdzie jest żona, gdy nagle, mijając nas szybko, szepnął:

— Pilnują mnie...

W oddali pośpieszał za nim jakiś nieznajomy i, zrównawszy się ze mną, obrzucił nas obie badawczem spojrzeniem.

Lecz wyrafinowana okrutność czrezwyczajki nie darzyła tak łatwo życiem i swobodą. Chociaż Roszkowski nie był winny, to przecież ukarano go niezwykłemi torturami moralnemi, za to tylko, że był mężem antysowieckiej działaczki. Prawie co nocy budziło go ze snu walenie do drzwi kolbami i wrzawa zmieszanych głosów:

— Wstawaj! Otwieraj!

Wpadała banda uzbrojonych żołnierzy z czekistą na czele, rzucając groźne pytania:

— Gdzie żona?! Mów! Przyznawaj się natychmiast!... Nie wiesz?!... Nie wróciła do domu?!... Bierzcie go, towariszczi! Do czrezwyczajki! Tam otworzymy mu gębę!! Gadaj, póki czas! Musisz wiedzieć, gdzie się ukryła ta białogwardzistka przeklęta!

Tak dręczono go parę godzin, wypytując z zaciekłą nienawiścią, to znów strasząc naprzemian więzieniem i męczarniami. Wreszcie banda opuszczała mieszkanie, zapowiadając swoje przyjście na jutro:

— A jeśli nie wydasz nam żony — śmierć!

Już poszli... i znowu cicho wśród niskich ścian... Tylko stargane nerwy odmawiają posłuszeństwa... tylko bezsilna rozpacz czyni życie niemożliwem. Nigdy spokoju! Jutro i nocy każdej — taż sama męczarnia...

Wkońcu Roszkowski, z własnego, czy też podsuniętego mu pomysłu, znalazł wcale skuteczny sposób obrony. Oto stawił się w specjalnym urzędzie ślubów i rozwodów. cywilnych i ze zdumiewającą łatwością dostał na piśmie urzędowy rozwód z żoną swą, Anną, za skromną sumę czterdziestu rubli sowieckich. W godzinę potem, na mocy zobopólnego życzenia, został połączony równie oficjalnie, choć po sowiecku, «bracznym dogoworem» (ślubnym kontraktem) z pewną panienką z biura, w którem pracował. Za ten nowy dokument, stwierdzający tak radykalną zmianę w jego życiu, zapłacił powtórnie tę samą ilość pieniędzy, co jest niezbitym dowodem wysokiej sprawiedliwości sowieckich praw, które ślub narówni z rozwodem kładą w rzędzie jednako błahych wydarzeń w rozwoju wolnej ludzkości!

Tej nocy jednak oczekiwał po raz pierwszy ze złośliwą

radością przyjścia swoich prześladowców. Na ich zwykłe, groźne okrzyki: — «Może już wiesz, nakoniec, gdzie żona... A jeśli nie...» — Roszkowski podał komisarzowi najpierw dokument rozwodowy, następnie nowy kontrakt cywilny, mówiąc z pogardliwem skrzywieniem ust:

— Obrzydła mi ta baba! Rozwiodłem się i ożeniłem się z inną. Macie tu czarne na białem. Przeczytajcie i dajcie mi już raz spokój! Nie chcę nic wiedzieć o niej!

Śmiał się cały Kijów w skrytości z zabawnego końca żałosnej historji. Wpadli w bezsilną wściekłość tyrani z czrezwyczajki, złapani w potrzask świeżo wydanych praw, lekceważących śluby kościelne.

Ucieczka zaś nieszczęsnej Roszkowskiej z Kijowa, jej tułanie się po okolicznych lasach, ciężka praca, jako wyrobnicy u chłopa, nieustanna trwoga, aby uwijający się wkoło krasnoarmiejcy nie poznali w niej przebranej «burżujki», i wogóle różnorodność cierpień, tak moralnych jak fizycznych — stanowić mogą odrębną, długą i tragiczną opowieść. W łachmanach wreszcie dostała się do Polski i tu zajęła się znowu pracą społeczną.

*

Pewnej nocy wyrwały mię nagle ze snu jaskrawe światła, wpadające do pokoju z podwórza przez szyby okien, nieosłoniętych firankami.

Zerwałam się w mgnieniu oka z łóżka, i skradając się na palcach, podeszłam do okna. Rząd sowiecki do przesady prawie oszczędzał elektrycznej siły; tylko do 10-tej wieczorem wolno było bezkarnie świecić lampki. W tym samym celu i wskazówki zegarów zostały przesunięte o trzy i pół godziny naprzód, aby posiłkować się o ile możności świa-

tłem dziennem. Domy kijowskie tonęły w nocy w ciemnościach. Lecz teraz duże żarowe lampy podwórzowe rzucały snopy światła wokoło. Klatki schodowe jasną, prostokątną smugą, ciągnącą się przez wszystkie piętra, świeciły jaskrawo na ciemnem tle kamiennej, nieruchomej masy domów. Gdzieś, w oddali, wdzierał się w ciszę gwar kilku zmieszanych głosów.

Zakołatało niespokojnie serce... Rewizja! podszepnęła z chłodną pewnością bystrzejsza od wzroku myśl.

Ubieram się szybko i cichutko, aby nie obudzić niepotrzebnie Kaliksta, strudzonego całodzienną pracą. Ostrożne pukanie do drzwi... Wsuwa się Jawdoszka.

— Zaraz ma być rewizja — mówi zdyszanym szeptem, po którym znać, jak trwożnie bije jej serce. — Stróż przybiegł uprzedzić! Komisarz i żołnierze już są przed bramą... pytają o prezesa domowego komitetu.

Szmer głosów i szelest budzą Kaliksta.

— Co się stało?! — pyta zdziwiony.

— Rewizja!... — odpowiadam z nieukrywaną trwogą.

— Więc cóż w tem nadzwyczajnego? Cóż oni tu znajdą?!... Trzy koszule i dwa ubrania! Zdobycz nielada! Zresztą możecie się bać, jeśli to wam dogadza, a mnie pozwólcie spać! Jutro przychodzą towary do kooperatywy. Cały dzień będę musiał spisywać i ważyć. Dobranoc łaskawej pani — kończy żartobliwie, obracając się do ściany w najwidoczniejszym zamiarze powtórnego zaśnięcia.

Ta niezmącona, zimna krew mego męża, to ciągłe rzucanie rękawicy w twarz najstraszliwszej rzeczywistości, przejmują mnie zabobonną wprost trwogą. Wychodzę jednak z pokoju, zamykając za sobą drzwi szczelnie.

Mieszana drużyna lokatorów naszego kilkupokojowego mieszkania już wstała i gotuje się na najgorsze niespo-

dzianki. Panie K. z matką staruszką modlą się w jadalnym pokoju. Państwo Matkowscy, ziemianie z Ukrainy, siedzą w swoim pokoju, którego okna wychodzą na podwórze. Zapraszają mnie do siebie. Jakoś raźniej nam razem! Naturalnie — wszędzie jest ciemno. Przysiągłbyś, że kamienica pogrążona w śnie głębokim i o niczem nie wie. Nic to, że za milczącemi, ciemnemi szybami biją niespokojnie wylęknione serca! Nie wiemy, co się dzieje. Do bramy daleko. Parcela bowiem, na której mieszkamy, jest długa i wąska, a dźwiga na sobie trzy domy, wznoszące się w szeregu w głąb i przedzielone dwoma podwórzami. Czekamy niespokojnie na bieg wypadków... Czy to rewizja ogólna, czy też, co o wiele jest gorsze, specjalna, skierowana do jakiegoś mieszkania? I do jakiego mianowicie? Kto padnie ofiarą?!...

Hałas głosów i kroków coraz bliższy... Wtem ukazuje się na naszem podwórzu komisarz, a za nim kilkunastu uzbrojonych krasnoarmiejców. — Do naszego domu!!! — Stuk butów i karabinów o kamienie podwórza, gwar krzykliwych głosów i brutalnych przekleństw, rozlega się przeraźliwem echem wśród ciszy uśpionego miasta. Idą wściekli, bo stróż domowy nie chciał otworzyć im bramy, dopóki nie dali mu przez małe okienko «orderu» na prawo rewizji. (Dobrze był wyszkolony przez naszego prezesa!) Targowali się o to długo. Komisarz chciał wejść na mocy ustnego rozkazu z czrezwyczajki. Stróż zasłaniał się poleceniem, danem mu przez prezesa domowego komitetu, i wreszcie postawił na swojem, choć zwymyślali go srodze i zagrozili zemstą.

Prezesem naszym był Mer-ow, Rosjanin, ziemianin z połtawskiej gubernji, człowiek rzutki, śmiały i energiczny. Lawirował tak zręcznie wśród tajników sowieckiej władzy, był w przyjaźni z tylu komunistami, że nietylko sam zaj-

mował apartament z sześciu pokoi, ale potrafił ochronić dotychczas od mieszkaniowej rekwizycji nasze trzy kamienice.

Żołnierze weszli już do klatki schodowej i, głośno klnąc i stukając butami, idą po schodach... Stoimy wszyscy w przedpokoju, przytaiwszy dech w piersiach... Już minęli pierwsze piętro... już są pod naszemi drzwiami!... Nie!!... idą wyżej.,. Słychać, jak dzwonią do mieszkania położonego nad nami.

Wchodzimy z powrotem do pokoju Matkowskich. Lufcik w górnej ramie otwarty, a o jedno piętro wyżej okno w klatce schodowej całe lato się nie zamyka. Słyszymy więc wszystko, co się dzieje na górze...

— Z rozkazu Czrezwyczajnej Komisji rewizja u grażdanina Mer-wa! — mówi donośnie i uroczyście komisarz.

Cisza... Nikt się nie odzywa.

— Dzwoń!!! Wal!!! — woła rozwścieczonym głosem.

Naciśnięty dzwonek brzęczy monotonnie... Żołnierze biją niemiłosiernie kolbami w zamknięte drzwi.

— Stój! — komenderuje komisarz — Otwierać!!

— Kto tam? — odzywa się nareszcie dźwięczny, energiczny głos prezesa.

— Rewizja z czrezwyczajki.

Okrzyk zdumienia:

— Rewizja?!... U mnie?!... To chyba pomyłka! Czekajcież chwilę, sam się zaraz zapytam!

Cisza. Słyszymy, jak prezes już w gabinecie (lato, okno otwarte) każe połączyć się z czrezwyczajką. Długa, uparta rozmowa, protesty, gniew... Tymczasem żołnierze niecierpliwią się.

— Wyważyć drzwi!! — rozkazuje komisarz.

Lecz już sam prezes otwiera. Spadł nań piorun z jasnego nieba! Denuncjacja?!... Zemsta?!...

Żołnierze rozbiegają się po pokojach. Słyszymy odsuwanie mebli na górze, pukanie w ściany... w podłogę... krzyki tryumfu! Po schodach biegają żołnierze, to na dół, to do góry... Co się tam stało?!... Pojąć nie możemy! Znowu przechodzą tuż pod naszemi drzwiami... słychać, jak ktoś szamoce się z nimi rozpaczliwie... Głośne naigrawania komisarza rozbrzmiewają przykrem echem po klatce schodowej.

— Ach, ty szpieg denikinowski!! Ty swołocz białogwardiejska! Broń dla nich przechowywał?!... Zapłacisz za to, padlec!!

Broni się prezes, chce coś powiedzieć, ale słowa jego giną w zamęcie groźnych krzyków i obelg. Już sprowadzono go na dół. Widzimy, jak wiodą go dwaj żołnierze, mocno ująwszy za ręce, a z boku komisarz grozi mu rewolwerem, przyłożonym prawie do skroni. W świetle latarni rysują się wyraźnie sylwetki krasnoarmiejców i wyrywającego się im z rąk energicznie prezesa. Wreszcie znikają wszyscy w bramie. Pozostali żołnierze gospodarują dalej w mieszkaniu «kontrrewolucjonisty». Wtem słyszymy w pobliżu głuche i ciężkie dudnienie i warczenie automobilu. Kilkunastu marynarzy, uzbrojonych od stóp do głów i powiewających czarnemi wstążkami przy białych czapkach, wpada na podwórze. Komisarz do nich przemawia... wskazuje ręką na nasz dom...

— Hurra!!! — krzyczą wszyscy i pędem wbiegają do klatki schodowej.

Mróz idzie po kościach... Czujemy na sobie oddech tygrysa, a sami jesteśmy tak bezsilni! Najgorsze, najdziksze instynkty taiły się wśród marynarzy rosyjskiej floty, i gdy pękły krępujące je więzy dyscypliny, gdy rewolucja zniosła karę śmierci — wyzwoliły się nazewnątrz w postaci mordów i pragnienia krwi, zmieniających tych ludzi w dzikie bestje.

Biegną pędem po schodach wprost do mieszkania prezesa.

Tymczasem już się rozwidnia. Różowy świt, obojętny na ludzkie niedole, zalewa podwórze i pokoje. Jest już siódma sowiecka, czyli naprawdę wpół do czwartej. Czas wstawać do pracy! Wchodzę do naszej sypialni.

— I cóż? mały strach, czy wielki strach?!... — pyta wesoło Kalikst, który przy szczelnie zamkniętych drzwiach i oknach, zmordowany 10-godzinną, codzienną pracą, spał znakomicie i nic nie słyszał.

Opowiadam mu w krótkości wypadki okropnej tej nocy.

— Nie może być inaczej. To walka klasowa! Ofiary być muszą — mówi zamyślony.

— Byle nie ty!! — wybucham naraz gorącym protestem. — To nie nasza sprawa!

— A gdyby i ja?! Bądź mężną!

Wybiegam z pokoju, chcąc ukryć wzruszenie. Niewiadomo przecie, co się z nami wszystkimi za chwilę stać może, wobec ujawnionej antysowieckiej działalności naszego prezesa.

W klatce schodowej stoją już wszędzie na straży żołnierze. Nie puszczają Kaliksta, chcącego iść do kooperatywy, której jest kierownikiem. Podchodzi komisarz, przegląda papiery: «Zawiedujuszczij kooperatiwoj Raboczawo Sojuza» — czyta głośno. Wywiera to na nim znakomite wrażenie.

— Darujcie, towariszcz — zwraca się do Kaliksta uprzejmie, — nie mogę was wypuścić, dopóki nie zrobimy rewizji w tych trzech domach. Wasz prezes ładny ptaszek! Broń zbierał dla denikinowców, a przed nami udawał zaciekłego komunistę.

Kalikst protestuje spokojnie:

— Nie możemy odpowiadać wszyscy za prezesa. Niedawno tu mieszkam i nawet go jeszcze nie widziałem!

— Och, wy towariszcz, to zupełnie co innego! Ale przyznacie sami, że za te burżujskie dranie nigdy ręczyć nie można.

Już dawno Kalikst nie zaśmiał się tak szczerze.

*

Tymczasem akcja rozwija się dalej z gigantycznym rozmachem. Na podwórze wtacza się olbrzymi gruzowik (automobil ciężarowy). Krasnoarmiejcy wrzucają doń swe najcenniejsze «trofea»: wykrytą przed chwilą broń i skrzynie pełne naboi. Z góry znoszą piękne, salonowe i gabinetowe meble, lustra, fortepian, łóżka, i ładują to wszystko na platformę. Dla pośpiechu i zabawy lecą z trzeciego piętra poduszki, materace, wykwintne nesesery i skórzane walizki. Wyrzucony zamaszyście ręką szalejącego żądzą niszczenia żołdaka, leci w dół piękny, olejny portret, przedstawiający jakąś wykwintną damę. Złocona rama zaczepia o ostry brzeg platformy... Z suchym trzaskiem rozdziera się płótno, zwisa melancholijnie głowa w staroświeckich puklach...

— Bije nam pokłony pamieszczyca!! Oddaje cześć towariszczam!! — woła jeden z żołnierzy. Salwy śmiechu wybuchają na dole i na górze. Marynarze aż się pokładają z uciechy! Grubjańskie żarty strzelają, jak race, ze wszystkich stron... Wreszcie jeden z wesołego grona obrońców prawdziwej swobody potężnem kopnięciem podrzuca zwisający portret na środek platformy. Pada głową w dół cenny, marmurowy biust Napoleona i roztrzaskuje się na drobne kawałki. Nowe

wiwaty i wybuchy wrzasków, pełne uznania dla gorliwej pracy towariszcza...

Rabują «burżuja» z zaciekłą pasją, znajdując w rabunku i zniszczeniu radość i ujście dla rozkiełzanych, dzikich instynktów: «Niech wie, czem pachną kontrrewolucyjne spiski, mogące nałożyć pęta na rozhukane pożądliwości!» Pachołki i oprawcy godni swych władców, którzy bezprawie otaczają glorją rzekomej wolności, stawiając je na miejscu Praw Człowieka, zharmonizowanych wzajemną współzależnością!

Marynarze wydzierają sobie nawzajem wspaniałą torbę podróżną i różne wykwintne drobiazgi. Wreszcie siadają wszyscy wokoło na przeładowanej platformie i śpiewając fałszywie, ale zato głośno: «Wstawaj, ludu roboczy!» na nutę Marsyljanki, przy akompanjamencie zgrzytów i warczenia gruzowika, wyjeżdżają tryumfalnie z naszego podwórza.

*

Wyznaczają trzech komisarzy do robienia rewizyj w naszych trzech kamienicach. W każdej — innego. O nieludzkości jednego z nich opowiada ktoś przyciszonym głosem tak:

— Wyczyszczono mu raz źle konia. Groźne wołanie: — «Andrej!» — Wbiega do stajni wylękniony żołnierz. Komisarz przesuwa ręką po zadzie konia-faworyta. Leciutka warstewka kurzu pokrywa lśniącą sierść. Patrzy na wrytego w ziemię, bladego żołnierza. Krzyżują się dwa spojrzenia: pogromcy i zahipnotyzowanej ofiary. Wystrzał. Słania się żołnierz... pada bezwładnie. Komisarz trąca pogardliwie nogą ciepłe jeszcze zwłoki: — «Ubrat' etu drjań!» — Zbiegają się

żołnierze. Śpiesznie podkładają ręce pod ramiona trupa, chwytają za nogi... wynoszą obojętnie towarzysza. Dobrze, że to nie ich spotkał taki los! Roztrzaskana czaszka zdaje się urągać szyderczo: — Ja już wiem, co to swoboda! A wy?!...

*

Komisarz ów znajduje w mieszkaniu p. Knollowej mały rewolwerek, ukryty naiwnie za książkami. Chwyta go... mierzy w głowę osłupiałej właścicielki:

— Ubju!!

Ot, taki wesoły żart! Jest w pysznym humorze. Przed chwilą żołnierze wyciągnęli z beczki z kapustą prześliczne cacko. Taca mahoniowa ze srebrną galeryjką dokoła. Gdzieś w kąt wciśnięte, wśród śmieci i wiórów, przytaiły się, lecz nie uszły plondrującej łapy żołdaka — staroświeckie, srebrne koszyczki z rzeźbionych kwiatów i listków. Znaleziona, nielegalnie przechowywana broń daje komisarzowi prawo do zrabowania za karę burżujki. Żołnierze grzebią się dalej w zawartościach przeróżnych szuflad. Maleńkie papierowe pudełeczko, pełne stalówek... pod niemi — brylant, oprawny w stare srebro. Komisarz chwyta z pośpiechem ten łup. Przybiega na pomoc rabowanej właścicielce sąsiadka z górnego piętra, śliczna, wygadana Rosjanka. Wydziera mu antyk z ręki:

— Fuj, towariszcz! Czyż to dla was takie szkło?! — rzuca z obrzydzeniem broszę w kąt.

— Paniatno, że nie dla mnie! — śmieje się grubo, niemile, zadowolony komisarz, patrząc łakomie na różowy karczek szczebioczącej sroczki.

Lecz już za chwilę wyciąga turkusy, otoczone ramką z brylantów.

— Nastajaszczyje! — zachwyca się, wywołując świetlne efekty w trzymanych kolczykach. Znoszą wykryte pamiątki na dół. — Zabrane za karę! — mówi pouczająco komisarz. Na podwórzu stoją całą gromadką służące. Gapią się. Niezapomniany dzień. Tyle sensacyj!...

Już drugi, potężny gruzowik oczekuje na przyjęcie burżujskiego dobra.

W następnem podwórzu zajmują duży apartament zamożni Rosjanie, ziemianie z Zadnieprza. Skryli się, czy też wyjechali. Mieszkanie bez opieki, lecz pełne nieocenionych skarbów, zbieranych skrzętnie przez nieistniejące już pokolenia. Uszli przed słuszną karą narodu!

— Brać wszystko na gruzowik! Eto narodnoje dobro!! — wydaje rozkaz komisarz.

— Prawilno!! — wołają z uznaniem krasnoarmiejcy

Wynoszą bezcenne mahonie. Ładuje je na platformę systematycznie, z namaszczeniem, jakiś starszy, schludnie ubrany żołnierz. Patrzy uważnie, czy ciemno-krwista politura antyków nie zrysuje się przypadkiem ostrym kantem. Z szacunkiem wyciąga ręce po drogie zabytki burżujów. To «dla narodu»! Wierzy w to mocno. Służące szepcą, trącają się łokciami, wybuchają chichotem.

— Posłuchaj-no, towariszcz! — odzywa się wkońcu najśmielsza. — Mybyśmy strasznie chciały wiedzieć, kiedy wy już nam dacie choć cząstkę tego, co tak odbieracie wciąż od burżujów?

Odwraca głowę ładujący krasnoarmiejec. Uczciwe oczy patrzą z litością na biedne, ciemne «niewolnice».

— Wszystko to idzie do depozytu, a potem będzie ogólny i sprawiedliwy podział.

*

Incydent z panem Mer-wym skończył się dla reszty mieszkańców pomyślnie. Broni już więcej nie znaleziono. Nikogo nie aresztowano. Z kamienic zdjęto hańbiące piętno «kontrrewolucji». Wybraliśmy innego prezesa, a biedny Mer-ow w czrezwyczajce pokutował za swe konspiracyjne zamiary. Spustoszone jego mieszkanie opieczętowano ze wszystkich stron, aby ktoś, przypadkiem, nie zaraził się panującą tam kontrrewolucyjną atmosferą. Długo jednak mówiono w Kijowie o tem niezwykłem wydarzeniu. Spiskowiec denikinowski, komunista i prezes domowego komitetu! Dość — jak na jednego, zwykłego człowieka. Staliśmy się sławnymi na całe miasto!

WE WŁADZY CZERWONEGO TERRORU.

Terror rósł i potężniał... był już w każdym zakątku. Czerwonemi smugami krwi znacząc swą drogę, wślizgiwał się do mieszkań burżujów i do suteryn robotników, zawadzał o fabryki, plątał się nawet w instytucjach sowieckich. Zwało się to oficjalnie «czystką» danego urzędu i polegało na oddzieleniu zamieszanych tam dziwnym trafem burżujskich plew i kąkolu od zdrowych ziarn proletarjackich. Podejrzenie, denuncjacja, mściwy świstek papieru zaadresowany wprost do czrezwyczajki, wywoływały masowe przesiewanie całych dziesiątków urzędników sowieckich. Wreszcie ogłaszano tryumfalnie w *Izwiestjach* spisy rozstrzelanych za spekulację i kontrrewolucyjną działalność:

«W łonie naszych instytucyj demokratyczno-ludowych zagnieździły się jadowite węże kontrrewolucji, pragnące zdławić wyzwoloną od kapitalistycznego ucisku, młodą Sowiecką Republikę!»

Takie nekrologi pisano tym ofiarom bezprawia i gwałtu, których jedyną winą było zręczne maskowanie klasowego pochodzenia w celu uniknięcia czrezwyczajki i śmierci. Odważni ludzie szli dobrowolnie w paszczę tygrysa, w nadziei, że takie zuchwałe wtargnięcie do gniazd sowieckiego ustroju będzie dostateczną rękojmią ich prawomyślności w nowem, rewolucyjnem pojęciu. Zdarzało się niekiedy, że wśród tamtych poniósł zasłużoną karę jakiś rzeczywisty spekulant, ale w przeważającej liczbie wypadków demaskowano w ten sposób ratujących się od prześladowań burżujów.

Pod najsroższemi karami nie wolno było wychodzić z domu wieczorem po wydzwonieniu 10-tej sowieckiej i cały Kijów zamierał o tej porze. Najgłębsza cisza słała się po mieście. Otulał je do snu posępny całun grozy, zarzucony ręką śmierciowładnych bogów z Cze-Ka. W skąpem oświetleniu majaczyły czarne zygzaki pustych ulic. Strach jakiś niemy i czujny zaciskał szczelnie okna i drzwi milczących, ciemnych kamienic. Niekiedy odgłosy brutalnych kroków gwałciły uległą ciszę ulicy... Szli żołnierze... Rewizja! To czrezwyczajka wyciągała potworne swe macki wśród nocnych ciemności, aby nowemi ofiarami nasycić nieustający głód Terroru. W martwocie letnich, krótkich nocy dziwnym, rozdzierającym jękiem rozlegało się turkotanie bolszewickich wozów, jadących w stronę więzienia na Łukjanówce. Myśl pracowała uparcie, pragnąc przeniknąć ciemności mogilne:

— Co oni wiozą?!... Dokąd jadą?!...

Czasem dziwne wyczuwało się głosy... Drzewa szumiały jękiem konających... Wiatr nieraz niósł łkania i szepty pożegnalne...

Codziennie *Izwiestja* podawały listę rozstrzelanych: pięćdziesiąt... sześćdziesiąt ofiar... Czuło się niemal dotykalnie,

że za nieprzeniknioną ścianą terroru rodziły się jakieś potworne myśli i zmieniały w czyn — równie potworny!

Zaczęły się nocne rewizje. Wtargnięto o północy do wybitnego prawnika, przezacnego Jordana Pereświet-Sołtana (prezesa Polskiego Komitetu Wykonawczego z 1919 r.). Splondrowano całe mieszkanie, pukaniem w ściany i podłogę doszukując się jakichś tajemniczych skrytek. Znaleziono list z Polski!... Niewinny list od znajomych... Piorunujące oskarżenie Sołtana, jako członka Tow. gimnastycznego «Sokół», i zięcia jego, Stępkowskiego, o szpiegostwo, o chęć zorganizowania zbrojnego powstania, — aresztowanie obydwóch, wyprowadzenie z domu pod konwojem!...

Już są w czrezwyczajce... Już dwie nieszczęsne kobiety, dwie żony, błagają o życie dla jeszcze żyjących, a już nieledwie straconych! Wycierają progi czrezwyczajki i urzędów sowieckich: «Sprawiedliwości!! Litości!! Oni niewinni!...» Niesie wytrwale ciężki krzyż pani Sołtanowa. Drży o męża, boleje nad okrutną dolą córki, młodziutkiej mężatki przy nadziei. Z niepospolitym hartem ducha czyni wszelkie wysiłki, zabiegi, stara się ubocznie o jakieś wpływy, składa niezliczone prośby, motywowane podania...

— «Sprawiedliwości dla niewinnych! Ci ludzie nie mogą być szpiegami!» — woła wielkim głosem całe społeczeństwo polskie w Kijowie, wstrząśnięte do głębi tym rozdzierającym dramatem rodzinnym.

Lecz nieubłagani bogowie z Cze-Ka łakną krwi. Zapada wyrok, skazujący Sołtana i Stępkowskiego na rozstrzelanie, jako dwóch polskich szpiegów i kontrrewolucjonistów. Przed wykonaniem wyroku oznajmiają Sołtanowi, że syn jego już uwięziony i zginie w takich męczarniach, że cała Europa zadrży ze zgrozy. Taki dano mu wiatyk na drogę do Wieczności! Takiem było ostatnie przed śmiercią na-

maszczenie! Zanim to serce czyste bić przestało, storturowano je bezbrzeżnym lękiem o los ukochanych, zostających na łasce terrorystów.. Pomimo tej zapowiedzi, młodego Sołtana z czrezwyczajki uwolniono. Rozstrzelano natomiast i zamordowano innych członków «Sokoła»: Bolewskiego Jerzego, Czernieca, Ejzerta Seweryna, Nekrasza Marjana, Wańkowicza Izydora, Woronieckiego Stanisława.

Po tragicznej śmierci męża pani Sołtanowa, nie poddająca się rozpaczy, cicha w swym bólu, wzbudzała ogólną cześć i gorące współczucie. Na jej widok przychodziły mimowoli na myśl natchnione żale Malczewskiego nad Marją:

Tylko się lampa szczęścia w jej sercu paliła,
I zgasła... i swym dymem całą twarz zaćmiła!

Podobne uczucia wywoływała nawet w czerwonych władcach, bo ta szlachetna, ta dobra, chodziła do katów swego męża wstawiać się za innymi... prosić o jakieś ulgi... nawet o życie! Spuszczali oczy przed tą postacią prostą i wyniosłą w żałobnych krepach i czasem ulegli jej prośbom... Podobno jeden z nich miał nawet powiedzieć w odruchu litości: — Zabiliśmy niewinnego!

*

Jak lont przyziemny, palący się nikłym płomieniem, pełzły ku nam ukradkiem wieści z Winnicy i wybuchały w sercach naszych, sprawiając ból nadludzki. Podolska mieścina pławiła się również we krwi i łzach! Z rozbitych gniazd zebrało się tam całe ziemiaństwo okoliczne, które wraz z inteligencją miejscową stworzyło znaczną liczebnie kolonję polską. Mieli tedy obfity połów czekiści. Padali ofiarą najlepsi ludzie, a rozmaitość tortur przewyższała nawet osławionych pod tym względem Chińczyków. Padli, rozstrzelani w czrezwyczajce winnickiej: Stanisław Trentowski, Stanisław Gnatkowski,



Wasylówka J. Żaboklickiego.



Żerebki Małe Romana Knolla.



Strzyżawka od Bohu. Tad. hr. Grocholskiego.

Krukowski, Tadeusz Łukaszewicz, Feliks Kumanowski, młody Mańkowski, Zygmunt Titenbrun, dyrektor polskiego gimnazjum Warzeński, inżynierowa Jankowska, Anna Łazowska... a śmierć każdej z tych ofiar terroru potęgowała ogrom niepomiernej krzywdy, wyrządzanej polskości i Polakom na Kresach. Coraz częściej wyrywał się nam z piersi jęk, niegłośny, lecz tak głęboki, jak otchłań cierpienia i męki, do której wtrącili nas bolszewiccy władcy: O, Polsko, Polsko! Przyjdź do nas i ratuj! Nie daj katować swych dzieci!!

Wiedzieliśmy, że wojska polskie są na Wołyniu, i nadzieja, że niedaleką już jest chwila, gdy te zbrojne szeregi wkroczą do Kijowa, podtrzymywała nadwątlone siły nasze. Szeptane radośnie pogłoski szły z ust do ust tak szybko, jak wichr wiosenny, przed którym znikają lodowe okowy. — Polacy w Żytomierzu!... Polacy w Malinie!!... Polacy już blisko Kijowa!!!...

Wieczorem, o wpół do jedenastej sowieckiej, czyli faktycznie o siódmej, musieliśmy iść na spoczynek. Nazajutrz czekała ciężka praca i trzeba było się zrywać o świcie. Na ściany padały dopiero cienie wieczoru — noc jeszcze była daleko i sen nie przychodził przedwcześnie... Wówczas duch leciał na skrzydłach fantazji do tej Polski dalekiej, chylił się tam przed jej odnowioną potęgą i błagał: Wysyłaj swe hufce co rychlej na odsiecz bezbronnym twym dzieciom! Jak ongi otacza je chmara dzikich siepaczy! Z dnia na dzień maleją ich siły... Wysyłaj, Polsko, na Kresy sił zbrojnych zastępy, męstwem skrzydlate!...

Już toczy się groźna fala... obrońców płyną szeregi... już roztocz pod miastem wojskami polskiemi zalana! Naczelny wódz na wzgórek wjeżdża... osadza konia na miejscu... Słońce oświetla żołnierską twarz... Wyciągniętym pałaszem wskazuje kierunek: — Naprzód, dzieci! W nich!!

W nich!!! — walą radośnie armaty, niby rozkołysane dzwony, bijące na chwałę polskiego oręża...

Pierzchają w pośpiechu niesforne kupy tałatajstwa... Smagane konie unoszą w odwrocie z pozycyj zagrożone działa...

Naprzód ułani! Lance do boju! Marsz — marsz!!

W nich!!!... Naciera z impetem konnica, pędząc przed siebie w dal, jak ciemne, wydłużające się skrzydło...

W nich!!!... Przelatuje ogień zapału i pewności zwycięstwa w szeregach maszerujących śpiesznie piechurów...

W nich! W nich!! W nich!!!... — huczy przeciągle, niby podziemny grzmot, oswobodzona od czerwonych siepaczy kijowska ziemia...

Budzą nas z rana promienie wschodzącego słońca... Cicho... Ani śladu rycerskiego rapsodu, który wczoraj jeszcze wysnuła łaknąca takiej rzeczywistości wyobraźnia. Ale dzień przynosi nową, wstrząsającą wieść: tuż pod granicą złapano zbiegów z winnickiego piekła, chcących się przekraść do Polski! Już przywieziono do Kijowa i osadzono w czrezwyczajce Czesława Jakubowskiego z synem, Kazimierza Krassowskiego i Karola Wilkoszewskiego, dawnego wiceprezesa Macierzy Szkolnej [1]. Wszyscy oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski. Los ich zgóry już przesądzony. Przyłączono do nich Jana Mańkowskiego, ziemianina z Podola, którego Cze-Ka tu odesłała, i rozstrzelano go wkrótce. Dzięki zabiegom żony, a może niezrozumiałej niekiedy fantazji czekistów, Karola Wilkoszewskiego przeprowadzono do innej kamery i wywieziono następnie jako zakładnika polskiego

---

[1] Prezesem Macierzy Polskiej kijowskiej w latach 1917—1921 był Jozafat Andrzejowski. Ukrywając się przed bolszewikami o głodzie i chłodzie, pracując pomimo lat sędziwych jako zwykły robotnik, podtrzymywał swą obecnością opadające z sił nauczycielstwo w przeciągu lat paru.

do Moskwy. Tamci oczekiwali tymczasem chwili wyzwolenia z ziemskich katuszy...

*

W tych czasach dyszących grozą, gdy rozpacz i męka mąciły nasze myśli coraz to nowym podszeptem, przemożną otuchą i ucieczką była modlitwa i kościół. Rozpaliła się płomiennie wiara w zastępach wiernych — budziła się często w wątpiących. Dwie świątynie katolickie w Kijowie przepełnione bywały tłumem modlących się. Tu, zdawało się, leżał kres krwawej władzy ludzkiej, a powstawał zaczątek — boskiej! Wyszlachetnieni cierpieniem, wznosiliśmy się ku Bogu... On zaś zstępował do nas, jak Pocieszyciel niestrudzony i miłosierny. Lecz i w tę stronę wyciągnęły się zachłanne dłonie czekistów...

Podczas nabożeństwa otaczano kościół oddziałem krasnoarmiejców, rewidowano wychodzących, przeglądano dowody osobiste, aresztowano podejrzanych.

Raz, kiedyś, wstąpił na ambonę proboszcz parafjalnego kościoła:

— Moi najmilsi! — zaczął wzruszonym głosem. — Nietylko, jako pasterz, boleję nad wami, znękane owieczki moje, ale od paru dni, jako stróż kościoła, drżę o jego świętości! Wczoraj była tu komisja bolszewicka, spisała naczynia i sprzęty kościelne. Dotychczas nie zabrano nam nic. Módlmy się, dzieci moje, aby Bóg nie dopuścił pohańbienia przybytku Swego!

Padliśmy wszyscy na kolana... Natchniona cisza wypełniła kościół. Już nie o siebie błagaliśmy Ojca w niebiosach, nie o życie własne i ukochanych naszych... ale, jak dym z najmilszej Panu ofiary, serca nasze słały w górę gorące modły o zwycięstwo idei Chrystusa: — Nie daj się, o Panie, drugi raz ukrzyżować wrogom Swoim! Strąć znowu

w piekielne otchłanie Ducha Zła i Ciemności! O Chryste, Chryste, nie daj na pohańbienie Ciała Swego i Krwi!!

Snadź miłym był Bogu ten hymn miłości i trwogi. Bolszewicy opuścili wówczas Kijów, nie zrabowawszy kościołów.

Otaczano również wojskiem podczas przedstawień teatry aresztowano tych, co nie mieli w porządku dokumentów sowieckich. Kinematografy tylko nie wzbudzały protestu we władzach radzieckich. Te siedziby demokratycznej rozrywki, mieszczącej się w brudnych i nieprzewietrzanych salach, nie bywały nigdy widownią aresztów lub rewizyj. Komicznym lub smutnym — jak kto woli — był powód, dla którego chodziliśmy do tych ognisk wątpliwej sztuki. Pociągały nas tylko filmy zagraniczne. Oto na płótnie, chociaż przez chwilę, przesuwają się przed naszemi oczami czyste ulice kulturalnego miasta Zachodu. Tłum ludzi wesołych, szczęśliwych, wysypuje się z wagonów *train de luxe*, który wpadł na stację zdyszany i stanął nieruchomo przed wspaniałym dworcem kolejowym. Podróżni rozbiegają się śpiesznie w różne strony... Automobile, wykwintne powozy, czekają już na nich. Wybiega na spotkanie radośnie witanego przybysza śliczna, strojna pani... za nią bobięta w białych sukienkach i lokach... wszyscy się śmieją, weselą się... Nie widać nigdzie krasnoarmiejca! Nie pada na słoneczne życie posępny cień tajemniczej czrezwyczajki... Jak miło! Jak swobodnie!

Tak żyją ludzie hen daleko, w Europie, odgrodzonej od nas przepaścią nie do przebycia!

. . . .

Chociaż wewnętrzne rządy szły tak sprawnie, i na trupach kontrrewolucjonistów i burżujów wznoszono gmach szczęścia ludu, lecz na froncie sprawy przedstawiały się o wiele gorzej. Tam były stałe porażki i ustępowanie piędź za piędzią zlanej krwią ofiar ziemi znienawidzonym «białym».

Bolszewicy przyznawali się już sami do odwrotu wobec przeważającej ilości wojsk nieprzyjacielskich. Piorunujące artykuły wstępne w *Izwiestjach*, ziejące jadem i nienawiścią przeciw «białym» i powracającym z nimi carskim generałom, poprzedzały oficjalne komunikaty, oznajmiające o opuszczaniu coraz to nowych pozycyj i miast. W bezsilnej furji miotały one obelgi przeciwko przeklętej Entencie, której spasieni kapitaliści dopomagają «Dobrowolnej Armji» złotem i dostarczaniem oręża do «poraboszczenia» Republiki Rad — tej Republiki, stworzonej wolą uciśnionego ludu, «tej źrenicy oka walczącego proletarjatu, — tej, jedynej w świecie całym, placówki zwycięstwa nad kapitalizmem zgniłego Zachodu!!»

Niekiedy pojawiały się artykuły utrzymane w tonie lirycznym, przechodzącym miejscami w złowieszcze wróżby i zatrważające obrazy przyszłości, zbliżającej się zwolna, ile pewnie!

«Biada ci, ludu nieszczęsny! Nadchodzi już koniec twej władzy! Poprzedzony i opierający się na bagnetach carskich generałów — powraca już twój «pamieszczyk krwiopijca»! Wali się w gruzy wywalczona przez ciebie swoboda! Przychodzi dzień krwawego porachunku! Wydrą ci ziemię twym potem przesiąkniętą, niosą ci knut i pańszczyznę, ty rabie zbolały, któryś na chwilę tylko zdołał się wyrwać z kajdanów i wolną piersią odetchnąć!!!

«Biada wam, robotnicy strudzeni! Zamrą już prędko najdroższe marzenia wasze o siedmiogodzinnym dniu pracy! Wyssą je razem z krwią waszą pijawki-fabrykanci! Wszak niedalekim niestety jest dzień, gdy obrzękły od rozpusty i pijaństwa kapitalista nałoży znów jarzmo na zgięte w pokorze karki wasze! Śpij na barłogu, męczeński trużenniku!! (pracowniku). Zgłodniały — patrz zdala, jak mierzawiec-fabrykant spoczywa na worach ze złotem! Patrz — i przeklinaj to zwierzę, żądne krwi twojej i potu!

«Biada ci, czerwony żołnierzu wolnej Czerwonej Armji! Biada ci, jeśli ulegniesz namowom białogwardiejskiej swołoczy! Jeśli, pod groźbą śmierci, przejdziesz nieszczęsny do szeregów dobrowolców, wiedz o tem, że but carskiego oficera będzie znów miażdżył twarz twoją! Ty — wolny teraz i o wolność ludu walczący — poniesiesz pokornie w karnych oddziałach śmierć ojcom, matkom, siostrom, śmierć wsiom, co nie zechcą pójść pod knut pańszczyźniany!! Czerwony żołnierzu! Sprawa ludu — to twoja sprawa!!!»

Te destrukcyjne artykuły nietylko rozżarzały namiętności i zawiść klasową, ale godząc w spokój i prawomyślność podstawowych warstw ludności, utrudniały, prawie uniemożliwiały jakąkolwiek planową i praworządną odbudowę państwa w duchu zdrowego liberalizmu, wśród podminowanych lękiem i nienawiścią, ciemnych tłumów. Toteż ci, co szli do nas, ciężkie mieli zadanie.

«Dobrowolna Armja» była już blisko Kijowa, a Czerwony Terror toczył się i rósł sam w sobie, niby potworna krwawa kula. Zaczęły się obławy uliczne. Zamykano kordonem wojsk wyloty ulic w tej lub innej dzielnicy i zagarniano, jak w sieć, wszystkich znajdujących się tu przypadkowo przechodniów. Przeglądano papiery, prowadzono podejrzanych do czrezwyczajki. Gromadki ludzi, otoczonych krasnoarmiejcami, przechodziły codziennie ulicami miasta.

Wśród takich więźniów dojrzała raz p. Wanda Chojecka krewnego swego, Lucjana Abramowicza, który po rozbiciu majątku rodzinnego osiadł w małem miasteczku na Podolu. Tu złapali go krasnoarmiejcy i odesłali do Kijowa, jako «ukrywającego się polskiego pamieszczyka». W osłupieniu zatrzymała się na chodniku... Wejrzenia ich spotkały się... skinęła biedakowi głową z bezmiernem współczuciem.

— Ubirajsia won! — krzyknął jej wściekle nad uchem

konwojujący więźniów konny krasnoarmiejec. — Chcesz może, abym i ciebie zabrał do twoich znajomych?!

Głowa konia była już nad nią... Zaledwie zdążyła wcisnąć się w tłum uliczny, przypatrujący się prowadzonym.

Taka obława uliczna zaskoczyła znienacka, na Proreznej ulicy, kuzynkę moją, Zofję Chojnowską. Spostrzegła zdaleka nadciągających żołnierzy i wbiegła szybko do najbliższej bramy. Lecz ten ruch podejrzany nie uszedł uwagi jednego z łowców. Poskoczył za nią i wpadł na podwórze...

— Czego się chowasz?! Chodź z nami!! — wykrzykiwał brutalnie.

Nie okazała swego przerażenia. Ubrana rozmyślnie ubogo, w dużej chustce, skrzyżowanej i zawiązanej na plecach, udawała dalej kobietę z ludu.

— Nie pójdę! Nie chcę! I co ty mi zrobisz?!!

Schwycił ją za rękę, gniotąc potężną łapą:

— A właśnie że iść musisz!! Masz widać nieczyste sumienie, że tak się bronisz! — Ciągnął ją gwałtownie ku wyjściu... Z rozpaczy upadła na kamienie podwórza i, jak prawdziwa przekupka z motłochu, zasypała go gradem przekleństw i obelg.

Zaśmiał się żołdak i puścił jej ręce:

— A to wiedźma dopiero! Zostawajże sobie, głupia warjatko! Znajdę ja lepszych od ciebie!! — i pędem wybiegł na ulicę.

Nie mogłam sypiać prawie wcale w tych strasznych dniach Czerwonego Terroru.

Turkot wozów, przejeżdżających koło naszej kamienicy w dół po Stołypinowskiej, wprawiał mnie w jakiś obłędny niepokój. Widziałam wszędzie cień nieszczęścia, krążącego nad naszemi głowami. Nosiłam jednak dalej pieczywo moim artystom.

— Uciekają! — szepnął mi któryś. — Za tydzień nie będzie już pewno czrezwyczajki!

Za tydzień!... Ileż to przedwcześnie zgaszonych istnień powiększyć może i tak nieskończenie długi różaniec ofiar Terroru!... Ileż zapadnie bezlitosnych i krwawych wyroków w ostatnich dniach nieuniknionej ucieczki!...

ARESZTOWANIE KALIKSTA.

W tych dniach oplatającej nas wszystkich męki, której wspomnienie budzi w sercu dreszcz zgrozy, poszłam raz z rana po zakupy na Targ Żydowski. Na dole, u wylotu Stołypinowskiej, rząd sowiecki wywieszał codziennie komunikaty wojenne, rozporządzenia obowiązujące i ogromne płachty *Izwiestij*. Zdaleka już dojrzałam tłum ludzi, czytający z zajęciem rozlepione druki. Wśród wielu innych wyróżniały się swą wielkością na rozpostartym szeroko białym arkuszu czarne litery, głoszące morderczo:

«Odezwa Cze-Ka do narodu!»

«Wróg już blisko!!! Białogwardiejska swołocz pod wodzą przekupnych, carskich generałów, wspomagana przez żądnych władzy kapitalistów, zagraża czerwonemu Kijowowi! Nasza bohaterska Czerwona Armja wstrzymuje nacisk stokroć silniejszych Białych! Francuskie i angielskie armaty kładą pokotem tych, co wywalczyli dla was wolność i prawo do szczęścia! Polacy — ci do niedawna niewolnicy nasi, a dziś podli służalcy i lokaje Ententy — dopomagają jej do zdławienia swobody twej, proletarjacie Rosji!

«Lecz niech nie cofnie się wola narodu przed ukaraniem tych, co w naszej jeszcze są mocy! Niech nie zadrży miecz jego: Cze-Ka — przed wykonaniem sprawiedliwości! Gdyby



Kościół w Berdyczowie z cudownym obrazem Pana Jezusa.



Kościół w Latyczowie z cudownym obrazem Matki Boskiej



Kościół w Jarmolińcach.

Ze zbiorów arch. K. Iwanickiego.

się nawet miały polać strumienie krwi — będzie to tylko słabym odwetem za przygotowywaną śmierć proletarjatu! Za śmierć bojowników, śmierć wrogom ludu!!!»

Wróciłam do domu smagana przerażeniem. Kalikst czekał już na mnie. Podał mi *Izwiestja:*

— Dzisiejszej nocy rozstrzelano stu dwudziestu siedmiu! Padli wśród innych Czesław Jakubowski z synem i Kazimierz Krassowski — rzekł z głębokim smutkiem.

Chwyciłam gazetę... Nazwiska rozstrzelanych plątały mi się w oczach... Inżynier, kupiec, kontrrewolucjonista, robotnik, szpieg polski, «pamieszczyca» z ośmnastoletnią córką... wszystkie te tytuły jedynych ich zbrodni i pozycji społecznej zarazem tańczyły wraz z nazwiskami jakiś średniowieczny Taniec Śmierci. Szlochałam nad nimi... szlochałam jak dziecko i długo uspokoić się nie mogłam. Nazajutrz tak się czułam niemocna, że dzień cały przeleżałam w łóżku.

Zmierzchało się już, a Kalikst nie wracał do domu. Opowiadałam Haneczce, siedzącej przy mnie, jakąś zajmującą historję, a w duszy niepokoiłam się jego nieobecnością. Wtem do pokoju wpadła Jawdoszka, załamując ręce:

— Znowu rewizja, proszę pani! Żołnierze już idą po schodach! A tu pana niema!! Hospody, Hospody!!

— Czyż to ma być koniecznie do nas? — rzekłam pocieszająco.

Ktoś zadzwonił. Otworzyły się nagle szeroko drzwi... i na progu naszego pokoju stanął komisarz, żyd, obok niego prezes domowego komitetu. Za nimi tłoczyło się w przedpokoju kilkunastu uzbrojonych żołnierzy.

— Z rozkazu Czrezwyczajnej Komisji rewizja u grażdanina Kaliksta Titowicza Kozickiego — wygłosił dobitnie i uroczyście komisarz.

Grom... i cisza.

— Wzięty w obławie ulicznej... podejrzany... Przychodzą mnie aresztować... Kto go będzie ratował?... Haneczka sama zostanie...

Ile myśli, tyle sztyletów wbijało się w moje serce, a jednocześnie duch, wyćwiczony w twardej szkole cierpienia i walki, nie poddawał się rozpaczy, ale jasno, nakazująco dyktował mi każde słowo, każdy czyn!

— Panie prezesie — rzekłam prosząco, — natychmiast wstanę. Niemiło mi ubierać się przy was. Jeśli to możebne, wyjdźcie na chwilę do przedpokoju. Nie ucieknę.

— Wyjdźmy, towariszczi! — zaproponował prezes.

Cofnęli się wszyscy, tylko przez niedomknięte drzwi jakiś żołnierz kontrolował moje czynności. Narzuciłam na siebie najniezbędniejsze ubranie... Obok mnie stała Jawdoszka, skamieniała, niby posąg boleści, i blada jak opłatek Haneczka.

— Pobiegnę do sklepu... Uprzedzę tatusia... — szepnęła...

Skinęłam głową potwierdzająco. Mogłam być o nią spokojna. Bolszewicy naprawdę oszczędzali dzieci. Już cała komisja wchodziła z powrotem. Haneczka prześliznęła się wśród gromadki żołnierzy i zniknęła za drzwiami.

— Panie prezesie, jestem gotowa spełnić rozkaz czrezwyczajnej Komisji i rewizję ułatwić. Wstałam nawet w tym celu, ale jestem ciężko chora i chodzić długo nie mogę. Oddaję się pod pana opiekę.

Prezes spojrzał na mnie badawczo. Porozumieliśmy się wzrokiem.

— Dobrze — odparł poważnie.

Odetchnęłam... Wiedziałam, że nie pozwoli zabrać mnie do czrezwyczajki i w danym razie poręczy za mnie. Tak się już nieraz zdarzało w innych domach.

— Przeszukać całe mieszkanie! — rozkazał komisarz. — Tylko dobrze rewidujcie — dodał po niemiecku, zwracając się do jednego z krasnoarmiejców.

Ten zaśmiał się brutalnie:

— Selbstverständlich! Sie können ganz ruhig sein!

Komisarz odwrócił się w moją stronę gwałtownie:

— Gdzie są wasze pieniądze? Oddajcie je natychmiast! Nie udawajcie! Wiemy napewno, że dostaliście w tych dniach ogromne sumy.

Cofnęłam się zdumiona:

— Wszyscy tu mogą zaświadczyć, że mój mąż pracuje w kooperatywie, a ja pieczywo sprzedaję po ulicach. Czasem wyniosę na targ, ot, coś z tych resztek... Oto nasze dochody.

Prawda biła z moich słów.

— Tak jest istotnie — potwierdził prezes.

Ustąpił niechętnie komisarz:

— W takim razie, gdzież jest korespondencja męża? — rzucił się znowu gwałtownie.

— Tu — odparłam, wskazując skromny stolik, udający biurko.

W mgnieniu oka przerzucił wszystkie papiery.

— Rachunki z kooperatywy... Wykaz tygodniowy towarów... Cóż to?! Same tylko handlowe sprawy?... List?! Po polsku?!... Sprowadzić mi tu natychmiast kogoś, co to potrafi przeczytać!

Zniknęli dwaj żołnierze i za chwilę wprowadzili jednego z mieszkańców, Polaka. Podszedł do stolika, patrząc na mnie z rozpaczą. Musiał czytać, a truchlał, że mnie zgubi.

— Niech pan się nie obawia — dodałam mu odwagi, — nie mamy żadnych tajemnic.

Zaczął czytać głośno jeden i drugi nic nieznaczący list.

— Głupstwa jakieś — przerwał mu w połowie zdania z wściekłością komisarz.

— Tak — przyznał szczerze uradowany lektor.

— Dość. Możecie iść! — Odprawił go skinieniem ręki, a sam wpadł do drugiego naszego pokoju.

— Czy nie znaleźliście czegoś podejrzanego? — pytał po niemiecku.

— To wykluczone. Przeszukaliśmy wszystko. Jakieś ubrania, bielizna, i to w niewielkiej ilości — odparł tak samo żołnierz. W tej chwili weszła zdyszana Haneczka.

— Sklep zamknięty... tatusia niema... — szepnęła, zbliżywszy się do mnie. Sprawdzały się zatem moje straszne przypuszczenia...

— Chodźcie teraz z powrotem do pierwszego pokoju! — usłyszałam głos komisarza.

Otworzyłam szafę i kufer. Wywrócili wszystko, co się tam znajdowało, umiejętnie i szybko. Nic ciekawego! Wreszcie dobrali się do niewielkiej podróżnej walizki Kaliksta. Pierwszorzędny specjalista w rewizjach, ów Niemiec w mundurze krasnoarmiejca, zanurzył swe palce w bieliznie i krawatach i wydostał dwie pieczątki i arkusz ciemno-błękitnego papieru.

— Hm... to wygląda obiecująco! Zobaczmy, co to być może — mówił z okrutnym uśmiechem komisarz. Rozłożył arkusz.

«Akt władania domami spadkobierców A. I.» — przeczytał ze zdziwieniem. — Wyjaśnijcie, co to znaczy! — Przeszył mię bystrem spojrzeniem.

Był to akt dzielczy, sporządzony po śmierci mego ojca, przed mojem zamążpójściem, i obecnego mego nazwiska na nim nie było. Zaryzykowałam:

— Ot, jacyś znajomi, wyjeżdzając z Kijowa, zostawili

nam te papiery, dziś już niemające żadnej wartości wobec nowego ustroju — rzekłam niedbale.

Mruknął coś niezrozumiale komisarz.

— A to co oznacza? — spytał ciekawie, biorąc do ręki herbową pieczątkę z łabędziem. — Co to za ptica?

— Mój mąż w ten sposób znaczył swoje książki, aby nie zaginęły — odparłam krótko.

Domyślił się nagle:

— Herby, herby! — rzucił szyderczo, patrząc na mnie nienawistnie. — Znaczit dwarianie?! (szlachta).

Patrzyłam mu wprost w oczy: — Tak, dwarianie. Wy żyjecie w czasach komuny i jesteście komunistą. My urodziliśmy się w epoce podziału klasowego. Niema w tem ani zasługi, ani...

— Zamilczcie — przerwał mi gwałtownie. — Aż w uszach wierci to skrzeczenie!

Mówiłam szybko. Pomimo woli, stężałej jak granit, brakło mi tchu, a dusza moja tak była ścięta przerażeniem, jak w zimie rzeka — lodową taflą. W głębi przewalały się dwa najpotężniejsze motywy w owej tragicznej i przełomowej chwili: — Śmierć i życie — Kaliksta i moje...

Komisarz pochwycił drugą pieczątkę. Była to pieczęć szkolna taraszczańskiego powiatu.

— Cóż to za litery? Konspiracja jakaś... kontrrewolucjonnyj zagowor?!

— Ależ nie — zaprzeczyłam żywo, — zajmowaliśmy się z moim mężem szkółką dziecięcą. To jest poprostu pieczątka szkolna. Nietylko komuniści dbają o dzieci...

— Toteż będziecie za takie zasługi należycie wynagrodzeni — rzucił mi, patrząc w oczy tak strasznym, jadowitym wzrokiem, że, gdyby spojrzenie mogło zabijać, padłabym na miejscu nieżywa. Spłynęły na mnie mocne prądy

odwiecznej, rasowej nienawiści potomków Izraela do wyznawców Chrystusa. Wstał z krzesła, schował pieczątki i akt dzielczy do kieszeni, skinął ręką na żołnierzy:

— Idziemy! Dość tej rewizji. Mam wszystko, czego szukałem. Mąż wasz aresztowany — jest w urzędzie milicji...

Wyciągnęłam za odchodzącym ręce błagalnie i rozpaczliwie:

— Za co go wzięliście?! Za co?!...

Odwrócił się raz jeszcze, aby mnie ostatnią zatruć strzałą:

— To się pokaże przy badaniu! — i szybko wyszedł z pokoju, a za nim schodzili po schodach obojętni na te ciągłe tragedje żołnierze.

Zbiegli się natychmiast do naszego pokoju wszyscy mieszkańcy, ściskali mnie, pocieszali... całowała moje ręce Jawdoszka... tuliła się Haneczka...

Stałam martwa... nieczuła! Ten nad wszystko kochany był już pod miażdżącem kołem Terroru! Niedola — pewna, a ratunek tak wątpliwy!!

Zmierzch zapadał. Po dziesiątej sowieckiej nie wolno było wychodzić z mieszkania — dziś zatem nic przedsiębrać nie mogłam.

Jest środa 28-go sierpnia... dzień niezapomniany!

. . . .

Czwartek, 29-go sierpnia.

Budzą mnie promienie wschodzącego słońca. Zasnęłam, klęcząc i modląc się, z głową opartą o łóżko. Pierwszą moją myślą — iść do kooperatywy i tam dowiedzieć się, co zaszło właściwie, dlaczego zaaresztowano mego męża...

Przychodzę tak wcześnie, że zastaję sklep jeszcze zamknięty. O parę domów dalej, przy tejże ulicy Włodzimierskiej, mieści się urząd Milicji miejskiej. Tam noc tę przebył mój biedak. Po dość długiem oczekiwaniu widzę nareszcie zdaleka zbliżającego się subjekta sklepowego, żyda, którego, ku niezadowoleniu Kaliksta, narzuciła mu komisja finansowa, przeważnie żydowska, dająca fundusze na prowadzenie «Kooperatywy Robotniczej». Żyd ten ma twarz poprostu wstrętną, z oczu wyziera mu chytrość i niskie instynkty. Nie dowierzałam mu i nieraz przestrzegałam Kaliksta, aby się przed nim nie zdradzał ze swem ziemiańskiem pochodzeniem.

— Czy wiecie, że mój mąż aresztowany? Co się tu stało? — pytam, patrząc mu bacznie w oczy.

— Wczoraj wieczorem była obława na Włodzimierskiej. Wyszliśmy w kilku ze sklepu i wszystkich nas zabrano do pobliskiej Milicji. Wypuszczono mnie po przesłuchaniu dziś z rana, może i Kaliksta Titowicza lada chwila uwolnią.

Nabieram nieco otuchy, choć dziwne przeczucie spełniającego się nieszczęścia szarpie wciąż duszę.

Nadchodzi kasjerka, miła, młoda panienka, i Josif Michajłowicz (żyd z komisji finansowej).

— Uwolniono mnie jeszcze wczoraj — mówi, — ale obrabowano ze wszystkich pieniędzy. Tanio się i tak wykręciłem! Nie pojmuję doprawdy, dlaczego trzymają tak długo Kaliksta Titowicza.

Wchodzę po kilku schodach do urzędu Milicji.

— Tu wstęp wzbroniony! — warczy gniewnie stojący na straży żołnierz.

— Tam są uwięzieni — mówię błagalnie, — pomiędzy nimi i mój mąż... Jak myślicie, co im grozi?

— Jednych wypuszczą, drugich poprowadzą do czrez-

wyczajki! Ot, i po wszystkiemu! — splunął na stronę. Przepił się już widocznie krwią, przesycił łapaniem burżujów, i znudziło go to wszystko piekielnie.

Stoimy z Haneczką i Jawdoszką na ulicy przed urzędem Milicji, w tłumie ludzi, co tu również przyszli dowiedzieć się o losie wziętych w obławie ulicznej krewnych i przyjaciół. Jeszcze kilka osób zwolnionych po badaniu wysuwa się z Milicji. Kaliksta wśród nich niema...

Wtem zakołysał się tłum... — Idą, już idą... — przemknęły szepty, jak iskra elektryczna.

Z drzwi Milicji, po schodach wychodzą żołnierze i ustawiają się na chodniku w dwóch szeregach. Środkiem idą skazańcy...

— Dokądże ich prowadzą?! — biegnie szmer przerażenia...

— Na razstrieł! — ponuro ktoś bąknął.

— Do czrezwyczajki! — ktoś inny wyszlochał.

Wychodzi wreszcie mój mąż... spokojny, lecz tak blady, jakgdyby życie już zeń uciekło tej nocy... tak smutny, jakgdyby dźwigał na sobie cierpienia wieków. Szuka nas wzrokiem w tłumie... wznosi rękę do góry... i powoli, uroczyście, kreśli w powietrzu raz i drugi znak krzyża świętego... Bogu nas oddaje... Boskiej opiece poleca... Już więcej nic dla nas uczynić nie może!

Wyciągam doń ręce... jakieś słowa miłości, pożegnania, rozpaczy wyrywają się z serca i konają na ustach... Jawdoszka szlocha głośno: — I co my bez pana warte, sieroty nieszczęsne?!!...

Wokoło nas wielki jęk wstrząsnął naraz całym tłumem. Wzburzyła się fala ludzka i otoczyła ze wszech stron uwięzionych, naciskając na żołnierzy.

Dobywa pałasza krasnyj komandir. Zamigotało słońce na stalowem ostrzu.

— Kto raz jeszcze ośmieli się zbliżyć do więźniów... strzelać!!

...Echa dawnych lat... Rok 1905!... «Strzelać!! Nie żałować naboi!!» Trepow... Krew na ulicach... Fala żywiołowego protestu omal nie zalała wonczas carskiego tronu... a dziś — pokornie, choć leniwo, usuwa się tłum.

— Razajdiś!! Otstupi!! — wołają groźnie żołnierze, puszczając tymczasem w ruch kolby karabinów.

— Chleb dla tatusia... — prosi błagalnie Haneczka, podnosząc rączkę z niewielką paczką.

— Nielzia!! — odtrąca ją brutalnie żołnierz — ich tam nakarmią!

I gruby śmiech sytych i zadowolonych zwierząt brzmi wśród krasnoarmiejców.

— Wpieriod!! — wydaje rozkaz komenderujący oddziałem, i pierwszy rusza z miejsca. Za nim idą powoli środkiem ulicy skazańcy, otoczeni zwartym łańcuchem żołnierzy. W pewnem oddaleniu wlecze się ponuro tłum krewnych i znajomych.

Idziemy i my we trzy.

Przesuwa się zwolna przez ulice miasta ten żywy pogrzeb niewinnych ludzi, w kwiecie sił i wieku, idących na śmierć i męczarnie...

Niesie się za nimi żałosny poszum beznadziejnych, zdławionych łkań i westchnień, zamiast wieńców żałobnych...

Przechodnie stają na chodnikach. Gonią wzrokiem ten orszak ponury. Nie odkrywają głów, jak przed konduktem żałobnym, ale uginają się w duszy wobec przesuwającej się jawnie Męki... Orszak już skręca na lewo, aby po Insty-

tuckiej w górę dostać się na Lipki, gdzie znajdują się obie czrezwyczajki.

Zwracam się do Haneczki, milczącej i bledziuchnej jak śnieżek:

— Odprowadźcie z Jawdoszką tatusia. Będziemy wiedziały, w której czrezwyczajce go zamkną, a ja idę po ratunek. Im prędzej, tem lepiej!

Zostaję na Włodzimierskiej. Orszak powoli ginie mi z oczu... miga tylko zdala jasna sukienka Haneczki i czerwona chustka na głowie Jawdoszki. Mego męża nie widzę już za ścianą żołnierzy...

Ach, wyrwać go, wyrwać z tego krwawego piekła! Nie dopuścić do siebie zwątpienia! Nie poddać się rozpaczy! Może go wyratują młodzi P... Oni, jako żydzi, mają wybitne stanowiska i wpływy u władz sowieckich.

Na drugi koniec miasta, na Żylańską, biegnę szybko. Szaleje serce, ból pali się w oczach...

— Na Boga!! Co pani?!... Co panią spotkało?!... — pytają mię w przelocie jacyś obcy ludzie, których wymijam śpiesznie.

— Męża mi wzięli! Męża zabrali do czrezwyczajki!!

— Nieszczęsna... Nieszczęsna... — lecą za mną litosne westchnienia...

Dopadam wreszcie mieszkania P. Zastaję staruszków we łzach. Młodszy syn ledwie uciekł z życiem... denuncjacja... podejrzenie o kontrrewolucyjną działalność. Przychodzili go aresztować z rozkazu Cze-Ka. — Może już nigdy, nigdy go nie ujrzymy! — szlochają oboje. Starszy wyjechał do Moskwy.

Zbiegam ze schodów. Na Włodzimierską — z powrotem... do kooperatywy...

Znowu mijam długie ulice, wreszcie wbiegam do sklepu.

Zastaję tu paru żydów z komisji finansowej. Ze zmęczenia i wysiłku opieram się o ladę sklepową:

— Mój mąż w czrezwyczajce! Ratujcie go, panowie!

Spoglądają po sobie ze zdumieniem:

— Co się stało?! Dlaczego?! Niepojęte!

— Ktoś go wydał — mówię z mocą.

— Ale kto?! Tak go wszyscy ceniliśmy!

— I ja nie znam zdrajcy, ale za parę dni kara boża dosięgnie tego, co nas tak okrutnie i niezasłużenie pokrzywdził! — Mówię, jak w natchnieniu, bez palącej chęci zemsty, lecz w jakiejś dziwnej pewności, że tak się stać musi[1].

— Ratujcie go! Możeby ułożyć podanie zbiorowe w imieniu związku robotników kooperatywy?! Proście o uwolnienie waszego pracownika! Ja z tem pójdę do urzędów sowieckich... dotrę wszędzie, gdzie tylko może być najlżejsza nadzieja ratunku!

Najchętniej się wszyscy zgadzają. Idziemy na Kreszczatyk, tam jest siedziba Zarządu. I tu wieść o aresztowaniu Kaliksta wywołuje niekłamane współczucie. Zbierają podpisy, układają odpowiednią petycję i dają mi wreszcie podanie do Cze-Ka w dwóch egzemplarzach, z prośbą o uwolnienie «naszego niezastąpionego pracownika i druha, oddanego z całym zapałem sprawie robotników, który jest przytem w tak ciężkich finansowych warunkach, że bez jego zarobkowania żona z dzieckiem zostaną w ostatecznej nędzy».

---

[1] W kilka dni potem wojska denikinowskie, wchodząc do Kijowa, wpadły, niewiadomo z jakiej przyczyny, do owego żyda subjekta i doszczętnie go zrujnowały. Wykryło się następnie, że był to denuncjator, wydający czrezwyczajce burżujów i podejrzanych o ukrainofilstwo. Słyszałam również, że przypisywano mu wywiezienie do Moskwy poety ukraińskiego, Czuprynki.

Pewni jesteśmy, że dokument ten jest zredagowany zręcznie i najzupełniej w duchu sowieckich poglądów.

A teraz do mecenasa Józefa Zagórskiego, znanego z umiejętności ratowania ofiar terroru jakiemiś sobie tylko znanemi drogami. Niekiedy udaje mu się! Częściej jednak, niestety, śmierć przecina wszelkie wątpliwości. Nie traci wszakże nigdy odwagi, zabiega o innych wytrwale, aż mu jeden z czekistów mówi z wieloznaczącem skrzywieniem ust: — Słuchajcie, towariszcz! Możebyście tak przestali skomleć nad tymi burżujami, bo, doprawdy, skończy się na tem, że sami powąchacie powietrze czrezwyczajki...

Słucha mnie ze skupieniem.

— Uwięziony... Niewinny... Ratunku!...

Już setki i setki razy podobne słowa, niby zranione ptaki, obijały się o ściany tego pokoju...

— Proszę zostawić mi to podanie — mówi ze smutkiem, — pójdę jutro, ale nie taję, iż wielkiej nadziei nie mam. Ci, których znam, już wyjechali. Faktem jest nieulegającym wątpliwości, że Denikin blisko, a bolszewicy uciekają. Próbujmy jednak!

. . . .

Wracam do domu z iskierką otuchy. Haneczka czeka już na mnie.

— Tatusia zamknęli w gubernjalnej czrezwyczajce. Tak ludzie wokoło mówili. Tatuś w drodze odwracał się do mnie kilka razy, a ja się uśmiechałam, żeby mu dodać odwagi... Taki był blady, bieduś nasz! Chciałam koniecznie dać mu ten chleb i mięsa kawałek... pewno strasznie głodny i nie spał całą noc, ale doprawdy, mamusiu, nie można było! Chińczyk dwa razy odpędził mnie kolbą od drzwi czrezwyczajki!

Ktoś puka; wchodzi do mego pokoju pan Matkowski.

— Nietylko pani płacze! — mówi posępnie. — Dzisiejszej nocy czekiści przetrząsnęli całe miasto. Aresztowano moc osób. Jednym oznajmiano wręcz, że biorą ich jako zakładników, — innych poprowadzono do czrezwyczajki i więzień. I u nas miała być rewizja, lecz prezes ulitował się nad pani nieszczęściem i powiedział żołnierzom, że przed chwilą Cze-Ka łup swój zabrała z naszego mieszkania.

Słucham milcząc, w poczuciu bezsilnego bólu i targającej sercem bezbrzeżnej krzywdy... O Polsko, Polsko, gdzie jesteś?!... Giniemy w mękach... Czyliż pozwolisz mordować twe dzieci?!...

— Wśród znajomych padli ofiarą pani Pogorska i brat jej Ludwik Zaleski. Wpada do nich w nocy rewizja. Żołnierze nie znajdują nic podejrzanego. Już odchodzą. Na biurku stoi fotografja ze ślubu ks. Czartoryskich. Wspaniały pałac, strojne grono gości. Za drzwami jeden z krasnoarmiejców mówi po namyśle:

— Czekajcie, towariszczi! Czuję tam węchem coś niedobrego... Widzieli wy tę «kartoczkę?» Jeżeli tamci kniazja, to ci — napewno także jakieś «grafy»! Ja wam powiadam, wracajmy po nich!

Dzwonią, wchodzą znów do mieszkania: — Chodźcie z nami do czrezwyczajki! Tam się pokaże, czyja prawda. — Wskazują na Ludwika Zaleskiego i siostrę jego, niemłodą już osobę, wątłą i wrażliwą.

— Weźcie lepiej mnie — tłumaczy im młoda Zaleska. — Co wam przyjdzie z takiej schorowanej staruszki? Gotowa wam jeszcze zemrzeć na drodze z przestrachu.

— Nie! Ty jesteś za młoda! Tamta będzie lepsza na «założnicę!»

Prowadzą tedy tych dwoje do Cze-Ka. Tam niejasne

odpowiedzi Zaleskiego co do posiadanego poprzednio majątku wzbudzają podejrzenie. Powtórna rewizja w mieszkaniu, ale tym razem przeprowadzona z fachową umiejętnością, daje fatalny wynik. Znajdują list od rządcy... Za okupacji niemieckiej wziął kontrybucję od chłopów za zrabowane inwentarze... Czrezwyczajka lubi drapować się w togę obrońcy Ludu! Śmierć patrzy już biedakom w oczy! — kończy swe opowiadanie p. Matkowski z ciężkiem westchnieniem.

. . . .

Ku rozpaczy Jawdoszki nie tknęłyśmy nawet obiadu. Zawijamy śpiesznie wszystkie, skromne zresztą, przysmaki, jakie są w domu, i czem prędzej idziemy z tem do Czerwonego Krzyża. Najgorętsze słowa uznania i wdzięczności należą się całej działalności Czerwonego Krzyża w Kijowie w czasach rewolucyjnych przewrotów. Rozszalałe fale bratobójczej walki kładły się ulegle przed prostą, drewnianą bramą, zamykającą oparkanione podwórze tej instytucji. Wewnątrz skromne, drewniane baraki z niewielkiemi okienkami. W głębi stare drzewa, chwiejące litośnie koronami nad ludzką niedolą, bez względu na przyczynę, która ją zrodziła. Takiemiż były niezapomniane «Siostrzyczki». Z niezmiennem, promiennem miłosierdziem niosły te istne Służki Cierpienia pomoc i ulgę przeróżnym więźniom kolejno: hetmańskim, petlurowskim, bolszewickim, wreszcie denikinowskim...

Na podwórzu zawsze pełno. Dziesiątki, setki osieroconych, rozpaczających nad losem najbliższych... Czrezwyczajka dzieli społeczeństwo na żywych i żywcem pogrzebanych. Między temi dwoma światami krążą, jak dobre anioły, zawsze z jednaką, niezachwianą dobrocią, czarno ubrane Siostrzyczki.

Przez małą furtkę wchodzimy do Czerwonego Krzyża. Na podwórzu tłum i Siostrzyczki. Podchodzimy do jednej z nich. Śliczna, słodka twarz.

— Już i mój mąż w czrezwyczajce. Przynosimy dla niego jedzenie.

— Zawieziemy to jutro — mówi Siostra, — ale uprzedzam panią, że w czrezwyczajce panuje komuna. Dzielimy żywność pomiędzy wszystkich więźniów. Są tacy, o których nikt nie pamięta.

— Ależ tak, naturalnie — potwierdzam gorąco. — Oni wszyscy są braćmi w nieszczęściu! Siostrzyczko, miła, dobra, proszę szepnąć słóweczko tylko memu mężowi, że staram się o jego uwolnienie.

— Ach, czy tylko to będzie możebnem! — wzdycha Siostra z żalem. — W ostatnich dniach bolszewicy zaostrzyli swe postępowanie z nami. Już nas nie wpuszczają do czrezwyczajki, a jedzenie odbierają przy drzwiach. Jeszcze nie tak dawno wchodziłyśmy tam swobodnie. Nie wiemy dlaczego nastąpiła taka zmiana.

Nadchodzi wieczór. Słońce ucieka kędyś w zaświaty. Po ulicach snują się szare tony. Wracamy do domu. Noc rozpina czarny swój całun... Noc okrutna, królestwo ciemnych Władców życia i śmierci... Męczeńskie godziny krwawych porachunków... Wszyscy śpią. Ja czuwam. Mam jakąś niezachwianą pewność, że moje modlitwy lecą przez puste ulice, przedzierają się przez ściany czrezwyczajki i tworzą dokoła mego biedaka puklerz ochronny...

Czuwam noc całą...

Piątek, 30 sierpnia.

Ósma rano (istotnie wpół do piątej). Idziemy z Haneczką na Lipki do urzędu sowieckiego, który przyjmuje

podania o uwolnienie więźniów. Droga daleka — ale wytrwale drepcą nóżki dziewczynki. Po ratunek! Dla tatusia!

Żołnierz stoi na straży:

— Nie przyjmują tu żadnych podań. Niema nawet urzędników — mówi obojętnie; nie jest ani rozbestwiony, ani współczujący naszej niedoli.

— Więc powiedzcie nam, towariszcz, dokąd mamy iść?

— Ot tam! — wskazuje ręką — widzicie ten wysoki dom, o parę ulic dalej?

Idziemy śpiesznie. Przed piękną kamienicą gromada żołnierzy. Gawęda, żarty, śmiechy.

— Stójcie! do kogo idziecie? Tam nie wolno!! — wołają, widząc, że już przestępujemy próg.

— Zaaresztowali mi męża. To jest prośba do Cze-Ka o wypuszczenie go na wolność.

Wzruszają ramionami z pogardą:

— W głowie nam teraz jakieś parszywe cywile!! Nikogo tu niema, prócz straży. Dobry czas wybraliście na podania...

— Więc do kogoż mam się z tem zwrócić? — pytam z rozpaczą.

— Próbujcie w Ukraińskiej Cze-Ka. Tam oni także zabawiają się podobnemi sprawami. Eto nie nasze dieło! — śmieją się cynicznie.

Dezorganizacja zupełna... uciekają... ostatnie chwile! — błyska myśl pewna i jasna. Stajemy przed Ukraińską Cze-Ka. Wspaniały, biały gmach. Przy drzwiach żołnierz z karabinem, na straży.

— Co wam?!... Tu wstęp wzbroniony! — wstrzymuje nas nakazująco.

Patrzę mu w oczy błagalnie:

— Męża mi wzięli! Chcę go ratować Pozwólcie nam wejść!...

Dobry jakiś człowiek. Usuwa się na bok, wzruszając ramionami:

— Idźcie! — mówi łagodnie, a w głosie jego brzmi podziw, że ktoś dobrowolnie tu wchodzi.

Jesteśmy w wysokim, obszernym hall'u. Z jakichś drzwi wylatuje nagle komisarz.

— A wy tu czego?! Mózgu nie masz, ty sobaczy synu?! Jakiem prawem puszczasz postronnych?!

Podaję mu prośbę: — Robotnicy dopominają się uwolnienia...

Przebiega szybko wzrokiem papier:

— Co za brednie!! — wykrzykuje gniewnie. — Wzięła go Gub-Cze-Ka! Idźcie sobie tam! My jesteśmy dla ukraińskich knowań. Nic wspólnego z tamtymi nie mamy!! Ubirajtieś!... — odprowadza nas do drzwi.

— A ty, padlec, raz tylko jeszcze spróbuj mi kogoś wpuścić z ulicy... Pod ścianką sam staniesz! Zapamiętaj to dobrze, bydlaku!!

Schodzimy ze schodów powoli, zgnębione zupełnie. Czyż to możebne, żeby wszystkie drogi ratunku były zamknięte?!...

Wtem za nami z łoskotem zatrzaskują się drzwi czrezwyczajki... Zbiega z marmurowych schodów wysoki, szczupły blondyn w wojskowym płaszczu. W ręku trzyma dużą, czarną tekę, przepełnioną papierami. Jakiś dygnitarz sowiecki! Na ulicy czeka nań auto-motor warczy niecierpliwie...

Podchodzę do niego:

— Towariszcz, zlitujcie się! Chwilkę tylko... Męża zabrała mi czrezwyczajka, nigdzie nie chcą przyjąć tego podania... Cóż mam robić?! Poradźcie... błagam...

Patrzy mi w oczy stalowym wzrokiem człowieka, co nie zna litości. Jakiś fanatyk, i to na chłodno, wyrozumowany! Mówi tak równomiernie i bez najmniejszej zmiany tonu, jak nastawiony na pewną szybkość karabin maszynowy: ta—ta—ta—ta... — Podanie niepotrzebne! Czrezwyczajka sprawiedliwa. Rozpatrzy sprawę, a wtedy wyda wyrok. Niewinny—wypuszczą; winny— rozstrzelają. Nie macie się czego niepokoić.

Wskakuje do automobilu... już odjechał... Gonimy za nim wzrokiem z osłupieniem. Dokądże iść?!... Jak ratować?!..

Wleczemy się powoli... Haneczka obejmuje mnie w pół. Aż ciężko spojrzeć na twarz dziewczynki, postarzałą nagle w ciągu tych paru dni...

Instynkt tęsknoty i miłości prowadzi nas bezwiednie na Lipki, przed biały dom gubernatorski. Dziś rozsiadła się tu krwawa Zmora! To — Gub-Cze-Ka!... Za temi ścianami — Kalikst!...

Przed domem kilkunastu Chińczyków, trzymających bagnety w pogotowiu. Na ulicy tłum. Słychać zdala szlochania, jęki, biadania:

— Męża zabrali!... Syna trzymają już trzeci miesiąc!!.. A rozstrzelali już ilu?!!... — I za co?! Za co?!... — Warwary!! Izwiergi!!... — Boże, ratuj nas!

Cisną się ludzie przemocą pod same prawie ściany czrezwyczajki. Chińczycy walą kolbami: — Won!! Uchodi! Strelaj!!! — wykrzykują, kalecząc dziwnym, gardłowym akcentem z trudem wyuczone rosyjskie pogróżki.

— Całemi godzinami tak tu stoimy — mówi do mnie jakaś niziutka, przygarbiona staruszka.

— Cóż to pomoże?! — szepczę w bolesnej udręce.

— Bóg tylko wie! A może przeprowadzą któregoś

z nich na Łukjanówkę, do więzienia... Przynajmniej można rzucić ostatnie: Żegnaj, rodzony!

Pierścień Cierpienia opasuje milczący, biały dom. Wewnątrz panuje Męka. Jakże ciężko tu stać i wpatrywać się w zamknięte okna... tak ciężko, że idziemy do Czerwonego Krzyża. I tu tłum zrozpaczonych, łkających... Siostry pocieszają, dodają otuchy... Widzę zdaleka Ludwikową Zaleską, bladą, jak cień, w czarnej sukni. Podchodzi do mnie pan Zagórski:

— Niestety, nic uczynić nie mogłem! Wprost niema z kim mówić. Jedni wyjechali, do innych dostać się niepodobna. Terror rozszalał się nad Polakami. Podobno z Denikinem idą wojska polskie, choć nie wiem w rzeczywistości, skąd powstała ta wersja.

Siostry boleją nad więźniami. Nie wpuszczono ich do czrezwyczajek, nie widziały żadnego ze skazanych.

Ktoś z przyjaciół przypomina mi, że znam z dawnych czasów jednego z wysokich urzędników sowieckich, zajmującego wybitne stanowisko w administracji miasta. Rzeczywiście — wszakże żona jego była ongi służącą «z praniem i prasowaniem» na wsi u sąsiadów. Natychmiast udaję się do niego. Mieszka w dzielnicy arystokratycznej, wysoko bo na piątem piętrze, ale pokoje ślicznie umeblowane. Otwiera mi drzwi poczciwa Tania — dziś Tatjana Michajłowna. Nic się nie zmieniła: pulchniutka, dobra twarz, przymrużone oczy, ani śladu śmiesznej próżności.

— Czy poznajecie mnie, Tatjana Michajłowna? — pytam życzliwie.

— Ależ naturalnie. Widzę tylko, że pani bardzo przybladła. Proszę wejść — zaprasza uprzejmie.

W głębokim fotelu tonie Kuźma Pawłowicz. Pali papierosa. Dobrze mu. Nie jest wywrotowcem, ale wierzy

mocno, że podmuch dziejowy zwalił tron i panów, a wyniósł na wyżyny władzy lud i jego samego. Jest sumiennym urzędnikiem i cieszy go nowe stanowisko. Zupełnie jak w bajce o rybaku i rybce. Słucha mnie uważnie, przegląda podanie.

— Z zasady nie bronię nigdy burżujów — mówi z namysłem, — trudne to, niebezpieczne, a przytem mało który z nich na to zasługuje, ale tu — wyjątkowo — spróbuję. Pamiętam z dawnych lat, że mąż pani dobrym był dla swojej wsi. To atut wielkiej wagi. Takich-by nam trzeba!... Najlepiej niech przejdzie do naszego obozu. Źle nam idzie z chłopami. Nieustanne bunty i powstania!

Milczę uparcie. Nawet za cenę życia Kaliksta nie może mi przejść przez gardło obietnica współpracy z tym rządem morderców.

— Znam osobiście Łatisa (naczelnik czrezwyczajki, Łotysz), jutro z rana pójdę do niego — odzywa się znowu Kuźma Pawłowicz.— Przyrzekam pani, że zrobię wszystko...

— Byleby tylko... żył do jutra... — słowa te z trudem przeciskają mi się przez usta.

— Już wieczór, i Łatis o tej porze nie przyjmuje. A dlaczego buntujecie się przeciw nam?! Terror — to kara! Ufajmy jednak, że mąż pani nie padnie ofiarą. Jutro o 11-tej proszę tu zajść. Mam nadzieję, że nowiny będą pocieszające.

Wracam do domu. W drodze błyska mi nagła myśl, by odwiedzić Henryka Wilczyńskiego. Przecież i on był więziony w czrezwyczajce w ciągu kilku tygodni i przedwczoraj zaledwie odzyskał wolność. Tam zdobędę może wskazówki, do kogo jeszcze mam się udać, aby jak najprędzej wyrwać Kaliksta z tego miejsca tortury.

Na odgłos dzwonka oboje Wilczyńscy wybiegają do przedpokoju i otwierają mi drzwi. Czasy są tak tragiczne, że ten zwyczajny pobrzęk może być sygnałem śmierci. —

Rewizja... powtórne aresztowanie... czrezwyczajka... bezmyślny szał terroru... wszystko jest prawdopodobnem wśród codziennych, szaleńczych czynów, dotykających ludzi zdławionych bezprawiem.

Henryk Wilczyński jest tak niesłychanie zmizerowany i wychudzony po pobycie w czrezwyczajce, że patrzę nań z bólem, ale on ten smutny wyraz moich oczu przypisuje zapewne osobistemu naszemu nieszczęściu, bo ściska serdecznie moje ręce, mówiąc:

— Jakaż pani biedna! Proszę wejść i odpocząć u nas. Chwieje się pani wprost ze zmęczenia! Czy jest przynajmniej jakaś nadzieja ratunku dla pana Kaliksta?!

— Tak. Od paru dni poruszam wszelkie sprężyny, aby jak najprędzej go uwolnić. I tu zaszłam do państwa, aby powiedzieć, jak niezmiernie się cieszę z tej pomyślnej zmiany waszego losu, a następnie chcąc się dowiedzieć, komu pan zawdzięcza swoje uwolnienie?

Radosny uśmiech rozjaśnił twarz Wilczyńskiego. Wzniósł rękę i rzekł z głębią uczucia w głosie:

— Komu zawdzięczam swą wolność? Oto tej cichej, nieśmiałej kobietce — wskazał mi żonę. — Nigdy nie przypuszczałem, aby w niej kryło się tyle odwagi, tyle przedsiębiorczości i bohaterstwa. Nie czuła najlżejszego lęku wobec apokaliptycznych smoków czrezwyczajki! Chodziła do nich codziennie, czasem przyjęta, częściej jeszcze odpędzana, błagała, płakała, dokuczała prośbami, zawsze cierpliwa i nieugięta, aż wreszcie uzyskała dla mnie wolność. Byłem już przeznaczony na zakładnika i z czrezwyczajki odesłano mnie do obozu jeńców. Codziennie, zaprzągnięty do beczki, woziłem wodę do obozu. Przy studni spotykaliśmy się z żoną. Umiała mi zawsze szepnąć niepostrzeżenie parę krzepiących słów, które potem unosiłem z sobą jak błogosławione świa-

tełko w smutku i przygnębieniu. «Czynię wszelkie starania!»... «Jest nadzieja!»... «Dzień wolności blisko!» O tak! Nasze kobiety — to bohaterki, i to tem większe, że nieraz nie doceniają wartości swych poświęceń!

. . . .

Już trzecia noc męczeńska... O Matko litości pełna, owiń w płaszcz Twój cudowny mego biedaka! Niech go nie dojrzy Śmierć w tych krwawych ścianach-...

. . . .

Sobota, 31-go sierpnia.

Może go dziś wyratuję! Wychodzę z domu pełna otuchy. Haneczka nie chce mnie opuścić nawet na chwilę, gdyż są podobno obławy uliczne w różnych częściach miasta. Zachodzimy po drodze do Czerwonego Krzyża. Znajoma Siostra podbiega ku mnie, załamuje ręce... pogodne zwykle jej oczy zamglone dziś przerażeniem:

— W nocy rozstrzelano Ludwika Zaleskiego z siostrą... mego brata również...—Blade usta z wysiłkiem wymawiają te słowa.

Na podwórze wjeżdża wózeczek, zaprzągnięty w jednego, niewielkiego konika. Schodzą zeń pośpiesznie dwie Siostry. Otaczamy je wszyscy dokoła, albowiem są tak znękane, że wstrząsa nami dreszcz trwogi i przeczucie nowego nieszczęścia...

— Wracamy z czrezwyczajki. Coś niezwykłego tam się stało! Odpędzono nas od drzwi i nie przyjęto żywności, oznajmiając, że już... niepotrzebna!

— O Boże wielkiego miłosierdzia, zlituj się nad nami!! Gdzież więźniowie? — Szloch... jęk... wołania drżą żałośnie w powietrzu, niby naciągnięta struna, w którą uderza Ból! Wzniesione w górę ręce żebrzą litości...

Straszno... brak tchu...

Do Kuźmy Pawłowicza!! Może tam dowiemy się prawdy! Biegniemy z Haneczką prawie pędem przez ulice, wpadamy do mieszkania... Przez wpół otwarte drzwi widzę zdala leżącą na kanapce Tatjanę. Gwałtowne szlochania wstrząsają nią co chwila, łzy zalewają twarz...

— Tania!!—wołam, zapominając o wszystkich jej nowonabytych dostojeństwach — na litość Boską, mówcie, co się tu stało?!

Podnosi ku mnie zbolałe oczy:

— Wczoraj pani płakała nad swoim mężem... dziś ja zostałam osierocona, nieszczęśliwa... Czy ja go jeszcze kiedy zobaczę?! — Głos jej się łamie, i znowu szlocha rozpacznie...

Chwytam ją za ręce i potrząsam z całej mocy:

— Tania!! Zlitujcie się!! Nie pojmuję... Uwięzili Kuźmę?!... Może za to, że chciał ratować mego męża?!...

— Nie... nie... Denikin dziś ma wejść do Kijowa... W nocy towarzysze przyszli po Kuźmę... zabrali go... Uciekają wszyscy... Nie wiem nawet, co z nim się dzieje... Może gdzieś padnie od kuli... — załamuje ręce.

— Gdzież są czekiści?! Gdzie Łatis?! Co się stało z więźniami?!

— Całej czrezwyczajki już niema. A z więźniami Bóg tylko jeden wie, co zrobili!!

Zbiegamy po schodach na dół. Na Lipki, na Lipki, do czrezwyczajki!!

Rozpacz dodaje nam sił. Po kilku minutach już jesteśmy przed gmachem Gub-Cze-Ka. Pusto na ulicy... nie widać ani tłumów, ani Chińczyków...

Wszystkie okna na dole i na górnem piętrze rozwarte naoścież. Słońce zalewa ciepłem i jasnością wnętrze opuszczonego najwidoczniej budynku. Na framugach dolnych

okien siedzi kilku krasnoarmiejców, w niedbałych pozach, z nogami opartemi o białe ściany. Wygrzewają się na słońcu. Wróble, świergocąc i zataczając kółka, wpadają i wylatują z tych męczeńskich pokoi. Śmierć już stąd odeszła... ustąpiła miejsce — Życiu... a cały ten obraz jest pełen tak tragicznych kontrastów, że nogi się podemną uginają wobec okrutnej rzeczywistości... Zbliżam się do żołnierzy:

— Powiedzcie mi, towariszczi, czy jest na górze ktoś z czekistów?! Może towariszcz Łatis?! Chciałabym z nim pomówić w sprawie więźnia.

Wymachują obojętnie rękami: — Niema go. Ujechał. I czekiści razem z nim. Nikogo tu niema.

— A więźniowie?!...

— Śladu już ich nawet niema! Tu pusto zupełnie. Wejdźcie, to sami się przekonacie.

— Jakto?! Co wy mówicie?! Tylu ich było! Cóż z nimi zrobili?! Gdzież oni są?

Żołnierze odpowiadają mi leniwie i od niechcenia:

— Ot, dopiero wielka ważność! Jednych rozstrzelali— drugich wypuścili! Kończeno dieło!

— Tu był przez kilka ostatnich dni mój mąż, Kozicki. Może przypomnicie sobie, co z nim się stało.

— Ktoby tam ich wszystkich się napamiętał — wzruszają ramionami pogardliwie. — Ot, chodzili tu, chodzili, a potem padali, jak te muchy w jesieni!

— Izwiestno, burżuje, słabyj narod! — śmieją się.

Chwieję się... tak mi słabo. Haneczka podtrzymuje mnie. Jakiś żołnierz lituje się nad nami:

— Wracajcie lepiej do domu. Może zastaniecie tam waszego męża? Może go nie rozstrzelali.

— Dziękuję wam, towariszcz, za dobre słowo! Dobrze mówicie, przecież i tak być może!!



Zakrenicze Marjana i Henryka Wilczyńskich.

XVII



Jakimówka P. Gnatowskich.



Salon w Jówkach E. Pogorskich.

Wśród nieśmiałej radości i szarpiącej chwilami trwogi idziemy szybko na Stołypinowską. Na nasze spotkanie wypada aż na ulicę Jawdoszka:

— Pan żywy!! Pan żywy!! — woła radośnie zdaleka.

— Powrócił?!! Gdzież jest?!! — biegniemy tak ku niej, że przechodnie stają i oglądają się za nami.

Jawdoszka twarz ma rozpromienioną, opowiada szybko i nieco bezładnie, a chwilami wzruszenie tamuje jej oddech:

— Ledwo pani wyszła, tak może w trzy minutki potem... wpada do naszego mieszkania jakiś obcy pan... Blady, bez czapki... jakby niezupełnie przytomny... «Dopiero co — mówi mi — wypuścili mnie z czrezwyczajki! Do cerkwi tylko wbiegłem, Bogu podziękować za ratunek — mówi — i zaraz tu do was! Tak przysiągłem Kozickiemu... On żywy jest... ratujcie go tylko prędko, żeby późno nie było!... Przez związek robotników najlepiej, tak on wam kazał powiedzieć» — mówi, i żegna się sam, że to żywy jest i na swobodzie! — «Do swoich mi trzeba!» — mówi znowu i jak ten pomieszany pobiegł po schodach z powrotem...

— Któraż to mogła być wtedy godzina? Czy spojrzałaś na zegarek, Jawdoszko?

— Właśnie jak my z nim rozmawiali, wybiła w jadalnym pokoju 8-ma (sowiecka).

Więc żył przed 8-mą!... teraz już jest 11-ta! Co stać się mogło w tych paru godzinach?!...

Do Czerwonego Krzyża! Tam rada i pomoc! Na ulicach zwykły ruch. Nie znać jeszcze w atmosferze miasta zbliżających się, nieuniknionych już zmian, lecz tu, za tą drewnianą, prostą bramą Rozpacz panuje wszechwładnie! Przecisnąć się trudno przez tłum... Hiobowa wieść, że w czrezwyczajce niema już ani tyranów, ani ofiar, lotem strzały przemknęła wśród krewnych i przyjaciół uwięzionych. Rozlega się

jedno wołanie, jeden zdławiony jęk: Gdzież są więźniowie?! Gdzie nasi synowie?! Gdzie bracia i przyjaciele młodości?! Jaki los spotkał mężów i ojców tylu osieroconych rodzin?!

Ach, jak rozdzierającym jest ten jęk, te twarze skurczone bólem, te oczy, z których wyziera Męka!...

Jak niepojęcie zuchwałymi są ludzie, którzy rozpętali taki bezmiar cierpienia! Odszukałam wreszcie p. Zagórskiego:

— Niestety, potwierdza się wiadomość, że Łatisa już niema w Kijowie—mówi mocno wzruszony;—w ostatniej chwili czrezwyczajka skończyła swe porachunki z więźniami. Kto nie powrócił do domu dziś rano — rozstrzelany! Proszę się przygotować na najgorsze!

W moich oczach maluje się snadź coś strasznego, bo Siostra, słuchająca naszej rozmowy, porywa mię nagle za rękę i wstrząsa mną gwałtownie:

— Pani mąż żyje! Proszę natychmiast iść nad Dniepr— tam bolszewicy ładują statki! Może zabrali go do robót. Niech tylko pani poszuka go wszędzie!

Jak zahipnotyzowana, z jarzącą się znowu iskierką nadziei, wychodzę na ulicę i szybko idę nad Dniepr.

. . . .

Na olbrzymiej, rozciągniętej w dole płaszczyźnie, wyginając się i rozlewając szeroko, leniwo płynie Dniepr. Roztopionym szafirem swych wód przecina żółciejące piaski równiny. W pierścienny krąg pochwycił niewielką Turchanową wysepkę. Różnobarwna lawina domów i zieleni opada od najwyższych wzgórz aż nad szemrzący szlak wodny. Tu, na dole, wiecznie ruchliwy, wiecznie czujny, handlowy Padoł.

Wokoło przystani cała flotylla spacerowych statków, i płaskich, przewozowych barż. Wszystko w pogotowiu. Planowy odjazd w porę, z narabowanem dobrem. Po rzece uwi-

jają się podłużne, wąskie łódeczki, niby ciemne, ruchome plamy w oddali. Cały brzeg Padołu zawalony worami z mąką i cukrem. Wśród spiętrzonych stosów — pracujące mrowie ludzkie. Ładują, co się da, byle jak najszybciej z tem skończyć. W oddali pomrukują nieustannie działa. Bitwa się toczy — jeszcze daleko, lecz wynik jej już snadź wiadomy, bo zwinne łódeczki chwytają co chwila, niby skrzętne mrówki, jakieś okruchy olbrzymich zapasów i topią je w Dnieprze. Byle nie zostawić znienawidzonym «białym»! Po gościńcu, łączącym miasto z Padołem, dudnią przeciągle przelatujące niekiedy, naładowane gruzowiki (auta ciężarowe). W pośpiechu i nieładzie rzucono tu góry mundurów, połcie słoniny, wory z cukrem, maszyny do pisania... Wszystko to goni wężowemi skrętami z góry w dół, a następnie prostą, wyciągniętą wzdłuż brzegu linją — aż do przystani. Tuż za rzeką stoją w zwartych szeregach czernigowskie szpilkowe lasy. Maleją w oddali, wreszcie znaczą się jak czarna, wygięta kreska, dzieląca półkole ziemi od opartej na niem kopuły nieba.

Szerokim rzutem jaskrawej zieleni wdarły się w lazury przestworza ogrody Kupiecki i Cesarski. Niby złocistą lamą powleczone, skrzą się tysiącem blasków bizantyjskie kopuły cerkiewne. — Samotna i prześliczna wznosi się na wzgórzu Andrejewska cerkiewka. Opodal — olbrzymi św. Włodzimierz z krzyżem w dłoni patrzy na swój lud i duma... Zwarte kordony krasnoarmiejców ciągną się od przystani w górę, ku miastu, broniąc dostępu do rzeki. Za niemi, na zielonych wzgórzach, tłumy widzów. Głowa przy głowie. A nad tem wszystkiem — słońce, jak rozjarzona, złota pieczęć na przeczystym błękicie.

Zaklęta baśń średniowiecza przypłynęła kędyś z mroków przeszłości! Przyniosły ją senne, dnieprowe wody pod mury «złotego Kijowa». Jakieś obce książątko najechało,

złupiło, ładuje zrabowane... A lud patrzy ciekawie... Dziwuje się w pokorze sile i zuchwalstwu. Tak było ongi — tak jest i dziś! Cisza. Nie zadrży liść na drzewie... zamilkli ludzie. Słychać tylko wyraźnie komendę z dołu:

— Ra-zem! Ła-duj! Od-pły-waj!!

Stoczyła się ze wzgórz mnogość niezliczona krasnoarmiejców i skarbów żywności przebogatych ziem kresowych tuż nad umykający wodny gościniec. Wywiozą to wszystko do głodującej Rosji, wzmocnią tam władanie ciemnemi masami. Kołyszą się ociężale w długim szeregu przeładowane statki. Niektóre ciągną za sobą szerokie, głęboko siedzące w wodzie, przeciążone worami barże. Za niemi — zostaje odarty z własnego dobra, ogłodzony Kijów. Niesie Dniepr na swym grzbiecie łupiezców. Przeciw prądowi umykają w stronę Homla. Lecz nieujarzmiony jeszcze prawy brzeg! Toczą się wody do wolnego Zaporoża... Tam — bijąc o porohy w noc księżycową — wyłkają żałosną pieśń o ludzie, co łaknął wolności, a dostał się w krwawą moc stokroć groźniejszych tyranów... Wyłowi z wodnych poszumów te echa niemilknące jakiś lirnik nieznany... zaklnie je w potężną pieśń Bólu i Zgrozy!

I będą ją zczasem śpiewali wnukowie, opłakując smutną dolę pradziadów...

. . . .

Rozstawiono wszędzie kordony krasnoarmiejców. Zwracam się do nich prosząco:

— Pozwólcie mi przejść do przystani. Chciałabym się z mężem pożegnać.

— Zapreszczeno! — odpowiada mi któryś z niewzruszonym spokojem. — Nie macie czego rozpaczać. My i tak prędko powrócimy, to wtedy mężem się nacieszycie.

Idę wzdłuż szeregu żołnierzy, upatrując miejsca, gdziebym mogła jakoś się prześlizgnąć.

— Cóż to za uparta kobieta! — woła wesoło młody żołnierzyk. — Tak wam pilno na Padoł? Ot, lepiej, ciotko, zamiast wałęsać się tutaj, jedźcie z nami do Moskwy.

Pilnują sumiennie. Niema wprost sposobu przedrzeć się przez ten żywy łańcuch. Wracam przez Kreszczatyk i wchodzę do Zarządu kooperatywy, której kierownikiem był Kalikst. Na mój widok budzi się współczucie nawet wśród tych obcych. Jeden z nich idzie ze mną do Grand-Hotelu, gdzie się umieściły władze bolszewickie. Zna on osobiście kogoś wpływowego. Po chwili zbiega ze schodów:

— Niema go! Wyjechał istotnie. Powiedziano mi, że władza przeszła w ręce wojskowych. Dano mi adres. Chodźmy na Lipki. Byle tylko odszukać jakiś ślad męża pani!

Szybko, w ciągłej obawie przed obławą uliczną, pniemy się w górę. Na Bankowej stoją armaty, wokoło nich żołnierze rozłożyli się taborem. Odsyłają nas od jednej instytucji do drugiej. Wszędzie nieład, dezorganizacja, brak urzędników, popłoch... ostatnie chwile!!...

Idę do Czerwonego Krzyża i tam zaszywam się w jakiś kącik pod drzewami. Nikt mnie nie widzi, i tu mi jeszcze najlepiej. Haneczkę odsyłam do domu, bo sił już jej brak zupełnie po całodziennem, wytężonem gonieniu z miejsca na miejsce. Jedna myśl pali serce żarem nie do zniesienia: Nie umiałam go wyratować!! Słyszę wreszcie, jak ktoś opowiada z radością, że Smirnow, słynny śpiewak rosyjski, wyrwał jakiegoś więźnia, i to dziś, w ostatniej chwili, z liczby skazanych.

— Nic dziwnego. Władze bolszewickie popisywały się chętnie swem zamiłowaniem do sztuk pięknych, pragnąc

uchodzić wobec Europy za ludzi wysokiej kultury. Jedno słowo takiego śpiewaka...

Porywam się z miejsca...

— Gdzie mieszka Smirnow? Pójdę zaraz do niego!

— Ależ to szaleństwo! Już teraz nikt pomóc nie jest w możności! — wstrzymują mnie. — Pani nie przejdzie... wszędzie obławy uliczne.

Idę tak śpiesznie na drugi koniec miasta, że prawie biegnę. Czas nagli. Jeszcze są w Kijowie bolszewicy, jeszcze można się od nich dowiedzieć o losie Kaliksta. Na Aleksandrowskiej wlecze się leniwie pod górę, cofająca się snadź przed Denikinem, Czerwona Armja. Marna, obszarpana piechota. Wychudzone koniska ciągną z trudem niewielkie armatki. Oddziały idą w nieładzie środkiem ulicy i po chodnikach. Wśród nich i ja się plączę. Pewna jestem, że nic złego mię nie spotka!

Tak szalone napięcie sił duchowych czyni człowieka wprost nietykalnym. U zwykłych ludzi — są to tylko przelotne momenty. U niezwykłych — jest tak stale, stąd ich potęga. Dobiegam wreszcie do mieszkania Smirnowa, gdzieś aż za Meryngowską. Działa huczą coraz donośniej, niby odgłosy zbliżającej się burzy.

Otwiera mi drzwi przemiła staruszka o słodkiej twarzy i białych włosach, rozczesanych na dwie strony, jak dwa skrzydła białego gołębia.

— Niema w domu Smirnowa. Poszedł na całą noc do znajomych. Mogą miasto bombardować z tej strony.

— Niema... A ja myślałam, że pomoże mi męża odszukać... Zginął... bez śladu... z czrezwyczajki... Dziś rano żył jeszcze...

Kiwa głową ze współczuciem i kreśli szybko w powietrzu maleńki, mocny w intencji krzyżyk:

— Bóg z wami, gołubuszka! Wracajcie do siebie jak najprędzej! Teraz chodzić niebezpiecznie.

Zmierzch zapada, jeszcze niewidoczny, a już bliski. Ulice prawie puste. Spotykam zaledwie kilku zapóźnionych przechodniów, którzy również śpieszą do domów. Walą z dział coraz potężniej zbliżający się «dobrowolcy».

Gdzieś, w oddali, cienko, urągliwie odzywają się uchodzące bolszewickie armatki. Na rogu Kreszczatyku i Proreznej, nad wspaniałą kamienicą George'a, biją w oczy olbrzymie, czerwone litery na białem tle. Wieczorny wiatr uderza lekko w płótno. Falują, jak żywe, złowieszcze słowa: «Pokój lepiankom — wojna pałacom!»

Każda litera, niby rozpalona żagiew, podsycana nienawiścią, urągać się zdaje: «Wszczepiono nas w serca ludu! Jadem chciwości i zemsty zatrułyśmy mu dusze! Nie dokonacie zaczętych prac! Nie wrócicie do gniazd waszych! Napróżno łakniecie spokoju... napróżno!!»

. . . .

Jestem już w domu. Mogę odpocząć... lecz ból drze duszę na strzępy. Innego określenia na to nie znam. Jak przez sen pamiętam: Obejmuje mnie Haneczka, szepce tkliwie: — Tak się bałam, matusiu, że i ciebie stracę!

Jawdoszka przebiera mnie w swoje suknie, wiąże chustkę na głowie, kładzie na swojem łóżku... Podobno bolszewicy, odchodząc, nakazali rzeź inteligencji.

— Pani jest moja siostra, chora!— i siada obok mnie, gotowa do obrony.

Jakaś wrzawa na podwórzu... banda stoi za parkanem... prezes z mieszkańcami pertraktują...

Wtem głośne, tryumfalne okrzyki: «Dobrowolna Armja» zajęła Kijów!!

. . . .

Za oknami noc, ciemna, bez gwiazd. Haneczka śpi na mojem łóżku. Jawdoszka oparła głowę o kanapkę... I ją sen zmorzył...

Klęczę, szukam ratunku w modlitwie... Jak ciężko żyć!!...

Wtem głośny, przeciągły grzmot... wstrząśnienie—i ostry, przenikliwy gwizd pocisku, rozdzierającego powietrze; za nim lecą, wyjąc zgrzytliwie, dziesiątki niszczycielskich granatów... Jakaś straszna chmura, łyskająca co chwila rozgłośnym piorunem i plująca deszczem syczących szrapneli, szaleje nad uśpionem miastem. Z twierdzy na Peczersku, zajętej przez denikinowców, zaczynają grzmieć potężnie i dostojnie wspaniałe działa, dostarczone przez aljantów, szukając w ciemności niewidzialnego wroga. Zuchwały stateczek bolszewicki pod osłoną nocnych mroków bombarduje na pożegnanie wyzwolony Kijów.

— Wrócimy do was! Wrócimy!!—świszczą szyderczo pociski, lecące od Dniepru.

— Precz stąd, mordercy!!—huczą działa z Peczerska.

— Tyś brat mój — jam twój brat!! — krzyżują się co chwila nienawistnie groźne wybuchy z obydwóch stron.— Walczą dwa Olbrzymy! Biją maczugami, aż echo przewala się w powietrzu. Ciężką noc miało umęczone miasto pod nowemi rządami.

Dopiero nad ranem ucichła grzmiąca rozprawa.

Słońce zalewało radośnie nasze pokoje, kładło się jasną, ciepłą smugą na osieroconem łóżku Kaliksta, przez otwarte okna dolatywały dźwięki wojskowej orkiestry i okrzyki tłumów, witających z zapałem defilujące po ulicach oddziały



Kijów. Widok na Ogród Kupiecki.

Fot. Roman Podoski.



Kijów. Widok na Podół i Dniepr.

Fot. Roman Podoski.

XVIII

«Dobrowolnej Armji». Wówczas dopiero pojęłyśmy rzeczywistość naszej niedoli, która jeszcze wczoraj zdawała się możliwą do uniknięcia!

Stało się coś nieodwołalnego — i nie mamy już kogo ratować!

. . . .

Zostałyśmy we dwie, samotne, we wzburzonym kraju.

CZĘŚĆ TRZECIA

DENIKINOWSKIE CZASY

WRZESIEŃ 1919 — LISTOPAD 1919

NOWE RZĄDY.

Nazajutrz dzień wstał radosny. Słońce było w każdym zakątku i w duszach ludzkich. Uciekli tyrani, bezsilny legł potwór czrezwyczajki. Nareszcie wraca dawny ład, dawne poszanowanie prawa, lecz dziś okraszone twórczą mocą prawdziwej wolności. Ustroił się Kijów w dywany i kwiaty. Chorągwie powiewały przy wszystkich bramach. Czuć było w powietrzu potężne prądy ogólnej, szczerej radości. Nie poznawało się miasta! Wczoraj jeszcze w trwodze, jak zwierz czający się po zaułkach — w kirze nieustającej żałoby... dziś strojne, szumiące śmiechem i rozmowami, w złotych promieniach szczęśliwej teraźniejszości.

Ulicami przeciągały od czasu do czasu zwycięskie wojska «Dobrowolnej Armji», grając huczne marsze. Witały je entuzjastyczne wiwaty. Wyglądem swym jednak niewiele różniły się od krasnoarmiejców: ciż sami nietęgo ubrani żołnierze i stokroć lepiej i dostatniej wyglądający zwierzchnicy; ten sam widoczny brak wyszkolenia w bojowym szyku oddziałów. Nie było tylko czerwonych kokard, tego symbolu krwi i mordów. Kijów widział jednak wszystko w różowem świetle zapału. Powszechnie wierzono, że «dobrowolcy» to bohaterowie z ducha, którzy zaciągnęli się do szeregów armji li tylko dla wznowienia tradycji dawnej, potężnej Ro-

sji. Pierwszy to raz od lat wielu posłyszało się słowa: «Za rodinu!» Wyższe sfery rosyjskie były dotąd kosmopolityczne, niższe — indyferentne. Nie znała historja rosyjska tej cudownej, złotej nitki, co ku naszej chlubie i sławie przetyka dzieje polskie od legendowej Wandy aż do bohaterów ostatniej doby — do Lwowskich Dzieci! Tego: «Dla ciebie, miła Ojczyzno!» nie wydał przebity dzidą Iwana Groźnego, skopany butem Tatara Duch Rosji!

Całe miasto wyległo na ulice, zrzuciło z siebie łachmany. Wyszła z ukrycia inteligencja, gromadzili się znajomi na chodnikach. Opowiadali sobie z żałością lub z tryumfem o tem, co przeszli pod okrutnemi rządami. Tak długo żyli wszyscy w podziemiach smutku, w katordze ciągłego lęku przed śmiercią, że zatamowane życie zapieniło się potężnie dnia tego, niezapomnianego dnia wyzwolenia.

Nikt nie chciał wracać do mieszkania. Tam było zbyt duszno, za ciasno dla tego hymnu radości życia, co huczał w każdej piersi i mocnym prądem przenikał całe miasto. Wśród tłumów, ostrożnie, przebiegle, kryli się i nurkowali pozostawieni przez bolszewików ajenci, szpiegowie i agitatorzy. Zadaniem ich (wspaniale zresztą wynagradzanem) było notować skrzętnie każdy objaw zapału albo wdzięczności dla «Białych», przyciągać na swoją stronę niepewne elementy, truć jadem komunistycznym owoce nowej pracy — wogóle wstrząsać z całej mocy lecz niewidzialnie młodemi, słabemi z natury rzeczy wiązadłami projektowanej odbudowy państwa.

Warto wspomnieć tu słów parę o «Osobom Sowieszczanji».

Był to rodzaj Rady Nieustającej, złożonej z jedenastu oddziałów, przy boku głównodowodzącego, której wyłącznym celem było ujęcie życia administracyjno-prawnego na zie-

miach oswobodzonych przez «Dobrowolną Armję», w odpowiednie karby, przez wydawanie praw tymczasowych, przystosowanych do okoliczności. Sam pomysł był świetny. Trafnie jednak ktoś się wyraził, że «Osoboje Sowieszczanje» było maszyną bez pasów transmisyjnych. Przedewszystkiem nie przedstawiało ono zwartej politycznej całości. Byli w niem prawi, lewi, i centrum. Ciągłe tarcia partyjne, niezbędne w parlamencie, tu były zgubne i sprawiały, że ten najwyższy ustawodawczy organ państwowy, nie mając wyraźnego politycznego oblicza, nie mógł działać szybko i sprawnie. Więcej w nim było memorjałów i dyskusyj, niż rzeczywistego wpływu na nieład, panujący we wszystkich dziedzinach życia wśród zrewoltowanej ludności. Nowy rząd był blady, nijaki. Ani dość prawicowy i mocny, aby ogłosić bezapelacyjnie powrót dawnej własności, ani dość liberalny, by przeprowadzić mądrą reformę rolną i wyrównać porachunki między skrzywdzonymi a grabieżcami. Ten chwiejny rząd, chcąc pociągnąć za sobą chłopstwo i miejski proletarjat, pragnąc również zadowolić posiadaczy ziemskich i fabrykantów, wydawał prawa i rozporządzenia, które były wprost dziwolągami urągającemi sprawiedliwości i mądremu zmysłowi państwowemu.

Przedewszystkiem politycznie: Rząd o niczem nie decydował, — wszystko miała rozstrzygnąć Kontytuanta (Narodnoje Sobranje), niewidoczna jeszcze w biegu wypadków, gdzieś, kiedyś mająca się zebrać. Ona to postanowi, jaka będzie nowa forma państwowa odnowionej Rosji: republika czy też monarchja konstytucyjna. Z tego pierwszego twórczego zgromadzenia narodowego miał się dopiero wyłonić rząd — rzeczywisty, silny, oparty na woli narodu.

Kwestję reformy agrarnej — oś i dźwignię całej rewolucji w Rosji — odkładano również do zwołania Konsty-

tuanty, lub jeszcze dalej, do decyzji nowego konstytucyjnego rządu. Tymczasem nie rozstrzygano jej, obawiając się kompromitacji. Wisiała więc w powietrzu, grożąc ciągle nieobliczalnemi następstwami. Generał Denikin, jako dyktator Rosji południowej, wydający w każdej sprawie wyrok ostateczny i bezapelacyjny, trzymał się w kwestji rolnej «średniej linji» postępowania: jurydycznie, miały zabrane ziemie powrócić do właścicieli tylko w tym celu, aby sprawiedliwości stało się zadość. Następnie, po ustanowieniu maksimum dla większej własności, reszta olbrzymich obszarów miała przejść do małorolnych, za sprawiedliwem odszkodowaniem. Program ten, obliczony na długie lata, był wręcz bezsilny w epoce fermentu rewolucyjnego, gdzie jedynie szybkość czynów mogła położyć kres knowaniom wywrotowców. Odezwy nowego rządu, zapowiadające daleko idące reformy rolne, nie wzbudzały zaufania ludności. Faktycznie bowiem nie wprowadzono ich w życie, poprzestając na projektach i obietnicach.

Prawomyślny jednak rząd nie mógł sankcjonować zrabowania cudzej własności. Wydano więc znamienne rozporządzenie, dobitnie świadczące o połowiczności i niemocy nowych kierowników nawy państwowej. Oto wobec tego, że żniwa już przeszły i zasiewy przeszłoroczne jesienne dokonane były przeważnie przez obszarników, a wiosenne przez chłopów na skarbowych ziemiach, — przyznano ziemianom prawo otrzymania od wsi połowy całego zbioru z pól dworskich, tam gdzie zasiewał skarb, a jednej trzeciej z pól obsianych chłopskiem już ziarnem. Jednocześnie zastrzegał rząd, że umowa i zwrot mają być dobrowolne, a nie wymuszone, i że ziemianie nie mają prawa upominać się o wynagrodzenie pieniężne za poczynione szkody i zrabowane inwentarze.

Odezwa kończyła się tak:

«Rząd, wybrany z woli całego narodu, kiedyś pomyśli o wyrównaniu tych strat. My idziemy do ludu z ręką wyciągniętą przyjaźnie. Nie jesteśmy ani hetmańskie zbiry, ani niemieccy najemnicy. Czas zapomnieć o przeklętej pamięci ekspedycjach karnych! Niech lud wie, że ma w nas gorących obrońców swoich praw i wolności!»

Konkluzja była dla nas smutna! My mogliśmy wziąć — oni mogli nie dać!

Zmusić zaś do sprawiedliwego podziału nie było możności, i rząd najwidoczniej w niczem się do tego przyczynić nie chciał. Przeciwnie, dla utrwalenia swych praw, postanowił zadowolić częściowo pożądania chłopskie, poświęcając stokroć mniej liczną, choć skrzywdzoną warstwę ziemiańską. Radzili sobie właściciele, jak mogli. Pojechali do swoich wsi. W kilku miejscowościach natrętni «pany» padli ofiarą mordu, lecz przeważnie chłopi podzielili się z nimi plonami mniej więcej wedle przykazań denikinowskich. Ciągła zmienność i upadek jednych rządów na korzyść drugich podkopała w chłopstwie wiarę w trwałość bezprawnego posiadania pańskiej ziemi. Przytem jednakże wieś zdawała sobie jasno sprawę, że ten «pan» już nie jest ani silny, ani groźny, że przyjeżdża raczej prosić, niż rozkazywać, i że można wyzyskać go nietylko teraz, lecz i w najbliższej przyszłości. Wobec zabrania inwentarzy i braku pomocy ze strony rządu — niepodobieństwem wprost było pomyśleć o tworzeniu na nowo gospodarstwa. Robiono więc na rok następny umowy z chłopami wedle wzorów denikinowskich, wydzierżawiając im niejako w ten sposób zabrane przez nich samowolnie ziemie dworskie wzamian za jedną trzecią plonów.

Przeszłość waliła się w gruzy. Własne gniazdo, praca na umiłowanej roli, staczały się dalej w przepaść bez dna!

Tak zręczna frazeologja Kiereńskiego, jak i liberalny program Denikina, okazały się bladem widmem wobec siły bagnetów i terroru bolszewików. Ci — przemocą wprowadzali w życie swoje szalone pomysły, terrorem wiedli naród po wskazanej przez siebie drodze i wkońcu bagnetami udaremnili wszystkie wysiłki i próby wyzwolenia się z pod ich rządów.

Winy były jednak i po stronie denikinowców. W skład urzędników weszły potajemnie żywioły komunistyczne, aby psuć nową działalność. Rozwinęły one szaloną żarłoczność, — nie brakowało jej częściowo i wśród mężów «obnowlionnoj Rassiji.» Łapownictwo rozkrzewiło się nieprawdopodobnie. Przyczyną tego były w pewnej mierze «głodne» pensje i brak znaków pieniężnych w kasach rządowych. Łapano komunistów i wypuszczano ich z więzień za odpowiedni wykup. Nie oczyszczano społeczeństwa bezwzględnie i systematycznie z szumowin; przeciwnie, mocą samych faktów pozwalano im organizować się i rosnąć w siłę. Egzekucyj było mało. Pozostali w mieście czekiści po jakimś czasie chodzili swobodnie po ulicach, poznawani przez jednych, unikani przez drugich. Zapał społeczeństwa stygnął. Upadała wiara w zbawczość nowych rządów. I pocóż było wydawać tych, co niedawno jeszcze byli katami narodu, gdy po niedługiej przerwie widziano ich znowu na wolności. «Brak dowodów! Nie chcemy pagrieszit' duszoju!» — uniewinniali się urzędnicy denikinowscy. Nie było nikogo, coby potrafił orlem spojrzeniem przeniknąć z końca do końca całe społeczeństwo i związać je tak silnie wspólną pracą, wspólnem dobrem, żeby potrafiło stanąć nieprzezwyciężoną ścianą, ramię przy ramieniu, przeciw destrukcyjnym zakusom bol-

szewików. W tem leżało zbawienie z jednej strony, porażka terrorystów z drugiej. Lecz to się nie stało.

Nowe rządy nie ziściły pokładanych w nich nadziei. Chociaż zostawiły ziemię wyłącznie w rękach najliczniejszej warstwy chłopskiej, lecz zato wieś cierpiała od rabunków «Dobrowolnej Armji». «Dobrowolec i Krasnoarmiejec jiden czort!» — wzdychali chłopi z oburzeniem. — «Toj tiahne kożuch i kurku i chlib i szczo tilko pobaczyt, i druhyj tak samo!»

Proletarjat miejski doznał również rozczarowania. Drożyzna dała się strasznie we znaki robotnikowi miejskiemu, obarczonemu rodziną i mającemu trudności w znalezieniu zarobku wobec ogólnego zastoju. Toteż za czasów bolszewickich pospólstwo opowiadało sobie nieraz z niewymowną pociechą i tęsknotą, jak to admirał Kołczak na Syberji, a generał Denikin na południu Rosji kaptują ludzi. «Idzie sobie taki generał, a za nim powozki ze złotem i chlebem. Złoto rzuca przed siebie... Niech tam dietiszki podbirajut, a chleb, brat, bieri sam... ile dusza zapragnie! Nie dziwota to, że tłumy za takim idą... Nie to, co u nas! Boże, spasi nas grzesznych!» — I żegnali się biedacy trzykrotnie, czekając, kiedy i na nich zejdzie taka złota chwila. Tymczasem z przyjściem dobrowolców niewiele się zmieniło. Drożyzna wprawdzie nie rosła, ale i nie zniknęła. Stanęła w miejscu, jak groźna zmora, mogąca lada chwila rozszerzyć się do niepokojących rozmiarów. Bolszewicy ogołocili kraj, ile się dało. Na każdym tedy kroku miał Denikin trudne zadanie: zwalczyć zewnętrznego wroga, w pogoni za którym szedł naprzód zwycięsko aż do Orła, zgnieść wewnętrzną destrukcję, pogodzić sprzeczne pożądania klas, wznieść gmach ładu na grząskiem rewolucyjnem podłożu. — Na to wszystko trzeba było olbrzyma Czynu i Ducha, coby

zmógł te cztery iście herkulesowe prace. A w dodatku własne społeczeństwo — nie współpracownik czynny i przedsiębiorczy, ale raczej melancholijny niedołęga, co biadając nad złą dolą, czeka bezradnie, aż się ku niemu wyciągnie zbawcza dłoń!

Nieznani wrogowie podkopywali się pod fundament wznoszonego budynku. Co chwila pękały ściany, wiązadła, niepodobna było doprowadzić do ustawienia krokwi pod dach odradzającej się państwowości.

Idealna czystość zamierzeń, stalowa siła egzekutywy, surowa sprawiedliwość, oparta ślepo na literze prawa, może byłyby tryumfalnie pokonały destrukcyjne prądy, bijące z niewidzialnych źródeł, — ale tego wszystkiego brakowało nietyle ówczesnemu dyktatorowi, gen. Denikinowi, ile wogóle całemu jego stronnictwu, i dlatego wraz z nimi nie przyszło odrodzenie Rosji!

PIERWSZE CHWILE WYZWOLENIA.

Wrzesień.

Nazajutrz po ciężkiej do przebycia nocy bombardowania miasta przez odpływających bolszewików, wczesnym rankiem, ktoś zapukał do drzwi mego pokoju i na progu stanął nieznany mi gość.

— Jestem Domański — przedstawił mi się odrazu, — przychodzę tu z polecenia męża pani, z którym przesiedzieliśmy trzy dni w czrezwyczajce.

Nogi podemną zadrżały... Jakże te słowa wyglądały na jakieś pośmiertne zlecenie! Haneczka przysunęła uprzejmie krzesło, sama zaś wsparła się o stół, podpierając bródkę

dłonią, i bledziuchna wpatrzyła się w przybysza. Ów zaś począł mówić z powagą i smutkiem:

— Męża pani zobaczyłem po raz pierwszy w urzędzie milicji wśród kilkunastu więźniów, zabranych w obławie ulicznej. Spędziliśmy tam noc bezsenną, pełną ciężkich myśli i pasowania się z własnem nieszczęściem. Z rana powiedziano nam, że będziemy rozstrzelani «w parjadkie krasnawo terrora», jako postrach i przestroga dla innych. Z milicji przeprowadzono nas do Gub-Cze-Ka i tam zamknięto w pokoju od ogrodu. Oczekiwaliśmy nocy w milczeniu. Godziny — to wlokły się nieskończenie długie, to znów, gdy zapadł zmrok, wydawały się nam błyskawicznie krótkie. Spędziliśmy trzy noce w czrezwyczajce, noce piekielne... Słyszeliśmy jęki nieszczęśliwych, których żołnierze ciągnęli po korytarzu na egzekucję. Pod naszemi oknami rozstrzeliwano coraz to nowe ofiary... Śmierć taka bliska, tak możliwa w każdej chwili, uczyniła z nas, ludzi obcych, wczoraj jeszcze nieznanych sobie, — braci, przyjaciół. Wypisaliśmy na ścianie nasze nazwiska, pragnąc w ten sposób zostawić znak widoczny naszych wspólnych cierpień i niepewnych losów. Mówiliśmy do siebie tak: — Słuchaj bracie, jeśli mnie rozstrzelają, a ty się uratujesz i wyjdziesz z tego piekła, pójdź do mojej rodziny (zapamiętaj tylko dobrze adres) i powiedz im odemnie... — Dobrze. Bądź pewny, że cię nie zawiodę, ale jeśli ty mnie przeżyjesz... zanieś moim biedakom ostatnie pozdrowienie, ostatnią myśl moją...

Padały te zwierzenia tak ważkie, tak gorące, jak ta krew niewinna, co tu się mogła przelać za chwilę. I mąż pani opowiadał mi o was. Torturowała go myśl, jak pani zniesie jego śmierć. Tylko nad tem bolał, a pocieszał się wiarą, że ta mała córeczka będzie dość dobrą i dzielną, aby swej biednej mamusi przynieść ulgę w cierpieniu. W sobotę

z rana dwaj żołnierze weszli do naszej kamery i wyprowadzili z niej męża pani. Więcej już go nie widziałem! Co się z nim stało, nie wiem... Wychodząc, szepnął mi jeszcze: — Pójdź do nich! — To były jego ostatnie słowa...

Zamilkł, i my milczałyśmy... a cisza ta była pełna bólu tak wielkiego, że się aż w sercu ludzkiem pomieścić nie mógł, więc ważył się wokoło nas w powietrzu. Po twarzy Haneczki płynęły łzy, tak rzadkie u dziecka ciche łzy bez szlochu. W ten sposób powstaje nieraz zaczątek najpiękniejszych czynów Przyszłości: ziarno cierpienia, rzucone w spragnioną duszę dziecka, otwartą zarówno dla Dobra jak dla Zła, oblane łzami bólu, kiełkuje w słońcu ideałów młodzieńczych, i niesie wreszcie setny plon w późniejszej walce z życiem...

Pan Domański odszedł. Zostałyśmy same.

Haneczka zarzuciła mi rączki na szyję i przytuliła swoje świeże usteczka do moich powiek, zbolałych od łez i bezsenności.

— Słyszałaś, co mówił p. Domański? Każde słowo tatusia masz nosić w sercu, jak relikwję do końca życia. On szedł na śmierć, a myślał tylko o nas!...

Dziewczynka jeszcze tkliwiej zacisnęła rączki. Już wchodziła w swoją rolę pocieszycielki.

— Biedny mój matuś, biedny! Ale nie trzeba tak rozpaczać! Przecież naprawdę nikt nie wie, dokąd ci żołnierze poprowadzili tatusia!

. . . .

Wśród radosnych tłumów, przepełniających ulice, wałęsałyśmy się i my we trzy, a nasz smutek tem mocniej odbijał od ogólnego odświętnego nastroju. Po odejściu p. Domańskiego Jawdoszka z Haneczką uprosiły mię, całując po

rękach, abym wyszła z niemi na miasto. — Może wydobędziemy jakąś wiadomość, o panu! — tłumaczyła mi Jawdoszka. — Ulica nie śpi! — Tem mię przekonała. Spotkałyśmy w istocie wielu znajomych, ale ani o Kalikście, ani wogóle o więźniach z Cze-Ka, nikt nic nie wiedział. Gubili się wszyscy w domysłach, co się z nimi stać mogło. Zaczynały już tylko przelatywać przez tłum niepokojące wieści o wykryciu coraz to nowych domów męczarni prócz dwóch oficjalnych czrezwyczajek. Gdzieś na Rejtarskiej, na Proreznej i na innych ulicach znaleźć miano ludzi zamurowanych i konających z głodu. Na Lipkach, prócz gubernjalnej, były jeszcze inne czrezwyczajki, nieznane ogółowi. Pan Matkowski widział, jak tłum rozszarpał na ulicy komisarza, który robił u nas rewizję, poznawszy w nim czekistę. Ten sam los spotkał kilku innych pod wpływem rzuconych na nich podejrzeń. Czasem radosna nowina biegła przez tłum, podawana z ust do ust, zostawiając za sobą rozpromienione twarze i huczne wykrzykniki. Jacyś więźniowie, skazani na śmierć w Ukraińskiej Cze-Ka, cudownym niemal sposobem odzyskali swobodę. Od rana w sobotę (dzień ucieczki bolszewików z Kijowa) niezwykły ruch i gwar rozmów na korytarzu podniecały ich trwożny nastrój. Nagle wszystko ucichło Jeden z nich zbliżył się do drzwi, pocisnął klamkę... Na korytarzu pusto. Wyszli wszyscy lękliwie, skradając się na palcach... Straży ani śladu! Minęli przedsionek... i nie pojmując sami, jak się to stało, pędzili jak szaleńcy do swoich domów przez ulice miasta. Były podobno wypadki, że konwojujący krasnoarmiejcy darowali życie kilku więźniom. Może obawa przed srogim odwetem nadciągających «dobrowolców» zmiękczyła tak ich serca. Pod wieczór wróciłyśmy do domu zmęczone i smutne. Haneczka pod wpływem wrażeń zbyt gwałtownych dla dziecka, zmordowana całodzienną wędrówką,

rzuciła się w sukience na łóżko i natychmiast zasnęła. Od czasu aresztowania Kaliksta spałyśmy we trzy w jednym pokoju. Poczciwa Jawdoszka nie chciała opuścić mię nawet w nocy, chociaż mała to była dla mnie pociecha, bo spłakawszy się rzetelnie przy wieczornej modlitwie, zasypiała zdrowym snem młodości tak mocno, że można było ją wynieść bez jej wiedzy razem z twardą kanapką, na której leżała.

Wtem przez otwarte okno doleciało nas z podwórza wołanie:

— Wykrycie zbrodni czekistów!! Kupujcie «Tajemnice czrezwyczajki!!»

Jakiś mały chłopczyna stał pośrodku podwórza i wywijał w powietrzu zadrukowanym papierem. Jawdoszka zbiegła pędem ze schodów i przyniosła mi sensacyjny świstek. Odezwa była krótka i brzmiała tak:

«Z bezdennem przerażeniem zawiadamiamy naszych czytelników, że los nieszczęśliwych więźniów czrezwyczajki został ustalony przez wiarygodnych świadków. Oto potworne, bolszewickie zbiry, na chwilę przed sromotną ucieczką, wyprowadziły naszych męczenników za miasto. Tam kazano im kopać doły na wysokość człowieka, zmuszono wejść do tej mogiły, którą każdy sam sobie przygotował... Salwa pośpiesznych, niedbałych wystrzałów! I napół żywych przysypano ich ziemią! — Te ofary zwierzęcego okrucieństwa wołają o zemstę! Zemstę bez litości, bez zmiłowania!

Naprzód, waleczni żołnierze Dobrowolnej Armji!

Niech nie zostanie wśród wrogów ani jeden z tych zdegenerowanych morderców!

Tego od was żąda podziemny jęk ofiar!

Tego wymaga święta Rosja!!!»

Czytałam to głośno Jawdoszce, która stała przedemną blada jak chusta, z ustami otwartemi z przerażenia. Skończyłam i spojrzałam na nią...

Przeżegnała się trzy razy:

— Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj!

Chwyciła moje ręce i nagle uklękła przedemną:

— Proszę pani, niech pani temu nie wierzy! Oni tak po tych «hazietach» szczekają na siebie, jak te sobaki. Jakże to może być, aby «chrystjanyn» jeden drugiemu taką śmierć zrobił?!

Te okrucieństwa w głowie jej pomieścić się nie mogły. A jednak, tak niedawno podobne wypadki w Łuce i Sieniawie wykazały jasno, do jakiej otchłani dzikości i zbrodni dojść może rozpętany i szalejący lud!

* * *

Że nie postradałam zmysłów tej nocy, łaska to i miłosierdzie Boże!...

Widocznie na coś jeszcze potrzebna jestem na świecie.

. . . .

Następnego dnia z rana zebrałyśmy się — wszystkie żony zakładników i zaginionych — w Czerwonym Krzyżu. Postanowiłyśmy pójść do dowództwa «Dobrowolnej Armji» i błagać o ratunek dla naszych mężów. Siedzibą wojskowych władz był ten sam dom przy Włodzimierskiej ulicy, gdzie za czasów bolszewickich nosiłam pierożki moim miłym artystom. Wprowadzono nas natychmiast do pokoju, w którym urzędował za biurkiem okazały generał denikinowskich szeregów, o twarzy apoplektycznie czerwonej, obwieszony krzyżami zasługi, waleczności i tym podobnych cnót. Znać było

odrazu, że jest to zacięty «staroreżimiec», ale bynajmniej nie orzeł. W imieniu nas wszystkich przemawiała pani N. Rosjanka, której mąż był dyrektorem banku państwowego za caratu. Z powodu ciężkiej tej (w pojęciu bolszewickiem) winy męczył się w czrezwyczajce, aż wreszcie wywieziono go do Moskwy w trzeciej partji zakładników.

Pani N. mówiła zwięźle, lecz gorąco, zwracając się do nowej władzy z prośbą o pośrednictwo w uwolnieniu cywilów, nie mieszających się do zbrojnej walki, wziętych pomimo to do niewoli i oderwanych od rodzin, wbrew wszelkim prawom międzynarodowym. Generał słuchał z początku uważnie, a potem nagle uderzył pięścią w biurko, aż zabrzęczał na niem metalowy, duży kałamarz, i poczerwieniał jeszcze więcej, jeśli to wogóle było możliwe.

— Żadnych pertraktacyj z tymi łotrami! Kula im w łeb! Oto jedyna z nimi rozmowa!! Kobiety zawsze żądają niemożliwości! Chciałbym wiedzieć, jak możemy wyrwać zakładników z Moskwy? Gdy tam dojdziemy — wtedy ich wam oddamy.

Okrzyki protestu posypały się z naszej grupy:

— Wasze prewoschoditielstwo! zanim tam dojdziecie, oni z głodu umrą!

— Albo rozstrzelają ich za to, że «biali» zwyciężają!

— Macie jeńców, komunistów. Wymieniajcie ich na naszych.

Generał poruszył się na fotelu żywo:

— Darujcie mi, panie, ale to naprawdę babskie gadanie! Prowadzimy walkę na śmierć i życie z bolszewikami. Nie czas to na różne kombinacje i wymiany. Niech «Polsza» z nimi pertraktuje o jeńców cywilnych... Ona neutralna — może to zrobić. Wojna zła macocha, a nie matka! Gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą... Tak, tak, łaskawe pa-

nie! Zresztą, czy taka bolszewicka drań rozumie prawo międzynarodowe?! Na miazgę ich rozdusić, żeby nawet śladu nie zostało z tej krasnej swołoczy!...

Ręką zakręcił w powietrzu tak gwałtownie, jakgdyby chciał nam pokazać, jak należy świat oswobodzić od bolszewików. Próbowałam i ja wsunąć słówko:

— Naszych mężów bolszewicy zabrali do czrezwyczajki, a teraz ślad ich zaginął i nie wiemy co się z nimi stało.

Generał rozłożył ręce już z irytacją:

— A cóż my możemy na to poradzić? Czy mam u siebie biuro wywiadowcze?!

— Myślałam, że może wasza «kontr-razwiedka» dopomoże nam w takiem nieszczęściu — twierdziłam uparcie.

— Kontr-razwiedka ma cele daleko ważniejsze. Współczuję wam, moje panie, ale niestety dopomóc nie jestem w możności. Na pociechę powiem wam zresztą, że wysłaliśmy nasze waleczne wojska w pogoń za statkiem, na którym popłynęli nietylko zakładnicy kijowscy, ale cała Cze-Ka z Łatisem na czele. Dobrowolcy mają rozkaz przeciąć im drogę i wziąć do niewoli. Może dziś, jutro powitacie waszych mężów. — Zadzwonił srebrnym dzwonkiem. Na progu stanął ordynans.

— Audjencja skończona. Czy jest tam kto jeszcze?

Wyszłyśmy z tej audjencji znękane do reszty. Nie wierzyłyśmy zupełnie w możność przecięcia bolszewikom odwrotu. Statek z Cze-Ką odpłynął po południu, a «Dobrowolna Armja» weszła do Kijowa tegoż dnia wprawdzie, ale pod wieczór. Zanim zdołano zorganizować pogoń, uciekający mieli dość czasu, aby o dobry szmat drogi zbliżyć się do Homla, gdzie już mieli komunikację kolejową z Moskwą.

Przewidywania nasze sprawdziły się, i chwilowo słuch wszelki zaginął o wywiezionych zakładnikach.

. . . .

Państwo Bilińscy zabrali nas do siebie na resztę dnia tego. Chcieli mnie oderwać choć na kilka godzin od rozdzierających wspomnień, których pełno było w naszem mieszkaniu. Pod wieczór ktoś ze znajomych przyniósł nam wstrząsającą nowinę, że przy Gub-Cze-Ka natrafiono na mogiły rozstrzelanych, przyczem dzieją się sceny, przechodzące ludzkie pojęcie. Ziemia, przesiąknięta krwią, oddaje ofiary matkom, żonom, ojcom... Morze łez zmywa morze krwi! Niby z jednej piersi rwie się tam jeden straszny, nieukojony jęk... Żywi wołają martwych, a martwi żalą się przed nimi roztrzaskanemi czaszkami, że mieli śmierć tak okrutną!

Słuchałam tego z drżeniem:

— Pójdę więc i ja jutro rano i poszukam mego męża. Jeśli go tam nie znajdę — będę miała choć cień nadziei, że go jeszcze zobaczę.

Pani Bilińska spojrzała mi w oczy ze smutkiem:

— Tak, niech pani tam pójdzie... a Haneczkę proszę u nas zostawić.

Dziewczynka przysunęła sobie już dawniej krzesło tuż obok mego i siedziała cichutko. Teraz przytuliła się mocniej do mnie i szepnęła:

— I ja pójdę z mamusią!

— Co ty mówisz, Haneczko — tłumaczyła jej pani Bilińska; — tam dzieci wcale nie chodzą, będziesz tylko zawadzała mamusi.

— Ja pójdę z mamusią — powtórzyła błagalnie. Oczy dziecka patrzyły na mnie z rozdzierającą prośbą. Bała się o mnie. Byłoby wprost okrucieństwem zostawić ją samą.

— Dobrze, więc pójdziesz, ale poczekasz na mnie przed czrezwyczajką na ulicy.

OGRODY TORTURY.

Nazajutrz wyszłyśmy wcześnie z domu. W bramie naszej kamienicy stali różni lokatorowie, rozmawiając z ożywieniem. Czasy były takie, że w pierwszych chwilach przełomu i zwrotu do dawnego, normalnego życia naprawdę nikt nie mógł w domu usiedzieć.

— Nie płacz, mateńko, przed nimi — szepnęła prosząco Haneczka.

Rozstąpili się wszyscy, zobaczywszy nas. Prezes zapytał życzliwie:

— Czy nie ma pani żadnej wiadomości o mężu?

Bez słowa poruszyłam przecząco głową. Pani Knollowa uścisnęła moje ręce i patrząc na nas z litością, spytała:

— Dokąd idziecie?

— Do czrezwyczajki.

Minęłyśmy ich i wyszłyśmy na ulicę. Szłam powoli pod górę, wspierana przez Haneczkę, która objęła mię w pół, a za nami powstał szmer współczucia:

— Dzień taki cudny, słoneczny, życie wraca do nas, pogodne, jak dawniej... serca nam biją radością... a ta biedna idzie męża szukać wśród rozstrzelanych!!

Tak oni użalali się nademną, i tak jabym westchnęła nad cudzą niedolą, gdybym była na ich miejscu. — Szłyśmy z Haneczką dobrze nam znaną drogą krzyżową. Ileż to razy parę dni temu biegłyśmy tu z trwogą i nadzieją naprzemian... Ileż razy wracałyśmy znękane do Czerwonego Krzyża, aby za chwilę ze zdwojoną energją przyjść tu

znowu. Już stoi przed nami biały dom narożny. Drzwi i okna otwarte. Uleciała zeń trwoga! Wyszli tyrani! To już nie czrezwyczajka, tylko zwyczajna kamienica. Haneczka opiera się o jakieś drzewo, rosnące na ulicy:

— Zaczekam tu na mamusię.

Otwieram drewnianą furtkę, prowadzącą do podwórza, i wchodzę. Jacyś ludzie uwijają się z łopatami.

— Gdzie tu są odkopani? — pytam któregoś.

— Już ich niema. Odwieźliśmy zwłoki jeszcze wczoraj do prosektorjum. Mało ich było, i dawni. Niektórych nawet poznać niepodobna! Jeśli pani szuka późniejszych, proszę przejść ulicę na ukos i tam po prawej stronie wejść do «osobniaka» z ogrodem.

Mijamy kilka domów. Widzę ciągnące się daleko ogrodzenie z desek, szczelnie do siebie przylegających, i ludzi wchodzących i wychodzących z bramy. To pewno tu... Haneczka siada na schodach przy wejściu do jakiegoś domu z przeciwnej strony ulicy, a ja wchodzę do ogrodu. Staję, jak wryta. Widzę przed sobą szeroki i długi dół, z którego wychylają się martwe, nagie ciała z roztrzaskanemi czaszkami. Wokoło — grabarze zagłębiają ostrożnie w ten splot skostniałych zwłok drewniane, szerokie łopaty. Nabierają odrobinę ziemi i odrzucają ją na bok. Wychyla się jakaś ręka. Grabarz chwyta ją i ciągnie z wysiłkiem do siebie... chce wyrwać jedną przynajmniej ofiarę... Napróżno!

Trzymają się wszyscy tak mocno w pośmiertnym uścisku, że ten jeden nie chce opuścić innych. Znowu łopaty idą w głąb, brzegami tylko nurzają się w ziemi, pracują, wynoszą grudkę po grudce. Bieleją głowy... ręce... nogi, skłębione, zwalone w ten dół! — Rzucano widocznie trupy do ziemi z urągliwym pośpiechem, pastwiąc się w ten sposób nad niemi nawet po śmierci.

Grabarze stoją na trupach, ratują tych z wierzchu — tamtych na dnie gniotą ciężarem nóg własnych. — Wcześnie jeszcze. — Ludzi niewiele, i widać wszystko z przerażającą jasnością. — Opodal, w długim szeregu, nawznak leżą już odkopani, nadzy... skostniali w jakiemś rozpaczliwem wygięciu ramion lub nóg, w bezgranicznym lęku i męce, wyrytych na twarzy.

Jeden z nich wpił się palcami w pierś własną i zatopił w niej paznogcie, jakgdyby wskazywał po śmierci:

— Patrzcie, wśród jakich męczarni dusza moja opuściła ciało!

Wtem, w moich oczach — jakaś kobieta pada przed nim na kolana. Bez szlochu, bez jęku wznosi ręce do góry i tak trwa w milczeniu, jak posąg boleści... Nagłość rozpaczy zatamowała jej łzy... zabiła głos w piersiach.

Boga chce ściągnąć na ziemię! Niech sprawi cud! Niechże ten Łazarz powstanie z martwych!!

Szumi mi w głowie: Znalazła... Może i ja tak znajdę za chwilę... Myśli się plączą — szara mgła rozpościera się przed oczyma... Byle nie zemdleć! Ostatkiem sił wdycham powietrze...

Otwieram oczy. Już inni klęczą przy zwłokach, łkają, zawodzą głośno...

Groza tu wisi w powietrzu, — Groza czepia się wierzchołków drzew, stojących sztywno i bez ruchu na straży tych mogił, — Groza bije z wylękłych oczu i z ust napół otwartych do krzyku, — Groza wali jak obuchem w głowę jedną myślą, wydartą z ran naszych własnych dziejowych walk:

— Niechże powstanie Mściciel z tych kości!!

Męka opuszcza mię nagle i idzie naprzód, a ja za nią! Na potem łzy i rozpacz! Jeśli on tam jest — wyrwać

go z tego pośmiertnego pohańbienia, ująć w dłonie nieszczęsną głowę... przenieść na miejsce wiecznego spoczynku!

Z niepojętym spokojem skupiam się cała w czujności wzroku. Przechodzę od trupa do trupa... każdemu patrzę w twarz. Niema go nigdzie. Pytam grabarza:

— Czy wiecie z którego to dnia? — wzrokiem wskazuję odgrzebanych.

Grabarz prostuje zgięte plecy i odwraca się do mnie:

— Tu jest mogiła 127-miu, a dalej po całym ogrodzie dorachować się ich trudno... Odkopują — het, wszędzie.

Stu dwudziestu siedmiu! Tę krwawą listę przyniósł mi Kalikst przed kilkoma dniami dopiero! Byli na niej wśród innych Czesław Jakubowski z synem i Kazimierz Krassowski... Znajomi z lat dawnych... szczęśliwych...

Nie uciekli przed śmiercią. Tu ich dogoniła, tu zdradziecko wpiła im się w czaszki, tu ich ziemią przysypała! Nie mogą wam nawet usta szepnąć na pożegnanie: Wieczny odpoczynek! bo i jakiż odpoczynek tu macie?

Dobędzie was łopata grabarza, obce ręce wyniosą na światło dzienne, przesuną się po was ciekawe lub obojętne spojrzenia...

Za waszą trumną pójdą wszyscy i — nikt! — Rodziny daleko — a teraz śmierć tylko leci tak szybko jak kula, co ją z sobą niesie. Wiadomość o niej wlecze się miesiącami... powoli, jak żółw.

Z zadumy wyrywa mię głos grabarza:

— Jeśli szukacie późniejszych, to oni są dalej o kilka domów, po tej samej stronie. — Wzniesioną łopatą wskazuje mi kierunek.

. . . .

Wyszłam na ulicę z tego prawdziwego ogrodu tortury i, bez sił prawie, oparłam się głową o deski ogrodzenia. Męka dopadła mię znowu i szarpała serce jeszcze zajadlej, już nie za jednego, ale za wszystkich!

Dziewczyneczka moja zerwała się ze schodów i biegła do mnie przez ulicę. Doznałam uczucia niesłychanej pociechy. Nie jestem sama na świecie!

— Czy ci słabo, matkusiu! Taka jesteś blada! Wody byś się napiła?! Usiądź tu na tym mureczku... Już ci lepiej... Prawda?!

Pieściła moje ręce, zaglądała w oczy z lękiem, czując nieomylnym dziecięcym instynktem, że dzieje się ze mną coś strasznego, choć milczę tak uparcie.

— Nie znalazłaś tatusia?!... Nie?!... Powiedz słóweczko tylko...

— Nie... — wyszeptałam z trudem.

— A wiesz, ja cały czas tu sobie myślałam, poco go szukasz, poco się męczysz... tak strasznie... kiedy tatuś żyje! Ja nie wiem, gdzie jest... co się stało, ale żyje, żyje napewno!

Wyszłam przed chwilą z otchłani piekieł, z dna nieludzkiej męki i nadludzkiego bólu. Byłam jeszcze napół przytomna. Ten głosik dziecięcy, pełen ufności i nadziei, dolatywał do mnie jak świeży powiew, chłodzący rozpaloną głowę. Mów do mnie, dziecino, mów jeszcze...

. . . .

Odpoczęłam trochę i poszłyśmy dalej. Znowu jakiś ogród... brama napół otwarta... tłum ludzi... Znowu te same wstrząsające sceny, te same mogiły, trupy, roztrzaskane czaszki... ten sam ból życia i tortury śmierci, lecz śmierci tu już niema! Zrobiła swoje... i odeszła. Została tylko po-

śmiertna rozmowa: milcząca skarga jednych — rozdzierający jęk drugich. Idę wprost do grabarzy:

— Szukam ostatnich, rozstrzelanych w sobotę z rana przed ucieczką bolszewików. Nie wiecie, gdzie oni?

— Idźcie dalej, najlepiej z tłumem, sam was tam zaprowadzi. W ostatniej chwili rozstrzelali siedmnastu. Wszyscy tam leżą na wierzchu, nie mieli już czasu ich zakopać.

Wychodzę na ulicę. Haneczka chodzi tam i z powrotem przed bramą. Niema ani kropelki krwi w tej biednej twarzyczce, nawet usta mało się różnią barwą od ogólnej bladości. Uśmiecha się jednak leciutko i radośnie, widząc, że tak prędko wróciłam.

— Niema tatusia?! Prawda? Zobaczysz, zobaczysz matkusiu, że go nigdzie nie znajdziesz!

. . . .

Idziemy w tłumie. Szelest kroków, gwar głosów, westchnienia... Ktoś głośno zaszlochał. Mijamy niewielki skwer, otoczony drewnianą barjerą. Zrzadka stoją tam drzewa. Jakieś zabudowania widnieją zdala. Tłum płynie i płynie, jak jedna nieprzerwana fala, niesie mnie z sobą. Już doszliśmy... Na lewo stajnia, brama otwarta naoścież. Obok niewielki budynek. Czernieje w podłodze kwadrat otworu, giną w mroku podziemia przystawione tu schody, prowadzące w dół.

W stajni jacyś chłopcy w wysokich butach wygartują z kątów drewnianemi łopatami ludzkie mózgi. Suną je przed sobą na środek. Urasta z tego wyniosły pagórek. Tu krew... tam — rozpryśnięte białe odłamki mózgowe, niby zostawione przez niedbalstwo plamy. Chryste! Chryste!! Zmiłuj się nad naszą nędzą! Jak oni mieszą butami to krwawe ciasto, lepnące im do podeszew! Jak strasznie szlocha ten tłum!!

Koszmar to, czy rzeczywistość?! Oczy błądzą z osłupieniem oszalałe ze zgrozy...

— W tej piwnicy mordowali... Tam mózgów jeszcze, więcej! — rzuca ktoś w tłum.

Przeciągły jęk wstrząsa powietrzem. Wydała go pierś ludzka, inaczej pęknąć-by mogła! Z rozpaczą zasłaniam oczy ręką. Napróżno!! Widzę ciągle toż samo. Tej wizji piekieł nic już nie zdoła zetrzeć z mojej pamięci!

Wlokę się dalej... Przedemną piaszczysty pagórek, nagi, bez drzew. Na nim czernieją zdala zwłoki rozstrzelanych..

Z drżeniem pada mój wzrok naprzód na nogi... a potem już odważniej idzie aż do głowy. Tu w tyle czaszki okropna rana, rozłupany czerep, wydarte nieraz oko, lecz twarze wszystkich spokojne. Jak stali, tak padli, i tak tu zostali; mordercy, w popłochu ucieczki, nie mieli już czasu zedrzeć z nich ubrań i obuwia. Jest ich tu siedmnastu. Wszyscy przeważnie młodzi — wyrostki jeszcze. Niektórzy mają wysokie buty i proste kurtki. Pośrodku leży starzec w cywilnem ubraniu.

— To «bywszij gienerał», a tam obok niego syn! — mówi ktoś półgłosem.

Jakieś baby, które tu przyszły z ciekawości, szlochają teraz rozpacznie. Widowisko przeszło ich oczekiwania.

— I kogóż tak szukacie, nieszczęsna? — pytają mnie, widząc, że chodzę między trupami.

— Męża!

Zawodzą nademną z rzewnością, właściwą ludom słowiańskim:

— Biednażeś ty, biedna, sieroto niepocieszona! Porzucił ciebie, odbieżał od ciebie karmilec twój nienagliadnyj! I jakże ci teraz samej żyć!!

Tłum burzy się głośno:

— Patrzcie! Toż to nasi tu leżą! Czerepy mają tak samo roztrzaskane, jak i burżujskie! I za co? Młodzieniaszki to gołowąse, bez grzechu jeszcze! A jak pisali, że do burżujów tylko mają złość?

. . . .

Haneczka czeka na mnie przed skwerem, na ławce. Siadam obok niej i opieram się plecami o drzewo. Mam tylko siłę wymówić:

— Niema tatusia..,

W głowie pustka. Nie czuję nic, prócz strasznego zmęczenia. I dziewczynkę musiała wyczerpać trzykrotna męka oczekiwania, bo tuli bez słowa główkę do mego ramienia i siedzimy tak obie w milczeniu.

Już późno. Wracamy powoli do miasta. Po drodze wstępujemy do Czerwonego Krzyża. Znajoma Siostra ściska moje ręce i spogląda na mnie z żalem:

— Jaka pani blada! I skądże to wracacie?

— Z czrezwyczajki i z ogrodów. Szukałam tam mego męża między odkopanymi.

Siostra załamuje ręce:

— I to dziecko?! Jakże można tak sobie rozdzierać serce?

— Ona czekała na mnie na ulicy. Nie znalazłam go nigdzie... Ach, Siostrzyczko, tak się boję, czy dobrze szukałam?!

Siostra przemawia do mnie tak czule i słodko, jak do biednego, chorego dziecka.

— Napewno dobrze. Ale, dla spokoju, proszę przynieść mi fotografję męża. Obiecuję pani, że pójdę z nią do prosektorjum i do ogrodów, i raz jeszcze wszystkich przepatrzę. Jeśli znajdę — oddam go pani.

— Bóg zapłać, Siostrzyczko!

— Niech pani jeszcze pomówi z panem Karolem Szczeniowskim. On wie o wszystkiem najlepiej. Widziałam go przed chwilą w ostatnim baraku.

Siostra znika w tłumie interesantów, a ja idę we wskazanym kierunku.

Karol Szczeniowski rozmawia z jakąś panią w żałobie. Jest w zwykłym stroju sanitarjusza, czyli w białym, długim fartuchu, okrywającym go szczelnie od stóp do głów. Na ramieniu ma białą opaskę z naszytym na niej krzyżem. Za bolszewickich czasów wstąpił do instytucji Czerwonego Krzyża i jako prosty posługacz chodził codziennie do czrezwyczajki. Nastawiał samowary, podawał herbatę więźniom, a w rzeczywistości był łącznikiem pomiędzy tymi nieszczęsnymi a ich rodzinami. Czekiści nawet nie podejrzewali, że mają pod ręką tak ponętną ofiarę, że ten wysoki, blady chłopak jest synem polskiego magnata, który w swym starym, kapuściańskim dworze przyozdabiał — nie tak dawno jeszcze — zimowy ogród posągami i popiersiami żony i dzieci, rzeźbionemi w marmurze przez jednego z wybitniejszych artystów (Wittyg).

Pani w żałobie odeszła, więc z kolei ja się zbliżam i pytam o mego męża.

Szczeniowski patrzy na mnie i myśli — przypomina sobie.

W ciągu tych kilku ubiegłych miesięcy — jakież cierpienia wbijały się w oczy tego młodzieńca, że teraz tak się zasnuły mgłą smutku? W głębi czai się w nich lęk; nie pospolity lęk o własne życie — dał dowody odwagi, wchodząc codziennie do przybytku mordów, — lecz raczej lęk wobec świadomości, jaki bezlik fizycznych i moralnych tortur może zadać człowiek — człowiekowi! Ileż udźwignąć jest w stanie ten Uciemiężony — a jaki ogrom niewyobrażalnej udręki zwala nań ten Tryumfujący, gdy wstępuje na wyżyny, jako Władca Zła?!

Więc teraz, po kilku miesiącach ciężkiej służby i stokroć cięższych przeżyć duchowych, odbiegła odeń młodzieńczość, brak mu żywości ruchów... blasku oka! Stoi przedemną lekko pochylony, jakgdyby niósł na plecach ciężar, niewidzialny dla innych.

— Męża pani nie widziałem w czrezwyczajce. Widocznie nie obsługiwałem jego kamery, a co do ostatnich zabitych, jest ich siedemnastu — leżą ubrani. Czy widziała już ich pani? — Mówi do mnie głosem cichym, przygasłym...

Jak legendowy potwór — czrezwyczajka, jeśli nawet nie sięga po życie, zatruwa swym oddechem dusze ludzkie!

Wracamy do domu. Jawdoszka wnosi z kuchni w rondelkach przygrzany obiad od pani Anny i gderze na mnie:

— Pani siebie całkiem zamęczy, a detyna zmorzona tak, że aż żałko popatrzeć! Pan swój rozum ma! Uciekł pewno od bolszewików, i nie dziś to jutro powróci, a pani w żywych nie zastanie! To się dopiero pan pocieszy!

. . . .

Wieczór. Haneczka w drugim pokoju dawno się położyła i śpi już pewno po tym strasznym dniu. Siedzę na fotelu pod oknem, przymknęłam oczy, zatonęłam w myślach... Co się z nim stało? — Jak go odnaleźć?... Oświeć mnie, Boże! Kieruj memi krokami... Wtem słyszę głośne łkanie. To Haneczka tak płacze.

Biegnę do niej. Dziewczynka klęczy na łóżku, głowę ma zatopioną w poduszkach, łkanie wstrząsa nią całą.

— Co ci jest, córeczko?

Mała powstrzymuje z trudem szloch:

— Tatuś gdzieś męczy się pewno okropnie, a to wszystko przezemnie... przezemnie...

— Nie rozumiem ciebie, maleńka, wytłumacz się jaśniej.

— Tatuś z mamusią mogli uciec do Polski przed bolszewikami, gdyby nie ja... Już ciężko nam było!... Dla trojga zabrakło... pieniędzy... Tatusiu mój biedny!

I znowu załkała gwałtownie i wtuliła główinę w poduszki. Usiadłam na łóżku i przygarnęłam ją do siebie. Pod moją ręką serduszko jej trzepotało się niespokojnie, jak u schwytanej ptaszyny. Przez kilka tych dni, od czasu aresztowania Kaliksta, biedactwo dźwigało tak mężnie ciężar naszego bólu — aż wreszcie zabrakło jej sił. Wiatr okazał się zbyt mocnym na wełnę jagniątka! Ukoiłam słowami i pieszczotą te ciężkie wyrzuty sumienia — i z dziecięcą łatwością zapominania o wylanych tylko co łzach Haneczka zasnęła spokojnie, trzymając moje ręce w swoich.

NIEZWYKŁA ROZMOWA.

Nazajutrz z rana wybrałam się znowu do czrezwyczajki, ale już sama. Chciałam zobaczyć pokój, w którym mój biedak był uwięziony, i spojrzeć na napisy na ścianie, o których wspominał mi pan Domański. Haneczce musiałam przyrzec solennie, że już nie pójdę «między umarłych». Na Lipkach szumno było i gwarno. Tłumy szły pod górę i wracały do miasta, niby w pielgrzymce do świętych miejsc. Ludzie tak się tłoczyli, że razem z innymi zatrzymałam się chwilę przed drzwiami dawnej Gub-Cze-Ka. Tu kilka dni temu mała dziewczynka chciała podać ojcu kawałek chleba... Stąd Chińczyk odpędził ją kolbą! Po schodach weszliśmy całą gromadą na pierwsze piętro. Tędy może szedł Kalikst; tak niedawno, zda się, a ileż od dnia tego tragicznych i znamiennych wydarzeń rzuciło nam wyrwane z posad Życie!

Obeszłam całą czrezwyczajkę, zanim znalazłam w jednym z dolnych pokoi nazwiska więźniów, wypisane jedne pod drugiemi. Przytuliłam się do framugi drzwi i z bezgranicznym smutkiem wpatrywałam się w ten szereg słów.

Ludzie odeszli — napisy zostały! Przeżyły ich, mocniejsze i trwalsze niż oni! — Z bolesnej zadumy wyrwał mię nagle głos tak dźwięczny i czysty, jak ton szlachetnego metalu:

— Kogo tak opłakujecie?

Z trudem oderwałam oczy od nazwiska Kaliksta i obejrzałam się. Tuż za mną stał nieznany mi młodzieniec, wysoki, szczupły, z czarną czupryną, odrzuconą w tył głowy, — typ południowca z gór Kaukazu może. Odrazu uderzyła mię niepospolitość, bijąca z całej tej postaci. W szlachetnej twarzy o śmiałych rysach pociągały przedewszystkiem oczy, zmienne, głębokie jak górskie jeziora. W tej chwili oczy te patrzyły na mnie z braterskiem współczuciem.

— Czy rozstrzelali wam kogoś bliskiego? — powtórzył raz jeszcze, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

Wskazałam ręką tragiczny szereg nazwisk:

— Trzeci od góry... mój mąż!

Poruszył się żywo:

— Więc był tu więziony?! I cóż się z nim stało? Kozicki... Nie... takiego sobie nie przypominam!

Spojrzałam na niego ze zgrozą:

— Czyżby...

Zawahał się przez chwilę, a potem szepnął sam do siebie:

— Nie! Kto umie tak cierpieć, ten i zdradzić nie potrafi!

Ujął moją rękę tak delikatnie, że raczej nakazem woli niż fizycznem dotknięciem poprowadził mię do okna.

— Tu będzie lepiej — rzekł, — dalej od ludzi!



Zbiory w Krasnosiółce Wacł. Lipkowskich.



Pohrebyszcze L. hr. Rzewuskiego. Łoże, na którem nocował król Jan III Sobieski.
Ze zbiorów prof. J. Fiedorowicza.



Salon w Wierzchowni A. hr. Rzewuskiego.

Oparłam się o framugę, nieznajomy stanął obok mnie w zagłębieniu okna i skrzyżował ręce na piersiach, patrząc na przesuwające się przed nami tłumy. Nagle rzucił mi półgłosem pytanie:

— Czy nigdy nie pomyśleliście nad tem, jaka to tragedja — taka ciemnota, takie upośledzenie dusz?! I czego oni tu szukają? — Niecierpliwym ruchem głowy wskazał mi tłum.

— Myśleli pewno, że ściany ociekają tu krwią ludzką... i tak jest istotnie, tylko oni tego nie widzą! — Więcej było bólu niż goryczy w moim głosie.

Zwrócił się ku mnie porywczo, a z oczu strzeliły mu płomienie:

— Więc cóż z tego?! Każda rewolucja syci się krwią! A francuska, czy była lepsza?! A jednak stworzyła nowy świat pojęć, nowy układ społecznych sił!

Mówił z taką mocą, jakgdyby chciał przekonać nietylko mnie, lecz i siebie zarazem.

— Co do mnie — nie chcę się maskować! Zgadliście!... Jestem więc jednym z filarów — nazwijmy to tak — nowego ustroju. Minie ta żądza krwi, miną okrucieństwa, tak jak mija huraganowy szał, a wtedy damy ludzkości najwyższe dobra życia! To nasz cel!

Ból nad zniszczonemi naszemi gniazdami, nad ciosami, zadanemi polskości na Kresach, był zawsze we mnie równie silnym, jak myśl o własnem nieszczęściu. Lecz w owej chwili zapomniałam o sobie. Widziałam tylko przedstawiciela systemu, który nas wszystkich zgubił. On zaś mówił dalej z głębokiem przekonaniem:

— Wierzcie mi! Lenin to najczystszy człowiek na świecie!

— Wierzę, że i wśród was są szlachetni, tem smutniej,

że zaprzągnięto ich do złych celów. Dlaczegoż jednak w ich imieniu dzieją się takie mordy?!

Milczał długo i wahał się widocznie... wreszcie rzekł powoli, ważąc każde słowo:

— Jeszcze w starożytności... pamiętacie? — istniała walka o władzę... nawet między bogami! Jeden z nich zabrał zuchwale starszemu od siebie wóz ze słońcem... źle nim kierował i spalił część świata. Ja myślę... że przez legendy ludzkości przeziera najistotniejszy duch Prawdy! A teraz... przypuśćmy tak na chwilę... że coś podobnego dzieje się obecnie i u nas... Słońce Wolności poszło w złe ręce i... pali Rosję, zamiast ją oświecać.

Mówił to wszystko tak ostrożnie, jakgdyby się obawiał, że z ust jego lecą nie słowa, lecz pioruny, które lada chwila mogą paść mu na głowę i zetrzeć na proch. Rozumiałam go doskonale! Wiedzieliśmy wszyscy, że w sowieckiej, «wolnej» Rosji istnieje rząd nad rządem, i to rząd tajemniczy, nieubłagany i krwawy — a była nim czrezwyczajka! Nawet najwyżsi kierownicy w nowym ustroju drżeli przed jej mroczną potęgą. Nawet ten niepowszedni przywódca tłumów z lękiem rzucał jej poza oczy takie obwinienia! Jeden tylko Lenin był dla niej nietykalnym. On przedstawiał ideę, może wzniosłą i czystą dla niego, lecz równocześnie zbyt wygodną dla tamtych, żeby go uśmiercać chcieli.

— Więc, jeśli mamy już naśladować bogów, dlaczego nie wyrwiecie słońca wolności, i to jak najprędzej, z tych złych rąk? Dlaczego pozwalacie na czyny i męki, nieznane w historji świata, hańbiące waszą rewolucję?!

Westchnął głęboko.

— Myślicie, że to tak łatwo... Ale — tu podniósł nagle głowę z dumą, jakgdyby całemu światu rzucał wyzwanie — zwalczymy i to! Nasza idea, jak idea Chrystusa, przebiegnie

całą kulę ziemską, poruszy wszędzie masy do czynu! On pierwszy wyrwał ludzkość z pod bata bogaczy! Teraz czynimy to — my!

— Chrystus opierał swe władztwo na miłości, a wy — na nienawiści! Taki posiew wyda tylko zło. Padniecie, szaleńcy!

— Ale przedtem padniecie wy, którzy w ludziach nie widzieliście braci, tylko mięso armatnie, zdatne do waszych celów!

— Zdławiliście nas zbyt szybko po przewrocie! Nie daliście czasu na czyn...

Ścierały się między nami dwa najistotniejsze, najgłębsze przekonania, obydwa silne wiarą w swą nieomylność... obydwa wręcz sobie przeciwne. Przyciszone słowa taiły tem większą moc. Mówiliśmy ciągle półgłosem, aby nasza rozmowa nie zwróciła niczyjej uwagi, choć i tak hałas kroków i ruch wokoło głuszyły dostatecznie nasze słowa. Pod wpływem świeżo poczynionych odkryć o niesłychanych okrucieństwach czekistów nastrój tłumów był podniecony, i gdyby się dowiedziano, że w tem wgłębieniu okna stoi komunista — mógłby łatwo paść, rozszarpany na miejscu. On zaś mówił dalej cicho, lecz ze wzrastającym zapałem:

— Czas, to wielki nauczyciel!... Przekona on was wszystkich, widzących w nas tylko burzycieli i szaleńców. Każdy żyjący ma prawo do szczęścia i każdy je otrzyma z naszych rąk!

— Szczęście! — rzekłam żałośnie. — I wy możecie mówić o szczęściu? Posłuchajcie...

Wychyliłam głowę przez otwarte okno i zamilkliśmy oboje...

Z Ogrodów Cierpienia, leżących tak niedaleko od gmachu dawnej czrezwyczajki, niósł się teraz wyraźnie straszny

jęk tłumu. Chwilami była cisza. Pierś ludzka wchłaniała ból — a potem wyrzucała go z siebie w przeciągłym szlochu...

Było to podobne do rozszalałej fali oceanu, co zawyje jękliwie, bijąc o nadbrzeżne skały — a potem odpływa z cichym szmerem poto tylko, aby za chwilę, w nowym porywie rozhukanego żywiołu, rzucić swe wody o skalne występy. Nieznajomy zbladł... zagasły, jak przepalone, promienie wzroku, a oczy pociemniały, niby przepastna toń. Ręką przesunął po czole...

— Straszne to, straszne... Wszystko mija — rzekł powoli, — to jedyna prawda w życiu! Czy uwierzycie mi, gdy powiem, że przychodzą na mnie chwile takiej mocy i takiej tęsknoty do czynu, że porwałbym w te ramiona świat cały i wstrząsnąłbym nim tak, aby na dno opadły Zbrodnia i Nędza, a na powierzchni zostały Radość i Braterstwo!

Kontrast między wzniosłem pięknem jego słów a krwawym i bezmyślnym terrorem, z którego dopiero co wyszliśmy, był tak okrutny, że nagle wdarła mi się do serca świadomość mojej ciężkiej niedoli. Wyszeptałam rozpacznie:

— Zaco go wzięliście?! Zaco?... Tak dobrym był dla chłopów... Nawet oni bronili go przed bandą! Nie dali go zabić! A wy?... Coż z nim zrobiliście?...

Objął mię spojrzeniem, pełnem litosnej dobroci:

— To pomyłka, żałosna pomyłka! Gdybyśmy się wcześniej spotkali — możebym go wam uratował... ale i za to nie ręczę... Proszę, dajcie mi swój adres. Tak. Dziękuję. Przepatrzę spisy rozstrzelanych... to mogę zrobić z łatwością. Jeśli go znajdę — prześlę wam jedno słowo: «beznadziejnie!» W razie mego milczenia, powinniście uwierzyć, że żyć może. W zamieszaniu ostatnich chwil wszystko jest prawdo-

podobne! Mogli wywieźć go do Moskwy. Chciałbym nie napisać wcale!

Spojrzał mi raz jeszcze w oczy, jakgdyby pragnął dodać odwagi z mocy własnego ducha — a potem wmieszał się w tłum i zniknął.

Patrzyłam za nim w zadumie. Szkoda! Jak wielkiem było serce tego człowieka!

. . . .

Kartki od niego nie otrzymałam.

OPOWIADANIE WŁASOWA.

Pierwsze dni wyzwolenia spędziłam na upartych poszukiwaniach Kaliksta. W ciągłej myśli mojej o nim plątało się jednocześnie widmo jakiejś przerażającej śmierci. Zasypany żywcem... może zamurowany w nieznanem miejscu... może rozstrzelany... może, pomimo wszystko, żyje jeszcze i czeka na ratunek!...

Nie myślałam dawniej, że potrafię rozwinąć wytrwałość i spryt detektywa. Idąc śladami przeróżnych wskazówek, obiegłam prawie wszystkich towarzyszy Kaliksta, zamkniętych z nim razem w Cze-Ka w ciągu tych dni kilku, a uwolnionych w ową pamiętną sobotę. Doszłam wreszcie do niezbitej pewności, że mego męża przeprowadzono do innej kamery. Byli tacy, co widzieli, jak tam wchodził... Lecz tu już ginął wszelki ślad — a mojej woli, pomimo rozpaczliwych wysiłków, przeciwstawiała się czarna, nieprzebita ściana. Z tamtej strony — kryła się tajemnica czrezwyczajki! Wśród tych poszukiwań i zabiegów nosiłam wszędzie za sobą krzyż smutku tak ogromny, że upadałam pod jego cię-

żarem. Mąciły mi się nieraz myśli... widziałam przed sobą przepaść bez dna... Jakto?!... Tak niedawno jeszcze miałam dom śliczny, najmilszy, pracę na własnej ziemi, matkę, która żyła tylko moją radością, męża — przyjaciela najdroższego, — a dziś tak nagle, tak niespodziewanie, wszystko zostało mi odjętem!... Matka umarła przed rokiem — mąż zaginął bez wieści!... Zostałam w biedzie, samotna... Jedyna moja opiekunka i najwyższa troska zarazem — to ta moja biedna, mała córeczka, która pociesza mnie, jak umie i jak może!

Nieraz w rozpaczy klękałam przed łóżkiem, — tam, na ścianie wisiał rzeźbiony ołtarzyk, pamiątka szczęśliwych, dziecięcych lat. Wznosiłam ręce, wzrokiem przebijałam te ściany, ten sufit... Nikogo niema przy mnie...

Tylko tam — gdzieś wysoko — jest Bóg!

. . . .

W kilka dni po wejściu «Dobrowolnej Armji», wczesnym rankiem, wpadła do mnie kuzynka moja, Zofja Zwolińska, przejęta niezwykłem wydarzeniem. Oto o kilka domów od jej mieszkania, powrócił do matki staruszki pewien młody technik, więziony również do ostatniej chwili w czrezwyczajce. Wszyscy mieli go za straconego, tymczasem umknął od bolszewików niepojętym niemal sposobem.

Natychmiast poszłam do niego. Mego męża, niestety, nie widział nigdzie, lecz opowiedział mi moc nieznanych szczegółów o ostatnim dniu bolszewickiego panowania w Kijowie. Pośpieszyłam zanieść te nowiny do Czerwonego Krzyża, tam bowiem zestrzelały się zobopólne wysiłki co do odszukania zaginionych. Pan Zagórski słuchał ciekawie mego opowiadania, wreszcie rzekł:

— Jeśli pani niebardzo zmęczona, chodźmy razem do

tego młodzieńca. Chcę go sam wypytać i posłuchać jego dziejów.

. . . .

Tramwaje nie funkcjonowały już oddawna. Byłby to zbytek magnacki wobec tego, że nawet do pompowania wody na górne piętra kamienic brakowało siły elektrycznej. Szliśmy długo, bo Własow mieszkał przy końcu Gogolewskiej, gdzie już pojawiały się coraz częściej małe domki z ogródkami, a miasto przybierało charakter raczej przedmieścia. Przez taki niewielki ogródek z klombami georgenij i astrów, obwiedzionych czerwoną, zagłębioną w ziemię dachówką, weszliśmy do skromnego mieszkanka.

Własow leżał wyciągnięty na kanapce, nogi miał starannie obandażowane. Chciał się podnieść na nasze powitanie, ale za pierwszem poruszeniem syknął z bólu:

— Proszę mi darować — nie mogę wstać! Pomimo moich dziewiętnastu lat, zrobiłem widocznie zbyt forsowny spacer kilka dni temu! — zaśmiał się wesoło.

Usiedliśmy opodal.

— Męczymy pana — rzekł pan Zagórski, — ale ostatnie chwile więźniów czrezwyczajki, przed definitywną ucieczką bolszewików z Kijowa, nie są dotychczas nikomu znane. Pan pierwszy może rzucić trochę światła na sprawę, obchodzącą gorąco cały Kijów...

Chłopak przerwał mu żywo:

— Proszę się nawet nie tłumaczyć. Dowiedziałem się od znajomych, że pani Kozicka poszukuje swego męża i sam prosiłem, aby zechciała do mnie przyjść. Niestety, sądząc z opisu pana Kozickiego, w mojej kompanji go nie było.

Pan Zagórski rozglądnął się po niskim i ubogo umeblowanym pokoiku:

— Ciekawym, za co czrezwyczajka chwyciła pana? Nie wygląda pan wcale na niebezpiecznego konspiratora — a i całe otoczenie nie grzeszy burżujstwem!

Własow podniósł na nas poczciwe, błękitne oczy i uśmiechnął się. Zwyczajnie jak młodemu, sprawiało mu to widoczną przyjemność, że był do pewnego stopnia bohaterem chwili.

— A jednak i ja potrafiłem narazić się wszechwładnym! Ot, jak to mówią, czem licho nie igra?!... Mieszkam tu z matką staruszką, która ma we mnie jedynego opiekuna. W zeszłym roku skończyłem gimnazjum i zapisałem się na politechnikę. Nie przeczę, że w gronie kolegów krytykowaliśmy nieraz zajadle system sowieckich rządów, które zamiast obiecanej wolności, nałożyły nam wszystkim tak ciasną obrożę, że wyć można było z braku oddechu. Ktoś musiał podsłuchać i donieść. To się przecież zdarzało codziennie.

Pewnego wieczora spada na nas rewizja tak znienacka, jak grom z jasnego nieba. Łatwo było splondrować te trzy klateczki. W kwadrans wszystko było skończone! Nie znaleziono żadnych dowodów obciążających. Młodzież, zwyczajnie jak młodzież, lubiła wyburzyć się hałaśliwie, lecz ustnie. Na piśmie nie było nic. — «Ubierajcie się, jesteście aresztowani!» — mówi mi komisarz.

Matka staruszka, z lękiem wodząca cały czas oczyma za każdym ruchem rewidujących, przypada do mnie z taką siłą rozpaczy, jak kokosz broniąca pisklęta przed jastrzębiem: — «Ludzie! Czego tu chcecie?! Czy nie macie litości w piersiach?! Ja tu bez niego zostanę sama... samiuteńka, jak ten słup przy drodze! Co on wam zawinił? To dziecko jeszcze... Nie wie, czego chce, jak ten wiatr, co wieje! Ja cię nie puszczę... ja ciebie nie dam, syneczku miły!»

Obejmuje mnie kurczowo ramionami, tuli do siebie tak, jakgdyby schować chciała przed niebezpieczeństwem, jakgdybym był jeszcze tym dawnym, kilkuletnim chłopaczkiem! Żołnierze wykręcają jej ręce — odrywają mnie od niej przemocą, trzymają ją silnie na uboczu, choć rwie się ku mnie gwałtownie. Mnie już wyprowadzają na ulicę...

Z otwartych okien naszego domku lecą za mną rozdzierające jęki: — «Synku, mój synku... Dzieciątko jedyne!... Nie zostawiaj mnie samej, sieroty!»

Ach, te jęki... ten szloch... To było gorsze, niż wszystko!

Zaprowadzili mnie do Gub-Cze-Ka, tam rzucili w jakiejś kamerze na podłogę, wśród kilkunastu innych. Przebyłem tak parę miesięcy w zupełnem zapomnieniu, w ciągłej niepewności dalszego losu. Głodu nie mieliśmy, bo karmił nas Czerwony Krzyż. Niezapomniane to były chwile, gdy przez drzwi, uchylające się zwolna, wsuwała się do nas Siostrzyczka w białej «kosynce» na głowie. Ona przychodziła z wolności! Ona napewno widywała naszych najdroższych!... Może dziś jeszcze znowu ich ujrzy?!... Cały spryt i przebiegłość wysilały się na to, aby jej szepnąć, gdy przechodziła obok — lecz tak, by nikt nie usłyszał: Własow żyje!

Tylko tyle! Ona już zaniesie tę dobrą nowinę mojej znękanej matce, siwej staruszce. — Noce zato bywały poprostu upiorne. W naszych drzwiach było niewielkie, oszklone okienko. W pewnej chwili zasuwka, przytrzymująca je, odsuwała się nagle z trzaskiem. W otworze widać było oczy komisarza czrezwyczajki... W słabem świetle lampki oczy te świeciły jak ślepia tygrysa, biegając po nas kolejno. Tak patrzyła Śmierć! — Okienko zasuwało się znów hałaśliwie. Wybór zrobiony...

Za kilka chwil wchodzili żołnierze, najczęściej Chińczycy, zbliżali się do skazanego. Ten, w porywie dzikiej roz-

paczy, graniczącej z obłędem, bronił się, jak szalony! Szamotał się z oprawcami... czepiał się towarzyszy i ścian... padał na podłogę i paznogciami w nią się wpijał!... Jak pojmany zwierz — ryczał z trwogi przed Śmiercią! Wił się z bólu i męki — jak człowiek niewinny, skazany na mord. Żołnierze, bez litości, z obojętną wprawą, wlekli go coraz dalej, ku drzwiom. Jeszcze z korytarza dochodziły nas rozdzierające krzyki — potem nagle spadała cisza, jak czarna zasłona. Po chwili... tuż pod naszemi oknami, tupot nóg... Znowu ten sam okrutny jęk, wdzierający się w wytężony słuch aż do poczucia fizycznego bólu. I nagle wystrzał... Już teraz naprawdę koniec, przynajmniej dla jednego!

Bywały noce wytchnienia. Miewaliśmy jednak i takie, że przerażające okienko po kilkakroć odsuwało się z przeklętym łoskotem, niby ostrzegawczy sygnał śmierci, a wówczas lodowaciała nam krew w żyłach... ustawało pozornie życie... Jedni tulili twarze do ściany, myśląc, jak dzieci, że w ten sposób śmierć ich ominie. Inni, w bezwładnem osłupieniu, zdawali się wyrażać całą swoją postawą, że takie życie — równa się już śmierci!

Niektórzy miotali się w bezsilnym buncie: — O matko, matko, pocoś mnie na ten świat urodziła?!

Pierwsza egzekucja, która, jak opowiadam, przesunęła się przed mojemi oczyma, podarła tak we mnie wszystkie myśli i uczucia, jak burza, która w lesie zatarga dębem i rzuci nim o ziemię z wydartemi już korzeniami.

W strasznej rozterce chwyciłem się za pierś — brakło mi tchu!...

Uczułem pod ręką mały medalik, który mi kiedyś matka zawiesiła na szyi, i ja... ateusz, ja, dotychczas mędrkujący uczenie o nieistnieniu Boga — zacząłem modlić się do niego

z dziecięcym żarem. Temu tylko zawdzięczam, że nie oszalałem! Przeszło tak parę miesięcy, aż w sobotę 31-go sierpnia, o 9-tej rano, weszli do kamery żołnierze, zagarnęli nas w jednej chwili i wprawnie wyrzucili na korytarz, tak, jak niepotrzebne śmiecie. Popychali nas przed sobą, prowadząc do jakiegoś innego pokoju. Wpuścili tam wreszcie całą naszą partję.

Przez uchylone drzwi widziałem następną salę i stół, przy którym siedziało trzech może dwudziestoletnich żydków. Żołnierz stał przy drzwiach z bagnetem w ręku.

Wpuszczano po kolei więźniów. — «Własow!» — Nareszcie! Będę mógł się przynajmniej bronić. Podszedłem do stołu. Przed niedorosłymi sędziami leżał duży, drobno zapisany arkusz papieru. Myślę, że to był spis więźniów.

Źle się jednak wyrażam — nie był to bowiem sąd, lecz raczej segregowanie więźniów na pewne grupy przed przymusowem opuszczeniem Kijowa, o czem my naturalnie nie wiedzieliśmy. Jeden z tej strasznej Rady Trzech rzekł do mnie drwiąco:

— No, powiedzcie nam, Własow, dlaczego wam się tak nie podobają sowieckie rządy?! Czy teraz, po pobycie u nas, pozbyliście się waszych uprzedzeń?

Przyznaję, że ciężki magiel śmierci i lęku przed nią skruszył moją dawną wolę. Spodlałem w tych murach...

— Wypuśćcie mnie na swobodę, a zgodzę się na wszystkie wasze systemy!

— Chytry ptaszek! — zawołał ten, który siedział pośrodku i zdawał się mieć wpływ decydujący. — Czekaj, młokosie! Należy ci się nauczka!

Poszeptali między sobą, przerzucając papiery. Wreszcie jeden z nich wpisał kilka słów na rozłożonym arkuszu i wydał wyrok: — «Na czernigowską szosę! — Następny!» —

Poprowadzono nas w kilkadziesiąt osób o kilka ulic dalej, do urzędu, gdzie dawniej przyjmowano podania o uwolnienie więźniów. Tam przestaliśmy kilka godzin, zanim nas zarejestrowano. Była już może druga po południu, gdy wyszedłszy z Kijowa znaleźliśmy się na czernigowskiej szosie. Wlekliśmy się powoli, otoczeni żołnierzami, którym także nie było pilno.

— I dokąd nas tak prowadzicie, towariszczi?

— Tyleż wiemy, co i wy! Albo będziecie przy okopach, albo w krasnej armji...

— Za bunt — na pierwszy ogień!

Działa denikinowców grzmiały za nami coraz donośniej. Zmierzchało już, gdy ujrzeliśmy na niebie łunę pożaru. To płonął Padoł. Nagle błysk ognisty wyrwał się z oddali, ryk, niby z gardła potwora, wypełnił całą przestrzeń, i pocisk działowy zarył się w ziemię o paręset kroków od nas. To denikinowcy, opanowawszy już pewno Kijów, dojrzeć musieli przez lunetę konwojujących nas krasnoarmiejców i dosięgali ich śmiercionośnym strzałem. Przypadliśmy wszyscy twarzą do ziemi... Za chwilę chmara syczących szrapneli przeleciała nad nami jak złowróżbne ptaki. Nie było słychać jęków — widocznie źle wycelowano.

Leżący obok mnie żołnierz trącił mię w bok: — Żal mi ciebie... Młodyś jeszcze, bracie! Wal się w rów i przeczekaj!

Strzały nagle ucichły. Minęło pół godziny przynajmniej, a ja jeszcze nie śmiałem wychylić się ze swego ukrycia... Wreszcie wysunąłem ostrożnie głowę.

Droga była pusta. Widziałem w oddali znikających już moich towarzyszy. Działa znowu huczały bez przerwy od strony miasta i chwilami szrapnele przelatywały górą, zakreślając łuk w powietrzu.

Wyskoczyłem z rowu i jak szalony biec począłem z powrotem do miasta. Oglądałem się co chwila, czy mię kto nie goni, — choć w rzeczywistości śmierć była nie za mną, lecz mogła mię chwycić co moment, lecąc z denikinowskich dział na moje spotkanie. Dobiegłem tak do Dniepru. Nie odważyłem się wejść do miasta w nocy. Straże mogły wziąć mię za bolszewika lub włóczęgę, tak byłem zarośnięty i obdarty,

Przenocowałem w szuwarach, napół żywy ze zmęczenia. Zrana przekradłem się bocznemi ścieżkami do domu. Matki nie zastałem. Poszła do cerkwi na «panichidę» za moją duszę, bo, tak jak wszyscy w Kijowie, wierzyła, że kto w ostatnim dniu nie wrócił z czrezwyczajki, tego już niema wśród żywych...

Patrzę przez okno — idzie moja biedna starowinka, zgarbiona, zapłakana, aż litość w piersiach skomli! Wychodzę na ganek:

— Matko!

Rozłożyła ręce szeroko, aż jej pozłacany modlitewnik wypadł na ziemię:

— Tyżeś to, synku rodzony... czy duch twój?!... — wyszeptała niepewnie.

— Ja, matko, ja we własnej osobie, żywy i zdrów, ale z poranionemi nogami i głodny jak wilk! Poratujże mnie, miła moja!

Oto w jak niezwykły sposób ocalałem. Co się z tamtymi stało... nie wiem!...

Słuchaliśmy w milczeniu. Zresztą podczas tego opowiadania przeżywaliśmy z chłopakiem cały tragizm naszego dotychczasowego życia.

Pan Zagórski pierwszy otrząsnął się z wrażenia:

— Wiemy więc już, co się stało z jedną partją więźniów,.. Najbardziej jednak gnębi nas myśl, czy nie rozstrze-

liwano w sobotę rano, przed ucieczką bolszewików? Jest kilkunastu zaginionych... Nie mamy pewności ani ich życia, ani też zgonu.

Własow zaprzeczył żywo:

— Nie! Tego jestem pewny! Rozstrzeliwano o świcie, lecz z rana cisza była zupełna. Zresztą, jak teraz wiemy, sytuacja na froncie tak się wtedy nagle pogorszyła, że czekiści musieli myśleć o sobie przedewszystkiem.

Pan Zagórski zwrócił się do mnie:

— Jest więc nikła iskierka nadziei dla pani i dla innych, że wasi mężowie żyją i gdzieś są... Ale gdzie? Musi pani dalej wytrwale szukać.

Pożegnaliśmy się z Własowym i wyszliśmy z jego pokoju.

W kuchence krzątała się żwawo przy ogniu p. Własowa. Z jej dobrodusznej twarzy nie schodził wyraz dziękczynnego zachwytu. Gotowała obiad dla jedynaka, czuwając nad nastawianemi garnkami z tak troskliwą umiejętnością, jakgdyby to była najwykwintniejsza uczta. Ileż to może być szczęścia w takim małym domku! I co jest właściwie szczęściem na świecie? Chyba jedno: iść do upragnionego celu z powodzeniem...

NA DNIE CIERPIENIA.

Szłam więc i ja do mego celu z wytężoną, choć bolesną odwagą. Szukałam dalej mego męża, aby go pogrzebać, jeśli nie żyje, i wówczas do tej mogiły przywrzeć myślą i tęsknotą, jak człowiek, dla którego radości ziemskie przestały już istnieć, albo też ratować, jeśli uszedł śmierci tak cudownie, jak Własow.

O zmierzchu dopiero wracałam do domu, tak zmęczona,

że zaledwie miałam siłę na wieczorną modlitwę z Haneczką— zawsze na tę samą intencję. Zasypiałam, jak kamień. Skoro świt zrywałam się z łóżka i z nowym zapałem rozpoczynałam całodzienną wędrówkę. Nieraz bywałam głodna, zmordowana, jak zgonione zwierzę. Niedostatek coraz mocniej dawał się nam we znaki, lecz, zdając sobie zresztą doskonale sprawę z tych wszystkich braków, nie odczuwałam ich zupełnie, tak silnym był płomień cierpienia i współczucia dla cierpiących, palący się w lekceważonej przezemnie ziemskiej powłoce! Dwa te uczucia wypełniały mi życie. Nie rozróżniałam pod tym względem żadnych narodowości. Nieszczęście zrównało nas wszystkich. Dopiero tu, na dnie cierpienia i nędzy, zrozumieliśmy moc prawdziwej, bezwzględnej miłości bliźniego. Schodziliśmy się codziennie około południa w Czerwonym Krzyżu, bo tam koncentrowały się nici wszystkich naszych zabiegów i trosk.

Tworzyliśmy w tych chwilach jakieś wielkie bractwo niedoli, nie ujęte w żaden statut, związane nie surową regułą, lecz tylko smutną harmonją zbolałych serc. Przychodziły tu żony zakładników, wywiezionych do Moskwy w trzech partjach, z nieopuszczającą ich nigdy troską, czy ci najbliżsi, a tak niestety dalecy, potrafią znieść i zwalczyć choroby, zarazy i cały system więzienny, — czy bolszewicy, mszcząc się na nich za doznawane stale porażki na froncie, nie zechcą się nad nimi pastwić. Mieli ich przecież w swojem ręku... W każdej chwili mogli rozstrzelać albo zagłodzić. Lecz te osamotnione i pokrzywdzone wiedziały przynajmniej, gdzie są ich mężowie, jakie niebezpieczeństwa im grożą... czy jest możliwość ratunku.

Były między nami stokroć nieszczęśliwsze żony-sieroty!

Męka zupełnej nieświadomości o losie ukochanych stała

przy nich we dnie i w nocy. Wiedziały tylko, że za tymi drogimi ich sercu zamknęły się kiedyś drzwi czrezwyczajki — a teraz niema ich... ani wśród żywych, ani wśród umarłych! Czy wrócą kiedy? Czy żyją w ukryciu? Czy może już leżą pod ziemią — na chwilę przed skonem, w ostatnim przedśmiertnym krzyku, wezwawszy Boga na świadka spełnionej zbrodni?!... W dręczącej niepewności wahały się pomiędzy nadzieją a zwątpieniem, znacząc tak swoje prawdziwie krzyżowe dni, jak wahadło zegarowe znaczy szerokim ruchem upływający czas.

Lecz najnieszczęśliwsze wśród nas były bezwątpienia te żony i matki, które wiedziały z niezbitą pewnością o nocy egzekucji, a pomimo odkopywania mogił przy czrezwyczajkach i koło łukjanowskiego więzienia — nigdzie odnaleźć nie mogły drogich zwłok. Tym — odjęte było wszystko!

Podobnie jak w piekle dantejskiem: podziemne kręgi, schodzące coraz niżej, z zaostrzającą się stopniowo na każdym z nich — męką, a wszystkie pozbawione pociechy i światła!

Wokoło nas wrzało życie. Denikin szedł zwycięsko w głąb Rosji. Ludzie wierzyli, że cofająca się fala Zła odpływa już na zawsze, myśleli o odbudowaniu dawnego warsztatu pracy, o stworzeniu lepszych dla wszystkich warunków istnienia. Tylko dla nas — ofiar bolszewickiego terroru — zagasło wszelkie światło...

Przy końcu pierwszego tygodnia denikinowskich rządów zaszłam raz do Czerwonego Krzyża o wiele wcześniej niż zwykle. Byłam dnia tego straszliwie znękana po rozmowie z jednym z kolegów więziennych Kaliksta. Ten był obecny przy wydawaniu wyroku na mego męża. Sądzili go trzej młodzi żydzi, o których mówił Własow.

— Byłem w tej samej sali — rzekł mi, — a jednak

nie pamiętam, jakie wyrazy padły w owej chwili. «Na rozstrzelanie» czy też: «Do Moskwy!» Truchlałem o własne życie... Oficer dawnej cesarskiej armji!... Dotyczas nie pojmuję, jak tego nie wykryli?! Miałbym epolety «*au naturel*»! Zamiast tego wypuścili mnie grzecznie! Ot, jakiś fantastyczny kaprys potomków Judy! Pani zrozumie mnie i daruje.

O możliwości rozstrzelania mego męża mówił z zupełną swobodą. Mieliśmy czas oswoić się w ciągu mniej więcej siedmiu miesięcy z okrucieństwami sowieckich rządów i uważać bezmyślne uderzenia śmierci za codzienne, normalne wypadki.

Na podwórzu, przed barakami Czerwonego Krzyża, jak zwykle, było tłumno.

Gotowały się w olbrzymich kotłach darmowe obiady. Opodal w kolejce tłoczyli się jacyś biedacy z garnuszkami w ręku. Baraki przepełnione były żonami i córkami nowych więźniów. Teraz one żaliły się i płakały przed Siostrami albo składały paczki z jedzeniem. Gdzieś na uboczu stał wózeczek i Siostry ładowały weń chleb i zapasy żywności. Zawiozą to do więzienia — podejrzanym tym razem o komunizm, a nie o burżujstwo, jak dawniej. Tragedja życia nie ustawała. Zmieniły się tylko role i aktorzy.

Przeciskałam się przez tłum, chcąc dostać się do ławeczki w głębi, gdy nagle dojrzała mnie Siostra M., dobra i słodka jak samo miłosierdzie. Od pierwszej chwili naszego poznania darzyła mnie najżywszą przyjaźnią.

— Jak to dobrze, że panią tu widzę! Dziś ja mam do pani prośbę.

— Spełnię ją z pewnością. Słucham, Siostro!

— Wczoraj zaszła tu do mnie pani Horensztejn. To są żydzi bardzo bogaci. Mają gdzieś na Podolu własną fabrykę cukru. Męża jej połknęła czrezwyczajka, już nie wiem z ja-

kiego powodu. Ostatni raz widziano go w sobotę rano. Krasnoarmiejcy prowadzili go do ogrodu, gdzie potem tyle ofiar odkopaliśmy. Nikt nie wie, co się z nim dalej stało... Pomyślałam sobie, że może pani natrafi na jakiś ślad jego przy szukaniu swego męża.

— Najchętniej, Siostrzyczko. Proszę tylko o adres. Muszę się przedtem zobaczyć z panią Horensztejn i wypytać o wszystkie szczegóły. Nieraz wątła niteczka prowadzi najpewniej do celu.

. . . .

Horensztejnowie mieszkali wspaniale. Salony, antyki, obrazy, — aż dziwnem było, że wszystkie te skarby uszły bolszewickiej łapczywości. Wyszła do mnie czarno ubrana Horensztejnowa. Znać było po niej ogładę i staranniejsze wychowanie. Wogóle był to najwidoczniej nierzadki w Rosji typ żydów, którzy lubili mówić o sobie: — «My — istinno russkije»...

Opowiadała mi o wszystkiem, co przeszła, a łzy jedna za drugą spływały po jej ładnej jeszcze twarzy:

— Niech pani tylko pomyśli... On taki chorowity, przyzwyczajony do komfortu, — a tu raptem na podłodze całemi dniami i nocami... A sam sobie winien! Nałożyli na nas kontrybucję. Więc cóż?... Prosiłam, błagałam: sprzedaj moje pierścionki i zapłać! — Nie i nie! To był człowiek interesu, bystro patrzył w przyszłość. — «Na dziadów zejdziemy z tą komuną!» — mawiał nieraz. Wzięli go... Bałam się strasznie chodzić do nich... tam... ale chodziłam.

Prosiłam o zmiłowanie... chciałam zapłacić. Śmiali mi się w oczy: — «Zapóźno! Teraz będzie inna kontrybucja!» — Nagle pogorszyła się nasza sprawa. Nie dopuszczali mnie

już do tych, co mogli darować lub odebrać życie. Zapanował nowy samodzierżca Ukrainy — czerwony car Terror! Po kolei wystawaliśmy godzinami całemi na rogu ulicy, przeciwległym czrezwyczajce. Nie spuszczaliśmy oczu z drzwi i okien. Może przeprowadzą go do więzienia na Łukjanówce? To byłoby już znacznem polepszeniem losu.

W sobotę z rana wychodzi biedak z czrezwyczajki pod konwojem dwóch żołnierzy i znika w bramie tego strasznego ogrodu... Siostrze mojej, stojącej na straży, widok ten odbiera przytomność. Pada na ręce otaczających — odwożą ją do domu.

Natychmiast szwagier mój biegnie na opróżnione stanowisko... czeka... wygląda... Niestety! Nikt z nas już go nie zobaczył! Jedyna nadzieja, że może wysłano go do Moskwy, a w tym ogrodzie zarejestrowano...

I cóż mi z tego, że z Denikinem przyszło wybawienie, że oddadzą nam majątki i znowu będzie jak dawniej! Nic mię bez niego nie cieszy! Nic nie jest miłe!

Ocierała oczy delikatnie chusteczką, a w całej postawie była jakaś dziecięca bezradność.

— Pani wypowiada moje własne uczucia. Proszę wierzyć, że odtąd będę szukała męża pani jednocześnie ze swoim.

Gotowa byłam do wszelkich wysiłków, byleby jej dopomóc — tak mię przejęła ta cicha boleść.

Wyciągnęła do mnie rękę i krótkim, gorącym uściskiem powiedziała daleko więcej, niż banalnem podziękowaniem.

— Gdyby pani chciała... — zawahała się chwilę, jakgdyby w niepewności, czy może być ze mną zupełnie szczerą, a potem kończyła przyciszonym głosem: — Jest tu pewien krawiec, żyd... Mówią, że ten zna tajemnice czrezwyczajki.

Mieszka gdzieś w okolicach Bankowej... adresu dokładnego nie mamy.

. . . .

Nowa nadzieja dowiedzenia się czegoś pewnego o losie zaginionych sprawiła, że kilka godzin przeszukiwałam wszystkie ulice, przecinające Bankową, dopytując się wszędzie o pracownię krawiecką. Kierowałam się nietylko rozumem ludzkim, lecz nie mniej cudownym, choć niepojętym instynktem. Znalazłam wreszcie tego krawczyka w głębi małego podwórka, na pięterku. Schody były karkołomne, nora ciemna i brudna. Zastałam go w domu. Spojrzał na mnie nieufnie.

— Przychodzę w sprawie Horensztejnowej.

Pokiwał głową znacząco:

— Wiem... wiem... Odkopuje mogiły i nigdzie męża znaleźć nie może!

Rzuciłam ostrożnie pytanie:

— A gdzie on jest? Jak pan myśli?

Zwlekał długo z odpowiedzią:

— Ja myślę... że kto wszedł do tego strasznego ogrodu, ten już stamtąd nie wyszedł żywy...

— A dlaczegoż niema go wśród odkopanych?

Skrzywił się znowu nieprzyjemnie:

— Zagadka nietrudna: Pani wie, że do wspólnego dołu rzucano ludzi, odartych ze wszystkiego. Jeśli jeszcze w dodatku zanadto sumiennie rozłupano mu czaszkę — to jakiż sposób poznania?... Niech jej pani tego nie mówi. Niech się dalej tak łudzi!

Patrzyłam na niego przenikliwie. Wzbudzał we mnie niewytłumaczoną odrazę.

Krawczyk przecierał zdjęty cwikier. Oczy jego unikały mego wzroku.

— Żałuję doprawdy, że nie mogę jej pocieszyć... A los chciał, że przysłużyłem się kilku osobom. Zaraz po ucieczce bolszewików wpadłem pierwszy do Gub-Cze-Ka... ot, tak, przez ciekawość... Na podłodze walały się spisy rozstrzelanych. Rzuciłem na nie okiem i zapamiętałem sporo nazwisk...

Denuncjator na usługach czrezwyczajki?... myślałam. Na ustach drżało pytanie, czy wśród tych wykreślonych z życia był i mój mąż?... Niewypowiedziane, zapadało w głąb serca, trwożliwe, jak lęk przed nieszczęściem.

Przyszła nareszcie chwila decyzji. Namyślał się tak długo, że zamarłam w oczekiwaniu ciosu.

— Nie... Takiego nie było... — rzekł wreszcie, rzucając mi ukośne spojrzenie z za szkieł.

. . . .

Idąc z powrotem do siebie, wstąpiłam do Czerwonego Krzyża. Chciałam zdać Siostrze M. sprawozdanie z wyniku moich poszukiwań. Zdaleka już zobaczyłam ją, biegnącą prawie na moje spotkanie. Jej radość doszła do mojej świadomości jak promień słońca, zanim jeszcze zdołała przemówić.

— Mój mąż?!... żyje!... powrócił?... — Szaleństwo szczęścia było w tym okrzyku.

— Nie... nie to! Niech się pani uspokoi! — objęła mię w pół i prowadziła do ławki.

— Dopiero co dowiedziałam się, że z «Kryłowa», na którym odpłynęła Cze-Ka z zakładnikami — uciekł inżynier Liwen. Oto jego adres. Dziś już za późno, bo to daleko, ale jutro raniutko niech pani idzie do niego i wstąpi do nas z powrotem. I my ciekawe jesteśmy jego przygód. A może on pani przyniesie jakąś dobrą wieść?

UCIECZKA LIWENA.

Liwenowie mieszkali tak daleko od centrum miasta, że w tem miejscu już szmat pola przylegał do niedbale brukowanych ulic. Kamieniczki trzymały się tu jedne drugich, jak zaniedbane i przygarbione wiekiem staruszeczki, pozbawione estetycznego wyglądu.

Stróż wskazał mi oszklony ganek, prowadzący do mieszkania Liwenów. Drzwi były przymknięte i przy odsuwaniu zgrzytnęły niemile, obracając się na zardzewiałych zawiasach. Z dalszych pokoi wybiegła młoda Liwenowa, skromnie ubrana, miła z wyglądu. W kilku słowach wyjaśniłam jej cel mego przybycia.

— Męża niema w domu. Wyszedł przed chwilą do fabryki, w której poprzednio pracował, pochwalić się, że żyje, i zapytać, czy może liczyć na dawną posadę. Proszę bardzo, niech pani zaczeka — on niebawem powróci.

Przysunęła mi uprzejmie krzesło. Było jeszcze tak wcześnie, że zastałam dzieci przy śniadaniu. Nakrycie było skromne, a umeblowanie tylko niezbędne.

— Mąż da pani wszelkie wskazówki. On jest teraz tak szczęśliwy, że światu całemu radby dopomóc, a cóż dopiero pani!—spojrzała na mnie ze współczuciem. — Jeszcze we środę z rana spadł mi tu jak z nieba, ale tych parę dni nie ruszał się nigdzie z domu. Strasznie był zmęczony, a i nami chciał się nacieszyć. Dotychczas trudno mi uwierzyć, że on naprawdę powrócił.

Mówiła to wszystko miło i prosto, ani się chełpiąc swem szczęściem, ani je ukrywając.

— Jak to było? Niech mi pani opowie. W tych okrutnych czasach radość jest czemś tak niezwykłem!

— Najchętniej. Lubię przeżywać wspomnieniem te chwile... Z rana posyłam zawsze nianiuszkę po mleko, a starowina nigdy drzwi za sobą nie zamknie. Słyszę nagle... ktoś wchodzi do przedpokoju. Biegnę... czy to czasem nie jakiś włóczęga? Spojrzałam — a tu w przyciemnionym przedpokoju rysuje się wysoka postać. Z początku nie mogę poznać w mroku, lecz nagle... Jezu Chryste! Toż to mąż! Zabili go pewno w drodze i stoi teraz przedemną, jak pośmiertna zjawa... Poczerniało mi w oczach i zemdlałam... Wróciłam do przytomności już w objęciach męża. — «Otwórz oczęta, żonuś mój głupiutki! Czy jeszcze widzisz we mnie duszę pokutującą?» — Zarzuciłam mu ręce na szyję: — Ach, ty szaleńcze! Jakim cudem tu jesteś?... Uciekłeś?!... Jak mogłeś narażać tak życie! Niech ci się napatrzę, mój bohaterze! — Gadaliśmy i śmialiśmy się przez łzy, a dzieciaki uczepiły się jego rąk i powłaziły mu na kolana. Przeszło tak parę godzin, jak jedna chwila! — «Co za rozkosz być w domu — mówi mąż — ale zmachany jestem, jak dorożkarska szkapa! Na bok, brzdące! Idę spać». — Rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął natychmiast, a my z dzieciętami co chwileczka uchylaliśmy drzwi od sypialni. — Cicho, papa śpi... — I cała gromadka na palcach wysuwała się z pokoju. —

Wtem zaskrzypiały piskliwie drzwi wejściowe i Liwen stanął na progu. Był w sile wieku i żywy jak iskra. Żona zaraz nas zapoznała i wyjaśniła w kilku słowach, o co chodzi. Liwen rzekł bez namysłu, zdecydowanym tonem:

— Przykro mi, że odbieram pani nadzieję, ale ani męża pani, ani Horensztejna, w mojej partji nie było.

Serce zabiło mi tak, jak u złapanego ptaka, za którym zasunięto okienko do światła i wolności.

— Czy pan jest pewny? Tylu was tam było...

— Niestety, pewny jestem, a nawet najpewniejszy. Sie-

dzieliśmy w siedemnastu, jako ładunek do Moskwy, tak długo w tej przeklętej czrezwyczajce, że był czas, w braku lepszego zajęcia, poznać się gruntownie i opowiedzieć sobie nietylko wszystko, co każdy przeżywał, ale nawet to—o czem żadnemu się nie śniło!

Wstawałam już, aby się pożegnać i odejść — gdy wtem Liwen palnął się dłonią w czoło:

— Czekajcież! Głupiec ze mnie stokrotny! Przecież w sobotę z rana przyprowadzili do nas na statek jeszcze kilku i wpuścili do naszej kajuty. Mówili, że to z Gub-Cze-Ka. Ci nowi czuli się nieswojsko w naszej już zżytej kompanji i trzymali się na uboczu. Jeden z nich usiadł w kącie, przymknął oczy i słowa do nikogo nie przemówił. Myśleliśmy, że śpi. Podobno był to Polak.

Wyjęłam fotografję Kaliksta i pokazałam ją Liwenowi. Długo i uważnie przyglądał się jej.

— Nie chcę pani łudzić... ale podobny do tamtego.. bardzo podobny! Naturalnie — ten w innych warunkach. Znać odrazu, że dobrze mu się działo, a tamten, ze statku, zbiedzony i zarośnięty. Taak! W czrezwyczajce — golibrodów brak! Jednak podobieństwo ogromne... im dłużej się wpatruję, tem bardziej to widzę. Niechże pani nabierze trochę otuchy!

Nie byłam zupełnie pewna, czy Liwen mówi mi prawdę. Oboje z żoną patrzyli na mnie z tak bezmiernem współczuciem... Błysnął mi tylko promyk w ciemności.

— Oby tak było, jak pan zapewnia! — westchnęłam. — A teraz, jeśli pan ma trochę wolnego czasu, proszę opowiedzieć mi własne dzieje. Ta ucieczka ze statku, na którym jechała cała Cze-Ka, to coś niepojętego! Siostrzyczki doczekać się pana nie mogą!

Liwen zaśmiał się:

— Domyślałem się tego, ale chciałem parę dni odpocząć. Nie poszedłem rozmyślnie do Czerwonego Krzyża. Wiem dobrze, że nazajutrz miałbym cały Kijów na plecach!... Przepraszam panią... doprawdy nie chciałem być brutalnym. Ot tak, wyrwało się mimowoli.

Zaczynam tedy od niewesołego początku. Zamknięto mnie w Cze-Ka. Za co? Alboż ja wiem? Poprostu sowiety mało mają fachowców w rdzennej Rosji — więc stale wywożą stąd, kogo się da. Jako inżynier pracowałem we fabryce opodal. Robotnicy mnie lubili. Dbałem o nich i byłem, nie chwaląc się, dobrym kolegą dla wszystkich. Podali zatem zbiorową petycję do Cze-Ka, domagając się mego uwolnienia. Tysiąc podpisów było pod nią. Czekiści wpadli w zdumienie. — «Ooo! To jakaś gruba ryba! Tem bardziej nie puścimy cię, spryciarzu! A jak się zgrabnie podszywał pod skromną, mieszczańską płotkę!» — Coś podobnego powiedzieli mi wprost w oczy. Siedziałem tedy dalej w czrezwyczajce, a do mojej kamery wsuwano i wysuwano z niej coraz to innych więźniów. Byłem przeznaczony na zakładnika, więc przynajmniej nie przeżywałem trwogi o życie. Złożono wreszcie partję z siedemnastu zakładników i powiedziano nam, że wszyscy jedziemy do Moskwy. Z waszych był wśród nas Karol Wilkoszewski, dawny prezes waszej Macierzy, niemłody już i słabowity, ale trzymał się dzielnie. We czwartek, 29-go sierpnia, poprowadzono nas do przystani i załadowano na statek. Nie odpływaliśmy jednak. Musiało już być z nimi źle, kiedy tak trzymali nas w pogotowiu.

W piątek, około północy, wdarła się do nas pod pokład banda pijanych krasnoarmiejców: — «Wychodźcie!» — Nie pojmowaliśmy. — Cóż to? Wypuszczacie nas na swobodę? — «A jakże! Chodźcie, chodźcie! Damy wam swobodę, ale wieczną!» Poprowadzili nas z powrotem do czrezwyczajki

i zamknęli na klucz w jakimś pokoju z zamurowanemi oknami. Staliśmy pośrodku skamieniali, zdjęci bezdennem przerażeniem. Wreszcie usiedliśmy na porozstawianych w pokoju krzesłach, blisko przy sobie, jak straceńcy i bracia w jednem wspólnem nieszczęściu. Za każdym szelestem na korytarzu wstrząsaliśmy się mimowoli, jakgdyby iskra elektryczna przelatywała błyskawicznie przez wszystkie serca. Za drzwiami stała Śmierć... Mogła wejść po nas w każdej chwili. Przed nami nieznana nikomu otchłań Wieczności, do której zstąpimy bez sławy — ale i bez upodlenia. Gotowaliśmy się w milczeniu do przeprawy na tamten brzeg... W tej ostatniej godzinie odpadło od nas wszystko co ziemskie — co złe i co grzeszne... W żarliwej modlitwie dusz oddawaliśmy Bogu w opiekę nasze rodziny, nasze żony i dzieci!

Noc upływała powoli... Nasza ostatnia noc! Szarzało już na świecie, gdy nagle zazgrzytał klucz w zamku i weszli do nas uzbrojeni żołnierze, tym razem trzeźwi. — «Prowadzić ich na dół» — zakomenderował starszy. Zeszliśmy na podwórze. Żołnierze otoczyli nas ciasnem kołem. Skierowano nas zaraz na ulicę w stronę Dniepru. Jakaś nadzieja, słaba jak ten blady świt — błysnęła przed nami. Przeszliśmy kilka ulic. Zdala widać było Padoł i przystań. Prowadzono nas z powrotem — to już nie ulegało wątpliwości. Spojrzałem na swoich towarzyszy... W świetle poranku twarze mieli zszarzałe i przygasłe oczy. To cień Śmierci pozostał na nich i na mnie po tej nocy! Weszliśmy wreszcie na statek. Wepchnięto nas znowu do tej samej kajuty. Patrzyliśmy na siebie z osłupieniem... W jakim celu skazano nas na takie katusze?...

Około dziewiątej z rana przyprowadzono do nas nowych towarzyszy niedoli, jak już pani mówiłem. Jeden z nich odrazu się przyznał, że jest dymisjonowanym generałem.

Schwytano go na ulicy, w chwili gdy wracał do domu, niosąc sprawunki.

Kręcił się jak szalony po dużej kajucie, miotając się w bezsilnej rozpaczy: co zrobią żona i dzieci, gdy nie wróci do nich długie miesiące, a może i nigdy...

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje w mieście, ale huk armat dolatywał do nas wyraźnie. Odpłynęliśmy po południu. Sytuacja na froncie musiała być rozpaczliwa. Nasz «Kryłow» był już w ruchu, gdy nagle przysiadł się do mnie jeden z nowych więźniów. Był to typ burżuja od stóp do głów.

— I cóż pan mówi o naszych błogich rządach? — zagadnął mnie ironicznie.

Mruknąłem coś przez zęby... Czrezwyczajka już nas nauczyła, jak niebezpiecznie było zaufać takim wyławiaczom ukrytych myśli, którzy pod maską ofiar terroru wyłudzali od nas zwierzenia, aby potem przyśpieszyć tragiczny koniec. Nieznany mój sąsiad oparł się plecami o ścianę i wyciągnąwszy nogi na całą długość, mówił dalej z niedbałą swadą: — «Djablo twarda ta ławka!... Niech licho porwie wszystkie przewroty i dary swobody! Za carskiego *regime'u* byliśmy w raju! To tylko panu powiadam! Nazywam się Bubnow — mam kawał ziemi w skwirskim powiecie, i dlatego jadę do Moskwy, choć nie chcę! Zdrów jestem jak stepowy koń, i zniosę wszelkie trudy — pal go licho! Zato starszy mój brat, chory na serce, nie wiem, czy powróci z tej przymusowej podróży. Dwa dni temu wpada do nas w nocy rewizja... Co? Jak? Dlaczego? Przetrząsają całe mieszkanie, jakgdybym był zbrodniarzem albo bandytą! — Powiedzcież, czego chcecie nareszcie? — «Sobirajties! Idiotie na dopros w Cze-Ka!» *Attrape*! Dwie moje siostry i siostrzenica zalewają się łzami, napół przytomne z rozpaczy. — «Zo-

stawcie nam przynajmniej starszego! On chory na serce... Nie przeżyje takiego wstrząśnienia»!

— Nie przeżyje? Oto wielka bieda! Nie zrobi się dziura w niebie, tylko na ziemi. Pochowamy go, i *szabász!* Nuże prędzej! Jazda!

Pozwolili nam wziąć koce i okrycia — poczciwcy! a potem poprowadzili nas z honorami pod bronią, na prezentację u «włast' imiejuszczich» do czrezwyczajki. Tam spędziliśmy dwie cudowne noce wśród kłopotliwych zabiegów i ruchliwych igraszek z wszami, a teraz tu znowu nas wepchnięto i staliśmy się waszymi kolegami z musu».

Tak dowiedziałem się o istnieniu dwóch Bubnowych. Niestety, nie przyszło mi na myśl spytać o nazwisko owego Polaka. Wątpliwości pani byłyby wtedy rozstrzygnięte. Ta ostatnia, dopiero co przebyta noc wznieciła we mnie bunt i gotowość porwania się na wszystko, byle uciec z tego piekła. Pod wieczór, gdy mroki spowiły brzegi Dniepru, wymknąłem się z kajuty i wszedłem do klozetu. Zasunąłem za sobą drzwi, pragnąc zostawić w ten sposób moim towarzyszom niezbite *alibi* co do samoistności mego planu. Rozebrałem się szybko do naga. Pieniądze w zęby... Dobrze! Teraz najtrudniejsza sprawa: prześliznąć się przez małe okienko i zsunąć do wody bez najmniejszego szelestu, tak, aby nie ściągnąć uwagi żołnierza, stojącego w przejściu na straży. Poszło mi to łatwiej, niż przypuszczałem... Pływam jak ryba, więc odrazu dałem tak potężnego nurka, że wysunąłem głowę o parę dobrych sążni od statku. Cisza zupełna... Słychać było tylko plusk wody, przelewającej się przy obrotach kół, i terkotanie motoru na oddalającym się statku. Silnemi rzutami ramion posuwałem się szybko naprzód w przeciwnym kierunku. «Kryłow» już się roztopił w wieczornej mgle, gdy wyskoczyłem na brzeg i puściłem się przed siebie pędem...

Nędzna lepianka zarysowała się nagle przedemną. Mieszkali tam rybacy nadbrzeżni. Zziębnięty i nagi — niby topielec ze znanej bajki — zapukałem do okna. Twarz jakaś przylgnęła z wnętrza do szybki... i nagle przeraźliwe wrzaski wypełniły całą izbę!

Darłem się i ja z całej mocy, chcąc przekrzyczeć tamtych i doprowadzić ich do opamiętania: — Nie jestem żaden miertwiec! Słyszycie! Wyciągnijcie rękę przez okienko i dotknijcie się mnie!... Przekonacie się sami, żem z krwi i ciała... żywy człowiek! — Uspokoili się wreszcie, choć z trudem, i drżąc jeszcze z przestrachu, otworzyli mi drzwi chatki. Serca mieli złote. Ubrali mnie, nakarmili, przetrzymali u siebie parę dni z obawy przed wałęsającemi się resztkami odstępującej armji. Odwieźli mnie do Kijowa łódką. Skoczyłem na brzeg, podrzucając junacko w górę stary kaszkiet, kupiony u rybaków: — Witaj, Ławro złotogłowa! Po staremu patrzymy znowu na siebie!

Pędziłem do domu, jak na skrzydłach... Rozczulałem się w duchu nad radością żony... a ona zemdlała, zamiast się cieszyć. I dogódź-że tu kobietom!...

Zaśmialiśmy się wszyscy z tego zakończenia. Pożegnaliśmy się jak starzy przyjaciele. Poszłam wprost od nich do Czerwonego Krzyża, niosąc w pamięci ciepłą jeszcze opowieść Liwena. Podzieliłam się z Siostrami zdaniem Liwena co do tożsamości więźnia na «Kryłowie» z moim mężem.

— Daj to, Boże! — rzekł p. Zagórski krótko.

— Niech Bóg tak panią pocieszy! — westchnęły Siostry.

Nie wierzyli... Zwątpiłam i ja... Ale przynajmniej niech innym zaniosę promyk nadziei!

— Siostrzyczko! Proszę o adres Bubnowych. Chcę pierwsza widzieć ich radość.

. . . .

Bubnowowie zajmowali całe górne piętro na W. Podwalnej, w nowej, ładnej kamienicy, oddzielonej od ulicy skwerem wysadzanym topolami. Młoda, czarno ubrana i czarnooka panienka uchyliła ostrożnie drzwi, nie wpuszczając mnie do wnętrza mieszkania.

— Wujowie pani żyją! — rzekłam z całą prostotą, wiedząc doskonale, że taki wstęp otworzy mi wszystkie drzwi i wszystkie serca.

Chwyciła mię za obie ręce i wciągnęła gwałtownie do przedpokoju.

— Skąd pani wie?... Czy napewno?...

Skinęłam tylko głową potwierdzająco, bo w tejże chwili odwróciła się odemnie, i zostawiając mnie samą wśród kufrów i gratów, pędem przeleciała przez długi korytarz, ginąc gdzieś w głębi mieszkania i wołając radosnym głosikiem:

— Mamo! ciociu!... Wujkowie żyją!

Zamknęłam drzwi wejściowe, zostawione otworem przez roztrzepaną siostrzeniczkę (odrazu się tego domyśliłam z opowiadania Liwena), i weszłam do salonu. Mieszkanie było śliczne, umeblowane dostatnio, lecz wogóle robiło wrażenie ogołoconego z najcenniejszych rzeczy. Nie wiem, czy to był wynik rewizji, czy też ostrożności właścicieli. Szybkie kroki kilku osób zbliżały się coraz wyraźniej do drzwi... i nagle dwie starsze panie i taż sama panienka wpadły do salonu. Chwyciły mnie w ramiona, dusząc prawie w uściskach. (Nie widziałyśmy się nigdy w życiu).

— Droga... kochana... Bóg nam panią zesłał! Więc żyją... żyją naprawdę? Jakim sposobem pani się o tem dowiedziała?

Musiałam znowu powtórzyć opowiadanie Liwena, i to dosłownie. Nie wierzyły, że starszy brat żyje. Przecież rozmawiał on tylko z jednym! Jak ja je rozumiałam! Do ja-

kiej otchłani beznadziejności doprowadziło nas życie, kiedy przyjmując bezkrytycznie wszelką, niedorzeczną nawet wieść o nieszczęściu — broniłyśmy się z całej mocy od wiary w prawdopodobną zupełnie radość! Widoczne było, że ta rodzina żyje tylko myślą o zabranych.

— Co za szczęście, że oni mieli już oddawna zaszyte pieniądze w kołnierzach od kurtek! Przynajmniej nie umrą tam z głodu!

— Żeby też starszy wujek nie dostał swoich ataków sercowych!

— Młodszy będzie go strzegł, jak oka w głowie! Da on sobie wszędzie radę!

Westchnęłam: — Jeśli mój biedak naprawdę z nimi pojechał — to kto o nim pomyśli?... Jak on przetrwa moskiewskie mrozy, bez ciepłego ubrania... bez pieniędzy! Wzięli go z ulicy tak, jak stał!

Pocieszały mnie, dodawały otuchy, a czyniły to z tak subtelną dobrocią, jakgdyby opatrywały ciężkie rany. Jakie to smutne, że cierpienie o wiele intensywniej niż szczęście wpływa na ludzi i czyni ich lepszymi! Powinnoby być przeciwnie.

Przy pożegnaniu prosiły mię o adres Liwena. Uśmiechnęłam się mimowoli: wszak ten szczęśliwy śmiałek przyznawał się z komiczną szczerością, że «nie pragnie mieć całego Kijowa na plecach»! Obawy jego były zupełnie słuszne, bo wstąpiłam jeszcze na chwilę do Horensztejnowej, chcąc ją również skierować do niego.

O zmroku dopiero szłam z powrotem do domu. Moja rozterka wewnętrzna, wywołana dręczącą niepewnością co do losu Kaliksta, pogłębiła się jeszcze bardziej po rozmowie z Liwenem. Więzień ze statku, wtulony w kąt kajuty, smutny i milczący — stał mi ciągle przed oczyma...

Weszłam na górę do naszego mieszkania, lecz zaledwie powtórzyłam słowa Liwena, gdy Haneczka uchwyciła się tej słabej poszlaki z jakąś dziwną pewnością:

— Ależ to tatuś, mamusiu! Tatuś napewno! Ja go widzę stąd, naszego biedusia, na tym statku... Przymknął oczy — bo myśli o nas! Smutny jest — bo martwi się, jak sobie radzimy bez niego! Widzisz, matkusiu, mówiłam ciągle, że tatuś żyje!

— Nie ciesz się tak, dziecinko! Rozczarowanie byłoby czemś strasznem dla nas obydwóch. Ach, dlaczegoż ten więzień nie powiedział swego nazwiska?

— Mamusiu! Każdy człowiek ma swój charakter! Gdyby mamusia była na tym statku — w pięć minut wszyscy wiedzieliby, kim mamusia jest i zaco została wzięta! A po kwadransie... oho! jużby mamusia znała historję wszystkich więźniów i rozczulałaby się nad nimi. A tatuś jest zupełnie inny! On schował swoje smutki «pod kluczyk», jak nieraz mówił, i nie chciał się skarżyć przed tymi obcymi! Wierz mi, mamusiu, wierz, ja cię proszę... to tatuś, napewno!

PO TERRORZE.

Odkopywanie mogił szło śpiesznie. Natrafiano na coraz to nowe zagrzebane ofiary. Cały świat umarłych wyrastał z pod ziemi. Nieraz stróże przy czrezwyczajkach (nie oprawcy, lecz zwykli dozorcy) wskazywali na niewzbudzające dotychczas podejrzeń miejsca, tak niczem nie odróżniające się od otaczającej je powierzchni, że szukając trupów, deptano po nich, nic o tem nie wiedząc.

Zwłoki nieszczęśliwych oddawano rodzinom. Czerwony Krzyż zajął się urządzeniem pogrzebu dla nieznanych i sa-

motnych, po których nikt się nie zgłosił, i dla takich biedaków, których rodziny nie miały możności poniesienia związanych z tem znacznych kosztów. Przedewszystkiem trzeba było ich wszystkich jako tako przyodziać i obstalować setki trumien. Tymczasem, w miarę wydobywania z ziemi ofiar terroru, zwożono je do prosektorjum przy ulicy Funduklejowskiej i tam składano jedne na drugie, zapełniając niemi pokoje od dołu do góry. Od takiej ilości nagromadzonych zwłok rozchodził się po całem mieście straszliwy trupi odór i wciskał się do wszystkich mieszkań, niby ostatnie tchnienie nieistniejącej już czrezwyczajki. Największe podziemne zbiorowisko tych męczenników znaleziono wokoło więzienia na Łukjanówce. Teraz dopiero wyjaśniło się, w jakim celu jechały przedtem nocami turkoczące wozy. Tam — na Lipkach — rozstrzeliwano, tu zaś przywożono i rzucano w doły, równając przytem dla niepoznaki udeptaną ziemię.

Tłumy, krążące przedtem po czrezwyczajkach w mieście, zwróciły się teraz na Łukjanówkę. Jednych gnała tam ciekawość, innych — rozpacz. Nie miałam wprost siły pójść na to pole umarłych i znowu wśród umęczonych, martwych twarzy szukać mego męża. Pani Marja Bilińska i jej synowiec ofiarowali się sami zastąpić mię w tem ciężkiem zadaniu. Oboje znali Kaliksta oddawna.

W umówionym dniu przyszłam do nich pod wieczór z Haneczką. Zastałyśmy tylko pana Bilińskiego. Usiedliśmy we troje przy okrągłym stole i w milczeniu oczekiwaliśmy powrotu z Łukjanówki pani Marji z towarzyszem. Zjawili się wreszcie, wstrząśnięci i bladzi, jak ci, którym patrzyli w twarz przez tych kilka godzin. Z ich ubrań rozchodził się duszący odór trupi i w jednej chwili przepoił atmosferę całego pokoju.

— Niech się pani pocieszy! Niema go nigdzie. Obeszliśmy wszystkich!

Przeszli szybko do dalszych pokoi, aby się przebrać. Po dłuższej chwili wróciła pani Marja. Oparła się o poręcz kanapy i osunęła się na nią, nie mogąc jeszcze przyjść do równowagi.

— Cóż to za straszny widok! Kto nie jest w stanie przedstawić sobie, jak wygląda piekło, niech tam idzie! Ci męczennicy leżą już w trumnach, przykrytych wiekami. Jutro mają odwozić ich do prosektorjum. Stoją te czarne szeregi jedne za drugiemi — a wśród nich tłum ludzi hałaśliwy... bezwzględny, mącący tym martwym wieczysty spokój... Są tacy, co chodzą od trumny do trumny... Z jakąś okropną żądzą wrażeń zaglądają do wnętrza... robią uwagi... Z wielu naraz stron dolatują jęki, szlochy, wołania... które naprawdę przebijają chyba niebiosy i dochodzą do Boga. A te twarze umarłych, zastygłe w bezbrzeżnem przerażeniu lub w niepojętym bólu! Jakież męczarnie im zadawano przed śmiercią, że z takim wyrazem zeszli ze świata?

Opowiadała to wszystko, przykładając chwilami rękę do czoła, jak człowiek, któremu myśli się mącą pod nawałem wrażeń tak niezwykłych, że prawie nierealnych!

— Siły mię opuszczały... Kilka razy uciec już chciałam... ale stawały mi w pamięci znękane oczy pani i szłam dalej... aż do końca. Nic na świecie nie zdołałoby nakłonić mię do pójścia tam po raz drugi!

. . . .

Państwo Bilińscy zatrzymali nas u siebie parę godzin i dopiero późnym wieczorem wracałyśmy z Haneczką do naszego pustego domu. Moja dziewczynka objęła mię w pól

i prowadziła z taką troskliwością, jakgdyby role nasze były zmienione. Weszło już w zwyczaj, że zawsze tak chodziłyśmy.

— Niepotrzebne te poszukiwania, mamusiu — rzekła przekonywująco, — tatuś żyje!

— Skąd masz tę pewność, moja maleńka?

— Zawsze myślę sobie, mamusiu, że Bóg nie byłby tak okrutny, aby odebrać nam w taki sposób naszego tatusia!

Milczałam. Czyż rozum ludzki zdolny jest zgłębić przyczyny wszechrzeczy? Iluż to innych równie dobrych, równie szlachetnych, padło z roztrzaskaną głową!...

W parę dni potem rozeszła się wieść po Kijowie, że natrafiono na nowe, olbrzymie cmentarzysko na Łukjanówce. Liczba odkopanych miała być znaczna.

— Pójdę ja — rzekła Jawdoszka — i poszukam naszego pana.

I ona nie wierzyła, że Kalikst żyje, lecz z chłopską, zdrową filozofją godząc się z tym faktem (wedle niej pewnym), pragnęła jednocześnie gorąco pogrzebać go po chrześcijańsku. Podług jej pojęć daleko gorsze niż śmierć było spoczywanie w niepoświęcanej ziemi. To ją najwięcej przejmowało zgrozą i oburzeniem na bolszewików. Całując mię ze łzami po rękach, błagała nieraz, abym tak nie rozpaczała i przyjęła z poddaniem się ten cios:

— Nie wróci to, co się stało!... Tak już widać było pani pisane. Boża wola... a nie nasza! A pani tylko siebie zabija i pana jeszcze męczy...

Wierzyła bowiem, że dusze zmarłych nie mogą spokojnie iść do nieba, gdy czują rozpacz bliskich, pozostałych na ziemi.

Poszła tedy na Łukjanówkę raniutko, a ja czekałam na nią w domu. Minęło tak kilka godzin.

Wtem usłyszałam stukanie podkutych butów za drzwiami... i Jawdoszka, szlochając gwałtownie, stanęła na progu. W szalonem przerażeniu porwałam się z krzesła:

— Znalazłaś pana?...

— Nie... nie... nie!... — wyłkała trzy razy to krótkie przeczenie, a pierś tak się jej gwałtownie podnosiła i opadała, jakgdyby pęknąć miała z nadmiaru uczuć i bólu.

— Więc czegoż tak płaczesz? Miejże rozum, Jawdoszko! Przeraziłaś mię tak, że i ja drżę cała... Uspokój się, proszę cię.

Nie słuchała wcale moich słów pociechy. Oparła się o framugę drzwi, łkając dalej rozpaczliwie, a łzy jedna za drugą toczyły się po twarzy i spadały na kraciastą chustkę. Haneczka zmusiła ją do wypicia całej szklanki zimnej wody. To ją trochę otrzeźwiło.

— Idź do swego pokoiku i przebierz się, Jawdoszko! Znać, żeś była kilka godzin wśród umarłych, biedaczko! — rzekłam do niej serdecznie.

Gdy przyszła do mnie po jakimś czasie, zupełnie już była spokojna, tylko oczy jej szkliły się trochę po wylanych łzach. Pocałowała mię w rękę:

— Ja panią bardzo przepraszam, że się pani tak strasznie przezemnie zlękła... ale nie mogłam się powstrzymać. To «pekło», prawdziwe «pekło»! Gdzie tylko spojrzysz truny i truny... Jedne otwarte — na drugich już wieka nałożone! A narodu tam... t'ma t'muszcza (tłum niezliczony)! Przecisnąć się trudno. Chodzą wszyscy od jednego do drugiego, a te święte męczenniki leżą sobie w czterech deskach, rączki na piersiach złożyli... doczekali się nareszcie spokoju! Na co ja się tam nie napatrzyła!... Była jedna taka starucha, trochę już siwa, ale krzepka jeszcze w sobie. Idzie od truny do truny... aż stanęła przy jednej... Nawet rąk nie załamała

tylko patrzy... patrzy... A tam leży jeden taki, blady, liczko jeszcze młodeńkie, a z boku, koło czoła, czerep rozbity! A ta jak nie krzyknie, jak nie zahołosyt (zajęknie): «Oddajcie mi dziecko! Słyszycie! Poco wy jego zabrali odemnie?... Żywy był... krew z mlekiem — a teraz, jaki tu leży? Głowa rozbita... jak on teraz wstanie?» — Tak krzyczy i krzyczy, a dwóch jakichś młodych za ręce ją ciągną... od truny oderwać chcą. Gdzie zaś! Jak ten słup w ziemię wkopany stoi! Aż ja nad nią zapłakała.

A tu patrzę... idzie jakaś młoda — taka myłeńka. Kosy dwie, jasne, rozpuszczone aż do kolan. Za nią starszy pan, ojciec pewno. On wieka podejmuje — a ona nachyla się... zagląda do truny... Aż przy jednej podnosi się pomału... minutkę tak postała... a potem, tą jasną głowiną jak się nie poda naprzód, jak się nie zwali na trunę... aż jej te złote kosy na drugą stronę się przewiesiły i rączka jedna, maleńka, taka jak u dziecka! A ten starszy podchodzi do niej, rękę kładzie na ramieniu — a sam aż trzęsie się cały: — «Wiera! Wieroczka! Skarbie mój! Zżal się nad sobą! Toż detynę masz maluśką!» — A ta ani drgnie... Zemdlała, nieszczęsna!... Ach, proszę pani, dobrze, że pani tam nie poszła!

A jeszcze jeden był zgarbiony, stareńki... suwał nogami i mruczał coś przez zęby. Ludzie się za nim oglądali, gdzie tylko przeszedł. Aż stanął przy jednym (znalazł widać), usiadł na brzegu truny... i nic nie powiedział, tylko się zaśmiał. Ludziom aż dreszcz przeszedł po plecach. Ja takiego śmiechu, od kiedy żyję, nie słyszałam! — Ale to wszystko nic jeszcze...

Idę ja tak od truny do truny... patrzę a patrzę... a pana nigdzie nie widać. Sława Bohu! Choć my pociechę mamy. Zmęczyła się ja strasznie, więc przysiadłam sobie na wzgóreczku i myślę tak: kiedy nigdzie pana znaleźć nie można,

to może sprawdzi pan gdzieś żywy jest i jeszcze nas pocieszy? To pierwszy raz tak mnie nadzieja do serca podeszła. A tam, niedaleczko, ludzie jacyś doły zasypywali po tych umarłych. Jeden podchodzi do mnie, na łopacie się opiera i pyta: — «A zdałeka wy ciotko?» — Mówię mu. — «Znaczyt my zemlaki, bo ja z Lechaczychy. A co wy tu robicie?» — A pana naszego szukam. — Zaczęli my bałakać i ja mówię mu o panu i o pani, i jakie nieszczęścia my przeszli, i jak my biedujemy. A on tylko głową kiwa... tak nas żałuje bardzo. Dobry widać. — «Gorzej ludziom było! — powiada. — Ja tu był przy tem więzieniu... Żeby wy wiedzieli, co się tu nocami działo!» — I jak zacznie opowiadać, aż mi się w głowie zakręciło! — Dosyć już — mówię, — przestańcie... bo rozum stracę! — Wstaję... iść nie mogę... zataczam się, jak pijana. Przez siły dowlokłam się do domu. Wchodzę na schody... i jak sobie naraz pana przypomnę, i to, co tamten mówił... Nechaj Boh boronyt, żeby tak pana... Jak nie ryknę.. aż dopiero mi ulżyło!

Wstrząsnęłam się ze strachem:

— Co ci ten stróż opowiadał tak okropnego? powiedz mi, Jawdoszko.

Pokręciła głową przecząco:

— Nie, proszę pani. Ot, na ten krzyż święty przysięgam (złożyła dwa palce na krzyż i pocałowała), że nie powiem ani słóweczka! Żeby mnie pani na kawałeczki krajała... nie powiem! Pani-by już nigdy ani jeść, ani spać nie mogła!

Nie dowiedziałam się zatem wcale, o jakich okrucieństwach jej ten stróż opowiadał.

. . . .

Zbiorowy pogrzeb ofiar czrezwyczajki odbył się 12-go września.

Wyruszono od prosektorjum, w dół po Fundukleiowskiej, w stronę cmentarza. Czarne, drewniane trumny, ustawione na zwykłych przewozowych platformach, sunęły zwolna przez miasto. Za niemi szły tłumy w uroczystej ciszy. Cały Kijów pośpieszył oddać ostatnią posługę tym, którzy skonali w mrokach nocy pod ścianami albo w podziemiach czrezwyczajek. Śmierć mieli posępną — pogrzeb zato rozgłośny! W nastroju tłumów nie było znać chęci zemsty ani krwawego odwetu. Ten szereg prostych trumien sam wołał do Boga o wymierzenie mordercom sprawiedliwej kary. Ta fala ludzka, płynąca za nim, zdawała się potwierdzać głębokiem milczeniem, że w nią wierzy, że słowa i wołania są tu zbędne, wobec ogromu tak jawnej niedoli. Zresztą czyż Denikin nie wzniósł już karzącej dłoni, czyż nie pędził w głąb Rosji tyranów i degeneratów? Lada chwila dopadnie ich i pokona...

Tak wierzono wówczas powszechnie, a pomyślny przebieg walk na froncie zdawał się potwierdzać to przekonanie.

Wraz z pogrzebem zamknął się pewien okres naszego życia: Umarłych odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku, — a żywych i dalekich niech strzeże Bóg!

Życie moje ułożyło się jak życie skazańców w katordze, popychają przed sobą taczkę od rana do wieczora — nazajutrz nie czeka ich nic innego!

Nie szukałam już Kaliksta. Zajęłam się więcej Haneczką, a ulgę i ratunek znalazłam w modlitwie. Po wczesnej mszy św. mogłam godzinami klęczeć w kościele, zatopiwszy głowę w dłoniach — a duch mój ulatywał w przestworza i szukał tam Boga, aby się przed Nim wyżalić nad moją ziemską krzywdą. Wyrywał mię z tego zapamiętania

się dopiero odgłos kroków kościelnego dziadka, głuchem echem odzywający się w ciszy, i donośny pobrzęk kluczów specjalnie na moją intencję, bo wszyscy pobożni dawno już wyszli z kościoła.

Wstawałam z klęczek i wracałam do trosk codziennego życia.

DZIECIĘCE DUSZE.

Jesień była przepiękna, choć krótka, i jak zeszłego roku pogodna i strojna w pajęczyny babiego lata, w złoto i czerwień liści na drzewach.

Codziennie z szłyśmy Haneczką na dalekie spacery poza mury miasta. Po drodze wstępowałyśmy nieraz do p. Wandy Chojeckiej, której mąż zginął rok temu tragiczną śmiercią z ręki oszalałego chłopa. Ruina majątkowa — wynik przewrotu, — dotknęła ją tak, jak i nas wszystkich. Skutki tej tragedji rodzinnej i kataklizmu społecznego dawały się jej odczuwać dotkliwie. Dla podtrzymania względnego dobrobytu ratowała się sprzedażą dawnych, cennych zabytków, a dwaj jej synowie, kilkunastoletni chłopcy, piłowali po całych dniach sągi drzewa na zimę (zamiast się uczyć, jak mówiła z żalem) i oddawali swoje zarobki matce. Haneczka była w wielkiej przyjaźni z ich siostrzyczką, dwunastoletnią Marysią, o płowym, grubym warkoczu i jasnych oczętach. Z obiema dziewczynkami lubiłyśmy wyjść w pole, na otwartą przestrzeń, gdzie nam wszystko przypominało utraconą wieś. Najmilszym jednak celem naszych wędrówek było wysokie wzgórze nad Dnieprem, w pobliżu pomnika św. Włodzimierza. Tam siadywałyśmy nieraz na zielonej jeszcze darni i patrzyłyśmy w dal, na rozległy widok. U stóp naszych płynął



Widok na Dniepr.



Przed dworem w Staniłówce Kal. Bądorzewskich.



Lemieszówka Spasowiczów na pograniczu Ukrainy i Podola.

Dniepr tak leniwo i sennie, że trzeba było myślą sięgnąć aż na porohy, aby uwierzyć, że ta nieruchoma prawie rzeka niesie w swych głębiach takie potężne, choć utajone życie! Po niej płynęli tak niedawno jeszcze wygnani władcy terroru, i te leniwe wody poniosły wraz z nimi niejednego smutnego więźnia... Dziewczynki gwarzyły niekiedy wesoło, lecz daleko częściej smutnie. Marysia, jako prawdziwe dziecko wsi, miewała chwile tęsknoty za dawnem życiem, i nie chcąc wzruszać matki, przed nami się tylko z tego zwierzała:

— Nie wyjeżdżałyśmy tego lata z miasta. Naprzód byli bolszewicy — a potem, gdyby się nawet wszystko na lepsze zmieniło, — nie mamy i tak dachu własnego nad głową. Chłopi rozebrali nasz dom w Staniłówce, a miejsce, gdzie stał, pługiem zaorali. A taki był śliczny nasz stary dwór, taki wygodny! W skwarny dzień wchodziło się z rozkoszą do pokoi, gdzie utrzymywał się miły chłód. Niedaleko domu rósł stary sad owocowy. Nie było tam drzewa, na którebym się nie wdrapała! A ty, Haneczko, czy lubisz takie wyprawy? Nie?!... Prawda, ty wiecznie w książkach siedzisz! Doprawdy, to nie ja, ale chyba ty powinnabyś być wnuczką mojej babci, która jest taką wielką damą i strasznie dba o dobre ułożenie... Jak ja lubię myśleć o tem, co już przeszło i pewno nie wróci! Z rana, po śniadaniu, biegłam do sadu. Chwytam za gałąź... i hyc, hyc, jak wiewiórka, już jestem na samym czubku starej jabłoni. Ślicznie tam i słońce lepiej grzeje. Na moje nieszczęście babcia z ogrodnikiem przywędrowała także do sadu. Chodzą od drzewa do drzewa i patrzą, jaki będzie urodzaj. Chowam się pod liście, jak mogę... ale babcia już mnie wypatrzyła: «Marysiu! Zejdź natychmiast!» — Złażę z drzewa... i staję przed babcią potulnie. Babcia spoziera na mnie surowo: *Quelle folie vous prend, Marie?! Et la robe déchirée! Et les mains sales!* Do

domu, panienko! Za karę proszę oczyścić różę i wydrelować porzeczki!»

Miła rzecz! Nie cierpię babraniny z konfiturami... Ale jak babcia coś postanowi — to już na to niema rady! Rzucam jeszcze ostatnie spojrzenie na sad i gwiżdżę na psy, które za babcią aż tu się przywlokły: Hop! hop! za mną, psiaki, nieboraki! — Pędzę, jak wiatr do domu, naprzełaj, przez polankę, a przy mnie gonią psy w szalonych podskokach. Jak burza wpadamy przed ganek. Na werandzie siedzi mamusia w wygodnym fotelu i dreluje... dreluje... te wstrętne porzeczki. — «Co się stało, Marysiu?!» — Nic wielkiego... Siedziałam na wierzchołku jabłoni i patrzyłam, jak stamtąd ślicznie wyglądają czubki drzew parkowych. A babcia kazała mi zejść i przysłała mamusi do pomocy. — «Zupełnie słusznie. Ileż z tobą kłopotu, Marysiu! Doprawdy coraz częściej robisz wrażenie rozbrykanego chłopaka, a nie grzecznej dziewczynki!» — Całuję mamusię w rękę, po której spływają smugi porzeczkowego soku, i leciutko ocieram się policzkiem o jej twarz. Nazywam to: pieścić się jak mały kociak! Anielsko dobra ta moja mamusia! Wiem doskonale, że jeśli robi mi wymówki — to tylko dla dogodzenia babci. A, naprawdę, oboje z tatusiem śmieją się z tych moich wybryków. Coś tak, kiedyś, nie chcąc, podsłuchałam przez otwarte okno. Ach, jakbym ja zaraz wróciła do tego sadu... do tych porzeczek!

Westchnęła... Milczałyśmy długą chwilę. Wiatr od stepów przyniósł nam obrazy tego dworu... sadu... życia rodzinnego — ich i naszego...

Ale Marysia była tego dnia w nastroju odpowiednim do wywoływania wspomnień, płynących jedne za drugiemi, jak sznur przelatujących żórawi, więc mówiła dalej:

— Jedną z najmilszych chwil podczas wakacyj były

imieniny pani Bnińskiej w Czeremosznem. Obchodzono je 15-go sierpnia. Nie mogliśmy doczekać się tego dnia we trójkę z Felem i Stasiem. Jechaliśmy tam zaraz po obiedzie. Babcia sama wkładała mi świeżą, białą sukienkę i zawiązywała na czubku głowy wspaniałą kokardę, surowo mi nakazując, abym nie «szalala» i nie popsuła tego arcydzieła. Przyrzekałam solennie ...i naprawdę w tej chwili bardzo chciałam dotrzymać obietnicy! Zajeżdżaliśmy przed dwór w Czeremosznem. Z drzwi ganku wysypywały się dzieci państwa Bnińskich, a było ich mnóstwo, wszystkie postrojone na biało, strasznie dobre i miłe, aż mi je babcia ciągle za przykład stawiała! Zaledwie starsi weszli do salonu, już my wszyscy pędziliśmy na tennis, niby stado młodych źrebaków. Z początku myślałam trochę o kokardzie, a potem to już była mi w głowie tylko ta latająca piłka. Wielki dzwon wzywał nas na podwieczorek. Znowu biegliśmy co tchu z powrotem do dworu, bo do ostatniej chwili rozgrywaliśmy partję. Na mój widok babcia załamywała ręce: — «Dziewczyno! Jak ty wyglądasz?!... Czerwona jak burak... włosy potargane!!» — Ale wygrałam zato cztery sety, babciu! — Babcia doprowadzała do porządku moją toaletę, nic już nie mówiąc. Całe szczęście, że byliśmy w obcym domu! Służący wnosił do jadalni dwie srebrne wazy: w jednej była gorąca, pachnąca czekolada, a w drugiej — bita śmietanka z waniliją. Taki już był zwyczaj, że pani domu sama nalewała do filiżanek czekoladę i na wierzchu nakładała każdemu kopiatą łyżkę tej pysznej śmietanki, a my roznosiłyśmy to gościom. Ach, a dziś... czy my kiedy widzimy czekoladę?! Nawet leguminy nigdy niema na obiad!... Wieczorem, po kolacji, jechaliśmy do domu. Księżyc świecił nam z góry, śmiejąc się tak zabawnie, jak ten pyzaty clown w cyrku! Przy bramie

wjazdowej psy porywały się z budy, szczekając zajadle, lecz zaraz cichły, poczuwszy swoje konie.

Byłam strasznie zmęczona, więc szybko się rozbierałam i wskakiwałam do swego białego łóżeczka. Wtem... drzwi uchylały się zwolna i do pokoju wsuwała się babcia. A to pech! Zaraz będzie bura! Babcia zbliżała się do mnie: — «Winszuję ci Marysiu! Istna z ciebie koza! Potrzebne były te harce na tennisie?! A przy podwieczorku połknęłaś przynajmniej dwa tuziny ciasteczek! Wstydź się doprawdy!» — Bo to moje ulubione, babciu. Zato tamtych, co stały koło babci, nawet nie skosztowałam! — «Śpij teraz. Jutro o tem pomówimy!» — I wychodziła, osłaniając ręką płomyczek świecy od przeciągów i zamykając za sobą drzwi starannie. Źle... Nawet mnie nie pocałowała... Ale jutro przeproszę i dobrze będzie! Zasypiałam... myśląc jeszcze o tym cudownym dniu... Jakto ten Felo odbił piłkę... prawie z pod... nóg...

Dziewczynki zaśmiały się obie.

— A teraz, Haneczko, opowiedz ty coś ciekawego z waszego życia!

— Cóż ja ci opowiem?... No, dobrze! Niech będzie o naszej szkółce. Jak ja ją lubiłam! Wiesz, z drogi już widać było ten biały dworek, pod blachą, z ganeczkiem. Chodziłyśmy tam z mamusią codziennie, przed obiadem. Dzieci miały wtedy przerwę w naukach, a i ja także. Panna Zina była zapalona skautka, więc urządzała dla swoich uczniów różne gry i zabawy na świeżem powietrzu, często ze śpiewami, a wszystko to było takie nowe, zajmujące! Wylataliśmy się nieraz na podwórku przed szkółką tak, że nóg potem nie czułam. Chłopi, jadący drogą, zatrzymywali się czasem i przypatrywali naszym zabawom. Szesnastego kwietnia były imieniny tatusia, więc panna Zina postanowiła obchodzić je uroczyście razem z całą szkółką. Nareszcie przy-

szedł dzień, oczekiwany przez nas z taką niecierpliwością! Z rana, przy śniadaniu, wsunęłam tatusiowi pod serwetkę śliczny saszet z motylkiem, wyhaftowany w największej tajemnicy, a mamusia powiesiła cichaczem w gabinecie cudny obrazek, malowany na porcelanie. Tatuś nacieszyć się nie mógł. Siedzimy jeszcze przy śniadaniu... wtem słychać śpiewy! Wybiegamy wszyscy na ganek... a tu w alei wjazdowej idzie panna Zina żołnierskim krokiem naprzód, a za nią parami maszerują dzieci ze szkółki. Śpiewają wszyscy powinszowanie dla tatusia, ułożone przez pannę Zinę. Zamiast kwiatów mieli wszyscy na sobie zielone wianuszki z cieniutkich gałązek sosnowych, a jeden taki największy wieniec panna Zina włożyła sama tatusiowi przez ramię. Stanęli przed gankiem i śpiewali jedną pieśń za drugą: i «Rotę», i «Boże coś Polskę», i «Rozmarynek», a tatuś stał w tym wieńcu na ganku i tak się cieszył, taki był uśmiechnięty! Pomyśl, Marysiu... Te dzieci kilka miesięcy temu nie umiały prawie mówić po polsku! Panna Zina i tak cudów z niemi dokazała!

Zawsze było u nas i miło i ślicznie, nawet w zimie. Ach, jak ja lubię sankować się! Step taki biały wokoło... Niema żadnej przeszkody! Kornij wypuszcza czwórkę: «Wio, razem dziatki, po trzy latki!» Konie pędzą, jak wiatr... ale broń Boże nie galopa, tylko wyciągniętego kłusa. Pamięta mamusia, tak ostatni raz jeździłyśmy do Rosochowatej!

— A my wyjeżdżaliśmy co roku na południe — mówiła, westchnąwszy, Marysia. — Mamusia była zawsze wątła, więc tatuś ją tam wyprawiał, a bez nas jechać nie chciała, i ciągnęliśmy się jedni za drugimi. O to było urwanie głowy!! W żadnym hotelu nie chciano nas długo trzymać! — *Vos charmants enfants sont trop bruyants, madame!* — Biedny tatuś porządnie się nakłopotał, zanim znalazł dla nas prywatne mieszkanie. Potem wracał do Kijowa... Miał tyle spraw, i to

cudzych, na głowie! Dobrze nam się wtedy działo. Już nigdy nie będziemy tak szczęśliwi!...

Haneczka oplotła rękami kolanka i mówiła, patrząc w dal:

— A ja wierzę, że mój tatuś żyje i wróci... będzie nam wtedy dobrze, choć już inaczej! Może nawet zamieszkamy w Lemieszówce... Dwór jeszcze stoi. Zresztą nie trzeba przywiązywać wagi do rzeczy ziemskich!...

Chciałam pocieszyć te biedne dzieci tak przedwcześnie dojrzałe:

— Dziewczynki kochane! Dlaczego mówicie tak smutnie? Przed wami życie całe! Kiedyś — możecie mieć jeszcze i dom własny i być szczęśliwemi!

Marysia zaprzeczyła żywo:

— O nie, proszę pani! Nasze szczęście poszło do ziemi razem z tatusiem... Nie wróci on do nas z tamtego świata... Nie wyrośnie z pod ziemi nasz dwór utracony! Jakże możemy być szczęśliwymi?!

Haneczka patrzała z żalem na przyjaciółkę, a potem zwróciła się do niej:

— A wiesz, Marysiu, co ja teraz postanowiłam? Będę żyła tak, jak ta ociemniała dziewczynka Dickensa. Pamiętasz? Zamknę oczy i wyobrażę sobie, że wokoło mnie zamiast brzydkich mebli stoją nasze śliczne mahonie. Mamusia darowała mi cały taki pokoik babuni. Wszystko zostało tam, w Lemieszówce, i nie wiem nawet, czy to kiedy zobaczę... ale można w siebie wiele wmówić, jeżeli się bardzo chce!

. . . .

Ach, jakże mi było żal, jak żal tych młodocianych serduszek, które życie przepoiło już takiem rozczarowaniem, że te dwunastoletnie dziewczynki ze spokojną rezygnacją,

bez jednej łzy żalu, wyrzekały się nawet pragnienia szczęścia, zastępując je wzamian wspomnieniem!

ROZSTANIE Z JAWDOSZKĄ.

Październik.

Co wieczór odmawiałyśmy z Haneczką, wtórującą mi cieniutkim głosikiem, litanje i modlitwy, wkładając w nie bezmiar błagalnej nadziei. Wprawdzie mała pytała się nieraz, dlaczego modlimy się tak długo i do tylu świętych:

— Przecież, mamusiu, wszystko zależy ostatecznie od Pana Boga, a nie od świętych! Mamusia tak chce — więc niech i tak będzie. Ale ja potem modlę się po swojemu: tylko do Boga, i krótko, aby Go nie nudzić zanadto.

Nieraz wsuwała się wieczorem do naszego pokoju Jawdoszka. Klękała z boku i zacnem swem sercem łączyła się z nami w gorących prośbach o przemienienie złej doli. Raz, po takiej wspólnej modlitwie, podniosła się z klęczek i stanęła przedemną dziwnie onieśmielona i zakłopotana.

— Co ci jest, Jawdoszko?

— Proszę pani... ja już dawno mam do pani wielką prośbę... ale trudno mi to jakoś wymówić!

— Mówże śmiało, moja droga!

Nie odważała się jednak wypowiedzieć swej myśli. Długo skubała frendzlę przy chustce, którą, wedle zwyczaju, miała owiązaną dokoła głowy... Wreszcie rzekła nieśmiało:

— Niech mię pani puści do domu... przynajmniej na tydzień! Ciężko tak żyć na cudzej stronie! I za matką przykro... Jabym już dawno prosiła się — tylko pani mi żal! Jak sobie pani poradzi bezemnie?!

Zgodziłam się bez wahania:

— Nie martw się tem Jawdoszko! Nie porzucasz nas

przecież na długo. Najlepiej jedź jutro. To dzień targowy w Białej Cerkwi, przysiądziesz się na jaki wóz i łatwiej dojedziesz do Lemieszówki.

Pocałowała mnie w rękę:

— Dziękuję pani. Ja na króciutko! Bih me!! Hlanu spojrzę raz, dwa, co oni tam robią, i nazad! Aż się pani zadziwi, że tak skoreńko przylecę!

Tłumaczyła się przedemną, uniewinniała się. W swej prostodusznej dobroci uważała swój postępek za zdradę wobec mnie, i tak już osieroconej. Nie miałam jednak żadnych złudzeń pod tym względem. Zanadto dobrze znałam matkę Jawdoszki, starą chłopkę zacofaną i nieufną, troszczącą się aż do przesady o swoje dzieci, żebym nie wiedziała już zgóry, jak powita zbiedzoną istotnie córkę! Widziałam ją na progu chaty, wznoszącą do góry ręce, niby wzywając Pana Boga na świadectwo wobec tak ujemnych wyników pańskiej opieki nad «detyną», przy ujawnianiu swych żalów rozpuszczającą język tak, że aż zaciekawieni sąsiedzi zbiegali się z pobliskich chat: — «Ot, jakoho dobra dosłużyła sia u paniw!! Czy wy tam z hołodu pomyrały, czy chlib buł takij hirkij?! A bacz! Treba buło słuchaty staroji maty! Kazała tobi sto raz: Ne idy za panamy! Wdoma sydy!!»

Nazajutrz z rana Jawdoszka weszła do mego pokoju, już gotowa do drogi, z niewielkim węzełkiem w ręku. Resztę swych rzeczy zostawiała u mnie, jako jeszcze jeden niezbity dowód, że nie postało jej nawet w myśli opuścić mnie na zawsze.

— Odprowadzimy ciebie, Jawdoszko, przynajmniej kilka ulic. Dłużej będziemy razem.

Wstawałam już, aby się ubrać, gdy nagle Jawdoszka, szlochając głośno, runęła mi do nóg, opierając głowę o moje kolana:

— Niech pani zdrowa zostaje! Niech panią i Haneczkę Bóg strzeże i Matka Przeczysta! A pana, niech aniołowie niebiescy cudownie do nas przyniosą!

Podniosłam ją i objęłam serdecznie:

— Jedź z Bogiem, Jawdoszko kochana! Byłaś dla nas taka dobra... taka wierna! Nie opuściłaś nas w nieszczęściu! Tak mi przykro, że byłaś nieraz głodna, biedaczko. Ale ty wiesz, że i nam nie lepiej się działo. Niech cię Bóg za to wszystko wynagrodzi, a jeśli kiedyś wrócimy do Lemieszówki — dam ci kawał ziemi na pamiątkę.

Jawdoszka dalej płakała rzewnie, a i mnie łzy stanęły w oczach. Chciałam przerwać to nieuniknione pożegnanie:

— Chodźmy! Spóźnisz się na pociąg, Jawdoszko!

Wyszłyśmy na Stołypinowską i zawróciłyśmy w stronę dworca kolejowego. Ruch był ogromny, bo tędy prowadziła droga na targ — więc o tej rannej godzinie tłum przechodniów snuł się w różnych kierunkach, mijając nas i potrącając w pośpiechu. Zatrzymałyśmy się w dole ulicy, tam, gdzie dawniej bolszewicy rozlepiali swoje groźne odezwy. Tu trzeba się było rozstać. Objęłam Jawdoszkę i pocałowałam ją w głowę, ona zaś tuliła moje ręce do ust, z całych sił powstrzymując wyrywające się jej łkanie. Uważała bowiem, że płakać na ulicy — «neharno»!

Jakiś ulicznik, pędzący z góry, zatrzymał się na środku chodnika, włożył obie ręce do kieszeni i gwizdnął przeciągle:

— Patrzcie i podziwiajcie! Pojednanie się stanów! Burżujka całuje publicznie chłopkę w kraciastą chustę!

— Żegnaj, Jawdoszko, żegnaj, droga moja! I jeszcze raz dziękuję ci za wszystko!

Pomimo chłopskiej etykiety Jawdoszka głośno zaszlochała:

— Pani nawet nie wie, jak mi ciężko odchodzić...

— I my będziemy za tobą tęskniły. Wracajże prędko! A pamiętaj, zaraz po przyjeździe pójdź do naszego domku... zanieś mu od nas pozdrowienie!...

Stałyśmy długo, nie ruszając się z miejsca i patrząc za oddalającą się Jawdoszką. Jej postać z węzełkiem na plecach wychylała się to tu, to tam, pośród przesuwających się przechodniów... aż wreszcie zniknęła za rogiem ulicy. Nie odrywałyśmy oczu od miejsca, w którem po raz ostatni mignęła jej pasiasta spodnica i czarna kurtka... jakgdybyśmy nie mogły uwierzyć, że odeszła już od nas naprawdę.

Tak pękła ostatnia nić, łącząca nas z Lemieszówką...

POCIECHY W SMUTKACH.

Po odejściu Jawdoszki przybyło nam zajęć domowych. Sprzątałyśmy same nasze dwa pokoje, a przytem zaczęłam przerabiać z Haneczką kurs drugiej klasy. Obiady i kolacje jadałyśmy u pani Anny N. Były to najlepsze chwile w naszem smutnem życiu. Wiedziałyśmy zgóry, że, gdy zadzwonimy do drzwi i wejdziemy do przedpokoju, pani Anna wysunie głowę z małej kuchenki i zawoła radośnie: — To wy, moje kochane?! Chodźcie! Chodźcie! Mam dla was pyszny obiadek, a dla Hanulki — niespodziankę!

Miła i dobra pani Anno! W jakich głębiach serca znalazła pani dla nas — obcych i niedawno poznanych — te tysiączne słowa pociechy, te zapewnienia, że mąż mój żyje, że nawet dobrze mu się w Moskwie powodzi (bolszewicy tak się na nim poznali!), że wróci do nas niebawem i moc pieniędzy z sobą przywiezie! Ileż to razy Haneczka biegła do kuchni pod pozorem, że tam niby cieplej... a w rzeczywistości dlatego, by dostać lepszy i pożywniejszy obiad, niż reszta stołowników! Po skończonym obiedzie zachodziłyśmy do kuchenki na po-

żegnanie. Pani Anna krzątała się wśród garnków i rondli, pomiędzy kuchennym stołem a rozpaloną płytą. Wyprawiała coraz to nowe porcje do jadalnego pokoju, uwijając się szybko i zgrabnie. Robota paliła się jej w rękach. Rzucała nam przelotne spojrzenie: — «Do widzenia, moje drogie! Do wieczora! Teraz nie mam czasu. A to dla Hanulki!» — Haneczka brała przygotowaną paczkę i rozwijała ciekawie: — Co za pyszne ciasteczka! — Pani Anna z talerzem w jednej ręce, a chochlą w drugiej, patrzała na nią z rozczuleniem:

— Jedz, pieszczoszko! To na oleju, — ale poczekajcie do pierwszego... Dostanę wtedy zaliczkę na obiady i zaraz wam zrobię kruche paluszki na smalcu. A teraz pa! Mam jeszcze wydać dwadzieścia obiadów!

Po przygotowaniu lekcyj szłyśmy na cały wieczór do pani Anny. Zastawałyśmy ją zwykle leżącą na szezlongu.

— Siadajcie, moje drogie! Naharowałam się przez cały dzień... dopiero teraz mogę odpocząć. «Robię damę» i pogawędzę z wami. Idź-że, Hanulko, do kuchni, w piecyku czeka już wasza kolacyjka.

Za obiady płaciłam jej tak, jak i wszyscy — ale te «kolacyjki» tworzyły się w jakiś tajemniczy sposób z lemieszowskich jeszcze krup i różnych, daleko lepszych dodatków, przeznaczonych «na wyrzucenie». Tak przynajmniej twierdziła pani Anna. Siadywałyśmy codziennie we trzy przy długim stole, w jadalnym pokoju, tak dziwnie teraz spokojnym po hałaśliwych, obiadowych godzinach. Słabo świeciła elektryczna lampka, umieszczona u góry, w pośrodku sufitu. Przez szpary w spaczonych drzwiach wdzierał się niekiedy prąd zimniejszego powietrza.—Przychodziły wtedy na panią Annę chwile żałości nad własnem, zmarnowanem życiem, a imię ukochanego, zmarłego brata (jednego z najzdolniejszych adwokatów w Kijowie) powtarzało się często w jej opowiadaniu

Młoda była i ładna — a jednak mąż rozstał się z nią dla innej. Chciał się z tamtą żenić, a pomimo to miał czelność przychodzić na obiady do żony.

Raz, kiedyś, w takiej poufnej gawędzie, okazało się, że Kalikst był kolegą szkolnym «Morysia» w niemirowskiem gimnazjum. Odtąd stałyśmy się jeszcze bliższemi pani Annie:

— Widzicie! teraz rozumiem, dlaczego tak odrazu was pokochałam! Coś mi mówiło, że nie jesteście mi obcemi.

Zezowata i wiecznie nadąsana służąca przerywała te zwierzenia, wnosząc na tacy nalaną herbatę. Pani Anna przysuwała nam filiżanki:

— Napijcie się gorącej herbatki. To moja jedyna fantazja, że lubię tylko świeżo zaparzaną. Wylewam zawsze to, co się zostaje.

Jedno się u niej «wyrzucało», inne «wylewało» — i gdyby ktoś z boku podsłuchał, sądziłby, że to my robimy łaskę pani Annie, jedząc to, co dla nas przygotowała.

Gdzie pani jest, pani Anno?!... Jaki los panią spotkał?...

Jakżebym chciała teraz, w tej chwili, ująć panią za ręce, spojrzeć w szafirowe oczy i powiedzieć: — Bóg zapłać! Bóg zapłać, stokrotnie i hojnie... za wszystko!

. . . .

Przyleciał do Kijowa lotnik z Warszawy! Przyleciał po spis zakładników polskich, wywiezionych do Moskwy. Przywiózł listy do wielu z nas, od krewnych i przyjaciół w Polsce. Duma rozpierała nam serca! Myślą tam o nas w tej dalekiej stolicy. Nasz rząd — nasz własny, chce nas ratować, wyciągnąć z niewoli bezprawnie zabranych!

Natychmiast poszłam do polskiego Komitetu Wykonawczego, mieszczącego się przy ulicy Proreznej. I tam schodziliśmy się często dla omówienia własnych i narodowych

spraw. I tam było zawsze tak gwarno, że trudno pojąć, jak ludzie mogli pracować w takich warunkach. Wskazano mi urzędniczkę, zajętą spisywaniem listy zakładników. Chciałam się tylko upewnić, czy nazwisko mego męża zostało wciągnięte. Lecz ku memu zdumieniu panienka zawahała się i rzekła z wyraźnem zakłopotaniem:

— Widzę tu przy tem nazwisku znak zapytania... Nie wiem, doprawdy, czy mam prawo wpisać je na listę...

— Jakto?! Czyż pani nie słyszała?... Przecież Liwen zapewniał, że wśród więźniów na «Kryłowie» był jeden zupełnie podobny do mego męża!

— Tak... ale to niepewne... Polski komitet w Moskwie będzie go szukał... Zabierze czas innym, którzy żyją napewno i męczą się w tej niewoli.

— Znak zapytania oznacza wątpliwość — a zatem jest i nadzieja! Niech pani pomyśli... a jeśli on tam jest? Zczasem jego towarzysze wydostaną się na wolność, a on zostanie... coraz bardziej samotny! Będzie myślał, że wszyscy o nim zapomnieli... nawet ja! Może pani ma kogoś... droższego nad życie... nad wszystko... Czy pani opuściłaby go w niedoli?...

Schyliła nieco głowę nad stołem, chcąc ukryć wzruszenie.

— Dobrze. Wpiszę.

Wpisała. Lotnik odleciał i zabrał z sobą w kieszeni skórzanej kurtki spisy wywiezionych, i nasze pociechy, i nasze nadzieje. — Nareszcie stał się jakiś fakt rzeczywisty, mogący przyśpieszyć, choć jeszcze w dalekiej przyszłości, powrót tych ofiar bolszewickiego bezprawia.

. . . .

Natychmiast po wyjściu bolszewików z Kijowa najpotworniejsze plotki i wersje o losie zakładników zaczęły krą-

żyć po całem mieście. Odescy zakładnicy i pierwsza partja kijowskich wyjechali tak dawno, że zdołano otrzymać od nich wiadomość z Moskwy przed ucieczką terrorystów. O losach jednak drugiej i trzeciej partji nie wiedzieliśmy nic zgoła. Po wykryciu tajemnic czrezwyczajki, po niespodziewanem odkopaniu tylu ofiar, podniecenie społeczeństwa doszło do takich rozmiarów, że przyjmowano z wiarą każdą, nawet nieprawdopodobną i horrendalną, wieść o losie wywiezionych. Przytem pomiędzy Kijowem a Moskwą stanął teraz, jak linja nie do przebycia, denikinowsko-bolszewicki front, i wszelka komunikacja została przerwana. Byli więc tacy, co widzieli, jak więźniów wyprowadzono ze statku i tuż na brzegu wyrżnięto do nogi. Byli i tacy, którzy twierdzili, że wedle najpewniejszych zeznań świadków, rybaków nadbrzeżnych, powrzucano ich wszystkich do Dniepru, gdy statek znacznie już oddalił się od Kijowa... Jeszcze straszniejszy (jeśli to możebne!) koniec miał spotkać zakładników drugiej partji, wywiezionych do Moskwy pociągiem przez Połtawę. Ci nieszczęśliwi na którejś stacji ulegli, jak zapewniano, okropnej katastrofie: pociąg wykoleił się na wysokim nasypie, wagony runęły jedne na drugie, urywając ręce jadącym, gniotąc im głowy i nogi. Pozostał tylko stos trupów i potrzaskanych wagonów z całego długiego pociągu...

Można sobie przedstawić, jak wieści te wstrząsały zbolałemi sercami pozostałych w Kijowie żon zakładników i ich rodzin! Jedna z pań pojechała nawet do wymienionej stacji, będącej już w rękach denikinowców, — zastała tam najzupełniejszy porządek i ani śladu katastrofy. To nas trochę otrzeźwiło i stało się wielką pociechą. Jeśli ta «wiarygodna» wersja okazała się pospolitem kłamstwem, to może i wszystkie inne niewiele więcej były warte? W nieoczekiwany zgoła sposób dostała się do Kijowa nowa wieść o losie więźniów,

zabranych do Moskwy. Pewnego dnia, idąc na obiad do pani Anny, wstąpiłam na chwilę do Czerwonego Krzyża. W głębi, pod drzewami, ujrzałam zdala zbitą gromadkę towarzyszek wspólnej niedoli, rozprawiających z wyjątkowem ożywieniem. Podeszłam ku nim szybko, czując wysubtelnionym w cierpieniu instynktem, że stało się coś niezwykłego. Zwróciły się wszystkie nagle ku mnie i wzrok mój padł na twarze promienne niewidzianem już dawno szczęściem. Dźwięczały radośnie urywane zdania:

— Żyją!! Wszyscy żyją!! I druga i trzecia partja!!

— Już są w Moskwie. Dojechali pomyślnie... Bez żadnych katastrof!

— Zamknięto ich w Andronjewskim monasterze... Nie jest im tak źle!!

Jak mam opisać słodycz radości, która wraz z temi słowami spłynęła do mego serca i zadrżała w niem jakimś zupełnie nieziemskim oddźwiękiem?!...

Gdyby można uczynić brylant płynnym, dać mu ciepło życia i zachować przytem głębię i moc jego blasków — to tylko do czegoś tak niezwykłego mogłabym porównać to uczucie, które wypełniło mi serce w owej niezapomnianej chwili! Myślałam tylko o tych, których wywieziono według listy zgóry ułożonej.

— Więc żyją?!... — Stałam przed współtowarzyszkami mego sieroctwa, słuchając dalej słów, rzucanych bezładnie:

— Dwaj zakładnicy odescy uciekli z Moskwy!

— Tułali się po lasach... chowali się przed ludźmi!...

— Jedli korzonki... jak w bajce!...

— Wysłali ich bez konwoju na miasto, po zakupy żywności dla więźniów...

— A ci... dalejże w świat!!

— Może pani ich zna? Obydwaj z Odessy... Janta-Połczyński i...

— Od nich wszystko to wiemy! Niechże się pani pyta i o swego męża! Dopiero co tu byli!

Wstrząsnęłam się... Pełnia szczęśliwości innych tak mię olśniła, że w tej jednej, jedynej chwili, zapomniałam o Kalikście! Jak szalona wpadłam do baraku... roztrącałam ludzi, usuwających się przedemną z niezadowoleniem.

— Siostrzyczko! Gdzie zakładnicy odescy?!

— Przed chwilą tędy przeszli... Może są w następnym baraku.

Pobiegłam i tam... Nigdzie ich nie było.

— Adres! Dawajcie mi ich adres!!

Z kartką w ręku wybiegłam z bramy. Nic nie pamiętam, gdzie mieszkali... Nie wiem, jaka to była ulica, ani nawet jaka część miasta... Rysuje mi się tylko w tej chwili przed oczyma mały, piętrowy domek, z ganeczkiem na prawo. Wbiegłam po kilku schodach... Zastałam jednego z nich w domu. Odrazu, bez żadnych wstępów, rzuciłam trwożne pytanie:

— Czy wśród zakładników trzeciej partji w Moskwie jest Kalikst Kozicki?!

— Nie. Nie słyszałem takiego nazwiska. Niechże się pani tak nie przeraża!... Trzecia partja przyszła do Moskwy na kilka dni przed naszą ucieczką. Nie było dość czasu, aby się ze wszystkimi poznajomić.

— A Horensztejn czy tam jest? — spytałam, wierna danej obietnicy.

— Nie. I jego niema.

— A Bubnowych czy przywieźli?

— Tak. To obiło mi się o uszy.

Wracałam do domu powoli. Więc zawsze ciemność nierozjaśniona... Zawsze tylko poszlaki, albo słowa wątpliwej

pociechy... Żadnej pewności — ani życia, ani... śmierci! A jednak dalej żyć trzeba!

Kiedyś, idąc na poobiednią przechadzkę z Haneczką, spotkałam na ulicy pana W. C. [1]. Był to prawdziwy polski Amerykanin, a zasługiwał na to określenie wobec swej niepospolitej rzutkości, przedsiębiorczości i trzeźwego poglądu na życie. Nie mając absolutnie żadnych funduszów, doszedł usilną pracą do własnej kamieniczki i stworzył dom komisowo-handlowy. Toteż za czasów bolszewickich odpokutował w czrezwyczajce za te grzechy kapitalizmu!

— Czy wciąż brak wiadomości o mężu? — spytał przyjaźnie, a po mojej potwierdzającej odpowiedzi rzekł nagle z szybkością decyzji człowieka czynu:

— Dam pani dowód wielkiego zaufania. Proszę przyjść do nas jutro o 11-tej z rana. Pomagam ukrywać się pewnemu komuniście. Niech się pani tak nie gorszy i nie potępia mnie. Ten człowiek uratował życie kilku moim znajomym. Dziś ja uważam za słuszne oddać mu tę przysługę. Słyszałem, że Czerwony Krzyż ma wysłać kogoś do Moskwy w sprawie zakładników?

— Tak. Podobno ma jechać pan Zagórski.

— Właśnie. Przyszło mi na myśl, że dobrze-by było, gdyby mój komunista dał list do Dzierżyńskiego z prośbą o uwolnienie męża pani, jeśli go tam wywieziono. To bojownik wielce zasłużony dla sprawy i ma u nich duże wpływy.

Nazajutrz, o umówionej godzinie, dzwoniłam do mieszkania państwa C. Babcia staruszka i żona pana C. wybiegły zaniepokojone na moje spotkanie. Babcia przyłożyła palec do ust:

— Cicho... sza... Na litość boską, ani słowa nikomu! Ten Władek istny szaleniec!!

[1] Władysław Choynowski.

— Mogą panie być pewne mojej dyskrecji.

W tejże chwili weszli do pokoju pana C. z komunistą. Był to Gruzin o smagłej twarzy. Czarne, rozumne oczy patrzyły przenikliwie, lecz wyraz ich był ostry. Odczuwałam wówczas bez słów treść duchową nieznanych mi nawet ludzi. W moim wrażliwym umyśle odbijały się bezwiednie, niby na najczulszej płycie fotograficznej, myśli i uczucia tych, z którymi się stykałam. I teraz, spojrzawszy na komunistę, doznałam natychmiast wrażenia, że nie jest to orzeł, jak tamten w czrezwyczajce, ale raczej pospolity jastrząb.

Skłoniliśmy się sobie w milczeniu. Nazwiska naturalnie mi nie powiedziano.

— Nasz wielce poważany gospodarz powiedział mi przed chwilą, o co chodzi — rzekł Gruzin po rosyjsku. — Gdybym spełnił waszą prośbę i dał żądany list — wynik byłby szybki i wspaniały: Męża waszego rozstrzelanoby momentalnie — a jabym został wpisany na listę zdrajców, przekupionych przez burżujów.

— To być nie może! — krzyknęliśmy chórem.

Komunista powiódł po nas okiem z pobłażliwą ironją:

— Nie pojmuję was doprawdy! Przecież prawie ośm miesięcy byliśmy z wami w Kijowie, a nie potrafiliście wniknąć w naszą psychologję przez tak znaczny okres czasu. Czyżby, u licha, wypieczono nas w samej rzeczy z innej mąki?!

— Ależ mój mąż nie występował czynnie przeciw sowietom. Cóż nas, jako Polaków, obchodzi wasza walka wewnętrzna?!

Komunista znowu uśmiechnął się drwiąco:

— To wcale nie o to chodzi. Chcecie?... Wytłumaczę wam, jak czekiści zapatrują się na podobne sprawy. Będzie potem... jak znalazł. Czrezwyczajka urządza obławę uliczną... W sieć wpadają przeróżni ludzie. Zamkną ich,.. i cze-

kają. Jeśli nazajutrz uprzykrzają się tylko jakieś tam żony... córki... O, źle!! Zupełny zawód!! Chybiony połów! Przeciwnie: — jeśli miasto nasyła deputacje, pertraktacje, podania a nawet propozycje okupu — udała się sztuka! Gruba ryba uwięzła w sieci. Takiego rzadko kiedy wypuszczą. Rozstrzelają dla postrachu, albo wywiozą.

Przeszedł po mnie dreszcz:

— I z taką swobodą możecie mówić o morderstwach... o samowolnem gaszeniu życia ludzkiego?!...

Komunista wpatrzył się we mnie bacznie:

— Taak?!... Nie podoba się to wam? Trudno! Między nami walka na śmierć i życie. Albo my — albo wy! Zaciekawia mnie, cobyście tak ze mną zrobili, gdybym był w waszej mocy? Co! Pewno kulka w łeb, żeby wypędzić z mózgu raz na zawsze niebezpieczne teorje! — Zaśmiał się szczerze. — Widzicie... i o sobie mówię tak lekceważąco, jak o innych. Są rzeczy lepsze niż życie!

— Jakże sądzicie? — rzekł pan C. — czy po tych poszlakach, o których wam mówiłem, można mieć nadzieję, że mąż pani żyje?

— Tak. Myślę, że jest pewno w Moskwie. Na wasze szczęście te podania robotników kooperatywy nie doszły czekistów. Zniknął w tłumie. Ot, taki mały, szary człowieczek.

— Poradźcież, jakby mu pomóc.

— Najlepiej posłać choć trochę pieniędzy. Może macie zaufanego chłopa na wsi? Ten potrafi dostać się do Moskwy bez zwrócenia uwagi. Jedno mu grozi — to głód. «Reżim» moskiewski będzie tak prosty i twardy, jak nasze teorje. Ale po takim pobycie u nas wróci do was inny człowiek. Nie poznacie go! Zahartuje się, pozna walkę z życiem... Nauczy się pracować. Jeszcze nam wdzięczni będziecie!

Zaprotestowałam żywo:

— Mój mąż zawsze był dzielnym i pracowitym! Niepotrzebna mu wcale taka ciężka szkoła!

Pożegnaliśmy się chłodno. Pan C. wyszedł za mną do przedpokoju.

— Niemiły ten pański komunista — rzekłam otwarcie.

— Teorje ma skrajne, nie przeczę, ale w gruncie, to dobry człowiek.

Pokręciłam głową nieufnie:

— Nie chciałabym wpaść w jego łapy!

Pan C. zaśmiał się:

— On to samo mówił o pani! A jednak uratował kilku. Wiem o tem napewno. Wybierał tylko odpowiedni moment. Łatis mawiał mu w przystępie dobrego humoru: «Chcesz?... Dobrze. Daruję ci tego człowieka!»

W kilka dni później spotkałam się w niedzielę koło kościoła z panem C.

— Mego komunisty już niema — rzekł. — Otrzymał tajny rozkaz wzywający go do Moskwy i poszedł natychmiast. Jaka jednak u nich subordynacja! Będzie się przekradał przez front denikinowski i jest zupełnie przygotowany na śmierć. Ale to chytra bestja! Wykręci się jakoś. Dałem mu 5000 rubli dla męża pani. Proszę nie patrzeć na mnie z takiem rozczuleniem. Człowiek powinien pomagać jeden drugiemu. To zasada życia — i mądra zasada.

. . . .

Od pierwszych chwil wejścia do Kijowa wojsk «Dobrowolnej Armji» najgorętszem naszem pragnieniem było wysłać kogoś zaufanego do Moskwy, aby nam przyniósł stamtąd wierne sprawozdanie co do losu i życia wywiezionych zakładników. Zadanie to jednak nie było łatwe. Przedewszystkiem trzeba było przejść dwa fronty: denikinowski i bolsze-

wicki, a potem, znalazłszy się nielegalnie we wrogiej połaci kraju, przedostać się do Moskwy i tu działać czynnie, docierając aż do więźniów. Dla dobra innych poświęcił się pan Józef Zagórski, prawnik kijowski, jeszcze za czasów terroru ratujący, o ile się dało, skazanych na śmierć. W młodości swej odbywał studja z jednym z teraźniejszych potentatów bolszewizmu. To mu dawało pewien tytuł do minimalnych względów, należnych człowiekowi zupełnie niewinnemu. W drodze jednak, zanimby zdołał dotrzeć do owego dawnego kolegi, pierwszy lepszy krasnoarmiejec mógł mu głowę sto razy roztrzaskać. Wybierał się tedy pan Zagórski długo, pojmując, że z tej podróży może nie wrócić, i pragnąc zostawić po sobie wszystkie sprawy w porządku. Towarzyszyć mu miała panna Jełowicka, ziemianka z Wołynia, której dwóch braci bolszewicy również wywieźli do Moskwy. Oboje mieli dojechać do ostatniej stacji kolejowej, będącej w ręku «dobrowolców», przejść tam front... a potem już tylko szczęśliwy zbieg okoliczności mógł dopomóc tym dwojgu szlachetnym do wykonania trudnego zamiaru.

W Komitecie polskim na Proreznej gwarno było dnia tego. Oczekiwano pana Zagórskiego, który już wkrótce miał wyruszyć w drogę. Stanął wreszcie na progu, niosąc tekę pełną papierów, a za nim weszła panna Jełowicka. Ktoś nas zapoznał. Podałyśmy sobie ręce, patrząc przytem w oczy. Wyłączność myśli skierowanej ku tym dalekim, może straconym, znajdowała w nas wzajemny oddźwięk i zrozumienie. — Stała przedemną szczupła i zgrabna, w skromnej, czarnej sukni. Ciemne włosy, ujęte z ogromną prostotą w duży węzeł. Z pod ślicznie zarysowanych brwi patrzyły na mnie piwne oczy o złotawych przebłyskach. Przezierały z nich moc i spokój ducha. Tak wyglądają ludzie przed wykonaniem ciężkiego zadania, któremu może stanąć na przeszko-

dzie tylko śmierć. Taką była ta mężna Polka, idąca dobrowolnie pod władzę i bezprawie terrorystów, byle pocieszyć i ulżyć w złej doli braciom rodzonym i braciom-rodakom.

— Polecam sercu pani mego męża. Nie wiem, czy żyje... Wzięto go do czrezwyczajki i zginął bez wieści...

— Będę go szukała. Proszę mi zaufać i wierzyć, że życie męża pani i wogóle wszystkich tych biedaków obchodzi mnie równie gorąco, jak los moich rodzonych braci.

Z każdego słowa biły prawda i spokój. Mogła iść między bolszewików!...

Tej świadomości poświęcenia nic nie zdoła zamącić! Śmierć może przeciąć tę złotą nić, lecz nawet ona nie zdoła potargać jej na strzępy.

Prędko i niewesoło skończyła się ta niepowszednia wyprawa. Pan Zagórski został obrabowany doszczętnie z pieniędzy, które mu złożyłyśmy wszystkie z niemałym wysiłkiem dla oddania zakładnikom w Moskwie. Prawdziwą i przykrą niespodzianką było, że rabunku dopuścili się nie bolszewicy, których się tak obawiano, lecz nasi właśni obrońcy — «dobrowolcy», na jakimś dość pustym odcinku frontu.

Panna Jełowicka przywiozła z podróży tyfus plamisty, którym się zaraziła w wagonie. Oboje zawrócili z drogi, nie myśląc już o przejściu frontu bolszewickiego wobec zrabowania pieniędzy.

. . . .

Wśród tych wszystkich wahań i niepewności jedna tylko Haneczka nie straciła ani razu swojej spokojnej ufności w życie Kaliksta i wiary w jego powrót z Moskwy. Nieraz w czasie nabożeństwa niedzielnego przychodziła na mnie taka chwila bezgranicznej rozpaczy, że ukrywałam twarz w dłoniach i zmagałam się z cierpieniem, a łzy spły-

wały z oczu, jak nieprzerwany różaniec boleści... Podnosiłam głowę... i spotykałam wzrok Haneczki, pełen wyrzutów.

Wychodziłyśmy z kościoła po nabożeństwie. Mała obejmowała mię w pół i mówiła z wymówką:

— Matusiu! Matusiu! Najpierw komunikujesz się i modlisz, a potem rozpaczasz i płaczesz! Znaczy — nie wierzysz Panu Bogu... Zobaczysz, zobaczysz, jeszcze kiedyś Bóg się obrazi i doprawdy może tatuś nie wrócić do nas! Proszę mi obiecać, mamusieńko, że więcej nie będziesz płakała.

— Dziecinko moja, ty sobie nawet nie możesz zdać sprawy z ogromu naszego nieszczęścia!

— To nie jest jeszcze nieszczęście, mamusiu! To tylko cierpienie. Pan Bóg tak nas próbuje, a jeśli cierpliwie to zniesiemy, w nagrodę tatuś do nas powróci. Ja słyszę ciągle głos, który mi to mówi. Dlaczegóżbym nie miała temu wierzyć?

Wreszcie moi przyjaciele i znajomi, zdziwieni hartem, niezwykłym u małej dziewczynki, zaczęli mnie pocieszać, mówiąc: — Niech pani ufa temu dziecku. Może to Bóg tak przez nią przemawia?!...

Przestałam się nakoniec szarpać. Uwierzyłam, że Kalikst żyć może, i postanowiłam ze swej strony dorzucić na szalę losów pogodne znoszenie dalszego życia, chociażby się okazało najcięższem.

TRZY DNI OBLĘŻENIA.

A życie stawało się coraz trudniejszem, coraz bardziej skomplikowanem. Przedewszystkiem — nie miałam ani pieniędzy, ani możności zdobycia ich w jakikolwiekbądź sposób. W pierwszych tygodniach rządów denikinowskich zwró-

ciłam się do władz administracyjnych z prośbą, aby dopomogły mi w odzyskaniu inwentarzy z Lemieszówki i należnego mi zboża. Dowiedziałam się przytem, że nominację na naczelnika taraszczańskiego powiatu otrzymał p. Mienicki, mąż mojej towarzyszki z lat jeszcze dziecięcych. Trudno było o pomyślniejszy zbieg okoliczności. Natychmiast udałam się do niego. Chociaż nowy naczelnik miał zamieszkać w obszernym domu w Taraszczy i mieć automobil do swego wyłącznego rozporządzenia — biedował jednak chwilowo w Kijowie, wyczekując możności objęcia tak wysokiego stanowiska, a żona jego była kelnerką w małej kawiarence przy W. Włodzimierskiej. Ironja życia dotykała tak nas wszystkich — różnorodnie, lecz zawsze złośliwie. Nie brano się jeszcze do uregulowania stosunków wewnętrznych. Nowe prawa i nowych kierowników trzeba było nieraz narzucać siłą, a tej nie było. Zwycięska pogoń za odstępującą w niełdzie Czerwoną Armją zabierała z kraju przeważającą ilość wojsk denikinowskich. Skończyć z bolszewikami raz na zawsze i uwolnić Rosję od zmory wojny domowej! Potem dopiero uzdrowić chory organizm państwowy.—Musiałam zatem narazie poniechać myśli uzyskania czegokolwiek przy pomocy nowych władz. W taraszczańskim powiecie wrzało ciągle, jak w kotle. Zdawało się, że cała hajdamaczyzna Ukrainy skoncentrowała się w tym zakątku, a pamiętny za czasów bolszewickich «taraszczański pułk» składał się chyba z opryszków i łupiezców całej Rosji, tak zasłynął ze swych szerokich «pohulanek». Wróciłam tedy znowu do sprzedaży rzeczy, choć szło to znacznie oporniej, wobec tego, że podaż była olbrzymia, a jedyni nabywcy, chłopi, coraz to bardziej wybredni. Moje przybory tualetowe i naczynia kuchenne wędrowały już za obiady do pani Anny, która przyznała mi się również, że dla wyrównania budżetu, musiała sprzedać śliczną, puchową kołdrę, dar «Morysia«.

— Nie mogę od was, biedaków, drogo brać za obiady! A bez kołdry obejść się można!

Dla powiększenia jeszcze moich kłopotów, panie K. wymówiły mi mieszkanie. Broniła mię ustawa o ochronie lokatorów, pomimo to postanowiłam się wyprowadzić. W swoim czasie Kalikst przyrzekł tym paniom, że dobrowolnie odda im wynajęte pokoje, jeśli zechcą otworzyć znowu pensjonat dla uczących się panienek. Każde zobowiązanie mego męża dziedziczyłam prawem najdroższej mi odpowiedzialności za jego czyny. Zaczęłam więc szukać nowego mieszkania, a było to czemś prawie beznadziejnem wobec ciągłego przeludnienia Kijowa. Tylko dzięki szczęśliwemu trafowi znalazłam jeden pokój przy tejże Stołypinowskiej ulicy, lecz o kilkanaście domów wyżej. Teraz trzeba było tylko się przeprowadzić. Ten fakt, tak prosty w normalnych warunkach, dla mnie przedstawiał olbrzymie trudności. Zostało nam z rozbicia kilka naładowanych kufrów (ukrytych za czasów bolszewickich), futra, porcelana i moc drobiazgów. Jedna duża platforma przewozowa zabrałaby to wszystko z łatwością, lecz nieszczęsny brak pieniędzy stawał mi ciągle na przeszkodzie. Wybrałam więc (z musu!) sposób tani lecz mozolny: przeniesienie stopniowe naszych rzeczy własnemi rękami. Kilka razy dziennie, obładowana koszami, lub uginając się pod ciężarem przerzuconych przez ramię ubrań i futer, szłam pod górę po Stołypinowskiej, do nowego mieszkania, i szybko wracałam z powrotem do naszej kamienicy po następny transport. Tak więc i tego pamiętnego ranka, 18-go października, wyszłam wcześnie z domu, niosąc dwa kosze z talerzami i naczyniem kuchennem. Zdrowie moje było dość wątłe, a przytem brakowało mi treningu w takim transportowym sporcie, więc od nadmiernego wytężania mięśni i obijania się wypakowanych koszów miałam już ciemne sińce na

nogach. Idąc powoli pod górę, myślałam sobie: — Jeśli żyjesz i jesteś w tej dalekiej, wrogiej Moskwie — źle ci tam... I zimno... i głodno... i smutno! Ale i mnie nie lepiej! Czy tybyś mi kiedy pozwolił dźwigać takie ciężary?!... Wszystko to nic! Żyj tylko!

Wracałam lekko i szybko z pustemi koszami i dochodziłam już do bramy naszej kamienicy, gdy nagle, gdzieś w dole, za Targiem Żydowskim, zaterkotał gniewnie kulomiot. Tuż za nim zaszczekał drugi. Pojedyncze wystrzały z karabinów wdarły się w te niepokojące pomruki. Przystanęłam, wsłuchując się w odgłosy walki, dochodzące mnie wyraźnie. Ludzie jacyś zdyszani biegli w popłochu z dołu Stołypinowskiej ku mnie:

— Co się stało?! — krzyknęłam do nich.

— Zdrada!! Nieszczęście!! Bolszewicy na przedmieściu Kijowa! Denikinowcy zaskoczeni znienacka!! Niewiadomo czem się to skończy!!

Minęli mnie, biegnąc dalej pod górę. W przerażeniu, które dodawało im sił, śpieszyli tak do swoich domów, do swoich rodzin i dzieci. Szli bolszewicy — a z nimi... czrezwyczajka i kara! Kara za chorągwie i kwiaty, za wdzięczne przyjęcie «białych», zemsta za wyzwolenie się z Czerwonego Terroru i odrzucenie czerwonych katów!! Ci uciekający słyszeli już za sobą dźwięk śmiercionośnej kosy... czuli już za plecami mroczące zmysły tchnienie śmierci.

Głośny turkot zwrócił moją uwagę. Niewielki wózeczek zbliżał się ku mnie w szybkim pędzie pod górę. Woźnica okładał konia batem. Stanęli przed naszą bramą i z wózeczka wyskoczył pan Biliński.

— Z najwyższym trudem zdobyłem dla pani ten wehikuł. Bolszewicy są już podobno na Padole. Może przyjść

do bombardowania miasta lada chwila! Wiem, że pani przeprowadza się na nowe mieszkanie... Śpieszmy!!

Wpadli z woźnicą do bramy i za chwilę zaczęli wynosić moje kufry i pozostałe rzeczy. Tuż za nimi wyszła Haneczka z koszem pełnym książek. Woźnica zaciął konia, pan Biliński, odjeżdżając, wołał jeszcze do mnie: — Zaraz tu wrócę po resztę!

Odgłosy walki stawały się coraz bardziej zaciekłe, niby wyzwanie i ostrzeżenie, że tak atak jak i obrona będą rozpaczliwe. Strwożone, biegłyśmy z Haneczką do nowego mieszkania. Byleby raz skończyć z temi przenosinami! Pan Biliński wnosił rzeczy do naszego pokoju:

— Daj Boże szczęśliwiej tu, niż tam!

Wskoczył do wózeczka i odjechał do siebie, szybko jak kula.

Nasze nowe mieszkanie składało się z czterech pokoi. Dwa zajmowała właścicielka domu, p. Kondracka, jeden, malutki, od ulicy, wynajęła p. Borkowska, spowinowacona z nami przez swoje pasierbice, a czwarty miał być naszem smutnem i samotnem *home*. W owej chwili przedstawiał on wierny obraz naszego życiowego rozbicia. Wszystkie rzeczy rzucone były w najwyższym nieładzie. Kufry stały pośrodku, na nich poduszki, zawiązane w letnie kocyki... książki wysypały się z kosza na podłogę... na fotelu leżał stos bielizny, a suknie i płaszcze, zwalone w pośpiechu na poręcz kanapy, wyciągniętemi rękawami zwisały na dół.

Odgłosy wystrzałów wdzierały się gwałtownie w ciszę miasta, które miało już czas odzwyczaić się od hałaśliwego turkotu dorożek (bo wojujące strony rekwirowały konie) i ruchu tramwajów (bo wszystkie były popsute), i z tego względu przypominało raczej jakąś obszerną, spokojną wieś.

Haneczka usiadła na niezasłanem łóżku, skrzyżowała nóżki i patrzała na mnie z niepokojem:

— Co to będzie, mamusiu?

. . . .

Część sił bolszewickich (t. zn. grupa homelska), oderwana od wojsk frontowych i wzmocniona kilku baterjami, rozłożyła się koło Irpenia. Niepokoić «biały» Kijów — to był cel rozżartych stałem niepowodzeniem krasnoarmiejców. W głowach jakiegoś dziesiątka oczajduszów błysnął nagle plan zdobycia miasta, chociażby na parę dni.

Zaświeciły im ślepia na myśl o rabunkach i popłochu, rzuconym znienacka wśród wylękłych burżujów. Szalony ten pomysł znalazł uznanie zwierzchników. Dobrali więc sobie kompanów i w paręset ludzi ruszyli ku miastu. Hojnie opłaceni chłopi przeprowadzili ich sobie tylko znanym brodem i kładkami przez Dniepr, od strony Puszczy Wodzicy. Wcisnęli czerwone kokardy za mundury (nie wzbudzać przedwcześnie podejrzeń!), przemknęli pustemi jeszcze ulicami przedmieścia, i przypadłszy twarzami do ziemi, darli się po wzgórzach około cerkwi św. Andrzeja, chwytając się krzewów i darni. Jakiś żołnierz, stojący na straży, dojrzał pełznących, gdy byli już prawie u góry. Przetarł oczy... Czy mu się śni?! Nagle zrozumiał, i jak szalony biec począł pędem do twierdzy na Peczersku. Uderzył na alarm:

— Bolszewicy w mieście!

Wypadli oficerowie... sypnęły się wołania i protesty:

— Pijanyś?!... Zmysły straciłeś?!... Skąd?!... Którędy?!... Zwarjował głupiec!

— Żebym tak z miejsca nogą nie ruszył!! Widziałem sam, jak leźli po otkosach koło Andreja!

Sygnał telefoniczny zabębnił jak opętany. Ktoś rzucił się w tę stronę...

— Bolszewicy na Sofijowskim Placu, przed pomnikiem Chmielnickiego!!!

— Co?!... Jaka siła?! Którędyż weszli?!...

— Awangarda... paręset ludzi zaledwie...

Denikinowcy porwali lunety... skierowali na leżącą przed nimi równinę... Niepojęte! Jakże to stać się mogło?! Przecież na froncie wiedzie się im świetnie! — W oddali zagrzmiały bolszewickie armaty, podtrzymując czynności wysłanych przodem szaleńców. Na Peczersku zawrzało, jakgdyby kto wrzącą wodą polał mrowisko.

— Do armat!! Ognia!! Pal! Ognia!! Wal w nieprzyjaciela!!

Działa oblegających rozdzierały bez przerwy gardziele, niby stado wilków, czujących świeżą krew. Twierdza kijowska ziała ogniem nieustannie, naoślep, chcąc wymacać i zbić z pozycji nieznane siły przeciwnika.

Armaty przysunęły się bliżej i pociski zaczęły zasypywać miasto, migając wysoko na szarem tle nieba, jak czarne, podłużne kreski. Ze względów ostrożności przesiedziałyśmy we cztery cały ten dzień w pokoju od podwórza, dość ciemnym i smutnym, a jedyną rozrywką było spoglądać przez okno w górę i z kierunku pocisków wyciągać wnioski, czy lecą od bolszewików, czy też od obrońców miasta. Pod wieczór działa nagle ucichły i nieoświetlony Kijów otulił się czarną oponą nocy, aby nie stanowić celu dla wroga. Zaledwie szarzeć poczęło, gdy huk armat wypłoszył nas z łóżek. Niebezpiecznem było zostawać w pokojach od ulicy — w tym bowiem kierunku leciały bolszewickie szrapnele. Uciekłyśmy znowu do jadalni. Pani Kondracka stała w negliżu na progu swojej sypialni i gderała na potęgę:

— Ślicznie zaświergotały ranne ptaszki! Miłe przebu-

dzenie... niema co mówić! A żeby z piekła nie wyjrzał ten, co pierwszy wojnę wymyślił!!

Utykając (miała chorą nogę, i dlatego od wielu lat nie opuszczała mieszkania), przeszła do kuchni. Tam stara służąca Jagusia, przywiązana do swej pani, lecz wiecznie się z nią przekomarzająca, gotowała wodę na malutkiej, blaszanej kuchence, ustawionej na dawnej, imponującej płycie. Chociaż Kijów otoczony był ze wszech stron lasami, wskutek niezdarności administracji brak drzewa opałowego dawał się odczuwać dotkliwie. Z musu tedy całe miasto zaopatrzyło się w takie minjaturowe kuchenki o śmiesznie maleńkiem palenisku, gdzie ogień podsycał się odpowiedniej wielkości drewkami. Piętnastoletnia Mańka, córka Jagusi, wpadała co chwila z podwórza do kuchni z nowinami:

— U piekarza na Podwalnej wypiekają świeży chleb. Można iść zaraz po kartki, a chleb wydadzą o 1-szej. — Pobiegła znowu na dół, przeskakując po trzy schody naraz. Stanowisko w bramie «na gapia» było widocznie bardzo ponętne.

— Mańka, wróć się! — wołała za nią Jagusia — jeszcze się tam jakiej biedy napytasz!

Nie miałyśmy w domu absolutnie żadnych zapasów. Nie potrzebowałyśmy tego, stołując się u pani Anny. Lecz teraz głód dawał się już odczuwać, a niewiadomo było, jak długo potrwa oblężenie. Wysunęłam się więc nieznacznie z mieszkania; w podsieniu, przy bramie, wyjrzałam ostrożnie... Pociski latały w górze bez przerwy, furcząc i świszcząc, niby przerzucane z rąk do rąk niewinne zabawki.

— Byle prędko i bez strachu — zachęcała mnie Mańka, przytupując nogami z zimna. — Ani się pani opamięta jak już będzie w piekarni!

Przeskoczyłam wysoki próg bramy... z dreszczem pły-

waka, rzucającego się w morskie odmęty... Biegłam pędem na Podwalną. Przed jakimś sklepikiem stali ludzie w kolejce. Dojrzałam panią Knollową.

— Czekam na mąkę! Nie mamy co jeść! — krzyknęła do mnie zdaleka.

Bolszewicy musieli zyskiwać na terenie, bo armaty chwilami przycichały, a potem bombardowanie wzmagało się z ogłuszającą wprost mocą. W południe wbiegła znów do nas Mańka, anonsując z przejęciem:

— Dobrowolcy ustawili tuż na rogu armatkę i walą z niej, aż się kurzy, a po chleb już ludzie biegną z kartkami!

Haneczka ubierała się śpiesznie: — Nie puszczę mamusi samej!

Wzięłam ją za rączkę, myśląc: — Tak, źleby ci było bezemnie, sierotko!

W podsieniu, przy bramie, stało kilka osób, przypatrując się wspaniałemu w istocie widokowi pocisków, które niezliczonemi gromadami (niby stada przelatujących ptaków), niosły miastu śmierć i zniszczenie. Huk armat od strony Irpenia przewalał się groźnie w powietrzu, a z miasta toczył się jak grzmot, rozgłośnie, wybuchając z twierdzy na Peczersku. Biegłyśmy po chleb i z powrotem bez tchu, w ciągłej niepewności, czy zrobimy jeszcze krok... jeszcze drugi... czy też, trafione, padniemy na miejscu.

Zdyszane, wpadłyśmy do mieszkania. Jagusia wniosła wazę dymiącego się krupniku (cały nasz obiad wobec bombardowania), gdy nagle niewyobrażalnie bliski huk ogłuszył nas prawie, a szyby z frontowych okien posypały się na bruk z brzękotliwym łoskotem. Pani Kondracka wzniosła ręce do góry:

— Wymacali armatkę! Mierzą w nasz dom! Jezu Naz...

Powtórny przeraźliwy wybuch stłumił jej słowa. Wy-

dało się nam, że kamienica zadrżała, — resztki szyb wyleciały z ram, tłukąc się hałaśliwie o kamienie.

— Brońcie nas Święci pańscy!! — wołała rozpaczliwie pani Kondracka. — Do piwnic!! do piwnic!!

— Mamusia się przeziębi! — I Haneczka z błyskawiczną szybkością zniknęła za drzwiami, prowadzącemi do frontowych pokoi.

— Okna od ulicy... lada chwila nowy pocisk... — pomyślałam i rzuciłam się za nią, lecz dziewczynka już stała na progu, trzymając w ręku oba nasze futerka i czapki. Ubrałyśmy się w mig... Uciekać z tego zagrożonego domu!! Wypadłyśmy z kuchni... Po schodach biegła z podwórza jakaś pani, szlochając spazmatycznie:

— Rozdarci... poszarpani na kawałki... Boże!! Pocisk trafił w bramę!! Krew... krew... na ścianach!

— Jezus, Marja!! — wrzasnęła Jagusia — toż moja Mańka przed chwileczką jeszcze tam stała!! — Przerażona, zleciała po schodach na podwórze.

Zeszłyśmy pośpiesznie do piwnic. Napchała się już tam cała biedota z okolicznych, niskich domków. Z trudem przesuwałyśmy się w mroku wśród strwożonych ludzi, gdy wtem drzwi wejściowe odskoczyły gwałtownie, płomyk malutkiej lampki buchnął kopciem, i wraz z nowymi przybyszami jęki i szlochania napełniły podziemie. To rodziny nieszczęsnych ofiar, rozszarpanych odłamkami pocisku, który uderzył w słupek przy bramie, zawodziły tak nad śmiercią najbliższych. Ktoś znowu wpadł do piwnicy:

— Ludzie!! — wołał przejmującym głosem — czy poszaleliście?! Niech tylko pocisk trafi w okienko od ulicy... na miazgę was wszystkich potłucze!! Uciekajcie stąd!!

Wzmogły się płacze i jęki, ale nikt nie ruszył się z miejsca. Wszędzie tak samo czyhała śmierć... Stałam w po-

środku tej piwnicy, objąwszy Haneczkę, która opasała mnie rączkami, a główkę schowała w moje futerko. Drżała cała, a ząbki jej dzwoniły tak szybko i dźwięcznie, jak potrącane, szklane kieliszeczki.

— Nie bój się, dziecinko moja! Tu jest względnie bezpiecznie, a zresztą będzie co Bóg da. Nieprawdaż?

— Ja się nie boję, mamusiu... tylko ci poszarpani... to takie okropne!

Głosik był mężny, ale ząbki dzwoniły dalej zawzięcie.

Pani Kondracka ukazała się w drzwiach i szła ku nam, podpierając się laską.

— A to pozłazili się z całego świata, jak muchy do miodu! Możebyście tak i mnie przejść pozwolili?! Niechże pani usiądzie. Nogi nam poodpadają, zanim ci tam wojownicy nastrzelają się dowoli!

Okazała Jagusia niosła za nią dwa krzesła. Podała mi jedno. Twarz miała, jak z kamienia:

— Już niema mojej Mańki!! Dopierusieńkom pozbierała z niej pięć kawałków... Jednej ręki znaleźć nie mogę... Tak już i wejdzie na sądzie ostatecznym!!... A mówiłam jej: nie stój, głupia, w bramie! Co tam wypatrzysz?! Ot, i wypatrzyła sobie śmierć! Sądzonego i koniem nie objedziesz!

. . . .

Przesiedzieliśmy w tej piwnicy aż do wieczora. Nieustający huk armat dochodził tu jak nieubłagana i wybuchająca co chwila pogróżka. Zdawało się, że miasto nie wytrzyma zaciekłego bombardowania, że te mury zwalą się nam na głowy i pogrzebią żywcem pod spiętrzonemi rumowiskami.

O zmierzchu działa umilkły. Noc przeszła spokojnie,

a nowe, zaciekłe bombardowanie rozpoczęło się dopiero o świcie. Około drugiej po południu nagła cisza zdziwiła wszystkich. Ostrzelane miasto wyczekiwało z trwogą, co dalej będzie. Korzystając z tej chwilowej przerwy, wybiegłyśmy na obiad do pani Anny. Byłyśmy zaledwie w połowie drogi, gdy wtem działa oblegających zagrały ze wzmożoną siłą i pierwsze pociski przeleciały nad nami. Ulice były zupełnie puste. Gdzieś w okolicach Włodzimierskiej i Kreszczatyku warczały kulomioty. Kule niosły się bokami, prując przestrzeń i goniąc w nieznaną dal. Objąwszy się w pół, z pochylonemi nieco głowami, przytulone do siebie, biegłyśmy szybko dalej. Jeśli spotkamy Śmierć — zmiecie nas w mig i razem. Pani Anna załamała ręce, gdyśmy stanęły zdyszane na progu kuchenki.

— Co wy robicie najlepszego, szalone głowy?!

— Droga pani Anno! Chcemy jeść. Nie mamy ochoty umierać głodne.

— Jeszcze was się żarty trzymają w takiej chwili! Siedźcie teraz u mnie aż do wieczora.

Około 5-tej po południu wszystko było skończone. Denikinowcy, widząc wreszcie, że siły przeciwnika są nieznaczne, wysłali na miasto kulomioty i te w kilka godzin wymiotły garstkę krasnoarmiejców. Baterje cofnęły się na dawne stanowisko, pod Irpeń, a oddziały «dobrowolców» konno i pieszo maszerowały przez miasto, witane okrzykami uznania.

Po tej bratobójczej walce Kijów przedstawiał opłakany widok. Znaczna ilość kamienic była podziurawiona od pocisków, a szczególniej ucierpiały szyby w oknach. W calem mieście nie było tyle szkła, ani też nikt nie posiadał takich środków, aby oszklić te setki pustych ram. Pozabijano je więc przeważnie deskami, i stały te napół ślepe domy niby

inwalidzi, co wzrok stracili na wojnie, świadcząc swym wyglądem o burzliwości czasów. Zarząd szkoły polskiej niemało się nakłopotał, zanim doprowadził do porządku okaleczały budynek. Wprawiono niewielką ilość szyb, nieodzownych do wpuszczenia skąpego światła. Opału brak było kompletnie. Uczyły się tedy dzieci siedząc przy pulpitach w ciepłych okryciach i czapkach, a często chorowały z przeziębienia i wskutek tego opuszczały lekcje. Nauka w szkole szła równie kulawo, jak wogóle życie społeczne, tracące coraz bardziej pierwotny swój rozpęd.

OSTATNIE WIEŚCI Z DOMU.

W kilka dni potem ciężkie i nieśmiałe kroki w przedpokoju zwróciły moją uwagę. Otworzyłam drzwi. Tęgi parobczak, krępy i niezgrabny, z czarną, kędzierzawą czupryną, stał w progu. Ucieszyłam się szczerze.

— To ty, Hrehorku?! Wejdźże do pokoju. Co słychać w Lemieszowie? Matka, czy zdrowa? A Jawdoszka?

Pocałował mnie w rękę:

— Chwałyty Boha, zdrowi wszyscy. Dziękuju pani. Tylko Jawdocha chuda, jak trzaska, a matka swarzy się z nią, że już nie puści do tego przeklętego Kijowa. Straszenno u paniw zachlała (zmarniała)! A Jawdocha kłania się nisko i w rączkę całuje i perekazuje, że napewno przyjedzie. Ne rozberesz prawdy pomeż babamy! — wzruszył ramionami lekceważąco. — Przyjechali my w kilku żyto sprzedawać, a Jawdocha nakazywała do pani zajść...

— Powiedzże mi, Hrehorku, czy na wsi już spokojnie? Możebym mogła do domu powrócić?

Cofnął się w tył z prawdziwym przestrachem:

— Nechaj Boh boronyt! Tam codzień to gorzej! Już ludzie meble ze dworu do chat wynoszą, a bandy swoich grabią!

— Jakto?! A cóż na to denikinowskie władze?

— Nikogo z nich nie widzieli my jeszcze w Lemieszowie. A teraz u nas ten pierwszy, kto biłszu syłu (większą siłę) w kułaku maje.

— No, no, Hrehorku, czy to być może?

— Swiatu prawdu ja pani każu. A łemieszowski ludy poreszyły tak: My panu obiciały sia, szo dwora ne ruszymo i trymały słowo, doki pan żywi buły. A teper — pana nyma... i słowa nyma! Rozciągają to, co zostało, a bandy takoż pańsku praciu znyszczyły!

— Powiedzże im, Hrehorku, niech dalej pamiętają o swojem słowie. Bolszewicy powieźli pana do Moskwy, na zakładnika i kiedyś — Bóg da — wróci pan do nas!

Chłopak otworzył szeroko oczy i ucieszył się szczerze:

— Sława Bohu! A u nas wszyscy mówili, że pana czekisty ubyły. Oto seło bude hałdity (huczeć), jak taku nowost' im prywezu! — Pocałował mnie śpiesznie w rękę:

— Nechaj pani ostajutsia zdoroweńki! Trzeba mi już iść.

Wyrywał się najwidoczniej do kompanów. Zanim dojedzie do Lemieszowa, oszołomi ich tymczasem tą wielką nowiną, którą podałam mu jako rzecz pewną, chcąc w ten sposób uratować od chłopskiej pożądliwości przynajmniej dwór i budynki.

LISTOPAD.

«Front Dobrowolnej Armji załamał się i cofa się powoli!» — Taka druzgocąca wiadomość przedarła się potajemnie do Kijowa, razem z mrokiem przewlekłych wieczo-

rów, z poszumem upartych jesiennych wichrów, z przedwczesną, śnieżną i mroźną zimą. Śnieg zasypywał ulice miasta, lepnął do okien, jak nieprzenikniona, biała zasłona, puszystem obramowaniem narastał wzdłuż gzymsów kamienic... To znów, na zmianę, siekący deszcz, pędzony nagłym porywem wiatru, zmywał szyby, przez które przeglądało szare, zasępione niebo. Do uczucia beznadziejności i nużącego niepokoju o przyszłość dołączały się ciężkie warunki codziennego życia.

Ponad wszystko inne dokuczało nam zimno. Mróz był nietylko na ulicach, ale i w każdem mieszkaniu. Już na początku jesieni kwestja opałowa przedstawiała wielkie trudności — teraz zaś płacono za drzewo nieprawdopodobne ceny. Myłyśmy się w mroźnej łazience, jadałyśmy w nieopalonym pokoju. Haneczka znosiła te niewygody lepiej niż ja, i nieraz, wyławiając kawałki lodu w miednicy, zapewniała pocieszająco: — Żyjemy zupełnie jak synowie Kazimierza Jagiellończyka! Taka zimna woda pysznie rozgrzewa!

Jedynym sposobem pozbycia się wewnętrznego zziębnięcia była długa i szybka przechadzka, bez celu, przed siebie, po zaśnieżonych ulicach. Potem wracało się z prawdziwą niechęcią do mieszkania, gdzie mróz krył się we wszystkiem, czego tylko dotknęły się ręce. Toteż dzień cały chodziłyśmy w futrach, otulone szalami, bo zimno pokojowe o wiele dotkliwszem było niż uliczne. Z nie tak dawnych, a niestety zamarłych już czasów, został nam niewielki zapas drzewa opałowego, złożony w piwnicy pięknego domu Kruszewskich, z którego wypędzili nas bolszewicy. Zaprzęgałyśmy się z Haneczką do niskich i długich saneczek, i brnąc w śniegu, ciągnęłyśmy je aż na Funduklejowską. Tu Haneczka układała na saneczki stosik rąbanego drzewa, przy pomocy zawsze przychylnego dla nas portjera, który prze-

trwał wszystkie zmiany rządów — a ja wymykałam się do naszej dawnej klatki schodowej. Tam siadałam na trójkątnej ławeczce w rogu. Słyszałam nieraz dawniej od osób, które wiele przeszły, że w niedoli wspomnienie minionego szczęścia jest bolesne! Z własnego doświadczenia wiem, że niezawsze tak bywa. Przymykałam oczy i wyobrażałam sobie, że idę na górę, po schodach, i dzwonię do naszego dawnego mieszkania... Ze zdumiewającą wyrazistością słyszałam pośpieszne kroki w przedpokoju... widziałam w otwartych drziwach drogie, roześmiane twarze... I ja się do nich uśmiechałam, siedząc tak z głową opartą o ścianę. Jakiś ruch na podwórzu przyprowadzał mię do rzeczywistości... Niestety! Nikogo już niema na tem piątem piętrze... i nie mam poco tam iść! Minęło wszystko... zostały tylko wspomnienia. A te wspomnienia były dla mnie jak zasuszone kwiaty... Taż sama barwność kolorów, taż sama subtelność płatków... życia tylko im brak!...

W otwieranych z wysiłkiem, masywnych drzwiach wejściowych stawała Haneczka:

— Mamusiu, proszę, koniki już czekają.

Zarzucałyśmy na siebie sznur od naładowanych saneczek i wracałyśmy powoli, środkiem ulicy, do domu. Po drodze spotykałyśmy wielu podobnych, nieznanych nam sportsmenów z musu i biedy, wlokących za sobą w ten sposób przeróżne rupiecie i graty! Krzyżowały się błyski porozumienia. bez słów: — Ciężko, bracie! Ano, trudna rada! I tak przetrwać musimy! — Oczy zaś tamtego mówiły wyraźnie: — Biedneście wy!... Sieroty może?!...

Ze względów oszczędności opałowej przeniosłyśmy się do malutkiego pokoiku p. Borkowskiej. Jednak wobec mrozu nazewnątrz i w otaczających pokojach ciepło umykało z dziwną szybkością, i nieraz w nocy miewało się wrażenie, że jesteśmy pod otwartem niebem. Wraz z niepowodzeniami na

froncie nieład wkradał się do gospodarki miejskiej. Woda w rurach wodociągowych była rzadkiem zjawiskiem. Chodziłyśmy z dzbankami do studni. Prąd elektryczny był tak słaby, że żarówki rozpalały się tylko czerwonawym zygzakiem — niekiedy gasły przedwcześnie. Na ulicach ciemności coraz częściej utrudniały ruch wszelki. Wczesnym rankiem budził nas huk dalekich armat. Od czasu nieudanego oblężenia Kijowa grupa homelska, stojąca ciągle koło Irpenia, nękała miasto stałą wymianą strzałów armatnich z «dobrowolcami».

Na dworze jeszcze było szaro. Pani Borkowska, teozofka z przekonania, zagłębiała się, leżąc w łóżku w mądrościach yogów i w nich czerpała siłę do wytrwania w tak ciężkich warunkach. Otulałam Haneczkę futrami (z braku miejsca i dla ciepła spałyśmy obie w jednem łóżku) i pierwszą świadomą myślą przerzucałam się do Moskwy. Wiara rozjarzała przygasłą nadzieję. Ruchliwe fale myślowe niosły otuchę — ucichał wreszcie szarpiący niepokój... Pochłonięta jedną tylko myślą, czy żyje mój mąż i czy go jeszcze kiedyś zobaczę, pojęłam wówczas duchowe życie ascetów i pustelników. I oni mają serca przepojone taką jedną wyłączną miłością, tylko stokroć wznioślejszą niż moja, bo przez doskonałość dążącą do Boga! Nawet ten dom najmilszy, ta utracona Lemieszówka — zasnuła się jakąś mgłą niepamięci. I czemże było to wszystko wobec możliwości śmierci ukochanego człowieka? W naszem ziemskiem istnieniu tylko to jest prawdziwem nieszczęściem... Tylko to jedno — bo zagasłe życie nie da się już nigdy odzyskać, pomimo najgenjalniejszych wysiłków ludzkiego rozumu i serca! Wszystko inne jest zmienne i ruchliwe — znikome i wracające.

Dni mijały tak powoli, w zimnie i niedostatku, w trwodze wobec powolnego przybliżania się do nas frontu, tak

podobne jedne do drugich, jak krople deszczu, jak płatki śniegu... bez promieni słońca, ponure jak listopadowe niebo!!

. . . .

Z początkiem listopada moja sytuacja finansowa poprawiła się nieco. Jacyś bogaci chłopi okoliczni wydawali zamąż dwie córki i zapłacili mi wysoką cenę za białe pikowe kapy na łóżka i bieliznę pościelową. Obawiając się jednak wyczerpania tego jedynego zapasu gotówki, wynosiłam dalej na Targ Żydowski różne drobiazgi, i nieraz udało mi się dobrze je spieniężyć. Słynęłam dawniej między naszemi wiejskiemi robotnicami jako «duże weseła pani». Zdobywałam się więc często na żart i uśmiech, zachęcając w ten sposób grymaśne chłopki do nabycia jakiejś wstążki lub świecidełek. A nie było teraz tak łatwo coś sprzedać! Głuche lecz nieustające odgłosy armat targały nerwami, przypominając nam wszystkim grozę powrotu bolszewickich systemów. Cały Kijów się wysprzedawał... Można było nabyć za bezcen wszystko — od ubrań i klejnotów aż do nieruchomości... lecz kupujących brak było zupełnie! Żydowski Targ wywierał również przygnębiające wrażenie. Pod nogami tylu nagromadzonych tam ludzi śnieg zmieniał się w lepkie, szare błoto. Po obu stronach głównej ulicy stali w długich szeregach sprzedający — środkiem rozpierali się butnie i chodzili zamaszyście całemi gromadami dobrze ubrani i dobrze odżywieni chłopi. Wynędzniali inteligenci z uśmiechem na ustach proponowali kupno złotych zegarków, obrączek ślubnych, broszek i różnych kosztowności, podając chętnie przypuszczalnym nabywcom te antyczne nieraz pamiątki, leżące na aksamicie wykwintnych jubilerskich pudełek. Chłopi brali w grube łapy te misterne cacka i bawiąc się grą świateł, oceniali z zarozumiałością nieuków wartość

złota lub też blask kamienia. Artyzm wykonania nie wchodził naturalnie w te rachuby.

Nie wiem, co było boleśniejsze: czy ta buta panoszących się prostaków, czy też ten uśmiech wydziedziczonych? W moją przeczuloną duszę wbijały się te obrazy ukrywanej nędzy i poniewierki ludzkiej, jak ostre gwoździe. Wracałam do domu śmiertelnie smutna, upadając pod ciężarem niedoli własnej i cudzej, otaczającej mnie dokoła. W takich chwilach dusza, rozżarzona aż do białości w ogniu cierpienia, zdolna jest do czynów niezwykłych, do poświęceń nadludzkich...

Cierpienie — to mistrz surowy, lecz czysty, jak łza, którą wyciska!

Cierpienie — to szlifierz niestrudzony, co z dusz zwyczajnych tworzy promienne brylanty!

Cierpienie — to wódz zbolałych, głodnych, osieroconych, wydziedziczonych, dotkniętych chorobą, lub skazanych na śmierć!

Chylimy czoła przed tobą, Kierowniku tych, co nigdy nie zwątpili o doskonałości twych nauk!

MORITURI...

Niepewnie szeptane pogłoski stały się faktem, i gazety zaczęły już donosić w sprawozdaniach z frontu o porażkach «Dobrowolnej Armji». Bagatelizowały jednak te chwilowe niepowodzenia, zapewniając, że bohaterskie wojska cofnęły się nieco, aby potem z tem większym impetem uderzyć na wroga. Lecz nikt z nas już się nie łudził. Wiedzieliśmy dobrze, co znaczy takie: «odchodzenie na upatrzone zgóry pozycje»! Była to poprostu klęska, tem straszniejsza, że przez

nikogo nie oczekiwana. Przytem dochodziły nas wieści, że generał Denikin postanowił wytężyć wszystkie siły dla utrzymania Rostowa. O Kijów mniej mu chodziło.

Nie czuliśmy w sobie dość odwagi, aby przeżywać męki powrotnego terroru. Prawie wszyscy Polacy kresowi postanowili wyjechać z tych stron rodzinnych i drogich, gdzie nowi bolszewiccy władcy, głosząc *urbi et orbi* wzniosłe teorje o swobodzie i równości, jednocześnie deptali w nas człowieczeństwo z tak bezmierną pogardą. Nie byliśmy przytem już dawnymi niewolnikami! Niezbadane życiotwórcze potęgi wskrzesiły nam Matkę-Ojczyznę. Ona nas przygarnie, przyjmie z miłością, jak dzieci rodzone, tem droższe, że tak nieszczęśliwe! Taki był nastrój wszystkich dążących do Polski jak do wymarzonego portu, gdzie — po tak niesłychanem w dziejach narodów rozbiciu — mieliśmy znaleźć wreszcie wytchnienie i spokój! Wybierałam się w drogę z tem większym pośpiechem, że w owym czasie pojawiły się w gazetach sensacyjne wieści o ugodzie polsko-bolszewickiej co do wymiany jeńców cywilnych na komunistów rosyjskich. Więc Kalikst uratowany... jeśli tylko żyje!

Należało teraz czynić dalsze starania w Polsce, aby go przywieziono w jednej z najpierwszych partyj.

Ta ugoda, tak pomyślna dla skrzywdzonych kresowców, była, niestety, jedynym realnym wynikiem nowego układu stosunków polsko-rosyjskich. Wprawdzie w pierwszych chwilach rządów denikinowskich sojusz zaczepno-odporny pomiędzy odradzającą się Rosją a wskrzeszoną Polską, w celu zgniecenia wspólnego wroga, wydawał się nam polityczną koniecznością. A był odpowiedni czas po temu, gdy admirał Kołczak zawładnął Syberją, generał Judenicz zagrażał Piotrogrodowi, a «Dobrowolna Armja» w tryumfalnym pochodzie zajęła całe południe Rosji. Gdyby do tych, z trzech st on

oskrzydlających armij, przyłączył się jeszcze z zachodu front polski, bolszewicy niechybnie paść-by musieli! Chodziły słuchy, że do Rostowa, gdzie przebywał gen. Denikin, pojechał nawet delegat polski dla omówienia warunków owego sojuszu, lecz czas uchodził, nie przynosząc żadnych zmian pod tym względem.

Przestano wreszcie wierzyć w przyjście Polaków do Kijowa. Zrzadka już tylko to ten, to ów wyraził nadzieję raczej, niż pewność, że wojska polskie, zająwszy chwilowo najkrótszą linję komunikacji kolejowej, ułatwią nam w ten sposób wyjazd do kraju. Miewaliśmy teraz częstsze wieści z Polski, powietrzną pocztą lub też niesłychanie powolną drogą okrężną przez Rumunję. Listy te odczytywaliśmy na głos w gronie licznych znajomych, w tem poczuciu, że w naszej niedoli tworzymy jedną, wielką rodzinę, którą każda wieść «z kraju» zarówno dotyka, jak cieszy. Niepokoiły nas często dziwne zwroty: «I tu nie jest tak dobrze, jak się wam zdaje... I tu są tarcia...»

Nie pojmowaliśmy, co kryć się może za temi ostrożnemi, niedomówionemi słowami. — Przecież sam fakt niepodległości winien był wywołać czyny i zamierzenia, zdumiewające swą twórczą i organizacyjną siłą! Przecież mają tam możność i radość pracy przy własnych warsztatach, na własnej, wolnej ziemi! Czyż niewola wsączyła nam w dusze taki jad, że nie jesteśmy już zdolni do wykorzystania cudownej niemal zmiany losu? — Do Polski! Do Polski!! Jeśli tu wszystko runęło nam w gruzy, to niech przynajmniej tam rozradują się obolałe serca. Własnemi oczami chcemy widzieć, co się tam dzieje! Chcemy ujrzeć mocarną Polskę, dźwigniętą z upadku wysiłkiem całego Narodu! Chcemy pracować dla swoich, wśród swoich!

Po całych dniach pakowałyśmy z Haneczką nasze rze-

czy. Wieczorem rozwoziłyśmy je, ciągnąc za sobą naładowane saneczki i zostawiając po jednym kufrze u kilku urzędniczych rodzin, zostających z musu na miejscu. Przy pierwszej możności zabierzemy wszystko do Polski. Teraz nie mogło być o tem mowy wobec przeładowanych ludźmi wagonów.

Kufry były ciężkie, i górzysty Kijów dał się nam dobrze we znaki. Wyjazd jednak nie był ani tak prosty, ani tak łatwy, jak dawniej. Dziś sprawa ta przedstawiała się jako szereg trudności i komplikacyj, ciężkich do zwalczenia. Odbywało się to tak:

Ktoś wybitnie energiczny i przedsiębiorczy wchodził w pertraktacje (długie i mozolne) z «naczalstwem» kolejowem na dworcu kijowskim i opłacał przejazd jednego wagonu do umówionego punktu. Kosztowało to 20.000 rb. i więcej. Uzyskawszy odpowiednią kartkę, otrzymywał wagon (w stanie przedhistorycznej niechlujności) towarowy lub bydlęcy (inne były już cenną lecz nieużyteczną pamiątką) i zabierał się do radykalnych porządków. Higieniści kazali szorować i dezynfekować ściany. Czciciele komfortu stawiali wokoło ławki. Miłośnicy zaś kultury przedwojennych czasów dochodzili w swych wymogach do takiego wyrafinowania, że pozwalali sobie na urządzenie w wagonie «nar», czyli dość szerokich desek przybitych jedne nad drugiemi, imitujących wcale zręcznie *sleepingi!* Dawały one możność wybrańcom losu spać nie w siedzącej lub stojącej pozycji, ale leżąc — wprost po królewsku. Niestety! Takich ulubieńców Fortuny było zaledwie kilku na tysiące... Pośrodku tej «tiepłuszki», zwanej tak pewnie dlatego, że w niej wcale nie było ciepło, stawał piecyk żelazny, zakupiony przez jadącą partję, i tak zaopatrzony wagon, ciemny i zimny, gotów już był na przyjęcie podróżnych. Niezliczoną jeszcze

ilość zabiegów, popartych niejednokrotnem «wsuwaniem w łapę», kosztowało przeciągnięcie wagonu z odległych torów na bliższe. Najtrudniejszym, względnie najdroższym, był czyn ostateczny, kolosalnej doniosłości: przyczepienie błąkającej się «tiepłuszki» do szeregu wagonów, gotujących się do odjazdu. Wszystkie te wydatki ponosili jadący w równej mierze. Pociągi, przeładowane uchodźcami, wyruszały co kilka dni z Kijowa, kierując się na południe Rosji i do Odessy drogą okrężną przez Dniepr i Bachmacz. — Kijowszczyznę i Podole omijano, obawiając się powstańczych band, wrogo usposobionych dla denikinowców.

Nie pamiętam jakim sposobem dowiedziałam się, że p. S... ow (urzędnik z administracji denikinowskiej) wyjeżdża do Odessy służbowo, specjalnym pociągiem. Było już trudno dostać się do przepełnionych wagonów. Partje «tiepłuszkowe» miewały nawet sporą ilość nadliczbowych gości, a że w mojem osieroceniu i nad wyraz ciężkich warunkach szłam przez życie przebojem, więc i teraz udałam się do pana S. w nadziei zdobycia przynajmniej jakiegoś kącika w jednym z wagonów.

Służący otworzył mi drzwi do olbrzymiego salonu o marmurowych kominkach i ozdobnych lustrach. Jacyś robotnicy krzątali się w rogu pokoju, wkładając obrazy do drewnianych skrzyń. S...ow stał wśród nich, dając wskazówki. Część mebli była już zapakowana. Na posadzce leżały zwinięte w rulony dywany. Zamęt przedwyjazdowy sprawiał tu wrażenie raczej śpiesznej ewakuacji. Pamięć chwil, przeżytych pod bolszewickiemi rządami, była tak żywa w całem społeczeństwie, że ten obcy człowiek, posłyszawszy w jakim celu pragnę się dostać jak najprędzej do Polski, rzekł natychmiast uprzejmie:

— Jadę wagonem trzeciej klasy. — W dzisiejszych

warunkach to zbytek nielada! Najchętniej ofiarowuję pani dwa miejsca. Wyjazd naznaczony na jutro. Myślę, że za dwa dni najdalej będziemy w Odessie.

— Jutro?... Dziękuję panu stokrotnie, ale to niemożebne! «Swoboda» wpędziła mnie w taką niewolę, że musimy same z moją córeczką porozwozić nasze kufry do znajomych. Nie damy z tem rady do jutra. Może Polacy przyjdą z Wołynia i ułatwią komunikację z Polską przez Koziatyn? Coś tak przebąkują. A pan jak sądzi?

S...ow spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

— Czy tak?! Słodkie to złudzenia, ale muszę rozwiać je zupełnie. Kwestja ta mocno mię interesowała w swoim czasie. Znam ją *à fond.* Zapomnijmy o Polakach i o ich pomocy. Wprawdzie generał Denikin pisał do waszego Piłsudskiego:— Idziecie z nami, czy nie? — ale jednocześnie ani on, ani jego rada przyboczna nie chcą uznać nowych granic Polski. Pani wie, że «Dobrowolna Armja» i jej przywódcy walczą w imieniu «jednej, niepodzielnej Rosji». Polakom dają tylko ziemie etnograficznie polskie, czyli dawne Królestwo, poza tem — nic! Jest nas kilku w opozycji: — Chcą Polacy mieć kawał Wołynia i Kamieniec Podolski?... Dajcie mi go! Przecież, Bogiem a prawdą, w ich ręku to było przed rozbiorami. Małaż-to jeszcze Rosja?! A Kaukaz? A Ural? A Syberja?... Zróbmy tylko z tem wszystkiem porządek, a Europa kłaniać się nam będzie, a nie my jej! Pojmijcie, że najważniejsze zadanie chwili — zmasakrować wspólnemi siłami bolszewików! Niestety, nie zwalczyć nam krzykaczy! A rezultat... Nas wkońcu pobiją czerwoni, a potem ruszą na Polskę. Przekona się pani.

Machnął ręką ze zniechęceniem:

— Nie uciekniesz przed złą dolą! Snadź sądzono nieszczęsnej Rosji iść pod but czerwonych tyranów!

Tak poddawał się fatalizmowi ten Rosjanin kulturalny, przerastający widocznie umysłem swoje otoczenie, skoro stać go było na tak bezstronne ujęcie kwestji polsko-rosyjskiej. Jakież musiały być zapatrywania pod tym względem szerokiego ogółu! Jaki jest w rzeczywistości duch tej olbrzymiej Rosji, kryjącej w swem wnętrzu tak nieprzebrane bogactwa?! Jeśli Robinson Kruzoe, człowiek niezłomny w życiowem rozbiciu, zwycięski w walce z niedolą — to duch anglosaski, jakimż okazałby się Robinson słowiańskiego Wschodu, rzucony na bezludną wyspę? Czyż naprawdę umiałby tylko paść na pierwszą lepszą skałę, zwiesić ponuro głowę... i zemrzeć tak z głodu i zimna, filozofując do ostatniej chwili, że najwyższą ziemską mądrością jest... niesprzeciwianie się Złu?!

. . . .

Na dzień 23 listopada oznaczono nasz wyjazd z Kijowa. Jesteśmy wpisane do partji dra F., właściciela lecznicy hydropatyczno-elektrycznej. — Wieczór. Wokoło nas niesłychany, przedwyjazdowy zamęt. Pan Biliński przyciągnął saneczki, i w braku innej lokomocji ofiarowuje się odwieźć nasze pakunki na dworzec. Jagusia wynosi walizki i worek z zapasami żywności. (Niewiadomo jak długo potrwa ta okrężna podróż). Pani Kondracka żegna się z nami czule. Przykro jej, że zostanie sama, bo nas polubiła, ale żal swój pokrywa wymówkami:

— Że pani zdecydowała się na taką ryzykowną podróż, to nie dziwota! Serce i niepokój o męża pędzą do Polski! Ale że pani Borkowska zerwała się także, jak ten latawiec ze sznurka — to mi się w głowie nie mieści... Źle-to pani było ze mną?

Wychodzimy wreszcie przed dom. Góra rzeczy sterczy

na saneczkach. Jak ta ruchoma piramida dojedzie do dworca, taki kawał drogi?!... Pan Biliński zarzuca sznur wokoło pasa i zgięty w pół idzie powoli środkiem ulicy. Haneczka z tyłu popycha saneczki. Mroczno, jak w przedpotopowej jaskini. Wedle kalendarza ma świecić uprzejmy księżyc, i może tak jest gdzieś «stronami», ale tu nie widać go wcale. Na W. Podwalnej majaczy niespodziewanie jakiś sunący cień.

— Ho! Ho! Stójcie, człecze!!

Woźnica wstrzymuje wysoką, chudą, jak *miss* angielska, szkapinę, i zgadza się odwieźć nas na stację za 250 rb. Siadamy we trzy. Z tyłu, na uwiązanych saneczkach staje pan Biliński, jako opiekun niesfornych pakunków. Mkniemy cicho i szybko po ośnieżonych ulicach. Nastrój rześki, pełen otuchy. Tak się pomyślnie zaczęło... może i dalej Fortuna sprzyjać będzie śmiałkom! Nagle, przy zjeździe na Bibikowski Bulwar, rozsądna dotychczas szkapa czuje przypływ niepokojącej fantazji i w ożywionym galopie robi na skręcie tak niespodziany zwrot... że sznur pęka, saneczki lecą w bok, a pan Biliński, zaskoczony znienacka, pada w tył z rozkrzyżowanemi rękami. Z niepojętą lekkomyślnością oddalamy się szybko od czerniejących na śniegu rozbitków.

— Stójcie, stójcie!! Saneczki zostały!

Woźnica ściąga lejce i gniewnie hamuje rozigraną angielkę:

— Trrr! Stójże!... A to zbiesiła się kobyła! Na równem — jak ten anioł idzie, a niechno tylko górę poczuje... chwost pod siebie, i rwie, jak ta wściekła! Trrr!... Stańże do licha!!

Zatrzymuje ją wreszcie. Brnąc w śniegu po kostki, wracamy na miejsce katastrofy. Pan Biliński otrzepuje się po upadku. Wśród ciemności zbieramy z niepokojem rozsypane pakunki... Czy tylko jest wszystko?!... Jest... jest... jest!

Znowu saneczki przywiązane do dużych sań, niby dziecko do matki. Pan Biliński na koźle, obok furmana. Doświadczenie — to skarb, jeśli kto umie zeń korzystać! Sankarz opiera się mocno o przód sani:

— Wio, kara!... A nie szalej, bo jej Bohu, zęby wybiję! — Okręca lejce wokoło ręki i skupia się w sobie z milczącą pasją. Ale szkapa dość ma jednego wybryku i równym, choć ostrym kłusem dowozi nas bez wypadku do dworca. W tym właśnie momencie wyjeżdża z bocznej ulicy dr F. Unosi mię jednak niepotrzebna fantazja... bo właściwie idzie, pochylony naprzód, środkiem ulicy i wlecze za sobą saneczki ze stosem tobołków.

— Spóźniliśmy się na pociąg... Musimy...

Z oddalenia dochodzą już nas jego słowa.

— Stańcie! — komenderuje pan Biliński.

— Trrr! Ty zatracona warjatko!! — klnie przez zęby woźnica.

Doktor F. podchodzi do nas:

— Przed chwilą, w moich oczach, odjechał nasz pociąg. Spóźniliśmy się, niestety! Nasza «tiepłuszka» odeszł pewno z nim razem, ale dadzą nam inną. Proszę wyładować rzeczy. Następny pociąg ma wyruszyć jutro rano.

Żegnamy pana Bilińskiego i zostajemy same na stacji. Około północy prowadzą nas do «tiepłuszki», którą doktor F. zdobył po niezliczonych prośbach i zabiegach. Wchodzimy do wnętrza po kuferkach, ustawionych jak schodki. Ktoś wiesza na ścianie malutką lampkę. Musiano wypędzić stąd niedawno krowy lub konie, bo na podłodze mokro; piecyka brak... wieje przez szczeliny... Układam kilka kawałków drzewa, które już dr F. zdążył wydostać na opał w podróży, rozciągam na nich siennik... rzucam poduszkę. Łóżko gotowe!

Obok nas pani Borkowska rozkłada się na swoich kuferkach. W przeciwległym kącie wagonu dr. F. i siostrzenica jego z mężem i malutkiem dzieckiem w wózeczku urządzają sobie sypialnię. I tak... podróż zaczęta! Pierwsze jednak wrażenie jest wprost przygnębiające. Może tu byli chorzy w tej brudnej «tiepłuszce»?... Może wszy... tyfus plamisty?... Wokoło ciemno. Dworzec zamilkł w oczekiwaniu światła poranku. Żaden dźwięk, żaden ruch nie zawibruje w głuchej ciszy.

Życie, tętniące dawniej tak hałaśliwie, tak różnorodnie i nieprzerwanie na tej olbrzymiej stacji, dziś jest w zupełnym letargu. Zmęczone i zziębnięte kurczymy się na krótkim sienniku... leżymy długo z otwartemi oczyma...

Wreszcie przychodzi Sen... Nachyla się nad naszem nędznem posłaniem... zarzuca litościwie mroczną zasłonę na wszystkie smutki i troski... wiedzie w krainy nieuchwytnych miraży i złudnych mar...

. . . .

Śpijcie tułacze! Ten błogi odmęt niepamięci — to wasze jedyne ukojenie!

CZĘŚĆ CZWARTA

Z KIJOWA DO WARSZAWY

GRUDZIEŃ 1919 — LUTY 1920

NA STACJI W KIJOWIE.

Budzi nas z rana zimno i ruch w «tiepłuszce». Ktoś odsuwa ciężkie drzwi i wychyla się z wagonu. Ani śladu pociągu! Stoimy samotnie, daleko poza stacją, przyczepieni do trzech niezamieszkałych «tiepłuszek». Na świecie jest wstrętnie. Mży zimny deszczyk i zmienia puszysty śnieg w jakąś wodnistą, szarą kaszę. Przez dziurawy dach sączą się krople wody i spływają niby wężyki po ścianie.

Jacyś kolejarze *minorum gentium* przechodzą przez szyny, dążąc w stronę dworca.

— Hej tam, dobrzy ludzie! Nie wiecie, kiedy pociąg odejdzie?

Zatrzymują się i parskają śmiechem:

— Pociąg?!... A won tam — wyciągają ręce wskazującym ruchem — stoi za stacją, jak wąż bez głowy! Pasażiry są, ile wlezie!!... Jedna bieda, że bez maszyny ani w przód ani w tył!! Poszli szukać lokomotywy... Może gdzie złapią na wędkę!

Dr F. idzie po informacje i wraca ze złemi nowinami:

— Lokomotywy są, ale każdej czegoś brakuje. Naprawiają jedną pośpiesznie. Jest nadzieja, że do wieczora skończą.

Zabieramy się do wyświeżenia naszej «tiepłuszki». Jakaś podkasana babina szoruje zabłoconą podłogę z lubym

zapałem skrzętnej gospodyni. Tragarz wnosi piecyk i wali bez namysłu siekierą w dach wagonu... Otwór na rurę gotowy! Szkoda, że nieco za szeroki, ale zato odpływ i przypływ powietrza odbywa się z zadziwiającą sprawnością. Rozpalamy z tryumfem ogień. Za chwilę imbryk z gotującą się wodą ćwierka wesoło, niby przysłowiowy świerszcz za kominem. Robinsonada w pełni, — nastroje stowarzyszonych pokrzepione gorącą herbatą.

Dr F. uwija się wśród robotników kolejowych, postanowiwszy przybliżyć naszą izolowaną «tiepłuszkę» do pociągu. Ci kpią sobie z nas w oczy z otwartością zgoła nie szablonową.

— I czego wam tak śpieszno?! Pociąg nie zając — nie ucieknie! Toż to żywy trup! Bez maszyny daleko nie zajedziesz!

Odchodzą, śmiejąc się. Nie imponują im wcale ci uciekający burżuje. Mieli w ręku władzę przez kilka miesięcy, a nie potrafili jej utrzymać ani wprowadzić porządku. Teraz umykają przed Czerwonymi. Słusznie im się to należy!!

Nadchodzi wieczór, lecz na stacji dawna martwota; lokomotywy ani śladu. Nudzimy się w tej bezczynności, jak pies na uwięzi. Już trzecia doba wlecze się tak ospale, jak dziad wędrowny z ciężkim workiem obiecanek i przyrzeczeń w zanadrzu. Powoli przybywają do nas różni przygodni towarzysze podróży. Jest już około dwudziestu osób w «tiepłuszce». Sypiamy, nie rozbierając się — z rana doprowadzamy swoje tualety do jakiegoś względnie estetycznego wyglądu — na dworcu, w specjalnych pokojach, gdzie jako tako funkcjonują jeszcze dawne urządzenia. Nudy tego przymusowego postoju przerywa niekiedy wtargnięcie reprezentantów władzy:

— Opróżnić te wagony! Niezbędne na froncie!

Bronimy się wszyscy zawzięcie:

— Nie wyjdziemy! Zapłaciliśmy za prawo przejazdu!

— Dostaniecie inne, a teraz wynoście wasze rzeczy!

Dr F. idzie do naczelnika stacji i tam jakoś zatarg ten «likwiduje». Mamy spokój aż do nowych burzliwych rozpraw.

Wreszcie, gdy najmniej się tego spodziewamy, upragniona «maszyna», gwiżdżąc jak łobuz i sapiąc niby rekonwalescent po przewlekłej chorobie, wypełza z pozastacyjnych odległości i sunie ku nam powoli. Dotychczas stoimy na uboczu. Mężczyźni pędzą po robociarzy. Wymowne argumenty przechodzą z kieszeni do kieszeni — i już jesteśmy włączeni do olbrzymiego szeregu «tiepłuszek» z dymiącą wytrwale lokomotywą na czele. Wszędzie w poodsuwanych drzwiach znajome twarze... Tak opuszcza swoje domowe ogniska, swój kraj rodzinny — kraj, co do rozbiorów był w wielowiekowem władaniu Rzeczypospolitej — inteligencja i ziemiaństwo polskie z Kijowszczyzny!

. . . .

Zapada wieczór. Lokomotywa wyrzuca bez przerwy, w górę kłęby szarego dymu i otula się niemi fantastycznie, niby tajemnicza nieznajoma, ale ruszać z miejsca nie chce. Zniecierpliwienie ogarnia wszystkich. W jednej chwili tworzy się jakaś samozwańcza delegacja z kilku osób. Wyskakujemy z «tiepłuszki». Brr! Chlapie pod nogami... wiatr rzuca mokrym śniegiem w twarz, targa *trotteuse*'ki pań jak zły pies podwórzowy, zapiera oddech idącym. Kancelarja naczelnika i przyległy pokój przepełnione już takimi samymi miotającymi się desperatami, jak my.

— Dlaczego nie jedziemy?! Czegoż jeszcze wam brak?! Cóż to za zdumiewający nieład!!

Cały personal kolejowy jest mocno zasępiony. Naczelnik przemawia żywo:

— Gaspada! Pojmijcie, że naszej winy w tem niema! W nocy dostaliśmy wiadomość, żeby się wstrzymać z wypuszczeniem pociągu okrężną drogą, bo tam już bolszewicy mogą drogę przeciąć, a tu z drugiej strony telefonują z Fastowa, że pojawiły się nagle bandy «zielonych»! Niczego dobrego spodziewać się od nich nie można. Zlikwidujemy tę miejscową ruchawkę, a wtedy pojedziecie.

Wracamy do «tiepłuszek» z milczącą rezygnacją. Ktoś, ktoby chciał trafnie określić naszą sytuację, powiedziałby krótko, że jesteśmy wzięci we dwa ognie, ale wolimy się w to nie zagłębiać. I znowu przesuwają się godziny za godzinami, nużące swą niezmienną jednostajnością. W oczekiwaniu odejścia pociągu nieledwie z minuty na minutę, mieszkamy dalej w «tiepłuszkach, robiąc tylko «wypady» na obiad do miasta. Co wieczora lokomotywa włóczy nas za sobą z miejsca na miejsce, jakgdyby chcąc przekonać wszystkich, że toczyć się po szynach wcale nietrudno. Po takiem bezcelowem wałęsaniu się staje nagle jak wryta i zamiera do dnia następnego. Z paru stron wracają do Kijowa pociągi, poostrzeliwane przez powstańcze bandy. Kilku podróżnych poniosło śmierć na miejscu.

— Więc chcecie jechać pomimo to?! — pytają nas kolejarze.

— Chcemy!! Będzie co Bóg da!

Ósmego dnia wieczorem kilkakrotne szarpnięcie przebiega wszystkie tiepłuszki i pociąg cały z nieopisanym łomotem rozklekotanych wagonów rusza w drogę. Ktoś rzuca drwiąco: — Spacerek przed snem, jak zwykle! — Jednak ta przejażdżka trwa zbyt długo... odsuwamy drzwi... Jesteśmy w szczerem polu! Kijów pozostał za nami. W «tie-



Krajobraz ziem kresowych.

Fot. K. Dunin-Borkowski



Krzyż przydrożny na Ukrainie.



Salon w Lemieszówce K. Dunin-Kozickich.

płuszce» cisza. Rozstajemy się na długo, może na zawsze, z ziemią, gdzieśmy tyle lat przeżyli, z której wyrośliśmy — i my i nasi przodkowie — gdzie zostało wszystko, co tyle lat budziło żywsze tętno serca i czem wzmacniał się duch!...

Nagle zwalniamy biegu... pociąg staje... Mężczyźni wychodzą śpiesznie na zwiady. Nic wielkiego... Maszynista nie chciał dalej jechać — trzeba było dlań złożyć rodzaj haraczu od wszystkich podróżnych. O świcie dopiero dojeżdżamy do Fastowa. Tu przewlekłe narady, jak się dalej kierować: przez Koziatyn, czy też przez Białą Cerkiew? Właściwie bowiem jedziemy, sami nie wiedząc dokąd i którędy! Polska — to cel ostateczny, a zresztą wszystkie drogi do niej są dobre. Z całej naszej partji ja tylko jadę stanowczo do Odessy, ze względu na swoje sprawy majątkowe. Dowiadujemy się, że Koziatyn zajęty przez powstańcze bandy, musimy tedy skierować się na Białą Cerkiew. Przymykam powieki, aby szalony ból, jaki wobec tej decyzji targnął mem sercem, nie odbił się w oczach i nie zwrócił uwagi. moich towarzyszy podróży. Mam więc być tak blisko domu?!... Po długim postoju (z obawy przed możliwością pojawienia się band) ruszamy w dalszą drogę. Znam tu każdą miejscowość, każdy przystanek... nieledwie każdą grudeczkę ziemi...

WIZJA DOMU.

Pociąg zwalnia biegu... Dojeżdżamy do stacji... Zatrzymuje się wreszcie, zgrzytnąwszy nieskończonym szeregiem «tiepłuszek». Z wysiłkiem odsunięto ciężkie drzwi wagonu. Przypadkowo znaleźliśmy się nawprost białego stacyjnego budynku. W oczy uderza mnie z gwałtowną siłą wspomnienia duży, czarny napis: «Biała Cerkiew». Ileż-to razy, wraca-

jąc z dalekich podróży, witałam z upragnieniem te zwykłe litery, zwiastujące mi bliskość domu! Jak miłe jaskółeczki, lśniące czernią swych grzbietów, wylatywały one na moje spotkanie, kryjąc w sobie radości, które mnie oczekiwały. Teraz — te litery-przyjaciółki wydają mi się dziwnie obojętne i martwe. Biała Cerkiew! Jeden z niezliczonych etapów długiej i niebezpiecznej podróży. Pozatem... nic! Hen... daleko, w grudniowej mgle kryje się dom ukochany, samotny... zniszczony. Nie czeka tam na mnie — nikt! Nie zalśnią światłem okna, nie zaszczekają radośnie psy, pędzące koło powozu, nie wyciągną się na powitanie najdroższe ramiona. Nie wolno mi tam nawet dojechać! Wicher burzliwych przewrotów niesie mnie tak bezwolną, jak opadły jesienią, uschnięty liść. Dalej i dalej, smagany losem tułaczu!!...

Oparłam głowę o drewniane, brudno-czerwone ściany «tiepłuszki»... Zatonęłam w marzeniach... straciłam poczucie miejsca i czasu. Przeszłość splotła się z teraźniejszością w jakąś dziwną wiązankę kwitnących pąków i martwych cierniowych gałązek... Wreszcie duch oddzielił się od mojej smutnej, znękanej postaci, rzuconej w kąt wagonu... Wybiegam z pośpiechem na stację. Gruby, siwy portjer wita mię przyjaznym uśmiechem: — Coś długo pani nie było?! Wesoło pewno czas schodził?! — Co on mówi?!... To jakieś dawne, nieistniejące już słowa powitania! — Przechodzę śpiesznie przez dużą poczekalnię, natłoczoną, jak zwykle, podróżnymi i gapiami. Wychodzę na ganek. Przedemną, w pewnem oddaleniu, stłoczone domy miasteczka na tle zimowej bieli pól i czerniejących lasów. Tuż za klombem stacyjnym czeka czwórka naszych kasztanów. Lisie ogony przy ruchliwych uszkach, pod siodełkami granatowe czapraki. Śliczna, lekka karetka. Na koźle Kornij w galowym stroju. Jak ładnie po mnie wysłali, snadź stęsknili się mocno! Kornij zdejmuje

czapkę. Uśmiech od ucha do ucha: — Chwałyty Boha, że już ja panią przywiozę. Marekowaly tam duże, że pusto w domu bez pani! — Zatrzaskuję za sobą drzwi karetki. Kornij rozwija bat... Lejcowe porywają się z miejsca jak jaskółki. Szerokim, stepowym szlakiem pędzimy jak wiatr. Już została za nami Olszanka Branickich. Z wyboistej szosy zjeżdżamy na zwykłą drogę, która ucieka przed nami w dal, lśniąc wyślizganą powierzchnią. Po obu stronach pola i pola... Zrzadka wyniosłe usypiska — milcząca przeszłości pamiątka.

Hej ziemio, nad wszystkie najmilsza! Ziemio, rycerską krwią okupiona! Kolebko i piastunko nasza! Przyszły i na ciebie chwile zimowej martwoty! Sczerniało twe oblicze od siekących deszczów i wichrów! Mróz zakuł w ostre, zmartwiałe brózdy zoraną twą pierś. Legły nad tobą chłodne mgły... jękliwe wichry przelatują, jak niesforne hufce, po bezkresnym, uśpionym stepie. Pod bielą puchów śniegowych przytaiłaś gdzieś w głębi cudowną, rodzajną twą siłę. Wyczekujesz z utęsknieniem nadejścia wiosennej mocy, gdy słońce cię ujmie w mocarne objęcia, gdy wyzłocisz się szumnem bogactwem płowych twych zbóż, a kwiecia bujnego szkarłaty przepleciesz wstęgami połyskliwych twych wód! W zimowym niebycie wyczaruj potęgę wiośnianych rozkwitów!!

Kasztany lecą, jak szalone. Jeszcze nigdy nie jechaliśmy tak szybko. W oddali zarysowują się, otulone tatarakami od mrozów, chaty Jeziornej, szarzeją na horyzoncie Persówka i Tarhan Podhorskich. Wjeżdżamy na wysoko usypaną groblę w Łohwinie (dawniej Iwaszkiewiczów). Z za lasu wybiega ostra wieżyczka kościoła w Wołodarce i wychylają się stare drzewa parkowe ze zwichrzonemi czubami nagich gałęzi. Na skutej mrozem drodze słychać równomierne wybijanie chyżo pę-

dzących końskich nóg. Dźwięczą srebrzyście grelotki, uwiązane u wysmukłych szyj kasztanów. Rozkołysany, zimowy oddech stepu wpada do wnętrza powozu. Niesie z sobą wspomnienia dawnych, szalonych czynów, krwawych napadów, hajdamackich wybryków, rycerskich, nadludzkich porywów... Szeroki i śmiały jest ten powiew, jak śmiała i bohaterska była pierś tych, co tu ongi gniazda swe zakładali! Już widnieje wygięte półkole lemieszowskiego lasu. Jeszcze jeden zakręt... i nagle na posępnem tle bezlistnych drzew wybłyskuje biały dom. Dom-gniazdo, dom-przyjaciel, dawno niewidziany! Kasztany same zawracają do bramy wjazdowej. Chłonie nas sosnowy tunel. Lecimy jak na skrzydłach pod górę. Milczy obojętnie nagi las... nie wita mię falowaniem szumiących wierzchołków... Nie słychać ruchu ni głosu... Tylko chmury już pierzchły, zmiecione wiatrem doszczętnie, i na pogodne niebo wytoczył się księżyc, jedyny stróż tego królestwa śpiących czy umarłych.

Nagłem ściągnięciem lejców wstrzymuje Kornij na miejscu rwące kasztany. Stoimy pod domem. Po szerokich, wejściowych schodach wbiegam na ganek. Ciemno we wszystkich oknach... Tylko w bronzie wykute, wdzięcznie wygięte: «Salve» nad drzwiami, wita mię milcząco, błyszcząc w srebrnej poświacie.

Drzwi otwierają się same, zwolna... Oglądam się... Niema już kasztanów ani karety! Niby w bajce — zniknęło wszystko, jak dym! Wchodzę do domu...

Wita mię cisza. Księżyc stoczył się nagle z podniebnych wyżyn i niby wierny paź albo usłużny przyjaciel towarzyszy mi w tej wędrówce, rzucając przez okna łagodne światło.

Z lękiem patrzę dokoła... Pusto i głucho... Więc nie zostało tu nic!...

Więc obce, drapieżne ręce dokończyły dzieła zniszczenia!...

Witajcie nagie ściany, jedyni świadkowie minionych lat! Tulę się do was... przesuwam drżącemi dłońmi... Wśród was przemknęły młodości lata... Do was, ach do was, przywarły głosy i śmiechy, gwar rozmów najmilszych, powitań najdroższych! Przyjaciele, pozornie nieczuli i zimni, tający w sobie czar chwil tu przeżytych, ozwijcie się do mnie echem zgasłego szczęścia!!

Łzy płyną zwolna... Łzy żalu palące!

. . . .

Księżyc, niby zwinny czarodziej, sypie wiązkami promieni, w ciemny kąt pędzi czające się widmo zagłady... i nagle... jak w bajce cudownej, powraca przeszłość wygnana... ożywa zamarły dom...

Ze ścian spoglądają zalotnie pudrowane markizy, zaklęte przed laty w złocone obwódki *sevre*'ów. Drzemie staruszek-kredens w swych mrocznych, poważnych zarysach. Jadalny stół pusty... bez kwiatów. Nie zasiadł tu nikt oddawna. Wokoło, sztywne w swej wysmukłości, rzeźbione poręcze krzeseł. Przesuwam dłonią w powietrzu. Czuję jedwabistą miękkość zasłony w drzwiach od salonu. Na kominku w złocone konchy, zegar-antyk cyka śpiesznie starczym, ale niezmiennie czystym głosikiem: «Czas nagli... Dalej, idź dalej!» Gdzieś, z kąta pokoju, brzmi lekko, powiewnie, jakby orkiestra brzęczących owadków, natchniona piosenka:

Nie damy ziemi, skąd nasz ród...
. . . .
Polski my naród, polski lud...
. . . .
. . . .

Przygasłe echa chóru dziatwy szkolnej!... Żegnajcie biedne, ciemne duszyczki! Zgaśnie rychło przelotne światełko poznania waszych praw narodowych! I znowu wchłonie was ciemność... Bolszewizm bicz skręci na wasze dogmaty. Padniecie, jak pierwsi chrześcijanie, lub żyć będziecie zwierzęcem istnieniem!...

Księżyc przerzuca się nagle na drugą stronę dworu i razem wsuwamy się do sypialni. Promienie muskają biegnący u góry szlak z kwiatów jabłoni i liści, wiją się swawolnie wokoło wysmukłych kolumienek w głębi pokoju. W puszysty dywan wtuliły się niedbale związane pęki różyczek polnych. Pastelowe tony błąkają się wszędy.

Z jakąż rozkoszą poją się oczy tą harmonją linij i barw! Jak słodko wypoczywa serce wśród tego zespołu piękna i bijących, jak żywe źródło, wspomnień dawnego rodzinnego życia! Więc byliśmy aż tak szczęśliwi?!...

W jasnym słupie światła wychyla się ku mnie twarz Madonny.

Usuwam się na kolana: — Kwiecie przeczysty!... Matko cierpiących!... Gdzie pan tego domu?!... Powiedz... uczyń cud!

Cisza aż dzwoni. Nie zadrżą litośnie usta... Porywam się z klęczek. Tu, w białej ścianie, niewidoczne prawie, niewielkie drzwi... Już jestem w najmilszym, mahoniowym pokoju. Lśnią jeszcze złociste wianuszki obicia... Tam, w rogu, nikły zarys kanapki... Nad nią, wysmukłe lustro z wieńcami sławy u góry... Stół na mocarnych, lwich łapach... Zewsząd niosą się rzewne wspomnienia dzieciństwa... Widzę je... jasne, szczęśliwe... poprzez rwące wody wzburzonego życia!... Na ścianach sztychy... genjalne kampanje «małego kaprala»... Legenda stulecia woła tu do mnie: «Padł mocarz świata i widział upadek swych dzieł!... I was, wygnańców, nie minął ten los!...»

Księżyc znienacka zasunął się za chmurkę. Mrok legł na wszystkiem. W rogu pokoju, tam, kędy stało staroświeckie biureczko, a na niem fotografje moich najdroższych, zadrgał nagle świetlany słup. Może to rąbek księżyca, umykający chyłkiem z pod chmur, a może to... Wy, ukochani, najbliżsi mi ongi krwią, nieodżałowani tęsknotą rozstania?!... Może, jak jasne duchy, spłynęliście tu z zaświatów, objęliście straż w tym opuszczonym dworze... snujecie się nocami po ciemnych pokojach, żaląc się nad losem waszego biednego dziecka?!...

Odrzućcie tę mglistą zasłonę... Dajcie mi znak otuchy, nadziei!...

Wśród misternie rozsnutych kształtów, połyskujących srebrzystym blaskiem, przesuwam się jak cień. Seledynowa smuga płynie za mną...

Mroczny gabinet-bibljoteka ożywia się nagle. Widzę, jak uchylają się lekko oszklone drzwi szaf, pod naciskiem zamkniętych w dusznej ciasnocie książek-przyjaciół. Księżyc — ugrzeczniony, jak dworski kawaler, domyślny, jak młoda miłość — budzi chybkim promieniem wspomnienia ubiegłych chwil! Szumi w złotych ramach «Morze» Ajwazowskiego... Rozdyma chrapy, przebiera, jak w tańcu, nóżkami koń Kossaka! Pomykają gdzieś, w dal jeźdźcy w czerwonych frakach... Brzmią zwycięsko myśliwskie trąbki:
— Śmierć ci, rogaczu! Halali! Halali!!

Na kolumnie, przy oknie, chłopczyna z marmuru wygrywa miłosną pieśń zasłuchanej dzieweczce... Stoję w progu, nie chcąc płoszyć czarów przedziwnej tej chwili... Smuga czarodziejskiej poświaty pada na postać w oddali...

...Więc żyjesz, żyjesz, o drogi?!... A ja łez tyle po tobie wylałam!... Szukałam cię wszędy wśród martwych ciał!...

Chcę biec do niego, chcę witać radośnie... lecz stoję

na progu bez ruchu... bez głosu... zaklęta mocą nieznanych sił!... Gwałtowność szczęścia rozdziera mi pierś... Zadrżałam... i ocknęłam się...

Siedziałam w «tiepłuszce», na sienniku złożonym we dwoje. Moi towarzysze podróży rozmawiali z ożywieniem, Im ta stacja nie nasuwała żadnych wspomnień... Pośrodku. wagonu, przy rozżarzonym do czerwoności piecyku, stała Haneczka, gotując dla nas jakiś posiłek. Odwróciła się właśnie w tej chwili do mnie i zbliżała się, niosąc ostrożnie dymiący garnuszek:

— Znowu płakałaś, mateńko! — rzekła z żałosną wymówką.

— Tak blisko jesteśmy domu, dziecinko!

Nagły błysk bólu przeleciał przez oczy dziewczynki i zgasł natychmiast. Znowu toż samo skupienie i zacięta odporność na wymizerowanej twarzyczce. Przyklękła na sienniku i szepnęła:

— Nie mówmy o tem, mamusiu!

Podała mi łyżkę: — Zjedz, zjedz choć troszkę. Tak mi się dziś udała ta zupka!

CZARNYM SZLAKIEM ŚMIERCI I PUSTKI.

Ta fantastyczna wizja domu, tak żywa, tak niesłychanie plastyczna, podkopała do reszty moją duchową moc. Tejże nocy jeszcze przeraziłam moich towarzyszy niespodziewanym pomysłem. Wszyscy już spali, skuleni na swoich kuferkach, i tylko blady płomyczek lampki, wiszącej na ścianie, oświetlał tę naszą niewybredną sypialnię. Pani B. wartowała przy piecyku, napół senna, napół zadumana,



Klimaszówka K. Dunin-Borkowskich.

Fot. K. Dunin-Borkowski.



Pałac w Peczarze Fr. hr. Potockiego.



Salon w Peczarze Fr. hr. Potockiego.

dorzucając niekiedy drobno porąbane drewka do ognia. Wtem ja zerwałam się nagle z posłania, na którem leżałam obok Haneczki, chwyciłam kożuszek i czapkę i skierowałam się ku drzwiom. Pani B. patrzyła na to zdumiona.

Ujęłam żelazne klamry. Z jakąś niepojętą siłą starałam się odsunąć ciężkie drzwi, opierając się mocno głową i ramieniem. Niewielka szczelina powstała na całej wysokości. Przez nią wpadała do wagonu czarna i mroźna noc.

Pociąg biegł miarowo, wypełniając ciszę rozległych przestrzeni swoją jednostajną piosenką, złożoną z pobrzękiwania żelaziwa, łomotu toczących się kół i ciężkiego sapania lokomotywy. Czarna, zamarzła ziemia umykała pod nim powoli, jakby wirując w odwrotną stronę.

Pani B. przyskoczyła do mnie z przerażeniem:

— Co pani robi?!

— Idę szukać mego męża... On jest napewno... gdzieś tam!...

W umyśle pani B. zamajaczyły nagle słyszane przygodnie opowiadania o systemach postępowania z «nerwowcami». Ujęła mię mocno za ręce, skupiła w sobie całą moc woli i rzekła dobitnie:

— Wracaj natychmiast na swoje miejsce, połóż się i śpij!!

Siła tego nakazu zwalczyła moją chwilową nieprzytomność — pod jej wpływem zgasł błędny ognik zachwianej równowagi... Posłusznie zdjęłam z siebie futerko i położyłam się na sienniku. W parę chwil potem otworzyłam oczy zupełnie już świadoma naszej podróży. Podniosłam się ze zdziwieniem:

— Co się stało? Dlaczego pani nademną klęczy?!

Nie pamiętałam nic zgoła i zasnęłam zaraz spokojnie. O całej przygodzie opowiedziano mi dopiero w parę dni,

gdy minęło niebezpieczeństwo powtórnego ataku. Nigdy jednak towarzysze moi nie powierzyli mi nocnej warty. Obawiali się widocznie, abym im jakiegoś nowego figla nie spłatała!

Ze względu na olbrzymi sznur wagonów i zrujnowane lokomotywy jechaliśmy powoli, urządzając na każdej stacji długie postoje i zasięgając języka co do powstańczych lub też bolszewickich band. Ciągle bowiem wisiało nad nami niebezpieczeństwo spotkania ich i ataku. W nocy zasuwaliśmy szczelnie drzwi «tiepłuszek», aby najmniejsze światełko nie zdradzało naszej obecności.

Wśród niezmierzonych, stepowych rozłogów, pod ołowianem, nisko nawisłem niebem, toczyły się w otwierającą się przed nami dal te pozornie martwe wagony, niby jakiś zjawiskowy pociąg-widmo... Tylko tłoki lokomotywy pracowały miarowo, choć z wysiłkiem, rzucając jedyny głos życia w tę pustkę i ciemność. Tem smutniejszy był cały obraz, że w tych ślepych wagonach polscy ziemianie i inteligenci wieźli swoje zwichnięte egzystencje, załamane życia i piekące jak rana wspomnienia krwawych zgonów. Nie spotykaliśmy innych pociągów. Mogliśmy kierować się wedle upodobania albo fantazji, nie obawiając się zderzenia, nie oczekując na sygnały. Raz jeden dojrzeliśmy zdala, na stacji w Chrystynówce, krótki pociąg, idący do Humania. Witaliśmy go z żywem zajęciem, podobnie jak parowiec na dalekich i pustych wodach radośnie salutuje zbliżający się dym.

Pewnej nocy pociąg stanął nagle w szczerem polu. Spaliśmy wszyscy czujnie. Zerwaliśmy się tedy na równe nogi, nasłuchując z niepokojem...

— Bolszewicy?!... Powstańcy?!

Zdala słychać było wrzawę i głośne nawoływania... Wtem ściany naszej «tiepłuszki» zadrżały od potężnych uderzeń:

— Wstawać!! Brak paliwa!! Kto chce dalej jechać — do lasu... po drzewo!!

Tylko tyle?! Odetchnęliśmy...

Wjechaliśmy już na spustoszone Podole. Pociąg zatrzymywał się na stacjach, szedł nieraz tak leniwie, że miało się wrażenie, iż brak mu tchu i nie powlecze się dalej. Pompowano wodę do lokomotywy, nabierano drzewa na opał, gdzie tylko się dało... a my wszyscy po karkołomnych drabinkach wychodziliśmy z naszych ruchomych ciemnic na światło dzienne. Nuda i niewygoda walczyły ze sobą o lepsze w tej niezwykłej podróży. Jedyną rozrywką było — wyprostować nogi, pogadać ze znajomymi, napełnić wodą imbryk, a wreszcie doprowadzić do porządku wygniecione i zbrukane ubrania i umyć się pod odkręconym kurkiem wprost na podwórku stacyjnem. Pod nogami lód... mroźna woda bryzgała na wszystkie strony, aż się dygotało przy tych zabiegach higienicznych na świeżem, grudniowem powietrzu, przenikającem do głębi. (Te ablucje wymagały zdjęcia przynajmniej wierzchniego okrycia). Hartowało się nieźle ciało, a i duch nabierał tężyzny.

Stacje sprawiały przesmutne wrażenie. Dawniej inne wrzało tu życie! Przesuwali się podróżni, jak odpływająca i powracająca znów fala, bufety dźwigały stosy półmisków, tragarze uwijali się z ochoczym pośpiechem. Za oknami dźwięczały bałagulskie dzwonki, migały wykwintne zaprzęgi, to znów trajkotały przejeżdżające chłopskie wozy. Ruch, gwar, wesołość, szczera niefrasobliwość urywkowych rozmów, niesłychana obfitość i taniość wszelkiego jadła i napojów — były wynikiem żyzności i bogactwa kresowych ziem, ciągnących się od Kijowa aż ku Morzu Czarnemu, jak jedna, falująca miejscami równina, kryjąca w sobie skarby bez miary.

Dziś na tych stacjach rozwielmożnił się tyfus plami-

sty i stały one milczące i odosobnione, niby domy umierających. Na podłodze leżeli pokotem nieszczęśni wędrowcy, dotknięci strasznym tym jadem. Jak zręczny rybak rozstawiał on szeroko swe sieci, był wszędzie: w miastach, po wsiach, wśród wojska, w tłumie... Mnożył się z zawrotną szybkością i gubił bez litości niebacznych. Całe południe Rosji jęczało pod tą przerażającą plagą.

Ze zgrozą i trwogą obchodziliśmy zdala te gniazda zarazy. — Postoje bywały tak długie, że miewaliśmy niejednokrotnie dość czasu, aby pójść po zakupy żywności do leżącego opodal miasteczka. Na rynku było tam wszystkiego wbród — ceny o wiele niższe od kijowskich. Ani luźne watahy petlurowców, ani system ssąco-tłoczący niemieckich okupantów, ani nawet rabunki czerwonych i białych armij, nie zdołały ogołocić docna tego Podola, płynącego, jak dawniej, mlekiem i miodem. Pomimo gorszej uprawy i zawieruchy wojennej, ziemia sypała dalej szczere złoto. Przytem były to pierwsze chwile wchłaniania przez warstwę chłopską bogactw, zrabowanych po dworach, i korzystania bez pracy ze starannie uprawnych i obsianych skarbowych łanów. Przekupki przy straganach i chłopi okoliczni chętnie gawędzili z nami: — A skąd wy? — Z Kijowa?! — A jak tam? Kto górą? Denikin czy bolszewicy? Bo to zwyczajnie, jak na wojnie! Raz, brat, ty pan — a za minutkę... bacz, już z konia się zwalił, albo w rozsypkę idziesz!! Perekołotytsia świt i bude znowu po staromu...

Znać było z ich słów, że tocząca się walka wewnętrzna jest im zupełnie obojętna. Bolszewicy nie dali się im jeszcze we znaki, «dobrowolcy» nie potrafili zgoła zaskarbić sympatyj, a przytem obie armje rabowały chłopstwo z jednakową chciwością.

Ci, tak niedawno jeszcze najgorsi wrogowie nasi, ża-

łowali nas teraz, że zmuszeni jesteśmy do wędrówki w świat, przed siebie, bo pojęli to już jasno, że ani my nie pójdziemy dobrowolnie pod bat bolszewików, ani też oni nie dadzą nam żyć spokojnie. Wogóle rewolucja podniosła z zadziwiającą szybkością umysłowy poziom wsi, wprowadzając w codzienny obieg pojęcia dotychczas nieznane. Chłopi politykowali, czytali gazety (analfabeci przysłuchiwali się uważnie), pragnąc wyłowić z odmętu wydarzeń fakta i teorje, dające im jak największe korzyści. — Przenieśli my na wojnie dużo męki, oj, dużo! — wzdychali przedemną. — Niejednego śmierć w ziemię-matkę wkopała... Niejednemu oczy na «sztyku» zawiesiła! A bywało, aż ciężko patrzeć, jak te młode parobczaki do «pryzywu» szły... Rosłe to, jak dąbczaki — chłopcy na schwał!! Ożenił się taki niedawno, żonkę w chacie rzucał... A tam, za rok, za dwa... wraca do domu bez rąk... bez nóg, albo ślepiec nieszczęsny przez te chytrości niemieckie! Ot, kawałek człowieka... Żonka wpuścić do izby nie chciała! Co jej po takim?! — A wy chowali się od wojny... za zielonemi stołami z piórem w ręku siedzieli! Najedli się my biedy po same gardło... Teraz wasza kolej!

Prawda, że Wielka Wojna zapuściła swe krwawe zagony po całej Europie, prawda, że tyle lat pasła się niezmordowanie «armatniem mięsem», ale my — wygnańcy kresowi — byliśmy ofiarami stokroć gorszej, stokroć okrutniejszej wojny klasowej, łamiącej twórczy dorobek całych pokoleń i nasze własne cele i prace!

. . . .

Zatrzymaliśmy się na kilka godzin w Wapniarce.

Lokomotywa, ciągnąc za sobą tender i jeden pusty wagon, pojechała w stronę lasów po drzewo. Miały tam stać

gdzieś sągi, złożone za dawnych jeszcze czasów. I tu na stacji panował tyfus plamisty. Część jadących została na straży w «tiepłuszkach», a my z Haneczką, w dość licznem towarzystwie, poszłyśmy do miasteczka dla odnowienia zapasów żywności. Na rynku stały tam, jeden przy drugim, stragany przekupek, z charakterystycznym, drewnianym daszkiem, broniącym od słoty rozłożone na ladzie wiktuały. Stanęłyśmy przy jednym z nich. Jakiś młody chłopak kończył właśnie ładowanie do kosza mięsa wieprzowego i połci słoniny, dźwignął go, i przechyliwszy się nieco dla utrzymania równowagi, odszedł powoli. Przekupka patrzyła za nim w ślad:

— Ot, czego dożyliśmy!! Jeszcze trzy dni temu kobieta była jak mur... a dziś już mąż sprawia jej pominki!... Złapała gdzieś tyfus plamisty, żar ją spalił... i już po kobiecie! A nie z biedy wcale. On — szewc, bogacz na całe miasteczko! Pięcioro dzieci zostało...

— Biedak! — rzekłam z prawdziwem współczuciem. — Pięcioro dzieci! Jakże on teraz da sobie radę z takim drobiazgiem?

Przekupka wzięła się jedną ręką pod bok, a drugą wywijała w powietrzu nożem, którym przed chwilą krajała mięso, i prawiła z nagłą zawziętością w głosie:

— To widać tak u paniw rozwodzą takie tam żale, jak żonka pomrze! A u nas — wzruszyła ramionami pogardliwie — nie zna-to pani chłopa?!... Jemu jest teraz tak, jakby on się w łokieć uderzył. Krepko boli, ale krótko, a potem przechodzi. Ożeni się z inną i ani znaku nie będzie. Byle wygodę swoją miał. To umarła córka matce i matka dzieciom... a jego żona żyje! Ho, ho, znam ja dobrze ich wszystkich!

Przejechaliśmy tak całe Podole, kierując się na południe, ku Odessie.

Nigdzie ani śladu żadnych formacyj bolszewickich lub powstańczych. Kraj prawdziwie bezpański, bo władze denikinowskie, zajęte przebiegiem walk na froncie, administracyjnie działały bardzo słabo. Rozpytując się szczegółowo, gdzie się tylko dało, towarzysze moi doszli do przekonania, że aż po Płoskirów i wyżej można jechać bezpiecznie i w ten sposób uniknąć kosztownej i długiej podróży przez Rumunję do Polski. Przeważająca część jadących była tego samego zdania. Postanowiono tedy dotrzeć do Birzuły, już w Chersońszczyźnie. Tu pociąg miał się podzielić na dwie połowy: jedna wyruszy ku Odessie, druga zawróci w stronę Wołoczysk i tam przebędzie granice Polski. Moja pozycja, stawała się nagle rozpaczliwą. Wypadałam ze swojej partji która razem z «tiepłuszką» skręcała na północ. Jak dojadę do Odessy? Gdzie znajdę przytułek w tych przepełnionych wagonach, zwłaszcza wobec tego, że jechali w nich nieznani mi ludzie, przeważnie Rosjanie?!

Na kilka stacyj przed Birzułą włączono do naszego pociągu wagon trzeciej klasy. Jechał w nim do Odessy jakiś dygnitarz denikinowski. Ktoś z moich towarzyszy namówił mię, abym spróbowała tam się umieścić. Na pierwszym przystanku wyskoczyłam z «tiepłuszki», lecz zaledwie doszłam do odróżniającego się już zdala wagonu, gdy pociąg nagle ruszył. Chwyciłam żelazne poręcze i wbiegłam po stopniach. Ktoś otworzył drzwi, i spojrzawszy ze zdziwieniem na natrętną podróżniczkę, wpuścił mnie do wnętrza. Wyszedł zaraz sekretarz:

— Wątpię bardzo, czy pani życzenie będzie wysłuchane. Pójdę jednak zapytać.

Wagon był czysty, z oszklonemi oknami i dawnym sy-

stemem ogrzewania rurami. Ciepło też w nim było i przemiło. Co za komfort! Jak to sobie ludzie dogadzają! W jednej połowie mieścili się urzędnicy i woźny (Rosjanie), drugą, za drewnianem przepierzeniem, zajmował dygnitarz z rodziną.

Sekretarz powrócił za chwilę:

— Mówiłem, nawet słyszeć o tem nie chce! Ale proszę najuprzejmiej, niech pani usiądzie i przeczeka do następnej stacji.

Pociąg toczył się ospale. Po obu stronach toru słały się nieobjęte okiem stepy Chersońszczyzny, bez jednego wzgórka, bez najmniejszej falistości gruntu. Ziemia tu mało wyzyskana i bujna ponad wszelką miarę w wilgotne lata sypała ziarnem tysiąckrotnie. Lecz gdy uparta posucha wyciągnęła z powierza najmniejszy atom wilgoci, gdy nad głowami jaśniało zuchwale pogodne wciąż niebo, bez jednej, pocieszającej chmurki, a rozjarzone, południowe słońce wysyłało swe promienie na pola nakształt pracowitych żeńców — ludzie nie mieli już do czego wyjść z kosą lub sierpem! Spalony step urągał wiosennym mozołom orki i siewu, i wracał do stanu pierwotnej dzikości. Dopiero w jesieni wkraczał nań pług i worywał się zwycięsko w twardy grzbiet czarnoziemu.

Przed naszemi oczyma przesuwały się te stepy, przykryte miejscami nawianym, zmarzniętym śniegiem, — miejscami czarne i beznadziejnie posępne, jak to wszystko, co się działo na Kresach i w Rosji, jak ten pociąg, złożony z bydlęcych wagonów, wiozący bezdomnych wędrowców... jak ta nasza dola tułacza, co w świat nas wlokła za sobą! Patrzyliśmy przez okna w milczeniu. Wreszcie sekretarz zapytał:

— Pani jedzie z Kijowa. Czy to prawda, że tam sytuacja taka ciężka?



Czerepaszyńce Fel. Zdziechowskich.



Antopol Karola Jaroszyńskiego.

Ze zbiorów arch. K. Iwanickiego.



Kacmazów Fel. Kosseckiego.

— Tak, widoczne już są niestety wszelkie oznaki bliskiej kapitulacji!

Sekretarz ze wzburzeniem przesunął ręką po czole:

— Front się cofa... armja potrzebuje na gwałt posiłków... Może te wszystkie wagony, wysłane na plac boju, uratowałyby sprawę, a tymczasem wy — rozjeżdżacie się w nich po całej Rosji! Niech się pani przyzna, ile łapówek daliście za każdy wagon, ile razy przepłacaliście mechaników i palaczy, prowadzących lokomotywy, ile wreszcie kosztowały «trudy» naczalstwa kolejowego w Kijowie, zanim ten pociąg, wykradziony palącym potrzebom kraju, zdołał tu dojść!

W milczeniu skinęłam głową. Tak przecież było istotnie.

— Trafnie zatem odgadłem. A ileż takich pociągów już wyszło z Kijowa!... Czyż my naprawdę skazani jesteśmy na zagładę? Czy ta gangrena przekupstwa i chęci łatwej «nażiwy» (wzbogacenia się) zabiła w nas wszystkie szlachetniejsze uczucia? Umieliśmy kiedyś spalić Moskwę, a dziś... Czy to prawda, że przejechawszy taki szmat drogi z Kijowa, zawracacie nagle z powrotem aż pod Wołoczyska? Podróżujecie sobie, jak rozbawieni globtrotterzy, a męczeńska Rosja, walcząc z wysiłkiem przeciw bolszewickiemu bezprawiu, napróżno woła o nadesłanie żołnierzy na front! «Brak wagonów» — brzmią urzędowe depesze. Co za beznadziejne położenie! Jak ciężko i gorzko w duszy!

— Nie uciekalibyśmy, gdybyście nas lepiej bronili. Pan nie chce pojąć, że nam, tak jak i wam, — zdruzgotano przeszłość. Z takiego rozbicia pragniemy przynajmniej unieść życie. Mamy swój własny kraj, do niego dążymy!

Pociąg zagwizdał przeciągle, dojeżdżając do nowej stacji. Pożegnałam się szybko z rozgoryczonym patrjotą i przebiegłam z powrotem do naszej zadymionej «tiepłuszki».

Około północy dowlekliśmy się wreszcie do Birzuły.

Mieliśmy tu stać kilka godzin. Było zatem dość czasu, aby wyszukać jakiś kącik w wagonach, idących do Odessy, i przerzucić tam swoje pakunki. Długo nas jeszcze włóczono przed stacją, odczepiając wagony i formując dwa pociągi, — wreszcie zatrzymaliśmy się na dobre. Wysunęłam się z «tiepłuszki». Noc była ciemna, jak nieprzebita wzrokiem, lekka a mroczna zasłona. Z okien budynku stacyjnego majaczyły mdłe światełka naftowych lampek. Dawniej biły tu rozrzutnie snopy promieni elektrycznych i gazowych — dziś ciężka masa gmachu, o jeden ton zaledwie ciemniejsza od spowijającej ją nocy, świeciła dwoma tylko ślepiami, niby jakiś potwór, czyhający na ofiary. I tu srożył się ślepy i bezmyślny kat — tyfus plamisty! — Ślizgając się po zmarzniętej ziemi i niedbale ułożonych deskach, szukałam długo wśród ciemności odeskiego pociągu, stojącego daleko poza stacją. Wyrósł wreszcie przedemną szereg zamkniętych «tiepłuszek», niemych i głuchych napozór. Pukałam do każdej kolejno: — Proszę was, pozwólcie mi dojechać z wami do Odessy. To już tak blisko! Jestem sama z małą dziewczynką... pakunków mamy niewiele...

Odsuwano niechętnie drzwi «tiepłuszek»:

— Tu przepełnienie... Może w następnym wagonie...

— Żałujemy niezmiernie... ludzie naładowani jak śledzie... udusić się można...

— U nas tyfus plamisty... Czy chce się pani zarazić? I owszem, prosimy...

Doszłam tak do końca pociągu. Dalej już było pole... i noc. Zmęczona, wyczerpana oparłam się plecami o ostatni wagon.

I co teraz począć?!... Chyba pójdziemy na stację z moją biedną dziewczynką, siądziemy tam na tobołkach wśród tyfusowych... i oczekiwać będziemy zmiłowania bożego, albo... śmierci...

Z trudem powróciłam do naszej «tiepłuszki»: — Muszę tu zostać! Nigdzie nie chcą nas przyjąć!

Moi towarzysze otoczyli mnie z okrzykami protestu i współczucia. Ludzie w takiej podróży zżywają się prędko! Doktor F. porwał futro na ramiona, nacisnął czapkę:

— Kto łaskaw, za mną! Pani musi pojechać... i pojedzie! Wiem, że w jednym z wagonów jedzie pani Sobańska. To niepodobna, żeby pani tam odmówiono! Bierzcie odrazu pakunki.

Pochwycił już mój kuferek i wyszedł pierwszy. Z oddali doleciał nas jego wzburzony głos:

— Czy ci ludzie kamień mają w piersiach zamiast serca?!

Obudziłam Haneczkę... i poszliśmy wszyscy gęsiego. Panowie klęli rewolucję, podróż, ciemności — «jak w czarnym łbie najczarniejszego murzyna» — i «szelmowską» drogę, na której ślizgali się co chwila... ale były to tylko objawy złego humoru z niewyspania, bo wszyscy byli naprawdę mężni i z hartem nieśli wygnańczy los. Trafiliśmy nareszcie do «tiepłuszki», w której się ulokowała pani Sobańska. Gospodarzem był tu bogaty żyd, kupiec odeski, który często i suto opłacał palaczy przy lokomotywie, byleby prędzej dojechać do celu.

Dość uprzejmie przyjął naszą zbiorową prośbę:

— Wszystkie miejsca zajęte, ale jeśli pani zadowoli się kącikiem na podłodze...

«Tiepłuszka» ta była stokroć zbytkowniej urządzona niż nasza, posiadała nawet owe rzadko spotykane pierwociny sleepingu, czyli «nary», tworzące zazdrości godne posłania. Ustawiłam nasze kuferki na podłodze, tuż koło drzwi. Z jednej strony, przez szpary, sączyły się strugi zimnego powietrza — z drugiej, rozpalony piecyk buchał żarem. Wdzięczna

jednak byłam niewypowiedzianie za możność dalszej podróży. Żegnaliśmy się z nieudaną serdecznością z moimi dotychczasowymi towarzyszami: — Do widzenia w Polsce! Szczęśliwej drogi! Bez przygód, bez przeszkód! — Te komunały nabierały w obecnych warunkach głębokiej i istotnej wartości. Zasunięto drzwi i rozlokowałyśmy się z Haneczką na naszych rzeczach.

Szarzało już na świecie. — Świt wstawał leniwy, zasępiony. Dzień się zapowiadał pochmurny, bez słońca. Siadłam obok drzwi i głowę przytuliłam do drewnianej ściany. Tak bezgranicznie zmęczyła mnie cała ta podróż, a wreszcie ta noc niespokojna i bezsenna, że, zaledwie przymknęłam oczy — wydało mi się, iż wpadam w przepaść. Usnęłam w jednej chwili. Z tej rozkoszy wypoczynku wyrwał mię głośny okrzyk:

— Ostrożnie! Tuż za wami na ścianie bomba! Gdyby upadła, ładna z nas wszystkich będzie marmelada! — Żołnierz denikinowski, jadący przygodnie w tej samej tiepłuszce, tak mnie ostrzegał strwożonym głosem.

Groza niebezpieczeństwa nie przeniknęła głębiej przez nagromadzone już oddawna pokłady fizycznych udręczeń i zupełnego wyczerpania sił. Odwróciłam obojętnie głowę:

— Tak?!... Powieście ją dalej!

Usnęłam znowu kamiennym snem. Gdy otworzyłam oczy, pociąg już przebiegł znaczną przestrzeń. Przez malutkie, oszklone górne okienka wpadało smutne światło dżdżystego grudniowego dnia. Na górnych narach siedziała pani Sobańska i nuciła jakieś smętne kołysanki. Obok niej w dwóch płaskich, owalnych koszach leżały na bieluchnych posłankach spowite bliźnięta. Przyszły one na tę prawdziwą dolinę łez, za bolszewickich rządów w Kijowie, po wyjeździe (za Petlury) ojca do Polski. Na sznurach, przeciągniętych wpoprzek wagonu, suszyły się świeżo wyprane pieluszki.

W Odessie stanęliśmy jeszcze tegoż dnia, o 5-tej popołudniu. Przestrzeń z Kijowa do Odessy, przebywana zwykle w ciągu jednej nocy, zajęła nam jedenaście dni.

. . . .

Rozległy i piękny dworzec w Odessie tonął w mroku. Oświetlały go tak nieliczne lampy, że pomiędzy jedną a drugą słały się niezgłębione ciemności. Wyszłam na peron i rozglądnęłam się, szukając tragarza.

Jakże trudno opisać smutek przedmiotów martwych!... Tem niemniej on istnieje, jest rzeczywisty, wyczuwalny! Te ściany wokoło zdawały się wołać do mnie: — I tu nie wyjdzie nikt, nikt, na twoje powitanie! Nie wstaną twoi najdrożsi, co leżą opodal w cmentarnej ciszy, pod ciężkim głazem marmuru. Przed tobą — walka. Za tobą — ruina i groby!

Wyszukałam z trudem dorożkę i kazałam się wieźć do Stankiewiczów.

Ciemności zalegały miasto, w dodatku mgła wisiała w powietrzu. Po chodnikach przemykały się zrzadka sylwetki przechodniów. Chwilami zabrzmiał okrzyk: «Hej tam! Ostrożnie! Uważaj!» To ludzie tak się nawoływali, idąc niepewnie w mroku. Tu i tam przebłyskiwały słabe, migotliwe światełka w ręku wytrawnych turystów, radzących sobie w ten średniowieczny sposób.

Oczom się wierzyć nie chciało! Gdzież ta dawna Odessa, gwarna i strojna, Palmira południa, pławiąca się w nocy w świetlanych potokach, płynących z białych kul elektrycznych, rozwieszonych wzdłuż ulic, z przebogatych wystaw sklepowych, z okien wszystkich kamienic?... Gdzież ta powódź jarzących się świateł i ten tłum kosmopolityczny, wałęsający się o zmierzchu próżniaczo po głównych arterjach

miasta?... Przejechałam całą prawie Odessę, kierując się na Książęcą. Dorożka stanęła przed nieoświetloną kamienicą. Znając doskonale miejscowość, poomacku znalazłam schody i drzwi. Cóż za żniwo dla złodziei! Zapukałam mocno. (W takich warunkach dzwonki elektryczne?!...).

Na progu ukazała się panna Józefa Stankiewiczówna z malutką lampką oliwną w ręku.

Na widok towarzyszki z lat dziecięcych jeszcze błysnął na chwilę dawny mój humor:

— Czy z modłów w katakumbach wracasz, cnotliwa Priscillo?

Zaśmiała się:

— Wszyscy teraz jesteśmy tak jaśnie oświeceni!

Objęłyśmy się mocno. Uściski mieszały się ze łzami.

— Czy wiesz już, że wzięli Kaliksta? Ślad po nim zaginął... Jadę do Polski ratować go, jeśli żyje...

Wybiegła z głębi mieszkania druga Stankiewiczówna, witając mnie z radością. W pokojach panował chłód przejmujący, albowiem w Odessie opału nie było wcale. Światełko oliwne knocika nie dochodziło nawet do mrocznych kątów, ale ożywcze prądy prawdziwej, niezmiennej przyjaźni łagodziły mój ból, jak delikatna pieszczota. Długo w noc snuły się, jak nieprzerwana wstęga żałoby, wzajemne opowieści o minionych dniach. Ileż oni tu przeszli! Wprawdzie czerwony terror nie szalał tu tak urzędowo, lecz niemniej czrezwyczajka kosiła zawzięcie życia ludzkie. I tu, dla przekonania tłumów o szkodliwości inteligentów i krwiożerczości burżujów, więziono tysiące... rozstrzeliwano setki. Złudny miraż władztwa proletarjatu wyrastał z krwawej mgły.

Stankiewiczówny, pozbawione, podobnie jak inni, za rządów bolszewickich kapitaliku, umieszczonego w banku, walczyły z grożącym im niedostatkiem, odnajmując część

swego mieszkania i dając obiady stołownikom. Jednym z lokatorów był sędzia pokoju, Władysław Śleszyński. Cichy i małomówny, z całą siłą skupionego umysłu, nie ujawniającego się zewnętrznie w pustych słowach, pisał płomienne odezwy, ostrzegając społeczeństwo przed systemem nowych budowniczych świata, niweczącym wedle niego wiekowy dorobek ludzkości.

«Terrorem i zniszczeniem przeoraliście stary świat. Użyźniliście go krwią niewinnych! Na gruzach i złomach wznieśliście świątynię czrezwyczajki i sami w niej zasiedliście, jako najwyżsi władcy krwiożerczego Sanhedrynu! Odjęliście ludzkości nadzieję, zabiliście podnietę do pracy, uśmierciliście radość indywidualnych wysiłków! I któż z wami idzie?!... Bóg, czy szatan?!...»

Rzucił wyzwanie sowieckim despotom jeszcze przed ich przyjściem do Odessy. Ruchliwa czrezwyczajka szybko się wywiedziała, kto jest autorem tych mocnych słów, i jak jastrząb spadła niespodzianie na Stankiewiczów. Przetrząśnięto gruntownie cały pokój, — broszur ani śladu. Nie chodziło tu jednak o papier, lecz o człowieka. Śleszyńskiego w mieszkaniu nie było.

— Dawajcie tu chaziajkę! — rozkazał komisarz.

Wprowadzono do pokoju starszą Stankiewiczównę. Nogi pod nią drżały, ale usiłowała być odważną.

— Mówcie prawdę, chaziajka! Nie skrywajcie niczego przed nami. Gdzie wasz kwartirant, ten pisatiel, reakcjoner?!... Nie wiecie?... Znaczy, ukrył się. Tak, czy nie?... Milczycie? Zapamiętajcie sobie, że jeżeli do 24-ch godzin nie będziemy go mieli — wy nam za niego odpowiadacie! Poniali?!

Odeszli, złorzecząc głośno nieobecnemu. Może to była groźba rzucona na wiatr, dla postrachu. Czekiści lubowali się w takich efektach.

Tymczasem Śleszyński w bezpiecznem ukryciu śmiał się w duchu z nieudałej obławy czekistów, których dojrzał zdala, wchodzących do podwórza. — Ktoś z przyjaciół przynosi mu wieść o groźnem ultimatum, zawieszonem nad głowami Stankiewiczów.

Więc ktoś niewinny może paść ofiarą zamiast niego?... Noc całą spędza na walce z tą myślą — jedyną towarzyszką w samotności. Przecież jest tylko lokatorem! Nie łączą go nawet uczucia przyjaźni z rodziną, u której przygodnie zamieszkał!... Z rana wychodzi ze swego ukrycia, idzie do czrezwyczajki, oddaje się dobrowolnie w ręce terrorystów. Wraz z partją zakładników odeskich wywożą go do Moskwy. Po kilku miesiącach niewoli i niedoli, wskutek umowy zawartej z Polską co do wymiany zakładników i jeńców cywilnych, przywożą go w dużej partji na linję graniczną. Za nią — kraj własny, rodzina, wolność! Lecz snadź pisanem już było w księdze wyroków, iż biedak jeszcze w Odessie wyciągnie z urny życia — czarny los! Zabrakło dlań — jak i dla wielu innych wówczas — komunistów rosyjskich do wymiany. Za mało wysłała ich Polska nad granicę sowiecką! Cofnięto go tedy z powrotem do Moskwy. Tam dopadł go tyfus plamisty i wycieńczonego głodem, znękanego beznadziejnością wyzwolenia — wykreślił szybko z liczby żyjących. Pochowano go we wspólnym dole, i ten wzniesiony nad nim kopiec, podobny zewnętrznie do tysiąca innych, stał się mogiłą cichego, nikomu nieznanego bohatera.

Niechże mu ta ziemia obca nie będzie wrogą! Niech go do snu wiecznego utuli tak lekko, jak ta rodzona, do której dojechać nie mógł!

A my wszyscy, którzyśmy go znali, rzućmy w myśli na ten daleki grób — błękitny kwiat wspomnienia i łzę żalu...



Czarnomin M. Czarnomskiego.



Sala balowa w Czarnominie.



Berszada Fr. Jurjewiczów.

W ODESSIE.

Grudzień.

Odessa zakwitła pod rządami denikinowców. Oddalenie od frontu i bliskość morza sprawiły, że handel podniósł się szybko z upadku, wywołanego Wielką Wojną i zamknięciem Dardanelów. Do portu zawitały cudzoziemskie parowce. Anglicy i Francuzi snuli się po mieście. Chodziły pogłoski, że Odessa będzie wolnem miastem — to znów, że przejdzie pod okupację angielską. Wogóle wróżono jej świetną przyszłość. W ciągu kilkumiesięcznego okresu, gdy gwiazda Denikina świeciła najsilniej, życie handlowe wrzało tu z siłą o wiele większą, niż nawet w przedwojennych czasach. Transakcje na nieruchomości zawierały się często, i to w wysokiej cenie. Powstawały coraz to nowe spółki i przedsiębiorstwa handlowe. Po sklepach pełno było towarów i delikatesów zamorskich. Pieniądz był tu niczem — przesuwał się lekko z rąk do rąk, przynosząc z dniem każdym większe korzyści. Wobec tego nagłego rozkwitu rażąco bił w oczy i wywoływał niepokojące refleksje zupełny brak opału, a wskutek tego i elektrycznego prądu. W wieczornej porze miasto zanurzało się w ciemności, ustawał prawie zupełnie ruch wszelki, i wyludnione ulice zamierały aż do świtu. To był rys znamienny tej epoki ciągłych przewrotów i kruchości coraz to nowych rządów. Bezleśne stepy otaczające Odessę i dawniej nie mogły dostarczać jej materjału opałowego, ale zaradzał temu świetnie zorganizowany transport kolejowy. Teraz zaś, gdy powodzenie wojenne stało się sprawą pierwszorzędnej wartości i chłonęło w siebie ogólne wysiłki, strona administracyjna przedstawiała się rozpaczliwie.

A przecież chciwość ludzka i z tego ciężkiego stanu rzeczy potrafiła wyciągnąć dla siebie olbrzymie i niespodzie-

wane korzyści. Przez protekcję albo zapomocą większych i mniejszych łapówek wysiedlano ludność z drewnianych domów pod pozorem, że grożą zawaleniem. Rozbierano je i sprzedawano stary budulcowy materjał na opał. Byli tacy, co na takich aferach dorobili się niemałej fortuny, a prócz tego zostały im jeszcze parcele, na których wznosiły się przedtem mieszkalne domy.

Poprzednie doświadczenia uczyniły mieszkańców Odessy nieufnymi. Śledzono bacznie każde posunięcie frontu (o ile z gazet dawało się coś wywnioskować), nasłuchiwano czujnie, czy szczęście wojenne nie sprzeniewierzy się «Dobrowolnej Armji». Z grona Polaków tu osiedlonych, ci, którzy uszli z rozpętanej bolszewickiej zawieruchy, żyli teraz jak na wulkanie, pomimo pozornego spokoju i powodzeń denikinowskiego oręża. W razie porażek na froncie i groźby powtórnego terroru, gotowi byli zostawić wszystko, co tu posiadali, i uciekać morzem i lądem do Polski.

Prawie cała inteligencja polska i rosyjska, której bolszewicy zrabowali złoto, srebro i papiery wartościowe po skrytkach i depozytach we wszystkich bankach odeskich, radziła sobie z trudnością wobec tak radykalnej zmiany dawnych warunków. Kataklizm społeczny zepchnął w otchłań biedy jedną warstwę ludności. Wyłoniła się natomiast druga — rewolucyjnych kruków, pasących się resztkami po zwyciężonych. Zubożała inteligencja i drobni rentjerzy, pozbawieni źródła swoich dochodów, sprzedawali co się tylko dało, wymieniali resztki dawnych zabytków i drogie pamiątki na kawałek chleba. Bliskość morza i spokój wewnętrzny sprzyjały rozwojowi tego handlu. Wiele cennych rzeczy wywieziono w ten sposób do Konstantynopola. Na rynku miejscowym najlepiej szły kieliszki i szklanki. Nie jest to bynajmniej

złośliwa krytyka denikinowskich rządów. Przytaczam tylko zabawny fakt.

Jeszcze na początku grudnia 1919 roku życie w Odessie biło przyśpieszonem tętnem. Ukrywano starannie niepowodzenia na froncie. Gazety nie śpieszyły wcale z cytowaniem miejscowości, oddawanych znienawidzonym wrogom przez zwycięskie dotąd «zbrojne siły południowej Rosji». W tak znacznem oddaleniu od frontu wierzyć się wprost nie chciało, że ten obumarły, codziennie ostrzeliwany Kijów — paść może lada dzień!

. . . .

Zajęcia w Odessie miałam dość. Przedewszystkiem musiałam wyrobić sobie jakiś dowód osobisty. W dniu aresztowania Kaliksta, przy rewizji w naszem mieszkaniu, zabrano mi absolutnie wszystkie dokumenty, nawet tak nieszkodliwe, jak akt ślubny, i stałam się nagle wskutek tego jakiemś podejrzanem indywiduum, bez przeszłości. Uzyskałam jednak z łatwością odpowiednie papiery w konsulacie polskim. Następnie stwierdziłam z uczuciem niemiłego zawodu, że bolszewicy w stosowaniu «Kodeksu praw o nacjonalizacji wszelakiego dobra burżujów», nie uznają żadnych wyjątków, bo i mój depozyt w Banku Wzajemnego Kredytu został przez nich «upaństwowiony». Dostałam tylko, gwoli sprawiedliwości i na wieczną rzeczy pamiątkę, kwit od zarządu, stwierdzający, że byłam istotnie posiadaczką cennych papierów.

Miałam jeszcze obszerne place budowlane za miastem. Lecz wskutek upartych wysiłków ratowania Kaliksta przez Czerwony Krzyż kijowski spóźniłam się z przyjazdem do Odessy o dobry miesiąc. Chociaż w sferach handlowych nie wierzono jeszcze w możliwość powrotu bolszewickich rządów, przebiegli aferzyści odescy grali już na zniżkę wobec załama-

nia się frontu. Moje place chciano kupić, lecz dawano mi za nie zaledwie czwartą część rzeczywistej wartości. Prócz tego wybieraliśmy się wszyscy do Polski — znowu «tiepłuszkowym» pociągiem. Przy napadzie pierwszej lepszej bandy (czego się stale obawiano) mogłam być obrabowaną doszczętnie. Czy miałam prawo marnować i lekkomyślnie narażać na takie niebezpieczeństwo odziedziczoną własność? Zresztą — własnem jest istotnie tylko to, co się zdobyło własną pracą, własną przedsiębiorczością. Dziedzictwo, prócz praw, nakłada jeszcze obowiązki, i to w znaczniejszej daleko mierze. Jeśli przytaczam tu moje wahania pod tym względem, to czynię to tylko dlatego, że podobne poglądy spotykałam u wielu Kresowców. Tem tłumaczy się fakt, że ludzie nawet bardzo zamożni i mogący zlikwidować swoją fortunę przyjechali do Polski bez grosza prawie.

Konferencja z mecenasem Juljanem Mroczkowskim, przyjacielem naszej rodziny, niewiele mi pomogła.

— Nie wiem doprawdy, co mam pani doradzać — przyznał mi się otwarcie. — Zaproponowano mi w delikatny sposób «procent» od sprzedaży placów pani, czyli, jasno mówiąc — łapówkę! Wyrzuciłem pośrednika za drzwi. A teraz, zgadnij bracie, kto cię bije! Czy my jesteśmy głupi, że chcemy sprzedać, czy oni są mądrzy, że dobijają się tak gwałtownie tej transakcji?! Coś w tem jest! A zresztą, któż potrafi przewidzieć, czy przyjdą tu bolszewicy i czy się wogóle utrzymają. Niech pani słucha własnego instynktu.

Zdecydowałam się wreszcie na sprzedaż tylko niewielkiej parceli, za którą ofiarowano mi po długich targach pięćset tysięcy znaków pieniężnych. Inaczej tego określić nie mogę, albowiem nie dostałam już dawnych rubli, przedstawiających w owej chwili jedyną realną wartość w ogólnem

pojęciu, ale błękitno-żółte karbowańce, zwane, niewiadomo dlaczego, «łopatkami».

Wśród tych przeróżnych zajęć zeszło mi parę tygodni. Pogłoski o porażce «Dobrowolnej Armji» coraz uparciej poczęły krążyć po mieście. Czujna giełda zareagowała na to natychmiast gwałtowną *haussé'ą* obcych walut. Pierwsze objawy paniki dawały się już odczuwać w powietrzu. Co parę dni wychodziły z Odessy długie pociągi (naturalnie złożone z «tiepłuszek»), wywożąc inteligencję polską i rosyjską w stronę Rumunji i Wołoczysk. Wyjechały Stankiewiczówny, a my zostałyśmy w ich mieszkaniu do chwili zakończenia moich interesów.

Wieczór wigilijny przeszedł nam smutno. Mróz chodził po ścianach nieopalanych pokoi. Żółtawy, wydłużony płomyczek oliwnej lampki potęgował posępny nastrój. Cienie czaiły się po kątach. Haneczka postawiła na stole jakąś jedną potrawę... Lecąc tęskną myślą do Moskwy, wpatrywałam się w nikłe światełko, błyszczące przedemną: oto obraz naszego teraźniejszego życia... jakże inny, jak niepodobny do dawniejszego! Lecz nie jesteśmy osamotnione w tem pustem mieszkaniu!...

W ów wieczór wigilijny, jedyny w życiu narodów, gdy, wedle podań ludowych śniegi zakwitają różowo od promieni wędrownej gwiazdy a głosy anielskie zsyłają «Pokój ludziom dobrej woli», wolno i duchom zmarłych spłynąć z nieziemskich roztoczy i unosić się, jak białe mgławice, nad gniazdem rodzinnem... wolno im zbliżyć się niepostrzeżenie do tych, co tu zostali na ziemi...

— O czem tak myślisz, mamusiu? — zabrzmiał niespokojnie głosik Haneczki. Uśmiechnęłam się do niej z wysiłkiem:

— Usiądź tu przy mnie, córeczko, opowiem ci cudną bajkę Dickensa o wigilji Bożego Narodzenia.

. . . .

Po załatwieniu najpilniejszych spraw odwiedziłam moich dawnych i dobrych znajomych. Witaliśmy się wszyscy z odcieniem radosnego podziwu, niby rozbitki z zatopionego okrętu: — Żyjecie?!... Dzięki Bogu!

Niektórzy z nich przeszli przez piekło, czyli męczyli się w czrezwyczajce dłużej lub krócej. Inni znów uciekli wówczas z własnego mieszkania i ukrywali się na przedmieściach pod przybranem nazwiskiem, drżąc z obawy, że lada chwila może się to wydać, a wtedy życiem odpowiedzą za tak zuchwały podstęp.

Zastawałam wszędzie zupełnie zmienione warunki egzystencji. Skala komfortu życiowego obniżyła się do minimum. Tragizm sytuacji graniczył niekiedy z komizmem.

Raz, kiedyś, pani N-cka, mieszkająca w tej samej kamienicy, co i my, zaprosiła nas na podwieczorek.

— Jakże pani smakuje herbata, ugotowana na Bourget'cie? Czy się różni w smaku od zwyczajnej? — spytała mnie, śmiejąc się.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem: — Co to znaczy?

— To znaczy, że w braku opału i pieniędzy korzystam z mojej ślicznej bibljoteki i wybieram codziennie jakąś książkę, jako ofiarę całopalenia. Okładki są solidne... świetnie się palą. Poszedł już Sienkiewicz, teraz kolej na Bourget'a.

— Jabym wolała meble rąbać! — rzekłam otwarcie.

— Proszę mi nie robić zarzutu jednostronności! Idą i meble. Trzy ostatnie obiady ugotowałyśmy na starym fotelu.

— Nie pojmuję doprawdy... Przecież rodzina pani była tak zamożna...

— Mój mąż umarł... Kapitały miałam ulokowane w papierach procentowych i w akcjach, a te bolszewicy zabrali mi z banku. Zresztą, nie wiem, czy przedstawiałyby one teraz dawniejszą wartość. Zostało mi jeszcze nieco gotówki. Gdy i to się wyczerpie — zacznę chyba meble sprzedawać! Podobno fortepiany chętnie kupują do Konstantynopola. Żal mi tylko mojej dziewczynki... Jakże ponuro przedstawia mi się jej przyszłość...

. . . .

Wyjechałam z Odessy niespodzianie i daleko prędzej niż zamierzałam. Nakłonił mię do tego pan Mroczkowski:

— Za parę dni ma odejść do Galaczu parowiec francuski «Warna». Już się wypytałem dokładnie i wiem, że to jeden z większych statków transportowych, a przytem w zupełnie dobrym stanie. Jadą nim Berezowscy, Kulikowscy, Kossakowscy, Auderscy — wszyscy znajomi pani i życzliwi. Radzę szczerze skorzystać z tak wyjątkowych okoliczności.

Zawahałam się chwilę:

— A pieniądze za sprzedaną parcelę? Przecież wzięłam tylko 120.000 karbowańców zadatku.

— Przyślę je pani natychmiast po otrzymaniu. Będą jechali inni, a zresztą znajdę zawsze jakiś sposób doręczenia ich pani. Proszę pamiętać, że porażka «Dobrowolnej Armji» jest już tajemnicą publiczną... Przebąkują, że Kijów upadł. Obawiam się lada chwila powstania miejscowych bolszewików... Może się wytworzyć panika... Ludzie będą płacili góry złota za byle kącik na statku lub w pociągu, i jak sobie pani wtedy da radę?!

Uznałam słuszność tego rozumowania i postanowiłam jechać do Polski z tym minimalnym zapasem pieniędzy, który w owej chwili mogłam wywieźć z kraju. Wobec ogólnego zamętu walutowego, jaki przeżywała wówczas Europa, i po-

wojennego spadku wartości papierowych znaków pieniężnych, nikt z wyjeżdżających do Polski nie mógł zdać sobie jasno sprawy, jakiego rodzaju pieniądz rosyjski będzie miał popyt na rynku warszawskim. Kupowano tedy zarówno cesarskie ruble (500 karbowańców za setkę), jak «dumki» Kiereńskiego (150—200 karbowańców za sto). Niektórzy twierdzili, że raczej klejnoty i futra dadzą się najzyskowniej spieniężyć w Polsce, i w tej postaci wieźli resztki swego mienia. Waluta obcokrajowa była dla nas niedostępna — płacono bowiem za jeden frank francuski 75 ukrainek.

Ponieważ dzień odjazdu «Warny» był już oznaczony, więc, nie tracąc ani chwili czasu, poszłam kupić bilety. Za przejazd do Galaczu pod pokładem zapłaciłam 15 franków za siebie, a 5 fr. za Haneczkę. Przy sprzedawaniu biletów ostrzeżono mnie, że kapitan wymaga od podróżnych, jadących na «Warnie», wizy konsulatu francuskiego i świadectwa odwszenia i ochronnego szczepienia ospy, tyfusu i cholery. Parowiec miał odejść pojutrze o drugiej po południu.

Oddział Czerwonego Krzyża przy ulicy Gulewej walczył z zakaźnemi chorobami, przeprowadzając bezpłatnie szczepienia ochronne. Tam jednak jakiś felczer w białym fartuchu, posłyszawszy, o co mi chodzi, zaprotestował odrazu:

— Daruje pani... Nie mogę szczepić tego wszystkiego naraz! A przytem muszą być przerwy pomiędzy szczepieniami, aby mogły dać dobry rezultat.

Widziałam, że się wykręca, więc nalegałam dalej:

— Muszę jechać pojutrze. Mam już bilety... Trudna rada, proszę szczepić mi tyfus!

Niechętnie zabrał się do roboty i ukłuł mię w plecy tak grubą igłą, że syknęłam z bólu.

— Nie mam nawet szczepionki cholery — rzekł kwaśno.

Zapowiedziałam swoje przyjście na dzień następny, ale

już na ulicy błysnęła mi nagle myśl: trzeba było dać mu jakąś «ofiarę» na nieistniejące chore dzieci lub coś podobnego! Najwidoczniej liczył na to. Miałabym już świadectwo w kieszeni... Ale ten błąd taktyczny da się jutro naprawić.

Przez Plac Katedralny szłam przyśpieszonym krokiem, dążąc do konsulatu francuskiego, który się mieścił przy Derybasowskiej. Już zdaleka widniał długi szereg osób, stojących w kolejce przed drzwiami, na ulicy. Kolejka ta pięła się po schodach na pierwsze piętro aż do okienka w przedpokoju, przez które podawano paszporty urzędnikom konsularnym.

Jednym rzutem oka ogarnęłam sytuację. Niema mowy o lojalnem dostaniu wizy. Musiałabym chyba nocować na ulicy. Wbiegłam po schodach na górę, mijając szereg tłoczących się ludzi. Sypnęły się za mną protesty:

— Tak nie wolno! Stanąć w kolejce! I my czekamy od świtu!

— Prywatny interes do konsula! — odrzuciłam, i już byłam w apartamentach konsulatu. Tu wydarłam kartkę z notesu, napisałam na niej swoje nazwisko i parę słów... podałam woźnemu: — Proszę wręczyć konsulowi.

Za chwilę woźny otwierał mi drzwi: — *Monsieur le coneul vous attend, madame.*

Weszłam do dużego, jasnego pokoju, gdzie przy biurku i na kanapce siedziało kilku Francuzów w mundurach suto haftowanych złotem. Zobaczywszy mnie, wstali wszyscy. Zatrzymałam się przed nimi:

— Panowie! Widzicie przed sobą nieszczęśliwą żonę, która jedzie do Polski ratować męża z bolszewickiej niewoli, o ile wogóle ten mąż jeszcze żyje!

Moja wynędzniała twarz przemawiała lepiej, niż słowa.

Skłonili mi się z szacunkiem: — *Madame, nous sommes à vos ordres*

Jakaś niesłychana rycerskość powiała ku mnie z tego ukłonu. Przez jedno mgnienie oka miałam wrażenie, że ktoś niewidzialny w tym pokoju musnął pióropuszem lśniącą posadzkę i szepnął: *Chapeau bas devant les malheureux!*

— Darujcie mi, panowie, że czas wam zabieram, ale jadę na «Warnie» pojutrze. Nie doczekałabym się napewno wizy w tej olbrzymiej kolejce. Proszę więc o nią choć w tak podstępny sposób.

Konsul wziął z moich rąk dokument, wydany mi przez nasze przedstawicielstwo, i podał go sekretarzowi, mówiąc: *L'affaire de madame avant toutes les autres.*

Poszliśmy z nim do następnego pokoju, w którym przyjmowano paszporty. Czekający w kolejce dojrzeli mnie przez okno i niechętne szemrania doszły mych uszu:

— Cóż to za protekcja?! Skądże takie przywileje?!

Milczałam, nie zwracając pozornie uwagi na te słowa.

Ach, tak!... Nie mylicie się, wy wszyscy, którzy zazdrościcie mi losu! Mam ja przywilej... i to największy w świecie, bo przywilej — nieszczęścia!... Z gotowem już zaświadczeniem wróciłam do pierwszego salonu, aby podziękować tym panom za okazaną mi niezwykłą uprzejmość. Konsul przysunął mi krzesło:

— *Veuillez vous reposer un instant, madame.*

Zaczęliśmy rozmawiać o stosunkach rosyjskich. Bolszewickie rządy i działalność czrezwyczajki ogromnie interesowały Francuzów. Czyny tej ostatniej oceniali wprost jako objawy patologiczne.

— *Quel pays de barbares!* Nie wiedzą sami czego chcą! Cara nie bronili... Niemcy im źli — przeciwko bolszewikom

buntują się... Denikina zdradzają! *Mais enfin, voyons, quel genre de gouvernement veut-il ce peuple là?!*

. . . .

W jesieni i w zimowych miesiącach na Morzu Czarnem bywają częste i groźne burze. Zdarzają się nieraz wypadki rozbicia lub uszkodzenia statków, a w owym czasie pływające miny, niewyłowione jeszcze w zupełności po Wielkiej Wojnie, zwiększały niebezpieczeństwo czekającej nas podróży. Ze względu na to postanowiłam napisać testament i zostawić go u pana Mroczkowskiego.

Wszystko, co posiadałam, zapisywałam memu mężowi — on zna moje zamiary i cele i kiedyś dalej się tem rozporządzi. W razie, jeśli nie żyje — oddawałam moje mienie w ręce kuzyna i przyjaciela, Augusta Iwańskiego. Ten miał to podzielić na dwie części: połowa dla Haneczki (jeśli dojedzie szczęśliwie do Polski), reszta zaś, po zlikwidowaniu, na fachową szkołę polską w Warszawie, imienia moich rodziców, z prawem pierwszeństwa dla Kresowców. Jeszcze kilka drobnych legatów i kilka słów do Kaliksta: — Do ostatniej chwili żyłam myślą o Tobie; — parę słów do Haneczki... Wsunęłam to wszystko do koperty i oddałam p. Mroczkowskiemu.

W dzień odjazdu, z rana, ostatnia komunja i msza św. w odeskim kościele, gdzie tyle razy chodziłam z rodzicami, jako mała dziewczynka, — i już byłam gotowa do życia i do śmierci!

DO GALACZU W BURZĘ.

Dnia 22-go grudnia, o 2-giej po południu, «Warna» miała odpłynąć z Odessy.

Licho odżywiana dorożkarska szkapa biegła leniwym

truchcikiem wzdłuż szerokiej, nadbrzeżnej ulicy. Port był przepełniony cudzoziemskiemi i rosyjskiemi parowcami. Mijaliśmy w przejeździe cały szereg czarnych, potężnych kadłubów, wysoko sterczących nad wodą. Dość było rzucić okiem na ten las kominów, aby pojąć odrazu, że źródło życia i rozkwitu Odessy jest nie tam, w górnem mieście, lecz tu — wśród tych różnojęzycznych olbrzymów.

Dzień był posępny, morze burzliwe, a niebo kryło jakąś groźną zapowiedź niebezpieczeństwa pod zwałem szarych, skłębionych chmur. Wiatr smagał powierzchnię wody, która nawet w obrębie portu przelewała się z miejsca na miejsce krótkiemi, zwinnemi falami. Dalej zaś cała przestrzeń morska, jak okiem sięgnąć, pokryła się grzywami białych, niepokojących «baranków».

Musieliśmy objeżdżać cały port dookoła, bo «Warna» stała na kotwicy przy końcu, gotując się do odjazdu. Z molo na pokład statku przerzucono pochyły pokład z desek. Weszłam po nim na «Warnę». Jakaś pani, w ciężkiej żałobie, zapatrzona w morze, odwróciła się nagle, słysząc kroki za sobą...

— Horwattowa!... Mąż, zakładnik w Moskwie... Czyżby to on?... — pomyślałam z przerażeniem.

Wydała okrzyk zdziwienia, podchodząc żywo ku mnie:

— I pani tu?! Co za miłe spotkanie! Pojedziemy razem do Polski. Może przynajmniej męża wyrwę z niewoli!... Czy pani to widzi?... — uniosła nieco ręką krepowy welon i trzymała go w powietrzu. — Mój synuś... mój maleńki... Pamięta go pani w Kijowie, przed miesiącem? Prawda, jaki był śliczny... jaki mądry? Już go niema... Szkarlatyna... Został w Odessie... na cmentarzu!...

Położyła mi głowę na ramieniu i szlochała rozpacznie. Objęłam ją z uczuciem bezradności wobec takiego ciosu... Ja-

cyż my wszyscy nieszczęśliwi! Ocieramy się wprost o śmierć! Co chwila nowe tragedje, nowe ofiary...

Spojrzałam poza siebie. Tam, na molo, stała przy naszych pakunkach Haneczka w bronzowem futerku i białym, puszystym kołnierzu. Wywożę ją całą i zdrową z tego piekła... Są nieszczęśliwsi...

— Czy pani jedzie w kajucie? — spytała pani Horwattowa, ocierając oczy.

— Niestety, pod pokładem.

— Ja również. Jest jeszcze jedno wolne miejsce obok mnie. Chodźmy, zaprowadzę panią.

«Warna» przedstawiała się okazale. Ponieważ był to w rzeczywistości parowiec transportowy, więc posiadał tylko jedną niewielką salkę pierwszej klasy, a wokoło niej kilka kajut. Zajmowało to wraz z maszynerją środek statku, a z prawej strony mieścili się jadący pod pokładem. Przejazd do Galaczu w kajucie kosztował 75—100 franków od osoby, co, po przewalutowaniu na karbowańce, było sumą dość poważną, nawet na owe czasy.

Witałam się po drodze ze znajomymi.

— Sygnalizują zbliżającą się burzę. Co pani na to? — zapytał mię pan Konrad Berezowski.

— Ja?... Jadę! A pan?

— Ja również. Lepsze to, niż czrezwyczajka!

Zeszłyśmy do olbrzymiej, podpokładowej sali, zajmującej całą szerokość «Warny» i zwężającej się ku przodowi statku. Przecinały ją w wielu miejscach potężne, stalowe wiązadła szkieletu. Deski pokładu tworzyły tu sufit, przygniatający swą bliskością. Dwie ogromne żarówki rzucały światło, zbliska oślepiające, lecz nie docierające do mrocznych krańców tego, imponującego wielkością, składu na towary. Był to bowiem tak zwany w języku marynarskim

«trium» przewozowy. Dziś rozlokowali się tu całemi rodzinami — uchodźcy. Góry pakunków, łóżka przemyślnie urządzane z kufrów, kołyski dziecięce, zapasy żywności, maszynki naftowe, porozstawiane na podłodze, przy każdej prawie rodzinie, mocno utrudniały przejście. Zimno było przejmujące, specjalne zimno stalowych i żelaznych wnętrzy. (Nie mogło tu być, naturalnie, żadnej instalacji ogrzewającej).

Zajęłam miejsce obok pani Horwattowej, wprost na podłodze. Z drugiej strony dojrzałam siedzących na kuferkach panią Sobocką i pana Kossakowskiego. Pożartowaliśmy chwilę na temat uroku takiej podróży.

Zeszłam na molo po rzeczy. Tam już pan W. targował się uparcie z tragarzami portowymi, którzy go obstąpili wokoło:

— Zaniesiemy to w mig! 1.500 «łopatek» na czaj! Czy zgoda?!

— Sumienia nie macie! To żart chyba! Tyleż kosztuje nas przejazd do Galaczu!

— Aha! Znaczy jedziecie w «triumie»... Nu, ładno! Kol' tak... niech już będzie tysiączka! Bierzcie, rebjata! — komenderował starszy, rzucając szybko moje walizki w stronę tragarzy. Tamci łapali je w powietrzu, jak piłki. Tym ludziom, przyzwyczajonym do nieustannego ładowania ciężkich worów i pak, musiało się to wydawać dziecięcą igraszką.

Syrena ryknęła przeciągle trzy razy. Odjazd. Zrzucono pomost na molo. Żelazny łańcuch z kotwicą runął z brzękiem na pokład. Poruszyły się gdzieś w głębi pracowite motory... woda odpowiedziała im szumnym wybuchem piany — i «Warna» powoli odpływać zaczęła.

Staliśmy wszyscy na pokładzie. Z brzegu powiewano ku nam chustkami, które wiatr targał gniewnie na wszystkie strony, jakgdyby chciał unieść w przestrzeń te objawy

przelotnego żalu. Przed nami amfiteatralnie wznosiła się Odessa. Na lewym jej krańcu bielały porozrzucane wille i pałacyki Małego i Średniego Fontanu, letnie siedziby miejscowych bogaczy, urządzone wytwornie wśród malowniczych ogrodów.

Ostatnią, pożegnalną myślą wróciłam na cmentarz. Lepiej wam tam... lepiej w tej martwej ciszy i wiecznym spokoju, niż mnie tu, w odmętach niepewnych losów! — Mgła wzruszenia przyćmiewała nam wzrok...

Co nas czeka w tej dalekiej Polsce?... Trzeba życie zaczynać na nowo... od początku! Czy zapracujemy przynajmniej na kawałek chleba?! Każdy z nas mógł parafrazować — ach, z jakąż bolesną prawdą — nieśmiertelne słowa Childe-Harolda:

Mam czego płakać! Za czem i po czem,
Chociaż nikt po mnie nie płacze!

«Warna» płynęła majestatycznie po lekko kołyszących się wodach portu, zdążając do wyjścia na pełne morze. Na przeciwległym brzegu zamajaczyły w oddali drzewa i budynki. To Lasek, Dofinka, Czabanka, Gregorjówka — Małachowskich.

Gdzież jesteście, przyjaciele moi?!... Puste i zamarłe gniazda wasze... a wy sami tułacie się po świecie, wygnańcy, jak i my!

Minęliśmy latarnię morską i odrazu uczuliśmy siłę rozigranych, wodnych rozchwiei... Pierwsza fala pełnego morza otarła się gniewnie o bok «Warny», przechylając ją w przeciwną stronę, — tuż zaraz druga zwaliła się na nią, grożąc spienioną grzywą, i rozprysnęła się nad pokładem jak drobny, rzęsisty deszcz. Parowiec kołysał się z boku na bok. Uciekliśmy pod pokład i do kajut. Pod wieczór wiatr się wzmógł... Zmienił się w szalejący huragan i noc całą niósł nas naoślep po rozhukanem morzu. Straciliśmy właściwy

kierunek. Burza gnała «Warnę» daleko od brzegów, aż w głąb Czarnego Morza, gdzie nam groziło co chwila niebezpieczeństwo wylecenia w powietrze wskutek niewyłowionych jeszcze min. Wicher tańczył dokoła statku i rył pod nim mogiłę, wygartując z głębin coraz to nowe góry wodne. W te rozpętane igrzyska zmagających się z sobą żywiołów wdzierał się co chwila przenikliwy głos syreny okrętowej, jakgdyby wołający uparcie, choć napróżno: «Ratunku!... Ratunku!...»

Około dziesiątej z rana następnego dnia wpłynęliśmy w ujście Dunaju, i nagle, z kinematograficzną szybkością, zmieniło się wszystko dokoła. Przewalające się fale Czarnego Morza zostały za nami... «Warna» płynęła lekko i bez wstrząśnień po spokojnej powierzchni rzeki. W parę godzin później nastroje skołatanych podróżnych znacznie się poprawiły. Poszłyśmy z Haneczką na górę, do kajut, aby się dowiedzieć, jak noc tę przebyli moi przyjaciele odescy. Prawie wszyscy byli zgromadzeni w niewielkiej salce pierwszej klasy i nas tam zatrzymali. Po przenikliwem zimnie i dusznej atmosferze pod pokładem ta ogrzana, jasna salka wydała się nam tem milszą. Niebezpieczeństwo, gdy minie, zostawia po sobie przyjemne wspomnienie walki, z której się wyszło zwycięsko. Toteż i teraz nocny atak wichru i fal i męczące objawy choroby morskiej straciły cały swój tragizm i wywoływały tylko wesołe żarty. Wtem otworzyły się pchnięte gwałtownie drzwi, i do salki wpadł Konrad Berezowski. Zatrzymał się zaraz na progu, dysząc ciężko. Twarz miał rozpaloną i wyraz oczu nieprzytomny. Rzucił kilka urywanych, bezładnych słów... Za nim wybiegła przerażona żona, usiłując napróżno wciągnąć go z powrotem do kajuty. Porwaliśmy się z miejsc wylęknieni:

— Co się stało?!

— Całą noc tak się rzucał i bredził w malignie — mówiła, z trudem panując nad wzruszeniem, — obawiam się, czy to nie tyfus plamisty... W Odessie na każdym kroku można się było z nim spotkać.

Przyjaciele zorganizowali natychmiast dyżury przy biedaku, a my wszyscy wartowaliśmy kolejno w salce. Gdyby kapitan albo ktoś ze służby okrętowej spostrzegł te objawy poważnej choroby... nie minęłaby nas kwarantanna! Stopniałyby wówczas szybko nasze skromne kapitały!

Wieczór sylwestrowy spędziliśmy na «Warnie», stojąc na kotwicy już przed Galaczem. Nie mogło nam być wesoło, szczególniej wobec tak ciężkiego stanu jednego z grona dawnych i dobrych znajomych. Ale że nadzieja nie opuszcza nigdy ludzkości — niby owa zaklęta ptaszyna w czarodziejskiej bajce, lecąca uparcie śladami stóp uciekającej królewny, — więc i my wznosiliśmy toasty na cześć nowego, 1920 roku, gorącą czekoladą i herbatą!

Następnego dnia władze rumuńskie, nie podejrzywając nawet, że mamy wśród siebie poważnie chorego, pozwoliły nam opuścić «Warnę». Koledzy wzięli pod ręce z dwóch stron pana Berezowskiego i w ten sposób poprowadzili go do miasta. Na szczęście miał chwilę przytomności, tylko tak był osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach o własnej mocy. Zostawiliśmy go z żoną w Jassach, i tu w ciągu kilku tygodni walczył z tyfusem plamistym, który przechodził w niezwykle ostrej formie. Pokonał jednak wreszcie grożącą mu śmierć, i po przerwanej z musu podróży przyjechał również do Warszawy,

Przez Jassy, Czerniowce i Niepołukowce, opłacając wszędzie przejazd, jak zwykli podróżni, dotarliśmy do Śniatyna.

Polska!...

Oddychasz wolną piersią, Ziemio nasza! Trzy wrogie

potęgi, które cię skrępowały więzami niewoli — runęły w otchłań przeszłości!...

Wielka Wojna rzuciła tobie szczodrobliwie Niepodległość, nam — Rewolucję!...

Z jakąż gotowością służyłyby ci teraz Kresy! Lecz w męce zagłady leżą, niby żołnierz powalony nienawistnie przez żądnego krwi przeciwnika, niezdatny do boju!... Jeżeli i tej ofiary trzeba ci było dla odzyskania pogrzebanej świetności — weź ją z rąk naszych, miła Ojczyzno!!

Z radosnem sercem, z gorącem pragnieniem chwały i siły dla tej młodej, odradzającej się Rzeczypospolitej, jechaliśmy pośpiesznie przez Lwów i Kraków do stołecznej już teraz Warszawy.

WŚRÓD SWOICH W POLSCE.

Ruch na ulicach Warszawy i pełnia życia, tętniącego tu z jakąś niepohamowaną mocą, oszołomiła nas na wstępie. W ciągu trzech lat ubiegłych żyliśmy stale wśród przewrotów, groźniejszych jedne od drugich, lub też jakiemś ćwierć-życiem... ukradkiem... oczekując co chwila z trwogą, kiedy runą niepewne podstawy względnego spokoju. Toteż gwałtowny przeskok z mroków do światła był wstrząsający! Życie w Polsce, przytłumione tylko przez wielką wojnę, lecz nie stargane u podstaw, jak nasze, odradzało się teraz z szalonym pośpiechem, pragnąc wynagrodzić stracone lata. Z podziwem patrzyłam na strojne panie, uwijające się po chodnikach w krótkich, spętanych spódniczkach, w bucikach o łokciowych obcasach. Co za kapelusze!... I poco tyle przesady? Czyż nie wystarczy skromna suknia, byle czysta i cała?!... Wobec tych strojniś, niby wyciętych z żurnalu,

miałam zapewne poglądy dzikusa! Wina to, czy zaleta przymusowo nam szczepionych, bolszewickich teoryj?

Zajechałyśmy do pensjonatu «Jaskółka», należącego do mojej przyjaciółki p. S. Z jakąż rozkoszą chłonęłam zapomniane już objawy cywilizacji! Doskonale wyszkolona służba, wykwintny obiad, ciepła kąpiel, świeżo posłane, wygodne łóżko — wszystko to mnie zachwycało. Nasycałam się każdym, najdrobniejszym szczegółem z takiem upodobaniem, jak smakosz, ciągnący powoli lampkę najprzedniejszego, starego maślacza! Niestety, było tu zbyt drogo na moje mizerne fundusze. Postanowiłam szukać natychmiast innego mieszkania.

Przedewszystkiem jednak następnego dnia z rana weszłam z bijącem sercem do Towarzystwa opieki nad zakładnikami, przy ulicy Siennej.

Jakaś pani, siedząca przy biurku, zaczęła, na moją prośbę, przeglądać spisy zakładników i jeńców cywilnych, szukając naszego nazwiska:

— Niema... niema... niema... — przerzucała zadrukowane papiery.

Wtem podniosła na mnie oczy z prawdziwą radością:

— Niech pani sama przeczyta... tu... tu... — wskazywała mi palcem: — «Kalikst Dunin-Kozicki. Agronom».

Uśmiechnęłam się przez łzy... Biedny ziemianin! Schował rożki pod skorupkę fachowca! I to go jednak nie ochroniło od czrezwyczajki i niewoli!...

Oszołomiona poczuciem szczęścia bez granic, zachwiałam się, przysłaniając oczy dłonią...

Oto więc przyszła nareszcie chwila radości, olśniewająca jak blask słońca po przesunięciu się zwału gradowych chmur... I znowu serce nie może pomieścić tego nadmiaru

błogości, jak przedtem nie mogło objąć całego ogromu cierpienia...

Uczułam przyjazne objęcie ramienia:

— Niechże pani usiądzie! Biedactwo!! Ileż pani przecierpieć musiała!...

— Ach, tak, niestety! Czy mogę panią poprosić o tę listę na chwilę?! — Każda literka jego nazwiska woła do mnie z niezłomną jasnością prawdy: «On żyje... żyje... żyje!!!»

Ile czasu spędziłam na dziękczynnej modlitwie w kościele... nie pamiętam!... Dziadek kościelny dzwonił mi zapamiętale kluczami nad głową...

Zerwałam się z klęczek: Dziękuję ci niecierpliwy, siwy dziadusiu! Wzywasz mnie do nadziei... do radości!... Ucieszże się i ty, staruszku! — Wsunęłam mu do ręki zwitek naszych polskich mareczek.

— Niech Bóg Najwyższy... Niech Matka Przenajświętsza... W zdrowiu... w szczęściu... długie lata!...

. . . .

Nowe warunki życia w Polsce stały się dla przeważającej liczby Kresowców niezmiernie podobne do owego zakładu, o którym przed kilku laty szeroko pisały niemal wszystkie dzienniki, przytaczając go jako dowód tężyzny młodzieży po tamtej stronie Oceanu. Oto dwaj amerykańscy studenci po rozegraniu jakiegoś niesłychanego sportowego match'u i orzeźwieniu się lodowatym prysznicem w łaźni, uczuli nagle nieprzepartą chęć walki nie z piłką, lecz z Życiem i wykazania w niej swoich rzeczywistych walorów. Owinęli się tedy w prześcieradła, ubrania i pieniądze oddali kolegom, którzy już zdążyli porobić zakłady za i przeciw powodzeniu zapaśników, i postanowili od tej chwili bez niczyjej po-

mocy sprytem i pracą dojść przedewszystkiem do ubrań, a następnie, pnąc się w górę po różnych stopniach, nie gardząc żadnym uczciwym zarobkiem, zdobyć niezależność materjalną, chociażby najskromniejszą. Tu miał być koniec powziętego zamiaru i powrót do zaczętych studjów. Udało im się to podobno świetnie, czego, niestety, powiedzieć nie można o wysiłkach wielu z nas, — tamci bowiem skromniej i lżej byli od nas odziani przy rozpoczęciu nowego istnienia, lecz tu zarazem kończy się nasza wyższość! Oni mieli za sobą młodość i czas... a iluż to wygnańców przyjechało do Polski w wieku podeszłym, gdy zużyte siły domagają się wypoczynku, a nie wyczerpującej i rozpaczliwej pogoni za możnością znalezienia zarobku. Pomimo to Kresowcy niestracili energji. Niektórzy, wnet po przyjeździe do Warszawy, otworzyli tu restauracje i kawiarnie, jako przedsiębiorstwa akcyjne, gdzie kelnerkami zostały ziemianki kresowe. Ze względu na pochodzenie swych pracowników, zakłady te mają bezsprzeczne prawo do przybrania nazwy «Ziemiańskich», w obawie jednak posądzeń o wyższość lub odrębność klasową przezwały się skromnie «Kresowemi». Najlepiej powodzi się wszelkiego rodzaju fachowcom, najgorzej — rolnikom. Ziemia polska nie jest bowiem tak rozległa, żeby mogła dać posady rolne własnym i napływowym pracownikom. Ci tedy z musu obrali sobie inne tereny działalności, stworzyli Związki handlowe, Syndykaty rolnicze, pracują po bankach, po sklepach, mierzą, ważą, stukają na maszynach, i... żyją! Mogą nawet — chociaż z bezmiernym wysiłkiem — wychowywać i kształcić dzieci.

Co do mnie, długi czas nie umiałam żyć ani szerzej, ani głębiej, ciesząc się, jak dziecko, objawami zewnętrznych i drobnych wydarzeń. Bawił mię ruch i gwar na ulicach, zajmowało wszystko. Stawałam przed wywieszonemi na murach afiszami: koncerty, teatry, odczyty, jakieś nowe sztuki,

nowi aktorzy... Niby rekonwalescent po ciężkiej chorobie, wracałam powoli do życia normalnego, w którem prócz cierpienia i śmierci mieszczą się tak różnorodne przejawy ludzkiego Ducha i Czynu. W oknach księgarni pełno ciekawych wydawnictw... Po dwóch latach odcięcia od prądów myśli zachodniej odczuwałam wprost głód książek, tęsknotę za poznaniem nowych kierunków ludzkiego umysłu. Na wszystko będzie czas! Tymczasem jestem niby student na wakacjach! Troski na potem! Doczekam się powrotu Kaliksta, a latem pojedziemy może gdzieś na zieloną trawę!

Przedewszystkiem jednak upajałam się poczuciem bezpieczeństwa osobistego... Nie wtargnie do mnie w nocy rewizja... Nie chwyci czrezwyczajka... Nie grozi mi śmierć przez rozstrzelanie, bez sądu i obrony, bez powodu i winy! Mogę myśleć, pracować i działać w kierunku, który mi najbardziej dogadza. Nie wolno mi tylko być szkodliwym członkiem społeczeństwa i popełniać czynów, stojących w sprzeczności z prawami, uchwalonemi przez przedstawicieli narodu całego.

Z naszej latarni (tak nazwałyśmy z Haneczką pokoik na piątem piętrze, tworzący rodzaj balkonu o trzech oknach, wychodzących na ulicę) widać było niby z lotu ptaka Warszawę i Wisłę. Tysiączne światła migotały i skrzyły się w ciemności, jak ruchliwe świętojańskie robaczki. Nawet we śnie miasto czuwało. To, co w porewolucyjnym chaosie stało się wysiłkiem nie do ziszczenia, tu przedstawiało się jako konieczność tak pospolita i niezbędna zarazem, iż nie wzbudzała w nikim ani uznania, ani wdzięczności. Wyobraźnia powrotną falą podsuwała mi nieraz wieczorami obrazy obumarłego Kijowa... ociemniałej w nocy Odessy... stacje pełne tyfusowych... gęstą sieć krzyżujących się z sobą szlaków zniszczenia...

Kraj przecudny, bogaty, w ruinie — po kataklizmie spo-

łecznym, którego groza i szkodliwość dadzą się tylko porównać z niszczycielskim i żywiołowo niepohamowanym wybuchem wulkanu i pędem szalejącej lawy!...

Żal niósł, jak na skrzydłach, westchnienie:

Czemużeś oddzielona od Polski czerwonemi sztandarami?!...

Czemużeś oddarta od Macierzy, ziemio droga, jak szmat serca, broczący krwią?!...

. . . .

Zakładnicy pierwszej partji przyjechali do Warszawy w styczniu. Od nich dowiedziałam się, że mąż mój powróci z Moskwy w następnym transporcie. Układy jednak z bolszewikami co do wymiany więźniów szły opornie i przyjazd ich ciągle się opóźniał. Tak jak dawniej w Czerwonym Krzyżu kijowskim, żony zakładników zbierały się teraz codziennie w Towarzystwie Opieki nad jeńcami cywilnymi przy ulicy Siennej. Spotkałam tam kiedyś panią Lieselową. Jej wychudzona, blada twarzyczka wyglądała zdaleka niby rzeźba ze słoniowej kości, otulona w zwoje czerni. Ból zastygł na niej i przytaił się w oczach, jak nieodstępny towarzysz. Powitałyśmy się serdecznie.

— Pani wie już pewno o mojem nieszczęściu?... — spytała mię z dziwnym, kamiennym spokojem. — Żyję dla dzieci! Tak on mi kazał, umierając... Myślę o nich, troszczę się... pracuję... ale ciągle mi się wydaje, że mnie tu już niema! Umarłam za życia... A pani mąż żyje i wraca! Nieprawdaż?!

— Tak... podobno... — rzekłam wahająco. Wobec takiego bólu wstyd mi było mego szczęścia.

Zaprzeczyła mi żywo: — Jakto «podobno»?! Ależ napewno, napewno! Natychmiast po przyjeździe do Warszawy przyszłam tu i szukałam męża pani w spisach. Jak się wtedy

cieszyłam... — Spojrzała mi w oczy z bezbrzeżnym smutkiem. — Pamięta pani nasze spotkanie w Czerwonym Krzyżu w jesieni? Zmieniły się od tego czasu role...

Czy pamiętałam?!... Każda chwila, każde słowo, każdy najdrobniejszy nawet szczegół z owych męczeńskich miesięcy jakby rozpalonem dłutem wyrył się na zawsze w mojej pamięci.

Spotykałyśmy się z p. Lieselową w Czerwonym Krzyżu wkrótce po wejściu do Kijowa «Dobrowolnej Armji». Historja jej życia była krótka.

Wyszła zamąż przed kilku laty z szalonej miłości. Szczęście trwało niedługo. Wybuchnęła wielka wojna. On poszedł na front, ona została samotna, z malutką dzieciną. Kilkakrotnie cudem prawie uszedł śmierci na polu walki — wreszcie umierał już z ran i wycieńczenia. Przywieziono go do kijowskiego szpitala. Tu — ta drobniutka, wątła kobietka, którą nazywałyśmy żartobliwie *baby-wife*, z bohaterstwem miłości mocowała się ze śmiercią, grożącą mężowi i... zwyciężyła!

Wojna wygasła, lecz w głębi, pod popiołami, zostało zarzewie nowych pożarów. Zakotłowało się na Kresach. Wznosiły się i upadały coraz to inne rządy, a wreszcie przyszli bolszewicy, a z nimi — bezprawia i gwałty. Po nagłej, nocnej rewizji Liesela wywieziono, jako zakładnika polskiego, do Moskwy.

Maleńka p. Lieselowa opowiadała nam wówczas swoje dzieje z czupurną minką:

— Mąż szepnął mi na pożegnanie, że ucieknie z niewoli i wróci do nas. Wierzę mu! On taki mężny, taki dzielny... a dla mnie do wszystkiego jest zdolny. Spuchłam od łez, żegnając się z nim, ale teraz chcę żyć, aby doczekać się

takiej chwili radości, a potem zemścić się... zemścić! — Tupnęła drobną nóżką.

Patrzyłyśmy na nią z uśmiechem: Taka była miła w swoich pogróżkach i ufności w bohaterstwo męża.

Liesel dotrzymał obietnicy i uciekł z Moskwy. Szedł borami, lasami, przymierał głodem, krył się przed ludźmi... i dotarł wkońcu do Kijowa.

Jej już nie zastał. Wyjechała do Polski, chcąc go ratować za pośrednictwem naszego rządu. Pod przybranem nazwiskiem chował się przed bolszewikami, którzy weszli z powrotem do Kijowa, po ustąpieniu «Dobrowolnej Armji». Chciał się przedostać do Warszawy, do żony... i umarł w szpitalu. Zabił go tyfus plamisty. Pochowano go z innemi ofiarami zarazy we wspólnym dole, w nieznanem nikomu miejscu. Jakiś kolega niedoli, któremu udało się szczęśliwie przekraść się do Polski, przyniósł tę wieść żonie.

Czytałam potem żałobną odezwę p. Lieselowej, podaną do wszystkich dzienników:

«Wzywam i proszę wszystkich przyjaciół i znajomych mego ś. p. ukochanego męża, aby poszli wraz ze mną myślą i wspomnieniem na jego nieznaną mogiłę i odmówili tam Wieczny Odpoczynek za jego duszę.

«Zmarł w Kijowie, w styczniu 1920 roku».

. . . .

Chęć zorganizowania się i zestrzelenia wszystkich rozbitków kresowych w jedno ognisko skłoniła nas do stworzenia «Związku Kresowców», mającego siedzibę gdzieś na podniebnych wysokościach w wielopiętrowej kamienicy przy ulicy Długiej.

Spotkałam tam wielu przyjaciół z różnych stron, a między innymi uchodźców z Humańszczyzny. Od nich dowie-

działam się szczegółów o Baczkurynie. Pomimo bowiem kilku moich listów, zawiadamiających o aresztowaniu i zaginięciu Kaliksta, nie otrzymałam ani jednego słowa odpowiedzi od mojej bratowej. Wogóle poczta na Kresach, tak za «czerwonych» jak i za «białych» rządów, funkcjonowała o wiele gorzej, niż ongi za świetnej pamięci króla Cyrusa!

Dopiero na początku lutego, zajrzawszy któregoś dnia do «Związku Kresowców», dostałam niespodziewanie obszerny list z Baczkuryna, za pośrednictwem pana N., który w chłopskiem przebraniu zdołał jakoś przemknąć się do Polski, pomimo nowej fali bolszewizmu, zalewającej Kresy po zgnieceniu denikinowców.

Usiadłam w kącie, pod oknem, nie zważając na gwar rozmów zebranych tu wygnańców, i czytałam skwapliwie opis ciężkich przeżyć, skreślony ręką mojej drogiej bratowej:

«Kochana i bardzo biedna Maryś nasza! Ostatni list twój, pisany w Odessie, doszedł do Baczkuryna szczęśliwie. Przywiózł go nam R., którego dziwnym zbiegiem okoliczności poznałaś w Odessie, gdy wozem przyjechał tam z Humania po zakupy i towary do swego sklepu. Co za tryumf dla czumaków, gdyby mogli wstać z mogił i oglądać ten upadek kolejowych czynności! Wiadomości Liwena o nieznanym więźniu na statku wlały we mnie jakąś ogromną otuchę. Modlimy się nieustannie, aby to był nasz najdroższy Kalikst. Nie wiem sama, od czego mam zacząć, by dać ci wierny obraz tej Gehenny, przez którą przeszliśmy. — Z początku wieś zachowała w świeżej pamięci starania Leona o zmniejszenie kontrybucji, nałożonej na Baczkuryn w swoim czasie przez Niemców, a nawet dała dowód rzeczywistej wdzięczności, gdy po ich wyjściu jakaś banda zajęła dwór

wczesnym rankiem i powlokła Bogdana przed sąd wiejski. Tu zarzucono mu niesłusznie udział w ekspedycjach karnych i domagano się jego śmierci. Baczkuryński «schod» (zebranie) rozpatrzył sprawę i wydał następujący wyrok: «Stari pany nechaj dożywajut wiku (wieku lat) w dwori, bo dobriji buły dla ludej, a detyny ubyty ne damo! Nechaj ide w swit praciowaty!!»

Ten fakt dodał nam odwagi do pozostania na miejscu. Nadszedł strasznej pamięci rok 1919. Jak ludzkie serca mogły wytrzymać taki bezmiar niedoli?! Nie wspominam nawet o stratach materjalnych, chociaż zabrano nam wszystko, prócz paru krów, i żyliśmy głównie kartoflami i mąką, ukrytą zręcznie wraz z innemi rzeczami. Uciekać jeszcze nie chcieliśmy i nie mieliśmy dokąd. W Humaniu szalały czrezwyczajki, areszty, wyłapywanie obywatelstwa. Tu lepsza część wsi współczuła nam potajemnie, a nie wierzono ogólnie w trwałość tego gwałtu. Zato najgorsze żywioły tryumfowały, a młodzież wiejska, obałamucona teorjami nienawiści i zemsty, skierowywała do dworu każdy nowy przechodzący oddział. Zabierali, co się tylko dało zabrać, strzelali, grozili! Najokrutniejsi byli ci, co zostawali po przejściu wojsk niby regularnych, — grabieżcy zawodowi. Leon wymógł na nas, że sam tylko będzie do nich wychodził, że my ukryjemy się za każdą taką napaścią w naszej skrytce. Bezgranicznie tragiczne chwile, gdyśmy, drżąc o jego życie, słyszały przytłumione strzały i mówiłyśmy sobie oczami: «Może ten głuchy odgłos, to strzał morderczy». Padałyśmy na kolana i z głębin niedoli, trwogi, bezsilnej rozpaczy, szeptały: — Pod Twoją Obronę... Pocieszycielko nasza... Opiekunko nasza... — Do dziś dnia, bez drżenia nie mogę odmówić tej modlitwy. Potem tętent odjeżdżających... szyb-

kie kroki naszej wiejskiej dziewczyny, która, intuicją wiedziona, wołała: Pan żywi!! Pozabyrały...

Nie słuchałyśmy tych utyskiwań. Biegłyśmy z Zosią do Leona, prawie płacząc ze szczęścia, że ocalał... a on wyciągał do nas ręce: — Darujcie, że was tak naraziłem na mękę i niebezpieczeństwo, alem duszą przyrósł do tych kątów! Opatrzność nas ocali! — Ileż razy to się powtórzyło!! Wreszcie nadszedł moment kulminacyjny. Bolszewicy cofali się — nadciągali petlurowcy, i ci do nas przyszli. Założyli główną kwaterę w B. (Baczkurynie), oczekując na grupę odeskich bolszewików. Nie robili nam żadnych przykrości, byli naogół wprost zdumieni, że zostaliśmy na wsi, że pomimo wszystko żyjemy. Z prawdziwym szacunkiem zwracali się zawsze do Leona. Bolszewicy nadciągnęli wreszcie w ogromnej przewadze liczebnej. Petlurowcy cofnęli się do pobliskich Monasterzysk. Armaty grzmiały, kule latały... Nie zdołaliśmy schronić się dalej, niż do własnego parku, gdzie spędziliśmy straszne dwie doby, wtuleni w gąszcz młodych świerków. Śmiertelnie długie dwie doby... każdy szmer zdawał się być zapowiedzią śmierci... Nasi miejscowi wrogowie, których przez karygodną wspaniałomyślność nie zdemaskowaliśmy przed petlurowcami, prowadzili obławę, tak zw. «ciep'» (łańcuch), szukając nas w parku. Chcieliśmy oddalić się... pełzliśmy na kolanach... Leon dostał napadu astmatycznego kaszlu, na który cierpiał oddawna. — «Odejdź odemnie — szepnął, — posłyszą... znajdą nas». — Ścisnęłam go mocno za rękę: — Nigdy!!!... — Przytailiśmy się gdzieś w gąszczu, a podniesione głosy szukających dolatywały do nas to z tej, to z przeciwnej strony. Po dwóch dobach takiej tortury, osłabli z głodu, zostaliśmy zabrani i ocaleni przez zacnego człowieka.

Pięć dni szaleli bolszewicy i wieś, pastwiąc się nad naszym biednym, drogim domem. — Nareszcie odeszli, twierdzono, że nazawsze! Wróciliśmy z naszego ukrycia do domu, jeśli «domem» nazwać można to, co zastaliśmy. Meble, książki, słoma, gruz, potłuczone szkło, glina, stanowiły zwały, przez które łopatami trzeba było torować przejście. Okna bez szyb. Ze ścian patrzyły portrety próżnią wystrzelonych źrenic. Szczególniej przejmujące wrażenie sprawiał portret młodej dziewczynki — usta się uśmiechały, a przestrzelone oczy patrzyły grozą śmierci. Ładna kolekcja sztychów porąbana szablami — książki zdeptane, splugawione. Głównie jednak pastwili się nad amerykańskiemi kolorowemi ilustracjami. Rzeczy najcenniejsze, bo prawie komplet XVIII w. i wszystkie pierwsze edycje w. XIX, jako niepozorne, szare książeczki, uszły zagłady. Po przejściu tych wandali Leon z Zosią w ciągu całego miesiąca dobierali kartki, wyszukiwali podarte strzępy, składali, pragnąc z tego pogromu uratować część przynajmniej genjalnych utworów ludzkości. Można też powiedzieć, że tym razem bibljoteka ocalała.

Zosia, z niepokoju o nas w czasie tych dwóch dni okrutnych, dostała ciężkiej choroby serca. Przeżycia jej w ciągu tego kilkudniowego najazdu bolszewickiego na nasz dwór przewyższają swą grozą wiele sienkiewiczowskich opisów. Nocowaliśmy w pokoiku przy kuźni, nie śpiąc i nasłuchując trwożliwie, jaki obrót weźmie bitwa pomiędzy bolszewikami a petlurowskim oddziałem... Nagle, jednocześnie niemal z pierwszemi promieniami jutrzenki, zbliżający się tętent kłusujących koni wyrwał nas ze strasznego napięcia nerwów. Uciekać! Uciekać! Niewiadomo, kto jedzie... Wróg, czy przyjaciel? Wybiegliśmy z Leonem i szybko przez płot schroniliśmy się do ogrodu. Zosia za nami... Stanęła już na

przełazie, gdy w bramie dworskiej ukazało się sześciu krasnoarmiejców: — «Stój! Nie uciekniesz! Widzimy ciebie!» — krzyczeli dziko, wymachując nahajami. W jednej chwili skoczyła z przełazu i pędem rzuciła się na ich spotkanie. Otoczyli ją żołnierze, nachylając się z koni: — «Z kim uciekałaś?! Gadaj prawdę!! — «Sama». — «Kłamiesz burżujka!! Bierzcie ją, towariszczi. Pod ściankę!»

Już dziedziniec cały zalany był bolszewickiem wojskiem. Kawalerzyści zsiedli z koni i donośnie, z wściekłością w głosie, obwiniali tę bladą, spokojnie patrzącą im w oczy dziewczynę o ukrywanie «pamieszczyków».

— Na śmierć! Na rozstrzał! — pienił się i krzyczał jeden z towariszczej, o bestjalskiej twarzy, z wypalonym na czole napisem: «Nr. 4».

Popychana, lżona, targana za ręce i ramiona, szła wśród tej zgrai do naszego drogiego domu i stanęła pod ścianą. Lufy karabinów dotykały jej głowy.

— Mów, burżujka! Gdzie pamieszczyki?! Zastrzelimy jak psa! Milczysz?! Raz... dwa... trzy...

Świsnęły kule... utkwiły w ścianie nad głową.

— Zostawcie ją, towariszczi! — rozkazał krasnyj komandir. Znajdziemy jej krewnych, a potem ja sam z nią się pobawię! Odprowadzić do izby czeladnej! Postawić straż!

Wrzaski nie milkły ani na chwilę przez noc całą... Grabili dwór.

Na drugi dzień wpadł nowy oddział. Wyprowadzono Zosię na dziedziniec. Stanęła pod ścianą, słaniając się ze zmęczenia i przeżytych wrażeń. Żołnierze krzyczeli wokoło: «Rozstrzelać! Szablami na miejscu zarąbać!» To ten, to ów przykładał jej rewolwer do skroni, rzucając straszne przekleństwa. — «Zostawcie ją! Komendant dla siebie kazał zatrzymać» — śmięli się okrutnie konwojujący krasnoarmiejcy. —

«Ładno! Ładno! Skończymy z jej krewnymi, a potem już z nią poigrajem!!»

Ruszył łańcuch obławy, mającej nas pojmać jak zwierzęta w sieć, a Zosia zwróciła się twarzą do ściany i wpiła się w nią palcami. Upadła na ziemię, słysząc po chwili zdala okrzyki tryumfu i myśląc, że to nas wiodą na śmierć męczeńską. Ostre, przenikliwe ukłucia bagnetów przywiodły ją do przytomności: — «Wstawaj, burżujka! — wołali żołnierze. — Nie wolno tak się wygodnie rozkładać! Ot! z twoich krewnych skórę obedrzemy, a póki co, stój smirno pod ścianą!»

Pod wieczór wpadł krasnyj komandir, wygrażał Zosi pięściami, klął, zapowiadał śmierć. — «Pilnować jej! Głowami odpowiadacie za nią!» — krzyczał do wylęknionej straży.

I nadszedł trzeci dzień męczeństwa. Wyprowadzona przed dwór ofiara chwiała się na nogach z wyczerpania i głodu. Zaroiło się na dziedzińcu od zbiegających się ze wszech stron krasnoarmiejców, rozwścieczonych nieudaną obławą.

— Przekleństwo! — wrzasnął komendant. — Ona już umiera!!

— My jej dopomożemy!! — ryczeli ze śmiechem podwładni. Błyszczały bagnety przed oczami dziewczyny, dzika wrzawa wciskała się natrętnie do jej świadomości, jak fala zalewająca topielca. Jeszcze kilka razy dnia tego, to ci, to owi pragnęli ją życia pozbawić — komandir zabronił! «Pojedzie z nami jako siestrica!»

Ciemno już było zupełnie, gdy wpadł nagle na dziedziniec konny goniec: — «Przegrana! — huknął. — Spasajtieś, towariszczi!»

Jak huragan wymiatający zwały jesiennych liści — tak

popłoch pędził oszołomionych krasnoarmiejców, którzy się w okamgnieniu zmienili w niesforny tłum.

Tylko krasnyj komandir rzucał rozkazy z niezmąconym spokojem: — «Na koń! W stronę Popudni! Marsz!» — Dziedziniec opustoszał — tętent uciekających oddalał się z każdą chwilą, niby odgłos przemijającej burzy.

— Uratowałem was! — rzekł bolszewicki dowódca, zbliżając się do Zosi, opartej w bezgranicznem wycieńczeniu o ściany dworu. — Ciemno, choć oko wykol! Macie tu świecę i zapałki! Dowleczecie się jakoś do starej klucznicy... My tu już nie wrócimy! Żegnajcie!

Skoczył na konia i pomknął. Noc się za nim zwarła, czarna i nieprzenikniona...

Nadeszły czasy denikinowskie i nieco spokoju. Zaczę-[illegible]po roku trwożnego czuwania, kłaść się w nocy do [illegible]ócił Bogdan do domu po ciężkich przejściach i tu-[illegible]ko śmiertelna trwoga o Kaliksta zjadała nas. Niedługo j[illegible]nak trwał ten względny wypoczynek. Denikinowcy przeszli jak huragan i po paru miesiącach poczęli wycofywać się powoli. Teraz postanowiliśmy wyjechać... lecz dokąd i z czem?!... Miejscowi bolszewicy podnieśli łeb. Całemi nocami strzelali pod oknami; w ciągu dnia — w parku. Paliliśmy drzewem z wewnętrznych ścian budynków, bo w parku bronili rąbać. Nareszcie w ostatnich dniach grudnia, w czasie świąt Bożego Narodzenia, nasza wiejska służąca wpadła z rana do sypialni: — «Na leśkowsku pannu mużyki napały w noczi i wyhnały z pałacu! Każut, szo czut' ne ubyły za to, szo tak dołho boronyła!! Bidna panna Marja! Uciekła do Monasteryszcz piechotą!» — *C'est le commencement de la fin*, rzekł Leon z rezygnacją.

Rzeczywiście, 30 grudnia 1919 r. w nocy miejscowi chłopi wystrzelili nam szyby w oknach, w dwóch pozostałych poko-

jach. Parę osób ze służby, dotychczas bezwzględnie nam wiernych, ostatecznie się zlękło. Mróz — 23 stopnie. Raniutko, skoro świt, pożyczonemi końmi, w kożuchach również pożyczonych, opuszczaliśmy na zawsze nasz drogi dom... Park lśnił brylantami lodu. W milczeniu żegnaliśmy wszystko, co tak długo, z takim wysiłkiem, chroniliśmy od zagłady. W Monasterzyskach administrator cukrowni, zacny pan R., przyjął nas pod swój dach, nie myśląc o niebezpieczeństwie, na jakie się wskutek tego naraża. Oboje państwo R. byli dla nas jak najlepsi, to też wdzięczność nasza dla nich jest tak wielką, jak bezgraniczną była nasza niedola i bezdomność!

Oto obraz naszych przeżyć, obraz tak blady, jak płomień łuczywa wobec palącej wzrok, rozjarzonej tarczy słonecznej! Nie potrafię — nawet w przybliżeniu — oddać chwil tej okrutnej trwogi — bólu, co duszę targa na strzępy, gdy się bezsilnie patrzy, jak życie najdroższej istoty wisi na włosku — bezsilnie, bezradnie, a każda sekunda zda się długa... długa, jak wiek! Z takich to sekund składał się moment, gdy nasze jedyne dziecko, nasz syn ukochany, widząc niechybną swą zgubę, z iście młodzieńczą brawurą, w stroju «towariszcza», skoczył przez mur naszego parku z pieśnią Międzynarodówki na ustach — wmieszał się w szary tłum żołnierzy i, korzystając z zawieruchy, bawiąc konceptami, pomimo iż lęk śmiertelny o nas targał nim, dostał się żywy i cały do Humania. Ilem wycierpiała, zanim nadeszła błogosławiona wieść, że ocalał!! A ileż takich chwil — chwil, na które składają się: oczekiwanie męki wyrafinowanej, strach ściganego zwierzęcia, płacz serca, gdy się żegna na zawsze drogie kąty — tysiączne drobne ukłucia i upokorzenia... Gdybym potrafiła je wiernie odtworzyć, dopiero wówczas miałabyś obraz naszych przeżyć 18 i 19 roku.

Dzieje jednej rodziny, to historja martyrologji wszystkich rodzin kresowych — dziś tułaczy bezdomnych! Oby przynajmniej nasz Kalikst ukochany żył i powrócił z tej strasznej niewoli i niedoli! Droga Maryś, gdybyś mogła — nie wiem sama w jaki sposób — przesłać mi choć słówko o sobie, o małej, o twych staraniach co do powrotu Kaliksta (on żyje... żyje, nasz biedak), zdawałoby mi się, iż nie jesteśmy tu tak daleko od was w tej małej, żydowskiej mieścinie».

. . . .

List wypadł mi z rąk. Z głębin duchowych powstał bunt... Za cóż, za co, za jakie przewiny smagnąłeś nas tak, o Boże Ojców naszych, żeś skazał wiekowy dorobek pokoleń kresowych na zagładę?! Zezwoliłeś na panowanie szatana i nie rzucasz piorunem, nie razisz nieprzyjaciół Swoich w dniu gniewu Swego?!...

Pan N. zbliżył się do mnie i usiadł nieopodal:

— Smutny list, niestety! Nic dziwnego! Ci mężni ludzie, trwając uparcie na straconej placówce, narażeni byli nieustannie na zniewagi i naigrawania się. Na domiar złego ciężka choroba zawitała do tego męczeńskiego dworu. Bandyci i krasnoarmiejcy, nie przebierając w środkach, bili kolbami po głowie znienawidzonego «pamieszczyka», chcąc zmusić go w ten sposób do oddania pieniędzy, których wobec ruiny nie było wcale. Z tych bezwzględnych razów wywiązało się zapalenie nerwów w oku, sprawiające panu Leonowi ból prawie nie do zniesienia. Znoszą jednak wszyscy ten ciężki los stoicznie. Pani Celina i panna Zofja dają lekcje francuskiego żydom w miasteczku. Nie słyszał nikt słowa skargi z ust bratowej pani, — przeciwnie, dodaje ducha, łagodzi ból innych wykolejonych biedaków, którzy ściągnęli do miasteczka po utracie gniazd własnych lub posad w dawnych mająt-

kach. Wzbudza ogólny szacunek i współczucie, bo stan pana Leona groźny i czeka ją nowe, bolesne przejście. Marzą o tem, biedacy, by do Polski dostać się najrychlej, lecz wątpię, by jeszcze we troje tu przyjechali.

. . . .

Na 15-go lutego oznaczony był przyjazd zakładników z Moskwy do Warszawy. Śnieg sypał bez przerwy noc całą. Mróz był niezwykle silny. Idąc z rana na spotkanie Kaliksta, nie wzięłam nawet z sobą Haneczki, obawiając się dla niej przeziębienia. Z trudem dostałam się na Powązki, gdzie mieli zamieszkać chwilowo zakładnicy, nie mający krewnych ani znajomych w Warszawie.

Powiedziano mi w biurze, że pociąg przyszedł niespodziewanie jeszcze w nocy.

— Pan Kozicki nie mógł się doczekać pani i przed chwilą poszedł w stronę tramwaju, mającego odwieźć zakładników do miasta.

Wypadłam z baraku... Zdaleka zobaczyłam tramwaj, przepełniony podróżnymi. Wskoczyłam na schodki i przez szyby zaczęłam szukać wzrokiem mego męża...

— Maryś!...

Odwróciłam się... Jakiś biedak, w zielonym, watowanym przyodziewku, w szarej «papasze» na głowie, z płócienną torbą przez plecy, biegł ku mnie zdaleka...

Zapadnięte policzki... bujny zarost na twarzy... żółcizna skóry...

Poznałam tylko oczy!... te oczy...

Wyciągnął do mnie z uniesieniem wychudzone ręce:

— Maryś!... Maryś ty moja!...

Przejmujący żal nad niedolą ukochanego człowieka

jak płomień buntu wydarł mi się z piersi: — Boże wielki! Co oni z ciebie zrobili?!

Za chwilę byłam już w jego objęciach. Łzy płynęły z oczu Kaliksta...

Nie zdołała wydobyć ich z serca jego ani nagłość ruiny, ani groza zagarniającej go w sieć czrezwyczajki! Dziś wycisnęła je... radość!

Jacyś obcy i nieznani, którzy wraz z zakładnikami przyjechali z Moskwy, przypatrywali się nam ciekawie przez szyby tramwaju.

— Chodźmy pieszo — rzekł Kalikst, — przynajmniej będziemy sami.

Wsunęłam rękę pod jego ramię. Znowu byliśmy razem i świat cały był w nas!

Śnieg padał szerokiemi, miękkiemi płatami, wirując powoli, i osiadał na naszych okryciach i czapkach. Do ust cisnęły się tysiączne pytania, leżące tak długo w głębi serca bez odpowiedzi.

— Ileżeś ty wycierpiał, biedaku?!...

— A wy... jak dawałyście sobie radę bezemnie, moje sierotki?!... A nasza maleńka, czy urosła?!

— Urosła i zmężniała. Pocieszała mnie ciągle. Ona jedna wierzyła, że ty żyjesz i powrócisz do nas! Ach, dlaczegoż, dlaczegoż... nie powiedziałeś na statku Liwenowi swego nazwiska?! O ileż lżej byłoby mi znieść to okrutne rozstanie, gdybym wiedziała przynajmniej, że żyjesz!

— Zastanów się, Maryś!... Czyż mogłem przewidzieć, że on ucieknie?! Miałem ci może przez niego przesłać ukłony?!...

Zaczęliśmy śmiać się oboje, bez wielkiego powodu... ze szczęścia zapewne!

Przed nami, za ruchliwą zasłoną z polatujących śnież-

nych płatków, rysowały się kontury miasta, strzelające kominami fabryk i dachami wielopiętrowych kamienic. Tam — czeka nas nowe życie... pełne codziennych zmagań się i trosk o dach nad głową, o możność stworzenia najskromniejszych warunków bytu...

Szliśmy szybko, brnąc po kostki w świeżo nawianym śniegu, który śpiesznie i niezmordowanie zasypywał ślady stóp naszych. Za każdym krokiem oddalaliśmy się od zagasłej, ukochanej przeszłości, która po tylowiekowej pracy polskiej na Kresach zostawała teraz za nami w gruzach zwalonych siedzib rodzinnych, w zgliszczach narodowej kultury i piękna, w popiołach spalonych, bezcennych księgozbiorów... a wreszcie w krwi ofiar, co legły na wieki w dalekiej tej ziemi, jako jedyna już odtąd jej straż!!

. . . .

I tu się kończy opowieść o tej burzy dziejowej, tak wszechstronnej w swoich przejawach, tak potężnej w swym żywiołowym rozpędzie, jak samo życie...

Nad naszemi ziemiami rozpętała się nawałnica, rwąc, niszcząc, paląc, druzgocąc i łamiąc wszystko, co napotkała po drodze, pędząc nas przed sobą w świat... tułaczy i rozbitków. Przed nami szła Śmierć — za nami pozostawała pustka! Schroniliśmy się do miast, byle nie zerwać doszczętnie nici, łączących nas z opuszczonemi gniazdami. Tam przeżyliśmy wszyscy długie miesiące w otchłaniach cierpienia i niedoli, gdzie życie pali się przygaszonym, chwiejnym płomieniem, a włada przemożnie tylko Śmierć... Patrzyliśmy jej w twarz... a ona — nam!

W takich chwilach przychodzi do człowieka utajona mądrość, odrzuca mu z przed oczu fałszywe blaski i złudne dążenia — wskazuje prawdziwy cel życia, głębię jego dobra,

istotę jego piękna... Tak, jak w wierzeniach starożytnych, posępna rzeka oddzielała nas od tego dawnego istnienia skrzącego się blaskami niedocenianych przedtem skarbów! Lecz nie była to kojąca Leta, w której dusze ludzkie porzucają tęsknoty swe i troski, i, wolne od ziemskiego pyłu, płyną na drugi brzeg, aby tam przetrwać wieczność w nieprześnionej błogości... Raczej piekielny Styks, czarny od podłoża beznadziejności, spieniony i burzliwy od westchnień i jęków, powstały z łez ciężkich i gorzkich całej storturowanej Rosji i nieszczęsnych ziem naszych kresowych! To dawne, olbrzymie imperjum zmieniło się teraz w prawdziwą «dolinę łez», bez wyjścia. Na straży — od równin kresowych aż po tajgi Sybiru — piętrzyły się wszędy czrezwyczajki... Szły z nich zachłanne, szaleńcze nakazy: «Zgnieść inteligencję!! Zgnieść i wytępić!!»... aby samym zająć jej miejsce! — Całemu światu znane są nazwiska nowych władców Rosji! Oto one:

Trocki-Bronsztejn, Joffe, Radek-Sobelsohn, Kamieniew-Rosenfeld, Krasin-Goldfarb, Zinowjew-Apfelbaum, Stekłow-Nachamkes, Jankiel Jurowskij, Martow-Cederbaum, Kamkow-Katz, Efremow-Chaimowicz, Petrow-Waisbrot... czyż nie dość?

Nie spopielały nam jednak dusze w płomieniach terroru! Stały się jeno hartowne, jak stal! To — jako jedyne i najwyższe dobro — wynieśliśmy z bolszewickich piekieł!

Ci, co przetrwali ten krwawy pogrom, nieznany w dziejach ludzkości, przedarli się do Polski i tu rozproszyli się po wszystkich jej krańcach, prowadząc ciężką walkę o byt. Ale i tu serca nasze nie zaznały radości, bo i do tej ojczyzny wyśnionej wpełzła destrukcja bolszewickich prądów.

W naszych oczach dokonywa się przewartościowanie dawnych pojęć i układów społecznych. Genjusz Izraela — wydał bój duchowi Arjów, zaprzągłszy, jakby na urągowi-

sko, do wywrotowej pracy znaczny odłam wierzących w ułudy komunizmu aryjczyków! Idzie gra Olbrzymów! Jej polem — mapa Europy... wynikiem — walące się z wyżyn trony... atutem w ręku potężnego przeciwnika — rozkołysane, ciemne masy, których nie brak w żadnem europejskiem państwie, a w które przeniknęła aż do głębi świadomość praw człowieka i własnej, niszczycielskiej potęgi.

Jak genjusz ludu izraelskiego potrafi kierować tą groźną i rozkiełznaną siłą dla przeprowadzenia własnych wysokosiężnych i władczych celów, wskazuje nam spalona zarzewiem bolszewizmu Rosja, upadająca dziś pod ciężarem narzuconego jarzma. Lecz taki twór zła rozsypie się w proch, gdy naród się ocknie z martwoty, w poczuciu, że tylko w sobie niesie własne zwycięstwo lub śmierć!

Tak mówią dzieje naszych porozbiorowych lat. Rozdarci przez trzy zabory, wykreśleni z liczby mocarstw — jakże mocni byliśmy wówczas twórczością myśli, ofiarną wolą, ukochaniem straconej wolności! Więc i teraz, gdy zagraża nam wróg najstraszliwszy, jakiego znał chrześcijański świat, powróćcie nasze dawne umiłowania i hasła:

«W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!»

Niech takich czynów wybije godzina! Takiemi czynami opaszmy, jak zwartem koliskiem, tę naszą drogą polską ziemicę, a wówczas atak zła odbije się bezsilny o puklerze polskiego ducha! I my, wygnani z odwiecznych siedzib naszych, powiemy sobie z westchnieniem ulgi, że krew naszych najlepszych ludzi padłych niesławną śmiercią po wszystkich czrezwyczajkach na Kresach, nie przelała się na marne! Że polegli oni, jak dawniej... jak zawsze, dla Ciebie, miła Ojczyzno, jako widomy znak i przestroga, że i Tobie grozić może odjęcie najświętszych Twych praw: życia — dla Narodu, i Wolności — dla Ducha!

Zostaniesz, Polsko, strażnicą narodów! Nie dasz się wbić do ziemi, jak nowy świecznik męczeństwa! Będziesz dalej broniła innych od destrukcji i zagłady, ciągnącej od Wschodu! Taki nakaz od wieków rzucił Ci Bóg!

A jeśli kiedyś stanie się cud tak wielki, jak cudem było wskrzeszenie Polski, i będziemy mogli powrócić do ziemi Ojców naszych, do tej ziemi kresowej, tak drogiej, jak Matka...

Ślubujemy Ci, Panie, że nie pójdziemy tam, jako mściciele, ale jako rycerze Ducha Bożego, i walczyć będziemy z ciemnotą i nieufnością, aż padną w proch, pokonane na wieki!

Ślubujemy... że pójdziemy tam z miłością, co wszystko może, niczego się nie ulęknie, do wszystkiego jest zdolna!

Pójdziemy z przebaczeniem doznanych krzywd... z niepamięcią krwawych ran... z hasłem: «Życie dla wszystkich!! I możność rozwoju i rozkwitu dla wszystkich, nie zaś dla biorących chwilowo górę partyjnych lub klasowych zwycięzców!»

Ślubujemy Ci, Boże, że pracować tam będziemy do ostatniego tchu i w pocie czoła, jak robotnicy Twoi, aż znijdzie Królestwo Twoje na tę ziemię, zniszczoną, stratowaną szaleństwem...

Tylko wróć nas do niej, Panie!!

KONIEC

SPIS RZECZY.